

BORIS VIAN

VERNONA SULLIVANA

DZIEŁA ZEBRANE

w przekładzie Marka Puszczewicza

**NAPLUJĘ NA WASZE
GROBY**

Przedmowa

Mniej więcej w lipcu 1946 roku Jean d'Halluin spotkał Sullivana na czymś w rodzaju spotkania francusko-amerykańskiego. Dwa dni później Sullivan przyniósł swój rękopis.

Wcześniej powiedział mu, iż uważa się bardziej za czarnego niż białego, mimo że przekroczył linię; jak wiadomo, co roku kilka tysięcy „czarnych” (uznanych za takowych przez prawo) znika z rejestrów i przechodzi na stronę przeciwną; własna preferencja dla czarnych wywoływała u Sullivana coś w rodzaju pogardy wobec „pocziwych czarnuchów”, których to w literaturze biali serdecznie poklepują po ramieniu. Był przekonany, że można wyobrazić sobie, a nawet napotkać czarnych równie twardych, jak biali. Co też usiłował osobiście wykazać w tej krótkiej powieści, której pełne prawa do opublikowania posiadał Jean d'Halluin, zapoznawszy się z nią dzięki przyjacielowi. Sullivan miał o tyle mniej powodów do wahania się nad pozostawieniem rękopisu we Francji, o ile kontakty, jakie nawiązał z wydawcami amerykańskimi, wykazały mu bezowocność wszelkich prób wydania jej we własnym kraju.

W tym miejscu nasi dobrze znani moralisci będą wyrzucać niektórym stronicom ich... nieco przesadny realizm. Wydaje nam się interesujące podkreślenie głębokiej różnicy, jaka istnieje pomiędzy nimi a opowiadaniem Millera; ten ostatni nie waha się w żadnym wypadku użyć najbardziej soczystego słownictwa. Wydaje się natomiast, że Sullivan myśli raczej o zasugerowaniu pewnych rzeczy przy pomocy zwrotów i konstrukcji zdaniowych niż odwołuje się do konkretnych wyrazów; w tym względzie zbliża się do bardziej łacińskiej tradycji erotycznej.

Poza tym na kartach ujawnia się niezwykle wyraźnie wpływ Caina (mimo że autor nie próbuje usprawiedliwić przy pomocy jakiegoś sztucznego zabiegu - rękopisu czy czegoś innego - użycia pierwszej osoby, której konieczność wyżej wymieniony pisarz proklamuje w interesującej przedmowie do „Three of a kind”, zbioru trzech krótkich powieści, zebranych ostatnio w Ameryce w jednym tomie i wydanych we Francji w tłumaczeniu Sabiny Berritz), a także najwspółczesniejszych - Chase'a i innych wyznawców grozy. W tym miejscu należy stwierdzić, że Sullivan okazuje się bardziej sadystyczny niż jego znamienici poprzednicy; nie ma więc nic zaskakującego w fakcie, że jego dzieło zostało w Ameryce odrzucone: można iść o zakład, że nazajutrz po opublikowaniu zostałoby zakazane. Jeśli chodzi o samą jego głębię, to należy w niej widzieć przejaw chęci zemsty u rasy, która - cokolwiek by powiedzieć - jest nadal szykanowana i terroryzowana; coś w rodzaju próby egzorcyzmu wobec ucisku

„prawdziwych” białych, podobnie jak ludzie z epoki neolitu malowali żubry trafione strzałami, by przyciągnąć ofiarę do pułapki; dość wyraźną pogardę dla zasady prawdopodobieństwa, jak również ustępstwa wobec gustów publiczności.

Niestety, Ameryka, kraj mlekiem i miodem płynący, jest również ziemią purytanów, alkoholików i różnych „wbij-sobie-to-dobrze-do-głowy”; i przy odrobinie wysiłku, we Francji, będąc dodatkowo oryginalnym, nie odczuwa się żadnych kłopotów przy wykorzystywaniu bez cienia wstydu formuły, która dowiodła swej słuszności. W sumie, to sposób taki, jak inne na sprzedanie własnego towaru...

Boris Vian

I

W Buckton nikt mnie nie znał. Ciem wybrał to miasto właśnie z tego powodu, a poza tym, nawet gdybym się nie spłoszył, nie miałem dość benzyny, by pchać się dalej na Północ. Ledwo pięć litrów. Wraz z moim dolarem i listem od Cierna był to cały mój majątek. O walizce nie warto wspominać. A zwłaszcza o zawartości. Zapomniałem: miałem jeszcze w kuftrze samochodu dziecięcą zabawkę, rewolwer, nieszczęsny kaliber 6,35 z wyprzedazy; był jeszcze w jego kieszeni, kiedy szeryf kazał nam zabrać ciało do domu i pochować. Muszę stwierdzić, że na list Cierna liczyłem bardziej niż na całą resztę. Musiało się udać, koniecznie musiało się udać. Przyglądałem się moim rękom na kierownicy, palcom, paznokciom. Naprawdę, nikt nie mógłby mi nic zarzucić. Żadnego ryzyka z tej strony. Być może dane mi było jakoś się z tego wykaraskać...

Mój brat Tom poznał Cierna na uniwersytecie. Ciem nie odnosił się do niego tak, jak inni studenci. Chętnie z nim rozmawiał, razem popijali razem jeździli samochodem Cierna. Właśnie z powodu Cierna tolerowano Toma. Kiedy wyjechał, żeby zastąpić swego ojca na czele fabryki, Tom również musiał pomyśleć o tym, by się wynieść. Wrócił z nami. Mnóstwo się nauczył i nie miał kłopotów, by zostać nauczycielem w nowej szkole. A później historia z dzieciakiem wszystko rozchrzała. We mnie było dość hipokryzji, by nic nie mówić, ale nie w dzieciaku. Nie widział w tym nic złego. Zajęli się nim ojciec i brat dziewczyny.

Stąd wziął się list od mojego brata do Cierna. Nie mogłem dłużej pozostać w tym stanie, dlatego prosił w nim Cierna, by znalazł coś dla mnie. Nie za daleko, byśmy się mogli widywać od czasu do czasu, lecz dostatecznie daleko, by nikt nas nie znał. Uważał, że przy moim wyglądzie i charakterze nie ryzykujemy absolutnie nic. Być może miał rację, lecz ja jednak pamiętałam o dzieciaku.

Ajent księgarni w Buckton - oto moja nowa robota. Miałem nawiązać kontakt z dawnym ajentem i zapoznać się ze wszystkim w trzy dni. Tamten zmieniał zajęcie, awansował i chciał, by się po nim tylko zakurzyło.

Świeciło słońce. Ulica nazywała się obecnie Pearl-Harbour Street. Ciem prawdopodobnie o tym nie wiedział. Na tabliczkach można było wyczytać również starą nazwę. Pod 270 ujrzałem sklep i zatrzymałem nasha przed drzwiami. Ajent, siedząc przy kasie, przepisywał cyfry do rejestrów; był to mężczyzna w średnim wieku, o niebieskich, surowych oczach i jasnych blond włosach, co mogłem stwierdzić, otworzywszy drzwi. Przywitałem się.

- Dzień dobry. Czym mogę służyć?

- Mam tu list do pana.

- Ach! To pana mam wprowadzić. Proszę mi pokazać ten list. Wziął go, przeczytał, odwrócił i oddał.

- Nic w tym skomplikowanego - powiedział. - Oto towar, (wykonał kolisty ruch ręką). Wieczorem rachunki zostaną podliczone. Co do sprzedaży, reklamy i całej reszty, proszę się kierować wskazówkami inspektorów firmy i papierami, jakie pan otrzyma.

- To jakiś obieg zamknięty? - Tak. Zespół filii.

- Dobrze - skinąłem głową. - Co się sprzedaje najlepiej?

- Och! Powieści. Kiepskie powieści, ale to nie nasza sprawa. Książki religijne nieźle i podręczniki szkolne też. Nie za dużo książek dla dzieci i nie więcej poważnych. Nigdy nie usiłowałem rozwinąć interesu w tym kierunku.

- Czy dla pana książki religijne nie są poważne? Przesunął językiem po wargach.

- Proszę mi nie wkładać w usta czegoś, czego nie powiedziałem.

Uśmiełem się z całego serca.

- Niech pan się tym nie przejmuję. Ja też w to za bardzo nie wierzę.

- W takim razie dam panu radę. Niech pan nie ujawnia tego przed ludźmi i co niedziela chodzi słuchać pastora, bo bez tego oni szybko stąd pana wygryzą.

- Och! W porządku - powiedziałem. - Będę chodził na mszę.

- Proszę - rzekł podając mi kartkę. - Niech pan to sprawdzi. To rachunki za ostatni miesiąc. Prosta sprawa. Wszystkie książki otrzymuje się z księgarni głównej. Wystarczy prowadzić rejestr przychodów i rozchodów w trzech egzemplarzach. Co dwa tygodnie przychodzą zabrać pieniądze. Panu będą płacić czekiem, wraz z niewielką prowizją.

- Proszę mi to podać - poprosiłem.

Wziąłem kartkę, usiadłem na niskim kontuarze, zavalonym wyciągniętymi z półek przez klientów książkami, których prawdopodobnie nie mieli czasu odłożyć na miejsce.

- Co tu jest do roboty w okolicy? - zapytałem go jeszcze.

- Nic - odparł. - Są dziewczyny w drugistorze naprzeciwko i burbon u Ricarda, dwa domy dalej.

Nie był nieprzyjemny mimo swych gwałtownych manier.

- Ile czasu pan tu jest?

- Pięć lat - powiedział. - Jeszcze pięć muszę pociągnąć.

- A potem?

- Ciekawski pan.

- To pańska wina. Po co pan mówi „jeszcze pięć”? Ja o nic nie pytałem.

Jego usta stały się mniej zacięte, a przy oczach pojawiły się zmarszczki.

- Ma pan rację. No cóż, jeszcze pięć lat i wycofuję się z tej roboty.

- I co pan będzie robił?

- Pisał - odrzekł. - Pisał bestsellery. Wyłącznie bestsellery. Powieści historyczne, powieści, gdzie czarnuchy będą sypiać z białymi i nie zostaną za to zlinczowani, powieści o młodych, czystych dziewczynach, które dorosną nietknięte pośród brudnych złodziejasków z przedmieść.

Zaśmiał się szyderczo.

- Bestseller, a co! A prócz tego, bardzo śmiałe i oryginalne powieści. W tym kraju łatwo być śmiałym, wystarczy mówić o tym, co wszyscy mogą dostrzec, zadawszy sobie nieco trudu.

- Na pewno się panu uda- powiedziałem.

- Pewnie, że mi się uda. Już mam pół tuzina gotowych.

- Nigdy nie usiłował ich pan wydać?

- Nie jestem przyjacielem ani przyjaciółką żadnego wydawcy i nie mam dość forsy, by ją w to wpakować.

- No więc?

- No więc za pięć lat będę miał dość pieniędzy.

- Uda się panu z pewnością - podsumowałem.

Przez dwa następne dni pracy nie brakowało, pomimo faktycznej prostoty, jaka cechowała funkcjonowanie sklepu. Należało sporządzić listę zamówień, a potem Hansen - tak brzmiało nazwisko ajenta - przekazał mi różne cynki na temat klientów, których pewna liczba regularnie przychodziła się z nim spotkać, by podyskutować o literaturze. To, co o niej wiedzieli, ograniczało się do informacji, jakie mogli wyczytać w „Saturday Review” lub na stronie literackiej lokalnego dziennika, który miał jednak nakład sześćdziesięciu tysięcy egzemplarzy. Na razie przysłuchiwałem się, jak dyskutują z Hansenem, próbując zapamiętać ich nazwiska i twarze, gdyż w księgarstwie, bardziej niż gdzie indziej, szczególnie liczy się to, by nazywać klienta po nazwisku już od chwili, gdy postawi stopę w sklepie.

Dogaądałem się z nim co do mieszkania. Miałem zająć dwa pokoje, które zajmował na piętrze nad drugstorem z naprzeciwka. Wyplacił mi zaliczkowo kilka dolarów, bym mógł przeżyć trzy dni w hotelu i dwa razy na trzy starał się, bym dzielił z nim posiłki, co sprawiało, iż nie rósł mój dług wobec niego. To był fajny gość. Martwiłem się o niego, jeśli chodzi o tę historię z bestsellerami; nie pisze się bestsellera ot tak, po prostu, nawet, jeśli się ma

pieniądze. Może miał talent. Chciałem zęby tak było.

Trzeciego dnia zaprowadził mnie do Ricarda na jednego przed obiadem. Była dziesiąta, on miał wyjechać po południu.

Był to nasz ostatni wspólny posiłek. Potem miałem zostać sam, twarzą w twarz z klientami, twarzą w twarz z miastem. Musiałem wytrzymać. Już i tak miałem niezłego farta, że trafiłem na Hansena. Przy moim dolarze mogłem przeżyć trzy dni jedynie sprzedając klamoty, a tak stałem mocno na nogach. Startowałem z właściwego pułapu.

U Ricarda, to było takie zwyczajowe miejsce, czyste i brzydkie. Czuć było smażoną cebulą i racuchami. Jakiś facet za ladą nieuważnie czytał gazetę.

- Co podać? - zapytał.

- Dwa burbony - zamówił Hansen, patrząc na mnie pytająco. Skinąłem głową.

Kelner podał nam je w wielkich szklankach, z lodem i słomką.

- Zawsze zamawiam go w tej postaci - wyjaśnił Hansen. - Niech pan się nie czuje zmuszony...

- W porządku - odparłem.

Jeśli nigdy nie piliście burbona z lodem przez słomkę, to nie możecie wiedzieć, jaki efekt to powoduje. To coś jakby strumień ognia trafiający was w podniebienie. Łagodnego ognia, coś straszego.

- Nieźle! - pochwaliłem.

Moje oczy natrafiły na moją twarz odbijającą się w lustrze. Wyglądałem na kompletnie zalanego. Nie piłem już od pewnego czasu. Hansen zaczął się śmiać.

- Nie przejmuj się pan - powiedział. - Łatwo się można przyzwyczaić, niestety. No cóż - ciągnął - trzeba będzie nauczyć moich manii kelnera w najbliższym bistro, gdzie się będę raczył ..

- Szkoda, że pan wyjeżdża - powiedziałem. Zaśmiał się.

- Gdybym ja został, to nie byłoby tu pana.. ! Nie - ciągnął - lepiej będzie, jak się wyniosę. Ponad pięć lat, do diabła!

Wykończył swoją szklankę jednym haustem i zamówił następną.

- Och! Szybko się pan przyzwyczai - popatrzył na mnie od góry do dołu. - Jest pan sympatyczny. Jest w panu coś, co nie całkiem rozumiem. Pana głos.

Uśmiechnąłem się, nic nie mówiąc. Ten facet był z piekła rodem.

- Ma pan nazbyt pełny głos. Czy nie jest pan śpiewakiem?

- Och! Czasem śpiewam dla rozrywki.

Ostatnio już nie śpiewałem. Przedtem - owszem, przed historią z dzieciakiem.

Śpiewałem i akompaniowałem sobie na gitarze. Śpiewałem bluesy Handy'ego i stare nowoorleańskie kawalki, a także inne, które sam komponowałem na gitarę, lecz nie miałem już ochoty na niej grać. Potrzebowałem pieniędzy. Dużo. Żeby mieć całą resztę.

- Z tym głosem będzie pan miał wszystkie kobiety - powiedział Hansen.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie interesuje to pana? Wymierzył mi klapsa w plecy.

- Niech pan się przejdzie koło drugostoru. Znajdzie je pan tam wszystkie. Mają tu w mieście swój klub. Klub bobby-soxers. Pan rozumie, młodzież ubierająca się w czerwone skarpetki i swetry w paski, co to pisuje do Franka Sinatry. Drugostore to ich kwatera główna. Pewnie już pan je widział? Nie, prawda, całymi dniami siedział pan w sklepie.

Teraz ja zamówiłem kolejnego burbona. Niezłe krążył w mych rękach, nogach i całym ciele. Tam brakowało nam bobby-soxers. Bardzo ich pragnąłem. Takie nieduże, piętnastoletnie, z odstającymi piersiami pod opinającymi swetrami, robią to specjalnie, łajdaczki, dobrze o tym wiedzą. I skarpetki. Wściekle żółte lub zielone, bardzo proste w płaskich butach, obszerne spódnice, okrągłe kolana, i zawsze siedzące na ziemi, z rozchylonymi nogami, ukazującymi białe majteczki. Tak, lubiem to, ozdoby bobby-soxers.

Hansen przyglądał mi się.

- Wszystkie są chętne - rzekł. - Wiele pan nie ryzykuje. Mają mnóstwo miejsc, do których mogą pana zaprowadzić.

- Niech mnie pan nie bierze za knura - powiedziałem.

- Och! Nie - odrzekł - chciałem powiedzieć: zaprowadzić na tańce i popijawy.

Uśmiechnął się. Niewątpliwie miałem zainteresowaną minę.

- Są zabawne - powiedział. - Przyjdą pana odwiedzić w sklepie.

- Cóż mogłyby w nim robić?

- Kupią od pana zdjęcia aktorów i, jakby przypadkiem, wszystkie książki z zakresu psychoanalizy. Mam na myśli książki medyczne. Wszystkie studiują medycynę.

- Dobra - mruknąłem. - Się zobaczy...

Tym razem musiałem chyba dość dobrze udać obojętność, gdyż Hansen zaczął mówić o czymś innym. A potem zjedliśmy obiad i koło drugiej po południu odjechał, ja zaś zostałem sam przed sklepem.

II

Sądę, że byłem tam już od dwóch tygodni, kiedy zacząłem się nudzić. Przez cały ten czas nie opuszczałem sklepu. Sprzedaż szła dobrze. Książki rozchodziły się szybko, a jeśli chodzi o reklamę, to wszystko było załatwione już wcześniej. Co tydzień, wraz z pakietem książek, firma przysyłała ilustrowane fiszki i prospekty do ustawienia w dobrym miejscu na wystawienie, pod stosowną książką lub po prostu na widoku. W większości przypadków wystarczyło, bym przeczytał notkę ze streszczeniem i otworzył książkę na czterech czy pięciu różnych stronach, by mieć wystarczające pojęcie na temat jej zawartości - w każdym razie całkowicie wystarczające, by móc zakasować nieszczęśnika, który dał się nabrać na te sztuczki: kolorowa okładka, prospekt ze zdjęciem autora i małą notką biograficzną. Książki są bardzo drogie i wszystkie te drobiazgi mają jakiś cel. Jest to dowód na to, że ludzie niezbyt się troszczą o kupowanie dobrej literatury; chcą przeczytać książkę polecaną przez ich klub, taką, o której się mówi, i nie interesuje ich, co jest w środku.

Z niektórymi książkami otrzymywałem ich całą furę, wraz z notatką polecającą wystawienie tego w witrynie i ulotkami do rozdawania. Kładłem je na kupkę przy kasie i wpychałem po jednej do każdej paczki z książkami. Nikt nigdy nie odmówi przyjęcia ulotki wydrukowanej na kredowym papierze, zaś te kilka zdań zapisanych na niej to jest właśnie to, co trzeba opowiadać klienteli z tego rodzaju miasta. Firma stosowała ten system przy wszystkich książkach odrobinę skandal i żujących - a rozchodziły się jeszcze tego samego dnia.

Prawdę mówiąc, nie nudziłem się tak bardzo. Lecz popadłszy w rutynę handlową, zaczynałem działać mechanicznie i miałem czas, by myśleć o całej reszcie. To właśnie sprawiło, że stawałem się nerwowy. Wszystko zbyt dobrze szło.

Pogoda była piękna. Lato miało się ku końcowi. Miasto czuć było kurzem. W dole, nad rzeką musiało być zapewne bardzo chłodno pod drzewami. Od chwili mego przybycia nigdzie jeszcze me wychodziłem i nie miałem pojęcia, jak wygląda najbliższa okolica. Potrzebowałem odrobiny świeżego powietrza. Lecz odczuwałem również inną nurtującą mnie potrzebę. Trzeba mi było kobiet.

Opuszczając metalową żaluzję o piątej, tego wieczora nie wróciłem do sklepu jak zwykle, zęby pracować w świetle lamp rtęciowych. Wziąłem kapelusz, marynarkę pod pachę i poszedłem prosto do drugstoru naprzeciwko. Mieszkałem tuż nad nim. Było trzech klientów. Piętnastoletni dzieciak i dwie dziewczyny - w tym mniej więcej wieku. Obrzucili mnie

obojętnym spojrzeniem i powrócili do swych szklanek z mrożonym mlekiem. Sam widok tego produktu omal mnie nie przyprawił o osłabienie. Na szczęście antidotum znajdowało się w kieszeni mojej marynarki.

Usiadłem przy barze, o jeden stółek od większej z dwóch dziewczyn. Kelnerka, dość brzydka brunetka, widząc mnie, ledwo uniosła głowę.

- Co macie bez mleka? - zapytałem.

- Sok cytrynowy? - zaproponowała. - Grapefruitowy? Pomidorowy? Coca-cola?

Grapefruitowy - powiedziałem. - Nie za pełna szklanka. Pogrzebałem w kieszeni marynarki i odkorkowałem flaszkę.

- Tylko mi tutaj bez alkoholu - słabo zaprotestowała kelnerka.

- W porządku. To moje lekarstwo - zaśmiałem się. - Proszę się nie martwić o swoją licencję...

Podąłem jej dolara. Rano dostałem mój czek. Dziewięćdziesiąt dolarów za tydzień. Ciem znał właściwych ludzi. Wydała mi resztę, a ja zostawiłem jej suty napiwek.

Grapefruit z burbonem nie jest nadzwyczajny, lecz w każdym razie lepszy niż bez niczego. Czuję się lepiej. Wiedziałem, że z tego wyjdę. Już wychodziłem. Trójka dzieciaków przyglądała mi się. Dla tych zasmarkańców dwudziestosześcioletni facet jest starcem. Uśmiechnąłem się do małej blondynki; miała na sobie błękitny sweter w białe pasy, bez kołnierzyka, rękawy zawinięte po łokcie i małe, białe skarpetki w butach na grubej, świńskiej podeszwie. Była sympatyczna. Bardzo kształtna. W dotyku musiała być jędrna jak dojrzała śliwka. Nie nosiła stanika, sutki rysowały się poprzez wełnę. Również się do mnie uśmiechnęła.

- Upał, co? - rzuciłem.

- Morderczy - odparła przeciągając się.

Pod jej pachami widać było dwie wilgotne plamy. Zrobiło to na mnie jakieś wrażenie. Podniosłem się i wsunąłem pięć centów w szparę juke-boxu stojącego tuż obok.

- Masz dość odwagi zęby zatańczyć? - zapytałem, podchodząc do niej.

- Och! Pan mnie zamorduje! - zawołała.

Przykleiła się do mnie tak ściśle, że aż mi dech odjęło. Pachniała jak czyste niemowlę. Była szczupła, prawą ręką mogłem dosięgnąć do jej prawego ramienia. Uniosłem rękę i wsunąłem palce pod pierś. Pozostała dwójka spojrziała na nas i również wzięła się za taniec. Była to stara śpiewka, „Shoo Fly Pie” w wykonaniu Dinah Shore. Dziewczyna jednocześnie podśpiewywała melodię. Kelnerka uniosła nos znad magazynu, patrząc jak tańczymy, lecz po kilku chwilach zagłębiła się w nim ponownie.

Pod swetrem nie miała nic. Dawało się to zauważyć natychmiast. Bardzo chciałem, zęby płyta stanęła, bo jeszcze dwie minuty i nie mógłbym się pokazać między ludźmi. Puściła mnie, wróciła na swe miejsce i przyglądała mi się.

- Nieźle pan tańczy jak na dorosłego... - powiedziała.

- Dziadek mnie nauczył - odrzekłem.

- Widać - zakpiła. - Za grosz pojęcia o muzyce...

- Na pewno byś mnie oblała na jive'ie, lecz ja mogę cię nauczyć innych sztuczek.

Na wpół przymknęła oczy.

- Sztuczek dla dorosłych?

- To zależy, czy się będziesz nadawała.

- Pan, jak widzę, już się prawie nadaje... - powiedziała.

- Nie doczekasz się, aż się całkiem będę nadawał. Czy ktoś z was ma gitarę?

- Pan gra na gitarze? - zapytał chłopak. Wyglądał, jakby się nagle obudził.

- Trochę gram na gitarze - powiedziałem.

- A więc również pan śpiewa - stwierdziła druga dziewczyna.

- Trochę śpiewam...

- On ma głos Caba Callowaya - zakpiła druga.

Miała obrażoną minę, widząc, że inni ze mną rozmawiają. Wystartowałem łagodnie.

- Zaprowadź mnie w miejsce, gdzie jest jakaś gitara - powiedziałem patrząc na nią - a ja pokażę, co potrafię. Nie pragnę uchodzić za W.-C. Handy'ego, lecz mogę zagrać bluesa.

Wytrzymała moje spojrzenie.

- Dobrze - odrzekła - pójdziemy do B.J.

- On ma gitarę?

- Ona ma gitarę, Betty Jane.

- To mógł być równie dobrze Baruch Junior - zakpiłem.

- Pewnie! - powiedziała. - Przecież tu mieszka. Chodźmy.

- Idziemy natychmiast? - zapytał chłopak. Czemu nie? - odrzekłem. - Muszę jej utrzcę nosa.

- OK - powiedział chłopak. - Na imię nam Dick. Ona - Jicky. Wskazywał na tę, z którą tańczyłem.

- Ja - dodała druga dziewczyna - nazywam się Judy.

- Moje nazwisko Lee Anderson - powiedziałem. - Prowadzę księgarnię naprzeciwko.

- Wiemy - rzekła Jicky. - Już od dwóch tygodni wiemy.

- Tak bardzo to was interesuje?

- Jasne - powiedziała Judy. - Trochę tu brakuje mężczyzn. Wyszliśmy całą czwórką, a Dick protestował. Mieli dość podniecone miny. Zostało mi dostatecznie dużo burbona, żeby podniecić ich jeszcze bardziej, kiedy będzie trzeba.

- Prowadźcie - powiedziałem, gdy wyszliśmy.

Roadster Dicka, chrysler starego typu, czekał pod drzwiami. Posadził dwie dziewczyny z przodu, ja usadowiłem się na tylnym siedzeniu.

- A co robicie w cywilu, droga młodzieży? - zapytałem. Samochód ruszył ostro, a Jicky uklękła na siedzeniu, twarzą zwróciwszy się do mnie, żeby odpowiedzieć...

- Pracuje się - powiedziała.

- Szkoła...? - podsunąłem. - To i inne rzeczy...

- Gdybyś tu przyszła - powiedziałem, podnosząc nieco głos z powodu wiatru - wygodniej by nam było rozmawiać.

- Oj, nie sądzę - szepnęła.

I na wpół przymknęła oczy. Musiała się nauczyć tej sztuczki z jakiegoś filmu.

- Chyba nie masz ochoty się skompromitować, co?

- Dobra - odrzekła.

Schwyciłem ją za ramiona i przechyliłem przez oparcie.

- Ej! Wy tam! - zawołała Judy, odwracając się. - Macie szczególny sposób rozmawiania...

Właśnie przeciągałem Jicky na moją lewą stronę i starałem się chwytać ją w stosownych miejscach. Wyglądało to wszystko całkiem nieźle. Dziewczyna musiała zrozumieć żart. Posadziłem ją na skórzanym siedzeniu i ramieniem otoczyłem jej szyję.

- Teraz spokój - powiedziałem. - Albo ci spuszczę manto.

- Co masz w tej butelce? - zapytała.

Na kolanach trzymałem marynarkę. Dziewczyna wsunęła dłoń pod materiał i nie wiem, czy zrobiła to specjalnie, lecz cholernie dobrze wycelowała.

- Nie ruszaj się - powiedziałem wyciągając jej rękę. - Sam cię obsłużę.

Odkręciłem niklowany korek i podałem jej flaszkę. Pociągnęła z niej solidnie.

- Nie wszystko! - zaprotestował Dick. Podglądał nas we wstecznym lusterku.

- Podaj no tu, Lee, ty stary krokodylu...

- Bez paniki, mam jeszcze drugą.

Trzymał kierownicę jedną ręką, a drugą młócił powietrze w naszym kierunku.

- Tylko bez żartów, dobrze! - zawołała Judy. - Nie wsadź nas na drzewo...!

- To ty jesteś chłodnym mózgiem tej bandy - rzuciłem pod jej adresem. - Czy tracisz

kiedykolwiek zimną krew?

- Nigdy! - odrzekła.

Pochwyła w powietrzu butelkę w chwili, kiedy Dick miał mi ją zwrócić. Kiedy mi ją podała, była pusta.

- No i jak - zapytałem - lepiej?

- Och...! Nic nadzwyczajnego... - odrzekła.

Widziałem łzy w jej oczach, lecz nieźle znosiła to doświadczenie. Głos miała lekko zduszony.

- I tym sposobem - powiedziała Jicky - dla mnie już nic nie zostało...

- Czegoś jeszcze poszukamy - zaproponowałem. - Jedźmy po tę gitarę, a potem wrócimy do Ricarda.

- To ty masz farta - stwierdził chłopak - nam nikt nie chce sprzedać.

- Proszę, do czego prowadzi tak młody wygląd - powiedziałem, żartując sobie z nich.

- Nie taki znowu młody - burknęła Jicky.

Zaczęła się wiercić i usiadła w taki sposób, że wystarczyło, bym zamknął palce, aby mieć zajęcie. Roadster zatrzymał się nagle, a ja przesunąłem od niechcenia dłonią po całej długości jej ramienia.

- Zaraz wracam - oznajmił Dick.

Wysiadł i pobiegł w stronę domu. Stanowił on fragment szeregu wybudowanego na całej parceli przez jednego przedsiębiorcę. Dick pojawił się ponownie na ganku. Trzymał gitarę w lakierowanym futerale. Trzasnął drzwiami i w trzech susach znalazł się przy samochodzie.

- B.J. nie ma w domu - stwierdził. - Co robimy?

- Odwieziemy jej sprzęt - rzuciłem. - Wsiadaj. Podjedź do Ricarda, żebyśmy mogli napęłnić to naczynie.

- Wyrobisz sobie niezłą opinię - zauważyła Judy.

Och! - zawołałem. - Wszyscy rozumieją od razu, że to wy wciągnęliście mnie w wasze wstrętne orgie.

Przejechaliśmy tę samą trasę w odwrotnym kierunku, lecz gitara mi przeszkadzała. Powiedziałem chłopakowi, żeby się zatrzymał kawałek od baru i wysiadłem, żeby napęłnić zbiornik. Zakupiłem dodatkową flaszkę i dołączyłem do grupy. Dick i Judy, klęcząc na przednich siedzeniach, energicznie dyskutowali z blondynką.

- Jak uważasz, Lee - zapytał chłopak - może się wykapiemy?

- Zgoda - odrzekłem. - Pożyczycie mi kąpielówki? Nie mam tu nic takiego...

- Och! Jakoś sobie poradzimy...! - powiedział.

Wrzucił bieg i wyjechaliśmy z miasta. Prawie natychmiast ruszył polną drogą, akurat dość szeroką dla chryslera, i strasznie kiepsko utrzymaną. W gruncie rzeczy, wcale nie utrzymywaną.

- Mamy wspaniałe miejsce na kąpiel! - zapewnił. - Nigdy nikogo! A jaka woda...!

- Rzeka pstrągowa?

- Tak. Żwir i biały piasek. Nikt tam nigdy nie chodzi. Tylko my używamy tej drogi.

- To widać - powiedziałem, łapiąc się za dolną szczękę, która mogła się urwać przy każdym podskoku. - Powinieneś zamienić roadstera na buldożer.

- To stanowi część zabawy - wyjaśnił. - Przeszkadza ludziom wpychać ich wstrętne kulfony w to miejsce.

Przyspieszył, a ja poleciłem moje kości Stwórcy. Droga gwałtownie zakręciła, po stu pięćdziesięciu metrach samochód zatrzymał się. Były tam już jedynie zarośla. Chrysler stanął tuż przed wielkim klonem, a Dick i Judy wyskoczyli na ziemię. Wsiadłem pierwszy i złapałem Jicky w locie. Dick wziął gitarę i ruszył przodem. Ja dzielnie podążałem za nim. Między chaszczami było wąskie przejście i nagle dostrzegąłem rzekę, chłodną i przejrzystą jak szklanka ginu. Słońce stało nisko, lecz upał nadal był spory. Jeden brzeg wody drżał w cieniu, a drugi lśnił łagodnie w blasku ukośnie padających promieni. Gęsta trawa, sucha i pokryta kurzem schodziła aż do tafli wody.

- Niezłe miejsce - pokiwałem głową z uznaniem. - Sami je znaleźliście?

- Nie jesteśmy przecież głębami - odparła Jicky.

I prosto w szyję dostałem wielką pecyną suchej ziemi.

- Jeśli będziecie niegrzeczni - zagroziłem - to nie dostaniecie więcej mleczka.

Poklepałem się po kieszeni, żeby wzmocnić wymowę moich słów.

- Och! Nie złość się stary bluesmanie! - powiedziała. - Pokaż lepiej, co potrafisz.

- A co z kąpielówkami? - zapytałem Dicka.

- Nie przejmuj się - odrzekł. - Nie ma tu nikogo.

Odwrociłem się. Judy już ściągnęła swój sweat-shirt. Z pewnością nie nosiła pod nim zbyt wiele. Jej spódnica ześliznęła się po nogach i w ułamku sekundy poleciała w powietrze buciki i skarpetki. Kompletnie naga rozciągnęła się na trawie. Musiałem mieć dość głupią minę, gdyż zaśmiała mi się w nos w sposób tak kpiący, że omal nie straciłem rezonu. Dick i Jicky w takim samym stroju zwalili się obok niej. Żeby było śmieszniej, to ja wyglądałem na zażenowanego. Dostrzegłem jednak chudość chłopaka, którego zebra sterczały pod wygarbowaną przez słońce skórą.

- OK - powiedziałem - nie widzę powodów, bym miał się krygować.

Celowo zużyłem na to nieco czasu. Wiem, co jestem wart goły i zapewniam was, że mieli dość czasu, by zdać sobie z tego sprawę, kiedy się rozbierałem. Zatrzeszczałem kośćmi, przeciągając się solidnie, i usiadłem obok nich. Jeszcze nie doszedłem całkiem do siebie po potyczkach z Jicky, lecz nie zrobiłem nic, żeby cokolwiek ukryć. Przypuszczam, iż oczekiwali, że będę pękał.

Schwyciłem gitarę. Była to wspaniała Ediphone. Niezbyt wygodnie jest grać siedząc na ziemi, więc rzekłem do Dicka:

- Nie robi ci różnicy, jeśli wezmę poduszkę z samochodu?

- Pójdę z tobą - powiedziała Jicky.

I jak węgorz prześliznęła się między gałęziami.

Dziwne wrażenie robił widok tego dziecięcego ciała, zwieńczonego głową gwiazdki, pośród chaszczki pełnych mrocznych cieni. Odłożyłem gitarę i podążyłem za nią. Wyprzedziła mnie i kiedy doszedłem do wozu, już wracała objuczona ciężkim, skórzanym siedzeniem.

- Daj to! - powiedziałem.

- Puść mnie, Tarzanie! - krzyknęła.

Nie słuchałem jej protestów i jak prostak złapałem ją za tyłek. Wypuściła poduszkę i nie opierała się. Zdybałbym nawet koczkodana. Musiała zdać sobie z tego sprawę i wrywała się w najlepsze. Zacząłem się śmiać. Podobało mi się to. W tym miejscu trawa była wysoka i miękka jak dmuchany materac. Dziewczyna osunęła się na ziemię i tam ją dopadłem. Walczyliśmy oboje jak dzikusy. Była opalona aż po czubki piersi, bez tych śladów od stanika, które tak bardzo szpecą nagie dziewczyny. I gładka jak brzoskwinia, naga jak dziewczynka, lecz kiedy udało mi się przytrzymać ją pod sobą, zrozumiałem, że wie dużo więcej niż mała dziewczynka. Dała mi najlepszą próbkę techniki, jaką miałem od kilku ładnych miesięcy. Pod palcami czułem jej gładkie, wklęsłe biodra, a niżej pośladki, jędrne jak arbuzy. Trwało to zaledwie dziesięć minut. Udała, że zasypia, a kiedy ja wystartowałem w najlepsze, rzuciła mną jak snopkiem i umknęła w stronę rzeki. Podniosłem poduszkę i pobiegłem za nią. Na brzegu nabrała rozpędu i zanurkowała bez jednego pluśnięcia.

- Już się kąpiecie?

Był to głos Judy. Przeżuwała listek wierzby rozciągnięta na plecach, ręce złożonywszy na głowie. Dick, rozciągnięty obok, pieścił jej uda. Jedna z dwóch flaszek leżała przewrócona na ziemi. Dziewczyna dostrzegła me spojrzenie.

- Owszem... jest pusta...! - zaśmiała się. - Jedną dla was zostawiliśmy.

Jicky pluskała się na drugim brzegu. Pogrzebałem w marynarce, wziąłem drugą

butelkę i zanurkowałem. Woda była letnia. Czuję się w znakomitej formie. Wiosłowałem jak wściekły i dopadłem ją na środku rzeki. Mogło tam być ze dwa metry głębokości i ledwie wyczuwalny nurt.

- Chce ci się pić? - zapytałem, młócąc wodę jedną ręką, żeby się utrzymać na powierzchni.

- Mowa! - zawołała. - Jesteś męczący z tymi swoimi manierami zwycięzcy z rodeo!

- Chodź - powiedziałem. - Płyn na wznak.

Przewróciła się na plecy, ja zaś wśliznąłem się pod nią, przekładając jedno ramię pod jej ciało. Drugą ręką podałem jej flaszkę. Chwyła ją, ja zaś przesunąłem palcami po jej udach. Delikatnie rozchyliłem jej nogi i po raz drugi posiadałem ją w wodzie. Przywarła do mnie. Prawie staliśmy i poruszaliśmy się tylko tyle, żeby nie opaść na dno.

III

Ciągnęło się to aż do września. W ich bandzie było jeszcze pięć lub sześć innych dzieciaków, dziewcząt i chłopców: B.J, właścicielka gitary, dość kiepsko zbudowana, której skóra jednak nadzwyczajnie pachniała, Susie Ann, druga blondynka, lecz bardziej pulchna od Jicky, jakaś szatynka, bez znaczenia, tańcząca przez cały dzień. Chłopcy byli tak głupi, jak mogłem sobie tego życzyć. Nie powtórzyłem już dowcipu z jeżdżeniem z nimi po mieście: szybko byłbym skończony w tej okolicy. Spotykaliśmy się nad rzeką, a oni trzymali w sekrecie nasze spotkania, gdyż byłem wygodnym źródłem burbona i ginu.

Miałem wszystkie dziewczyny, jedną po drugiej, lecz było to zbyt proste, nieco obrzydliwe. Robiły to z równą łatwością, z jaką myje się zęby, dla higieny. Zachowywali się jako stado małąp: bezwstydnie, łakomie, hałaśliwie i rozpustnie; tymczasem pasowało mi to.

Często grywałem na gitarze; już samo to wystarczyło, nawet gdybym nie był zdolny do spuszczenia manta wszystkim tym chłopaczkom naraz i to jedną ręką. Uczyli mnie jitterbuga i jive'a - niewiele trudu kosztowało mnie być lepszym od nich. To nie była ich wina.

Jednak znowu myślałem o dzieciaku i kiepsko spałem. Dwukrotnie widziałem się z Tomem. Udawało mu się jakoś wytrzymać. Tam już się nie wspominało o tej historii. Ludzie w szkole dawali Tomowi spokój, a mnie nigdy zbyt często nie widywali. Ojciec Annę Moran wysłał córkę na uniwersytet stanowy; kontynuował sprawę z synem. Tom zapytał mnie, czy wszystko układa się dobrze, a ja mu odpowiedziałem, że moje konto bankowe urosło do stu dwudziestu dolarów. Oszczędzałem na wszystkim, z wyjątkiem alkoholu, a sprzedaż książek szła nieźle. Liczyłem na jej wzrost pod koniec lata. Poleciał mi nie zaniedbywać obowiązków religijnych. Była to jedna z tych rzeczy, bez których mogłem się obejść, lecz postępowałem tak, by nikt niczego nie zauważył, podobnie jak i z całą resztą. Tom wierzył w Boga. Ja chodziłem do niedzielnego urzędu, tak jak Hansen, lecz uważam, że nie można zachować jasnego umysłu i jednocześnie wierzyć w Boga. Ja zaś musiałem zachować jasny umysł.

Po wyjściu z kościoła spotykaliśmy się nad rzeką, gdzie przekazywaliśmy sobie dziewczyny równie wstydlive jak stado małąp w okresie rui; naprawdę, powiadam wam, właśnie czymś takim byliśmy. A potem, nim ktokolwiek się spostrzegł, lato minęło, a zaczęły się deszcze.

Coraz częściej chadzałem do Ricarda. Od czasu do czasu szedłem do drugostoru, żeby ponawiać z miejscową pają; naprawdę, zaczynałem mówić jive'em lepiej od nich, widać do

tego również miałem wrodzone skłonności. Z wakacji zaczęła wracać cała kupa najcwańszych typków z Buckton, przyjeżdżali z Florydy, z Santa Monika lub - czyja wiem skąd... Wszyscy bardzo opaleni, o bardzo jasnych włosach, lecz nie bardziej od nas, pozostałych nad rzeką. Sklep stał się dla nich jednym z miejsc spotkań.

Ci mnie jeszcze nie znali, lecz ja miałem cały niezbędny czas i się nie śpieszyłem.

IV

A potem powrócił również Dexter. Tyle mi o nim wszyscy opowiadali, że aż bolały mnie od tego uszy. Dexter mieszkał w jednym z najszykowniejszych domów w bogatej dzielnicy miasta. Jego rodzice pozostawali w Nowym Jorku, on zaś przez cały rok przebywał w Buckton, bo miał delikatne płuca. Pochodzili z Buckton, a jest to miasto, w którym można studiować równie dobrze jak gdzie indziej. Znałem już packarda Dextera i jego kluby golfowe, radio, piwnicę i barek, jak gdybym całe życie spędził u niego: widząc go, nie rozczarowałem się. Była to mała, nędzna glista, taka jak należy. Chudy gość, ciemnowłosey, nieco w typie indiańskim, o czarnych, fałszywych oczach, przylizany, o wąskich ustach pod wydatnym, haczykowatym nosem. Miał przerażające ręce, wielkie jak łopaty, o krótko obciętych paznokciach, jakby osadzonych w poprzek, szerszych niż dłuższych i obrzmiałych jak u kogoś chorego.

Wszyscy uganiali się za Dexterem jak psy za kawałkiem wątroby. Straciłem nieco na znaczeniu jako dostawca alkoholu, lecz miałem dla nich w zanadru kilka sztuczek z klekotkami, o których nie mieli zielonego pojęcia. Miałem czas. Potrzebna mi była jakaś grubsza sztuka, a przypuszczałem, że w bandzie Dextera z pewnością znajdę coś, czego mi było trzeba od chwili, gdy co noc śnił mi się dzieciak. Sądzę, że podobałem się Dexterowi.

Musiał mnie nie cierpieć z powodu mych mięśni i wzrostu, a także z powodu gitary, lecz to go przyciągało. Miałem wszystko to, czego jemu było brak. On zaś miał szmal. Byliśmy stworzeni do tego, żeby się porozumieć. A poza tym już od początku zrozumiał, że jestem gotów na wiele rzeczy. Nie domyślał się, o co mi chodzi; nie, do tego nie doszedł, niby dlaczego miałby się domyślić czegoś więcej niż inni? Myślał po prostu, jak sądzę, że przy moim udziale uda się zmajstrować kilka szczególnie wystrzałowych orgietek. W tym temacie się nie mylił.

W tym momencie miasto było mniej więcej w komplecie; zacząłem rozpowszechniać różne wykłady z nauk przyrodniczych, geologii, fizyki i całego mnóstwa podobnych historii. Wszyscy przysłali mi swych kumpli. Dziewczyny były straszne. W wieku czternastu lat już podatne na obmacywanie, a przecież trzeba wykazać dużo dobrej woli, żeby znaleźć pretekst do obmacywania przy zakupie książek....Lecz za każdym razem to działało: pozwalały mi pomacać bicepsy, by przedstawić rezultat wakacji, a potem, po nitce do kłębka, przechodziło się do ud. Przesadzały. Miałem jednak kilku poważnych klientów i czuwałem nad sytuacją. Lecz o obojętnej porze dnia te dziewczyny były gorące jak kozy i wilgotne, że omal nie

kapalo po podłodze. Jedno jest pewne, bycie profesorem na uniwersytecie to bardzo relaksujące zajęcie, skoro wszystko jest tak łatwe, nawet dla sprzedawcy książek. Kiedy rozpoczęły się zajęcia, stałem się nieco spokojniejszy.

Przychodziły jedynie po południu. Co gorsza, wszyscy chłopcy również mnie lubili. Te istoty, ni to samce ni samice, z wyjątkiem kilku, którzy już byli zbudowani jak mężczyźni, wszystkie miały tyle samo przyjemności co dziewczyny, wpychając się w moje łapy. I ta ich mania tańczenia w każdym miejscu. Nie pamiętam, by zebrawszy się w piątkę nie zaczęli podśpiewywać jakiejś melodii i nie kołysali się w jej rytmie. Mnie to sprawiało przyjemność, było to coś, co pochodziło od nas.

Nie martwiłem się już w najmniejszym stopniu o swój wygląd. Sądzę, że niemożliwością było cokolwiek podejrzewać. Dexter mnie nastraszył przy okazji jednej z ostatnich kąpeli. Właśnie nago wygłupiałem się z jedną z dziewczyn, którą wyrzucałem w powietrze skręcając w ramionach jak bobasa. Obserwował mnie od tyłu leżąc na brzuchu. Paskudny widok prezentował ten cherlak z bliznami po punkcji na plecach; dwukrotnie chorował na zapalenie opłucnej. Popatrzył na mnie z dołu i powiedział:

- Jesteś zbudowany inaczej niż wszyscy, Lee, masz opadające ramiona jak czarny bokser.

Puściłem dziewczynę i zacząłem się mieć na baczności. Zatańczyłem wokół niego, śpiewając piosenkę własnej kompozycji, wszyscy się obśmiali, lecz ja byłem zaniepokojony. Dexter się nie śmiał. W dalszym ciągu mnie obserwował.

Wieczorem popatrzyłem w lustro nad umywalką i zacząłem się śmiać. Z moimi blond włosami, bladą różową skórą, doprawdy niczego nie ryzykowałem. Dadzą się nabrać. Dexter tak gadał z czystej zazdrości. A poza tym, naprawdę miałem opadające ramiona. Cóż w tym złego? Rzadko kiedy spałem tak dobrze, jak tej nocy. Dwa dni później organizowali weekendową imprezę u Dextera. W strojach wieczorowych. Poszedłem wypożyczyć smoking i sprzedawca szybko mi go dopasował; facet, który go nosił przede mną, musiał być mniej więcej mego wzrostu i wszystko grało jak trzeba.

Tej nocy znów pomyślałem o dzieciaku.

V

Kiedy wszedłem do Dextera, zrozumiałem, dlaczego wymagany był strój wieczorowy: nasza grupa roztopiła się w tłumie facetów „w porządku”. Natychmiast rozpoznałem ludzi: doktor, pastor i inni w tym stylu. Czarny służący przyszedł odebrać ode mnie kapelusz, dostrzegłem także dwóch innych. A potem Dexter złapał mnie za ramię i przedstawił swym rodzicom. Pojąłem, że były to jego urodziny. Matka była do niego podobna: szczupła, ciemnowłosa kobietka o paskudnych oczach, zaś ojciec był z gatunku ludzi, co to ma się ochotę udusić powoli przy pomocy jaśka, gdyż tak bardzo zdają się nikogo nie dostrzegać. B.J., Judy, Jicky i inne, w wieczorowych sukniach wyglądały bardzo sympatycznie. Nie mogłem się powstrzymać, by nie pomyśleć o ich łonach, widząc, jak się krygują pijąc koktajl lub pozwalając się zaprosić do tańca przez tych typków w okularach z gatunku poważnych. Od czasu do czasu puszczaaliśmy do siebie oko, żeby nie stracić kontaktu. Było to nazbyt smutne.

Można się było naprawdę napić. Jednak Dexter umiał przyjmować kumpli. Sam się przedstawiłem jednej lub dwóm dziewczynom, żeby zatańczyć z nimi rumbę, i piłem, poza tym nie było zbyt wiele do roboty. Porządny blues z Judy sprowadził me serce na właściwe miejsce; ona była jedną z tych, które rznąłem najrzadziej. Na ogół zdawała się mnie unikać, a ja nie usiłowałem mieć jej częściej niż którąkolwiek inną, lecz tego wieczora sądziłem, że nie ujdę z życiem spomiędzy jej ud. Dobry Boże! Ależ gorąca! Chciała mnie zaciągnąć do pokoju Dextera, lecz nie byłem całkiem pewien, że tam będziemy mieli spokój, i w ramach rekompensaty poszedłem się z nią napić i nagle spotkało mnie coś na kształt ciosu pomiędzy oczy, gdy ujrzałem wchodzącą właśnie grupę.

Były tam trzy kobiety - dwie młode, jedna mniej więcej czterdziestoletnia - i mężczyzna, lecz tym dwojgu dajmy spokój. Tak, już wiedziałem, że wreszcie znalazłem. Te dwie - i dzieciak aż się przewróci w grobie z uciechy. Ścisnąłem ramię Judy. Zapewne pomyślała, że nabrałem ochoty, bo przysunęła się do mnie. Chętnie wsadziłbym je wszystkie do mego łóżka, żeby tylko móc się przyjrzeć tym dziewczynom. Puściłem Judy i popieściłem jej pośladki, bez ostentacji, opuszczając rękę.

- Cóż to za dwie laleczki, Judy?

- Interesuje cię to, stary handlarzu katalogów?

- Hm, skąd Dexter mógł wytrzasnąć te ślicznotki?

- Wyższe sfery. Żadnych bobby-soxers z przedmieścia, sam to rozumiesz, Lee. I

mowy nie ma o kąpielach...!

- Szkoda, jak diabli! Sądzę, że w ostateczności wziąłbym nawet tę trzecią, żeby mieć tylko tamte dwie!

- Nie podniecaj się tak, staruszk! One nie są stąd.

- A skąd?

- Z Prixville. Sto mil stąd. Starzy przyjaciele ojca Dextera.

- Obie?

- No a jak! Zgłupiałeś coś dzisiaj, drogi Joe Louis. To są dwie siostry, matka i ojciec.

Lou Asquith, Jean Asquith, Jean to ta blondynka. Starsza. Lou ma o pięć lat mniej od niej.

- Czyli ma szesnaście? - dociekałem.

- Piętnaście. Lee Anderson, porzucisz bandę i puścisz się w pogoń za cipciami papy Asquitha.

- Zgłupiałaś Judy. A ciebie nie pociągające panienki?

- Wolę facetów. Bardzo przepraszam, ale dziś wieczór czuję się normalnie. Zatańcz ze mną Lee.

- Przedstawisz mnie?

- Poproś o to Dextera.

- OK - odrzekłem.

Zatańczyłem z nią dwa ostatnie takty z kończącej się płyty i zostawiłem ją. Dexter o czymś dyskutował w końcu hollu z jakąś żabcią. Zaczepiłem go.

- Hej! Dexter!

- No!

Odwrócił się. Patrząc na mnie, wyglądał, jakby sobie kpił, lecz ja miałem to gdzieś.

- Te dziewczyny... zdaje się... Asquith? Przedstaw mnie.

- Jasne, stary. Chodź ze mną.

Z bliska było to jeszcze lepsze od tego, co widziałem w barze. Były nadzwyczajne. Naplotłem im byle czego i zaprosiłem brunetkę, Lou, do słowa, którego gość zmieniający płyty wyłowił ze stosu. Do licha! Błogosławiłem niebiosa i faceta, który kazał uszyć ten smoking na moją miarę. Trzymałem ją nieco bliżej niż jest to ogólnie przyjęte, lecz jednak nie śmiałem przykleić się do niej całym ciałem, tak jak to robiliśmy, kiedy nam się zachciało, w naszej bandzie. Była wypachniona jakimś skomplikowanym specjałem, pewnie bardzo drogim; prawdopodobnie francuskimi perfumami. Miała brązowe włosy, które szeszywała na jedną stronę głowy, zaś w dość bladej, trójkątnej twarzy osadzone były żółte oczy dzikiego kota, zaś jej ciało... Wolę o nim nie myśleć. Sukienka trzymała się na niej sama, nie wiem, w

jaki sposób, bo nie miała nic, na czym mogłaby się zaczepić, ani na ramionach, ani na szyi, nic prócz piersi i muszę stwierdzić, że na tak twardych i szpiczastych piersiach można by swobodnie zawiesić jeszcze ze dwa tuziny sukienek tej wagi. Przesunąłem ją nieco w prawo i w rozcięciu smokinga poczułem na piersi poprzez moją jedwabną koszulę jej sutkę. U innych można dostrzec krawędź majtek, przebijającą na udach poprzez materiał, lecz ona musiała sobie poradzić w jakiś inny sposób, gdyż od pach po kostki była gładka jak stół. Mimo wszystko usiłowałem z nią porozmawiać. Zabrałem się do tego natychmiast, gdy odzyskałem oddech.

- Jak to się dzieje, że nigdy tu pani nie widać?

- Widać mnie tu. Jak widać.

Odsunęła się nieco do tyłu, żeby na mnie popatrzeć. Byłem od niej wyższy co najmniej o głowę.

- Miałem na myśli, w mieście...

- Widywałby mnie pan, gdyby przyjechał pan do Priwille.

- Sądzę więc, że sobie coś wynajmę w Priwille. Zawahałem się przed zaserwowaniem jej tego. Nie chciałem poruszać się zbyt szybko, ale z takimi dziewczynami nigdy nie wiadomo. Należy podjąć ryzyko. Nie wyglądało, by zbyt to ją wzruszyło. Uśmiechnęła się lekko, lecz jej oczy pozostały zimne.

- Nawet w takim przypadku niekoniecznie musiałby mnie pan widywać.

- Myślę, że jest sporo chętnych...

Naprawdę, zasuwałem jak prostak. W końcu, dziewczyna bez temperamentu nie ubiera się w ten sposób.

- Och! - westchnęła. - W Prixville nie ma wielu interesujących ludzi.

- W porządku - powiedziałem. - Mam więc pewne szansę?

- Nie wiem, czy pan jest interesujący.

Pułapka. W końcu sam tego chciałem. Lecz nie poddałem się tak od razu.

- Co panią interesuje?

- Pan jest niezły. Lecz można się oszukać. Nie znam pana.

- Jestem przyjacielem Dextera, Dicka Page i innych.

- Znam Dicka. Lecz Dexter to dziwny facet...

- Ma stanowczo za dużo forsy, by być naprawdę dziwnym - powiedziałem.

- Sądzę więc, że nie spodobałaby się panu moja rodzina. Wie pan, my również mamy naprawdę dużo pieniędzy...

- To się czuje... - powiedziałem, przysuwając twarz do jej włosów.

Znowu się uśmiechnęła.

- Podobają się panu moje perfumy? - Uwielbiam je.

- To ciekawe... - powiedziała. - Przysięgłabym, że woli pan zapach koni, oliwy do czyszczenia broni lub smarów.

- Proszę mnie nie pakować do szufladki... - rzuciłem. - To nie moja wina, że jestem zbudowany tak, a nie inaczej, i że nie mam bużki cherubinka.

- Nie cierpię cherubinków - powiedziała. - Lecz jeszcze bardziej nie cierpię ludzi kochających konie.

- Nigdy nie podszedłem ani na mniejszą, ani na większą odległość do żadnego z tych ptaszków - powiedziałem. - Kiedy znów będę mógł panią zobaczyć?

- Och...! Przecież jeszcze stąd nie wyszłam - odrzekła. - Przed panem cały wieczór.

- To za mało.

- To zależy od pana.

Puściła mnie, ot tak, po prostu, bo kawałek się właśnie skończył. Patrzyłem, jak prześlizguje się między parami, gdy nagle odwróciła się, by mi się zaśmiać w nos, lecz nie był to śmiech zniechęcający. Miała taką linię, że mogłaby rozbudzić nawet członka Kongresu.

Powróciłem do baru. Znalazłem tam Dicka i Jicky. Pociągali sobie martini. Wyglądali na piekielnie znudzonych.

- Och, Dick! - zawołałem do niego. - Za dużo się śmiejesz. Jeszcze ci się facjata zdeformuje...

- Jak tam, człowieku o długich włosach? - zapytała Jicky. - Co to tam było przed chwilą? Berek z Murzynką czy łowy na złotą kurkę?

- Jak na długowłosego - odparowałem - to zaczynam łapać niezły swing. Tylko stąd pryśnijmy z kilkoma sympatycznymi ludźmi, a pokażę wam, co potrafię.

- Z sympatycznymi ludźmi o kocich oczach i w sukienkach bez ramiączek, co?

- Jicky, moja śliczna - powiedziałem, podchodząc do niej i łapiąc ją za przeguby - chyba nie będziesz mi czynić wyrzutów, że lubię ładne dziewczyny?

Przycisnąłem ją lekko do siebie, wpatrując się w jej oczy. Cała jej twarz śmiała się.

- Nudzisz się, Lee. Masz już dość bandy? W końcu, wiesz, ja też nie jestem najgorszą partią, jak by nie było, ojciec zarabia te dwadzieścia tysięcy rocznie.

- A wy się tu dobrze bawicie, co? Mnie to wykańcza. Łapmy flaszki i spadajmy gdzie indziej. Można się udusić w tych sakramenckich, granatowych wdziankach...

- Myślisz, że Dexter się ucieszy?

- Myślę, że Dexter ma co innego na głowie niż zajmowanie się nami.

- A te twoje piękne? Sądzisz, że pójdą ot tak, po prostu?

- Dick je zna... - powiedziałem, rzucając mu spojrzenie z ukosa.

Dick, mniej zamroczony niż zwykle, uderzył się po udach.

- Lee, prawdziwy z ciebie twardziel. Wiesz, co w trawie piszczy!

- Myślałem, że jestem tylko smętnym, długowłosym facetem.

- To z pewnością peruka.

- Poszukaj mi tamtych dwóch stworzeń - powiedziałem - i przyprowadź je tutaj. Albo lepiej - spróbuj je zapakować do gabloty, do twojej, jeśli wolisz.

- Ale pod jakim pretekstem?

- Och! Dick! - westchnąłem. - Na pewno masz kupę wspomnień z dzieciństwa do przedyskutowania z tymi panienkami...!

Ruszył zniechęcony, podśmiewając się pod nosem. Jicky słuchała tego i robiła sobie ze mnie żarty. Dałem jej znak. Podeszła.

- Ty - powiedziałem poszukaj Judy i Bila, i wytrzaśnijcie siedem lub osiem flakonów.

- Dokąd pojedziemy?

- A dokąd można pojechać?

- Moich rodziców nie ma - powiedziała Jicky. - Tylko młodszy braciszek. Będzie spał. Chodźmy do domu.

- Prawdziwy z ciebie as, Jicky. Indiańskie słowo. Ściszyła głos.

- Zrobisz to ze mną?

- Co?

- Zrobisz to ze mną, Lee? - Och...! Oczywiście - odrzekłem.

Nic nie szkodzi, że przyzwyczałem się do Jicky, sądzę, że w tej chwili mógłbym to z nią zrobić natychmiast. Była dość podniecająca w wieczorowej sukni z falą gładkich włosów, spływającą po lewym policzku, z lekko skośnymi oczami i ustami niewinnej pani. Oddychała nieco szybciej, a jej policzki zaróżowiły się.

- To głupie, Lee... Wiem, że robimy to cały czas. Lecz ja to lubię!

- W porządku, Jicky - powiedziałem, głaszcząc ją po ramieniu. - Przed śmiercią zrobimy to jeszcze nie raz...

Bardzo mocno ścisnęła mój nadgarstek i prysnęła zanim zdołałem ją powstrzymać. Chciałem jej teraz powiedzieć, powiedzieć jej kim jestem, żeby zobaczyć jej minę... lecz Jicky nie stanowiła stosownej do moich potrzeb ofiary. Czułem się silny jak John Henry, a mojemu sercu nie groziło pęknięcie.

Odwrociłem się do bufetu i stojącego za nim faceta poprosiłem o podwójne martini.

Połknąłem je jednym haustem i spróbowałem wykonać jakąś robotę, żeby pomóc Dickowi.

Starsza z siostr Asquith pojawiła się w sektorze. Gawędziła z Dexterem. Podobał mi się jeszcze mniej niż zwykle, ze swym czarnym kosmykiem na czole. Smoking naprawdę świetnie na nim leżał. Wyglądał w nim na prawie dobrze zbudowanego, a jego ciemna cera, odcinająca się od bieli koszuli, sprawiała, że wyglądał w stylu „Spędzajcie wakacje w Hotelu Splendid w Miami”.

Podszedłem do nich bez ogródek.

- Dex - zapytałem - czy zabijesz mnie, jeśli zaproszę miss Asquith do tego słowa?

- Jesteś o wiele silniejszy ode mnie, Lee - odrzekł Dexter. - Nie biję się z tobą.

Tak naprawdę to sędzę, że było mu to obojętne, lecz trudno dociec, co miał oznaczać ton tego chłopaka. Już objąłem Jean Asquith.

Wydaje mi się, że wolałem jednak jej siostrę, Lou. Lecz nigdy nie powiedziałbym, że istnieje między nimi pięć lat różnicy. Jean Asquith była prawie mojego wzrostu. Była co najmniej o cztery cale wyższa od Lou. Miała na sobie dwuczęściowy kostium z jakiegoś czarnego, przezroczystego materiału, spódnica składała się z siedmiu lub ośmiu warstw, i przesadny stanik, który jednak naprawdę zajmował minimum miejsca. Skórę miała bursztynową, z kilkoma piegami na ramionach i skroniach, zaś kręcone i krótko przycięte włosy sprawiały, że jej głowa była całkiem okrągła. Twarz również miała bardziej okrągłą niż Lou.

- Czy pani uważa, że tu się można dobrze zabawić? - zapytałem.

- Wszystkie te przyjęcia są zawsze takie same. I to nie jest gorsze niż jakiegokolwiek inne.

- Na razie wolę je od każdego innego - powiedziałem.

Ta dziewczyna umiała tańczyć. Nie miałem zbyt dużo pracy. A przy okazji nie krępowałem się trzymając ją bliżej siebie niż jej siostrę, gdyż mogła ze mną rozmawiać nie patrząc z dołu. Przyciskała swój policzek do mojego; opuszczając oczy, miałem przed sobą panoramę kształtnego ucha, dziwnych, krótkich włosów i krągłego ramienia. Pachniała szałwią i dzikimi trawami.

- Jakich perfum pani używa? - ciągnąłem, gdyż się nie odezwała.

- Nigdy się nie perfumuję - odpowiedziała.

Nie upierałem się przy tego rodzaju konwersacji i zaryzykowałem z grubej rury.

- A co by pani powiedziała o pójściu w takie miejsce, gdzie można by się dobrze zabawić?

- To znaczy?

Mówiła nonszalanckim tonem, nie unosząc głowy i to, co wypowiadała, zdawało się dobiegać gdzieś spoza mnie.

- To znaczy tam, gdzie można się dostatecznie napić, dostatecznie napalić i gdzie jest dość miejsca do tańca.

- Byłaby to pewna zmiana - powiedziała. - To tutaj bardziej przypomina tańce plemienne niż cokolwiek innego.

Rzeczywiście, nie udało nam się zmienić miejsca od pięciu minut i dreptaliśmy rytmicznie, nie posuwając się ani w przód, ani w tył. Zwolniłem uścisk i nie przestając trzymać ją w pasie, wiodłem ku wyjściu.

- Chodźmy więc - rzuciłem. - Zabieram panią do kumpli.

- Och! Świetnie - odrzekła.

Odwrociłem się do niej w chwili, gdy odpowiadała i jej oddech trafił mnie w twarz. Niech Bóg mi wybaczy, jeśli nie wypłała pół butelki ginu.

- Kim są ci pańscy kumple?

- Och! To bardzo sympatyczni faceci - zapewniłem.

Przeszliśmy przez westybul bez problemów. Nie zadałem sobie trudu, by szukać jej peleryny. Powietrze było ciepłe i pełne zapachu jaśminu rosnącego przy ganku.

- W gruncie rzeczy - zauważyła Jean Asquith, zatrzymując się przy drzwiach - wcale pana nie znam.

- Ależ owszem... - odrzekłem ciągnąc ją. - To ja, ten stary Lee Anderson.

Wybuchła śmiechem i ruszyła w drugą stronę.

- Jasne, Lee Anderson... Chodź Lee... Czekają na nas.

Teraz z trudem mogłem za nią nadążyć. W dwie sekundy zeskoczyła po pięciu stopniach i złapałem ją dopiero dziesięć metrów dalej.

- Hej...! Nie tak szybko...! - zawołałem. Objąłem ją ramieniem.

- Gablota stoi tam.

Judy i Bili czekali w nashu.

- Mamy płyny - szepnęła Judy. - Dick z innymi jedzie przed nami.

- Lou Asquith? - zapytałem również szeptem.

- Tak, don Juanie. Jest tam. Jedź.

Jean Asquith, z głową odrzuconą za oparcie przedniego siedzenia, wyciągała w stronę Billa bezwładną dłoń.

- Hej! Jak się masz! Czy pada?

- Ależ skąd! - zawołał Bili. - Barometr wskazuje spadek ciśnienia o osiemnaście stóp

słupa rtęci, ale to dopiero na jutro.

- Och! - westchnęła Jean - samochód nigdy nie wjedzie tak wysoko.

- Nie wyrażaj się źle o moim duesenbergu - zaprotestowałem. - Nie jest ci zimno?

Pochyliłem się, by poszukać hipotetycznego koca i przez nieuwagę zadarłem jej sukienkę aż do kolan, zaczepiwszy o nią guzikiem od mankietu. Święci pańscy, co na nogi...!

- Umieram z gorąca - zapewniła Jean niewyraźnym głosem. Wrzuciłem bieg i popędziliśmy za samochodem Dicka, który właśnie ruszył przodem. Przed domem Dextera stał cały sznurek bryk wszelkiej maści i chętnie poczęstowałbym się którąś z nich, żeby zastąpić mego antycznego nasha. Ale dojadę tam i bez nowej gabloty.

Jicky mieszkała niedaleko, w pawilonie w stylu wirgińskim. Ogród, otoczony żywopłotem z dość wysokich krzewów, odróżniał się wyraźnie od pozostałych w tej okolicy.

Ujrzałem, jak czerwone światła Dicka nieruchomieją, potem gasną, zapalają się postojowe. Również ja stanąłem i usłyszałem trzaśnięcie drzwiczek roadstera. Wsiadły z niego cztery osoby: Dick, Jicky, Lou i jakiś typek. Poznałem go po sposobie wchodzenia po schodach, był to mały Nicholas. On i Dick trzymali każdy po dwie butelki i ujrzałem, że Judy i Bili również mieli po tyle. Jean Asquith wyglądała, jakby nie chciała wysiąść z nasha, więc obszedłem samochód dookoła. Otworzyłem drzwiczki i wsunąłem jedną rękę pod jej kolana, drugą pod kark. Była niezłe zalana. Judy stanęła za mną.

- Lee, ta twoja słodka przyjaciółka jest groggy. Czyżbyś ją znokautował?

- Pojęcia nie mam, czy ja, czy gin, który wypić - mruknąłem - lecz me ma to nic wspólnego ze snem sprawiedliwego.

- Stosowna chwila, by to wykorzystać, mój drogi, śmiało.

- Marudzisz. Z pijaną kobietą to zbyt łatwe. - Hej, wy tam!

Był to słodki głosik Jean. Budziła się.

- Skończyliście już podrzucać mnie w powietrze? Dostrzegłem moment, kiedy miała zwymiotować i skoczyłem do ogrodu Jicky. Judy zamknęła za nami drzwi, a ja trzymałem Jean za głowę, podczas gdy ona robiła, co należało. To była czysta robota. Sam gin. A równie ciężko ją było utrzymać co konia. Była kompletnie bezwładna. Przytrzymałem ją jedną ręką.

- Ściągnij mi rękaw - szepnąłem do Judy.

Zdjęła mi rękaw smokinga, a ja zmieniłem stronę, zęby podtrzymać starszą z sióstr Asquith.

- W porządku - powiedziała Judy, kiedy operacja została zakończona. - Przypilnuję ci ją. Nie masz się co spieszyć.

Tymczasem Bili odszedł z butelkami.

- Gdzie tu jest jakaś woda? - zapytałem Judy.

- W domu. Chodź, można wejść od tyłu.

Poszedłem za nią przez ogród, ciągnąc Jean, która przy każdym kroku potykała się o żwir alejki. Panie! Ależ ta dziewczyna była ciężka! Było czym zająć ręce. Judy wyprzedziła mnie na schodach i prowadziła na piętro. Reszta robiła już mnóstwo hałasu w salonie, ale drzwi, na szczęście, tłumiły ich krzyki. Wszedłem po omacku, w mroku, kierując się na jasną plamę, którą była Judy. Na górze udało się jej znaleźć wyłącznik i wszedłem do łazienki. Pod wanną leżał wielki, pokryty pęcherzykami dywan z porowatego kauczuku.

- Połóż ją na tym - powiedziała Judy.

- Bez żartów - rzekłem. - Zdejmij jej sukienkę. Pomanipulowała przez chwilę przy zamku błyskawicznym i jednym szarpnięciem zdarła lekki materiał. Zrolowała jej pończochy aż do kostek. Prawdę mówiąc nie widziałem, co to znaczy „dobrze zbudowana dziewczyna”, nim nie ujrzałem nagiej Jean Asquith na tym kauczukowym chodniku. Istny sen. Miała przymknięte oczy i śliniła się lekko. Wytarłem jej usta serwetką. Dla siebie, nie dla niej.

- Znalazłam, co trzeba, Lee, daj jej to do picia.

- Teraz nie będzie mogła pić. Śpi. Nic już nie ma w żołądku.

- Więc naprzód, Lee. O mnie się nie troszcz. Kiedy się obudzi, być może nie będzie mogła chodzić.

- Ostro sobie poczynasz, Judy.

- Czy przeszkadza ci, że jestem ubrana?

Podeszła do drzwi i przekręciła klucz w zamku. A potem ściągnęła sukienkę i stanik. Miała na sobie tylko pończochy. - Twoja kolej, Lee.

Usiadła na wannie z rozchyłonymi udami i patrzyła na mnie. Nie mogłem dłużej czekać. Zdarłem z siebie ciuchy.

- Połóż się na niej, Lee. Pospiesz się.

- Judy - powiedziałem - jesteś obrzydliwa.

- Dlaczego? Bawi mnie twój widok na niej. Dalej, Lee, dalej...

Opadłem na dziewczynę, lecz przez tę przekłętą Judy zabrakło mi tchu w piersiach. Nie szło ani rusz. Klęczałem nadal, a ona leżała między moimi nogami. Judy zbliżyła się jeszcze bardziej. Poczułem na sobie jej dłoń, która poprowadziła mnie tam, gdzie należało. Dłoń pozostała. Omal nie ryknąłem, tak bardzo mnie to podniecało. Jean Asquith leżała nieruchomo, a później mój wzrok padł na jej twarz - śliniła się jeszcze. Na wpół otworzyła oczy potem zamknęła je ponownie i poczułem, że zaczyna się lekko ruszać - ruszać biodrami - zaś Judy kontynuowała tymczasem swoje dzieło i drugą ręką pieściła moje podbrzusze.

Judy podniosła się. Przeszła przez pomieszczenie i zgasło światło. Nie śmiała tego zrobić w pełnym blasku. Wróciła i pomyślałem, że będzie chciała powrócić do swego zadania, lecz ona pochyliła się nade mną i pomacała mnie. Byłem jeszcze na stanowisku, więc rozciągnęła się na moich plecach, w przeciwnym kierunku i w miejsce dłoni teraz znalazły się jej usta.

VI

Zdałem sobie jednak sprawę po jakiejś godzinie, że pozostali mogą uznać, że to dziwne, i udało mi się uwolnić od tych dwóch dziewczyn. Nie wiedziałem już dokładnie, w jakiej części łazienki się znajdowaliśmy. W głowie mi się nieco kręciło i bolały mnie plecy. Biodra miałem poharatane w miejscach gdzie paznokcie Jean Asquith porały mnie bez umiaru. Podczołgałem się do ściany i zorientowałem się w terenie, a potem znalazłem wyłącznik. Tymczasem Judy zaczęła się poruszać. Zapaliłem światło i ujrzałem ją, jak siedzi na podłodze i przeciera sobie oczy. Jean Asquith leżała na brzuchu na kauczukowych dywanie, głowę złożony na ramionach, wyglądała, jakby spała. Boże, biodra tej dziewczyny! Szybko wciągnąłem spodnie i koszulę. Judy poprawiała makijaż przy umywalce. Potem wziąłem ręcznik kąpielowy i zmoczyłem go wodą. Uniosłem głowę Jean Asquith, żeby ją obudzić - miała oczy szeroko otwarte - i, słowo daję, śmiała się. Złapałem ją wpół i posadziłem na brzegu wanny.

- Solidny prysznic dobrze ci zrobi.

- Zbyt jestem zmęczona - odrzekła. - Wydaje mi się, że za dużo wypiałam.

- Też tak uważam - rzuciła Judy.

- Och! Nie tak znowu za dużo! - zapewniłem. - Potrzebowałaś po prostu krótkiej drzemki.

Wtedy podniosła się i uczepiła mej szyi. Całować również umiała. Wyszwoleżyłem się delikatnie i wsadziłem ją do wanny.

- Zamknij oczy i unieś głowę.

Odkręciłem kurki i spłynął na nią strumień wody. Pod wpływem letniej wody jej ciało się napięło i dostrzegłem, jak czubki jej piersi stają się jeszcze ciemniejsze i delikatnie odstają.

- Jak dobrze...

Judy podciągała pończochy.

- Hej, wy tam, pospieszcie się. Jeśli szybko zejdziemy, to może znajdziemy jeszcze coś do picia.

Złapałem szlafrok. Jean zakręciła kurek i pochwyciłem ją w puchatą tkaninę. Na pewno jej się to podobało.

- Gdzie my jesteśmy? - zapytała. - U Dextera?

- U innych przyjaciół - powiedziałem. - Wydaje mi się, że u Dextera było nudno.

- Dobrze zrobiłeś, że mnie zabrałeś - stwierdziła. - Tu są lepsze warunki do życia.

Była już całkiem sucha. Podałem jej ubranie.

- Włóż to. Popraw makijaż i chodź.

Podszedłem do drzwi. Otworzyłem je dla Judy, która jak burza zbiegła po schodach.

Szykowałem się, by ruszyć za nią.

- Poczekaj na mnie, Lee...

Jean odwróciła się do mnie, żebym zapiął jej stanik. Delikatnie ugryzłem ją w szyję.

Przechyliła się do tyłu.

- Prześpisz się jeszcze ze mną?

- Bardzo chętnie - odrzekłem. -

Kiedy tylko zechcesz. - Natychmiast...?

- Twoja siostra będzie się zastanawiać, co robisz. - Lou jest tutaj?

- Oczywiście...!

- Och...! To świetnie - powiedziała Jean. - Tym sposobem będę mogła ją pilnować.

- Sądzę, że twój nadzór może być dla niej tylko i wyłącznie korzystny - stwierdziłem.

- Jak ci się podoba Lou?

- Z nią też bym się chętnie przespał - rzuciłem. Znów się uśmieła.

- Uważam, że jest cudowna. Chciałabym być taka jak ona. Gdybyś tak zobaczył ją rozebraną...

- O nic innego nie proszę - powiedziałem.

- Coś podobnego! Ależ z ciebie kawał gbura!

- Przepraszam! Nie miałem czasu nauczyć się dobrych manier.

- Podobają mi się twoje maniery - powiedziała, patrząc na mnie pieszczotliwie.

Otoczyłem ją ramieniem w pasie i pociągnąłem ku drzwiom.

- Najwyższa pora, żebyśmy zeszli.

- Podoba mi się również twój głos.

- Chodź.

- Chcesz się ze mną ożenić? - Nie gadaj głupstw. Zacząłem schodzić po schodach.

- Nie gadam głupstw. Teraz musisz się ze mną ożenić. Miała doskonale niewzruszoną minę i była pewna tego, co mówi.

- Nie mogę się z tobą ożenić.

- Dlaczego?

- Wydaje mi się, że wolę twoją siostrę. Uśmiechnęła się raz jeszcze.

- Lee, uwielbiam cię!

- Cała przyjemność po mojej stronie - oparłem.

Wszyscy byli w dużym salonie i robili mnóstwo hałasu. Popchnąłem drzwi i przepuściłem Jean. Nasze przybycie zostało skwitowane całym koncertem pomruków. Otworzyli puszki z kurczakiem w galarecie i napychali się jak wieprze. Lou miała na sukience olbrzymią plamę od majonezu, od samej góry do dołu. Jeśli chodzi o Judy i Jicky, to zażerały w stanie całkowitego braku świadomości. Zauważyłem, że pięć butelek było na wykończeniu.

Radio nadawało po cichu koncert muzyki tanecznej.

Dostrzegłszy kurczaka, Jean Asquith wydała okrzyk wojenny i pełnymi garściami ucapiała spory kawałek, w który wgryzła się nie czekając dłużej. Ja również usiadłem i nałożyłem sobie na talerz.

Zdecydowanie wszystko zapowiadało się świetnie.

VII

O trzeciej nad ranem zadzwonił Dexter. Jean w dalszym ciągu starannie kontynuowała drugą popijawę, jeszcze dokładniejszą od poprzedniej, więc skorzystałem z tego i pozwoliłem Nicholasowi nią się zajmować. Ani na krok nie odchodziłem od jej siostry i starałem się jej dolewać, ile się tylko dało. Ona jednak nie pozwalała na to i musiałem wykazać się sporą przemyślnością. Dexter ostrzegł nas, że państwo Asquith zaczęli się dziwić, nie widząc swoich córek. Zapytałem go, jakim sposobem znalazł nasze miejsce pobytu, a on ograniczył się jedynie do parsknięcia śmiechem na drugim końcu sznura. Wyjaśniłem mu, dlaczego wyszliśmy.

- Dobra, Lee - powiedział. - Wiem, że u mnie nie było mowy, żeby się ubawić dzisiejszego wieczora. Za dużo poważnych ludzi.

- Przyjedź do nas, Dex - zaproponowałem.

- A co, picie się wam skończyło?

- Nie - odparłem. - Nie o to chodzi, ale wpłynęłoby to na nas.

Jak zwykle ten facet był kąśliwy i jak zwykle używał do tego całkiem niewinnego tonu.

- Nie mogę wyjść - powiedział. - Gdyby nie to, przyszedłbym. Co powiedzieć rodzicom?

- Że podrzucimy im córunie do domu.

- Nie wiem, czy im się to spodoba, Lee, rozumiesz...

- Są w takim wieku, że mogą sobie radzić same.

- Zgoda, Lee, lecz starzy wiedzą, że nie są całkiem same.

- Załatw to jakoś, mój stary, liczę na ciebie.

- Dobra, Lee. Jakoś to załatwię. Tymczasem.

- Tymczasem.

Odłożył słuchawkę. Ja zrobiłem to samo i powróciłem do moich zajęć. Jicky i Bili rozpoczęli kilka drobnych ćwiczeń nie przeznaczonych dla panienek z dobrych domów, a ja z zaciekawieniem obserwowałem reakcje Lou. Zaczęła jednak trochę popijać. Nie wyglądała na zaskoczoną, nawet kiedy Bili zaczął rozpinać spódnicę Jicky.

- Co ci podać?

- Whisky.

- Łyknij to szybko i pójdziemy zatańczyć.

Objąłem ją i usiłowałem zaciągnąć do innego pomieszczenia.

- Co tam będziemy robić?

- Tu jest zbyt dużo hałasu.

Podążyła za mną bez słowa. Usiadła na tapczanie obok mnie, nie protestując, lecz kiedy zacząłem ją obmacywać, dostałem parę kuksańców, jakie każdy mężczyzna pamięta przez całe życie. Wściekłem się jak diabli, lecz udało mi się zachować uśmiech.

- Łapy przy sobie - powiedziała Lou.

- Ostro zasuwasz - stwierdziłem. - Nie ja zaczęłam.

- No i co z tego. Myślałaś, że to spotkanie w niedzielnej szkółce? Albo że będziemy grać w bingo?

- Nie mam ochoty być główną wygraną.

- Chcesz czy nie, jesteś główną wygraną.

- Myślisz o szmalu mego ojca.

- Nie - powiedziałem. - O tym.

Przewróciłem ją na tapczan i rozdarłem przód jej sukienki. Wrywała się jak diabli. Jej piersi wytrysnęły spod jasnego jedwabiu.

- Puść mnie. Ty bydlaku!

- Nic podobnego - odparłem. - Jestem mężczyzną.

- Wzbudzasz we mnie wstręt - powiedziała, usiłując się wyswobodzić. - Coś robił przed godziną tam, na górze, z Jean?

- Nic a nic - odrzekłem. - Przecież wiesz, że Judy była z nami. - Zaczynam się domyślać, czym jest ta wasza banda, Lee Anderson, i z jakiego rodzaju typkami się zadajesz.

- Lou, przysięgam ci, że nie dotknąłem twojej siostry inaczej niż po to, by doszła do siebie.

- Kłamiesz. Nie widziałeś, jaką miała minę kiedy zesła.

- O rany - zawołałem. - Można by przysiąc, że jesteś zazdrosna! Popatrzyła na mnie osłupiała.

- Ależ... kim ty jesteś...? Za kogo się uważasz?

- Sądzisz, że gdybym... tknął twoją siostrę, miałbym jeszcze ochotę zajmować się tobą?

- Ona nie jest lepsza ode mnie!

Nadal trzymałem ją na tapczanie. Przestała się wrywać. Pierś jej unosiła się szybko. Pochyliłem się nad nią i całowałem jej piersi, długo, jedną po drugiej, pieszcząc ich czubki językiem. Potem wstałem.

- Nie, Lou - powiedziałem. - Ona nie jest lepsza od ciebie. Puściłem ją i wycofałem się szybko, oczekując gwałtownej reakcji. Wtedy ona odwróciła się na drugi bok i zaczęła płakać.

VIII

Potem powróciłem do codziennej pracy. Zanęciłem i teraz trzeba było czekać i pozwolić sprawom się rozwijać. Prawdę mówiąc, wiedziałem, że jeszcze się z nimi spotkam. Jeśli chodzi o Jean, to nie sądziłem, by mogła zapomnieć o mnie, wnioskuje po jej spojrzeniu, zaś Lou, no cóż, liczyłem nieco na jej wiek, jak również na to, co jej powiedziałem i zrobiłem u Jicky.

W następnym tygodniu otrzymałem cały ładunek nowych książek, które obwieściły mi koniec jesieni i nadejście zimy; nadal nieźle sobie radziłem i odkładałem po parę dolarów. Miałem już ich dość zgrabną paczkę. Nie było tego dużo, lecz jak dla mnie - wystarczająco. Musiałem zrobić parę wydatków. Na nowe ubranie i naprawę samochodu. Kilka razy zastąpiłem gitarzystę w jedynej znośnej w tym mieście orkiestrze, która grała w Stork Club. Chętnie tu przychodzili młodzi faceci w okularach z córkami agentów ubezpieczeniowych lub miejscowych sprzedawców traktorów. Przynosiło to trochę dodatkowego grosza i sprzedawałem książki ludziom, których mogłem tam zahaczyć. Kumple z bandy też tam czasem zaglądali. Nadal spotykałem się z nimi regularnie i sypiałem z Judy i Jicky. Nie mogłem się pozbyć Jicky. Lecz całe szczęście, że miałem te dwie dziewczyny, bo byłem w wymienitej formie. Poza tym uprawiałem lekkoatletykę i nabierałem mięśni boksera.

A potem, pewnego wieczora, w tydzień po wieczorku u Dextera otrzymałem list od Toma. Prosił mnie, bym przyjechał możliwie jak najszybciej. Skorzystałem z soboty i popędziłem do miasta. Widziałem, że Tom napisał w związku z jakąś sprawą i na pewno nie było to nic miłego.

Tamci faceci, na polecenie senatora, najgorszego łajdaka w tym kraju, nazwiskiem Balbo, sabotowali wybory. Od czasu, gdy czarni uzyskali prawo głosu, mnożyły się prowokacje. Organizował je tak skutecznie, że na dwa dni przed głosowaniem jego ludzie rozpędzali zebrania czarnych, za każdym razem pozostawiając ze dwóch na bruku...

Mój brat, jako nauczyciel w czarnej szkole, zaprotestował publicznie i przesłał listy, naraziwszy się na solidne pobicie następnego dnia. Pisał do mnie, żebym przyjechał po niego samochodem, gdyż chciał zmienić miejsce pobytu.

Czekał na mnie w domu, samotny w mrocznym pokoju; siedział na krześle. Jego szerokie, mocno pochylone plecy i twarz ukryta w dłoniach sprawiły mi ból, poczułem jak w mojej krwi wzbiera złość, jak moja dobra, czarna krew pieni się w żyłach i pulsuje mi w uszach. Wstał i złapał mnie za ramiona. Usta miał rozbite i mówił z trudem. Kiedy chciałem

go poklepać po plecach w geście pocieszenia, zatrzymał moją rękę.

- Wybatożyli mnie - powiedział.

- Kto to zrobił?

- Ludzie Balbo i syn Morana. - Znowu on...!

Moje pięści zacisnęły się wbrew mej woli. Wściekła złość ogarniała mnie coraz bardziej.

- Chcesz, żebym go zatłukł, Tom?

- Nie, Lee. Nie można. Twoje życie byłoby skończone. A tak, masz szansę. Po tobie nic nie widać.

- Lecz ty jesteś więcej wart ode mnie, Tom.

- Spójrz na moje ręce, Lee. Spójrz na paznokcie. Na włosy, na usta. Jestem czarny, Lee. Nie mogę przed tym uciec. Ty...!

Zamilkł i patrzył na mnie. Ten gość naprawdę mnie kochał.

- Ty, Lee, powinienes się z tego wyciągnąć. Bóg ci w tym pomoże. Pomoże ci, Lee.

- Bóg ma to gdzieś - odrzekłem.

Uśmiechnął się. Znany był mu mój brak przekonania.

- Lee, opuściłeś to miasto w zbyt młodym wieku i utraciłeś wiarę. Lecz Bóg ci wybaczy, kiedy nadejdzie stosowna chwila. To przed ludźmi trzeba uciekać. A do Niego musisz iść z szeroko otwartym sercem i otwartymi ramionami.

- Dokąd chcesz jechać, Tom? Potrzebujesz pieniędzy?

- Mam pieniądze, Lee. Chciałbym opuścić dom razem z tobą. Chcę...

Zamilkł. Słowa z trudem wydobywały się z jego zdeformowanych ust.

- Chcę spalić dom, Lee. Zbudował go nasz ojciec. Jemu zawdzięczamy to, kim jesteśmy. Był prawie białym, jeśli chodzi o kolor, Lee. Lecz pamiętaj, że nigdy nawet nie pomyślał, by wyrzec się swej rasy. Nasz brat nie żyje i nikt nie powinien wejść w posiadanie domu, który nasz ojciec zbudował swymi czarnymi rękoma.

Nie miałem nic do powiedzenia. Pomogłem Tomowi spakować rzeczy i zapakowaliśmy je do nasha. Dom, raczej wyizolowany, znajdował się na obrzeżach miasta. Pozwoliłem Tomowi zakończyć sprawę, a sam poszedłem poprawić ułożenie paczek.

Dołączył do mnie po kilku minutach.

- Dalej - powiedział - wynośmy się stąd, bo jeszcze nie nadszedł czas, kiedy zapanuje na tej ziemi sprawiedliwość dla czarnych ludzi.

W kuchni migotał czerwony blask i nagle powiększył się gwałtownie. Nastąpił głuchy wybuch kanistra z benzyną i blask dosięgnął sąsiednich okien. A potem długi płomień rozdarł

ścianę z desek i wiatr podsycił ogień. Blask tańczył dookoła, a twarz Toma w czerwonym świetle lśniła od potu. Dwie wielkie łzy potoczyły się po jego policzkach. Wtedy położył mi dłoń na ramieniu i odwróciliśmy się, by odjechać.

Sądzę, że Tom mógłby sprzedać dom; przy pomocy pieniędzy można by narobić przykrości Moranom, być może skasować jednego z trzech. Lecz ja nie chciałem mu przeszkadzać w postępowaniu zgodnym z jego wolą. Ja postępowałem zgodnie z moją sądów związanych z dobrocią i boskością. Tom był zbyt uczciwy i to go gubiło. Sądził, że czyniąc dobro otrzymuje się w zamian dobro, co, jeśli w ogóle się zdarza, to jedynie za sprawą przypadku. Liczy się tylko zemsta i to zemsta możliwie jak najpełniejsza. Myślałem o dzieciaku, który był jeszcze bardziej biały ode mnie, o ile to możliwe. Kiedy ojciec Annę Moran dowiedział się, że podrywa jego córkę, i że chodzą ze sobą sprawa już długo nie trwała. Lecz dzieciak nigdy nie wyjeżdżał z miasta, ja zaś mieszkałem w oddaleniu przez ponad dziesięć lat i w kontaktach z ludźmi nie znającymi mego pochodzenia mogłem się wyżyć tej poniżającej pokory, którą nas naszpikowali pomału, jakby odruchowo, tej wstrętnej pokory sprawiającej, że z rozbitych ust Toma spływały słowa pełne litości, tego strachu zmuszającego naszych braci do krycia się na dźwięk kroków białego człowieka. Lecz dobrze wiedziałem, że przywdziewając jego skórę, mamy go w garści, bo jest gadatliwy i zdradzi się przed tymi, których uważa za sobie podobnych. Dzięki Billowi, Dickowi, Judy zdobyłem już nad nimi kilka punktów przewagi. Lecz powiedzenie im, że miał ich Murzyn wcale nie posuwało mnie naprzód. Dzięki Lou i Jean Asquith odegram się na Moranie i na nich wszystkich. Dwie za jednego, a mnie nie dostaną tak łatwo, jak dopadli mego brata.

Tom drzemał w samochodzie. Przyspieszyłem. Musiałem dowieźć go do skrzyżowania w Murchison Junction, gdzie miał złapać pospieszny na Północ. Postanowił pojechać do Nowego Jorku. Tom to był dzielny facet. Dzielny, nazbyt sentymentalny facet. Zbyt pokorny.

IX

Dotarłem do miasta nazajutrz i wróciłem do pracy, nie położywszy się nawet. Nie chciało mi się spać. Nadal czekałem. Nadeszło to koło jedenastej pod postacią telefonu. Jean Asquith zapraszała mnie z Dexterem i innymi przyjaciółmi do siebie na weekend. Oczywiście, zgodziłem się, lecz bez pośpiechu.

- Jak ja się wyrwę...

- Postaraj się przyjechać - poprosiła na drugim końcu sznura.

- Chyba ci nie brak kawalerów do tego stopnia - zakpiłem. - Albo naprawdę mieszkasz w strasznej dziurze.

- Tutejsi mężczyźni nie potrafią się zaopiekować dziewczyną, która zbyt wiele wypila. Nadal byłem oschły, a ona to wyczuła, gdyż usłyszałem lekki wybuch śmiechu.

- Przyjedź, naprawdę mam ochotę cię zobaczyć, Lee Anderson. Lou też się ucieszy...

- Ucałuj ją ode mnie - poprosiłem - i powiedz jej, by ciebie też ucałowała.

Zabrałem się do roboty z większym zapałem. Byłem rozluźniony. Wieczorem pojechałem spotkać się z bandą w drugistorze i zabrałem Judy i Jicky do nasha. Gablota to niezbyt wygodne miejsce, lecz można tam znaleźć nadzwyczajne zakątki. Jeszcze jedna dobrze przespana noc.

By skompletować garderobę, poszedłem nazajutrz kupić coś w rodzaju neseserka na przybory toaletowe i niedużą walizkę, parę nowych piżam i kilka brakujących mi drobiazgów bez znaczenia. Nie chciałem uchodzić u tych ludzi za kloszarda, a mniej więcej wiedziałem, co potrzeba, by nie zostać wziętym za takiego.

W czwartek wieczorem kończyłem podliczanie kasy i wypełnianie papierzyk, kiedy koło pół do szóstej ujrzałem samochód Dextera zatrzymujący się pod moimi drzwiami. Poszedłem mu otworzyć, bo już zamknąłem sklep. Dexter wszedł.

- Cześć Lee - powiedział. - Jak tam interesy?

- Nieźle, Dex. A nauka?

- Oj...! Ciężnie się. Nie dość mi pasuje baseball i hokej, by być świetnym studentem, sam wiesz.

- Co cię sprowadza?

- Przyjechałem zabrać cię dokądś na wspólną kolację, a potem zaprosić, byś zakosztował jednej z mych małych, ulubionych rozrywek.

- Zgoda. Dex. Daj mi pięć minut.

- Czekam w samochodzie.

Wrzuciłem kwity i szmal do kasy, opuściłem żaluzję i wyszedłem tylnymi drzwiami, zabierając po drodze marynarkę. Była paskudnie ciężka pogoda, zbyt gorąco jak na tę zaawansowaną porę roku. Powietrze było wilgotne i lepkie i wszystko się kleiło do rąk.

- Bierzemy gitarę? - zapytałem Dexa.

- Nie warto. Dzisiaj ja zajmuję się rozrywkami.

- To naprzód.

Usiadłem z przodu, obok niego. Jego packard to nie to, co mój nash, lecz ten chłopak nie umiał prowadzić. Żeby zapalić silnik clippera dopiero za drugim razem, trzeba się naprawdę starać.

- Dokąd mnie zabierasz, Dex?

- Najpierw pojedziemy na kolację do Storka, a potem zabiorę cię tam, dokąd jedziemy.

- Jedziesz w sobotę do Asquithów, jak sądzę.

- Tak. Zabiorę cię, jeśli chcesz.

Był to sposób na to, by nie pojechać nashem. Taki poręczyciel jak Dexter wart był co nieco.

- Dzięki. Zgadza się.

- Czy grasz w golfa, Lee?

- Raz w życiu próbowałem.

- Masz strój i kije?

- A skąd! Bierzesz mnie za kajzera?

- Asquithowie mają pole golfowe. Radzę ci powiedzieć, że ci lekarz zabronił.

- Myślisz, że tak będzie dobrze... - mruknąłem.

- A brydż? - Och! W porządku?

- Na pewno W porządku?

- Na pewno.

- W takim razie radzę ci również oznajmić, że partia brydża mogłaby ci zaszkodzić.

- W końcu mogę zagrać - upierałem się.

- Możesz przegrać pięćset dolarów bez mrugnienia okiem?

- Byłby to pewien kłopot.

- Więc posłuchaj mojej rady.

- Dzisiejszego wieczora, Dex, jesteś bardzo przyjaźnie usposobiony - powiedziałem. -

Jeśli zaprosiłeś mnie po to, by mi dać do zrozumienia, że dla tych ludzi jestem goły, to wal

prosto z mostu i cześć.

- Lepiej byś mi podziękował, Lee. Podaję ci sposoby przetrwania, gdy staniesz twarzą w twarz wobec - jak to powiadasz - tych ludzi.

- Ciekawe, jaki masz w tym interes.

- Mam w tym interes.

Umilkł i zahamował gwałtownie na czerwonym świetle. Packard zakołysał się łagodnie na resorach ku przodowi i wrócił na miejsce.

- Nie widzę, jaki.

- Ciekaw jestem, dokąd zmierzasz z tymi dziewczynami.

- Wszystkie ładne dziewczyny zasługują na to, by się nimi zajmować.

- Masz pod ręką tuziny takich, które są równie ładne i o wiele łatwiejsze.

- Nie sądzę, by pierwsza część twojej wypowiedzi była prawdziwa - powiedziałem. -

Druga zresztą też.

Popatrzył na mnie, a coś mu zaświtało w głowie. Wolałem, żeby uważniej patrzył na drogę.

- Zadziwisz mnie, Lee.

- Mówię szczerze - rzuciłem - uważam, że te dwie dziewczyny są naprawdę w moim guście.

- Wiem, że to lubisz - powiedział Dex. Z pewnością nie to trzymał w rezerwie.

- Nie sądzę, by trudniej było przespać się z nimi niż z Judy czy Jicky - stwierdziłem.

- Przecież nie tylko o to ci chodzi, Lee?

- Tylko o to.

- W takim razie uważaj. Nie wiem, co zrobiłeś Jean, lecz w ciągu pięciu minut rozmowy telefonicznej udało jej się wymówić twoje imię cztery razy.

- Cieszę się, że takie zrobiłem na niej wrażenie.

- Nie są to dziewczyny, z którymi można sypiać, nie żeniąc się prędzej czy później.

Przynajmniej tak mi się wydaje. Wiesz, Lee, znam je od dziesięciu lat.

- W takim razie miałem farta - stwierdziłem. - Bo nie zamierzam się żenić z żadną, natomiast chcę się przespać z obiema.

Dexter nic nie odrzekł i popatrzył na mnie ponownie. Czy Jud opowiedziała mu o naszym seansie u Jicky, czy też nic nie wiedział? Sądzę, że taki gość może rozgryźć trzy czwarte problemu, nawet jeśli nikt mu nie dopowie reszty.

- Wsiadaj - powiedział.

Zdałem sobie sprawę, że samochód stanął przed Stork Club i wysiadłem.

Wszedłem przed Dexterem i to on zostawił napiwek brunetce z szatni. Kelner w liberii, którego dość dobrze znałem, zaprowadził nas do zarezerwowanego stolika. W tej knajpce usiłowano małopować wielki styl, co dawało przekomiczne rezultaty. Przechodząc uścisnąłem grabę Blackiemu, szefowi orkiestry. Była to pora koktajlu i orkiestra grała do tańca. Znałem również z widzenia większość klientów. Lecz na ogół oglądałem ich z estrady, i człowiek zawsze dziwnie się czuje, znalazłszy się w obozie przeciwnika, po stronie publiczności.

Usiedliśmy i Dex zamówił potrójne martini.

- Lee - powiedział - nie chcę do tego wracać, ale uważaj na te dziewczyny.

- Zawsze uważam - odrzekłem. - Nie wiem, jak to rozumiesz, lecz na ogół zdaję sprawę z tego, co robię.

Nic nie odpowiedział i dwie minuty później mówił już o czym innym. Kiedy chciał się pozbyć swego dziwnego, podstępного wyglądu, umiał opowiadać ciekawe rzeczy.

Wychodząc byliśmy obaj nieźle naprانی i zasiadłem za kierownicą, pomimo protestów Dextera.

- Nie zależy mi na tym, żebyś mi przefasonował facjatę na sobotę. Prowadząc, cały czas patrzysz gdzie indziej i za każdym razem mam wrażenie, że już umieram.

- Przecież nie znasz drogi, Lee...

- No i co z tego! - zawołałem. - Wytłumaczysz mi, jak jechać.

- To dzielnica miasta, do której nigdy nie jeździłeś, a droga jest bardzo trudna.

- Och! Słabisz, Dex. Jaka ulica?

- No dobra, jedź na Stephen's Street 300.

- To tam? - zapytałem, wskazując niejasno palcem w stronę zachodniej dzielnicy.

- Tak. Znasz tę ulicę?

- Znam wszystko - zapewniłem. - Uwaga, startuję.

Tego packarda prowadziło się jak po sznurku. Dex nie lubił go i wołał cadillaca rodziców; lecz przy nashu - istny miód.

- Jedziemy dokładnie na Stephen's Street?

- Tuż obok - powiedział Dex.

Pomimo ilości alkoholu w trzewiach, trzymał się jak dąb. Można by sądzić, że nic nie pił.

Wjechaliśmy w sam środek ubogiej dzielnicy miasta. Stephen's Street zaczynała się dobrze, lecz od numeru 200 były to już tanie mieszkania, a później coraz nędzniejsze, jednopiętrowe baraki. Przed nimi stało kilka starych samochodów, jeszcze z epoki fordów T.

Zatrzymałem samochód Dextera we wskazanym miejscu.

- Chodź, Lee - powiedział. - Przejdziemy się kawałek.

Zamknął drzwiczki i ruszyliśmy. Skręcił w poprzeczną ulicę i uszliśmy kilkaset metrów. Stały tu drzewa i zniszczone ogrodzenia. Dex zatrzymał się przed dwupiętrowym budynkiem, którego góra zrobiona była z desek. Jakimś cudem płot wokół sterty szczątków zachował się w dobrym stanie. Dex wszedł bez pukania. Była prawie noc i w zakamarkach kłębiły się dziwne cienie.

- Chodź, Lee - powiedział. - To tu.

- Idę za tobą.

Przed domem rósł krzew różany, tylko jeden, lecz jego zapach wystarczył, by stłumić fetor wszelkich paskudztw zgromadzonych dookoła. Dex wszedł po dwóch stopniach ku wejściu, które znajdowało się z boku domu. W odpowiedzi na jego dzwonek przyszła otworzyć gruba Murzynka. Bez słowa odwróciła się plecami i Dexter podążył za nią. Zamknąłem za sobą drzwi.

Na pierwszym piętrze zmyła się, puszczając nas przodem. W małym pomieszczeniu znajdował się tapczan, butelka i dwie szklanki oraz dwie jedenasto-, dwunastoletnie dziewczynki, mały pulchny rudzielec pokryty piegami i młoda Murzynka, starsza od tamtej, przynajmniej tak wyglądało.

Siedziały grzecznie na tapczanie, a każda była ubrana w bluzeczkę i przykrótką spódniczkę.

- To są panowie, którzy przynoszą dolary - powiedziała gruba Murzynka. - Bądźcie dla nich miłe.

Zamknęła drzwi i zostawiła nas samych. Spojrzałem na Dextera.

- Rozbieraj się, Lee - rzucił. - Tu jest bardzo gorąco. Zwrócił się do rudej.

- Chodź mi pomóż, Jo.

- Na imię mam Polly - powiedziało dziecko. - Da mi pan dolarów?

- Jasne - rzekł Dexter.

Wyciągnął z kieszeni pomiętą dziesiątkę i dał ją dzieciakowi.

- Pomóż im rozpiąć spodnie.

Ja jeszcze nawet nie drgnąłem. Ujrzałem jak ruda dziewczynka wstaje. Musiała mieć nieco więcej niż dwanaście lat. Pod nazbyt krótką spódniczką widać było krągłe pośladki. Czuję, że Dex na mnie patrzy.

- Ja biorę rudą - powiedział.

- Przecież wiesz, że za coś takiego możemy trafić do pudła.

- Przeszkadza ci kolor jej skóry? - rzucił brutalnie.

Więc to trzymał dla mnie w rezerwie. Nadal patrzył na mnie przez swój kosmyk opuszczony na oko. Czekał. Sądzę, że nie zmieniłem barwy. Dwójka dzieci, lekko wystraszona, nie poruszała się...

- Chodź, Polly - powiedział Dex. - Chcesz się napić kieliszek?

- Wolę nie - odrzekła. - Mogę panu pomóc bez picia.

W niecałą minutę był już rozebrany i wziął dziewczynkę na kolana, zadzierając jej sukienkę. Twarz miał już pociemniałą i zaczynał dyszeć.

- Nie zrobi mi pan krzywdy? - zapytała.

- Siedź spokojnie - odrzekł Dexter. - Bo inaczej nie będzie dolarów.

Wepchnął jej rękę między nogi, a ona zaczęła płakać.

- Zamknij się! - zawołał. - Albo każę Annie żeby cię zbiła... Odwrócił twarz w moją stronę. Ani drgnąłem.

- Przeszkadza ci kolor jej skóry? - powtórzył. - Chcesz moją? - Niech będzie jak jest - odparłem.

Popatrzyłem na drugą dziewczynkę. Drapała się w głowę z miną całkowicie obojętną na wszystko. Była już rozwinięta.

- Chodź - powiedziałem do niej.

- Śmiało, Lee - zachęcił Dex - one są czyste. Zamkniesz się? Polly przestała płakać i mocno pociągnęła nosem.

- Pan jest zbyt duży... - powiedziała. - To boli!...

- Zamknij się - powtórzył Dex. - Dam ci pięć dolarów więcej. Ziajał jak pies. A potem schwycił ją za uda i zaczął poruszać się na krześle.

Łzy Polly płynęły teraz bezgłośnie. Mała Murzynka patrzyła na mnie.

- Rozbierz się - powiedziałem - i kładź się na tapczan. Zdjąłem marynarkę i rozpiąłem pasek. Wydała lekki okrzyk, kiedy w nią wszedłem. A była gorąca jak piekło.

XI

Aż do nadejścia sobotniego wieczoru nie widziałem Dextera... Postanowiłem, wziąć nasha i pojechać do niego. Gdyby nadal miał zamiar jechać, zostawiłbym samochód u niego w garażu... W przeciwnym razie pojechałbym prosto do Prixville.

Poprzedniego wieczora, gdy go zostawiałem, był chory jak wieprz. Musiał być o wiele bardziej pijany niż sądziłem i zaczął się wygłupiać. Mała Polly na długo zachowała ślad na lewej piersi, gdyż temu prostakowi zachciało się ją ugryźć z całej siły. Przypuszczał, że dolary ją uspokoją, lecz Murzynka Anna zjawiała się natychmiast i zagroziła, że go nigdy więcej nie wpuści. Za całą pewnością nie był w tym przybytku po raz pierwszy. Nie chciał pozwolić odejść Polly, której specyficzny zapach rudzielca musiał mu się podobać. Anna założyła jej coś w rodzaju opatrunku i podała środek nasenny, lecz musiała ją zostawić Dexterowi, który wylizał ją do cna, wydając gardłem mnóstwo odgłosów.

Zdawałem sobie sprawę z tego, co musiał odczuwać, gdyż sam nie mogłem się zdecydować, by wyjść z tej czarnej dziewczynki, jednak starałem się jej nie zranić i nie poskarżyła się ani razu. Tylko zamykała oczy.

Z tego właśnie powodu zastanawiałem się, czy Dex dojdzie do formy na dzisiejszy weekend u państwa Asquith. Sam obudziłem się w ciężkim stanie. Ricardo mógł o tym zaświadczyć: O dziewiątej rano serwował mi potrójnego zombi, a nie znam niczego lepszego, co mogłoby postawić faceta na nogi. W gruncie rzeczy, przed przyjazdem do Buckton wcale nie piłem i zdałem sobie sprawę z mego błędu. Pod warunkiem, że wypije się dostateczną ilość, wykluczone, bo potem nie rozjaśniło się w głowie. Tego ranka wszystko grało i stanąłem przed domem Dextera w wyśmienitej formie.

Czekał już na mnie - wbrew temu, co przypuszczałem - świeżo ogolony, w garniturze z beżowej gabardyny i dwukolorowej koszuli, szaro-różowej.

- Jadłeś już śniadanie, Lee? Nie cierpię zatrzymywać się po drodze, więc się zabezpieczam.

Ten Dexter był jasny, prosty i czysty jak dziecko. Jednak dziecko wyrosnięte nad wiek. Zwłaszcza oczy.

- Chętnie zjadłbym odrobinę srynki i dżemu - odrzekłem. Służący obsłużył mnie sownicie. Nie znoszę patrzeć, jak ktoś wsadza łapy w to, co jem, lecz u Dextera to zdawało się być rzeczą normalną.

Zaraz potem wyjechaliśmy. Przeniosłem moje bagaże z nasha do packarda, a Dexter

usiadł po prawej stronie.

- Prowadź, Lee. Tak będzie lepiej.

Spojrzał na mnie z ukosa. To była jedyna aluzja do przedwczorajszego wieczora. Przez całą resztę drogi był w czarującym nastroju i opowiadał mi kupę historyjek o państwie Asquith, parze niezłych łajdaków, która rozpoczęła życie z okazałym kapitałem, w czym nie ma nic złego, lecz również z przyzwyczajeniem do wykorzystywania ludzi, których jedynym błędem było posiadanie skóry w innym niż oni kolorze. Mieli plantacje trzciny cukrowej gdzieś na Jamajce czy Haiti, zaś Dexter twierdził, że u nich pijało się niekiepski rum.

- To lepsze od zombi Ricarda, naprawdę Lee.

- Jeśli tak, to pasuje! - zawołałem.

I jeszcze mocniej nacisnąłem pedał gazu.

Przebyliśmy sto mil w nieco ponad godzinę i gdy wjechaliśmy do Prixville, pilotował mnie Dexter. Była to dziura o wiele mniejsza niż Buckton, lecz domy zdawały się bardziej luksusowe, a ogrody większe. Są takie miejsca, gdzie całe towarzystwo wygląda na nieźle nadziane.

Brama państwa Asquith była otwarta, więc wjechałem prosto na rampę prowadzącą do garażu. Gdy ja prowadziłem, przynajmniej nic nie stukało w silniku. Ustawiłem clippera za pozostałymi samochodami.

- Jest już paru klientów - stwierdziłem.

- Nie - odparł Dexter. - To domownicy. Sądzę, że jesteśmy sami. Poza nami jest kilku miejscowych typków. Zapraszają się kolejno, bo kiedy wracają do domów, strasznie się nudzą. Trzeba zresztą stwierdzić, że nieczęsto tam przebywają.

- Widzę - powiedziałem. - W sumie, towarzystwo pożałowania godne.

Zaśmiał się i wysiadł. Każdy z nas wziął swoją walizkę i znaleźliśmy się twarzą w twarz z Jean Asquith. Trzymała raketę tenisową. Miała na sobie białe szorty, a po partii wciągnęła błękitny sweterek, który opinał ją w straszny sposób.

- Och! Jesteście - stwierdziła.

Wyglądała na uszczęśliwioną naszym widokiem.

- Chodźcie się czegoś napić.

Spojrzałem na Dexa, on spojrzał na mnie i jednocześnie pokiwaliśmy z aprobatą głowami.

- Gdzie jest Lou? - zapytał Dex.

- Poszła na górę - powiedziała Jean. - Pewnie się przebiera.

- O! - zawołałem nieufnie. - To tu się przebiera do brydża? Jean wybuchnęła

śmiechem.

- Miałem na myśli, że zmienia szorty. Wy też idźcie się przebrać w coś wygodniejszego i wróćcie. Zaprowadzą was do waszych pokojów.

- Mam nadzieję, że ty też zmienisz szorty - zakpiłem. - Te nosisz już co najmniej od godziny.

Dostałem solidnie rakieta po paluchach.

- Ja się nie pocę! - stwierdziła Jean. - Już z tego wyrosłam.

- Niewątpliwie przegrałaś tę partię? - Owszem...!

Znów się uśmiechnęła. Wiedziała, że nieźle jej to wychodzi.

- A więc mogę zaryzykować i zaproponować ci seta - powiedział Dex. - Oczywiście, nie natychmiast. Jutro rano.

- Oczywiście - odrzekła Jean.

Nie wiem, czy się nie mylę, lecz chyba wolałaby, żebym to był ja.

- Dobra - powiedziałem. - Jeśli są dwa korty, to ja zagram z Lou, a przegrywający rozegrają mecz ze sobą. Postaraj się przegrać, Jean, a wtedy będziemy mieli okazję razem zagrać.

- OK - rzuciła Jean.

- W takim razie - stwierdził Dex - skoro wszyscy oszukują, to ja przegram.

Zaczęliśmy się śmiać wszyscy troje. To wcale nie było śmieszne, lecz atmosfera była lekko napięta i coś trzeba było zrobić. Potem Dex i ja podążyliśmy za Jean do domu, a ona przekazała nas w ręce czarnej pokojówki, bardzo szczupłej, w małym, białym, nakrochmalonym czepeczku.

XII

Przebrałem się w moim pokoju i znalazłem Dextera oraz pozostałych na dole. Było dwóch innych chłopców i dwie dziewczyny, okrągły rachunek, zaś Jean grała w brydża z jedną dziewczyną i dwoma chłopakami. Była też Lou. Pozwoliłem Dexterowi dotrzymać towarzystwa drugiej dziewczynie i przekręciłem wyłącznik radia, żeby puścić nieco tanecznej muzyki. Złapałem Staną Kentona i tak zostawiłem. Było to lepsze niż nic. Lou pachniała nowymi perfumami, które bardziej mi się podobały od poprzednich, lecz chciałem się z nią podroczyć.

- Zmieniłaś perfumy, Lou.

- Tak. Nie podobają ci się.

- Owszem, są niezłe. Lecz wiesz, że tego się nie robi.

- Czego?

- Nie należy zmieniać perfum. Prawdziwa elegantka pozostaje wierna jednemu zapachowi.

- Skąd to wytrzasnąłeś?

- Wszyscy o tym wiedzą. To stara francuska zasada. - Nie jesteśmy we Francji.

- To dlaczego używasz francuskich perfum..

- Bo są najlepsze.

- Pewnie, lecz skoro przestrzegasz jednej zasady powinnaś przestrzegać również pozostałych.

- Powiedz mi, Lee Anderson, skąd wzięłeś te wszystkie mądrości?

- Oto zalety wykształcenia - zakpiłem.

- Jaką szkołę skołałeś?

- Żadną, którą byś znała.

- To znaczy?

- Przed powrotem do Stanów uczyłem się w Anglii i Irlandii.

- Dlaczego robisz to, co robisz? Mógłbyś zarobić więcej pieniędzy.

- Zarabiam wystarczająco na to, co chcę zrobić - odrzekłem.

- Masz jakąś rodzinę?

- Miałem dwóch braci. - I?

- Młodszy zmarł. Zginął w wypadku.

- A drugi?

- Żyje nadal. Mieszka w Nowym Jorku.

- Chciałabym go poznać - powiedziała.

Zdawało się, iż straciła tę gwałtowność, którą wykazała u Dextera i u Jicky, jak również wyglądało na to, że zapomniała, co jej wtedy zrobiłem.

- Wolę, żebyś go nie poznała - odrzekłem.

I tak właśnie myślałem. Lecz myliłem się sądząc, że zapomniała.

- Twoi przyjaciele są śmieszni - powiedziała, przechodząc bez mrugnięcia okiem do innego tematu.

Nadal tańczyliśmy. Między kawałkami nie było praktycznie przerwy, co sprawiło, że udało mi się uniknąć odpowiedzi.

- Co zrobiłeś Jean ostatnim razem? - zapytała - Jest całkiem odmieniona.

- Nic jej nie zrobiłem. Po prostu pomogłem jej wytrzeźwieć. Jest na to znany sposób.

- Nie wiem, czy mi tu nie opowiadasz dowcipów. Z tobą nigdy me wiadomo.

- Jestem czysty jak łza...! - zapewniłem.

Teraz była jej kolej na nieudzielenie odpowiedzi, i przez kilka minut cała oddała się tańcowi. W mych ramionach była rozluźniona i zdawała się nie myśleć o niczym.

- Żałuję, że mnie tam nie było - stwierdziła.

- Ja też żałuję - odrzekłem. - Teraz byłabyś całkiem spokojna. Moja własna wypowiedź sprawiła, że fala gorąca napłynęła mi do głowy. Przypomniałem sobie ciało Jean. Posiąć je obie i jednocześnie zniszczyć, po uprzednim opowiedzeniu im wszystkiego. Niemożliwe...

- Nie sądzę, żebyś myślał to, co mówisz.

- Nie wiem, co powinienem mówić, byś uwierzyła, że tak właśnie myślę.

Zaprotestowała gwałtownie, zwymyślała od belfrów i oskarżyła, że mówię jak austriacki psychiatra. Było to dość przykre.

- W takim razie - zapytałem - kiedy uważasz, że mówię prawdę?

- Wolę, kiedy nic nie mówisz. - I kiedy nic nie robię?

Pocisnąłem ją nieco mocniej. Na pewno pamiętała do czego robię aluzję i spuściła oczy. Lecz ja nie chciałem popuścić tak łatwo. Zresztą powiedziała:

- To zależy od tego, co robisz...

- Nie apróbujesz wszystkiego, co robię?

- Nie ma w tym nic ciekawego, skoro to robisz ze wszystkimi. Czuję, że powoli dochodzę do celu. Była już prawie dojrzała. Chciałem sprawdzić, czy naprawdę już doszła.

- Mówisz jakoś enigmatycznie - stwierdziłem. - O co chodzi? Tym razem spuściła nie

tylko oczy, lecz głowę. Rzeczywiście była o wiele mniejsza ode mnie. We włosy miała wpięty wielki, biały goździk. Lecz odpowiedziała:

- Dobrze wiesz, o czym mówię. O tym, co mi wtedy zrobiłeś na tapczanie.

- No i co?

- Czy robisz to z wszystkimi kobietami, jakie napotkasz? Zaśmiałem się głośno i uszczypnęła mnie w ramię. - Nie kpiluj sobie ze mnie, nie jestem idiotką.

- Oczywiście, że nie.

- Odpowiedz na moje pytanie.

- Nie - odpowiedziałem. - Nie robię tego ze wszystkimi kobietami. Szczerze mówiąc, jest bardzo niewiele kobiet, z którymi ma się ochotę to robić.

- Żarty sobie stroisz. Dobrze widziałam, jak się zachowywali twoi przyjaciele...

- To nie są przyjaciele, tylko koledzy.

- Po co te gierki słowne - powiedziała. - Czy robisz to ze swoimi koleżankami?

- Sądzisz, że można mieć ochotę robić to z takimi dziewczynami?

- Sądzę... - szepnęła. - Są takie chwile, kiedy można zrobić mnóstwo rzeczy z mnóstwem ludzi.

Uznałem, że powinienem skorzystać z tej wypowiedzi, by lekko zacieśnić mój uścisk. Jednocześnie usiłowałem popieścić jej piersi. Za szybko się do tego zabrałem. Wyrwała się łagodnie, lecz stanowczo.

- Wiesz, wtedy trochę wypięłam - powiedziała.

- Nie sądzę - odparłem.

- Och...! Przypuszczasz, że pozwoliłabym na takie traktowanie, gdybym nie wypięła?

- Jasne.

Znów opuściła głowę, po czym podniosła ją, by mi powiedzieć:

- Sądzisz, że tańczyłabym z byle kim?

- Ja jestem byle kim.

- Dobrze wiesz, że nie.

Rzadko kiedy prowadziłem równie wyczerpujące rozmowy. Ta dziewczyna prześlizgiwała się między palcami jak węgorz. Czasem zdawało się, że idzie na całego, a czasem stawała okoniem przy najmniejszym kontakcie. Ja jednak kontynuowałem.

- Cóż we mnie jest takiego innego?

- Nie wiem. Fizycznie jesteś w porządku, lecz jest coś innego. Twój głos, na przykład.

- I co?

- Nie jest to zwykły głos. Zaśmiałem się znów ze szczerego serca.

- Nie - upierała się - ten głos jest poważniejszy... i bardziej... jakby to powiedzieć... bardziej wyważony.

- To z powodu grania na gitarze i śpiewania.

- Nie - powiedziała. - Nie słyszałem śpiewaków i gitarzystów śpiewających jak ty. Słyszałem głosy przypominające mi twój, tak... tam... na Haiti. U Murzynów.

- Mówisz mi prawdziwy komplement. To najlepsi muzycy, jakich można znaleźć.

- Nie gadaj głupstw!

- Cała muzyka amerykańska pochodzi od nich - zapewniłem.

- Nie sądzę. Wszystkie wielkie orkiestry taneczne są białe.

- Jasne. Biali są w lepszej sytuacji i mogą wykorzystywać odkrycia czarnych.

- Nie uważam, byś miał rację. Wszyscy wielcy kompozytorzy są białymi.

- Duke Ellington, na przykład.

- Nie, Gershwin, Kern i inni.

- Wszystko to emigranci z Europy - stwierdziłem. - Niewątpliwie ci potrafią najlepiej wykorzystywać innych. Nie wydaje mi się, by można znaleźć u Gershwina choćby jeden oryginalny fragment, którego by nie skopiował, nie przerobił lub nie powielił. Spróbuj znaleźć coś takiego w „Błękitnej Rapsodii”.

- Dziwny jesteś - powiedziała - Ja nie cierpię Murzynów.

To było zbyt piękne. Pomyślałem o Tomie i byłem bardzo bliski podziękowania Panu. Lecz miałem zbyt wielką ochotę na tę dziewczynę, by w tym momencie mogła mnie opanować złość. I nie potrzeba Pana, by wykonać porządną robotę.

- Jesteś taka jak inni - powiedziałem. - Lubisz się chwalić rzeczami, które odkryli wszyscy, tylko nie ty.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Powinnaś podróżować - stwierdziłem. - Wiesz, to nie sami biali Amerykanie wymyślili kino, samochód, nylonowe pończochy i wyścigi koni. Ani jazz.

- Mówimy o czymś innym - poprosiła Lou. - Czytasz za dużo książek, i tyle.

Tamci nadal grali w brydża przy sąsiednim stoliku i najwyraźniej widać było, że niczego nie osiągnę, jeśli nie napoję tej dziewczyny. Trzeba było obstawać przy swoim.

- Dex mówił mi o waszym rumie - ciągnąłem. - Czy to mit, czy też jest on dostępny dla zwykłych śmiertelników?

- Ty z pewnością możesz go dostać - powiedziała Lou. - Powinnaś była pomyśleć, że jesteś spragniony.

Puściłem ją i dziewczyna poszła do baru znajdującego się w salonie.

- Mieszanka? - zapytała. - Rum biały i czerwony?

- Niech będzie mieszanka. Jeśli możesz dodać odrobinę soku pomarańczowego.

Zdycham z pragnienia.

- Nic prostszego - zapewniła.

Tamci od stolika brydżowego na drugim końcu pomieszczenia przywołali nas głośnymi okrzykami.

- Hej! Lou!... zrób dla wszystkich...!

- Dobrze - zgodziła się - lecz sami sobie przyniesiecie. Lubiłem przyglądać się, jak ta dziewczyna pochyła się do przodu. Miała na sobie coś w rodzaju obcisłego trykotu z całkiem okrągłym dekoltem, który ukazywał górną część piersi. Jej włosy były spuszczone z jednej strony, jak w dzień, kiedy ją poznałem, lecz tym razem z lewej. Była o wiele delikatnej umalowana i aż się prosiła, żeby ją ugryźć.

- Jesteś naprawdę ładną dziewczyną - stwierdziłem. Wyprostowała się z butelką rumu w dłoni.

- Nie zaczynaj znowu...

- Ja nie zaczynam. Ja kontynuuję.

- Więc nie kontynuuj. Z tobą to idzie jakoś zbyt szybko. Traci się całą przyjemność.

- Nic nie może trwać zbyt długo.

- Owszem. Rzeczy przyjemne powinny trwać w nieskończoność.

- A czy wiesz, co jest rzeczą przyjemną?

- Tak. Rozmowa z tobą, na pokład.

- Cała przyjemność po twojej stronie. To egoizm.

- Jesteś cham. Powiedzieć, że rozmowa ze mną cię nudzi...!

- Nie mogę patrzeć na ciebie, nie myśląc, że jesteś stworzona do czegoś innego niż do rozmowy, a trudno jest mi rozmawiać z tobą, nie patrząc. Lecz bardzo chcę nadal rozmawiać z tobą. I nie muszę grać w brydża.

- Nie lubisz brydża?

Napełniła szklankę i podała mi ją. Wziąłem i opróżniłem do połowy.

- To lubię. Wskazałem na szklankę.

- I cieszysz się, że to ty przygotowałaś. Zaróżowiła się.

- Jakie to miłe, kiedy jesteś właśnie taki.

- Zapewniam cię, że mogę być miły na wiele różnych sposobów.

- Pozer z ciebie. Jesteś dobrze zbudowany i myślisz, że wszystkie kobiety na to lecą.

- Na co?

- Na sprawy fizyczne.
- Te, które nie mają na to ochoty, nigdy nie próbowały - stwierdziłem.
- To nieprawda.
- Próbowałaś?

Nie odpowiedziała. Wykręciła palce i wreszcie się zdecydowała.

- To, co mi zrobiłeś ostatnio... - Tak?
- Nie było przyjemne. To było... To było straszne!
- Ale... nie nieprzyjemne?
- Nie... - odrzekła cicho.

Nie dopytywałem się więcej i dokończyłem szklankę. Odzyskałem stracony teren. O rany, ależ miałem kłopot z tą dziewczyną. Są takie rybki, które mogą zrobić to wrażenie na rybaku.

Jean wstała i poszła po szklanki.

- Nie nudzisz się z Lou?
- Stanowczo jesteś zbyt miła...! - powiedziała jej siostra.
- Lou jest czarująca - stwierdziłem. - Bardzo ją lubię. Czy mogę cię prosić o jej rękę?
- Nigdy w życiu...! - zawołała Jean. - Ja mam wyłączność.
- W takim razie, co ja robię w tym wszystkim? - zapytała Lou. - Jestem jakimś niechcianym towarem?
- Ty jesteś młoda - powiedziała Jean. - Masz czas. Ja... Zaśmiałem się, bo tak naprawdę Jean miała zaledwie dwa lata więcej od siostry.

- Nie śmieję się jak idiota - rzekła Lou. - Już jest nieźle zużyta, nieprawdaż?

Zdecydowanie lubiłem obie te dziewczyny. I wyglądało na to, że się między sobą rozumieją.

- Jeśli posunąwszy się w latach, nie będziesz od niej gorsza - powiedziałem do Lou - to chcę poślubić obydwie.

- Jesteś okropny - stwierdziła Jean - Wracam do mojego brydża. Potem zatańczysz ze mną.

- Do licha! Akurat - zawołała Lou. - Na to ja mam wyłączność. Idź grać w te swoje wstretne karty.

Znowu zaczęliśmy tańczyć, lecz zmienił się program i zaproponowałem Lou mały spacer po okolicy dla rozprostowania nóg.

- Nie wiem, czy interesuje mnie zostanie z tobą sam na sam - powiedziała.
- Wiele nie ryzykujesz. Przecież wystarczy zawołać.

- Jasne - stwierdziła. - Żeby wyjść na idiotkę...!

- Dobrze - powiedziałem. - W takim razie chciałbym się napić jeszcze trochę, o ile nie masz nic przeciwko temu.

Udałem się do baru i przygotowałem sobie małe co nieco ku pokrzepieniu. Lou stała w miejscu, gdzie ją pozostawiłem.

- Chcesz trochę?

Pokręciła przecząco głową, przymknąwszy swe żółte oczy. Przystawiając się do niej, przemierzyłem pokój i poszedłem przyjrzeć się Jean.

- Przyszedłem przynieść ci szczęście - powiedziałem.

- Najwyższa pora!

Odwróciła się nieznacznie w moją stronę z promiennym uśmiechem.

- Przegrywam trzysta dolarów. Czy uważasz, że to śmieszne?

- To zależy od tego, jaki ta kwota przedstawia procent od całości twojej fortuny - stwierdziłem.

- A może byśmy przestali grać? - zaproponowała. Pozostała trójka, która nie wyglądała na to, że ma ochotę na grę w karty bardziej niż na cokolwiek innego, wstała razem od stołu. Co się tyczy niejakiego Dextera, to już jakiś czas temu zabrał czwartą dziewczynę do ogrodu.

- Jest tylko to? - zapytała Jean z pogardą, wskazując palcem radio. - Znajdę wam coś lepszego.

Pomanipulowała pokrętlami i faktycznie złapała coś nadającego się do tańca. Jeden z dwóch gości zaprosił Lou. Pozostała dwójka tańczą razem, ja zaś zabrałem Jean, by napić się czegoś zanim zacznę. Wiedziałem, czego tej było trzeba.

XIII

Do chwili, gdy wraz z Dexem poszliśmy na górę położyć się spać, praktycznie nie zamieniłem z Lou ani słowa od czasu naszej długiej rozmowy. Nasze pokoje znajdowały się na pierwszym piętrze, po tej samej stronie co dziewcząt. Rodzice zajmowali drugie skrzydło. Pozostałe towarzystwo wróciło do siebie. Mówię, że rodzice zajmowali drugie skrzydło, lecz wtedy wyjechali do Nowego Jorku, na Haiti albo gdzieś w tym rodzaju. W kolejności znajdowały się: mój pokój, Dextera, Jean i Lou. Miałem słabą bazę wypadową.

Rozebrałem się, wziąłem porządną prysznic i energicznie nacierałem się szorstką rękawicą z trawy morskiej. Słyszałem, jak Dexter kręci się po swoim pokoju. Wyszedł i wrócił po pięciu minutach, i dosłyszałem odgłos napełnianej szklanki. Przeprowadził wyprawę w celu zdobycia zapasów, i pomyślałem, że nie jest to głupi pomysł. Zastukałem lekko w drzwi łączące jego pokój z oddzielającą nas łazienką. Poszedł natychmiast.

- Och! Dex - powiedziałem przez drzwi. - Śniłem czy słyszałem brzęk butelek?

- Masz tu jedną - odrzekł Dex. - Przyniosłem dwie.

Był to rum. Nie ma nic lepszego na sen lub na rozbudzenie, zależnie od pory. Miałem nadzieję pozostać rozbudzony, lecz w chwilę później usłyszałem jak Dex się kładzie. Wziął to na inny sposób.

Odczekałem pół godziny i po cichu wyszedłem z pokoju. Miałem na sobie slipy i górę od piżamy. Nie znoszę dołu. Dla mnie to nieznośna kombinacja.

Korytarz był ciemny, lecz wiedziałem dokąd idę. Szedłem me zachowując środków ostrożności, gdyż chodnik wystarczyłby do stłumienia odgłosów meczu baseballowego, i delikatnie zapukałem do drzwi Lou.

Usłyszałem, jak podchodzi, a raczej ją wyczułem. Klucz obrócił się w zamku. Wślizgnąłem się do pokoju i szybko zamknąłem lakierowane drzwi.

Lou miała na sobie zachwycający, biały dezabil, który musiała skraćć jednej z Vargas Girl. Jej strój najwyraźniej składał się z koronkowego staniczka i małych, stosownych majteczek.

- Przyszedłem sprawdzić, czy nadal się na mnie gniewasz - powiedziałem.

- Idź sobie - zażądała.

- To po co mi otwierałaś? Myślałaś, że to kto?

- Nie wiem! Może Suzie...

- Suzie śpi. Cała reszta służy też. Dobrze o tym wiesz.

- Do czego zmierzasz?

- Do tego.

Złapałem ją w locie i pocałowałem w sposób naprawdę istotny. Lecz Lou broniła się i dostałem w ucho jeden z najpiękniejszych ciosów, jakie udało mi się otrzymać aż do tej chwili. Puściłem ją.

- Jesteś dzikusem - powiedziała.

Włosy miała uczesane normalnie, gładko, z przedziałkiem pośrodku i był z niej naprawdę wyśmienity kąsek. Lecz ja pozostałem opanowany. Rum mi pomagał.

- Robisz za dużo hałasu - odrzekłem. - Jean z pewnością nas usłyszy.

- Między naszymi pokojami jest łazienka.

- Doskonale.

Powtórzyłem swój numer i rozpiąłem jej dezabil. Nim uderzyła mnie ponownie, udało mi się zdrzeć jej majtki. Gdy się zamachnęła, złapałem ją za przegub i przytrzymałem jej rękę za plecami. Swobodnie mieściły się obie w mojej prawej dłoni. Walczyła bezgłośnie, lecz z wściekłością, i próbowała mnie kopnąć kolaniem, lecz wsunąłem lewą dłoń za jej biodra i trzymałem przyciśniętą do siebie. Usiłowała mnie ugryźć przez pizamę. A mnie nie udawało się ściągnąć własnych przeklętych slipów. Puściłem ją nagle i odepchnąłem na łóżko.

- W końcu - stwierdziłem - radziłaś sobie sama aż do tej chwili. Byłbym skończonym głupcem, fatygując się w tak błahej sprawie.

Była bliska płaczu, lecz jej oczy lśniły ze złości. Nawet nie próbowała się ubrać, mogłem więc zapuścić żurawia. Miała futerko czarne i gęste jak karkuły.

Odwrociłem się na pięcie i poszedłem do drzwi.

- Śpij dobrze - powiedziałem. - Przepraszam za lekkie sponiewieranie bielizny. Nie śmiem proponować rekompensaty, lecz liczę, że prześlesz mi rachunek.

Trudno było być większym chamem, choć przyznaję, że mam w tym niejaką wprawę. Nic nie odpowiedziała, lecz ujrzałem, jak zaciskają się jej pięści, i przygryzła wargi. Gwałtownie odwróciła się plecami i spędziłem sekundę na podziwianiu jej od tej strony.

Naprawdę, szkoda była wielka. Wyszedłem w dziwnym stanie.

Nie krępując się otworzyłem następne drzwi, te do Jean. Nie zamknęła ich na klucz. Statecznym krokiem udałem się do łazienki i przekręciłem klucz w niklowanym zamku.

A później ściągnąłem górę od pizamy i slipy. Pokój był rozjaśniony łagodnym światłem, a pomarańczowe obicia jeszcze bardziej łagodziły nastrój. Jean, całkiem naga, robiła sobie manicure, leżąc na brzuchu na swym niskim tapczanie. Odwróciła głowę, widząc, jak wchodzę, i gdy zamykałem dwoje drzwi, wodziła za mną oczami.

- Masz tupet - stwierdziła.

- Owszem - przyznałem. - A ty na mnie czekałaś. Uśmiechnęła się i odwróciła na łóżku. Usiadłem przy niej i popieściłem jej uda. Była całkiem pozbawiona wstydu, jak dziesięcioletnie dziecko. Usiadła i pomacała moje bicepsy.

- Kawał chłopca z ciebie.

- Jestem słabiutki jak świeżo narodzone jagnię - zapewniłem. Otarła się o mnie i pocałowała, lecz ujrzałem, że cofa się ocierając usta.

- Wracasz od Lou. Czuć cię jej perfumami.

Nie pomyślałem o tym przeklętym zwyczaju. Głos Jean drżał i starała się na mnie nie patrzeć. Schwyciłem ją za ramiona.

- Bądź rozsądna.

- Czuć cię jej perfumami.

- Musiałem ją przeprosić - odrzekłem. - Niedawno ją uraziłem.

- A widzisz...!

Pomyślałem, że Lou być może stoi jeszcze naga w trzech czwartych na środku swego pokoju i to podnieciło mnie jeszcze bardziej. Jean to dostrzegła i zaczerwieniła się.

- Przeszkadza ci to? – zapytałem.

- Nie - szepnęła. - Mogę cię dotknąć?

Wyciągnąłem się obok niej i przyciągnąłem ją do siebie. Jej ręce nieśmiało błędziły po moim ciele.

- Jesteś bardzo silny - powiedziała cicho.

Leżeliśmy teraz na boku twarzą do siebie. Przewróciłem ją na drugi bok, popchnąwszy lekko, po czym przysunąłem się do niej. Lekko rozchyliła uda, by mi uczynić dostęp.

- Zadasz mi ból.

- Z pewnością nie.

Nie robiłem nic, prócz głaskania palcami jej piersi, począwszy od dołu aż ku czubkom, i czułem na sobie, jak drży. Jej krągłe i gorące pośladki przywierały mocno do mych ud, i szybko oddychała.

- Chcesz, żebym zgasił światło? - szepnąłem.

- Nie - powiedziała Jean. - Wolę tak, jak jest. Wydobyłem lewą rękę spod jej ciała i rozchyliłem włosy na jej prawym uchu. Mnóstwo ludzi nie ma pojęcia, co można zrobić z kobietą, całując ją i lekko kłusając w ucho, a to przecież taki znany trick. Jean skręciła się jak węgorz.

- Nie rób mi tego.

Przestałem natychmiast, lecz złapała mnie za przegub i ścisnęła z nadzwyczajną siłą.

- Zrób mi tak jeszcze.

Zrobiłem ponownie, tym razem dłużej, i poczułem jak sztywnieje całe jej ciało, po czym rozluźniła się i odrzuciła głowę. Moja dłoń prześlizgnęła się po jej brzuchu i zdałem sobie sprawę, że coś poczuła. Zacząłem pokrywać jej szyję szybkimi, ledwie muskającymi pocałunkami. Widziałem, jak jej skóra się napina, w miarę jak postępowalem ku górze. A potem łagodnie ująłem członka i wszedłem w nią tak łatwo, że nie wiem, czy zdała sobie z tego sprawę, nim nie począłem się poruszać. To kwestia przygotowania. Lecz uwolniła się jednym ruchem bioder.

- Sprawia ci to przykrość? - zapytałem.

- Pieść mnie jeszcze. Pieść mnie przez całą noc.

- Mam nadzieję, że będę to robił - odrzekłem.

Posiadałem ją ponownie, tym razem brutalnie. Lecz wycofałem się, nim osiągnęła pełną satysfakcję.

- Oszaleję przez ciebie - szepnęła.

Przetoczyła się na brzuch, kryjąc głowę w ramionach. Wycalowałem jej biodra i pośladki, po czym przyklęknąłem nad nią.

- Rozchyl nogi - powiedziałem.

Nic nie odpowiedziała i lekko rozłożyła nogi. Wsunąłem dłoń między jej uda i znów w nią wszedłem, lecz zmyliłem drogę. Znów zesztyniała, lecz ja byłem uparty.

- Nie chcę - powiedziała.

- Klęknij - odparłem.

- Nie chcę.

Po czym uniosła uda, a kolana posunęła. Głowę nadal trzymała ukrytą w ramionach, a ja powoli docierałem do celu. Nic nie mówiła, lecz czułem jak jej brzuch porusza się tam i z powrotem, w górę i w dół, zaś jej oddech stał się jeszcze szybszy. Nie wychodząc z niej opadłem na bok pociągnąwszy ją za sobą, a kiedy udało mi się dojrzeć twarz, łzy płynęły z jej zamkniętych oczu, lecz poprosiła mnie, bym tak został.

XIV

Wróciłem do mojego pokoju o piątej rano, Jean nawet nie drgnęła, kiedy ją zostawiłem, była naprawdę u kresu sił. Miałem nieco miękkie kolana, lecz udało mi się wyjść z łóżka koło dziesiątej. Myślę, że rum Dextera nieźle mi pomógł. Wskoczyłem pod zimny prysznic i poprosiłem go, by przyszedł się trochę ze mną poboksować. Lał we mnie jak w kaczy kuper i trochę wróciłem do siebie. Myślałem o stanie, w jakim musiała znajdować się Jean. Dex chyba zbyt wiele nabąblował się rumu, jechało od niego straszliwie na dwa metry. Poradziłem mu, by wypił ze trzy litry mleka i poszedł rozegrać partyjkę w golfa. Myślał, że znajdzie Jean na korcie, lecz tam jej nie było, bo jeszcze nie wstała. Zszedłem na dół na śniadanie. Lou siedziała sama przy stole. Miała na sobie krótką, plisowaną spódniczkę i zamszową marynarkę, a pod nią bluzkę z jasnego jedwabiu. Naprawdę, miałem ochotę na tę dziewczynę. Lecz tego poranka czułem się raczej uspokojony. Przywitałem się z nią.

- Dzień dobry.

Jej ton był chłodny. Nie, raczej smutny.

- Gniewasz się na mnie? Przepraszam cię za wczorajszy wieczór.

- Przypuszczam, że nie możesz nic na to poradzić - odrzekła. - Taki się już urodziłeś.

- Nie. Taki się dopiero stałem.

- Twoje historyjki mnie nie interesują.

- Jeszcze nie jesteś w takim wieku, by cię mogły interesować...

- Sprawię, że jeszcze pożałujesz tego, co mi właśnie powiedziałaś, Lee.

- Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób.

- Nie mówmy o tym. Zagrasz ze mną?

- Chętnie - odrzekłem. - Muszę się odprężyć.

Nie mogła się powstrzymać od śmiechu i zaraz po śniadaniu poszedłem z nią na kort. Ta dziewczyna nie umiała długo się złościć.

Graliśmy w tenisa do południa. Nie czułem już nóg i wszystko mi latało przed oczami, kiedy z jednej strony nadeszła Jean, a Dex z drugiej. Byli w równie kiepskim stanie, jak ja.

- Cześć! - zawołałem do Jean. - Wygląda, że jesteś we wspaniałej formie.

- O tobie nie da się tego powiedzieć - odpowiedziała.

- To wina Lou - stwierdziłem.

- Pewnie również z mojej winy stary Dex jest w proszku? - zaprotestowała Lou. - Wypiliście za dużo rumu, i tyle. Och! Dex! Czuć od ciebie rum na pięć metrów!

- Lee mi powiedział, że tylko na dwa - sprzeciwił się energicznie Dexter.
- Ja tak powiedziałem?
- Lou - powiedział Dex - zagraj ze mną.
- To niesprawiedliwe - odparła Lou. - Teraz kolej na Jean.
- Mowy nie ma! - zawołała Jean. - Lee, zabierz mnie na spacer przed śniadaniem.
- O której godzinie tu się jada śniadanie? - zaniepokoił się Dex.
- O dowolnej - odrzekła Jean.
- Bierzemy samochód Dextera? - zapytałem. - Stoi z brzegu, tak będzie wygodniej.

Nic nie odrzekła. Ścisnęła mnie bardzo mocno za ramię i przysunęła się możliwie jak najbliżej. Staralem się mówić o rzeczach nieistotnych, lecz ona nadal nie odpowiadała. Puściła me ramię, by wsiąść do samochodu, lecz gdy tylko znalazła się w środku, przywarła do mnie ponownie, najbardziej jak mogła, nie przeszkadzając mi w prowadzeniu. Wyjechałem tyłem i pokonałem alejkę. Brama była otwarta i skręciłem w prawo.

- Jak się wyjeżdża z tego miasta? - zapytałem Jean.
- Wszystko jedno... - szepnęła.

Spojrzałem we wsteczne lusterko. Miała zamknięte oczy.

- Hej - zawołałem - za długo spałaś, jesteś zamroczona. Wyprostowała się jak szalona i złapała mnie dwiema rękami za głowę, chcąc pocałować. Ostrożnie zahamowałem, gdyż w znaczny sposób ograniczało to pole widzenia.

- Pocałuj mnie, Lee...
- Poczekaj przynajmniej, aż wyjedziemy z miasta.
- Ludzie mnie nic nie obchodzą. Mogą wiedzieć o wszystkim.
- A twoja reputacja?
- Nie zawsze się o nią troszczysz. Pocałuj mnie.

Całować się ujdzie przez pięć minut, lecz nie mogę robić tego cały czas. Przespać się z dziewczyną i wyobrać ją na wszystkie strony, zgoda. Ale nie całować. Wyrwałem się.

- Bądź rozsądna.
- Pocałuj mnie, Lee. Proszę.

Znów przyspieszyłem i skręciłem w pierwszą ulicę w prawo, potem w lewo; próbowałem nią mocną potrząsnąć, by mnie puściła i uczepliła się czegoś innego, lecz z tym packardem nie było mowy. Ani drgnął. Skorzystała z tego, by zapleść mi ramiona na szyi.

- Zapewniam cię, że nieźle tu będą sobie na tobie używać w okolicy.
- Niech sobie używają, ile chcą. Ludzie będą potem tacy wkurzeni...
- Kiedy? Po czym?

- Kiedy się dowiedzą, że się pobieramy.

Rany boskie, ależ ta dziewczyna zasuwiała. Są takie, na które to działa jak waleriana na kota, albo zdechła ropucha na foksteriera. Zaraz chcą mieć to na całe życie.

- Pobierzemy się?

Pochyliła głowę i pocałowała mnie w prawą dłoń. - Pewnie. Kiedy?

- Teraz.

- Nie w niedzielę.

- Dlaczego? - zapytała.

- Nie. To idiotyczne. Twój rodzice się nie zgodzą.

- Wszystko mi jedno.

- Nie mam pieniędzy.

- Wystarczy dla dwojga.

- Ledwie starcza dla mnie - powiedziałem.

- Rodzice mi dadzą.

- Nie sądzę. Twój rodzice mnie nie znają. Ty zresztą też mnie nie znasz.

Zaczerwieniła się i ukryła głowę na moim ramieniu.

- Owszem, znam cię - szepnęła. - Mogłabym cię opisać w całości z pamięci.

Chciałem sprawdzić, jak głęboko to sięga, więc rzuciłem:

- Wiele kobiet mogłoby mnie opisać w ten sposób. Nie zareagowała.

- Wszystko mi jedno. Więcej już tego nie zrobią.

- Przecież nic o mnie nie wiesz.

- Nic o tobie nie wiedziałam.

Zaczęła podśpiewywać piosenkę Duke'ego Ellingtona pod tym tytułem.

- Teraz wcale nie wiesz dużo więcej - zapewniłem.

- To mi opowiedz - rzuciła, przestawszy śpiewać.

- W końcu - stwierdziłem - nie widzę, w jaki sposób mógłbym ci przeszkodzić w poślubieniu mnie. Chyba tylko odchodząc. A nie mam ochoty odejść.

Nie dodałem: „Zanim nie zdobędę Lou”, ale to właśnie owo zdanie miało oznaczać. Jean wzięła je za dobrą monetę. Trzymałem tę dziewczynę w garści. Trzeba było pospieszyć manewry z Lou. Jean złożyła głowę na moich kolanach i wyciągnęła się na całej reszcie siedzenia.

- Opowiedz mi. Proszę, Lee.

- Dobrze - odrzekłem.

Powiedziałem jej, że urodziłem się gdzieś na wybrzeżu Kalifornii, że mój ojciec był z

pochodzenia Szwedem i dlatego mam jasne włosy. Dzieciństwo miałem trudne, bo rodzice byli bardzo biedni i mniej więcej w wieku dziewięciu lat, w samym środku kryzysu, grałem na gitarze, żeby zarobić na życie, a potem miałem szczęście spotkać faceta, który zainteresował się mną, gdy miałem czternaście lat, i zabrał mnie ze sobą do Europy, do Wielkiej Brytanii i Irlandii, gdzie spędziłem jakieś dziesięć lat.

Wszystko to były kłamstwa. Faktycznie, byłem przez dziesięć lat w Europie, ale nie w takich warunkach i wszystko, czego się nauczyłem, zawdzięczałem wyłącznie sobie i bibliotece faceta, u którego pracowałem jako służący. Nie powiedziałem jej również o sposobie, w jaki mnie ten typek traktował, wiedząc, że jestem czarny, ani co ze mną robił, kiedy koleś go nie odwiedzali, ani o okolicznościach, w jakich go opuściłem, zmusiwszy uprzednio przy pomocy kilku specjalnych zabiegów do podpisania czeku na opłacenie podróży powrotnej.

Wymyśliłem jej kupę bzdetów o moim bracie Tomie i o dzieciaku, o tym, w jaki sposób zginął w wypadku; sądzono, że to zrobili Murzyni, to są straszne typy, rasa służących, a kontakt z kolorowymi przyprawia mnie o mdłości. Toteż wróciłem i zastałem dom rodziców sprzedany, a mój brat Tom był już w Nowym Jorku, zaś dzieciak sześć stóp pod ziemią. Wtedy zacząłem szukać pracy i moją robotę w księgarni zawdzięczałem jednemu z przyjaciół Toma - to była prawda.

Słuchała mnie jak na kazaniu, a ja tylko dorzucałem. Powiedziałem jej, że rodzice nie zaakceptują naszego ślubu, bo ona nie ma jeszcze dwudziestu lat. Właśnie tyle skończyła i może obejść się bez rodziców. Lecz ja zarabiałem mało pieniędzy. Ona wołała żebym zarabiał pieniądze sam i uczciwie, a rodzice z pewnością będą chcieli znaleźć mi ciekawszą pracę na Haiti albo na którejś z plantacji. Tymczasem ja usiłowałem się zorientować w terenie i udało mi się natrafić na drogę, którą przyjechaliśmy z Dexem. Na razie miałem powrócić do mojej pracy, zaś ona przyjedzie do mnie w ciągu tygodnia, jakoś się załatwi, żeby prysnąć na Południe i spędzić kilka dni gdzieś tam, gdzie nikt by nam nie przeszkadzał, a potem wrócilibyśmy jako małżeństwo i byłoby po sprawie.

Zapytałem, czy powie o tym Lou; odparła, że tak, lecz nie o tym, co robiliśmy razem i mówiąc o tym, rozpalila się ponownie. Całe szczęście, że właśnie dojechaliśmy.

XV

Spędziliśmy popołudnie, zajmując się byle czym. Pogoda była gorsza niż poprzedniego dnia. Prawdziwie jesienny czas; starannie unikałem grania w brydża z przyjaciółmi Lou. Pamiętałem o radach Dexa, nie była to odpowiednia chwila na rozchrzaniecie kilku setek dolarów, które udało mi się zgromadzić; w gruncie rzeczy, tamci faceci mało się przejmowali, czy mają o pięćset więcej, czy mniej. Usiłowali zabijać czas.

Jean nie przestawała na mnie patrzeć i to całkiem bez związku; korzystając z chwili sam na sam, powiedziałem jej, by uważała. Zatańczyłem jeszcze z Lou, lecz była nieufna: nie udało mi się skierować rozmowy na interesujący temat. Nie odczuwałem już skutków nocy i zaczynałem się podniecać za każdym razem, gdy spojrzałem na jej piersi; jednak pozwoliła się lekko obmacywać w tańcu. Jak poprzedniego dnia, przyjaciele odjechali bardzo wcześnie i zostaliśmy we czworo. Jean nie mogła się utrzymać na nogach, lecz nadal było jej mało i miałem nie lada kłopot, żeby jej wytłumaczyć, że musi trochę poczekać; na szczęście, zmęczenie zadziało. Dex dalej zalewał się rumem. Poszliśmy na górę koło dziesiątej, lecz prawie natychmiast wróciłem po książkę. Nie miałem ochoty znowu zaczynać z Jean i nie byłem dość senny, by położyć się do łóżka natychmiast.

A potem, kiedy wróciłem do pokoju, znalazłem Lou siedzącą na moim łóżku. Miała ten sam dezabil co wczoraj i nowe majtki. Nie dotknąłem jej. Zamknąłem na klucz drzwi wejściowe i od łazienki, i położyłem się, jakby jej tam nie było. Gdy ściągałem ciuchy, usłyszałem jak szybciej oddycha. Znalazłszy się w łóżku, postanowiłem z nią porozmawiać.

- Nie chce ci się dziś spać, Lou? Mogę coś zrobić dla ciebie?

- Jestem pewna, że dziś już nie pójdziesz do Jean - odrzekła.

- Cóż każe ci przypuszczać, że byłem u Jean wczoraj?

- Słyszałam cię - odpowiedziała.

- Zdziwiasz mnie... Ja jednak wcale nie robiłem hałasu - zakpiłem.

- Dlaczego zamknąłeś wszystkie drzwi?

- Zawsze śpię przy drzwiach zamkniętych. Nie zależy mi na tym, by się obudzić z byle kim u boku.

Musiała się wyperfumować od stóp do głów. Pachniała na kilometr, a jej makijaż był bez zarzutu. Uczesana była jak poprzedniego dnia, z włosami rozdzielonymi na pół i, prawdę mówiąc, wystarczyło bym wyciągnął rękę i zagarnął ją jak dojrzałą pomarańczę, lecz miałem z nią do uregulowania pewien mały rachunek.

- Byłeś u Jean - stwierdziła.

- W każdym razie, ty wyrzuciłaś mnie za drzwi - powiedziałem. - To wszystko co pamiętam.

- Nie podobają mi się twoje maniery - rzuciła.

- Uważam, że dzisiejszego wieczora jestem absolutnie w porządku - odrzekłem. - Przepraszam, że byłem zmuszony rozebrać się w twojej obecności, lecz tak czy inaczej - jestem pewien, że nie patrzyłaś.

- Co zrobiłeś Jean? - dopytywała się uparcie.

- Posłuchaj - powiedziałem. - Być może cię zaskoczę, lecz nie mogę zrobić inaczej. Wolę żebyś wiedziała. Pocałowałem ją kiedyś i od tej pory nie przestaje za mną latać.

- Kiedy?

- Kiedy pomogłem jej wytrzeźwieć u Jicky.

- Wiedziałaś.

- Prawie mnie do tego zmusiła. Wiesz, że ja też trochę wypilem.

- Czy naprawdę ją pocałowałeś...?

- Jak naprawdę?

- Tak jak mnie... - szepnęła.

- Nie - odparłem po prostu z akcentem szczerości w głosie, z którego byłem bardzo zadowolony. - Twoja siostra to nudziara, Lou. To ciebie pragnę. Pocałowałem Jean jak... jakbym pocałował moją matkę, a ona nie może się już powstrzymać. Nie wiem, jak się jej pozbyć i obawiam się, że mi się to nie uda. Powie ci z pewnością, że się pobierzemy. To ją napadło dziś rano w samochodzie Dexa. Jest ładna, lecz nie mam na nią ochoty. Sądzę, że jest lekko stuknięta.

- Pocałowałeś ją przede mną.

- To ona mnie pocałowała. Wiesz dobrze, że zawsze odczuwa się wdzięczność wobec osoby, która się tobą opiekuje, kiedy jesteś zalana...

- Czy żałujesz, że ją pocałowałeś?

- Nie - odrzekłem. - Żałuję tylko jednej rzeczy, że to nie ty byłaś pijana tego wieczora zamiast niej.

- Teraz możesz mnie pocałować - powiedziała.

Nie poruszyła się i patrzyła prosto przed siebie, lecz powiedzenie tego musiało ją wiele kosztować.

- Nie mogę cię pocałować - stwierdziłem. - Z Jean to było bez znaczenia. Z tobą źle bym się czuł. Nie dotknę cię nim...

Nie dokończyłem zdania i wydałem niewyraźne mruknięcie pełne zniechęcenia i odwróciłem się na drugi bok.

- Nim co? - zapytała Lou.

Odwróciła się lekko i położyła mi rękę na ramieniu.

- To idiotyczne - powiedziałem. - To niemożliwe... - Powiedz...

- Chciałem powiedzieć... nim się pobierzemy, Lou, ty i ja. Lecz ty jesteś zbyt młoda i nigdy nie uda mi się pozbyć Jean, i ona nigdy nie zostawi nas w spokoju.

- Czy myślisz o tym poważnie?

- O czym?

- By się ze mną ożenić?

- Nie mogę myśleć poważnie o rzeczy niemożliwej - stwierdziłem. - Lecz jeśli chodzi o chęć, to przysięgam ci, że mam na to prawdziwą ochotę.

Wstała z łóżka. Nadal byłem odwrócony na drugi bok. Nic nie mówiła. Ja również nic nie mówiłem i poczułem jak ona wyciąga się na łóżku.

- Lee - powiedziała po chwili.

Czułem, że moje serce bije tak szybko, że aż łóżko lekko rezonuje. Odwróciłem się. Zdjęła swój dezabil i całą resztę, i leżąc na plecach, zamknęła oczy. Pomyślałem, że Howard Hughes mógłby zrobić z tuzin filmów wyłącznie dla piersi tej dziewczyny. Nie dotknąłem jej.

- Nie chcę tego robić z tobą - powiedziałem. - Ta historia z Jean wzbudza we mnie wstręt. Nim mnie poznałyście, doskonale się obie rozumiałyście. Nie chcę rozdzielić was w taki czy inny sposób.

Nie wiem, czy miałem na cokolwiek większą ochotę niż na to, by ją zerznąć, ochotę - sądząc po moich doznaniach - poprawiającą o ból. Lecz udało mi się wytrzymać.

- Jean jest w tobie zakochana - powiedziała Lou. - To widać.

- Nic na to nie poradzę.

Była gładka i szczupła jak źdźbło trawy i pachnąca jak perfumeria. Usiadłem i pochyliłem się nad jej nogami, całowałem wewnętrzną stronę jej ud, w miejscu gdzie skóra kobiety jest równie miękka jak ptasi puch. Zacisnęła nogi, po czym prawie natychmiast je rozchyliła, a ja przeniosłem się nieco wyżej. Jej lśniąca, poskręcane futerko pieściło mój policzek i powoli zacząłem ją lizać, delikatnymi muśnięciami. Jej łono było palące i wilgotne, jędrne pod językiem i miałem ochotę ją ugryźć, lecz wyprostowałem się. Poderwała się i usiadła, i złapała mnie za głowę, by ją umieścić ponownie w stosownym miejscu. Udało mi się nieco wyswobodzić.

- Nie chcę - powiedziałem. - Nie chcę, dopóki ta historia z Jean nie będzie załatwiona.

Nie mogę ożenić się z wami dwiema.

Ugryzłem ją w czubki piersi. Nadal trzymała mnie za głowę i miała zamknięte oczy.

- Jean chce wyjść za mnie za mąż - ciągnąłem. - Dlaczego? Nie wiem. Lecz jeśli odmówię, na pewno się postara, by nam przeszkodzić w spotykaniu się.

Milczała i prężyła się pod moimi pieszczotami. Moja prawa ręka wędrowała tam i z powrotem wzdłuż jej uda, Lou otwierała się z każdym precyzyjnym dotknięciem.

- Widzę tylko jedno rozwiązanie - powiedziałem.

- Mogę poślubić Jean, a ty pojedziesz z nami i na pewno znajdziemy jakiś sposób, żeby się spotykać.

- Nie chcę - szepnęła Lou.

Jej głos brzmiał nierówno i prawie mogłem na nim grać jak na jakimś instrumencie muzycznym. Zmieniała intonację przy każdym nowym dotknięciu.

- Nie chcę, żebyś jej to robił...

- Nic mnie nie zmusza, bym jej to robił - stwierdziłem.

- Och! Zrób to mnie - zawołała Lou. - Zrób to mnie, natychmiast!

Poruszała się za każdym razem, gdy moja ręka przesuwiała się ku górze, a jej ciało podawało się do przodu. Wsadziłem głowę między jej uda i odwracając ją w drugą stronę, plecami do siebie, uniosłem jej nogę i wsunąłem tam twarz. Chwyciłem jej wargi swoimi. Zesztywniała nagle i rozluźniła się prawie natychmiast. Ssałem ją przez chwilę, po czym wycofałem się. Leżała na brzuchu.

- Lou - szepnąłem. - Nie będę się z tobą kochał. Nie będę się z tobą kochał, zanim nie będziemy mieli spokoju. Ożenię się z Jean i jakoś się z tego wydobędziemy. Ty mi pomożesz.

Jednym ruchem przewróciła się na plecy i pocałowała mnie z czymś na kształt furii. Jej zęby zderzyły się z moimi, ja zaś tymczasem pieściłem jej biodra. A potem ująłem ją w pasie i postawiłem na nogi.

- Idź się połóż - rzuciłem. - Powiedzieliśmy wiele głupstw. Idź się grzecznie połóż.

Teraz ja się podniosłem i ucałowałem jej oczy. Na szczęście pod pizamą miałem slipy i udało mi się zachować godność.

Podąłem jej stanik i majteczki, wytarłem jej uda prześcieradłem i wreszcie podniosłem jej przezroczyisty dezabil. Pozwalała sobą manewrować bez słowa, była miękka i ciepła w mych ramionach.

- Lulu, siostrzyczko - powiedziałem. - Pryska jutro rano. Postaraj się być na śniadaniu, lubię na ciebie patrzeć.

Po czym wypchnąłem ją na zewnątrz i zamknąłem drzwi. To pewne, trzymałem w

garści obie dziewczyny. Poczulem przepelniającą mnie wewnętrzną radość, a to pewnie dlatego, że dzieciak przewracał się pod dwoma metrami ziemi, więc wyciągnąłem ku niemu łapę. To jest coś, ucisnąć dłoń brata.

XVI

Kilka dni później dostałem list od Toma. Niewiele pisał mi o swoich sprawach. Z tego co zrozumiałem, to znalazł coś niezbyt ciekawego w jakiejś szkole w Harlemie i cytował mi Pismo Święte wraz z przypisami, gdyż się domyślał, że nie jestem zbyt mocny w te klocki. Chodziło o jakiś ustęp z księgi Hioba, który powiadał: „Chwyciłem me ciało w zęby, złapałem mą duszę w dłonie”. Sądzę, że ten gość - wedle Toma - rozumiał przez to, iż zagrał swą ostatnią kartą, że postawił na nią wszystko, ja natomiast uważam, że jest to skomplikowany sposób gadania o prostych sprawach. Stwierdziłem więc, że Tom nie zmienił się w tym względzie. A jednak był to dzielny facet. Odpisałem mu, że u mnie wszystko gra i posłałem mu pięćdziesiątkę, bo jak sądzą, biedak nie jadał jak należy.

Co do reszty, to nie było nic nowego. Książki i jeszcze raz książki. Dostawałem spisy albumów na Boże Narodzenie i fiszki, które nie pochodziły od firmy, lecz od facetów, którzy rozprawiali je na własny rachunek; mnie jednak umowa zabraniała takich zabaw i nie miałem zamiaru ryzykować. Kilka razy wywaliłem za drzwi innego rodzaju gości, robiących w porno, ale nigdy brutalnie. Faceci ci byli często Murzynami lub Mulatami, a wiem, że takim typkom kiepsko się wiedzie; na ogół brałem od nich jedną lub dwie sztuki i podrzucałem bandzie. Judy szczególnie lubiła takie historie.

Nadal spotykali się w drugstorze i przychodzili do mnie, ja zaś spotykałem się od czasu do czasu z panienkami, na ogół co drugi dzień. Dziewczyny były raczej głupie niż zepsute. Z wyjątkiem Judy.

Jean i Lou miały obie przyjechać do Buckton pod koniec tygodnia. Dwa odrębne spotkania - od Jean miałem telefon, a Lou nie przyjechała. Jean zapraszała mnie na następny weekend i musiałem jej odpowiedzieć, że nie mogę przyjechać. Nie chciałem pozwolić, by ta dziewczyna manipulowała mną jak pionkiem. Nie czuła się dobrze i wolała, żebym przyjechał, lecz powiedziałem jej, że mam zaległą robotę, i obiecała mi, że przyjedzie w poniedziałek o piątej; będziemy mieli dużo czasu do pogadania.

Aż do poniedziałku nie robiłem nic nadzwyczajnego, a w sobotę wieczorem znów zastąpiłem gitarzystę ze „Storka”, co przyniosło mi piętnaście dolarów i alkoholu po uszy. Niezłe płacono w tej knajpie. W domu czytałem lub ćwiczyłem na gitarze. Zarzuciłem nieco grzechotki, łatwo się mogli bez nich obejść. Miałem zamiar wrócić do tego, pozbywszy się już obu córek Asquith. Skombinowałem sobie naboje do zabawki dziecka i nakupowałem różnych narkotyków. Zaprowadziłem samochód do warsztatu na przegląd i facet naprawił mi

kilka drobiazgów, które szwankowały.

Ani znaku życia od Dextera przez cały ten czas. Próbowałem się z nim spotkać w sobotę rano, lecz on właśnie wyjechał na weekend, nie powiedziano mi dokąd. Przypuszczam, że wypuścił się na dziesięć lat do starej Anny, bo reszta bandy również nie wiedziała, gdzie się podziewał przez cały tydzień.

A w poniedziałek o czwartej samochód Jean stanął pod moimi drzwiami; dziewczynie było całkiem obojętne, co sobie ludzie mogą pomyśleć. Wsiadła i weszła do mojego sklepu. Nie było nikogo. Podeszła do mnie i zaserwowała całusa w najlepszym gatunku, ja zaś poprosiłem ją, by usiadła. Celowo nie opuściłem żaluzji, zęby wiedziała, że nie pochwalam jej pomysłu z wcześniejszym przyjściem. Wyglądała bardzo kiepsko, pomimo makijażu, a oczy miała podkrążone. Jak zwykle ubrana była w co tylko najdroższego można włożyć na grzbiet i w kapelusz, który bynajmniej nie pochodził od Macy'ego; postarzał ją zresztą.

- Jak podróż? – zapytałem.

- To całkiem blisko - odpowiedziała. - Zdawało mi się, że będzie dalej.

- Przyjechałaś za wcześnie - zauważyłem. Spojrzała na swój zegarek wysadzany diamentami. - Nie tak bardzo...! Jest za dwadzieścia pięć piąta.

- Czwarta dwadzieścia dziewięć - stwierdziłem. - Śpieszysz się strasznie.

- Czy to ci przeszkadza?

Zrobiła pieszczotliwą minę, która działała mi na nerwy.

- Pewnie. Mam inne rzeczy do zrobienia prócz zabawy.

- Lee - szepnęła - bądź miły...!

- Jestem miły, kiedy robota jest skończona.

- Bądź miły, Lee - powtórzyła. - Będę miała... Jestem... Urwała. Zrozumiałem, lecz musiała to powiedzieć.

- Słucham? - zapytałem.

- Będę miała dziecko, Lee.

- Oj - powiedziałem, grożąc jej palcem - chyba zadałaś się z jakimś mężczyzną.

Zaśmiała się, lecz twarz nadal miała napiętą.

- Lee, musisz się ze mną ożenić możliwie jak najszybciej, w przeciwnym razie wybuchnie straszny skandal.

- Ależ skąd - zapewniałem. - To się często zdarza. Przyjąłem teraz wesoły ton, nie nalepo pozwolić jej prysnąć przed załatwieniem wszystkiego. Kobiety w tym stanie są często nerwowe. Podeszedłem do niej i pogłaskałem po ramionach.

- Nie ruszaj się - powiedziałem. - Zamknę sklep i będziemy mogli spokojnie pogadać.

Oczywiście, łatwiej się jej będzie pozbyć z bachorem. Teraz ma dobry powód, żeby ze sobą skończyć. Podeszedłem do drzwi i uruchomiłem znajdujący się po lewej stronie wyłącznik, który zamykał żaluzję. Opadła powoli, bezgłośnie, nie licząc stukotu nasmarowanych kół zębatych mechanizmu.

Kiedy się odwróciłem, Jean zdjęła już kapelusz i poklepywała się po włosach, zęby przywrócić im puszystość; tak było jej lepiej - naprawdę ładna dziewczyna.

- Kiedy wyjeżdżamy? - zapytała nagle. - Teraz musisz mnie zabrać możliwie jak najszybciej.

- Możemy jechać pod koniec tygodnia - odrzekłem. - Moje sprawy są w porządku, lecz tam będę musiał poszukać nowej roboty.

- Zabiorę pieniądze.

Z całą pewnością nie miałem zamiaru pozwolić się utrzymywać, nawet dziewczynie, którą miałem zamiar skasować.

- Dla mnie to nic nie zmienia - powiedziałem. - Nie ma mowy, żebym wydawał twoje pieniądze. Chcę, zęby to było ustalone raz na zawsze.

Nic nie odpowiedziała. Wierciła się na krześle jak ktoś, kto nie śmie czegoś powiedzieć.

- Śmiało - rzuciłem zachęcająco. - Wyduś z siebie. Co zrobiłaś takiego, o czym mi nie powiedziałaś.

- Napisałam tam - powiedziała. - Znalazłam adres w ogłoszeniach, piszą, że to bezлюдne miejsce, dla amatorów samotności i zakochanych chcących spędzić spokojny miesiąc miodowy.

- Jeśli wszyscy zakochani, którzy chcą mieć spokój, tam się spotykają - mruknąłem - to będzie niezły ścisk...!

Zaśmiała się. Wyglądała na pocieszoną. Nie była to dziewczyna, która długo dusi coś w sobie.

- Odpisali mi - powiedziała. - Mamy domek na noc, a posiłki jada się w hotelu.

- Najlepsze, co możesz zrobić - stwierdziłem - to pojechać przodem, a ja do ciebie dołączę. Tym sposobem będę miał czas, zęby tu wszystko dokończyć.

- Wolałabym pojechać tam z tobą.

- To niemożliwe. Wróc do domu, zęby nie wzbudzać podejrzeń, a walizkę spakuj dopiero w ostatniej chwili. Nie warto zabierać zbyt wielu rzeczy. I nie zostawiaj listu z adresem. Rodzice nie muszą go znać.

- Kiedy przyjedziesz?

- W przyszły poniedziałek. Wyjadę w niedzielę w nocy. Małe były szansę, by ktoś zauważył mój wyjazd w niedzielę w nocy. Lecz była jeszcze Lou.

- Oczywiście - dodałem - przypuszczam, że już powiedziałaś o tym siostrze.

- Jeszcze nie.

- Na pewno się domyśla. Tak czy inaczej, powinnaś jej powiedzieć. Będzie ci mogła posłużyć za pośredniczkę. Dobrze się rozumiecie, prawda?

- Tak.

- A więc powiedz jej, ale dopiero w dzień wyjazdu i zostaw jej adres, lecz w takim miejscu, by go znalazła dopiero po twoim odjeździe.

- Jak mam to zrobić?

- Możesz go wsadzić do koperty, tę zaś przesłać pocztą, znalazłszy się o dwieście czy trzysta mil od domu. Możesz ją zostawić w szufladzie. Jest mnóstwo sposobów.

- Nie podobają mi się wszystkie te komplikacje. Och! Lee! nie możemy wyjechać po prostu we dwoje, mówiąc wszystkim, że chcemy mieć trochę spokoju?

- To niemożliwe - powiedziałem. - Dla ciebie, w porządku. Ale ja nie mam pieniędzy.

- Mnie to obojętne.

- Spójrz w lustro - rzuciłem. - Tobie to obojętne, bo je masz. - Nie śmiem tego powiedzieć Lou. Ona ma dopiero piętnaście lat. Zaśmiałem się.

- Bierzesz ją za dziecko? Powinnaś wiedzieć, że w rodzinie, gdzie są siostry, najmłodsza uczy się wszystkiego w tym samym mniej więcej czasie co najstarsza. Gdybyś miała dziesięcioletnią siostrzyczkę, wiedziałyby na ten temat tyle samo co Lou.

- Ale Lou to dzieciak.

- Pewnie. Wystarczy spojrzeć jak się ubiera. Perfumy, którymi się polewa również świadczą o wielkiej niewinności. Trzeba powiadomić Lou. Powtarzam, że potrzebny ci będzie ktoś, kto będzie mógł posłużyć za łącznika pomiędzy rodzicami a tobą.

- Wolałabym, żeby nikt o tym nie wiedział.

Zaśmiałem się szyderczo z całą złośliwością, jaką udało mi się zgromadzić.

- Nie jesteś zbyt dumna z faceta, którego sobie znalazłaś, co? Wargi zaczęły jej drżeć i pomyślałem, że będzie płakać.

Wstała.

- Dlaczego mi prawisz złośliwości? Sprawia ci przyjemność zadawanie mi bólu? Jeśli nie chcę o niczym mówić, to dlatego, że się boję...

- Czego się boisz?

- Boję się, że mnie opuścisz zanim się pobierzemy. Wzruszyłem ramionami.

- Sądzisz, że małżeństwo mogłoby mnie powstrzymać, gdybym cię chciał opuścić?

- Gdybyśmy mieli dziecko, tak.

- Jeśli będziemy mieli dziecko, nie dostanę rozwodu, to pewne, lecz to nie wystarczy, by mi przeszkodzić opuścić cię, jeśli będę miał na to ochotę...

Tym razem zaczęła płakać. Opadła na krzesło, opuściła głowę i łzy potoczyły się po jej krągłych policzkach. Zdałem sobie sprawę, że trochę za szybko działałem i podszedłem do niej. Położyłem jej rękę na szyi i pogłaskałem po karku.

- Och, Lee! - zawołała. - Jakże to się różni od tego, co sobie wyobrażałam. Myślałam, że będziesz szczęśliwy, mając mnie całkiem dla siebie.

Odpowiedziałem coś idiotycznego, a ona zaczęła wymiotować. Nie miałem nic pod ręką, żadnej serwetki i musiałem pobiec na zaplecze i wziąć ścierkę, którą sprzątaczką szorowała sklep. Przypuszczam, że to z powodu dziecka zrobiło jej się niedobrze. Kiedy przestała czekać wytarłem jej twarz chusteczką do nosa. Oczy lśniły jej od łez, jakby zalane wodą i oddychała głęboko. Buty miała brudne i wyczyściłem je kawałkiem papieru. Zapach mnie odrzucał, lecz pochyliłem się nad nią i pocałowałem. Przycisnęła mnie gwałtownie do siebie szepcząc coś bez ustanku. Nie miałem farta z tą dziewczyną. Ciągle chora, albo za dużo wypila, albo za długo się rznęła.

- Zmykaj szybko - powiedziałem. - Wracaj do domu. Zatroszcz się o siebie, a potem, we czwartek wieczorem, spakuj walizkę i pryskaj. Ja do ciebie dołączę w następnym poniedziałek. Już się zająłem pozwoleniem.

Nagle humor jej się poprawił i uśmiechnęła się niedowierzająco. - Lee... naprawdę?

- Oczywiście.

- Och! Lee, uwielbiam cię... Wiesz, będziemy bardzo szczęśliwi.

Naprawdę nie umiała chować urazy. Dziewczyny są na ogół mniej skłonne do ugody. Postawiłem ją na nogi i zacząłem pieścić jej piersi przez sukienkę. Napięła się i przechyliła. Chciała, żebym kontynuował. Ja wolałem przewietrzyć pomieszczenie, lecz ona uczepliła się mnie i jedną ręką rozpięła mi spodnie. Zadarłem jej sukienkę i wziąłem ją na długim stole, gdzie klienci kładli książki, które przekartkowali; zamknęła oczy i wyglądała jak martwa. Kiedy poczułem, że się rozluźnia, kontynuowałem, aż zaczęła jęczeć i wypuściłem wszystko na jej sukienkę. Wtedy uniosła się i podnosząc rękę do ust, zwymiotowała ponownie.

Potem postawiłem ją na nogi i zapiąłem jej płaszcz; prawie ją zaniósłem do samochodu, wyszedłszy przez tylne drzwi, i posadziłem za kierownicą. Wyglądała jak nieprzytomna, lecz znalazła jeszcze dość siły, by mnie ugryźć w dolną wargę aż do krwi. Ani drgnąłem i patrzyłem jak odjeżdża. Przypuszczam, że na szczęście dla niej, samochód znał

drogę.

Następnie wróciłem do siebie i wziąłem kąpiel, z powodu tego zapachu.

XVII

Aż do tej chwili nawet nie pomyślałem o wszystkich komplikacjach, w jakie miał mnie zaplątać pomysł ze zniszczeniem tych dwóch dziewczyn. W tym momencie naszła mnie ochota, by porzucić mój projekt i pozostawić wszystko swemu biegowi, dalej sprzedawać książki, nie przejmując się niczym. Lecz musiałem to zrobić dla dzieciaka i dla Toma, no i dla siebie również. Znałem facetów będących mniej więcej w mojej sytuacji, którzy zapominali o swojej krwi i stawali po stronie białych w każdych okolicznościach i gdy nadarzyła się okazja, nie wahali się łąć Murzynów. Te typki zabiłbym również z niejaką przyjemnością, lecz należało postępować po kolei. Najpierw panny Asquith. Miałem trzydzieści sześć okazji do skasowania pozostałych: dzieciaków, z którymi się spotykałem, Judy, Jicky, Billa i Berty, lecz to mnie nie interesowało. Zbyt mało reprezentatywni. Panny Asquith miały być moim próbnym uderzeniem. Następnie, myślę, że jakoś sobie radząc, udałoby mi się zlikwidować którąś grubą rybę. Może nie senatora, ale kogoś w tym rodzaju. Trzeba było mi ich wielu, żeby się zaspokoić. Lecz najpierw musiałem się trochę zastanowić nad sposobem wydostania się z tego z dwiema martwymi dziewczynami pod pachą.

Najlepiej byłoby upozorować wypadek samochodowy. Na pewno by się zastanawiano, co też one mogły robić w okolicach granicy, lecz po stwierdzeniu w trakcie autopsji, że Jean była w ciąży, przestano by się dziwić. Lou po prostu miałaby towarzyszyć siostrze. A ja nie miałbym z tym nic wspólnego. Dopiero gdy zapanowałby spokój i byłoby już po sprawie, powiedziałbym o wszystkim rodzicom. Dowiedzieliby się, że ich córka dała się wykiwać Murzynowi. W tym momencie musiałbym zmienić klimat na jakiś czas, a potem należałoby powrócić do dzieła. Plan idiotyczny, lecz takie najlepiej wychodzą. Byłem pewien, że Lou przyjedzie do nas w tydzień po wyjeździe, miałem w garści tę dziewczynę. Wycieczka z siostrą. Jean prowadzi, a potem napad młodości za kierownicą. Cóż bardziej naturalnego? Będę miał czas, żeby wyskoczyć. Tam, dokąd jedziemy, zawsze znajdę miejsce nadające się do tej kombinacji... Lou siedziałaby z przodu wraz z siostrą, ja z tyłu. Najpierw Lou, a gdyby Jean widząc to puściła kierownicę, byłoby po robocie.

Tyle że ta kombinacja z samochodem podobała mi się jedynie połowicznie. Przede wszystkim, to stara sztuczka. A poza tym - a właściwie, po pierwsze - zbyt szybko by się to odbyło. Potrzebny był mi czas, żeby im powiedzieć: dlaczego, musiały wiedzieć, że są w moich łapach, zdawać sobie sprawę z tego, co je czeka.

Samochód... ale dopiero potem. Samochód na zakończenie. Wydaje mi się, że

znalazłem. Najpierw zawieźć je w spokojne miejsce. I tam wykończyć. Podając motywy. Wsadzić je do samochodu i załatwić wypadek. Równie proste, a o wiele bardziej zadowalające. Tak? Wystarczy?

Myślałem o tym jeszcze przez jakiś czas. Robiłem się nerwowy. A potem rzuciłem te wszystkie pomysły w diabły i powiedziałem sobie, że nie odbędzie się to tak, jak wykombinowałem, i przypomniałem sobie o dzieciaku. Przypomniałem sobie również moją ostatnią rozmowę z Lou. Zacząłem działać z tą dziewczyną i zaczęło to nabierać kształtów. A rzecz warta była ryzyka. Samochód, gdybym mógł. Jeśli nie, trudno. Granica jest niedaleko, a w Meksyku nie ma kary śmierci. Sądzę, że przez cały czas miałem w głowie tamten niejasny projekt, który w tym momencie nabierał kolorów i na dobrą sprawę, po prostu go sprecyzowałem.

Przez te kilka dni wypilem sporą ilość burbona. Mózg mój ciężko pracował. Zorganizowałem sobie kilka innych rzeczy, prócz naboju; kupiłem łopatę, motykę i trochę sznurka. Nie wiedziałem jeszcze, czy mój ostatni pomysł się powiedzie. Jeśli tak, naboje będą potrzebne. Jeśli nie, reszta mogła się przydać. Motyka i łopata były zabezpieczeniem dotyczącym innego pomysłu, który mi poszedł na myśl. Wydaje mi się, że faceci przygotowujący taki numer robią błąd, układając już na początku ściśle określony plan. Moim zdaniem, lepiej jest pozwolić działać przypadkowi, lecz kiedy nadarza się stosowna chwila, należy mieć pod ręką wszystko, co niezbędne. Nie wiem, czy się myliłem, nie przygotowując niczego dokładnie, lecz gdy powracałem myślą do tych historii z samochodem i wypadkiem, coraz mniej mi się one podobały. Nie brałem pod uwagę pewnego istotnego czynnika: czasu. Miałem go przed sobą mnóstwo i starałem się unikać tego tematu. Nikt nie znał miejsca, w które się udawaliśmy i myślę, że Lou nie powie o tym nikomu, jeśli nasza ostatnia rozmowa wywarła zamierzony efekt. O tym miałem się przekonać zaraz po przyjeździe.

A potem, w ostatniej chwili, na godzinę przed wyjazdem dopadło mnie coś w rodzaju przecenia i zastanawiałem się, czy jadąc znajdę tam Lou. Był to najgorszy moment, jaki przeszedłem. Siedziałem przy stole i piłem. Nie wiem ile szklanek, lecz miałem umysł tek jasny, jakby burbon Ricarda zamienił się w czystą, zwykłą wodę, i zobaczyłem, co należało uczynić równie wyraźnie, jak widziałem twarz Toma, kiedy w kuchni wybuchł kanister z benzyną. Zszedłem do drugostoru, żeby się zamknąć w kabinie telefonicznej. Wykręciłem numer międzymiastowej i poprosiłem o Prixville. Natychmiast otrzymałem połączenie. Pokojówka powiedziała mi, że Lou zaraz podejdzie i po pięciu sekundach faktycznie podeszła.

- Halo? - powiedziała.

- Tu Lee Anderson. Jak się masz?
- O co chodzi?
- Jean wyjechała, prawda? - Tak.
- Wiesz dokąd? - Tak.
- Powiedziała ci? Usłyszałem jej szyderczy śmiech.
- Zamieściła ogłoszenie w gazecie.

Ta dziewczyna miała rozum na miejscu. Musiała sobie zdawać sprawę już na początku.

- Przyjeżdżam po ciebie.
 - Nie jedziesz do niej?
 - Owszem. Z tobą.
 - Nie chcę.
 - Dobrze wiesz, że pojedziesz.
- Nic nie odrzekła, a ja ciągnąłem dalej.
- Będzie prościej, jak cię zabiorę.
 - To po co mamy jechać do niej? - Trzeba jej powiedzieć... - Co?
- Teraz ja się zaśmiałem.
- Przypomnę ci w czasie podróży. Pakuj walizkę i chodź.
 - Gdzie mam poczekać?
 - Już jadę. Będę tam za dwie godziny.
 - Samochodem?
 - Tak. Czekaj na mnie w swoim pokoju. Zatrąbię trzy razy.
 - Zobaczymy.
 - Na razie.

Nie czekałem na jej odpowiedź i odłożyłem słuchawkę. I wyciągnąłem chusteczkę, zęby wytrzeć sobie czoło. Wyszedłem z kabiny. Zapłaciłem i wróciłem do siebie. Moje rzeczy już były w samochodzie, a pieniądze miałem przy sobie. Napisałem do firmy list, w którym wyjaśniałem, że musiałem pilnie pojechać do chorego brata; Tom mi to wybaczy. Nie wiem, co chciałem zrobić z pracą w księgarni, nie była to taka straszna robota. Nie paliłem za sobą żadnych mostów. Az do tej chwili żyłem bez żadnych problemów, nie wiedząc co to niepewność, z jakiegokolwiek strony, lecz ta historia zaczynała mnie podniecać i wszystko szło mniej gładko niż zwykle. Nie znoszę nie dokończonych prac, a to był właśnie ten przypadek. Rzuciłem okiem dookoła, chcąc sprawdzić, czy czegoś nie zapomniałem, i wziąłem kapelusz. Potem wyszedłem i zamknąłem drzwi. Wziąłem klucz. Nash czekał na mnie za następnym

domem. Przekręciłem kluczyk i ruszyłem. Zaraz za miastem przycisnąłem gaz do dechy i pozwoliłem samochodowi jechać.

XVIII

Na tej drodze było ciemno jak diabli, lecz na szczęście ruch był niewielki. Głównie ciężarówka i to w przeciwną stronę. Prawie nikt nie jechał na południe. Wyciskałem z samochodu, co się dało. Silnik warczał jak traktor, a termometr pokazywał sto dziewięćdziesiąt pięć stopni, ja jednak przyciskałem jeszcze mocniej, a samochód jakoś to znosił.

Chciałem po prostu uspokoić nerwy. Po godzinie tego pędu i hałasu poczułem się trochę lepiej, nieco zwolniłem i znów słyszałem zgrzytanie karoserii.

Noc była wilgotna i zimna. Można już było wyczuć zimę, lecz mój płaszcz leżał w walizce. Panie! Nigdy nie czułem mniejszego zimna. Patrzyłem na drogowskaz lecz droga nie była trudna. Od czasu do czasu spotykało się jedynie stację benzynową, kilka chałup, a potem znów była pusta droga. Jakieś dzikie zwierzę lub sady albo pola uprawne, albo nic.

Myślałem, że będzie mi trzeba dwóch godzin na przebycie tych stu mil. W rzeczywistości było ich sto osiem albo sto dziewięć, nie licząc czasu straconego przy wyjeździe z Buckton i jazdy wokół ogrodu na miejscu. Byłem przed domem Lou po półtorej godzinie, może trochę więcej. Wycisnąłem z nasha wszystko, co się dało. Pomyślałem, że Lou pewnie jest gotowa, toteż powoli przejechałem przez bramę, by możliwie jak najbliżej podjechać pod dom i trzy razy nacisnąłem na klakson. Początkowo nic nie usłyszałem. Z tego miejsca, gdzie się znajdowałem, nie widziałem jej okna, lecz nie ośmieliłem się wysiąść i bojąc się, by kogoś nie obudzić, nie chciałem trąbić ponownie.

Czekałem nadal i spostrzegłem, że moje ręce drżą, gdy zapalałem papierosa dla uspokojenia nerwów. Odrzuciłem go po dwóch minutach i długo się wahałem, nim zatrąbiłem ponownie. A potem, kiedy już miałem wysiąść, domyśliłem się, że nadchodzi i odwróciwszy się, ujrzałem, jak zbliża się do samochodu.

Miała na sobie jasny płaszcz, była bez kapelusza w ręce trzymała wielką torbę z brązowej skóry, która wyglądała jakby chciała pęknąć, i to był cały jej bagaż. Usiadła obok mnie bez słowa. Zamknąłem drzwiczki, pochylając się nad nią, lecz nie próbowałem jej pocałować. Była zamknięta w sobie jak drzwi do sejfu.

Ruszyłem i zakręciłem, by wyjechać na drogę. Lou wpatrywała się w szosę przed sobą. Przyglądałem się jej kątem oka, lecz myślałem, że gdy znajdziemy się za miastem, wszystko pójdzie lepiej. Zrobiłem kolejne sto mil na pełnym gazie. Zaczynało się odczuwać, że Południe jest już niedaleko. Powietrze było bardziej suche, a noc stawała się mniej

mroczna. Lecz przede mną było jeszcze pięćset lub sześćset mil do pokonania.

Nie mogłem dłużej siedzieć koło Lou bez słowa. Zapach jej perfum wypełnił samochód; podniecało mnie to okropnie, bo widziałem, jak stoi w pokoju w podartych majtkach, patrząc na mnie swymi kocimi oczami, i westchnąłem na tyle mocno, by to zauważyła. Wyglądało, jakby się ocknęła i w pewnym sensie powróciła do życia, więc spróbowałem stworzyć bardziej serdeczną atmosferę, bo jak na razie była raczej dość napięta.

- Nie zimno ci?

- Nie - odrzekła.

Zadrzała i to ją wprowadziło w jeszcze gorszy humor. Zdawało mi się, że odgrywa coś w rodzaju sceny zazdrości, lecz musiałem zająć się prowadzeniem i nie mogłem tego załagodzić przy pomocy samych słów, zwłaszcza że wykazywała ona przy tym tyle złej woli. Trzymałem kierownicę jedną ręką, a drugą pogrzebałem w kasetce z prawej strony. Wyciągnąłem stamtąd butelkę whisky i położyłem jej na kolanach. W kasetce był jeszcze plastikowy kubeczek. Wyciągnąłem go i położyłem koło butelki, po czym zamknąłem kasetkę i przekręciłem wyłącznik radia. Powinienem był pomyśleć o tym wcześniej, lecz zdecydowanie czułem się nieswojo.

To myśl o tym, że wszystko było dopiero przede mną, tak mnie wyprowadziła z równowagi. Na szczęście Lou wzięła butelkę i odkorkowała ją, po czym nałala sobie do kubeczka i wypila jednym haustem. Wyciągnąłem rękę. Napełniła kubek ponownie i opróżniła go po raz drugi. I dopiero w tym momencie mi nałala. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, co piję i oddałem jej kubek. Wsadziła wszystko do kasetki, rozluźniła się nieco na siedzeniu i rozpięła dwa guziki przy płaszczu. Miała na sobie dość krótki kostium z dużymi klapami. Marynarkę również rozpięła. Pod spodem widać było cytrynowy pulower założony na gołe ciało i dla bezpieczeństwa starałem się przezornie patrzeć na drogę.

Teraz w samochodzie pachniało jej perfumami i alkoholem, trochę papierosami; prawdziwy zapach, który może uderzyć do głowy. Lecz nie otwierałem okien. W dalszym ciągu nie rozmawialiśmy, trwało to jeszcze przez pół godziny; a potem ona otworzyła kasetkę i wypila jeszcze dwa kubki. Gdy wykonywała ruch i przybliżyła się do mnie, pochyliłem się nieco i pocałowałem ją w szyję, tuż za uchem. Odsunęła się gwałtownie, odwróciła i popatrzyła na mnie. I nagle wybuchnęła śmiechem. Myślę, że whisky zaczynało działać. Prowadziłem jeszcze przez pięćdziesiąt mil bez słowa, aż wreszcie zaatakowałem. Ona jeszcze napiła się whisky.

- Coś jesteś nie w formie?

- Wszystko gra - powiedziała powoli.

- Nie masz ochoty jechać ze starym Lee?
- Och, w porządku!
- Nie chcesz się spotkać z siostrzyczką?
- Nie mów mi o siostrze.
- To miła dziewczyna...
- Tak, i nieźle się rżnie, co?

Odjęło mi mowę. Ktokolwiek inny mógłby mi to powiedzieć i nie zwróciłbym na to uwagi, Judy, Jicky, B.J., ale nie Lou. Dostrzegła, że mnie zamurowało i uśmieła się tak, że omal się nie udusiła. Kiedy się śmiała, widać było, że się upiła.

- Czy to nie tak się określa?
- Owszem - przytaknąłem. - Dokładnie tak. - I czy tak nie jest...?
- Nie wiem.

Zaśmiała się ponownie.

- Daj spokój, Lee. Nie jestem już w tym wieku, by sądzić, że można sobie zrobić dzieciaka, całując się w usta!

- Ktoś mówi o dziecku?
- Jean spodziewa się dziecka. - Chora jesteś?
- Zapewniam cię, Lee, że nie warto się dłużej wysilać. Ja wiem swoje.
- Nie spałem z twoją siostrą.
- Owszem.
- Nie zrobiłem tego, a gdybym nawet to zrobił, to nie spodziewa się dziecka.
- To dlaczego jest jej niedobrze przez cały czas?
- Było jej niedobrze u Jicky, a przecież nie zrobiłem jej dziecka. Twoja siostra ma delikatny żołądek.

- A cała reszta? Nie jest zbyt delikatna?

Po czym rzuciła się na mnie z pięściami. Schowałem głowę w ramiona i przyspieszyłem. Waliła mnie ze wszystkich sił; nie było to nic wielkiego, a jednak czułem. Zamiast mięśni miała ścięgna, i dobrą zaprawę przy tenisie. Kiedy przestała, cały się wstrząsnąłem.

- Lepiej ci?
- Czuję się świetnie. A Jean, też się po tym czuła świetnie?
- Po czym?
- Po tym jak ją zerżnąłeś?

Najwyraźniej odczuwała sporą przyjemność, poważając to słowo. Gdybym jej w tym

momencie wsadził rękę między uda, jestem pewien, że musiałbym się potem wytrzeć.

- Och! - zawołałem. - Ona już to wcześniej robiła! Znowu zasypała mnie lawiną ciosów.

- Lee Anderson, jesteś podłym kłamcą. Dyszała po tym wysiłku i patrzyła na drogę.

- Sądzę, że wolałbym rznąć ciebie - powiedziałem. - Bardziej mi się podoba twój zapach i masz na łonie więcej włosków. Ale Jean rżnie się nieźle. Będzie mi jej żal, kiedy już się jej pozbędziemy.

Ani drgnęła. Łyknęła to gładko, jak i całą resztę. Miałem ściśnięte gardło i nagle doznałem czegoś w rodzaju olśnienia, bo zacząłem zdawać sobie sprawę.

- Czy zrobimy to od razu - szepnęła Lou - czy dopiero potem?

- Co? - spytałem cicho.

Mówiłem z trudem.

- Zerzniesz mnie...? - spytała tak cicho, że raczej zrozumiałem, co mówiła, niż usłyszałem naprawdę.

Teraz byłem podniecony jak byk i było to prawie bolesne.

- Najpierw trzeba się jej pozbyć - powiedziałem. Zrobiłem to tylko po to, żeby sprawdzić, czy naprawdę mam ją w garści.

- Nie chcę - odrzekła.

- Tak bardzo ci zależy na siostrze, co? Pękasz...! - Nie chcę czekać tak długo...

Na szczęście dla mnie dostrzegłem stację benzynową i zatrzymałem samochód. Musiałem pomyśleć o czymś innym, żeby nie stracić zimnej krwi. Nie wychodząc z samochodu, poprosiłem faceta, by mi nalał do pełna. Lou pociągnęła za klamkę od drzwi i wyskoczyła na ziemię. Szepnęła coś i mężczyzna wskazał na zabudowania. Zniknęła i powróciła po dziesięciu minutach. Skorzystałem z tego, by dopompować lekko sflaczałą oponę i poprosić gościa, by mi przyniósł sandwicza, którego nie mogłem przełknąć.

Lou usiadła ponownie. Zapłaciłem i mężczyzna poszedł się położyć. Ruszyłem i zacząłem gnać jak na złamanie karku przez godzinę albo dwie. Lou ani drgnęła. Wyglądała jakby spała: całkiem się uspokoiłem i nagle ona przeciągnęła się, otworzyła kasetkę i tym razem wychyliła trzy kubki z rzędu.

Nie mogłem nawet patrzeć, jak się porusza, by się nie podniecić znowu. Usiłowałem nadal prowadzić, lecz dziesięć mil dalej zatrzymałem gablotę na skraju drogi. Była jeszcze noc, czuło się jednak, że wkrótce nadejdzie świt, a w zakątku tym nie wiał wiatr. Kępy drzew i krzewów. Przez jakieś miasto przejechaliśmy pół godziny wcześniej.

Kiedy zahamowałem, złapałem za butelkę i wypilem łyk, po czym kazałem jej

wysiąść. Otworzyła drzwi i wzięła torebkę, a ja poszedłem za nią. Poszła w kierunku drzew, zatrzymała się tam i poprosiła mnie o papierosa; zostawiłem je w samochodzie. Kazałem jej zaczekać, zaczęła przeszukiwać torebkę, żeby je znaleźć, lecz ja już wystartowałem i pobiegłem do samochodu. Wziąłem również butelkę. Była prawie pusta, lecz miałem jeszcze inne w bagażniku.

Kiedy wróciłem, szło mi się z trudem i nim do niej doszedłem, zacząłem się rozpinać; w tym momencie ujrzałem błysk wystrzału rewolwerowego i w tej samej chwili doznałem wrażenia, że mój lewy łokieć wybucha; moje ramię osunęło się po klatce piersiowej: gdybym się właśnie nie szykował, utargowałbym kulę w płuco.

Wszystko to przeleciało mi przez myśl w ciągu jednej sekundy, w następnej byłem już na niej i wykręcałem jej nadgarstek, po czym wymierzyłem jej cios pięścią w skroń, z całej siły, bo próbowała mnie ugryźć; lecz zajmowałem złą pozycję i cierpiałem jak potępieniec. Zainkasowała uderzenie i rozciągnęła się na ziemi bez ruchu, lecz to mnie nie zadowoliło. Podniosłem rewolwer i schowałem go do kieszeni. Był to tylko kaliber 6,35, taki jak mój, lecz łajdaczka dobrze wycelowała. Przytrzymałem lewe ramię prawą ręką i musiałem wykrzywić się jak chińska maska, byłem jednak tak wściekły, że nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo cierpię.

Znalazłem to czego szukałem - sznur - i wróciłem. Lou zaczęła się poruszać. Miałem tylko jedną dłoń, by jej związać ręce, i sprawiło mi to sporo kłopotu, lecz skończywszy, zacząłem ją bić po twarzy. Ściągnąłem jej spódnicę, rozdarłem pulower i znów zacząłem ją policzkować. Musiałem ją przytrzymać kolanem, kiedy ściągałem ten przekłety sweter, i udało mi się jedynie ściągnąć przód. Zaczynało świtać; fragment jej ciała spoczywał w głębszym mroku, pod drzewem.

W tym momencie próbowała ze mną rozmawiać i powiedziała, że jej nie dostanę, że właśnie zadzwoniła do Dexa, żeby zawiadomił gliniarzy, i że pomyślała, że jestem podłą gniadą, kiedy jej powiedziałem o zlikwidowaniu Jean. Zaśmiałem się i ona też skrzywiła się w czymś w rodzaju uśmiechu, wtedy przyłożyłem jej pięścią w szczękę. Pierś miała zimną i twardą, zapytałem ją, dlaczego do mnie strzeliła i próbowałem się opanować; powiedziała mi że jestem parszywym czarnuchem, że Dexter jej to powiedział i że pojechała ze mną tylko po to, żeby ostrzec Jean, że mnie nienawidzi, jak nigdy nikogo w życiu.

Zaśmiałem się ponownie. Serce waliło w mojej piersi jak kowalski młot, ręce drżały, a lewy łokieć mocno krwawił, czułem, jak krew spływa mi po przedramieniu.

Wtedy opowiedziałem jej, że biali wykończyli mojego brata, że mnie tak łatwo nie dostaną, ale ona w każdym razie na pewno się nie wywinie, i zacisnąłem dłoń na jednej z jej

piersi, tak iż omal nie zemdląca, lecz nic nie odrzekła. Biłem ją po twarzy z całych sił. Znowu otworzyła oczy. Wstawał dzień i widziałem jak lśnią od łez i wściekłości; pochyliłem się nad nią; wydaje mi się, że ziajałem jak jakieś zwierzę i ona zaczęła wrzeszczeć. Ugryzłem ją prosto między uda. Miałem usta pełne czarnych, sztywnych włosów, nieco zwolniłem uchwyt i złapałem trochę niżej, tam gdzie ciało jest delikatniejsze. Byłem skąpany w zapachu jej perfum - czuć go było nawet tam - i zacisnąłem zęby. Usiłowałem zatkać jej usta dłonią, lecz ona kwiczała jak zarzynany wieprz, był to wrzask poprawiający o gęsią skórę. Wtedy zacisnąłem zęby ze wszystkich sił i wgryzłem się głębiej. Poczułem jak krew sika mi do ust, a jej biodra podskakiwały pomimo więzów. Całą twarz miałem we krwi i wycofałem się nieco na kocach. Nigdy nie słyszałem krzyczącej w ten sposób kobiety, nagle zdałem sobie sprawę, że spuściłem się w majtki; wstrząsnęło to mną jak nigdy w życiu, lecz bałem się, by ktoś nie nadszedł. Zapaliłem zapalnik i ujrzałem, że mocno krwawi. Wreszcie zacząłem ją okładać po wierzchu, najpierw tylko prawą pięścią po szczęce, poczułem jak łamią się jej zęby i lałem dalej, chciałem, żeby przestała wrzeszczeć. Uderzyłem jeszcze mocniej, a potem podniosłem spódnicę, wepchnąłem jej do ust i usiadłem na jej głowie. Wiła się pode mną jak glista. Nigdy bym nie przypuszczał, że ma taki twardy żywot; wykonała ruch tak gwałtowny, że sądziłem, iż moje lewe ramię urwało się; zdałem sobie sprawę, że w tym momencie ogarnęła mnie taka wściekłość, iż gotów byłem obdrzeć ją ze skóry. Wtedy podniosłem się, by ją wykończyć kopniakami i kładąc but na jej gardle, napałem całym ciężarem. Kiedy przestała się poruszać, poczułem, że mam mokro w spodniach po raz drugi. Teraz kolana drżały pode mną i bałem się nawet rozejrzeć dookoła.

XIX

Powinienem być pójść po motykę i łopatę i zagrzebać ją, lecz teraz już bałem się policji. Nie chciałem, by mnie złapano, nim nie zlikwiduję Jean. To pewne, teraz prowadził mnie dzieciak. Klęknąłem przy Lou. Rozwiązałem sznurek krępujący ręce. Na przegubach miała głębokie ślady i była miękka w dotyku jak nieboszczyk zaraz po śmierci; piersi już się deformowały. Nie ściągnąłem sukienki z twarzy, nie chciałem jej widzieć. Zabrałem zegarek. Potrzebowałem czegoś, co należało do niej.

Nagle przypomniałem sobie o mojej twarzy i pobiegłem do wozu. Patrząc w lusterko, stwierdziłem, że nie trzeba wiele poprawiać. Umyłem się odrobiną whisky; moja ręka już nie krwawiła. Udało mi się wydobyć ją z rękawa i mocno przywiązać do ciała przy pomocy szalika i sznurka. O mało nie zaskowyczałem, tak mnie to bolało, bo musiałem ją zgiąć; udało mi się to jednak, gdy wyciągnąłem z kufra drugą butelkę. Straciłem mnóstwo czasu, a słońce wschodziło coraz jaśniej. Wziąłem płaszcz Lou z samochodu i rzuciłem go na nią, nie chciałem ciągnąć go ze sobą. Nie czułem już nóg, lecz ręce drżały mi nieco mniej.

Usiadłem za kierownicą i ruszyłem. Zastanawiałem się, co też mogła powiedzieć Dexowi; ta jej historia o policji zaczęła mnie niepokoić, ale tak do końca w nią nie wierzyłem. To było gdzieś w tle, jak podkład muzyczny.

Chciałem mieć Jean teraz i znów poczuć to, co poczułem dwukrotnie, wykańczając jej siostrę. Znalazłem to, czego zawsze szukałem. Policja drażniła mnie, lecz na całkiem innej płaszczyźnie; nie mogli mi przeszkodzić w tym, co chciałem zrobić, miałem zbyt duże wyprzedzenie. Byli zmuszeni puścić się galopem, żeby mnie złapać. Mnie pozostało do pokonania nieco mniej niż trzysta mil. Moje lewe ramię było teraz prawie całkiem sparaliżowane, widać całkiem się wykrwawiło.

XX

Zacząłem sobie przypominać różne rzeczy mniej więcej na godzinę przed zajechaniem na miejsce. Przypomniałem sobie dzień, w którym wziąłem gitarę do ręki po raz pierwszy. Było to u sąsiada, który dał mi kilka lekcji potajemnie; pracowałem tylko nad jedną piosenką: „When the Saints go marchin on” i nauczyłem się ją grać w całości z breakiem i jednocześnie śpiewać. I pewnego wieczoru pożyczyłem gitarę od sąsiada, żeby zrobić w domu niespodziankę; Tom zaczął śpiewać ze mną; dzieciak niemal oszalał, zaczął tańczyć wokół stołu, jak gdyby brał udział w paradzie, wziął kij i kręcił nim młynki. W tym momencie wszedł ojciec i śmiał się, i śpiewał z nami. Odniosłem gitarę sąsiadowi, lecz nazajutrz znalazłem taką samą przy łóżku, kupioną okazyjnie, lecz w bardzo dobrym stanie. Codziennie ćwiczyłem na niej choć trochę. Gitara to instrument, który może uczynić z człowieka leniucha. Bierze się ją, gra jedną piosenkę, potem odkłada, trochę się człowiek powałkoni, znów ją weźmie, żeby brzdąknąć ze dwa akordy lub poakompaniować sobie przy gwizdaniu. Tym sposobem dni szybko płyną.

Opanowałem się podskoczywszy na jakimś wyboju na drodze. Przypuszczam, że zasypiałem. Nie czułem już wcale lewej ręki i strasznie mi się chciało pić. Usiłowałem znów pomyśleć o starych czasach dla odwrócenia uwagi, gdyż tak nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie zajadę, że gdy tylko odzyskiwałem świadomość, moje serce tłukło się o zębra, a prawa ręka drżała na kierownicy; a miałem przecież tylko jedną rękę do prowadzenia. Zastanawiałem się, co robił Tom w tym momencie, pewnie się modlił albo uczył czegoś dzieciaki; od Toma doszedłem do Cierna, do miasta Buckton, gdzie spędziłem trzy miesiące na prowadzeniu księgarni, która dawała mi niezły dochód, przypomniałem sobie Jicky i ten dzień, kiedy zerznąłem ją w wodzie, i że tego dnia rzeka była przezroczysta. Jicky młoda, gładka i naga, podobna do niemowlęcia i nagle przywiodło mi to na myśl Lou i jej czarne futerko, gęste i poskręcane, i smak, jaki poczułem gryząc ją, smak delikatny, lekko słonawy i ciepły, wraz z zapachem perfum na udach; miałem jeszcze w uszach jej krzyki. Czułem, jak pot spływa mi po czole i nie mogłem puścić tej cholernej kierownicy, zęby go wytrzeć. Żołądek wywoływał we mnie takie uczucie, jakby był nadmuchiwany gazem i pęczniał, napierając na przeponę, by mi zmiażdżyć płuca, zaś Lou krzyczała w moich uszach. Złapałem za przycisk klaksonu przy kierownicy; klakson drogowy - ebonitowy pierścień, miejski - czarny przycisk na środku kierownicy; przycisnąłem oba jednocześnie, zęby stłumić te krzyki.

Zapewne jechałem z prędkością mniej więcej osiemdziesięciu pięciu mil na godzinę,

nie dało się już jechać szybciej, lecz droga zaczęła nieco opadać i widziałem, jak wskazówka dochodzi do dwóch kropek, trzech i wreszcie czterech. Już od dawna było całkiem widno. Mijałem teraz samochody, kilka wyprzedziłem. Po paru minutach wyłączyłem oba kesony, bo mogłem spotkać gliniarzy na motorach, a nie miałem dość paliwa, by się z nimi ścigać. Jak zajadę, wezmę samochód Jean, ale Panie, kiedy ja tam zajadę...?

Wydaje mi się, że zacząłem chrząkać w samochodzie, chrząkać jak wieprz, przez zęby, żeby jechać jeszcze szybciej i wziąłem zakręt ze strasznym piskiem opon. Nash zatoczył się gwałtownie, lecz złapał równowagę, znalazłszy się prawie na lewej stronie drogi, a ja nadal przyciskałem do dechy, lecz teraz śmiałem się i byłem wesoły jak dzieciak, który kręcił się wokół stołu, śpiewając „When the Saints...”, i prawie już się nie bałem.

XXI

To paskudne drzenie ręki powróciło, kiedy zajechałem pod hotel. Było prawie pół do dwunastej; Jean zapewne czekała na mnie z obiadem, tak jak ją o to prosiłem. Otworzyłem drzwiczki z prawej strony i tędy wysiadłem, gdyż z moją ręką ciężko mi było zrobić inaczej.

Hotel był czymś w rodzaju białego budynku w miejscowym stylu, z opuszczonymi żaluzjami. W tym zakątku było jeszcze sporo słońca, mimo że był to koniec października. Nikogo nie spotkałem w sali na dole. Było to odległe od wystawnego pałacu, jaki zapowiadało ogłoszenie, lecz jeśli ktoś chciał się znaleźć w samotności, to nie było mu potrzeba niczego więcej.

Naliczyłem nie więcej niż tuzin innych domów, w tym stacja benzynowa udająca również bistro, z dala od drogi, przeznaczona niewątpliwie dla kierowców ciężarówek. Wyszedłem z hotelu. Z tego, co pamiętałem, domki, w których się spało, były oddalone od hotelu i pomyślałem, że znajdują się pewnie na końcu drogi odchodzącej od głównej szosy pod kątem prostym, wysadzonej koślawymi drzewami i porośniętej nędzną trawą. Zostawiłem nasha i poszedłem tamtędy. Droga natychmiast zakrecała i zaraz natrafiłem na samochód Jean stojący przed skromnym, czystym, dwuizbowym domkiem. Wszedłem bez pukania.

Siedziała w fotelu i wyglądała jakby spała, kiepsko wyglądała, lecz jak zwykle była dobrze ubrana. Chciałem ją obudzić; telefon - był również telefon - zaczął dzwonić w tym samym momencie. Wściekłem się głupio i skoczyłem ku niemu. Moje serce znów zaczęło walić. Podniosłem słuchawkę i odłowem ją natychmiast. Wiedziałem, że tylko Dexter mógł dzwonić, Dexter albo policja. Jean przecierała oczy. Wstała i nim zdążyła cokolwiek zrobić, pocałowałem ją tak, że aż krzyknęła. Rozbudziła się nieco bardziej. Objąłem ją ramieniem, chcąc wyprowadzić. W tej chwili dostrzegła pusty rękaw.

- Co ci jest, Lee?

Miała przestraszoną minę. Zaśmiałem się. Śmiech mi nie wychodził.

- Nic takiego. Upadłem idiotycznie, wysiadając z wozu i zwichnąłem sobie łokieć.

- Ależ ty krwawiłeś!

- Zdraśnięcie... Chodź Jean. Mam dość tej podróży. Chcę być tylko z tobą.

Wówczas znów zaczął dzwonić telefon i było to jakby prąd elektryczny przeszedł przeze mnie zamiast popłynąć przewodami. Nie mogłem się powstrzymać i złapałem aparat, by nim rzucić o podłogę.

Wykończyłem go obcasami. Nagle poczułem się tak, jakbym miażdżył butami twarz

Lou. Znow zlał mnie pot i omal nie zwałem. Wiedziałem, że drżą mi usta i musiałem wyglądać jak szaleniec.

Na szczęście Jean nie upierała się. Wyszła i kazałem jej usiąść w samochodzie; mieliśmy pojechać nieco dalej, żeby mieć trochę spokoju i potem wrócić na obiad. Było już dość późno jak na obiad, lecz ona zdawała się być bezwładna. Ciągłe chora, jak sądzę, z powodu oczekiwanego dziecka. Nacisnąłem na gaz. Samochód wystartował, wciskając nas w siedzenia, tym razem był to już prawie koniec, hałas tego silnika powrócił mi spokój. Powiedziałem coś do Jean, by się wytłumaczyć za tę historię z telefonem, zaczęła dostrzegać, że zaczynam gonić w piętę i była pora, żebym przestał się tak zachowywać. Przytuliła się do mnie i złożyła głowę na moim ramieniu.

Poczekalem, aż przejedziemy dwadzieścia mil i znalazłem miejsce, by się zatrzymać. W tym miejscu droga biegła po nasypie, pomyślałem, że po skarpie jakoś to pójdzie. Zatrzymałem się. Jean wysiadła pierwsza. Namacałem w kieszeni rewolwer Lou. Nie chciałem się nim posłużyć natychmiast. Nawet jedną ręką powinno mi się udać również z Jean. Pochyliła się, by poprawić but i ujrzałem jej uda pod krótką sukienką opinającą jej biodra. Poczulem, że zaschło mi w ustach. Zatrzymała się przy krzewie. Był tam taki ką, z którego na siedząco nie dało się dojrzeć drogi.

Wyciągnęła się na ziemi; posiadałem ją tam natychmiast, ale nie do końca. Usiłowałem się uspokoić, mimo że cholernie ruszała biodrami; udało mi się doprowadzić ją do rozkoszy, nim sam ją osiągnąłem. W tym momencie odezwałem się do niej.

- Nadal robi na tobie takie wrażenie śpienie z kolorowymi? Nic nie odrzekła. Była kompletnie osłupiała.

- Bo jeśli o mnie chodzi, to jestem kimś takim w więcej niż jednej ósmej.

Ponownie otworzyła oczy, a ja zaśmiałem się szyderczo. Nic nie rozumiała. Więc wszystko jej opowiedziałem; całą historię o dzieciaku, jak zakochał się w pewnej dziewczynie i w jaki sposób ojciec i brat dziewczyny zajęli się nim później; wyjaśniłem jej, co chciałem zrobić z nią i Lou, żeby obie zapłaciły za niego jednego. Pogrzebałem w kieszeni i wyciągnąłem bransoletkę z zegarkiem Lou, pokazałem jej i powiedziałem, że żałuję, że nie przyniosłem oka siostry, lecz oba były zbyt uszkodzone po małej kuracji mego pomysłu, którą jej zaserwowałem.

Z trudem to wszystko mówiłem. Nie mogłem znaleźć słów. A ona, z zamkniętymi oczami i sukienką zadartą aż po brzuch, leżała rozciągnięta na ziemi. Znow poczułem to coś, co wędrowało po moich plecach, moja dłoń zacisnęła się na jej gardle i nie mogłem jej w tym przeszkodzić; stało się, to było tak silne, że puściłem ją i prawie stanąłem na równe nogi.

Miała już siną twarz, lecz nie ruszała się. Pozwalała się udusić bez sprzeciwu. Chyba jeszcze oddychała. Wyjąłem rewolwer Lou z kieszeni i z bliska wystrzeliłem dwie kule prosto w szyję. Krew zaczęła wypływać wielkimi bąblami, powoli, urywanymi skokami, z wilgotnym odgłosem. Przez powieki widać było jedynie białą linię jej oczu; wykonała coś w rodzaju skurczu i sądzę, że w tym momencie umarła. Odwróciłem ją, żeby nie widzieć twarzy, i dopóki była jeszcze ciepła, zrobiłem jej to, co kiedyś u niej w pokoju.

Zaraz potem prawdopodobnie zemdląłem; kiedy odzyskałem świadomość, była całkiem zimna i nie dawała się poruszyć. Wtedy ją zostawiłem i ruszyłem do samochodu. Ledwie mogłem powłóczyć nogami; świetliste smugi latały mi przed oczami; kiedy usiadłem za kierownicą, przypomniałem sobie, że whisky została w nashu i powróciło drżenie ręki.

XXII

Sierżant Culloughs odłożył fajkę na biurko.

- Nigdy nie uda nam się go zatrzymać - powiedział. Carter pokiwał głową.

- Można spróbować.

- Nie można przy pomocy dwóch motorów zatrzymać faceta pędzącego z prędkością sto mil na godzinę ośmiuset kilowym samochodem!

- Można spróbować. Ryzykuje się życiem, ale można spróbować.

Barrow jeszcze nic nie powiedział. Był to wysoki gość, szczupły i ciemnowłosy, niezdarly, mówiący z przeciągłym akcentem.

- Ja mogę - powiedział.

- Ruszamy? - zapytał Carter. Culloughs popatrzył na nich.

- Chłopaki - powiedział - ryzykujecie własną skórą, lecz jeśli wam się uda, awans murowany.

- Nie można pozwolić, żeby ten przeklęty czarnuch utopił cały stan w krwi i ogniu - stwierdził Carter.

Culloughs nic nie odrzekł i popatrzył na zegarek.

- Jest piąta - powiedział. - Dzwoniono dwie minuty temu. Powinien przejeżdżać za jakieś pięć minut... o ile będzie przejeżdżał - dodał.

- Zabił dwie dziewczyny - rzekł Carter.

- I właściciela warsztatu samochodowego - dorzucił Barrow. Sprawdził, czy colt stuka go po udzie i skierował się ku drzwiom.

- Już za nim jadą - powiedział Culloughs. - Jak wynika z ostatnich wiadomości, nadal się trzymają. Samochód szefa już wyruszył, a teraz czekają na następny.

- Lepiej byłoby już ruszać - stwierdził Carter. - Siadaj z tyłu - rzucił do Barrowa. - Bierzemy tylko jeden motor.

- To niezgodne z regulaminem - zaprotestował sierżant.

- Barrow potrafi strzelać - rzekł Carter. - Samemu nie można prowadzić i strzelać.

- Och, radźcie sobie sami! - zawołał Culloughs. - Ja umyłam ręce.

Motor wystartował z kopyta. Barrow uczeplił się Cartera, który omal nie zleciał. Siedział w przeciwnym kierunku, plecami opierając się o plecy Cartera. Spięci byli skórzany pasem.

- Za miastem zwolnij - powiedział Barrow.

- To niezgodne z regulaminem - wymamrotał Culloughs mniej więcej w tym samym momencie i spojrzał na motocykl Barrowa z melancholijnym wyrazem twarzy.

Wzruszył ramionami i wrócił na posterunek. Prawie natychmiast z niego wyszedł i ujrzał znikający tył wielkiego, białego buicka, który przeleciał z grzmiotem silnika. A potem usłyszał syreny i ujrzał cztery przejeżdżające motory - było ich więc czterech - i podążający tuż za nimi samochód.

- Parszywa droga! - mruknął jeszcze Culloughs. Tym razem pozostał na zewnątrz. Słyszał cichnący w oddali dźwięk syren.

XXIII

Lee poruszał szczęką jakby coś przeżuwał. Jego prawa ręka przemieszczała się nerwowo po kierownicy, podczas gdy on całym ciężarem naciskał na pedał gazu. Oczy podeszły mu krwią, a pot spływał po twarzy. Jego blond włosy były posklejane i zakurzone. Nadstawivszy ucha, ledwie słyszał za sobą dźwięk syren, lecz droga była zbyt kiepska, by mogli do niego strzelać. Tuż przed sobą dostrzegł motocykl i skręcił w lewo, by go wyprzedzić, lecz tamten zachował odległość i przednia szyba nagle pokryła się siatką pęknięć, zaś on dostał w twarz kawałkami szkła zamienionego w sześcienne kryształki. W stosunku do buicka motor wydawał się prawie nieruchomy i Barrow celował równie starannie, jak na strzelnicy. Lee dostrzegł błysk drugiego i trzeciego wystrzału, lecz kule chybiły celu. Teraz starał się jechać zygzakami, całą szerokością drogi, by uniknąć pocisków, lecz przednia szyba znowu się rozprysła jeszcze bliżej jego twarzy. Czuł teraz gwałtowny pęd powietrza, które wpadało przez całkiem okrągły otwór po sporej sztabce miedzi, jaką może wypluć czterdziestka piątka.

Nagle doznał uczucia, że buick przyspiesza, gdyż zbliżył się do motoru, lecz nagle zrozumiał, że jest wprost przeciwnie, to Carter właśnie zwalniał. Na jego twarzy pojawił się niewyraźny uśmiech, podczas gdy jego stopa powoli unosiła się znad pedału gazu. Między dwoma pojazdami zostało zaledwie dwadzieścia metrów, piętnaście, dziesięć; Lee znów przycisnął do dechy. Ujrzał twarz Barrowa tuż przy swojej i aż podskoczył pod wpływem uderzenia pocisku, który przeszył mu prawe ramię; wyprzedził motocykl, zaciskając zęby, żeby nie wypuścić kierownicy; znalazłszy się przed nimi, nie ryzykował już niczym.

Droga zakręciła gwałtownie i znów stała się prosta. Carter i Barrow w dalszym ciągu byli jak przyklejeni do jego tylnych kół. Pomimo chwili przerwy, czuł teraz wszystkie swe obolałe członki przy najmniejszej nierówności drogi. Popatrzył we wsteczne lustro. Widać było tylko dwóch ludzi i dostrzegł, jak Carter zwalnia i staje, by Barrow mógł przesiąść się we właściwym kierunku, gdyż teraz nie mogli podjąć ryzyka wyprzedzenia go.

Sto metrów dalej droga odbijała w prawo. Lee dostrzegł jakiś budynek. Nie przestając przyspieszać, popędził przez świeżo zaorane pole, ciągnące się przy drodze. Buick wykonał straszny skok, ryjąc przodem w ziemię i zadzierając tył, lecz udało mu się go wyprostować przy chrzęście wszystkich metalowych części i stanął przed stodołą. Lee dopadł do drzwi. Teraz obie ręce rwały go bez przerwy. Krążenie zaczęło wracać w jego lewym ramieniu, nadal przytroczonym do ciała, co sprawiało, że wydawał z bólu jęki. Skierował się w stronę

drewnianej drabiny, prowadzącej na strych, i rzucił się na szczeble. Omal nie stracił równowagi, udało mu się ją jednak zachować dzięki jakiemuś nieprawdopodobnemu wygięciu i wbiciu zębów w jeden z okrągłych palików z chropowatego drewna. Stał tak na drabinie, w połowie wysokości, dysząc, a drzazga wbijała mu się w wargę. Zdał sobie sprawę, jak bardzo zacisnął szczęki, czując w ustach ponownie ów słonawy smak ciepłej krwi, ciepłej krwi, którą pił z ciała Lou, spomiędzy jej ud wypachnionych francuskimi perfumami, które nie były stosowne do jej wieku. Ponownie ujrzał umęczone usta Lou, spódnicę od kostiumu umazaną krwią i ponownie świetliste smugi zatańczyły mu przed oczami.

Powoli, z trudem wszedł o kilka szczebli wyżej, zaś na zewnątrz rozległ się jęk syren. Krzyki Lou na tle wycia syren, to wszystko odżyło i kręciło się w jego głowie, znowu zaczął zabijać Lou i to samo uczucie, ta sama rozkosz wypełniła jego ciało, kiedy znalazł się na podłodze strychu. Na zewnątrz hałas umilkł. Z trudem, nie pomagając sobie prawym ramieniem, które przy najmniejszym geście sprawiało mu niewymowne cierpienie, podpełzł do okienka. Przed nim, aż po horyzont rozciągały się połacie żółtej ziemi. Słońce zachodziło, a lekki wiatr poruszał trawami na drodze. Krew płynęła jego prawym rękawem i wzdłuż całego ciała; powoli opanowywało go wyczerpanie, a potem zaczął drzeć, gdyż znów zdjął go strach.

Teraz policjanci otaczali stodołę. Słyszał jak się nawołują, a jego usta otworzyły się na całą szerokość. Chciało mu się pić, pocił się i próbował pod ich adresem wykrzyczeć przekleństwa, lecz zaschło mu w gardle. Ujrzał, jak jego krew tworzy przy nim małą kałużę, dosięgając kolana. Drżał jak liść na wietrze i szczekał zębami, a gdy na szczeblach drabiny rozległy się kroki, zaczął wyc; początkowo był to głuchy jęk, który potężniał i nabierał mocy; próbował wyciągnąć rewolwer z kieszeni i udało mu się to za cenę szalonego wysiłku. Jego ciało wnikało w ścianę, możliwie jak najdalej od wejścia, w którym pojawili się ludzie ubrani na niebiesko. Trzymał rewolwer, lecz nie mógł wystrzelić.

Hałas umilkł. Wówczas przestał wyc i głowa opadła mu na piersi. Słyszał coś niewyraźnie; upłynęło trochę czasu, a potem kule trafiły go w biodro; jego ciało się rozluźniło i rozciągnęło powoli. Strumyczek śliny łączył jego usta z chropowatą podłogą strychu. Sznurki podtrzymujące lewe ramię pozostawiły głębokie, sine ślady.

XXIV

Ludzie ze wsi powiesili go i tak, bo był Murzynem. Jego spodnie, w okolicy podbrzusza, wypychała nadal śmieszna, załosna górka.

KOLOR TRUPIEJ SKÓRY

Przedmowa

Różnorodne reakcje, jakie spowodowała pierwsza książka Vernona Sullivana („Napluję na wasze groby”) zachęciły mnie do popelnienia, przy okazji kolejnej powieści tego młodego autora, również kolejnej przedmowy. Ma to pewną zaletę: będzie cztery czy pięć stron więcej, co dodaje - jak się mówi wśród fachowców - ciężaru gatunkowego. Zresztą nieźle jest od czasu do czasu ździebko przedyskutować zagadnienie z czytelnikiem, by mu pokazać, że się o nim myśli.

Tak więc reakcje różnorodne, lecz wszystkie pozwalające na wyciągnięcie jasnego, przejrzystego i niepodważalnego wniosku: za wyjątkiem pół tuzina pocziwców, krytycy zachowali się jak banda latających patafianów najgorszego gatunku.

Przede wszystkim na podstawie fragmentu z pierwszej przedmowy, dotyczącego sprzedania własnego towaru, ustępu świetnie rozumnego przez wydawców (gdybyż byli tylko oni!), owi krytycy radośnie przypisali mi ojcostwo książki. Są to zabiegi paskudnych ordynusów: jestem zbyt czysty, by pisać podobne rzeczy.

Nie zaprotestowałem, gdyż była to niezła reklama, lecz to nieprawda, lub prawie. Co do szczegółów, to powiedziano jeszcze mnóstwo innych bzdur: niektórzy byli zdziwieni liczbą i obfitością amerykańskich samochodów: ci nigdy nie czytali Raymonda Chandlera. Inni truli na temat różnych głupot, nad którymi ja nigdy bym się nie rozwodził, jako że rozwody są źle widziane. Doszło więc nawet do tego, że jakiś osobnik twierdzący, iż jest Murzynem z Martyniki, którego samo nazwisko, na wpół arabskie na wpół archaizujące, stanowiło obrazę moralności, orzekł, że żaden Murzyn nie napisał tej książki; on zna manierę czarnych. Odpowiedzmy jednak temu Murzynowi, że posiada równie dobre kwalifikacje do wypowiedzania się o swych braciach z Ameryki, co Chińczyk z San Francisco do rozwiązywania problemów rodzących się w Szanghaju, i że nawet nie ma on ochoty pomścić swego braciszka sypiając z białymi kobietami, by je potem zaszlachtować, jest jednak niewykluczone, iż inni tak czynią. Nie to jest jednak najgorsze.

Otóż są jeszcze krytycy, którzy utopili w swej lepkiej, zielonkawej żółci pierwszą książkę Vernona Sullivana, którzy rozebrali ją na czynniki pierwsze, tym samym poświęcając jej sporo miejsca. Tak więc przyznali tej powieści wagę, którą być może miała, lecz na pewno nie w tym sensie. Tej książce, która patrząc z literackiego punktu widzenia, nie zasługuje na to, by się nią zajmowano.

Zrozummy się dobrze. Dokonałem przekładu na język francuski (nie akademickiego,

fakt, ale porządnego). Lecz w pierwszej przedmowie, trafiony w zakamarek ohydneho zamysłu handlowego, podjąłem trud ostrzeżenia zainteresowanych. Wy tłumaczenia im (czego nadal nie chcą przyjąć do wiadomości), że wydawca jest sprzedawcą książek.

(oto rzucają się na to, skaczą do gardła, to wstrętna książka, paskudna, świńska, fuj! To żaden Sullivan, skoro Vian to tłumaczył! I w ogóle to nie ten styl! I w szczególności też nie! A poza tym są mężczyźni śpiący z kobietami, którzy czerpią z tego przyjemność, żadni pederasty, czy lesbijki! Ohydztwo! To powrót do barbarzyństwa, katastrofa bez precedensu, nędzne wycieczki dogorywającego mistyfikatora, und so weiter...!

I dalej w tym stylu, gadają o wszystkim, za wyjątkiem - oczywiście - książki. A mały Viano jest plagiatozem, mordercą, pornografem, nędznym wypierdkiem, nieszczęsnym impotentem, a jednocześnie rozpasanym Priapem, Kubą Rozpruwaczem i wszystkim co tylko najgorsze, i spadaj świntuchu, zostałeś zdemaskowany.

O samej historii - dwieście stron druku - nie mówią nic. I to nie wyłącznie przy tej książce. Taka zasada generalna. Nazywa się to: „dokonać krytyki książki”. Mózg staje.

Oso biście wołałbym porozmawiać o czymś innym, lecz jest to istny wrzód, który trzeba mocno przycisnąć, mając nadzieję, że znajdzie się chirurg, co wyciągnie, o ile będzie mógł, kwitnący w nim wielogłowy kłęb.

Smutasy, bando krytyków równie zidiociałych co Claude Morgan, jeśli nie gorzej, kiedy wreszcie zajmiecie się swym zawodem krytyka? Kiedy w czytanych książkach przestaniecie doszukiwać się siebie, skoro czytelnik szuka po prostu książki. Kiedy przestaniecie zapytywać się zaraz na wstępie; czy autor jest Peruwiańczykiem, schizmatykiem, komunistą czy krewnym Andre Malraux? Kiedy zdobędziecie się na odwagę, by mówić o książce nie zasiliwszy się uprzednio informacjami na temat autora, jego przyległości i innych dodatków. Lękacie się pleść brednie? Lecz przy wszystkich tych środkach ostrożności gadacie jeszcze większe bzdury! Kiedy wreszcie przyjmiecie do wiadomości, że można pisać do „Temps Modernes” i nie być egzystencjalistą, że można lubić figle, lecz nie płać ich stale? Kiedy uznacie istnienie wolności?

Ale gdzie tam, te słowo, które wykreśliście z waszego słownika - a raczej słowniczka, tak jest bowiem ograniczony.

Czemu mówicie o pisarzach? Nie macie pojęcia co to takiego. Otóż, kiedy się nic nie wie, można coś wynaleźć przy pomocy wyobraźni. Lecz wy jesteście jej pozbawieni. Dlatego stajecie się nieuczciwi. Mówicie jedynie o tym co rozumiecie. O „Napluję na wasze groby” na przykład. No cóż, można było o tej książce powiedzieć tylko jedno i owe pół tuzina cytowanych krytyków, którzy mówili o niej uczciwie, równie uczciwie rozpoznało jej naturę:

dobry temat, który porządnie potraktowany mógłby się stać niezłą powieścią, pociągającą za sobą ryzyko miernej sprzedaży towarzyszące na ogół (z winy krytyków i wydawców) każdej dobrej powieści. Który potraktowany komercyjnie, tak jak to miało miejsce, stał się książką popularną, łatwą, dobrze sprzedającą się lekturą. W każdym razie o wiele mniej pieprzną niż Biblia. Do tego, że ją przetłumaczyłem przyznałem się w sposób na tyle skryty, by nie zaszkodzić sprzedaży i na tyle odkryty, by zrozumieli mnie krytycy (taką miałem nadzieję) z bardzo prostego powodu: chleb, na który się pracuje jest na wagę złota, a złoto drogo kosztuje.

Rezultat: krytycy przyczynili się do literackiego sukcesu tej książki (skoro wszyscy o niej mówią, nieważne źle czy dobrze, to jest to sukces literacki). Zaś dobre książki nadal oczekują na swoich krytyków. A w końcu, bando krytyków, czy nie warto by było byćcie chociaż zasygnalizowali książki, których nie rozumiecie? Dla czytelnika stanowiłoby to najlepsze referencje. Otóż, zamiast poznać, że was zasnują, tłamsicie je. W gruncie rzeczy nawet was nie zaskakują: po prostu już nie jesteście w kursie, to się odbywa na zupełnie innej płaszczyźnie. Można by podać dwadzieścia przykładów.

Krytycy, jesteście cielętami! Jeśli chcecie mówić o sobie przeprowadźcie publiczną spowiedź i wstąpcie do Armii Zbawienia. Lecz odpieprzcie się od ludzi z tymi waszymi ideami transcendentnymi i spróbujcie być użyteczni do czegokolwiek. Odrobinę krytyki obiektywnej, jeśli łaska. Najwyższa pora. Jesteście w niebezpieczeństwie.

Boris Vian

I

Tego wieczora nie przyszło zbyt wielu klientów, więc orkiestra grała byle jak, co było normalne w takich przypadkach. Mnie na tym nie zależało. Im mniej ich przychodzi, tym lepiej. Systematyczne wyrzucie co wieczór pół tuzina facetów na dłuższą metę stawało się męczące. Początkowo mi się podobało.

Lubiłem to; sprawiał mi przyjemność fakt, że mogę dać po pysku tym bydlakom, lecz po tylu latach miałem dość tego sportu. Minęło pięć lat, a oni się nawet nie domyślili, że to jakiś mieszaniec, jakiś kolorowy co wieczór prał ich po gębach. Tak, początkowo to mnie podniecało. I kobiety, te paskudztwa pełne whisky. Wrzucałem je do gablot z całym majdanem i alkoholem we wnętrzościach. Co wieczór, przez wszystkie tygodnie. I tak przez pięć lat.

Nick świetnie mi płacił za tę robotę, bo nieźle się prezentowałem i umiałem wszystkich ich wysłać na drzewo bez problemów i skandalu. Zarabiałem swoje sto dolarów tygodniowo.

Wszyscy siedzieli cicho, tylko jakaś para w kącie hałasowała. Nic poważnego. Tamci na górze też się nie ruszali. Jim drzemał za swym kontuarem.

Na górze, u Nicka, grywało się. Oczywiście, łajdackie gierki. Jeśli ktoś chciał, mógł też mieć dziewczynki. Piło się także. Lecz byle kto nie wchodził.

Para z kąta, chudzielec i umęczona blondyna, wstała, żeby zatańczyć. Dopóki bawili się tylko we dwoje, ryzyko było niewielkie. Najgorsze, że rozbijają sobie łby, potykając się o cudze stoliki, a ja grzecznie muszę ich odprowadzać do ich własnego.

Przeciągnąłem się. Jim chrapał cora2 głośniejsze, ale trzem muzykom to nie przeszkadzało. Odruchowo wygładziłem smoking grzbietem dłoni.

Nie sprawiało mi już zbyt dużej przyjemności okładanie ich po ryjach, ot i wszystko. Przyzwyczaiałem się. Byłem biały.

Aż podskoczyłem, zdawszy sobie sprawę z tego, co powiedziałem w duchu.

- Nalej mi kielicha, Jim.

- Whisky? - wymamrotał Jim, budząc się ze snu.

- Whisky, ale nie za dużo.

Byłem biały. Ożeniłem się z białą kobietą. Miałem białego dzieciaka. A ojciec mojej matki pracował jako doker w Saint-Louis. Doker tak czarny, jak tylko można sobie wyobrazić. Przez całe życie nienawidziłem białych. Ukryłem się, uciekłem przed nimi. Byłem

do nich podobny, lecz wtedy bałem się ich. A teraz nie miałem już pojęcia, co odczuwałem niegdyś, gdyż nie patrzyłem już na świat oczami Murzyna. Moja ewolucja odbyła się powoli i wbrew mnie, a tego wieczora czułem się przetransformowany, zmieniony, zasymilowany.

- Gdyby tak mogli się wynieść... - powiedziałem do Jima. Mówiłem, bo musiałem coś zrobić, chociażby siebie samego słyszeć.

- Tak... - odparł Jim zmęczonym głosem. Spojrzał na zegarek.

- Nie ta pora.

- Nie szkodzi - odrzekłem. - Raz można by było zamknąć wcześniej. Dużo ich tam na górze?

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Jim. - Wchodzą tędy i z tamtej strony.

Mężczyzna i kobieta, którzy tańczyli nadal, wpadli na fotel i przewrócili się z wielkim hukiem. Kobieta usiadła i złapała się za nos. Była potargana i kompletnie oglupiała. Facet został tam, gdzie upadł, i śmiał się do rozpuku.

- Wyprowadź ich - powiedział Jim. - Pozbądź się ich. Wywal za drzwi.

- Och! - westchnąłem. - I tak zostaną inni.

Podszedłem do nich i pomogłem kobiecie wstać. Co do faceta, to złapałem go pod pachy i postawiłem na nogi. Nie był zbyt ciężki. Kolejny mistrz baseballu kieszonkowego.

- Dzięki, skarbie - powiedział do mnie. Kobieta zaczęła płakać.

- Nie mów do niego „skarbie” - zaprotestowała. - Skarb to przecież ja.

- Oczywiście, skarbie - odrzekł mężczyzna.

- Nie macie ochoty wrócić do domu? - zaproponowałem.

- Bynajmniej - powiedział gość.

- Odprowadzę was do samochodu - rzuciłem. - Jakiego jest koloru?

- Och... Jest tam... - rzekł facet, przecinając powietrze bezładnym machnięciem ręki.

- Doskonale - stwierdziłem - Znajdziemy go. Chodźcie aniołki.

Kobieta uczepliła się mego ramienia.

- Silny pan jesteś, co? - powiedziała.

- Ja jestem silniejszy od niego... - rzekł mężczyzna.

Nim zdążyłem przewidzieć, co chce zrobić, walnął mnie z całej siły w żołądek. Ten kretyn składał się z samych kości, ale i tok mi dech zaparło.

- No, no - powiedziałem.

Złapałem oboje za ręce, a faceta przycisnąłem nieco mocniej. Zrobił się zielony.

- Chodźcie - ciągnąłem dalej. - Wróćcie sobie grzecznie do domu.

- A ja nie chcę być grzeczny - powiedział mężczyzna. Pocisnąłem go jeszcze mocniej.

Usiłował się wyrwać, bez rezultatu.

- No, no - powtórzyłem. - Wie pan, już złamałem komuś rękę w ten sposób.

Zaciągnąłem ich aż do drzwi, które otworzyłem nogą.

- Który to samochód? – zapytałem.

- Trzeci... - powiedziała kobieta. - O tam...

Z tą samą precyzją co mąż wskazała na którąś gablotę z rzędu. Odliczyłem do trzech od dowolnej strony i wsadziłem ich do środka.

- Kto prowadzi? - zapytałem.

- Ona - powiedział mężczyzna.

Odgadłem właściwie. Zamknąłem za nimi drzwiczki.

- Dobranoc - rzuciłem. - Pogodnych snów.

- Do widzenia - powiedział mężczyzna, machając ręką. Wróciłem do baru. Żadnych zmian. Dwaj klienci właśnie wstali i wychodzili. Ziewnąłem. Jim również ziewał.

- Co za zawód! - westchnął.

- Oby Nick już zszedł... - powiedziałem. Kiedy schodził Nick, oznaczało to, że zaraz będziemy zamykać.

- Oby... - powiedział Jim.

Mówiłem jak on. Byłem taki jak on. Dowodem na to może być fakt, że nawet na mnie nie patrzył, kiedy się odzywał.

Nagle pod barem odezwał się dzwoneczek. Dwa razy. Potrzebowano mnie na górze.

- Ruszaj - szepnął Jim. - Wyprowadź ich wszystkich.

Rozchyliłem aksamitną zasłonę skrywającą schody i przeklinając wgramoliłem się na górę. Rany boskie, niech te skurwysyny pozwolą mi w spokoju wrócić do domu.

Moja żona pewnie śpi... Łóżko będzie ciepłe i miękkie.

II

Moje kroki dźwięczały głucho na schodach z betonu i stali. Wchodziłem energicznie. Nie traciłem żadnej okazji, by przeciwżyć te diabelne muskuły. Byłem im to winien. Na drugim końcu schodów wisiała druga aksamitna zasłona. Nick bardzo lubił aksamit. Aksamit i pulchne kobiety. I szmal...

Sala na pierwszym piętrze była niska, a ścianki obite na ciemnoczerwono. Faceci w liczbie dwóch tuzinów zabawiali się w topienie forsy, a wszystko to tylko dla Nicka. Na całej długości ścian Nick kazał urządzić oddzielne boksy na cztery krzesła plus stół, gdzie nieco podenerwowanych ludzi uspokajały stałe bywalczynie tego miejsca. Nie wiem, czy to Nick odpałał im jakiś procent, czy też było odwrotnie, lecz skoro nigdy nie zaniedbywały pracy, na pewno miały jakiś układ z szefem.

To właśnie z powodu owych boksów zawracano mi głowę. Kiedy wszedłem do pomieszczenia, jakieś pięć osób, przewiesiwszy się przez barierkę, zaglądało do wnętrza jednego z nich. Nick dostrzegł mnie i dał znak, bym przerwał ich milczącą kontemplację. Dwie dziewczyny usiłowały wyciągnąć tamtych za rękaw, lecz bez skutku. Wszystko zaczęło się paprać, w chwili gdy położyłem rękę na ramieniu pierwszego z rzędu. To Maxime, mała, nieźle zbudowana blondynka, dostała prosto w arbuz fangą, którą typek bez wątpienia przeznaczył dla mnie. Nie mogłem się powstrzymać od uśmiechu, widząc jej minę. Facet nie był w stanie walnąć zbyt mocno, lecz ona, zde gustowana, natychmiast go puściła i lekko się wkurzyła.

- Ty świński cycku...!

Miała głos szorstki jak grzbiet płaszczki. Na tym bynajmniej nie przestała, wymierzyła mu kilka takich policzków, co to liczą się w życiu faceta, nawet zaprawionego. Nadal stałem tuż za nim. Złapałem go za ramię dokładnie w chwili, gdy szykował się, by jej odpłacić pięknym za nadobne, i podszedłem do tego zagadnienia po swojemu. Nie jest to najgorszy sposób, niemniej jednak rozumiałem jego punkt widzenia.

Jednocześnie napawałem się uciesznym widokiem. Para w boksie kombinowała bez zahamowań. Dziewczyna miała kieckę zadartą aż pod cycki i widać było natychmiast, że jej ojciec musiał być Irlandczykiem, piegowatym i o pięknych, niebieskich oczach. Facet leżał na niej w poprzek i ślinił się jej na brzuch. Musiał być dobrym klientem, bo stan, do jakiego doprowadził ten boks, to była robota nie byle kogo.

Po prostu pływali w whisky, a facet wyglądał nieco porządniej niż dziewczyna, ale

tylko dlatego, że leżał na wierzchu.

Klienta, którego nadal trzymałem, opuściłem na ścianę. Przykleił się do niej i tak został. Miałem wrażenie, że ramię mu trochę przeszkadzało. W każdym razie, ruszał drugim, które musiało wystarczyć. Czterej pozostali najwyraźniej niczego nie dostrzegli i Nick dał znak Maxime, żeby się zamknęła. Wiedział jak postępować.

- A może byście poszli do domu?

Ryknąłem to prosto w nos pierwszemu z pozostałej czwórki. Ani drgnął. Odwróciłem głowę i dostrzegłem spojrzenie Nicka. W porządku. Można było działać.

- Wypieprzajcie stąd, wszyscy czterej!

Jednocześnie złapałem dwóch, po jednym pod każdą pachę, i zaciągnąłem ich aż do schodów. Nick zajął się sprowadzaniem ich na dół. Ten gość nie jest zbyt wprawny w obchodzeniu się z pałką. Ale nawet będąc na wpół ogłuszonym, można zejść bezpiecznie po schodach. Nogi funkcjonują jakby odruchowo, jak sądzę - a może to po prostu przyzwyczajenie do brania w łeb.

Podrzuciłem Nickowi dwóch kolejnych. Przy stolikach publika grała dalej, jak gdyby nic się nie stało. Kiedy ruszałem do dzieła, okazywało się, że Nick ma bardzo dobrze wychowaną klientelę. Niezwykle dyskretną. Doprawdy, potrzeba było aż tej pary kretynów w boksie, którzy nadal odgrywali swoje sztuki w pełnym blasku.

Dobra. Teraz nadeszła ich kolej.

Wszedłem do boksu i stanąłem nad nimi okrakiem. Facet prawie się nie poruszał. Chwyciłem go i posadziłem na krześle, zapinając mu marynarkę. Byłem zmuszony. Chciałem wykonać to samo z dziewczyną, lecz nie było to takie proste. Gdy tylko poczuła na sobie moje ręce, zaczęła się wic jak dżdżownica wokół moich nóg, tak, bym na nią upadł. Niezła sztuka; nie widywało się jej często u Nicka, ale przychodziła dość regularnie. Nie mam pojęcia, jak ją tam nazywali.

- No, no - ostrzegłem. - Bądź grzeczna, dziecinko.

- Aha, już lecę...

Ubaw miała po pachy i wpijała się we mnie, potrząsając moją osobą jak jabłonką. Ciężko się było temu oprzeć, bo naprawdę widok miałem pierwsza klasa, lecz jakoś udało mi się obciągnąć jej sukienkę na uda.

- Chodź, moja piękna, pójdziemy do łóżka.

- O właśnie. Pojedźmy do mnie.

- To pan pojedzie z tobą.

- Tylko nie on... Do niczego się już nie nadaje. Kompletnie zapruty...

Podniosłem ją i posadziłem na krześle obok gościa. Ale to były już istne zwłoki. Naprawdę. Wrócił Nick.

- Cała czwórka jest na zewnątrz - powiedział. - Spuść tych dwoje.

- Ona jeszcze ujdzie .. ale ten pan jest kompletnie ugotowany.

- Wyprowadź - polecił Nick.

Wziąłem faceta pod ramiona, a dziewczyna uczepliła się mojej ręce. Obmacywała mi bicepsy.

- Jego gabłota jest na dole. Choć, pokażę ci.

- Idź przodem - poleciłem jej.

Taszczenie obojga to była niezła harówka. Na szczęście ona jeszcze trzymała się na nogach.

Zszedłem po schodach i przemierzyłem korytarz za barem; tamtędy również można było wyjść.

- No, gdzie ta gabłota? Rozglądała się przez chwilę.

- Tam. Niebieska.

Tym razem nie mogłem się pomylić, ale świeże powietrze nie miało żadnego wpływu na mojego klienta. Dziewczyna otworzyła drzwi.

- Wsadź go tam.

Wepchnąłem go, jak tylko się dało, i padł jak długi na siedzenie.

- W żaden sposób nie będzie mógł cię odwieźć. Jeszcze mocniej uczepliła się mojego ramienia.

- Co mam teraz zrobić?

- Obudzi się. Byłem optymistą.

- Zostań ze mną, mam pietra. A ty mnie nie chcesz odwieźć? - Jak?

- Jego gabłotą.

Miałem tego po dziurki w nosie. Chciało mi się spać. Chciałem wrócić do żony. Co za zawód ..! Ocierała się o mnie jak gorąca suka.

- Daj spokój - powiedziałem.

- Chodź.

Wsiadła do samochodu, nie puszczając mojej ręki. Cuchnęła whisky i perfumami, lecz prawie zacząłem już nabierać ochoty. Całkiem nabrałem ochoty, gdy ujrzałem, jak przewraca się na siedzenie i jednym ruchem zadziera przód swej sukienki. Nie miała potrzeby wypychać sobie czegokolwiek.

- Nie ruszaj się - powiedziałem. - Pojedziemy w jakieś spokojniejsze miejsce.

- Chodź... Natychmiast. Dłużej nie wytrzymam. - Na pewno wytrzymasz jeszcze pięć minut.

Zaśmiała się lekko i cicho, w sposób tak podniecający, że moje ręce drżały, gdy otwierałem przednie drzwi... Depnąłem na gaz i pojechałem w stronę Central Park. To nadal najprostszy pomysł. Kiedy wysiedliśmy, nawet nie zamknęliśmy drzwiczek gabloty. Dopadłem ją na ziemi w pierwszym napotkanym zacienionym kącie.

Nie było zbyt gorąco, lecz tak ściśle przywieraliśmy do siebie, że widziałem, jak jej skóra dymi na chłodnym powietrzu, i czułem, jak paznokcie wbijają mi się w plecy przez materiał marynarki. Nie stosowała żadnych środków ostrożności. Podobało mi się to.

III

Tego wieczora to było już wszystko. Wróciłem do Nicka gablotą faceta. Chrapał nadal, a dziewczyna też już była do niczego. Śmierdziałem whisky i kobitą. Zostawiłem ich pod drzwiami i dla spokoju sumienia wszedłem na górę. Panował spokój. Wróciłem na dół. Nikogo. Można było iść spać.

Jim ziewał wkładając marynarkę.

- Kolejny niezbyt zabawny dzień z głowy - powiedziałem. - Nic nadzwyczajnego... - stwierdził Jim.

- Nic - przytaknąłem.

Nic. Nic, jeśli nie liczyć tego, że dziś minęło pięć lat. Pięć lat i ani się spostrzegłem. Pięć lat okładka ich po pyskach i chędożenia ich żon. Odruchowo walnąłem pięścią w ścianę, lecz grzmotnąłem za mocno i mruczając pod nosem, potrząsnąłem dłonią. To oni mnie wyrolowali.

Byłem bielszy od nich, bo teraz czerpałem z tego przyjemność. No i w gruncie rzeczy, co z tego?

Miałem to gdzieś. To nie takie złe być białym. Mieć białą kobietę w łóżku. I białego dzieciaka, który będzie kimś.

Dlaczego ten Jim znowu ziewał?

- Dobranoc. - powiedziałem mu.

Popchnąłem drzwi, przeciągnąłem się i wyszedłem. Stacja była niedaleko.

Moja żona była niedaleko. Lekki ból w krzyżu... To te paznokcie wbite w plecy... Nie. Jeszcze byłem w formie.

Takiej wiosny jak w Nowym Jorku nie ma nigdzie.

Metro. Piętnaście minut jazdy. Znowu ludzie. Moja ulica. Dom. Spokojny i cichy.

Zapach whisky nadal przepajał mój smoking. A na rękach nadal miałem zapach kobiety. Miły zapach. Zapach córki irlandzkiego ojca o błękitnych oczach.

Bezglównie pokonałem trzy piętra. Jak zwykle w przygięciu. Dla formy. Moje klucze podzwaniały w kieszeni. Trzy klucze. Właściwy rozpoznawałem po grubości. Ten właśnie.

Pasował. Naturalnie.

Zamknąłem za sobą grube drzwi i po omacku udałem się w kierunku łazienki.

Nagle potknąłem się o rozciągnięte w ciemnościach ciało i padłem jak długi. Prosto na nie.

Poderwałem się w mgnieniu oka i skoczyłem do wyłącznika. Rozjarzyło się światło. Stałem w miejscu jak przygwożdżony do podłogi. Tamten spał dalej, nawet chrapał. Niewątpliwie pijany. Ten parszywy czarnuch, Richard. Miał brudny garnitur i był chudy. I cuchnął. Jego smród dochodził do miejsca, w którym stałem. Moje serce nieregularnie łomotało w piersi, szamotało się jak oszalałe zwierzę, a ja nie śmiałem zrobić kroku, nie mogłem się poruszyć. Nie miałem odwagi pójść sprawdzić, czy Sheila zna już prawdę. Za mną stał kredens. Otworzyłem go nie spuszczając Richarda z oka i po omacku znalazłem butelkę żytniówki; wypilem... cztery, pięć łyków. Lecz Richard nadal leżał przede mną, a przez otwarte drzwi od sypialni nie dochodził żaden odgłos.

Świat wokół mnie był martwy i spał. Spojrzałem na swe dłonie, dotknąłem twarzy. Spojrzałem na Richarda i zacząłem się śmiać, bo był moim bratem i odnalazł mnie.

Zaczął się ruszać, więc podszedłem do niego. Podniosłem go jedną ręką. Był na wpół uśpiony, toteż potrząsnąłem nim.

- Obudź się, bydlaku.

- Czego? - zapytał.

Otworzył oczy i ujrzał mnie. Jego twarz zachowała ten sam wyraz.

- Po kiegoś tu polazł?

- Odnalazłem cię, Dan. Widzisz, odnalazłem cię. Pan zechciał, bym cię odnalazł.

- Gdzie Sheila?

- Kto to Sheila? - zapytał.

- Kto ci otworzył?

- Wszedłem... nie było nikogo.

Puściłem go i pobiegłem do sypialni. Na komodzie, w umówionym miejscu, znalazłem karteczkę od Sheili: „Pojechałam z Bobasem do mamy. Całuję”.

Musiałem złapać się mebla. Głowa trzymała się nieźle, lecz nogi odmawiały posłuszeństwa. Powoli wróciłem do przedpokoju.

- Spieprzaj stąd! - Ależ, Dan...

- Spieprzaj. Dalej. Wynocha. Nie znam cię.

- Ależ, Dan, Pan pozwolił mi cię odnaleźć.

- Wynoś się, mówię ci!

- Nie mam pieniędzy.

- Weź to.

Pogrzebałem w kieszeni i podałem mu banknot dziesięciodolarowy. Spojrzał na niego, pomacał, wsadził do kieszeni i zniknęła jego tępa mina.

- Wiesz, że dla murzyna to niedobrze, kiedy nachodzi białego?

- Jestem twoim bratem, Dan. Mam papiery.

Rzuciłem się na niego w mgnieniu oka. Trzymałem go za kark i przez zęby miotałem groźby i klątwy.

- Masz papiery, co? Jakie papiery? Łajdaku...!

- Noszę to samo nazwisko co ty, Dan. Pan powiedział, że nie można wyprzeć się swego ojca i matki.

Jednej rzeczy nie należało zrobić, a ja ją zrobiłem. Moja pięść zacisnęła się i wylądowała na jego dolnej wardze. Usłyszałem trzask jego zębów i ogarnęła mnie fala wstydu. Richard Mi drgnął.

Lecz jego oczy patrzyły na mnie i ujrzałem... Nie... Jestem szalony. W oczach niczego nie widać. Niczego nie można zobaczyć. Usiłowałem nie tracić zimnej krwi. Usiłowałem rozpaczliwie. Lecz Richard nic nie mówił, patrzył na mnie, a ja się bałem.

- Gdzie pracujesz, Dan?

Jego głos był zdeformowany z powodu zranionych ust, a strumyczek krwi płynął mu po brodzie. Wytał go grzbietem dłoni.

- Wynoś się, Richard. I jeśli zależy ci na życiu, niech twoja noga tu więcej nie postanie.

- Gdzie mogę się z tobą spotkać, Dan?

- Nie mam ochoty się z tobą spotykać.

- Być może Sheila będzie miała ochotę... - powiedział w zamyśleniu.

Ponownie opanowałem żądzę popełnienia zbrodni, która przeszła mnie jak strzała.

Ruszył ku drzwiom i delikatnie dotknął swej rozbitej wargi.

- Wyjdź.

- Dziesięć dolarów - powiedział - to niedużo.

Był moim bratem, a ja chciałem, żeby nie żył. Straszny lęk przeszył mi flaki. Bałem się, że wróci. Chciałem wiedzieć...

- Zaczekaj. Kto ci dał mój adres?

- Och, nikt... - odparł. - Kumple... Odchodzę. Do widzenia, Dan. Odwiedzę cię w pracy.

- Nie wiesz, gdzie pracuję... - stwierdziłem.

- Nie szkodzi, Dan. Nie szkodzi.

- Jak otworzyłeś drzwi?

- Otwieram drzwi. Pan jest świadkiem, że otwieram drzwi. Do zobaczenia, Dan.

Wkrótce.

Kompletnie osłupiały patrzyłem, jak odchodzi. Mój zegarek pokazywał pół do szóstej nad ranem. Wstawał dzień. Na zewnątrz słychać było mleczarzy. Sheila z dzieckiem została na noc u swojej matki.

Richard był Murzynem. Miał czarną skórę. Śmierdział czarnuchem.

Zamknąłem drzwi od mieszkania i zacząłem się rozbierać. Nie wiedziałem, co robię, i rozglądałem się dookoła. Potem udałem się do sypialni i przystanąłem, nim do niej wszedłem. Zmieniwszy zdanie, wszedłem do łazienki. Stałem przed lustrem. Z naprzeciwka przygnał mi się facet, dobrze zbudowany, mniej więcej trzydziestopięcioletni, potężny i dobrze wyglądający. Nic do zarzucenia. Niewątpliwie był biały... lecz nie podobał mi się wyraz jego oczu...

Oczu człowieka, który właśnie zobaczył ducha.

IV

Od tego momentu zacząłem się rozglądać za nowym mieszkaniem, lecz to ciężka sprawa. Trzeba mieć ładny kawałek grosza. Nie wspominałem o tym Sheili, wiem, że podobało jej się to, w którym mieszkaliśmy, i bałem się jej powiedzieć, co zamierzam. Jaki podać pretekst. Na ulicy bez przerwy odwracałem się, żeby sprawdzić, czy ktoś mnie nie śledzi, usiłowałem rozpoznać chudą sylwetkę Richarda, jego skórę mieszańca i kręcone włosy, byle jak odprasowany garnitur i długie ręce. Wspomnienia łączące się z Richardem, które udało mi się zachować z dzieciństwa, posiadały wszystkie tę niepokojącą, denerwującą cechę, lecz nie mogłem określić, w jakim momencie owa cecha się w nich ujawniła, gdyż były to niczym nie różniące się od innych dziecięce wspomnienia. Richard był najciemniejszy z całej naszej trójki i niewątpliwie fakt ten po części wyjaśniał mój niepokój.

Szedłem do Nicka okrężnymi drogami, wysiadając stację wcześniej lub później, i dochodziłem do baru skomplikowaną drogą, czymś w rodzaju labiryntu, wybierając z lubością pobliskie uliczki. Miałem w tej wyczerpującej umysłowo grze coś w rodzaju wytchnienia, jakieś złudne bezpieczeństwo, którego oszukamy mur chronił mnie przed ewentualnymi atakami.

Tak czy inaczej, trzeba było w końcu wejść do Nicka, oczywiście, bez nadzwyczajnych środków bezpieczeństwa, unikając odwracania się. Tak właśnie zrobiłem tego dnia, nie różniącego się od innych.

Jim czytał pobieżnie jakąś popołudniówkę za swoim kontuarem, a gdy wszedłem, podniósł znad niej oczy.

- Cześć... - rzucił.

- Cześć.

- Był u ciebie jakiś facet.

Zamarłem, po czym przypomniawszy sobie, że jest pełno klientów, stanąłem za ladą, nim poszedłem się przebrać do szatni. - Co to za facet?

- A ja wiem. Chciał cię widzieć.

- Dlaczego?

- A ja wiem.

- Zwyczajny facet?

- A jak, zwyczajny. Co z tobą? - Nic.

- A... To dobrze - rzekł Jim.

Ponownie zanurzył się w lekturze i prawie natychmiast się od niej oderwał.

- Wróci za godzinę. - Tu?

- Tak, tu. Powiedziałem, że będziesz.

- Dobra.

- Coś nie pasuje? - zapytał Jim.

W jego głosie brak było śladu najmniejszego zainteresowania. Najzwyklejsza w świecie ciekawość.

- Dlaczego miałyby coś nie pasować? Nawet go nie znam.

- Nikogo się nie spodziewałeś?

- Nikogo.

- Aha... - powiedział Jim.

Poszedłem do szatni i zacząłem się rozbierać. Za godzinę. To nie był Richard. Jim powiedziałby mi, gdyby chodziło o Murzyna.

- Więc kto?

Po prostu trzeba zaczekać godzinę. Dokończyłem toalety i wróciłem do baru.

- Nalej mi whisky z wodą, Jim.

- Nie za dużo whisky? - zapytał Jim.

- Nie za dużo wody.

Spojrzał na mnie i bez komentarza napełnił szklankę. Jednym haustem wypilem zimny, drażniący płyn i poprosiłem o następną. Nie smakował mi alkohol. Czułem jego palenie w żołądku, lecz byłem spokojny. Całkiem spokojny i napięty.

Usiadłem przy końcu baru, na miejscu, skąd mogłem łatwo obserwować wchodzących i wychodzących.

Czekałem.

Weszły dwie dziewczyny. Stałe bywalczyne. Uśmiechnęły się do mnie. Gdy przechodziły, pogłaskałem je po pośladkach przez materiał ciasno dopasowanych sukienek, które podkreślały ich dopracowane kształty. Usiadły przy stoliku tuż koło baru. Dobre klientki. To właśnie z nimi Nick robił swoje rozliczenia po południu.

Zabawiałem się obserwowaniem ich. Dobrze umalowane, czyste, naprawdę apetyczne. Piękne, białe lalki. Znów pomyślałem o Richardzie i to tok intensywnie, że aż wykonałem obronny ruch. Usiłowałem go umotywować, wykonując następny.

Jim coś kombinował przy swojej kasie i dostrzegłem nagle, że przypatruje mi się ciekawie. Jego oczy natychmiast odwróciły się ode mnie, gdy tylko zdał sobie sprawę, że to zauważyłem.

Okropnie było tak czekać. Usiłowałem się rozerwać obserwowaniem podłogi, ścian, sufitu, świetlówek, butelek w ich klateczkach z chromowanego metalu i znowu klientów oraz klientek. Z tego miejsca, na którym siedziałem, znajdującego się zbyt wysoko, nie mogłem zapuścić wzroku dostatecznie głęboko między uda tamtej brunetki. Zlazłem z mojej grzędy i podciągnąłem krzesło dokładnie na wprost niej. Bardzo dobrze wiedziała, co robię, i nieco bardziej rozchyliła nogi, bym mógł nasycić oko. Światła nie było za wiele, lecz zdałem sobie sprawę, że właściwie nic nie powstrzymuje mych spojrzeń. Wydało mi się to zabawne i wygodne.

Dała mi znak i wstała, by przejść do toalety. Przeciągnąłem się.

Nie poszedłem tą samą drogą co ona, lecz zniknąłem w okolicy schodów prowadzących do sali gier. Za aksamitną zasłoną można było przejść korytarzem na ulicę i zejść do toalety od drugiej strony.

W wyniku sprytniej przebudowy dokonanej przez Nicka kabiny telefoniczne przeobraziły się w wygodne kabinki. Niewątpliwie cokolwiek wąskie, lecz na ogół nikt się nie skarżył.

Czekała na mnie w pierwszej. Wiedziała, czego chciałem.

Wiedziałem również i ruszyłem prosto do celu. Paliła nie troszcząc się o nic, co mnie lekko zdenerwowało. Istnieją jednak sposoby, by wywołać na nich jakieś wrażenie. W końcu, nie przyszła tu wyłącznie dla mojej przyjemności.

W tym momencie upuściła papierosa, a jej świeże, wydatne usta przywarły do moich. Lekko wgryzłem się w jej pachnące, napięte ciało. Byłem szczęśliwy. Otaczał mnie błogostan owalny i biały, jak mgła ze strzępków waty. Jej jedwabista, pokryta loczkami skóra szła na spotkanie mej dłoni i dziewczyna pomogła mi, bym ją posiadał, bardzo szybko, na stojąco, w kabinie. Przymknęła oczy i zadrżała, po czym rozluźniła się lekko i nie zmieniając pozycji, zapaliła kolejnego papierosa. Trzymałem ją za biodra i gładziłem dłońią po ich łukowatych krzywiznach. Było mi dobrze.

Rozdzieliliśmy się bez słowa i doprowadziłem do porządku garderobę, prawdę mówiąc, niezbyt naruszoną. Dziewczyna otworzyła torebkę i wyjęła szminkę. Bezgłośnie zamknąłem drzwi kabiny i dopadłem do schodów.

Wszedłem bardzo szybko. Lęk, który na moment się rozwiął, teraz mów miie pochwycił.

Jim nie opuścił swego miejsca. Nikt nowy się nie pojawił. Nerwowym spojrzeniem obrzuciłem bar i stoliki.

- Nalej mi whisky, Jim.

Nalał. Wypiłem i odstawiłem szklanę, po czym znieruchomiałem. Jakiś facet pchnął drzwi. Samotny; zwykły, normalny gość. Jim wskazał na niego brodą.

- To twój klient - powiedział.

- Dobra - odrzekłem.

Nie ruszyłem się z miejsca.

Wyglądało, że mnie nie zna, i podszedł do Jima.

- Czy jest Dan? - zapytał.

- To on - powiedział Jim, wskazując na mnie.

- Dzień dobry - powiedział facet. Przyjrzał mi się uważnie.

- Napije się pan?

- Whisky - powiedziałem.

Zamówił dwie whisky. Nie był zbyt wysoki, ale bardzo barczysty.

- Chciał się pan ze mną zobaczyć?

- Tak - powiedział. - Chodzi o pańskiego brata Richarda.

- Jest pan jednym z jego przyjaciół?

- Nie - odrzekł typek. - Nie biorę sobie czarnuchów na kumpli. Mówiąc to przyglądał mi się. Ani drgnąłem.

- Ani ja - powiedziałem.

- Richard jest naprawdę pańskim bratem?

- Nie jesteśmy z jednego ojca.

- To jego ojciec był czarny?

Nie odpowiedziałem. Czekał pijąc swoją whisky małymi łyżkami. Jim stał przy drugim końcu kontuaru.

- Choć pan - powiedziałem. - Usiądziemy w spokojniejszym miejscu.

Wziąłem obie szklanki i ruszyłem do jednego ze stolików. W tym momencie z toalety wyszła brunetka, którą dopadłem w kabinie. Siadając uśmiechnęła się do mnie. Odruchowo odpowiedziałem mrugnięciem oka.

Usiedliśmy.

- Śmiało - powiedziałem. - Wal pan.

- Richard nie może tu wejść, rzekł. - zaproponował mi pięćdziesiąt dolarów, więc zgodziłem się przyjść.

- Pięćdziesiąt dolarów? A skąd miałby je wziąć?

- Z tych stu, które pan mi da dla niego. Głęboko wciągnąłem powietrze. Dwoma rękami się krawędzi stolika i widziałem, jak bieleją mi kostki.

- A jeśli nie mam stu dolarów?
- Szef knajpy będzie, być może, zainteresowany kolorem skóry pańskiego brata.
- Nick? Jemu to lata nisko - zapewniłem.

Mężczyzna wyglądał na zbitego z tropu. Spojrzał na mnie. A niech patrzy. Inni mieli dość czasu, by się na mnie napatrzeć przez pięć lat.

- Skąd pan zna Richarda? - zapytałem.
- Spotkałem go w barze.
- Pan jest mieszkańcem - rzuciłem nagle pod jego adresem. - Niech pan pokaże paznokcie.

Wstał.

- Bardzo mi przykro - powiedział. - Bezwzględnie potrzebuję tych stu dolarów. Będę zmuszony poprosić o nie kogoś innego. Kogoś, kogo pan zresztą zna.

Również się podniosłem. Stałem źle ustawiony, nie było dość miejsca, lecz tak bardzo czułem potrzebę tego ciosu, że moje lewe ramię wyprostowało się prawie wbrew mej woli. Jego szczeka trzasnęła, prawą ręką złapałem go za kołnierz marynarki w momencie, gdy grzecznie rozkładał się na ziemi.

Otworzyłem i zamknąłem lewą dłoń dwa lub trzy razy; byłem w swoim żywiole. Dziewczyna i bójka - to właśnie jest życie... Skąd mi przyszło do głowy, że mogłoby być jeszcze coś innego? Boże! Gdybym tylko miał czas, by ich rozgnieść, obrócić w nicłość, zanim zrujną moje życie, to przysięgam, że już nigdy więcej nie będę w wisielczym humorze.

Oczywiście, nikt nie zauważył naszej drobnej wymiany zdań.

Jim patrzył na mnie. Spuścił oczy napotkawszy mój wzrok. Facet stał; nie wiem, w jaki sposób trzymał się jeszcze na nogach; był kompletnie zamroczony, a jednak stał. Posadziłem go na krześle i czekałem. Zdawało się, że z wielkim trudem uniósł powieki i głośno przełknął ślinę. Jego dłoń delikatnie przesunęła się po podbródku, jak gdyby muskała jakiś niezwykle cenny przedmiot.

- Wstawaj - powiedziałem.
- Dlaczego? - szepnął.
- Pójdziemy razem do Richarda. - Nie.

Zacisnąłem pięść i od niechcienia stuknąłem w brzeg stołu.

- Nie wiem, gdzie on jest - dodał.
- Kiedy miałeś się z nim zobaczyć?
- Wieczorem.

- Teraz jest wieczór. Naprzód, idę z tobą.

- Pić mi się chce... - powiedział.

- Wypij swoją whisky. Jeszcze trochę zostało. Wypił z trudem. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

- Nie wiem, gdzie jest Richard - powtórzył. Raczej nie mówił tego z przekonaniem.

- Ja również. I właśnie dlatego musimy go poszukać. Chodź. Wstałem, podniosłem go i pchnąłem w stronę baru.

- Jim - powiedziałem - możesz mi dać płaszcz? Jim skierował się do szatni.

- No więc - ciągnąłem dalej - gdzie jest nasz dzielny Richard?

Nagle w lustrze za barem dostrzegłem swoją twarz i zrozumiałem, dlaczego typek nie odpowiedział. A jednak byłem spokojny, o wiele spokojniejszy niż tego wieczora, kiedy znalazłem w moim przedpokoju śpiącego Richarda. O wiele spokojniejszy niż w ciągu tych wszystkich dni, kiedy usiłowałem znaleźć jakieś mieszkanie.

Tego wieczora trzeba było z tym skończyć albo dać sobie spokój. Ze wszystkim. W tym także z dziewczyną z kabiny, z bójkami, z Sheila, z dzieciakiem. Nagle na tym wszystkim zaczęło mi zależeć jak nigdy dotąd. Na tym i na whisky, i na waleniu po gębach tych kretyńców, którzy upijają się zamiast uprawiać miłość, dlatego że na czczo nie mają dość śmiałości.

Jim podał mi płaszcz. Włosem go, zęby nie wychodzić ot tak na ulicę.

- Ruszaj - powiedziałem do faceta.

Wiedziałem, że Nick mnie o nic nie zapyta. Takie rzeczy nie zdarzały mi się często. Poszedł przodem.

- Czy to daleko? - zapytałem.

- Nie za bardzo - odrzekł. - Koło 115 Ulicy. A więc w Harlemie.

- Cały czas kombinujesz z tymi parszywymi czarnuchami - powiedziałem.

- To się może opłacać - rzekł.

- Tak powinni uważać wszyscy normalni faceci - stwierdziłem.

- Lecz wygląda na to, że podobne myślenie trochę ich podnieca.

Popatrzył na mnie z niepokojem. Byłem o wiele wyższy od niego, choć jednak musiał ważyć parę deko. Był szeroki jak beka piwa.

- Bawi cię branie w pysk? - zapytałem.

- Za pięćdziesiąt dolarów - odparł - wszystko jest możliwe.

- Bardzo chciałbym wiedzieć, o jakie dolary chodzi - zakpiłem.

- Chyba że ten mój niby-brat Richard znalazł tymczasem kolejnego dudka...

- To po co pan idzie, jeśli to nie pański brat? - zapytał mężczyzna.

- Bardzo lubię oglądać takie gęby - odparłem.

Wiem, co mi dolegało. Byłem jednym i drugim, w połowie drogi, i zdawałem sobie sprawę, że pewnego dnia trzeba będzie wybrać. Ten dzień właśnie nadszedł. Pomyślałem o Sheili, o kabinie telefonicznej, o ciosach pałą, jakie spadały na łby Murzynów w czasie rewolty w Detroit, i szyderczo roześmiałem się na cały głos. Decyzja zapadła. Mając do wyboru zadawanie i otrzymywanie ciosów wolałem je zadawać.

Nawet jeśli trzeba by ich było kilka posłać mojemu znamienitemu, łajdackiemu bratu Richardowi.

Zatrzymałem przejeżdżającą taksówkę i podałem adres.

V

Wewnątrz było brudno i śmierdziało. Facet idący ze mną powiedział coś do Murzyna za barem i ten wskazał nam schody wiodące do podziemia. Zszedłem pierwszy, nie odwracając się. Nie wiem, czy było dużo klientów. Trudno opisać coś, co widziałem przez mgnienie oka w barze tak podobnym do innych.

Nie mogłem połapać się w architekturze tego miejsca. Za schodami korytarz zakręcał pod kątem prostym. Ruszyliśmy nim, a na końcu ujrzałem kolejne schody. Na pewno łatwo je można było pomylić. Wchodziło się w trzecie drzwi po prawej.

W zadymionym i niezdrowo wyglądającym pomieszczeniu ujrzałem dwie kobiety koloru kawy z mlekiem i jednego mężczyznę. Dziewczyna siedząca nieruchomo przy stole czekała nie wiadomo na co. Mężczyzna zaś i druga dziewczyna bez najmniejszego śladu zażenowania obmacywali się na zniszczonym tapczanie. Dziewczyna zdjęła sukienkę, a to, w czym została, nie wystarczało do przykrycia tego, co pokryć należało.

Mężczyzną był oczywiście Richard. Jego chuda postać lśniła od potu, kiedy powoli głaskał boki swej towarzyszki. Leżeli rozciągnięci obok siebie na tapczanie i widziałem, jak dłonie Richarda wznoszą się ku jędrnym kulom napinającym do granic możliwości brudny stanik.

Dobrze zrobiłem zaliczając malutki seansik z bruneta u Nicka, gdyż mierziło mnie to, zgoda, ale też pobudzało. W pomieszczeniu panował nieład. Czuć było potem. Zadrzałem, lecz nie było to aż tak nieprzyjemne.

Nikt z trójki nie podniósł się, gdy wszedłem. Słysząc było jedynie dyszenie kobiety i ruchy Richarda. Oczy miał zamknięte.

Facet zepsuł nastrój, a ja złapałem się na tym, że przyglądam się drugiej dziewczynie. Miała długie, proste włosy, nieco wydatne usta i duże, szczupłe dłonie.

- Richard - powiedział facet - przyszedł twój brat.

Richard powoli otworzył oczy. Uniósł się na łokciu nie puszczając dziewczyny. Dłonią ciągnął za stanik, który nagle pękł. Czubki piersi, okrągłe i brązowe, odcinały się od jaśniejszej skóry i ujrzałem, jak palce Richarda zaciskają się na tym uległym, elastycznym ciele.

- Cześć, Dan - przywitał mnie. Nic nie odrzekłem.

- Pomyślałem sobie, że przyjdiesz - powiedział. - Brat nie powinien opuszczać brata.

- Nie jestem twoim bratem - rzekłem - i dobrze o tym wiesz.

Całkiem przewrócił dziewczynę na tapczan i bez najmniejszego wstydu włożył na nią. Zdawał się lekko nieobecny, jakby pod wpływem jakiegoś narkotyku. Na pewno napalił się marihuany lub innego świństwa.

- Owszem - powiedział.

Dziewczyna ledwo się poruszała. Odrzuciła głowę na bok, a jej na wpół zgięte ramiona leżały rozrzucone po obu stronach twarzy. Widziałem lśniące kropelki pod jej nagimi pachami. Tak czy inaczej, mój gniew opadł i poczułem się bardzo zmęczony. Bardzo zmęczony i nieco zdenerwowany. Druga dziewczyna nie ruszała się, stukała jedynie w stół swymi długimi, kościstymi palcami.

Facet na nas popatrzył, po czym wzruszył ramionami i wyszedł. Usłyszałem, jak chodzi tam i z powrotem po korytarzu.

Dziewczyna leżąca na tapczanie wydawała ciche jęki rozkoszy, lecz Richard wyrwał się i wstał. Poprawił ubranie i usiadł przy stole. Dziewczyna, nienasycona, nadal leżała gotowa, a jej piersi i biodra poruszały się pod brudnym przykryciem.

- Czego ty chcesz? - zapytałem Richarda.

Wydał mi się nagle tak niegroźny, że z trudem przypominałem sobie własny strach i wzburzenie, gdy go znalazłem u siebie w domu. Ciężko mi było wyznać przed sobą, że od tamtego dnia szukałem innego mieszkania. Dlaczego? Z powodu tego chudego, zmęczonego Mulata? Tego faceta tak mi obcego?

- Potrzebuję stu dolarów - powiedział Richard. - Nie mam już grosza.

- Nie mam stu dolarów - odrzekłem.

- Musisz pomóc bratu - rzucił Richard. - Pan zechciał, bym cię odnalazł. Żebym odnalazł moją siostrę Sheilę.

Gwałtownie uniosłem oczy ku jego twarzy i napotkałem jego spojrzenie. Ponure, inkwizytorskie; patrzył na mnie spođe łba, z niewyraźnym uśmiechem na ustach. Wytarł wilgotne czoło wierzchem dłoni, później jego wzrok umknął przed moim i utkwiał gdzieś w kącie pomieszczenia.

Czułem niejasno, że grozi mi to samo niebezpieczeństwo, co tamtego dnia, lecz nie umiałem już zareagować. Zawahałem się. Przez moment zastanowiłem się, czy zew krwi nie jest silniejszy od rozsądku, czy całe me czarne dziedzictwo nie ciągnie mnie niewzruszenie ku Richardowi, mimo lat, w czasie których nabyłem odruchów białych, obcując z nimi. Lecz nie. To było absurdalne, niemożliwe. Trzymałem się białych wszystkimi haczykami, które, jak czułem, wyrastały z mego ciała, wszystkimi przyzwyczajeniami, poufałością, jaką przejawiali wobec mnie, swym uczuciem bycia „u siebie”, które miałem będąc pośród nich. Poprzez

Sheilę, poprzez mojego syna, który otrzymywał porządne wykształcenie, miał pójść do college'u i stać się kimś, kimś bogatym i szanowanym, posiadającym czarną służbę i prywatny samolot.

- Posłuchaj Richard, jeśli dam ci sto dolarów, czy obiecasz, że wrócisz do Chicago i dasz mi święty spokój?

- Przysięgam ci to przed Bogiem, który nas słyszy - rzekł Richard wstając. - Ale cóż to jest sto dolarów.

- Będę ci wysyłał pieniądze co miesiąc - powiedziałem z wysiłkiem.

Dlaczego go nie rozgniotłem jak robala? Dlaczego nie rzuciłem się na niego, żeby się go pozbyć? Sam już nie wiedziałem, co czuję. Miałem wrażenie, że stoję na skraju przepaści. Najmniejsze naruszenie rytmu czasu - i równowaga mogła się załamać.

- Ile? - zapytał Richard.

Dziewczyna na tapczanie już się nie ruszała. Patrzyła na nas lśnącymi oczami i dała mi znak.

Na korytarzu rozległy się monotonne kroki.

- Będę ci wysyłał pieniądze - powtórzyłem z trudem. Chciałem myśleć o czymś innym, musiałem myśleć o czymś innym.

- Muszę dać pięćdziesiąt dolarów mojemu przyjacielowi - powiedział Richard. - Ze stu niewiele mi zostanie...

- Idź po niego.

Wyszedł i przyprowadził faceta.

- Wyniesiesz się - powiedziałem mu.

- Akurat - zaprotestował. - Nie bądź pan taki cwany.

Nie chciałem go zbyt skrzywdzić, ale i tak poleciał dwa metry.

- Wstawaj - rozkazałem.

Dziewczyny patrzyły bez słowa i słyszałem ich podniecone oddechy.

- Wyniesiesz się z tymi oto dwudziestoma dolarami - powiedziałem, wyciągając banknoty z kieszeni - i jeśli kiedykolwiek zobaczę twoją głowę, to po tym, co ci zrobię, już jej nie rozpoznasz.

- Obejdzie się - odparł. - Nie zależy mi na tym, by was oglądać. Schował banknoty do kieszeni i wyszedł. Usłyszałem jego kroki na schodach, potem zapadła cisza.

Dziewczyna, kompletnie naga, wstała z tapczanu i zamknęła drzwi. Podeszła do Richarda i usiadła na stole. Czuję jej ostry, gorący zapach. Patrząc na mnie, śmiała się gdzieś w przestrzeń.

Czy miało być mi dane to zrobić? Czy miałem zabić Richarda? Widziałem dwie dziewczyny, chude ciało mojego brata i jego posępne oczy. Ten straszny zapach uderzał mi do głowy, przyprawiał o dreszcze w łądźwiach. Wyobrażałem sobie moje dwie ręce wokół jego żylastej, twardej szyi i krzyki obydwu dziewczyn. Oczywiście, powinienem się go pozbyć i to zgoła inaczej, niż dając mu pieniądze na powrót do Chicago. Oczywiście. Ale tutaj nie było nic do roboty, chyba że miałbym się również pozbyć tych dziewczyn. Dobra. Na razie sobie odpuszczę.

- Idź poszukać whisky - powiedziałem do tej, która była jeszcze ubrana. - Jak ci na imię?

- Ann - odrzekła.

- Ja jestem Sally - powiedziała druga.

Patrzyła na mnie z dołu i śmiała się, głowę lekko odchyliwszy ku ramieniu, jej krągłe i jędrne uda rozpląszczyły się na chropowatej powierzchni stołu, a kropelki potu spływały spod pach aż ku twardym biodrom. Zwinnie zmieniała pozycję. Widziałem teraz jej nagie podbrzusze, ledwie pokryte delikatnym, poskręcany puchem, nieco ciemniejszym od skóry. Zamknąwszy oczy mogłem sobie wyobrazić pełną i soczystą masę jej łona w mej dłoni i poczułem, że mięknę, że przegram partię. W przyływie rozsądku usiłowałem jeszcze raz wyobrazić sobie, że zrujnuję swe życie, Sheili i mojego syna, że kładę kres wszelkim marzeniom; lecz chuda szyja Richarda i jego zniszczone ręce nie mogły stanowić poważnego niebezpieczeństwa dla mojej sytuacji. Zapach tych dwóch kobiet, tych Murzynek, zdawał się dobywać zewsząd, wysnuwał się z brudnych ścian, ze starej, złuszczonej farby, dochodził z zimnej i wilgotnej podłogi, z tego starego tapczanu, napływał od stołu, od nóg tej dziewczyny, od jej niecierpliwie naprężających się piersi, od jej ud, z tego trójkąta twardego i gorącego, który miałem zmiażdżyć całym mym ciężarem...

Richard przeciągnął się i położył łokcie na stole, Sally patrzyła na niego słodko i wsunęła mu dłoń we włosy. Miała długie i zgrabne palce, a ja pomyślałem o jej palcach na moim ciele. Ann poszła po whisky z pięcioma dolarami, które jej dałem, bo chciałem się napić. Znow napotkałem zimne i twarde spojrzenie Richarda. On nie czekał na whisky, chciał pieniędzy.

Bałem się i zapomniałem - na przemian. Podniecenie seksualne, jakie mną owładnęło, uniemożliwiło mi zastanowienie się nad ewentualnymi konsekwencjami obecności Richarda, konsekwencjami, które stały się moją obsesją od tylu dni. Nie myślałem teraz o tym, może tylko chwilami - bez przerwy widziałem dwa ciała na zniszczonym tapczanie: Sally i siebie. Richard obserwował mnie uważnie.

Podszedłem do stołu. Już tylko jeden mały gest oddzielał mnie od Sally.

Ona zrobiła ten gest. Wstała, przywrą do mnie i ujęła moją prawą dłoń, którą poprowadziła ku swym spiczastym piersiom. Richard ani drgnął. Usłyszałem, jak otwierają się drzwi. Weszła Ann, zamknęła je na klucz i postawiła butelkę na stole. Richard pochwycił ją, zawahał się, otworzył i zaczął łapczywie pić.

Ann czekała na butelkę i uśmiechnęła się, kiedy nasze spojrzenia się skrzyżowały. Czulem, jak Sally się porusza, lecz nie śmiałem o niej myśleć. Nagle się odsunęła i pomogła mi ściągnąć płaszcz. Kapelusz położyłem obok siebie.

Richard przestał pić. Podał butelkę Ann. Ona wzięła ją, wypila i nadeszła moja kolej. Tymczasem ona i Sally ściągały ze mnie ubranie. Richard opadł na stół, głowę złożony w rękach. Zaniósłem Sally na tapczan. Trzymała butelkę i zwróciła mi ją pustą. Ustami pieściłem jej skórę, czulem cierpką wilgoć jej potu i chciałem ją ugryźć aż do krwi. Przyciągnęła mnie ku sobie i pokierowała moją głową, kiedy ją całowałem, czulem, jak się rozchyła - tymczasem zaś Ann wślizgnęła się pode mnie. Posiadłem ją wściekle, aż do bólu; nasze ciała parowały w chłodnym powietrzu pomieszczenia i już nawet nie wiedziałem, że mam białą skórę.

VI

Bolały mnie wszystkie członki, a w czaszce dzwoniło coś boleśnie, kiedy wreszcie udało mi się wydobyć spomiędzy dwóch splątanych ciał. Głowa Sally odskakiwała bezwładnie jak piłka. Dziewczyna upadła, kiedy usiłowałem posadzić ją na krawędzi tapczanu. Na wpół otworzą oczy, uśmiechnęła się niewyraźnie i zamknęła je z powrotem. Ann otrząsnęła się jak pies wychodzący z wody, a mnie aż poraziła pełna giętkości gracia jej sylwetki modelki, wysokiej i szczupłej, o małych, wysoko zawieszonych piersiach, kościach kruchych i delikatnych. Ruchy miała sprężyste jak dzikie zwierzę. Sheila również przeciągała się w ten sposób.

Sheila. Spojrzałem na zegarek. Co mógł sobie pomyśleć Jim? Nick... Nick nie powie nic. Zdjęty gwałtownym łękiem, spojrzałem na stół. Leżało tam moje ubranie, a Richard spał, głowę złożony na zgiętym ramieniu.

Nie miałem przy sobie stu dolarów... Musiałem tu wrócić. Trzeba było najpierw... dlaczego by nie skorzystać ze snu Richarda?

Wstałem i poruszyłem się lekko. Wszystko było w porządku. Moje otępienie ustępowało błyskawicznie. Dwie dziewczyny to najlepsze antidotum na whisky. Sally spała z otwartymi ustami. Ogarnęło mnie obrzydzenie i powąchałem swoje dłonie. Całe ciało miałem przesiąknięte ich zapachem. Zadrzałem, lecz ujrzałem brązowe, jakby pokryte ochrą ciało drugiej dziewczyny, która ubierała się bez troski, podśpiewując jakąś piosenkę, i znów nabrałem na nią ochoty. Czułem jej ciało zaciskające się na moim, palące i wąskie. Lecz nie mogłem wypędzić z myśli twarzy Sheili, jej pofalowanych blond włosów, jej szkarłatnych warg i pożyłkowanej na niebiesko skóry nagich piersi.

Nie chciałem dawać Richardowi stu dolarów. On spał. Wystarczyło się wynieść.

Dopałem do moich rzeczy i ubrałem się w pośpiechu. Miałem ochotę wziąć prysznic, lecz trzeba było się spieszyć. Musiałem wrócić do Nicka, zająć się swoją robotą. Całe szczęście, że to wszystko zdarzyło się po południu. O tej porze na ogół nie miałem zbyt wielu zajęć.

Jak uda mi się pozbyć tego zapachu? Niemożliwe, by Sheila niczego nie dostrzegła. W miarę jak odzyskiwałem jasną świadomość własnego położenia, nabierałem wrażenia, że moje zmysły znów zagnają funkcjonować, i rejestrowałem całkiem nowe doznania, jeszcze gwałtowniejsze.

Richard nie poruszał się, spał naprawdę głęboko. Znów miałem jasny umysł. Zbyt

jasny. Nie poruszyłem się nawet o krok. Dałem się porwać pożądaniu. Wszyscy mężczyźni mają ochotę przespać się z Murzynką - biali mężczyźni, mężczyźni tacy jak ja. I nie jest to kwestia rasy. To taki naturalny odruch. Ma się wrażenie, że to może być coś innego.

I rzeczywiście było.

Zacisnąłem pięści, zbity z tropu. Ann obserwowała mnie wzrokiem pełnym pożądania i złości.

- Kiedy wrócisz? - szepnęła.

- Nie wrócę - odparłem brutalnie.

- Nie chcesz się widzieć z Richardem?

Podeszła do niego, chcąc go niewątpliwie obudzić. Powstrzymałem ją gestem.

- Nie rusz go - rzuciłem oschle. Posłusznie pozostała na miejscu.

- Dlaczego nie chcesz wrócić? - zapytała.

- Nie jestem jego bratem. Nie podoba mi się jego kolor. Nie mam ochoty go widzieć.

- A mój ci się podoba? - zapytała z uśmiechem.

Nie ma takiego miejsca na jej ciele, które zatknąwszy się z moim, nie pamiętałoby o tym z precyzją równie wyrazistą jak w rzeczywistości.

- Jestem biały - powiedziałem. - Nie mogę z wami trzymać. Wzruszyła ramionami.

- Tyłu innych białych żyje z czarnymi. Tu nie Południe. Jesteśmy w Nowym Jorku.

- Nie potrzebuję was - powiedziałem. - Jestem szczęśliwy bez tego. Nie mam ochoty dać się wykorzystywać bandzie czarnuchów.

Śmiała się nadal, a mnie ogarniała złość.

- Mogę się obejść bez waszej trójki - powiedziałem. - O nic was nie prosiłem. Jedyna rzecz, o jaką wam chodzi, to żebym bulił.

Miałem wrażenie, że bronię się przed nie istniejącym atakiem. Czy rzeczywiście te trzy bezbronne istoty mnie atakowały?

- Należymy do dwóch całkiem odrębnych światów - rzuciłem. - Dwóch światów, które istnieją obok siebie, lecz nie mogą się spotkać. A jeśli to nastąpi, wynikiem będzie jedynie nieszczęście i ruina. Dla obydwu.

- Richard nie ma nic do stracenia - powiedziała.

Była to groźba czy zwykła konstatacja? Zacząłem się zastanawiać, jakie stosunki łączą tę trójkę, Ann, Richarda i Sally.

- Kiedy wrócisz? - zapytała ponownie.

Zadarła spódnicę aż do uda, żeby poprawić żabkę przy jednej z pończoch. Zadzieriała ją wyżej, niż to było konieczne, i poczułem patrząc na cienie kładące się na jej skórze, że

lepiej zrobię odchodząc. Moja złość przekształciła się w coś zgoła odmiennego. Obszedłem stół, nasłuchując oddechu Richarda.

- Daj mi parę groszy - powiedziała Ann cicho. - Richard musi coś jeść.

- A ty? - zapytałem. - Nie musisz? Potrząsnęła głową.

- Nie potrzebuję pieniędzy. Dostaję wszystko, czego mi trzeba. Stałem zażenowany.

Dlaczego zażenowany? Pogrzebałem w kieszeni i wyciągnąłem banknot. Przyjrzałem mu się. Była to dziesięciodolarówka.

- Masz - powiedziałem.

- Dziękuję, Dan. Richard będzie zadowolony.

- Nie nazywaj mnie Dan.

- Dlaczego? - zapytała łagodnie.

Dlaczego? Oczywiście nie mogła wiedzieć, że Sheila mówiła do mnie „Dan” dokładnie w ten sam sposób, odrobinę przeciągle. Trudno, powinna była o tym wiedzieć.

Opuściłem pomieszczenie bez zwłoki. Ann nie próbowała mnie powstrzymać.

Przeszedłem przez wilgotny korytarz miotany różnorodnymi doznaniem, które stapały się we mnie w coś w rodzaju nieomal namacalnego zażenowania. Nagle odczułem tak intensywną potrzebę zmiany, opuszczenia mieszkania i znalezienie sobie innego, ukrycia się, że aż pot zaczął spływać mi po twarzy; dławił mnie jakiś lęk, lęk człowieka osaczonego - gorzej, lęk zahipnotyzowanej ofiary oplacającej swego kata. Czy widzieliście kiedykolwiek mysz, w chwili gdy kot zabiera swą łapę z maleńkiego grzbieciku? Leży nieruchomo, nawet nie usiłuje umknąć, następny zaś cios jest lżejszy niż pieszczota, niż muśnięcie miłości, miłości ofiary do kata, który w pewien sposób odwzajemnia jej to uczucie.

Pewne było, że Richard kocha mnie bardzo. Więc kiedy następny cios?

Lecz zwykle myszy nie potrafią się bronić. Ja miałem pięści i umiałem posłużyć się rewolwerem.

Nigdy nie wiadomo, kiedy to może się przydać...

VII

Tego wieczora nie przesiadywałem u Nicka. Byłem zmęczony, bardziej moralnie niż fizycznie, i wszyscy ci kretyni grający i chlający co wieczór w ten sam sposób wzbudzali we mnie coraz większy wstręt.

Drażyły mnie jakieś niepokojące myśli, równie niejasne jak cienie, lecz niewątpliwie los ulitował się nade mną, bo noc minęła szybko, bez zgrzytów - i znalazłem się sam na ulicy lśniącej żółtym światłem, idąc ramię w ramię z cieniem, który zataczał łuk jak wskazówka zegara za każdym razem, gdy mijałem kolejną latarnię. Miasto kipiało w mroku swym nieustającym zgiełkiem, a ja szedłem jeszcze szybciej. Pchała mnie ku SheiLi niecierpliwość przepełniona ciekawością.

Nie wszedłem natychmiast do sypialni, lecz wsunąłem się bezgłośnie do łazienki przez otwarte okno. Rozebrałem się i wziąłem prysznic, lecz dziwne uczucie, jakie mną zawładnęło, stawiało zimnej wodzie opór większy niż jakiegokolwiek zamroczenie alkoholowe - stwierdziłem to, wycierając zamrażnięte ciało ręcznikiem kąpielowym.

Zostawiłem w łazience ubranie i wszedłem do Sheili. Spała, kompletnie rozkopana, góra od pizamy obnażała jej doskonały biust, zaś rozpuszczone włosy zakrywały część twarzy. Wyciągnąłem się obok niej i wziąłem ją w ramiona, jak to czyniłem każdej nocy. Nie otworzywszy oczu, rozbudziła się nieco i oddała mi pocałunki, po czym poddała się moim niecierpliwym dłoniom i rozebrałem ją całkiem. Uporczywie zaciskała powieki, lecz wiedziałem, że je otworzy, gdy tylko przygniotę ją swym ciężarem. Pieściłem jej chłodne ramiona i łagodnie zaokrąglone biodra. Poddawała się moim pieszczotom i szeptała niewyraźnie czułe słówka. Nadal całowałem ją i dotykałem ciepłego, jędrnego ciała - tak upłynęło kilka minut. Najwyraźniej oczekiwała, bym ją wziął - a ja ani drgnąłem. Nie mogłem. Nie mogłem nic zrobić. Sheila nie zdawała sobie jeszcze sprawy - ja zaś właśnie dostrzegłem, że jej pocałunki nie rozgrzewają mnie, że jej ciało nie pobudza mojego, że wszystko, co czyniłem, robiłem odruchowo, z przyzwyczajenia. Kochałem jej kształty, kochałem jędrność jej długich nóg i złocisty trójkąt podbrzusza, kochałem brunatne i pulchne czubki jej krągłych piersi, lecz była to miłość bezwładna, taka, jaką się darzy fotografię.

- Co ci jest, Dan? - zapytała.

Mówiła nie otwierając oczu. Jej dłoń spoczywająca na moim ramieniu zsunęła się na rękę.

- Nic - odrzekłem - Miałem dziś dużo pracy.

- Codziennie masz dużo pracy - powiedziała. - Nie kochasz mnie dzisiaj?

Mocniej przycisnęła się do mnie, a jej dłoń zaczęła mnie szukać. Wyrwałem się, ale nie brutalnie.

- Myślę o czymś innym - powiedziałem - Mam kłopoty. Wybacz mi.

- Kłopoty z Nickiem?

Jej głos nie zdradzał najmniejszego zainteresowania kłopotami, jakie mogły mnie dręczyć. Wiedziała dokładnie, czego chce, a ponieważ tego nie otrzymała, czuła się oszukana. Ja zaś rozumiałem ją dobrze. Usiłowałem myśleć o jakichś podniecających rzeczach, próbowałem przypomnieć sobie ciało Sheili, gdy się ze mną kochała, jej na wpół otwarte usta, lśniące zęby i ten cichy, chrapliwy jęk, podobny do gruchania, jaki wówczas wydawała, odrzucając głowę to w lewo, to w prawo, gdy tymczasem jej ręce orały moje plecy i biodra. Sheila czekała. Nie całkiem rozbudzoną lecz dostatecznie świadoma, by zdawać sobie sprawę, że działo się ze mną coś dziwnego.

- Tak - powiedziałem. - Kłopoty z Nickiem Uważa, że zbyt wiele go kosztuje.

- To on ma za mało klientów - stwierdziła Sheila.

- Nie mogę mu tego powiedzieć.

- Ty wolisz zajmować się klientkami, z których on nie ma żadnych korzyści.

Odsunęła się ode mnie, a ja nie uczyniłem żadnego wysiłku, by się do niej przybliżyć. Czułem się źle i byłem zaniepokojony, nadal walczyłem, desperacko przeszukiwałem pamięć, by wydobyć jakieś wspomnienia. Ujrzałem wieczory spędzone u Nicka, dziewczyny, które posiadałem w kabinach telefonicznych, brunetki, blondynki, których dotyk zdawał się dodawać mi sił.

Te szybkie numerki z kobietami, które mnie nie kochały, które widziały we mnie to, co ja znajdowałem w nich - wygodnego partnera, zaprawionego w miłości, zamiast mnie wyczerpywać na ogół wzbudzały we mnie jeszcze silniejszy pociąg do Sheili. Jak gdyby świadomość czystej cielesności mojego i ich pożądania sprawiała, iż jeszcze silniej przywiązywałem się do tej kobiety, którą kochałem całą moją duszą.

Piękną duszą zresztą, wykidajły od Nicka.

Moje ciało było zimne i sflaczałe, rozdygotane mięśnie szarpane skurczami szamotały się pod moją skórą jak zwierzęta.

- Sheila – szepnąłem. Nie odpowiedziała.

- Sheila, źle robisz, że masz mi to za złe.

- Upiłeś się. Daj mi spokój.

- Nie piłem, Sheila, zapewniam cię.

- Wolałabym, żeby to było to.

Mówiła głosem cichym i pełnym napięcia, bliskim płaczu. Sheila, którą tak bardzo kochałem.

- To drobiazg - powiedziałem - Lecz chciałbym tak bardzo, byś mi uwierzyła. Być może niepotrzebnie tak się tym dręcę.

- Nawet gdyby Nick zabrał ci wszystkie pieniądze, Dan, nie byłby to powód, byś mną gardził.

Desperacko usiłowałem się podnieć, wyobrazić sobie jakieś erotyczne sceny, by przegnać tę niezdrową niemoc przygważdżającą mnie bezwładnego do pościeli. Dwadzieścia razy uprawiałem miłość z Maxime i jej koleżankami. Dwadzieścia razy wracałem do domu w spokoju ducha, szczęśliwy, że znów jestem z moją żoną, szczęśliwy, że ją zaspokoilem, gdyż za każdym razem czerpałem nowe siły z kontaktu z jej doskonałym ciałem.

Nie mogłem. Nic.

- Sheila - prosiłem - wybacz mi. Nie wiem, co sobie myślisz, nie wiem, co sobie wyobrazasz, lecz to nie z powodu kobiety czy kobiet.

Płakała teraz pochlipując żałośnie.

- Och, Dan, nie kochasz mnie już, Dan... Ty...

Pochyliłem się nad nią. Pocałowałem. Zrobiłem wszystko, co mogłem. Są kobiety, które można uspokoić w ten sposób, a ja naprawdę szczerze chciałem, żeby Sheila była szczęśliwa, lecz ona gwałtownie odepchnęła moją głowę i zwinęła się w prześcieradło, jakby nie chciała, bym jej dotykał.

Nic nie powiedziałem. W pokoju panował mrok. Nasłuchiwałem. Łkania ucichły, a regularna łagodność jej oddechu powiedziała mi w chwilę potem, że właśnie usnęła.

Wstałem ostrożnie i wróciłem do łazienki. Moja koszula wisiała na ścianie. Zdjąłem ją i powąchałem.

Zapach Sally, zapach Ann - była nim przesiąknięta. Poczułem, jak me ciało twardnieje.

Puściłem koszulę i przesunąłem rękami po twarzy. Zapach prawie się rozwiął, lecz nadal był tam jeszcze, wciąż niewyraźny i ostry, i znów ujrzałem Ann i Sally, kłębowisko naszych ciał w wilgotnych podziemiach baru w Harlemie.

Obok, w sypialni, spała Sheila. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że ją zdradzam, gdy zaspokajałem swe żądze z dziewczynami od Nicka, rznąc profesjonalistki w samochodach ich klientów, pod nosem tych ostatnich. Lecz teraz wiedziałem, że robię źle - i że robię rzecz niewybaczalną - gdyż zdradzałem ją duszą, a moje ciało pozostało niewrażliwe na jej urodę.

Próbowałem się podnieść na duchu. Dobrze, niewykluczone, że sypianie z dwiema Murzynkami jest bardziej męczące niż z białymi i że potrzebuję odrobiny odpoczynku, lecz moje ciało wskazywało na coś wręcz przeciwnego, obrazy przeszywające mój umysł dalekie były od uspokajających błękitów jezior.

Wszedłem do wanny i pociągnąłem za łańcuszek prysznicu. Znów lodowata woda, tym razem, by się uspokoić.

Gdyż nawet nie miałem śmiałości skorzystać ze stanu, w jakim się znajdowałem, by obudzić Sheilę i rozwiać jej podejrzenia.

Bąłem się. Bąłem się, by tym razem porównanie nie wypadło na jej korzyść.

Wszedłem z łazienki zdruzgotany, na sztywnych nogach, przytłoczony bardziej psychicznie niż fizycznie.

Wróciłem do łóżka i leżałem w mroku zraniony przez coś, co - jak się obawiam - rozumiałem zbyt dobrze, aż wreszcie ogarnął mnie sen.

VIII

Spałem niespokojnym snem, dręczony koszmarami, i pomimo zmęczenia, obudziłem się przed Sheilą, gdyż czułem niejasno, że powinienem się wynieść, nim mi zada kolejne pytania, kierując wczorajszą dyskusję na niewłaściwe tory. Dziecko spało w sąsiednim pokoju i musiałem działać szybko, gdyż jego sen nie był odporny na dźwięki dochodzące z ulicy o godzinie siódmej rano.

Ogoliłem się pośpiesznie, zmieniłem bieliznę, a tę wczorajszą wrzuciłem do emaliowanego kufra. Włożyłem lekki garnitur i wyszedłem.

Śniadanie zjadłem w kawiarni. Nie spieszyłem się. Miałem do zabicia cały dzień przed rozpoczęciem pracy u Nicka.

Wszedłem do kabiny telefonicznej i zadzwoniłem do Sheili.

- Halo? - Jej głos był zaniepokojony.

- Halo, tu Dan - powiedziałem. - Dzień dobry. - Nie jadłeś śniadania?

- Musiałem wyjść - wyjaśniłem. - W tej sprawie, o której ci wczoraj mówiłem.

Nic nie odrzekła i oblały mnie zimne poty, gdyż pomyślałem, że zaraz odłoży słuchawkę.

- Ach, tak! - powiedziała wreszcie - przypominam sobie. Lodowaty ton, jakim wymówiła te słowa.

- Nie wrócę do domu - oznajmiłem. - Pójdę prosto do Nicka. Przed południem muszę się spotkać z mnóstwem osób.

- Uważaj, żeby nie miały zbyt dużo szminki na wargach - odcięła się Sheila.

Tym razem odłożyła słuchawkę. Dobra. Odwiesiłem słuchawkę na właściwe miejsce i wyszedłem z kabiny.

Cały dzień, aż do piątej wieczorem, to niezły kawał czasu.

Przejsć się. Później kino.

Poszukać mieszkania.

Uśmiechnąłem się na tę myśl. Niezbyt wesoło.

Był to kolejny z owych kośnych impulsów, świdrujący ból świeżej ranki, a tak powierzchownej, że aż wstyd zwracać na nią uwagę.

Próbowałem odsunąć od siebie myśli, które cisnęły się z siłą tak potężną, że udawało mi się - tak jak w przypadkach wielkich katastrof: uwolnić-się-od-niej-nie-myśleć-pozostać-prawie-obojętnym.

Początkowo bałem się Richarda. Ryzykowałem, że stracę wszystko: moją pozycję, żonę, syna - całe życie. Przeżyłem dni lęku, wypróbowałem wszelkie sposoby, by się go pozbyć. Później zdecydowałem się spotkać z moim bratem, stanąć z nim twarzą w twarz.

I stanąłem. Lecz na moje nieszczęście nie był sam. Przy nim odkryłem głębię mojej duszy. Tak. Teraz bałem się siebie samego. Niebezpieczeństwo nadchodziło od strony mego ciała. Ciała buntującego się przeciw swemu panu, unoszonego przez instynkt, z którego istnieniem nie chciałem się pogodzić.

Gdyby Richard mnie zdradził, straciłbym moją-pozycję-moją-żonę-mego syna. Prawda. Jednak gdybym pozostał tylko ja, pojawiłaby się szansa, żeby wszystko odwrócić. Lecz gdyby zdradziła mnie własna skóra, miałbym przed sobą tylko nicość.

Obejrzałem się za dziewczyną zbyt dobrze ubraną jak na tę porę i dzielnicę. Świeciło słońce. Żyłem.

Myślałem o Sheili.

Żyłem i byłem impotentem.

Wszedłem do baru. Barman w podwiniętych rękawach i białym fartuchu przecierał kontuar brudną ścierką. Na podłodze wyłożonej terakotą wałały się trociny.

- Whisky! - zażądałem. Nalał bez słowa.

- Piękny dzień - zagailem. - Co nowego?

- Nic nowego - odparł. - To, co zwykle.

- Nie ma sprawy z tym Bobem Whitneyem.

- Dopadną ich wszystkich - odrzekł barman. Nie wydawał się nazbyt rozmowny.

- Co można robić w tym mieście o ósmej rano? - zapytałem.

- Nic - odrzekł mężczyzna. - To znaczy: pracować.

- Nie mam nic do roboty aż do piątej - powiedziałem wychylając whisky.

Naprawdę nie mogłem przyzwyczać się do alkoholu. Znajdujące się przy kontuarze schody wiodły do sali na pierwszym piętrze. Dobiegał stamtąd odgłos wiader i mioteł; ktoś właśnie sprzątał. Podniosłem wzrok i dostrzegłem bluzę z czarno-białej bawełny klęczącej na ostatnim stopniu Murzynki, której obszerny zad poruszał się rytmicznie.

- Jeszcze jedną - powiedziałem do barmana.

Co tu robić o ósmej rano. Dostrzegłem szafę grającą.

- Co tam w niej siedzi? - zapytałem.

- Pojęcia nie mam. Odpuściłem sobie zniechęcony.

- Ile jestem winien?

- Dolara - odrzekł.

Zapłaciłem i wyszedłem. Poszedłem na najbliższą stację metra. Kupiłem gazetę i czekałem na pociąg. Był zatłoczony. Poczułem się mniej samotnie. A jednak wszyscy oni dokądś jechali. Wszyscy byli kimś. Ja nie jechałem donikąd - i stałem na krawędzi dwóch ras, a obie były gotowe mnie odepchnąć. W gazecie nic ciekawego. Wsiadając zostawiłem ją w wagonie.

Wsiadając, jakby przypadkiem, niedaleko Harlemu.

Wszedłem do pierwszej napotkanej pralni.

- Dzień dobry - powiedziałem.

- Dzień dobry panu.

Było ich dwóch, Żyd i jego pomocnik. Rozebrałem się w kabinie i czekałem, aż moje spodnie będą gotowe. Musiałem tam siedzieć. To mogło zająć jakieś pół godziny. Cóż jeszcze mogłem wymyślić? Dać sobie wypastować buty? Pięć minut. Iść coś zjeść? To również nie trwałoby długo.

Dziewczyna. Biała dziewczyna. Żeby się dowiedzieć. Żeby spróbować.

Teraz zżerała mnie niecierpliwość.

- Pospiesz się pan - wrzasnąłem do pracza. - Mam randkę z Betty Hutton.

- Przygotuję panu dla ochłody porcję lodów - odparł mężczyzna tym samym tonem. - Zaraz spodnie będą gotowe. Tylko jej pan nie pokalecz. Są ostre jak brzytwa.

- To ja będę siadał na jej kolanach - powiedziałem. - Od tyłu będą równie ostre - oznajmił właściciel pralni. Dałem sobie spokój. Ten był przeciwieństwem tamtego z baru.

Kłapał bez przerwy. Czekałem myśląc o niczym - o niczym, oprócz białej dziewczyny.

Wiedziałem, gdzie ją znaleźć. Jedna z fordanserek od Nicka mieszkała niedaleko. Odwoziłem ją do domu średnio raz w tygodniu.

Taka dziewczyna to prawdziwy skarb. Nick zawsze miał farta. Spędziłem jednak pięć minut u pucybuta.

IX

Osobiście otworzyła mi drzwi, pocierając oczy.

- Cześć! - zawołałem. - Sama?

- Za kogo mnie uważasz?

- Za kumpelkę - odrzekłem. - Mogę wejść?

- Oczywiście.

- Przeszkadzam ci?

- Mogę się ubrać w twojej obecności - powiedziała — nie sądzisz?

- Och - odparłem - nie warto się aż tak bardzo spieszyć. Spojrzała na mnie mrużąc oczy i odrzucając do tyłu kosmyk zasłaniający jej widok.

- Czego chcesz? - zapytała. - Pierwszy raz widzę cię o tej porze.

- Chciałem się z tobą zobaczyć.

Położyłem kapelusz na stole i usiadłem obok niej.

- Niezła jesteś - stwierdziłem.

- Żadna nowina. Wiesz, jaka jestem.

- Całkiem znośna - powiedziałem.

- Dziwny dzisiaj jesteś, Dan.

- Czy to ci przeszkadza? - zapytałem.

- Czy co mi przeszkadza?

- Że przyszedłem...

- Chciałabym wiedzieć, po co.

- Nie udawaj Greka - powiedziałem.

Była w zasięgu mojej ręki i przyciągnąłem ją do siebie. Nawet nie usiłowała zapiąć peniuaru i pozwoliła sobą manipulować bez najmniejszego oporu.

- Dziwny z ciebie facet, Dan - powiedziała.

- Dlaczego?

- U Nicka nikt mc o tobie nie wie...

- A co należałoby wiedzieć?

Odpowiedź zabrała jej nieco czasu, wypełniłem go rozpinaniem jej stanika. Miała najwyżej dziewiętnaście lat. I ani jednego roku więcej. U Nicka zawsze świeże mięso.

- Skąd jesteś?

- Stamtąd., - powiedziałem, robiąc niewyraźny ruch ręką.

- Chicago?

- Otóż to.

- To dziwne - szepnęła. - Faceci stamtąd zawsze się upijają, zanim nas dotkną. Bez tego, rzec by można, nie mają śmiałości.

- Nieźle ich rajcujecie - stwierdziłem.

- Ale nie wtedy, kiedy nam się podobają - odrzekła prowokująco, przysuwając się do mnie.

Nadal siedziałem na stole, akurat na właściwej wysokości, by całować jej piersi. Trwało to dobre pięć minut. Zamknęła oczy i przyciskała pachnące ciało do mych warg. Zrobiłem jeden ruch, by całkiem ją rozebrać, lecz uprzedziła mnie. Już wcześniej zdjąłem jej przezroczysty stanik spod peniuaru; podbrzusze miała całkiem wydepilowane, nagie i złociste.

- Dziwny jesteś... - powtórzyła raz jeszcze wrywając się. - Nie będziesz tak chyba siedział na tym stole?

- A ty skąd jesteś? - zapytałem z kolei.

- Brooklyn.

Uśmiechnęła się i złapała mnie za przeguby, chcąc zmusić do wstania.

- Nie będę ci opowiadać, że urodziłam się w najfajniejszym domu w Central Park South.

- Nie musisz mi tego mówić. Powiedz lepiej, czy jesteś w formie?

Przeciągnęła się.

- W niezłej.

Zdjąłem marynarkę, a ona wyciągnęła się na łóżku. Zrzuciłem z nóg buty i całą resztę. Zapaliła papierosa i zaciągała się spokojnie, obserwując mnie kątem oka. Szykowałem się, by do niej wskoczyć, lecz powstrzymała mnie.

- Whisky znajdziesz w kuchni.

- Nie piję tego - odrzekłem. - Nie za często.

Jeszcze miałem w ustach smak alkoholu, który wypłem godzinę temu.

- Wyglądasz, jakbyś potrzebował - zakpiła. Bardzo dobrze wiedziałem, na co właśnie patrzy.

- Nie obawiaj się - powiedziałem - kiedy trzeba, działa.

- Myślałam, że potrzebujesz odrobiny paliwa.

- Zbiornik jest pełen. - Więc chodź...

Opuściła rękę wzdłuż łóżka i rozgniotła papierosa w popielniczce stojącej na dywanie.

Podszedłem i wyciągnąłem się obok niej. Pieściłem ją przez chwilę. Nic nie mówiła i nie patrzyła na mnie.

Zacząłem się zastanawiać, co się dzieje. Próbowałem ją całować po całym ciele. Zazwyczaj miało to na mnie korzystny wpływ, nawet kiedy byłem zmęczony.

Nic.

Działałem dalej wiedząc, że moje pocałunki zaczęły się rozpalać. Jej nagi brzuch był gorący i jędrny jak dojrzała śliwka w blasku słońca.

Nagle cofnąłem się. Wyraźnie i zdecydowanie pachniała mydłem.

Do diabła. Z równym skutkiem można by się kochać z pralką.

Uniosłem się i wstałem. Obie ręce miała rozrzucone po dwóch stronach odchylonej na bok głowy. W lekkim uśmiechu obnażała swe białe zęby, zaś jej palce o krwistoczerwonych paznokciach wpijały się w rozłożone dłonie. Jej pierś unosiła się w szybkim rytmie.

Zdała sobie sprawę, że odszedłem, i usiadła gwałtownie.

- Dan! Co jest?

- Nic.

- Zostań ze mną. - Nie.

- Dlaczego? Dan... Proszę cię...

- Miałaś rację - powiedziałem. - Nie mogę. To nie twoja wina. Chciałem się upewnić i teraz, niestety, jestem już pewien.

- Dan...! Proszę cię... Doprowadziłeś mnie do takiego stanu...

- Och! W porządku - powiedziałem. - Połóż się. Jakoś to załatwię.

Położyła się, a ja usiadłem koło niej i zrobiłem, co tylko mogłem. Nie było to zbyt zabawne, lecz w końcu trafiają się gorsze roboty. W każdym razie, ta była czysta. Po kilku chwilach ujrzałem, jak jej ciało się napina i nadstawia pieszczotom, dłonie zacisnęły się i otworzyły, nadal spoczywała na plecach, spokojna i rozluźniona.

- Dan... - szepnęła. - Kochany.

- Pasuje?

- Dan... Bardzo, bardzo to lubię.

- Cieszę się z tego w twoim imieniu - powiedziałem.

- Nie było to nieprzyjemne, Dan?

- Och - westchnąłem - robić to czy grać na wyścigach... - Ależ z ciebie wstrętny cham, Dan... ale... zrobisz to jeszcze raz?

- Nie widzę najmniejszego pożytku z czegoś takiego. Moim zdaniem rezultat jest raczej zniechęcający.

- Moim, nie - powiedziała. - A twoje mnie nie obchodzi.

- Dokładnie tak samo to widzę z mojej strony - odrzekłem. - Przyszedłem tu do ciebie, żeby się dowiedzieć, czy jeszcze mogę. Sprawa wyjaśniona. Nie mogę.

- Mnie wystarczy.

- Dzięki. Próbowełaś już kiedyś przespać się z dziewczyną? Mam wrażenie, że to twój kierunek.

- Cóż... Mam ochotę spróbować. Myślisz, że będzie tak samo?

- Jeśli o mnie chodzi, na pewno.

- Nie trać głowy, Dan. Są przecież różne farmaceutyki. - Wolne żarty - odparłem. - Zdajesz sobie sprawę... w moim wieku?

Zauważyłem, że rozmawiamy tonem o wiele bardziej przyjacielskim, niżbym przypuszczał. Zabawne. Być może kobiety lubią impotentów. Męczyzna, taki prawdziwy, zawsze je trochę przeraża. Boją się, że je zrani. A taki impotent to jak dobra kumpelka.

- To się każdemu zdarza - powiedziała. - Płacę mi za tę wiedzę.

- Powinnaś pamiętać, że dziewięciu na dziesięciu twoich klientów jest zaprawionych - rzekłem. - Nic tak człowieka nie ostudzi jak solidny gaz.

- To się również zdarza - przyznała. - ale ty nie pijesz. Być może jesteś już przesycony. Czy myślałeś o tym, żeby spróbować z mężczyzną?

Zaśmiała się widząc moją wkurzoną minę.

- Odchrząć się - powiedziałem. - To już wolałbym z koniem!

- Krzywdy byś mu nie zrobił... - zakpiła.

To również była uwaga dobrej kumpelki. Nic nie odrzekłem.

- Możesz spróbować czegoś innego - dodała. - Dwóch kobiet albo trzech...

- Może od razu cały pensjonat, skoro już o tym mowa - odrzekłem.

- Albo Murzynki. Podobno.. - Zamknij się...!

Tym razem byłem wściekły. Na dobre. Wściekły jak diabli.

Patrzyła na mnie, nie rozumiejąc, o co mi chodzi. Miała szczęście, że nic nie powiedziała. Dałbym w łeb.

Odwrociłem się w ciszy i zacząłem się ubierać. Usłyszałem, jak delikatnie porusza się na łóżku. Moja złość się ulatniała.

- Dan - powiedziała szeptem - bardzo mi przykro...

W gruncie rzeczy ta dziewczyna nie była taka najgorsza.

- W porządku - odrzekłem. - Nic się nie stało.

- Nie trzeba się przejmować, Dan... ja... naprawdę... Dan, dziękuję ci.

Do licha, prawie mnie wzruszyła. Ta dziwka. Co one tam mają w środku?

Co każe im gadać takie rzeczy?

Wstała i lekkim krokiem poszła po swój peniuar leżący na fotelu.

- Zrobić ci kawę, Dan? Zapiąłem spodnie.

- Chętnie.

Pochwyciłem ją w momencie, gdy przechodziła obok. Drgnęła ze strachu, a jej oczy z niepokojem wpatrywały się we mnie. Otoczyłem ją ramionami i pocałowałem niezbyt mocno.

- Dzięki, siostrzyczko.

Od razu podniosło ją to na duchu, oddała mi pocałunek i pomknęła do małej kuchni, skąd dobiegł do mnie odgłos przestawianych przez nią naczyń i zapalanego gazu. Śpiewała jakąś modną piosenkę.

Zostawiłem marynarkę tam, gdzie leżała, i zagłębiłem się w fotelu. Kompletna pustka. Nicość. Można mnie było wywieźć na taczkach.

X

Nieco później wróciła z sutym śniadaniem na tacy. Kiedy rozstawiała filiżanki i talerze na małym składanym stolyczku, zapytałem ją:

- Więc naprawdę podobało ci się to bardziej niż poprzednie razy?

- Jakie poprzednie razy? - zaprotestowała. - Nie przychodziłeś tu znowu tak często...

- W każdym razie, nie robiło to na tobie specjalnego wrażenia - powiedziałem.

- O rany - odrzekła - tylu ich się tu przewinęło, wiesz. Lecz to, co mi przed chwilą zrobiłeś...

Zaczerwieniła się.

- Nie chcę o tym mówić, Dan. Być może jestem dziwką, i w ogóle, lecz nie lubię o tym mówić. Kiedy robię to dla pieniędzy, to co innego.

- Nie masz żadnego przyjaciela, który mógłby się zająć tobą w ten sposób? - zapytałem.

- Nie - odparła. - Miałam przyjaciela, który mnie wsadził do tej roboty, Dan, ale to był kawał łobuza. Chodziło mu wyłącznie o szmal. Sądziłam, że mnie kocha, więc chciałam to robić dla niego, lecz on zakpił ze mnie. Nie widziałam go więcej. Miał jeszcze inne dziewczyny i opuścił Nowy Jork po tej historii z typkami od Luciano.

- Dlaczego dalej to robiłaś? - zapytałem.

- Nie można przez całe życie zdychać z głodu, Dan. Robota nie jest taka zła. A ty dlaczego robisz dalej to, co robisz?

- Mam żonę i dzieciaka - odparłem. - I kocham ich bardzo. Jak to mówisz, robota nie jest taka zła.

- Masz fart - powiedziała. - Choć nie, w gruncie rzeczy, wolę być sama.

- Mnóstwo twoich kumpelek mieszka razem - powiedziałem.

- Być może tak jest sympatyczniej.

- Nie wiem, Dan. Wolałabym... Zawahała się.

- Wal śmiało - powiedziałem, nalewając sobie kawę do filiżanki.

- Chciałabym mieć takiego faceta jak ty, Dan. Silnego i bardzo delikatnego. A poza tym, robiłbyś mi to, co przed chwilą.

Usiadła na mych kolanach nie troszcząc się o trzymaną przeze mnie filiżankę, która zakołysała się niebezpiecznie.

- A ty nie chcesz, Dan.

Ekstra. Przyłóżę, mówię dziewczynie, że chcę się z nią przespać, nie mogę nic zrobić, wtedy okazuje się, że właśnie tak jest okay, i ona klei się jak plaster. Wszystkie są stuknięte.

- Mówię ci, że mam żonę i dzieciaka.

Az zadrzałem ze wstydu, pomyślawszy o Sheili. Sheila, którą tak okrutnie rozczarowałem poprzedniej nocy. Sheila. Przez mgnienie oka widziałem siebie z tą dziwką, a Sheilę z jakimś innym facetem, i serce mi pękło z wściekłości. Tak jest zawsze.

Człowiek się żeni i sypia z dziewczynami bez najmniejszych skrupułów. A wyobraziwszy sobie własną żonę z kimś innym - gotów byłby wymordować wszystkich na Ziemi. I nic się nie da zrobić - to są dwie różne sprawy. Mężczyzna nigdy nie zdradza swej żony.

- Miła jesteś - powiedziałem. - Ale ja nie chcę. Zaslugujesz na coś lepszego niż impotent.

Zabawiałem się pieszczaniem jednej z jej piersi i różowy czubek napiął przezroczysty jedwab dezabilu. Dziewczyna zrobiła ruch pełen oddania i połowa zawartości filizanki wylądowała na spodku.

- Stop - powiedziałem. - To niebezpieczne. Dalej, wstawaj i ubieraj się szybko. Zabieram cię do kina.

- Fajnie! - zawołała. - Zupełnie jakbyśmy byli narzeczonymi.

- Dokładnie - przytaknąłem.

Jasna sprawa, że nie miałem zamiaru mówić jej, dlaczego zabieram ją do kina. Ani jej, ani nikomu innemu. Nawet sobie samemu; wołałem o tym nie myśleć.

XI

Kiedy skończyła się ubierać, była już druga po południu. Zawsze zajmuje to więcej czasu, niż można by przypuszczać. Lecz w pewnym sensie, mnie to pasowało. W kinie będzie więcej ludzi.

Zresztą, już wcześniej wybrałem kino, do którego chciałem ją zabrać. Była to mała salka, niedaleko gimnazjum dla panienek, zawsze nabita. Oczywiście, istniała szansa, że mój plan okaże się niewypałem, lecz na tę okazję miałem w zapasie jeszcze inny pomysł.

Opuściliśmy jej mieszkanie i winda zwiózła nas na parter. Przyjrzałem się jej ukradkiem. Pomimo młodości, było coś w jej sposobie chodzenia i ubierania się, że nie można się było nie domyślić, kim była. Przyszła mi do głowy pewna myśl. Myśl, że udało mi się zataić coś jeszcze bardziej nie nadającego się do ujawnienia. Udało mi się i miałem nadzieję, że nadal mi się uda.

W jakim celu? - pomyślałem, szydząc z siebie samego. I po co te moje wysiłki, lata pracy u Nicka? Żeby okazać się impotentem. Ale nic to...! Teraz byłem całkiem spokojny, wiedziałem, że wkrótce wszystko będzie po staremu.

To dziwne. Wczoraj przy Sheili byłem zdruzgotany. Przed chwilą przy tej dziewczynie wściekłem się. Wypowiedziała się równie nieopatrnie. Teraz czułem się spokojny jak nigdy w życiu.

Wiedziałem, co mam zrobić.

Ona szła obok mnie. Ładna dziewczyna. Nogi, piersi, głowa. Wszystko na swoim miejscu.

Trzeba umieć dobrać sobie alibi.

Weszliśmy do kina i kupiłem dwa bilety.

Szedłem za nią po schodach o niklowanej poręczy, wyłożonych grubym chodnikiem, gdy nagle strumień światła z latarki biletera przeszył mrok. Spojrzał na nasze bilety.

- Są tylko pojedyncze miejsca - powiedział, - Potem się przesiądziecie.

Było to jeden do zera dla Dana.

Usiadła, a ja za nią, dwa rzędy dalej.

Dziesięć minut później wstałem po cichu i poszedłem dookoła od tyłu; dotarłem do wyjścia awaryjnego i znalazłem się na ulicy. Przejeżdżała taksówka. Dałem znak ręką.

Ale nie. Nie taksówką. Metrem.

Spojrzałem na zegarek. Mnóstwo czasu.

Ruszyłem w stronę metra.

XII

Zanim wszedłem do obskurnego baru, gdzie poprzedniego dnia spotkałem Richarda, bez ostentacji rozejrzałem się dookoła. Mało ludzi. Czarni, mieszańcy, także biali. Był to noman's-land.

Wszedłem, przezornie naciągnąwszy kapelusz na oczy, i ruszyłem prosto ku schodom. Mężczyzna za kontuarem ledwie uniósł wzrok, kiedy przechodziłem. Dopadła mnie drapiąca wilgoć korytarza i musiałem głęboko odetchnąć, by znów się przyzwyczać.

Dostrzegłem drzwi i wszedłem bez pukania, robiąc możliwie jak najmniej hałasu. Richard spał rozciągnięty na brudnym tapczanie. Pusta butelka stała na stole. Nie było ani Ann, ani Sally. Nadmiar szczęścia. Lecz pomieszczenie było przesiąknięte ich zapachem. Czulem, jak me ciało reaguje wbrew mej woli; było to coś, czego nie udało mi się osiągnąć w obecności Sheili i panienki od Nicka.

Richard. Miał mi za to zapłacić.

Jednym skokiem rzuciłem się na niego i ścisnąłem za gardło.

Nie miał czasu krzyknąć. Ścisnąłem ze wszystkich sił i poczułem, jak pod moimi palcami pęka kość grdykowa.

Żadnych numerów. Żadnych śladów. Puściłem go prawie natychmiast i nie zostawiwszy mu czasu na złapanie tchu, przykryłem jego twarz jedną z dziurawych poduszek z tapczanu.

A później nacisnąłem. Jego żyłaste ciało wrywało się we wszystkich kierunkach i omal mi nie umknęło. Prawie położyłem się na nim, usiłując go poskromić, zaciskając jego nogi swoimi. Ścisnąłem jak desperat, lecz jego kolano dosięgło mnie boleśnie w podbrzusze. Zakręciło mi się w głowie i miałem ochotę zwymiotować, lecz nie puściłem poduszki i udało mi się przygwoździć Richarda do poźółkłej materii. Jego dłonie zaciskały się na moim prawym przegubie, usiłując zedrzeć poduszkę, lecz przełożyłem rękę pod jego karkiem i z tych kleszczy Richard nie mógł się już wyrwać.

Szamotał się jeszcze dobre pięć minut. Siły zaczęły mnie opuszczać, a oczy zdawały się tańczyć w swych orbitach. Czulem, jak pot pośpiesznymi kroplami perli się na mej skórze, przylepiając koszulę do napiętych mięśni.

Dłoń Richarda nadal obejmowała mój nadgarstek. Lecz palce już się nie zaciskały. Wyswobodziłem się z trudem.

Dłużej nie warto było się męczyć.

Nie zdejmując poduszki z jego twarzy, szybko przeszukałem mu kieszenie. Brudny notes. Drobne. Rzeczy trudne do określenia. Losy na loterię. Notes. Reszta nie była niebezpieczna.

A potem pośpieszyć się.

Uniosłem poduszkę. Niezbyt piękny widok. Podszedłem do stołu, wziąłem butelkę ostrożnie, przez chusteczkę, postawiłem ją obok niego po uprzednim rozlaniu resztki alkoholu na twarz i ubranie Richarda.

Niewielkie szansę, by ktoś się dał nabrać na ten numer. Lecz kto by się miał interesować, czy ten mieszaniec, znaleziony w podziemiach spelunki w Harlemie, naprawdę zmarł na wylew?

W każdym razie - nie gliniarze.

Rozejrzałem się po pomieszczeniu. Żadnych zmian. Odłożyłem garderobę Richarda na miejsce. Przeszukując kieszenie starałem się, by zbytnio jej nie pomiąć. Dobra robota. Był twardy i zimny jak blok betonu. Tak to jest, kiedy się zdycha, czyniąc ogromny wysiłek.

Wyszedłem pośpiesznie. Miałem wrażenie, że otwierają się za mną drzwi. Odwróciłem się. Nic. Wzruszyłem ramionami i udałem się na górę. Przeszedłem przez salę i znalazłem się na zewnątrz.

Godzina. Upłynęła godzina. Dobra. Ruszyłem w powrotną drogę i wsiałem w metro.

Szybko dotarłem do kina. Nikt nie pilnował wyjścia bezpieczeństwa. Popchnąłem drzwiczki z napisem „Wstęp wzbroniony”. Kolejny nieco wilgotny korytarz. Przypomniałem sobie tamten.

Nie miałem wyrzutów sumienia.

Patrzyłem przez ciemną szybę drzwi prowadzących do sali. Nie było przy nich nikogo.

Pchnąłem je. Głosy aktorów dopadły mnie gwałtownie i aż podskoczyłem. Oślepiło mnie światło z latarki biletera. Podszedł szybko.

To głupie. Ale trudno. Miałem moje wytłumaczenie.

- Co pan robi? Podałem mu bilet.

- Gdzie toalety?

- Tamtędy, proszę pana - powiedział widząc mój przedarty bilet, który zaraz mi oddał.

- O tutaj.

- Dziękuję - odrzekłem.

Dwie minuty później powróciłem na swoje miejsce. Było zajęte, lecz zwolnił się fotel przed nim. Usiadłem tam i klepnałem po ramieniu moją towarzyszkę.

- Hello! - zawałem.

Złapała mnie za rękę, jakbym był zjawą, i wydała cichy okrzyk.

- Dan! - szepnęła. - Przestraszyłeś mnie!

Puściła mnie prawie natychmiast i pogrążyła się w kontemplacji ekranu.

Coraz lepiej.

Lecz nie podobało mi się to, że ścisnęła mi przegub dokładnie w tym samym miejscu, gdzie godzinę wcześniej robił to Richard.

Ach! Trudno.

Byle nie myśleć o tych sprawach.

XIII

Sprawy potoczyły się tak, jak to przewidziałem.

Następnego dnia w gazetach była krótka wzmianka, kilka linijek - a potem już nic.

Znów znalazłem się obok Sheili. Niedawno zasnęła. A ja stwierdziłem, że mój stan się nie poprawia.

A więc również nic do roboty u Nicka, póki co. Nawet nie próbowałem.

Usiłowałem wziąć się w garść, znaleźć jakieś wytłumaczenie.

Lecz wydawało się to ponad moje siły.

Dlaczego nie wychodziło mi z tymi dziewczynami? Z żoną? Wczorajsze zdanie dzwoniło mi w uszach. „Albo Murzynkę. Zdaje się, że one są...”

Czy działo się tak dlatego, że kontakt z tymi dwiema Murzynkami wydobyl z największych otchłani mojego ja owo odczucie, że jestem czarny? Odczucie pociągające za sobą wszelkie lęki przodków - strach Murzyna w obliczu białej kobiety...

Zdaje się, że niektórzy nazywają to kompleksami. To mogło być to. Lecz nie miałem, podobnie jak wczoraj, wrażenia, że jestem czarnuchem. Czułem się równie biały jak zawsze.

No więc? Może nie ma kompleksów instynktownych? A może są?

Szukałem. Szukałem - a moje dłonie przebiegały po moim ciele i odnajdywały dowód niemocy.

Lecz świadomie szukałem w niewłaściwym kierunku. Gdyż w gruncie rzeczy, wiedziałem, czego chciałem, i wreszcie wyznałem to przed sobą samym. Spróbowałem z Sheilą - bez rezultatu. Z inną białą - bez rezultatu.

Teraz potrzebna mi była czarna. Otóż to. Byłem gotów rzucić się głową w głębinę. Musiałem wiedzieć.

Tak jak poprzedniego dnia wstałem ukradkiem i bezgłośnie.

Mogła być trzecia nad ranem. O tej porze znajdę tyle otwartych knajpek, ile zapragnę.

I znajdę Metyski.

Potrzebna mi była bardzo ciemna. Taka, która się poci. I tłusta.

Ubrałem się szybko i zamknąłem za sobą drzwi. Miałem nadzieję wrócić przed przebudzeniem się Sheili.

Przeszedłem wzdłuż trzech bloków, zanim znalazłem taksówkę. Podałem kierowcy jakiś adres w okolicy Harlemu. Dla białego to wcale nie taka prosta sprawa zdobyć tam to, czego ja szukałem. Lecz nie na darmo byłem wykidajłą od pięciu lat i znałem różne miejsca.

Wcale nie tak rzadko zdarzają się biali, którzy pragną zmienić skórę.

XIV

Miejsce wyglądało niezbyt zachęcająco. Nędzny bar jakich mnóstwo. Wszedłem. W środku było niewielu ludzi. Trzy, cztery kobiety, pięciu, sześciu mężczyzn i barman w ohydnej marynarce.

Zażądałem highballa. Barman mnie obsłużył. Kiedy pochylił się w moją stronę, żeby wydać resztę, szepnąłem:

- Nie ma wolnych dziewczyn? Spojrzał na mnie podejrzliwie.

- Przychodzę od Ikeya Lwa - powiedziałem.

- W porządku - uspokoił. Jego czarna twarz wypogodziła się. Schylił się, pogmerał między butelkami i podał mi wizytówkę, mocno podniszczoną.

- Dwa domy dalej - sprecyzował. - Proszę powiedzieć, że Jack pana przysyła.

- Dzięki - rzuciłem.

Zostawiłem mu duży napiwek i wyszedłem. Dwa domy. Pięć minut. Wszedłem. Był to porządnie wyglądający budynek. Hali był słabo oświetlony, a strażnik spał przy centralce telefonicznej. Wszedłem na szóste piętro. Zadzwoiłem dwa razy, według wskazówki sporządzonej na wizytówce, którą dał mi barman. Otworzyła mi kobieta mniej więcej trzydziestoletnia, dobrze ubrana i obwieszona biżuterią. Tylko cwaniak mógłby określić, czy była Mulatką, czy po prostu Meksykanką. Ja byłem dostatecznie cwany.

- Proszę wejść - powiedziała, kiedy podałem jej wizytówkę, mówiąc, że jest od Jacka.

Zamknęła drzwi i opuściła kotarę. Poszedłem za nią. Otworzyła kolejne drzwi i podniosła drugą kotarę. Pomieszczenie, w którym się teraz znajdowałem, byłem całkiem nieźle urządzone.

Zasiadłem w skórzanym fotelu.

- Chce pan bardzo ciemną kobietę? - spytała.

- Dość - odrzekłem.

Jej spojrzenie nieco mnie krępowało.

- Nie za chudą? - dodała. Lekko się uśmiechała.

- Czy można wybrać? - zapytałem.

- Pewnie - odparła. - Przyślę panu dwie.

Zniknęła za następnymi drzwiami, a ja czekałem. Serce mi biło nieco szybciej niż zazwyczaj.

Wróciła prawie natychmiast, popychając przed sobą krzepką, bardzo ciemną

dziewczynę i młodą Metyskę, jaśniejszą, o doskonale regularnych rysach, szczupłą i wysoką. Pierwsza mogła mieć dwadzieścia pięć lat. Druga z pewnością nie więcej niż szesnaście.

- To Rosie - powiedziała szefowa. - A to Jo - dodała, kładąc prawą dłoń na ramieniu młodszej.

Sukienka Rosie miała głęboki dekolt i jej czarna skóra lśniła w mroku pomieszczenia. Uśmiechała się swymi wydatnymi ustami o grubo uszminekowanych wargach. Druga obserwowała mnie w bezruchu.

Szefowa dostrzegła moje wahanie.

- Może pan wziąć dwie... - powiedziała. Wyciągnąłem portfel. Podeszła do mnie. Zapłaciłem.

- Rosie, zaprowadźcie pana.

Udałem się za nimi do trzeciego pokoju, całkiem pustego, jeśli nie liczyć obszernego łóżka w jednym z rogów i umywalki stojącej za zasłoną w czymś w rodzaju alkowy.

Podłogę pokrywał ciemny dywan.

W pomieszczeniu oświetlonym małą różową lampką było bardzo ciemno.

Rosie już się rozebrała i wyciągnęła na łóżku. Nabrawszy podejrzeń spojrzałem na Jo. Upewniwszy się parsknąłem śmiechem.

- Ty możesz się wynosić - powiedziałem - Nie lubię chłopców. Uśmiechnął się bez cienia żenady. Rosie również zaczęła się śmiać.

- Twoja szefowa wykołowała mnie - dorzuciłem.

- Proszę pozwolić mu zostać.

Ściągnąłem marynarkę. Jo rozpiął sukienkę i pozwolił jej zsunąć się na ziemię. Stał tak całkiem nagi i doskonale bezwstydnym.

- Proszę pozwolić mu zostać - powtórzyła Rosie parsknąwszy - a nie pożałuje pan.

- Nie lubię takich numerów - powiedziałem.

- A próbował pan już? - zapytał Jo chłodno. Zaniemówiłem.

- Mowy nie ma, żebym próbował - odparłem.

- Niech pan podejdzie - powiedziała Rosie. - Proszę się niczym nie przejmować. Wie pan, znam się na miłości francuskiej...

- Ja też - rzuciłem.

Ściągnąłem resztę ubrania. Nie miałem najmniejszych powodów, by kłopotać się o moje możliwości. Lecz naprawdę nie potrzebowałem tego chłopaka w pokoju. A może... jeszcze coś innego proponują.

Widziałem teraz, że niepotrzebnie się denerwuję. W gruncie rzeczy, trochę się

domyślałem. Że potrzebuję Murzynki, żeby znów stać się mężczyzną - w porządku. Lecz teraz pragnąłem zagrać szczerze z sobą samym.

Nie prześlę się z Rosie. I tak wiem, jaki będzie wynik.

Niewątpliwie, gdybym ograniczył się do patrzenia, byłbym zdolny jakoś wybrnąć przy Sheili. A Sheila była mi niezbędna. Nawet nie warto się nad tym rozwodzić.

Rosie czekała. Podeszedłem do łóżka i usiadłem na jego krawędzi.

- Choć no - powiedziałem do Jo.

Podeszedł natychmiast. Spojrzałem na Rosie. Czekwała niecierpliwie.

- Naprzód, Jo - powiedziałem, - Ja na was popatrzę.

- Niech pan również przyjdzie - powiedziała Rosie podniecona.

Bez najmniejszego wstydu młodzieniec podeszedł do dziewczyny, której wygięte biodra wyginały się pełne oddania. Powoli, zdecydowanie posiadał ją na mych oczach. Jakby chodziło o jakiś nieubłagany rytuał. Nogi Rosie naprężyły się. Byłem zafascynowany. Czułem zapach kobiety i śledziłem wzrokiem grę mięśni młodego człowieka. Po kilku chwilach Rosie odepchnęła go. Nadal leżał obok niej. Patrzył na mnie.

- Choć - powiedziała Rosie. - Zrobimy to razem.

- Nie - odparłem. Bez wstydu pieściła Jo.

- Dlaczego? - zapytała. - Przecież nie jestem chora. Ani Jo. - To nie dlatego - odrzekłem. - Chciałem coś sprawdzić.

I sprawdziłem. Mnie to wystarczy.

Jednym susem opadła na kolana i próbowała mnie pochwycić. Przez mgnienie oka poczułem gorący i obejmujący dotyk jej żarłocznych ust, lecz schwyciłem ją za poskręcaną grzywę i uwolniłem się. Wstałem; opierałem się z trudem. To było coś w rodzaju olśnienia. Tak bardzo pragnąłem tej dziewczyny, że całe moje ciało stało się jednym kłębkim bólu. A Rosie najwyraźniej potrzebowała mnie tak, jak ja potrzebowałem jej.

Gwałtownie rzuciła się na Jo i słyszałem już tylko odgłos ich przyspieszonych oddechów oraz cichy szmer ich złączonych ciał.

Poszedłem prosto do alkowy, gdzie znajdowała się umywalka. Pochyliłem się nad nią i odkręciłem kran nad głową. Stałem tak pod strumieniem wody przez kilka minut, dyszący i zdesperowany. Uspokoiwszy się nieco, wróciłem do pokoju i powoli się ubrałem.

Ani Jo, ani Rosie nie zwrócili na mnie najmniejszej uwagi. Otworzyłem drzwi i wyszedłem.

Na ulicy odetchnąłem. Spojrzałem na zegarek. Było już po piątej rano.

Ruszyłem prosto do domu.

XV

Sheila spała nadal w tej samej pozycji. Najwyraźniej nawet nie drgnęła od chwili mego wyjścia.

Wślizgnąłem się do łóżka i posiadłem ją, nim zdążyła się obudzić. Nie otworzyła oczu, lecz otoczyła rękami moją szyję i wystawiła się na pieszczoty, wyprzedzając je niecierpliwie.

Później uwolniła się uspokojona i zmęczona, z delikatnym uśmiechem na ustach. Leżałem z zażenowaniem tuż przy niej, gdyż nie miałem zamiaru zaczynać od nowa.

- Dan... - powiedziała zaspianym głosem.

- Tak - odrzekłem. - Wybacz mi za wczoraj i za dzisiaj.

- Dan, to naprawdę dlatego, że myślałeś o swoich kłopotach?

- Przysięgam ci - odparłem. - Sądzę, że znalazłem rozwiązanie.

- Dziwne... - szepnęła. - Bardzo dziwne, że wpływa to na ciebie w ten sposób.

Faktycznie, było to dziwne... Sam nigdy bym nie uwierzył.

- To po trosze z powodu przepracowania - powiedziałem. - Ale teraz już minęło.

Znów pomyślałem o Rosie i Jo, tam, na wielkim łóżku, i poczułem nowy przypływ sił.

Lecz Sheila prawie spała.

- Nie... Dan... Proszę cię...jestem nieżywa.

- Dlaczego? - zdziwiłem się. - Po takim skromnym numerku? Zakryła twarz ramieniem.

- Dan... wybacz mi.

- Co? - zapytałem.

- Jestem zmęczona... Dan. Ja... nie wiem, jak ci to powiedzieć...

- Znalazłaś sobie innego mężczyznę? - zapytałem oschle i krótko.

Szeroko otworzyła oczy.

- Chyba tak nie myślisz, Dan? Och nie, tylko nie to... ja... Nie śmiem ci tego powiedzieć, Dan.

- Nie interesuje mnie, co to jest - powiedziałem - kiedy już wiem, że chodzi o innego faceta...

- To nie był inny facet, Dan... To było... och... Dan... to byłem ja... ja sama..

Zacząłem się śmiać lekko urażony.

- Och, jeśli to tylko to... - powiedziałem.

- Gniewasz się, Dan?

- Ależ skąd - zapewniłem. - W końcu, to z mojej winy.

- Gniewasz się. Masz mi za złe... Schowała głowę pod moją pachą.

- Och, Dan, nie wolno mnie tak zostawiać. Potrzebuję ciebie, Dan. Potrzebuję tego.

- Az tak bardzo tego nie potrzebujesz - powiedziałem lekko niezadowolonym tonem.

- Owszem, Dan. Wiesz, w samotności to wcale nie jest takie zabawne. Jest męczące i nieprzyjemne. Dan, gdybyś mnie zostawił choćby na tydzień, przypuszczam, że musiałabym zażywać jakieś narkotyki, żeby się uspokoić, albo w końcu zaczęłabym sypiać z kimś innym.

- To naprawdę urocze - powiedziałem.

Wybuchnąłem śmiechem. Prawdę mówiąc - piękny wynik. Z powodu tamtego wieczoru zabiłem Richarda. A gdybym tak zachorował albo musiał wyjechać z Nowego Jorku, Sheila puściłaby mnie w trąbę. A jeśliby ktoś coś odkrył - niewątpliwie nikt nic nie odkryje, choć istnieje przecież ten facet, który zaprowadził mnie do Richarda za pierwszym razem. I Ann, i Sally. I właściciel baru...

Mentalność kryminalisty to rzecz dziwna - pomyślałem nagle. Ludzie sobie wyobrażają, że dręczą go wyrzuty sumienia. Ze miotają nim straszne wizje.

Gadanie. Z wielkim trudem człowiek zmusza się do zastanowienia nad konsekwencjami tego, co zrobił.

Naprawdę, teraz wszystko to było mi całkiem obojętne.

Myślałem tylko o tym, co mi przed chwilą powiedziała Sheila.

Więc wystarczy, bym zniknął na dwa dni i... Lecz co zmuszało mnie do pozostania z nią? Czyżbym nie mógł się rozstać z nią, tak by nie doznawać wrażenia pustki? Tej potrzeby odnalezienia jej. Świadomości, że nawet jeżeli jej nie widzę, to gdy zechcę, będę mógł ją zobaczyć.

Czy tak wygląda miłość?

Mało to zabawne.

I pewnie nic się nie da zrobić.

Do czego to dochodzi. Kobieta, której me jestem w stanie zapragnąć... zostało mi to dowiedzione w sposób aż nazbyt jaskrawy, bym w tej kwestii pozostał ślepy. Kobieta, która do tego stopnia nie może się obejść bez mężczyzny, że gotowa jest mi dać zastępstwo, gdybym przypadkiem popełnił tę nieostrożność i na dwa dni opuścił dom.

Lecz zrozumiałem, że to jednak było to. Ze właśnie z tego powodu się cierpi.

Wystarczyło, bym sobie wyobraził Sheilę z kimś innym. Albo nawet samą. Dobra. Trudno.

Są jeszcze Murzynki. A za to nie ma już Richarda.

Pan pozwolił, Richardzie, bym się ciebie pozbył. Sheila nadal jest ze mną, a ciebie mam gdzieś.

Dobranoc, Dan.

XVI

Wyszedłem od Nicka na chwilę po zakupy. Gazeciarze sprzedawali dodatek nadzwyczajny.

Nic nie rozumiejąc przeczytałem nagłówki na pierwszych stronach: „Murzyn przechodzi na drugą stronę, by zabić swego brata”. „Oskarża go kochanka ofiary”. „Policja poszukuje Dana”.

XVII

Ann gwałtownie zamknęła drzwi kabiny telefonicznej i znalazła się na ulicy. Czowała, jak nogi uginają się pod nią. I musiała ukryć drżenie rąk, by nie zwracać na siebie uwagi.

Szła ulicą szybkim krokiem i skręciła w lewo. Jeszcze jeden budynek i dostrzegła kawiarnię, w której Sheila wyznaczyła jej właśnie spotkanie.

Weszła i usiadła; było to takie miejsce, w którym mogła sobie na to pozwolić, nie zwracając zbytnio niczyjej uwagi.

Słyszała, jak gazeciarze zachwalają dodatek nadzwyczajny. Dziennikarze nie tracili czasu. Policja również.

Drzwi otworzyły się i weszła ładna blondynka. Była w niebieskim kapeluszu, o którym wspomniała przez telefon. Szybko rozejrzała się dookoła i podeszła do Ann.

- Pani Parker? - zapytała Ann.

- Tak - odrzekła Sheila.

- Chciałabym pani coś powiedzieć. Czy możemy tu zostać?

- Czemu nie? - zapytała Sheila krótko.

- To trudno wytłumaczyć.

Sheila spojrzała na nią i wzięła do ręki torebkę. Twarz młodej Mulatki nabrała ciemniejszego odcienia.

- Ja nie chcę pieniędzy Chodzi mi tylko o Richarda.

- Richard. Ach, tak. Głupia historia. To ten niby-brat Dana.

- To nie żadna historia - powiedziała Ann.

- Niech się pani wyniesie z domu, zanim będzie za późno. I niech się pani nie pokazuje. Dan również panią zabije.

- Głupstwa pani opowiada - szepnęła Sheila.

- Widziałam, jak Dan zabił swego brata - powiedziała Ann - Dan ma domieszkę czarnej krwi. Jest czarny. Bał się, że Richard pójdzie to pani powiedzieć. Zbyt mu na pani zależało. Zabił Richarda, żeby się dłużej nie bać. Lecz ja widziałam, jak stamtąd wychodził. Richard był moim mężczyzną.

Mówiła rwącym się, przygnębionym głosem, a Sheila wpatrywała się w nią oczami powiększonymi z przerażenia i niedowierzania.

- To idiotyczne - stwierdziła. - Chodzi o kogoś innego. Dan me jest czarny.

- Owszem - powiedziała Ann. - Ma jedną czwartą krwi murzyńskiej. Przynajmniej

jedną czwartą.

- To idiotyczne - powtórzyła Sheila - byłoby widać.

- Dobrze pani wie, że tego nie widać - powiedziała Ann.

- Ale Dan nie mógłby zabić człowieka - rzekła Sheila. - A tym bardziej brata...

- Walenie ludzi to jego zawód - stwierdziła Ann z goryczą. - Na pewno nic go to nie kosztowało. A mój mężczyzna nie żyje. Ale ja go pomszczę.

Wstała. Osiągnęła ostatnie stadium podniecenia.

- Bzdury mi pani opowiada - zachnęła się Sheila. - To się kupy nie trzyma.

- Niech pani kupi gazetę - poradziła Ann.- Tam jest wszystko opisane. Policja już przeprowadziła dochodzenie.

- Zatrzymali Dana? - zapytała Sheila, która nagle pobladła.

- Pewnie właśnie to robią.

- Dlaczego go nie aresztowali przed wydrukowaniem tego w gazetach?

- Właściciel knajpy, gdzie pracował, musiał posmarować gliniarzy - powiedziała Ann.

- Tacy ludzie nie lubią skandali. Policja pewnie czeka, aż wyjdzie z roboty.

XVIII

Dan szybko podał pięciocentówkę gazeciarczowi i wydarł mu z ręki gazetę. Było w niej zdjęcie Ann i opis historii. Jego zdjęcia nie było. Całe szczęście.

Spojrzał w prawo, w lewo. Bezbrinnie wyglądający przechodnie. Powoli przejeżdżająca taksówka. Pozwolił jej się wyprzedzić, po czym gwałtownie zamachał ręką i po kilku sekundach był już w środku. Przez tylną szybę dostrzegł dwóch mężczyzn, którzy zeszli z chodnika i patrzyli w jego stronę. Pospieszył kierowcę.

- Szybciej.

- Dokąd? - zapytał szofer. - Skręć tutaj.

Taksówkarz skręcił posłusznie. Silnik zacharczał.

- Następna w prawo - powiedział Dan.

Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął z niej dwa banknoty jednodolarowe.

- Naprzód. Zwolnisz na zakręcie. Mężczyzna usłuchał. Dan otworzył drzwiczki.

- Dalej jedź prosto i gazu.

Wyskoczył na chodnik. Dokładnie na wprost znajdowała się stacja metra. Przeszedł przez ulicę i zanurzył się w podziemiach.

Samochód policyjny wszedł w zakręt z przeciągłym piskiem hamulców.

Dan wzruszył ramionami i oddalił się w przeciwnym kierunku.

Cały trik polegał na tym, by się zbytnio nie kryć.

I nie należało oddalać się od Sheili.

Zastanawiał się idąc przed siebie.

Dziewczyna, u której był poprzedniego dnia, poczęstowała go kawą. Zaakceptowała jego obecność, o nic nie pytając. Na pewno udzieli mu pomocy.

Na ogół przychodziła do Nicka około dziesiątej wieczorem.

Zmienił kierunek marszu. Najprostszą rzeczą było udać się do niej bezpośrednio. Może tam będzie.

Zagubiony w tłumie, szedł szybko mijając obojętne twarze i usiłując zmusić swoje myśli, by się obracały wokół zasadniczego problemu.

Zwiąć gliniarzom.

Lecz niewątpliwie najlepszym na to sposobem było nie przejmować się nimi, jakby w ogóle nie istnieli.

XIX

Muriel ściągała rękawiczki w wejściu. Drgnęła usłyszawszy krótki dźwięk dzwonka. Odwróciła się na pięcie i podeszła do drzwi. Odczepiła łańcuch i nacisnęła na klamkę.

Szybko i niepostrzeżenie Dan wślizgnął się do wnętrza i zatrzasnął lakierowane drzwi.

- Dzień dobry - powiedział. - Długo nie wracałaś.

- Czekales na mnie? - zapytała zdziwiona.

- Byłem na dole - szepnął Dan. - Od pół do szóstej.

- Hej, czyżbyś wyobrażał sobie, że całe dnie spędzam w domu na nieróbstwie?

Wyglądała na rozzłoszczoną.

- Muszę zostać u ciebie - powiedział chłodno.

- Oszalałeś, Dan... Przecież... Do mnie tu przychodzi kupa ludzi. Nie mogę cię tu trzymać.

- A wczoraj chętnie byś mnie tu przetrzymała. Odpowiedziała brutalnie:

- Ale za to jak na tym skorzystałaś...

- Ty skorzystałaś jeszcze więcej - powiedział, podchodząc i łapiąc ją za ramię.

Zbladła.

- Nie ściskaj mnie w ten sposób brutalu! Czy ty zdajesz sobie sprawę...

Szarpała się i wyrwała ramię z uścisku. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Och, Dan... Nie zdajesz sobie sprawy z własnej siły... Zostawił ją w spokoju i opuścił głowę.

- Posłuchaj, Muriel. Szuka mnie policja.

- Coś ty zrobił?

- Zabiłem faceta. Mojego brata. Przeczytaj w gazecie. Muriel opadła szczęką.

- To ty?

W ciszy pokiwał głową.

- Posłuchaj, Muriel - powiedział nagle - to nie ma znaczenia. Muszę zostać u ciebie.

Nie mogę opuścić tej dzielnicy.

- Dlaczego?

- Z powodu mojej żony. Muszę tu zostać. Wzruszyła ramionami.

- Akurat potrzebni mi są tu jeszcze gliniarze. Posłuchaj, Dan, jesteś bardzo miły, lecz wyniesiesz się stąd i powiesz mi, czy chcesz, żebym cię...

Przerwała na chwilę po czy podjęła:

- Zmykaj. Dalej. Pośpiesz się. Nie chcę tu żadnych gliniarzy. Dobrze wiem, co to kryminał.

Patrzył na nianie rozumiejąc.

- Muriel, muszę zostać... Moja żona odejdzie...

- Odpieprz się od swojej żony. Powiedziałeś jej już, że jesteś czarny?

Twarz Dana stężała. Oddychał z trudem.

- Nie powtarzaj tego więcej - powiedział. - Nie radzę ci... Muriel cofnęła się. Dan nadal stał w bezruchu, napięty. Jednym skokiem rzuciła się do drzwi sypialni i zamknęła je za sobą. Puścił się za nią, lecz klucz już obracał się w zamku.

Drzwi trzasnęły. Słysząc było, jak po drugiej stronie dziewczyna przesuwając meble, uderzając w drzwi - rozległa się detonacja. W drzwiach, od których oderwał się kawałek drewna, pojawiła się maleńka dziurka.

Dan zatrzymał się. Popatrzył na zadraśnięte drewno. Po drugiej stronie rozległ się głos Muriel.

- Wynoś się. Wynoś albo zadzwonię na policję. Usłyszał jak podnosi słuchawkę.

Wycofał się powoli, tyłem. Jego ręce natrafiły na klamkę. Znalazł się na korytarzu. Jego wargi poruszały się i wypowiadały jakieś niezrozumiałe, bezładne słowa.

- Sheila... - powiedział wreszcie.

Omów nie wezwał windy, lecz zmienił zamiar i skierował się ku schodom. Nadal mówił do siebie.

- Muszę ją zobaczyć. Dowiedzieć się.

Zszedł na dół. Jego kroki stawały się coraz pewniejsze, w miarę jak był coraz bliżej ulicy. Szybkim spojrzeniem ocenił, że nikt na niego nie czeka na zewnątrz, i wymknął się nie zwracając na siebie uwagi.

Uszedł kilka metrów i przeszukał kieszenie. Policzywszy pieniądze, stwierdził, że ma mniej więcej trzydzieści dwa dolary. Tyle co nic.

Z rozmysłem ruszył w powrotną drogę i ponownie wszedł do budynku, który niedawno opuścił. Poręcz schodów wyginała się pod naporem jego zaciśniętych palców. Drzwi nadal były otwarte. Muriel nie śmiała nawet się poruszyć.

Wszedł bez najmniejszego odgłosu, po czym gwałtownie zatrzęsł drzwi. Wstrzymał oddech, podszedł do drzwi sypialni.

Czekał.

XX

Sheila szła jak lunatyczka. Dostrzegła gazeciarza i grzebiąc w torebce w poszukiwaniu pięciu centów, stwierdziła, że wcale jej nie zamknęła.

Spojrzała na gazetę, jeszcze lepką od świeżej farby, z pewnego rodzaju lękiem. Było tam zdjęcie dziewczyny, z którą się niedawno widziała, i opis zbrodni ze wszystkimi szczegółami, jakie zawsze udaje się wyniuchać reporterom, jeśli tylko zechcą zadać sobie trochę trudu.

Postanowiła nie wracać do domu. Na pewno już tam na nią czekają.

Odwróciła się. Facet czytający w marszu gazetę zatrzymał się.

Podeszła do niego.

- Pan jest z policji - powiedziała.

Mężczyzna nie zaprzeczył. Zaśmiał się, wsunął rękę do kieszeni i pokazał swoją odznakę.

- Porucznik Cooper - przedstawił się. - Nie bardzo się starałem - dorzucił jakby dla usprawiedliwienia.

Wyglądał na lekko zmieszanego, że tak szybko dał się zdemaskować. Był młody, całkiem przyjemny.

- Nie wyglądało na to, by pani miała ochotę prysnąć - powiedział. - To już rutyna zawodowa. Śledziliśmy Murzynkę.

- Czy są u mnie gliniarze? - zapytała Sheila. - Niech pan posłucha, proszę nie zaprzeczać. Nie mam ochoty tego słuchać. Nie chcę wracać. Nie mam najmniejszego zamiaru pryskać i mam...

- zawahała się - mam gdzieś, co się stanie z Danem - dokończyła zdecydowanie. - Chcę zadzwonić do domu. Mogę?

Uśmiechnęła się do niego. Była ładna, lecz dość pospolita. Nieco zbyt szerokie biodra, najwyraźniej blondynka.

- Oczywiście - odrzekł mężczyzna - jeżeli będę pani towarzyszył.

Nie powinno być ciężko go wymanewrować.

Odprowadził ją do najbliższej kabiny i pozostał na zewnątrz, na tyle daleko, by nie słyszeć, co miała do powiedzenia. Uśmiechnęła się, wzruszyła ramionami. Uchyliła drzwi.

- Niech pan podejdzie - powiedziała - nie mam nic do ukrycia. Jasne? Jeśli kogoś wykołowano w tej historii, to na pewno nie pana, a raczej mnie.

Został przy drzwiach z nieco zakłopotaną miną.

- Powiem po prostu opiekunce, by zaprowadziła dziecko do mojej matki - wyjaśniła. - Potem pójdę z panem na policję i prawdopodobnie będę potrzebowała adwokata. Myślę, że ktoś mi będzie mógł jakiegoś wskazać. Wcale mi nie zależy, by być żoną kryminalisty.

Pokiwał głową.

- Proszę mi pozwolić zadzwonić - rzekł. - Są u pani w domu. Pewnie pozwolą wyjść opiekunce. Powiem im, żeby niczego nie niszczyli ani nie zabierali - dodał. - Tak będzie pewniej.

Ustąpiła mu miejsca i podała numer.

- Dziękuję panu - powiedziała tonem, który starała się nasycić przejęciem.

Zaczerwienił się, ponieważ patrzył mu prosto w oczy. Była dobrze ubrana i niepodobna do tych kurew, które zwykł zgarniać. A jej mąż, morderca, był czarnuchem. Dziwna kobieta. Czy to z jej powodu? Uzyskał połączenie i załatwił sprawę w kilku słowach.

- Czy... - zapytał nieśmiało.

- Czy co?

- Pani mąż miał przeszłość kryminalną? Czy coś pani wie o jakiś jego czynach niezgodnych z prawem, które popełnił przed zabiciem brata?

- Nie - odrzekła Sheila. - Dlaczego?

- Może się z tego wygrzebać, mając dobrego adwokata. Są tylko zeznania tamtej kobiety i barmana. Mogłoby to wystarczyć, by go zaprowadzić na krzesło... ale gdyby się okazało, że ofiara próbowała go szanować... Wie pani, jedna rzecz nas w tym wszystkim niepokoi. To, że pani mąż ma naprawdę wszelkie cechy białego.

- Więc? - rzuciła Sheila.

- Więc jest to paskudna sprawa - powiedział Cooper. - W gruncie rzeczy, nigdy nie wiadomo, co może wymyślić dobry adwokat. Czy ja wiem... może, że matka zdradziła jego ojca i że on jest naprawdę biały. Ludzie mają tendencję, by nadmiernie wiedzieć, że czarni mogą przejść na drugą stronę. Trzeba ich podtrzymać na duchu. Mam na myśli, że tutaj, w Nowym Jorku, przedstawia się to nieco inaczej, dyskryminacja nie jest tak ostra, ale na Południu narobi to szumu.

- Rozumiem - powiedziała Sheila.

- Więc gdyby pani wiedziała coś, na podstawie czego można by go skazać, coś innego...

- Czy pan zdaje sobie sprawę, o co pan mnie prosi? - zapytała Sheila.

- Przed chwilą mówiła pani, że ma gdzieś, co się z nim stanie - powiedział Cooper.

- Oczywiście... - szepnęła Sheila. - Lecz w końcu przeżyłam z nim pięć lat. Mamy dziecko.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, co się stało, i spojrzała na Coopera osłupiała.

- Niech pan powie... - powiedziała. - Aresztują go, osądzą i zabiją?

- Nie mam pojęcia - odparł Cooper zakłopotany.

- Boże! - krzyknęła Sheila. - Wszechmocny Boże!

XXI

Muriel nasłuchiwała zaniepokojona. Nie zadzwoniła na policję; ograniczyła się do postukania słuchawką w aparat. Z niepokojem patrzyła na mały rewolwer, którym się przed chwilą posłużyła. Nawet trzymając go w ręku, nie czuła się zbyt pewnie.

Usłyszała, jak drzwi trzasnęły gwałtownie, a potem już nic. Dan na pewno się wyniósł. Nic tu nie miał do roboty. To zabawne, pomyśleć, że miał zamiar zabić swego brata, kiedy pozwalała mu się pieścić poprzedniego dnia. Starła się nie przypominać sobie, co jej dokładnie robił w tamtym momencie. Nie mogła już nawet powiedzieć, czy było to miłe, czy nie.

Dan na pewno już odszedł. Chciała się o tym przekonać.

Podniosła słuchawkę, odłożyła ją po cichu wykręciła numer policji. Później rozmawiała tak, jak gdyby ktoś jej odpowiadał. Podała adres i szczegóły. Powiedziała „dziękuję” i znów poruszyła słuchawkę.

Drzwi trzasnęły i otworzyły się gwałtownie. Stojący przy nich stół i dwa ustawione na nim krzesła zawałyły się żałośnie. Muriel nie miała czasu na wycelowanie rewolweru w Dana. Już ją miażdżył swym ciężarem, kneblując jej usta twardą i zimną dłonią. Zamknęła oczy i poddała się całkowicie.

- Milcz - szepnął obojętnym tonem. - Milcz albo cię uduszę. Teraz zabiorę rękę z twoich ust, lecz jeśli wykonasz najmniejszy gest, uduszę cię. To długo nie potrwa, zapewniam cię.

Poczuła, że uścisk rozluźnia się. Bolały ją wargi i zęby, a druga ręka Dana na pewno zostawiła fioletowy ślad na jej szyi. Już się tak bardzo nie bała. Być może chciał ją zabić.

- Gdzie masz pieniądze? - szepnął.

- Tu ich nie ma... - odrzekła Muriel łagodnie. - Prawie nic... - dodała szybko, widząc, jak zmienia się wyraz twarzy mężczyzny.

- Gdzie masz pieniądze? - powtórzył.

- Mam tylko pięćdziesiąt dolarów - odparła.

- Nie wciskaj mi kitu - powiedział Dan.

Mówił nadal tym samym obojętnym, pozbawionym wyrazu głosem.

- Przysięgam ci, Dan...

- Gdzie jest twoja torebka?

- W torebce ich nie ma, Dan. Jest tam najwyżej dziesięć czy dwanaście dolarów.

Zaczęła płakać.

- Dan, ja prawie wcale nie mam pieniędzy. Cóż mogę na to poradzić?

- Daj mi, co masz. Pospiesz się.

Wstała, straciła równowagę i zrobiła ruch, by pochwycić swój mały rewolwer. Pięść Dana zacisnęła się i trafiła ją w prawą pierś. Omal nie zawyla, lecz on już stał przy niej i dłonią miażdżył jej wargi. Puścił ją prawie natychmiast. W ustach czuła smak krwi. Łzy pojawiły się w kącikach mocno umalowanych oczu.

- Pośpiesz się - powtórzył Dan.

Ani drgnęła. Coś jej przeszkadzało być posłuszną. Coś, co osłabiało siłę jej mięśni, czyniło ją miękką i bezwonną, nie wykazującą żadnych reakcji, pozbawioną możliwości obrony.

Gwałtownym ruchem Dan zerwał górną część sukienki i zaczął ją rozbierać. Usiłowała powstrzymać jego rękę.

- Wiesz, na co dobrze wpływa solidne przypalenie papierosem? - zapytał.

- Dan! Błagam cię...! Puścił ją.

- Daj mi te pieniądze. Mówię po raz ostatni.

Podeszła do komody i otworzyła pierwszą szufladę. Dan śledził ją wzrokiem. Poruszała jedwabną bielizną i podała Danowi zwitek banknotów. Wsadził je do kieszeni bez słowa.

- Nie zadzwoniłaś na policję - powiedział nagle. - Już tu byli. - Nie.

- Wiedziałem - oznajmił. - Słuchałem, a ty nie jesteś dobrą aktorką.

Znowu zaczęła płakać.

- Dan... Ja... Bardziej podobało mi się to, co było wczoraj. Dzisiaj mnie boli. Zadałeś mi ból. Na pewno coś mi będzie...

- Ile tego jest? - zapytał Dan, nie ruszając się z miejsca.

- Dwieście dolarów. To wszystko, co mam, Dan, zapewniam cię.

Trzymała się za pierś i szlochała.

- Zostaw mnie, Dan. Odejdź. Nic więcej nie mogę zrobić. Masz wszystkie moje pieniądze.

- Bardziej podobało ci się to, co było wczoraj... - powtórzył. Pokiwała głową.

- Mnie również - powiedział - Wczoraj zgodziłabyś się, gdybym cię poprosił, bym mógł zostać u ciebie. Gdybym był uczciwy, zrobiłbym dzisiaj to, co wczoraj. Wynagrodziłbym ci te dwieście dolarów. Ale nie mam ochoty. Wczoraj to było tylko dla sprawdzenia. Wyłącznie. Nic z tego nie miałem.

- Zamknij się, Dan. Jesteś brutalem. Potrząsnął głową. Wyglądał na nieco

zdziwionego.

- Wszyscy tak mówicie. Ty, klienci Nicka, gazety. Wykonuję uczciwie moją pracę. To nie moja wina, że mój brat tego nie robił. To nie moja wina, że ty tego nie robisz. Wczoraj powinnaś była kazać mi zapłacić. Nie zostawiać mi złudzeń, że mogę cię o coś prosić. Potrzebuję tych pieniędzy. Gdybym mógł zostać u ciebie, wiedzieć, co robi Sheila... Ty nie chciałaś. Muszę robić to, co robię. Postąpiłbym tak samo, gdyby jeszcze raz to się zdarzyło.

Muriel przyglądała mu się, przerażona tonem jego niskiego i monotonnego głosu.

- Będą mnie pytać, jak się stałem biały - ciągnął dalej. - Będą mnie wypytywać. Walić po głbie, niszczyć. Co Sheila będzie robić w tym czasie? Chyba rozumiesz, że muszę nad nią czuwać...

Podniósł wzrok.

- Nie dzwoń na policję, kiedy odejdę. Zaczekaj przynajmniej dwie godziny.

Usiłowała wytrzymać jego wzrok, lecz musiała odwrócić głowę.

Muriel spojrzała na niego drżąc. Podniósł rękę, by ją uderzyć, zaś ona wydała przeciągły krzyk. Żyłasta pięść Dana ugodziła ją w brodę i siła ciosu niemal poderwała ją w powietrze. Jej ciało opadło na łóżko z cichym jękiem.

Dan spojrzał na swoją pięść. Jedna z kostek puchła błyskawicznie. Zdziwiony popatrzył na Muriel. Wyglądała, jak by spała. Już się nie poruszała, a jej szyja była wykręcona pod tak niewygodnym kątem, że patrząc miało się nadzieję, iż zaraz zmieni pozycję.

Nasłuchiwał. Na zewnątrz cisza. Krzyki Muriel nie przyciągnęły niczyjej uwagi.

Pochylił się nad nią, położył swą ciężką dłoń na cienkim, lśniącym materiale stanika. Była martwa.

- Nie chciałem... - szepnął Dan. - Chciałem tylko, żebyś była cicho, dopóki nie odejdę.

Popatrzył na bezwładne ciało. Kiedyś była bardzo ładna. Zbyt ładna jak na dziwkę.

Odwrócił się i spostrzegł jej torebkę na komodzie. Dwanaście dolarów i jakieś drobne. Wziął je i wyszedł, starannie zamykając za sobą dwoje drzwi. Przekręcił klucz w zamku i wsadził go do kieszeni.

XXII

- Jego sprawa wygląda marnie - powiedział Cooper. - Oto ostatnie wiadomości, jakie mamy na jego temat. Zabił kobietę, jedną z prostytutek przychodzących do knajpy, gdzie pracował. Zabrał pieniądze, a zabił prawdopodobnie, by ją zgwałcić, zważywszy na pozycję ciała i niektóre ślady znalezione na zwłokach. Lekarze dokładnie poinformują nas na ten temat. Następnie pojechał taksówką w stronę Brooklynu i tam zgubiono jego trop. Poszukujemy go już od trzech dni, lecz zupełnie nie wiadomo, co się z nim stało.

- Nie mogę przesiadywać w hotelu w nieskończoność - powiedziała Sheila. - Nie mogę również znieść myśli o powrocie do domu po tym wszystkim, co się stało. Napije się pan jeszcze whisky?

Nalał sobie, a Sheila zapaliła papierosa.

- Chcę żyć - powiedziała. - Bardzo kochałam Dana. Lecz on nie jest już tym Danem, którego kochałam. Zastanawiam się, jak on mógł zrobić te wszystkie straszne rzeczy.

- Płynie w nim czarna krew - rzekł Cooper. - To w końcu wyjaśnia wiele rzeczy.

- Nawet teraz nie mogę w to uwierzyć - powiedziała Sheila. - Początkowo, kiedy mi to powiedziano, byłam tek zaskoczona, że uwierzyłam, wściekłość pomogła mi uwierzyć. Ale teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, nie mogę w to uwierzyć.

- A jednak - odparł Cooper. - Dokumenty z urzędu stanu cywilnego są niepodważalne.

- Jestem zupełnie skołowana - powiedziała Sheila. - Nie wiem, ani co robić, ani do kogo się zwrócić. Mimo wszystko ciągle prześladuje mnie myśl o tym, kim był Dan, zanim to się stało.

Cooper machnął ręką.

- Niech pani da spokój - powiedział. - Niech pani nad tym przejdzie do porządku dziennego. To przeszłość. Nie może pani ciągle w tym tkwić.

- Wiem - odrzekła Sheila. - Pan rozumie, to tak, jakbyśmy działali we dwójkę.

Urwała na chwilę.

- Jest to dla mnie bardzo przykre - podsumowała. - Zarówno psychicznie, jak i fizycznie.

- Z czasem dojdzie pani do siebie - powiedział Cooper.

- Nie wiem - westchnęła Sheila. - Mam nadzieję. Wstał.

- Wczoraj to było straszne - powiedziała. - Chciałabym, żeby ta sprawa była już zakończona. Czy naprawdę muszą być przy tym dziennikarze?

- Na to wygląda - odrzekł Cooper.

Zapadła długa cisza, jakby wahał się, czy ma jeszcze coś dodać.

- Czy mógłbym panią zaprosić na kolację któregoś wieczora? - zapytał wreszcie czerwieniąc się.

- To bardzo miło z pana strony - odrzekła z niepewnym uśmiechem.

- Nic takiego - zapewnił poważnie. - Cała przyjemność będzie po mojej stronie.

Westchnęła.

- To dziwne... Nie wyobrażałam sobie, że policjant może być taki jak pan.

- Uznaję to za komplement - powiedział Cooper, czerwieniąc się ponownie. - Proszę mi wybaczyć, lecz muszę odejść. Jestem na służbie.

- Proszę do mnie zadzwonić - powiedziała.

XXIII

Dan czekał. Od trzech dni nie opuszczał brudnej, ciasnej klitki, którą właściciel hotelu, Mulat, wynajmował mu za jedyne trzydzieści dolarów dziennie.

Był to również jeden z adresów Łuskanych u Nicka w przypiływie czyjejś pijackiej szczerości. Łóżko trzeszczało i było twarde, zaś w wąskiej kiszce, którą właściciel ochrzcił mianem toalety, mieszkały karaluchy.

Gazety piętrzyły się na łóżku, na krześle, niemal wszędzie.

Dan czekał na właściciela. Wsluchiwał się uważnie w odgłosy domu, przykleiwszy oko do szyby w jedynym oknie, z którego mógł obserwować ulicę.

Pot spływał mu po czole. Szyję miał brudną, a na jego nie ogolonej twarzy kładły się cienie na zapadniętych policzkach.

XXIV

Przyszedł dopiero o piątej. Przez okno widziałem, że jest sam. Nie miałem zamiaru dać się chapnąć przez taką wstrętną larwę. Usłyszałem hałas, jaki zrobił na schodach, zanim wszedł do siebie na pierwsze piętro.

Myślałem o Sheili. Potrzebowałem Sheili.

O czym innym miałem myśleć? Zaśmiałem się szyderczo, pomyślawszy o nocy, kiedy leżałem obok niej, nie mogąc nic zrobić, i o tej drugiej nocy, kiedy omal nie stało się to samo.

Wszystko zdarzyło się z powodu Richarda. Klimat całego mojego życia został przez niego zniszczony.

Słyszałem, jak właściciel i jego żona rozmawiają w pokoju pode mną. On mówił, ona od czasu do czasu przerywała mu mniej lub bardziej gwałtownie. Miała gruby, dźwięczny głos. Tak jak on, była Metyską, lecz o wiele ciemniejszą. Gdy o niej myślałem, jeszcze bardziej potrzebowałem Sheili.

Pomimo mej satysfakcji z powodu zabicia Richarda, musiałem nadal być ostrożny i czekać, aż wszystko się skończy. Powinienem się ukryć za wszelką cenę, dopóki cała sprawa się nie uspokoi, a potem odnaleźć Sheilę i wyjechać z nią za granicę. Mogłem wyjechać pierwszy, a do niej napisać, by do mnie dołączyła, lecz nie udałooby mi się wytrzymać tak długo. Zostało mi mniej więcej dziewięćdziesiąt pięć dolarów, lecz następnego dnia powinienem opuścić hotel. Musiałem jakoś odrobić straty.

Drzwi pode mną zaskrzypiały i kobieta coś powiedziała. Jej głos rozległ się na schodach. Zaczęła po nich wchodzić ciężkim krokiem.

Szła do mnie. Otworzyła drzwi bez pukania.

- W gazecie są nowe rzeczy - powiedziała, pokazując mi ją z daleka. - Musisz się pan wynieść.

- Dlaczego nie zawiadomiła pani policji? - zapytałem.

Spojrzała na mnie z błyskiem niepokoju w oczach.

- Powinien pan odejść - powtórzyła. - Nic nie mówiliśmy, bo rzucili się na pana wszyscy, jak psy. Nawet gdyby był pan złym człowiekiem, powinniśmy to byli zrobić dla jednego z naszych braci, lecz teraz to już niemożliwe.

- Dlaczego? - zapytałem. - Boi się pani, żebym nie zrobił tego więcej?

- Nie boję się - odrzekła - ale powinien pan odejść.

- Zapłaciłem wam aż do jutra.

- Ale to już nie to samo - odparła. - Niektórzy twierdzą, że brat panu groził, ale kobieta, którą pan zabił, nie groziła panu, pan zaś zabrał jej pieniądze, najpierw ją zabiwszy i zgwałciwszy.

Zacząłem się śmiać. Zabiłem i zgwałciłem. Oczywiście, dlatego że byłem Murzynem.

- Proszę posłuchać - powiedziałem. - Dobrze pani wie, co się w tym kraju wypisuje o czarnych. Nie zabiłem jej. Uderzyłem tylko pięścią, zęby zamilkła.

Spojrzała na mnie z niepokojem.

- Jestem tu od trzech dni - zauważyłem. - Gdyby istniało jakiegokolwiek ryzyko, nakryliby was już trzy dni temu.

- Zaczynają przeprowadzać dokładne poszukiwania - powiedziała.

Zdenerwowałem się. Mówiła tak obojętnym tonem, jakby wszystko to, co mogłem jej opowiedzieć, nie było więcej warte niż słowa kogokolwiek innego.

- W porządku - oznajmiłem. - Wyniosę się jutro wieczorem, tak jak było ustalone. Oczywiście, radzę wam niczego nie próbować.

Musiałem nieco za mocno podnieść głos, gdyż usłyszałem kroki jej męża, który również wchodził na górę.

- Pewnie myślicie, że to nie dość trzydzieści dolarów dziennie za ten ohydny pokój? - ciągnąłem.

- Nie chodzi o pokój - szepnęła. - My ryzykujemy życie i wolność. Mój mąż nie chciał pana przechowywać.

Tamten wszedł w tym momencie. Jego wzrok umknął przed moim, zaś on sam pozostał krok za swoją żoną.

- Niech mi pan pokaże tę gazetę - poprosiłem.

- Proszę posłuchać - powiedział mężczyzna - zrobiliśmy, co w naszej mocy, lecz tamci zaczynają się kręcić po wszystkich dzielnicach i tutaj nie jest bezpieczne, wcale nie jest bezpiecznie. Słuchaj, stary, musi pan opuścić nasz hotel.

Podszedłem do nich. Ona ani drgnęła, a on cofnął się nieco.

- Chciałbym zobaczyć tę gazetę - powiedziałem.

Natychmiast. Musiałem ją mieć natychmiast. Na pewno pisano w niej o mojej żonie. Właściciel zrobił krok do przodu, wyrwał gazetę z rąk swojej żony i rzucił nią w kierunku drzwi.

- Niech pan się stąd wyniesie, a dostanie pan wszystkie gazety świata. Proszę posłuchać, stary, chętnie panu zwrócę pieniądze za jutrzejszy dzień.

Dobrze obliczyłem mój skok. Nie miał jeszcze okazji zapoznać się z moim refleksem.

Usiłował odskoczyć do tyłu, lecz już go trzymałem, wciągnąłem do pokoju i kopnięciem zamknąłem drzwi.

- Daj mi tę gazetę.

Jego żona ani drgnęła. Patrzyła na mnie wybaluszonymi oczami, przyciskając swą dyszącą pierś dwiema rękami.

- Dawaj... - powtórzyłem, patrząc na nią.

Podniosła gazetę i podała mi ją. Wepchnąłem dziennik do kieszeni.

- Weź sznurek od tych zasłon.

Posłuchała bez słowa i urwała cienką, plecioną linkę. Mąż nie ruszał się. Był nieżywy ze strachu. Podesunąłem mu lewą pięść pod nos.

- Popatrz - powiedziałem. - Oto co oni nazywają zabiciem kobiety.

Jego podbródek trzasnął lekko, zaś on sam osunął się w moje ramiona. Nie walnąłem mocno. Tym razem byłem pewien. Jego serce biło miarowo.

- Nie bój się - powiedziałem do kobiety.

- Nie boję się - odrzekła. - Zrobiłam to, co musiałam. Zawiązałem ręce mężczyźnie i wepchnąłem go pod łóżko.

- Zaraz sobie pójdę - powiedziałem. - Jak tylko przeczytam gazetę.

Teraz byłem spokojny i daleki od tego wszystkiego, więc rozłożyłem ją bez drżenia. Było tam sprawozdanie ze śledztwa. Przedstawiali mnie jako niebezpiecznego szaleńca, raczej nie rozwodząc się nad tym, że jestem Murzynem.

Poza tym pisano o Sheili. Oddała sprawę w ręce adwokata i zostało rozpoczęte postępowanie rozwodowe.

Dwukrotnie przeczytałem ten fragment. Prawie nic nie mówiono o niej. Nie było nawet jej zdjęcia. Ktoś blokował artykuły.

Niewątpliwie zastanawiałem się przez dłuższą chwilę. Kobieta nie ruszała się. Jej mąż pozostawał również nieruchomy pod łóżkiem.

Podeszła do mnie.

- Czy przed odejściem chce pan coś zjeść?

Sheila. Dwie noce. Ann, Sally, Rosie. Nie dotknąłem kobiety od czterech dni. Ponownie ujrzałem ciało Muriel i nylonowe wdzianko, które nosiła.

- Nie - odrzekłem. - Nie mógłbym.

Dostrzegła, jak na nią patrzę, i nic nie powiedziała. Stała dalej w tym samym miejscu. Jej pierś unosiła się szybko.

Posiadłem ją na żelaznym łóżku, nie zdejmując ubrania. Nie wykonała najmniejszego

gestu, by mi przeszkodzić. Targało mną jakieś dziwne pożądanie i miałem wrażenie, że upłynął cały wiek, nim zdała się wyjść z osłupienia. Jej łono było miękkie i palące jak wrzące źródło, zaś jej ciało poruszało się powoli, gdy tymczasem jej ręce przebiegały po moim, niespokojnym i napiętym. Później przycisnęła mnie do siebie; zdawała się chcieć odcisnąć moją skórę na swojej i jęknęła, tak jak jęczy zwierzę, prawie bezgłośnie i bezrozumnie.

XXV

Długo leżałem obok niej, a ona nie wykonała najmniejszego gestu, by się wyswobodzić. Wysoko zadarłem jej sukienkę, a moja dłoń odruchowo pieściła jej twarde i nagi brzuch. A później usłyszałem faceta pod łóżkiem; zaczął jęczeć i poruszać się. Wstałem. Doprowadziwszy nieco do porządku ubranie, sprawdziłem, czy sznurki dobrze trzymają. Wszystko wyglądało w porządku. Również kobieta wstała.

- Teraz powinien pan odejść - powiedziała. - Musi pan odejść.

- Posłuchaj, dokąd miałbym pójść?

- Znalazł pan to miejsce - szepnęła. - Może pan znaleźć inne...

- Poszukują mnie - powiedziałem. - Szukają mnie w całym mieście. Nie mogę się ruszyć na krok, żeby nie ryzykować, że ktoś mnie rozpozna.

- Nie mogę pana przechowywać - powiedziała cicho. Mężczyzna coraz gwałtowniej poruszał się pod łóżkiem. Podeszedłem do niego i wyciągnąłem z ustronnego miejsca.

- Gdzie możemy go wsadzić? - zapytałem.

Spojrzała na mnie bez słowa, lecz to, co wyczytała na mojej twarzy, wystarczyło jej bez wątpienia, bo powoli wykonała półobrót, otworzyła drzwi i przodem ruszyła po schodach. Zeszliśmy na pierwsze piętro. Nie minęliśmy nikogo. Dom był niezwykle cichy.

Wprowadziła mnie do małego pomieszczenia, po czym wskazała mi drugie drzwi, które poszła otworzyć. Była to dość niechlujna kuchnia, z wielkim zlewem i szafką pod nim; było w niej mnóstwo różnych świństw, starych szczotek, puszek po konserwach, szmat.

Ze ścierki wykonałem coś w rodzaju knebla, którym go zakneblowałem, niezbyt mocno, i wepchnąłem faceta na to wszystko. Zamknąłem drzwiczki od szafki, upewniwszy się, że dostateczna ilość powietrza będzie mogła się tam dostać przez szczeliny.

Usłyszałem, jak porusza się w środku. Zapewne usiłował znaleźć dla siebie możliwie jak najwygodniejszą pozycję.

Kobieta, stojąc w kuchni, znów zamarła w bezruchu.

- Posłuchaj - powiedziałem. - Słyszysz mnie? Kiwnęła głową.

- Pójdziesz tam, dokąd ci każę. Zapytasz o panią Parker. Sheilę Parker. To moja żona.

Znów kiwnęła głową na znak zgody.

- Spróbujesz się dowiedzieć, gdzie jest, jeśli jej nie zastaniesz, i co z dzieckiem.

- To pański syn? - zapytała.

Teraz z kolei ja kiwnąłem głową bez słowa i poczułem, jak coś chwytła mnie za

gardło. Zapadła cisza.

- Potem się wyniosę - powiedziałem. - Lecz... chcę to wiedzieć.

Podąłem jej adres i kilka szczegółów. Opuściła pomieszczenie bezgłośnie i usłyszałem, jak zamyka drugie drzwi. Rozejrzałem się dookoła. W końcu znalazłem kawałek mydła i brzytwę i przed zbyt małym lustrem przeprowadziłem pobeżną toaletę. W kredensie znalazłem coś niecoś do jedzenia.

Było mi to cholernie potrzebne.

XXVI

Kiedy kobieta powróciła, było już całkiem ciemno. Ulokowałem się w jej pokoju i od czasu do czasu wstawałem, by sprawdzić, czy mój klient nie nudzi się zbytnio w swojej szafce.

Byłem prawie szczęśliwy, widząc, że nadchodzi, a jednak jakiś okropny strach kazał mi się bać wiadomości, które miała mi przynieść.

Weszła. Usłyszałem jej kroki w drugim pomieszczeniu, zajrzała do kuchni, potem wróciła do sypialni i nie okazała najmniejszego zdziwienia, ujrzawszy mnie tam.

- Wyjechała... - powiedziała. - Jest w hotelu Welcome... To niezbyt daleko. A dziecko jest u babci. Ona czuje się dobrze. Ma zamiar wkrótce wrócić, TZ. jakieś dwa, trzy dni... niewątpliwie. Może wcześniej.

- Rozmawiałaś z nią? - zapytałem.

- Powiedziała mi to służba hotelowa.

- A skąd oni to wiedzą? Uśmiechnęła się bez cienia wesołości.

- Mają uszy. Rozmawiała o tych sprawach z jednym z gliniarzy. Nazywa się Cooper. Bardzo się uwija wokół niej. W hotelu mają z niego ubaw. Czerwieni się jak panienka. To mały hotel.

- Bardzo pilnowany? - zapytałem.

- Kręci się tam kilku gliniarzy - powiedziała. - Ale nie za dużo. Tylko w gazetach rozdmuchali tę sprawę. W rzeczywistości zabito jedynie jakiegoś czarnucha i kurwę, co zbytnio nie martwi ani policji, ani ludzi. Ta historia o zamordowaniu i zgwałceniu ładnie wyglądała w gazetach. Będzie ładnie wyglądała przed sądem. Lecz nikogo to nie pasjonuje.

- Dlaczego mówisz o sądzie? - zapytałem brutalnie.

- Robi pan głupstwa z powodu tej dziewczyny - powiedziała.

- Miał pan dość czasu, żeby się oddalić, ukryć, lecz pan pozwolił im rozpiąć sieć. Teraz będą czekać, aż sam pan w nią wpadnie.

Zaśmiałem się szyderczo.

- Pewnie, że mogą mieć nadzieję zobaczyć mnie przed sądem - powiedziałem. - Głowa ich od tego nie rozboli.

Zaczęła się rozbierać bez pośpiechu.

- Co robisz? - zapytałem.

- Kładę się - odrzekła, przerywając rozbieranie. - Sądzę, że nie będzie pan spokojny,

jeśli pójdę się położyć gdzie indziej. Nie mam zamiaru pana wydać. Nie sędzę, by był pan niebezpieczny.

Przeszła przede mną i wyciągnęła się na łóżku.

- Możesz wejść pod kołdrę - powiedziałem - nie mam ochoty znów zagnać.

Nic nie odrzekła i wsunęła się pod kołdrę. Poszedłem zaciągnąć zasłony i zapaliłem światło. Nagle pokój i jego zapach przyprawiły mnie o mdłości. Powstrzymałem się, by nie wymiotować. Potrzebowałem alkoholu.

Przeszedłem do drugiego pomieszczenia, które niewątpliwie służyło im za biuro, i znalazłem go w szafce. Jakiś tani rum.

Było go jeszcze pół butelki. Wystarczająco na sen.

Zamknąłem drzwi prowadzące na schody i schowałem klucz do kieszeni.

Dałbym wiele za porządny rewolwer.

Wróciłem do sypialni z butelką. Usiadłem na krześle przy stole i napiłem się. Coś okropnego.

Miałem ostatnią szansę, by zobaczyć Sheilę. W jej hotelu. Zanim się wyprowadzi. Wstałem. Poszedłem sprawdzić szafkę. Wracając stanąłem koło okna i uniosłem zasłonkę, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Jakiś samochód skręcił za róg ulicy i widziałem go jedynie przez chwilę. Samochód policyjny.

Zastanawiałem się, czy ktoś z niego wysiadł. Byliby już pod hotelem.

Usłyszałem dochodzące z dołu pukanie w drzwi i dzwonek.

W mgnieniu oka wpadłem na schody. Zamknąłem za sobą drzwi na klucz, przekręciłem go dwukrotnie i schowałem do kieszeni. Wszedłem szybko i po minucie byłem już na ostatnim piętrze budynku... W szczycie domu znalazłem okienko i wyszedłem na dach. Nie nalepo tracić ani chwili. Niewątpliwie mieli nadzieję dopaść mnie w pokoju.

Gdybym się pospieszył i zdołał wyjść, miałbym jeszcze czas, żeby wpaść do Sheili.

Przezołgałem się po dachu aż do sąsiedniego budynku, który przerastał co najmniej o cztery piętra ten, na którym się znajdowałem. Posuwałem się tak szybko, jak mogłem, lecz spadek był dość znaczny.

Zdałem sobie sprawę, że pode mną jest jakieś zamieszanie, i zacisnąłem zęby, żeby zachować spokój. Dotarłem do wewnętrznego podwórza hotelu i krawędzi sąsiedniej budowli.

Nie było się czego uczepić.

Wróciłem na stronę od ulicy. Powoli, bezgłośnie wysunąłem głowę.

Na dole czekało czterech ludzi. Policjanci. Rozpoznałem ich czapki. Nie patrzyli w

górze.

Miałem wybór pomiędzy rynną a drabinką ze szczebli wmurowanych w ścianę, lecz w tak kiepskim stanie, że nie odważyłem się zaryzykować.

Wędrówka po rynnie była całkiem niemożliwa. Chwyciłem za pierwszy szczebel drabinki, w kształcie litery U. Był przeżarty przez rdzę i ustąpił pod moją ręką.

Był sposób, bym się z tego wydostał. Skorzystałem z powstałej przestrzeni i wśliznąłem się na szczeble. Dzięki temu mogłem się wspinać odwrócony plecami do ściany. Lecz stałem się więźniem w klatce ze szczebli. Wchodziłem na górę najszybciej jak mogłem.

Musieli stracić sporo czasu na sforsowanie dwojga drzwi w hotelu.

Jedenasty z kolei szczebel omal nie pozostał mi w ręku i przytrzymałem się łokciami i kolanami.

Jeszcze tylko ostatni wysiłek i udało mi się dostać na gzyms sąsiedniego budynku. Odwróciłem się za siebie i próbowałem zachować zimną krew. W tym momencie usłyszałem gwałtowane uderzenie tuż koło mnie, a kamienne odłamki poraniły moją prawą dłoń.

Nie zwlekając popędziłem co tchu po dachu. Był dość spadzisty, lecz udawało mi się utrzymać pozycję pionową. I biegłem, tak, biegłem - po zszarzałej blasze. Nie rozglądałem się ani w lewo, ani w prawo. Oczy miałem wbite w kolejny dach. Musiałem ich zgubić, zgubić jak najszybciej.

Następny budynek był na tym samym poziomie co ten, na którym się znajdowałem. W dalszym ciągu biegłem - był to bieg pokraczny, niezgrabny, w czasie którego moje ciało traciło siły, wyginając się przeraźliwie dla zachowania równowagi.

Czwarty budynek znajdował się dwa metry niżej, lecz pochyłość jego dachu, jeszcze bardziej stroma, powstrzymała mnie na samej krawędzi otchłani. Odwróciłem się i uczepiony rękami, szorując po ścianie stopami, wylądowałem ciężko na szczycie. Dalszą drogę, aż do komina, pokonałem na czworakach, a tam dostrzegłem oszklony otwór o dość dużych wymiarach.

Przywarłem do dachu. Jak pijawka i dopadłem do szyby. Pożądliwie spojrzałem do środka.

Nikogo.

Prawą dłoń owinałem mankietem kurtki i stłukłem szybę jednym uderzeniem. Powiększyłem otwór tak szybko, jak tylko mogłem, i wśliznąłem się do wnętrza.

W szafie wisiały ubrania. Szybko wziąłem szarą marynarkę, pozostawiając moją niebieską, nie zapominając opróżnić kieszeni. Mniej więcej na mnie pasowała. Zamieniłem również kapelusz na inny i dopadłem drzwi. Były zamknięte od zewnątrz. Przekręciłem

zasuwę i otworzy się. Wyszedłem.

Na klatce nie było nikogo. Z dołu dochodził zgiełk. Nadstawiłem ucha i zdałem sobie sprawę, że połowa ludzi była na zewnątrz - obserwując łowy na człowieka na mnie.

Zszedłem po cichu. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, kiedy wmieszałem się w tłum i powoli oddalałem się od tego tłumu.

Skręciłem w następną ulicę.

W szarej marynarce znajdowały się papierosy. Zapaliłem jednego na wszelki wypadek.

Przeszukiwanie domów zajmie im całą noc.

Dość czasu, by złożyć krótką wizytę Sheila.

Bolał mnie grzbiet i mięśnie, lecz czułem, że jestem wolny, bardziej wolny niż kiedykolwiek.

Przypomniałem sobie głuchy odgłos kuli trafiającej w mur koło mojej ręki. Spojrzałem na dłoń. Było na niej małe zadrapanie zaznaczone odrobinką zaschniętej krwi. Wyssałem maleńką ranę i pomyślałem nagle, że potrzebny mi jest rewolwer.

Miałem dość pieniędzy, by sobie go kupić. Okazyjnie. W lombardzie.

Wiedziałem, że jest jeden niedaleko od domu. Całkiem blisko miejsca, gdzie teraz mieszkała Sheila. Prowadził go starszy facet, nadziany.

Zastanawiałem się, czy pojechać metrem. Jednakże taksówka była mniej ryzykowna.

Zatrzymałem pierwszą, jaka nadjechała, i podałem adres. Prawdziwy, dokładny. Teraz me warto było się przejmować. Należy się martwić, kiedy istnieje niebezpieczeństwo, prawdziwe. Wielkie niebezpieczeństwo, a kierowca taksówki nie jest niebezpieczny.

Wysiadłem, zapłaciłem i spostrzegłem, że mój sklepik jest zamknięty. Nic nie szkodzi. Stary mieszkał na zapleczu. Wystarczyło wejść od drugiej strony.

Wszedłem do budynku i zadzwoniłem. Podszedł po krótkiej chwili i uchylił drzwi, by wyjrzeć na zewnątrz. Łańcuch był dość długi, więc wsunąłem stopę w szczelinę. Jednocześnie chwyciłem faceta za klapę wytartej marynarki, grożąc mu czymś.

- Otwieraj, bo palnę w łeb. Szybko, a nic ci nie zrobię.

Jego ręce obmacywały drzwi, by odczepić łańcuch. Słyszałem jego zduszony oddech.

Wszedłem.

- Cześć - powiedziałem puszczając go. - Rozpoznaje mnie pan?

- Hmm... tego... - mruknął przerażony.

- Tak, to ja, Dan - powiedziałem. - Chciałbym u pana kupić rewolwer. I naboje.

- Przecież... ma pan już jeden - szepnął.

- A skąd - odrzekłem.

Podał mi klucz, którym w niego celowałem.

- Proszę go wziąć - powiedziałem. - Na pamiątkę. I proszę się pośpieszyć.

Wydał się nieco uspokojony. Poszedłem za nim do sklepiku.

- Ale... tego... - sprzeciwił się - zapuszczają mnie, jeśli sprzedam panu rewolwer...

- Wszystko się ułoży - powiedziałem. - Zrobimy małą inscenizację. Naprzód. Żwawo.

Otworzył szufladę w swoim kontuarze. Była tam broń różnego typu. Wziąłem solidną sztukę i zajrzałem do magazynka. Pusty.

- Naboje - powiedziałem.

Podał mi małe pudełko i napełniłem magazynek. Pozostałe kule włożyłem do kieszeni. Rewolwer był zbyt ciężki, bym mógł z nim zrobić to samo. Miałem zamiar wsunąć go za pasek, lecz zmieniłem zdanie. Od niechcenia wycelowałem w starego.

- Może masz trochę gotówki? - zapytałem.

Nic nie odrzekł, tylko uniósł ręce ku niebu. Jego usta drżały jak królicza mordka.

- Nie, nie - powiedziałem. - Opuść ręce. Grunt to zaufanie. Wiesz przecież, że zabijam rękami.

Posłusznie pogrzebał w kieszeniach. Wyciągnął stary, pękaty portfel i podał mi go.

- Tylko pieniądze - powiedziałem. - Żadnych papierzyk. Zaczął płakać. Było tam dużo pieniędzy.

- I to wszystko z jednego dnia? - zaciekawilem się. - Interes nieźle się kręci. Jedni kupują tyle, co inni zastawiają, a ty zarabiasz z obydwu stron.

Zgarnąłem banknoty i wsunąłem je do marynarki.

- Masz może jakiś garnitur na mnie? Coś, co spodobałoby się damie?

Bez słowa wszedł głębiej do sklepu i wskazał mi ubrania wiszące na haikach. Wziąłem brązowy garnitur w białe prążki, niezbyt rzucający się w oczy, lecz całkiem inny od tego, który nosiłem.

Stałem tuż za nim i elegancko palnąłem go w czaszkę kolbą trzydziestki ósemki. Rozłóg się na podłodze. Niespiesznie przebrałem się i przeszedłem na zaplecze sklepu, gdzie przeprowadziłem pobieżną toaletę. Czułem się o wiele lepiej.

Wróciłem do sklepu i westchnąłem z żalem na widok telefonu. To byłoby takie proste umówić się z Sheilą na dworcu i najzwyczajniej w świecie odjechać z nią.

Przypomniałem sobie artykuł z gazety. Postępowanie rozwodowe. No właśnie. A poza tym niewykluczone, że telefon hotelowy jest na podsłuchu.

Westchnąłem. Stary nadal leżał na ziemi. Stawałem się coraz bardziej nieczuły. Od

dwóch dni zabijałem ich, lecz przecież od pięciu lat dawałem im po łbie, a różnica między jednym a drugim jest całkiem niewielka.

Zresztą, ten wcale nie był martwy. Żeby się o tym upewnić, wystarczyło podpalić sklepik. Jednocześnie rozsądnie było zwrócić uwagę całej dzielnicy na punkt zgoła odmienny od hotelu, do którego zamierzałem się udać. A poza tym odrobina ruchu przyda się strażakom i gliniarzom.

Znalazłem benzynę. Czemu nie. Było tam wszystkiego po trochu. Zgromadziłem na środku pokoju wszelkie łatwopalne świństwo, jakie udało mi się znaleźć. Rzuciłem na kupę meble, ubrania, papiery, drewno, opony, co miałem pod ręką, i podlałem benzyną.

Rzuciłem na to wszystko zapalkę. Najpierw wydawało się, że zgasła, potem nagle rozległo się głośne „buch” i ogień buchnął mi prosto w twarz. Szybko przebiegłem przez zaplecze i korytarz i wyszedłem bez hałasu. Ogień już mruczał i trząsał wściekle. Opuściłem budynek i poszedłem ulicą nie odwracając się.

Dotarłem do hotelu w chwili, gdy potężne samochody straży pożarnej przemykały przez ulicę z piekielnym zgiełkiem. Nagle poczułem się bardzo zmęczony. A potem w mgnieniu oka przeszło mi to. Ludzie pojawili się w drzwiach i oknach, ciekawscy zaś zaczęli się kierować w stronę pożaru. Alarm musiał zostać ogłoszony bardzo szybko.

Był to raczej hotel-rezydencja niż hotel dla podróżnych. Niezbyt duży. Wyglądający na dość wygodny. Dwóch boyów pojawiło się na progu, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi. Na dole znajdowała się restauracja, a ja popchnąłem oszklone obrotowe drzwi. Na brzuchu i biodrze czułem dotyk rewolweru.

Szybko skierowałem się ku toaletom i wszedłszy po schodach, zboczyłem w stronę korytarza, który najwyraźniej prowadził do hallu.

Dostatecznie znałem typowy rozkład barów, kawiarni i innych miejsc publicznych, by się nie pomylić.

Windziarz ziewał przy windzie. Podałem mu banknot dziesięciodolarowy.

- Zawieź mnie szybko do pani Parker i kup mi kwiaty - powiedziałem do niego. -
Zwijaj się.

Błyskawicznie schował papiera i pomanipulował przy swoich drzwiczkach. Ledwie rzucił na mnie wzrokiem.

- To ta blond dama? - zapytał, żeby się upewnić.

- Właśnie - powiedziałem. - Blond dama. Jestem jej kuzynem. Zaśmiał się szyderczo.

XXVII

Stary jeszcze oddychał, prawą stroną ciała miał spaloną, a jego zwęglone ubranie przywierało do ociekającego krwią mięsa. Prawą ręką poruszał bezwładnie, a jakieś urwane słowa wydobywały się z jego ust.

Dwaj mężczyźni podnieśli go ostrożnie i przechodząc ponad jakimiś poczerniałymi fragmentami, ociekającymi wodą i jeszcze dymiącymi, torowali sobie drogę pomiędzy zgliszczami.

Ogień pustoszył wyższe piętra budynku i huk silników walczył z jazgotem płomieni.

Niezwykle ostrożnie wsadzili go do ambulansu. Starzec uczeplił się rękawa jednego z pielęgniarzy.

- Policja... - szepnął. - Policja...

- Oczywiście - powiedział pielęgniarz. - Spokojnie. Zaraz przyjadą.

Oczy pod czarnymi brwiami uchyliły się nagle i wbiły się w niego. Pielęgniarz odwrócił głowę, żeby nie widzieć czerwonych powiek, popękanych i pokrwawionych, i bolesnego grymasu twarzy starca.

- Dan... - powiedział. - Dan Parker... To on... ogień...

Pielęgniarz skoczył na równe nogi.

- Zostań tu - zawołał do kierowcy samochodu, który już szykował się do odjazdu.

Pobiegł w stronę policjanta. Tłum kłębiący się za barierą policyjną przyglądał się pożądliwie.

- Hej...! - wrzasnął pielęgniarz - jest robota dla pana! Chodź pan szybciej.

Policjant poszedł za nim.

- Zamieszany jest w to Daniel Parker - powiedział zdyszany pielęgniarz. - Ten stary tak twierdzi. Wszyscy tutaj uważają, że jest on lekko kopnięty... ale w końcu...

Policjant podszedł do rannego. Kilka metrów dalej fragment muru zawalił się z ogłuszającym hukiem.

- Mówi pan, że to Dan Parker? - zapytał policjant.

Oczy starego ponownie się zamknęły. Wykonał niejasny ruch głową.

- Wziął kaliber 38... - szepnął. - I garnitur... brązowy w prążki... zobaczyć się z kobietą... I moje pieniądze. Oddajcie mi moje pieniądze... To Dan Parker... Całe moje pieniądze...

Policjant skrupulatnie zanotował.

- Dokąd mógł pójść? - zapytał. - Nie wie pan...?

- Uderzył mnie... - powiedział stary. - Moja głowa... Moje pieniądze... Brązowy garnitur... Żeby się spotkać z kobietą...

- Z jaką kobietą? - powtórzył policjant z naciskiem. Głowa starca przetoczyła się w prawo i w lewo.

- Słuchaj pan - powiedział pielęgniarz. - Trzeba go zabrać, bo inaczej zaraz go tu szlag trafi.

- Spotkamy się na miejscu - powiedział policjant. Ciężki ambulans popędził na złamanie karku.

XXVIII

Crane walnął pięścią w stół.

- Prysnał im sprzed nosa - powiedział. - I tyle. Nie można się z tego wygrzebać. Przeszukano trzy pierwsze domy od piwnic po strych. Prawie skończyli czwarty i głowę dam, że go nie znajdą.

Urwał. Rozległ się dzwonek telefonu. Słuchał, odpowiadając krótkimi monosylabami, i odłożył słuchawkę.

- Skończyli - powiedział. - Nic nie znaleźli. Jego marynarkę i kapelusz na ostatnim piętrze w czwartym domu. Udało mu się zejść po schodach. To naprawdę cudowne...!

Ponownie walnął pięścią w biurko, aż rozsypały się wszystkie akta.

- I co teraz mi powiecie? - zapytał. - Że facet nie jest bardziej czarny niż wy czyja?

Cooper, w marnym nastroju, zwiesił głowę.

- Ja... To są dowody, na które nic nie możemy poradzić. Nastąpiła jakaś pomyłka.

- A ja mam to gdzieś! Dlaczego nastąpiła pomyłka? Na kogo my wyszliśmy? Jak można było tego nie przewidzieć. Teraz dopiero będzie afera jak sto piorunów, jeszcze większa niż przedtem, i nie wiadomo, jak się to skończy. Do czego to podobne? Gazety wałkują tę historię tam i nazad od czterech dni, przyczepili się do tej historii z rozwodami i ślubami między białymi i czarnymi, no i proszę, co wy mi tu przynosicie! Że facet jest biały! Lecz w końcu, do diabła, dlaczego on jest biały?

- To nie moja wina - powiedział Cooper. - Sam tego żałuję. Stracił głowę, a można było uniknąć drugiej zbrodni i całej tej historii. W każdym razie, ratował swoją głowę, to pewne, a dobry adwokat załatwiłby mu uniewinnienie. Ten facet, Richard, był szantażystą, a Dan sam jest przekonany, iż jest Murzynem, i gdyby nie przypadek, który wam wyjaśniłem, nikt nigdy nie dowiedziałby się, że jest biały.

- Kurwa mać! - ryknął Orane. Zapadła cisza. Telefon znów zadzwonił.

- Czego! - wrzasnął Crane do słuchawki. Przez chwilę nadstawiał ucha.

- Gdzie? - szczechnął. - Tam? Koło tego miejsca, gdzie jest ta kobieta?

Cooper zaczerwienił się i spojrzał w drugą stronę. Crane odłożył słuchawkę i wstał.

- Ruszajcie! - zawołał. - Dan właśnie puścił z dymem lombard pięć minut drogi od hotelu, gdzie przebywa jego żona. Ogłusz starego i wszedł ubrany w brązowy garnitur w białe prążki. Dalej, na co czekacie? Weźcie tylu policjantów, ilu wam potrzeba.

Cooper wstał i wyszedł. Orane odprowadził go do drzwi.

- Postarajcie się, żeby nikogo więcej nie zabił - powiedział. - Możecie sobie trochę postrzelać.

Cooper spojrział na niego przenikliwie, lecz spuścił wzrok. Crane zaśmiał się szyderczo.

- Wtedy będzie pan o wiele spokojniejszy.

Tamten opanował odruch i oddalił się korytarzem. Crane zamknął drzwi kopnięciem i zlorzecząc usiadł za biurkiem.

XXIX

Dan stanął na progu, a za nim zatrzasnęły się drzwi od windy. Spojrzał w prawo i w lewo i odruchowo próbował wygładzić wypukłość, jaką na wysokości pasa robiła kolba pistoletu.

Numer pokoju Sheili podała mu pokojówka. Były to trzecie drzwi. Rzucając za siebie ukradkowe spojrzenia, powoli, niezwykle ostrożnie nacisnął na klamkę i pociągnął drzwi do siebie. Drzwi sprawiły opór. Zaczął ciągnąć mocniej i omal nie wpadł we wściekłość, lecz nagle zrozumiał, że otwierają się w przeciwnym kierunku.

Pokój był standardowo umeblowany. W oknach wisiały długie zasłony. Jego oczy zarejestrowały automatycznie ten ewentualny schowek. Okno było otwarte, a miasto jarzyło się mnóstwem światła.

Łóżko, dwa fotele, stół i szafa. Małe drzwi - niewątpliwie łazienka.

Dan nadstawił ucha. Cisza. Nikogo. Nikogo w łazience. Podszedł po cichu i usłyszał kroki na korytarzu. Nie było czasu. Skoczył ku oknu i ukrył się za zasłoną.

Weszła Sheila. Musiała być gdzieś w okolicy, na piętrze. Nie mógł jej widzieć. Przez otwarte drzwi usłyszał trzaśnięcie windy i głos wołającego ją windziarza. Musiała się zatrzymać. Chłopak przekazał jej kwiaty. Podziękowała mu. Drzwi się zamknęły. Windziarz w odpowiedzi na jej pytanie wyjaśnił, że był tu wysoki i silnie zbudowany mężczyzna, ubrany w brązowy garnitur, a Sheila nie wiedziała, kto to mógł być. Musiał to być ktoś spoufalcony ze Sheilą, bo nie wyglądała na zaszokowaną.

Zaczęła się kręcić po pokoju i otworzyła drzwi od łazienki. Usłyszał szmer wody lejącej się do wazonu i lekki stuk, kiedy go postawiła na stole. Zapewne ściągnęła buty i włożyła kaptcie.

Panowała cisza, a Dan nie miał odwagi wyjść z ukrycia. Miał nie kończącego się oczekiwania.

Z oddali dochodził potęgający się dźwięk syreny policyjnej, zbliżający się bardzo szybko. Dan odwrócił się ostrożnie. Przez otwarte okno ujrzał samochód i policjantów na motorach.

Auto stanęło przed hotelem. Serce Dana waliło mocniej, lecz nie szybciej. Nie bał się.

Podnosiła go na duchu obecność Sheili. Mógł tak stać przez długi czas. Jak gdyby nigdy nic. W końcu wszystko się jakoś ułoży: on wyjdzie zza swojej zasłony, a ona pozwoli się objąć.

Na korytarzu rozległy się głosy windziarza i Coopera.

Cooper wszedł i zamknął drzwi.

- Pani mąż jest w hotelu - oznajmił bez ogródek. - Zabił mężczyznę w sklepie, niedaleko stąd. Wszedł tutaj ubrany w skradziony garnitur. Windziarz rozpoznał go na zdjęciu. Nie ma go u pani?

Sheila wydała cichy okrzyk. Odpowiedziała drżącym głosem.

- Nie...! Tylko nie tutaj...! To straszne... Panie Cooper, błagam pana, proszę mnie stąd zabrać... To straszne... Ja... byłam w łazience, nie wiedząc, że on tam jest.

Cooper błyskawicznie wpadł do łazienki. Odchylił gumową zasłonę przy prysznicu.

- Zauważyłaby go pani - powiedział. - Pokazałby się. Musi ukrywać się gdzieś w hotelu. Proszę tu zostać i nie ruszać się na krok. Przeszukam budynek z moimi ludźmi.

- Ja... Umrę ze strachu - wybełkotała Sheila.

- Nie sądzę, by cokolwiek pani groziło z jego strony - powiedział Cooper.- Cierpliwości... Wkrótce będzie po wszystkim.

- Więc niech pan ze mną zostanie - westchnęła Sheila.

- Nie mogę - odrzekł Cooper. - On w każdej chwili może uciec. Stał tuż przy niej i Dan zrozumiał, że trzyma ją za ramiona.

- No, no - powiedział Cooper. - Powiem pani coś, co podniesie panią na duchu. Pani mąż nie jest czarny. Znalazłem papiery, które tego dowodzą. Zabił po trzykroć, to prawda, lecz jeśliby miał dobrego adwokata, nie powinien trafić na krzesło. Ciągle ma pani skrupuły...?

- Nie jest czarny...? - szepnęła Sheila. - No to... w takim razie nie zabił... brata?

- To nie był jego brat - powiedział Cooper. - Zabił szantażystę. Potem wpadł w szal. Można by go z tego wyciągnąć, udowodniwszy, iż okoliczności doprowadziły go do zbrodni.

Urwał na chwilę.

- Nie powinno to pani przeszkodzić w rozwodzie - powiedział - ale uprości parę rzeczy...

Odwrócił się nagle. Przy oknie rozległ się jakiś hałas. Wyciągnął rewolwer i usłyszał krzyki dochodzące z ulicy. Rzucił się do okna.

XXX

Nie mogłem nawet drgnąć. Ten gliniarz wszedł, a ja nadal tkwiłem za zasłoną. Gdyby zrobił choć krok w moją stronę, byłbym zmuszony go zastrzelić, a nie miałem na to ochoty. Chciałem tylko zaczekać.

Być może wynieśliby się nie znalazłszy mnie. Sheila wyglądała na przerażoną. Na pewno uczepliła się ramienia tego gliniarza, tak jak na początku uczepliła się mojego. Chciałem ją zobaczyć. Dałbym wszystko, żeby ją zobaczyć. Teraz, choć on tu był, choć ona nie była już sama, ośmieliłbym się uchylić zasłonę, lecz to był gliniarz i poszukiwał mnie. Na pewno otoczyli dom i znów by się to rozpoczęło. Wtedy, dokądkolwiek bym poszedł, okrążaliby mnie i czyhali jak na dzikiego kota siedzącego na drzewie.

Nie słuchałem, o czym mówili, słyszałem jedynie głosy, a później słowa tego gliniarza, które wbiły się w moją głowę jak ostrza z rozgrzanej do czerwoności stali, a on powiedział, że jestem biały. Wtedy przestałem cokolwiek widzieć i zrozumiałem, co zrobiłem. Tak długo się bałem, sądziłem, że mnie ścigają. Lałem ich po pyskach przez całe lata, aż nabrałem do tego obrzydzenia. Dziwiłem się, że jest mi wśród nich dobrze, że czuję się do nich podobny. Przypomniałem sobie, co jeden czarny kolega powiedział do mnie w szkole. Byłem dumny, że jestem biały. Zapytałem go: „ Co to za uczucie być czarnym?” Wiem, miał minę nieco zdziwioną, lekko zawstydzoną, trochę umęczoną. Omal się nie rozplakał i powiedział: „ To żadne uczucie, Dan, dobrze o tym wiesz” , a ja go uderzyłem, warga mu krwawiła i szeroko otworzył oczy, nic nie rozumiejąc. Tak bardzo się bałem, na początku, kiedy zaczęto mnie traktować jak białego. Dokonałem śmiałego czynu, idąc tam pracować - i o nic mnie nie pytano, i tok to się jakoś stało pomału, a ja jednak chciałem się na nich zemścić, oni mają teki jakiś zapach, mówią biali, a ja byłem dumny, bo nie miałem własnego zapachu się nie czuje. Szanowali mnie, bo byłem silny - i byłem dumny, że jestem silny, tak jak byłem dumny, że jestem biały. Lecz pojawił się Richard - spędziłem z nim moje dzieciństwo, był naprawdę moim bratem, wtedy w to wierzyłem, i zabiłem go. A kiedy go zabijałem, sądziłem, że jest moim bratem. Niewątpliwie Sheila też tak sądziła. Byłem tak dumny, kiedy ożeniłem się z Sheilą, był to rewanż, a kiedy się z nią kochałem, to też był rewanż, i pomału stałem się biały - potrzebne były lata, by zniknął ostatni ślad - i wystarczyło, by Richard powrócił, a ja znów zacząłem uważać, że jestem czarny. Te dwie dziewczyny, Ann i Sally... przecież nie stałbym się impotentem, gdybym nie sądził, że płynie we mnie czarna krew, i trzeba było zabić Richarda. A gdybym zawiadomił policję, odnaleźliby

papiery, udowodniliby, że jestem biały, a Richard byłby odszedł.

Zabiłem Richarda na darmo. Jego kości trzasnęły w mych dłoniach. I jednym ciosem pięści zabiłem dziewczynę. Umarł również właściciel lombardu - też niepotrzebnie, głupio, pewnie spalił się żywcem. Wszystkich zabiłem niepotrzebnie. I straciłem Sheilę. Otoczyli hotel.

Powiedział, że to uprościłoby parę rzeczy. Istnieją inne sposoby upraszczania tych rzeczy.

XXXI

Dan miał wrażenie, że przebudził się ze snu. Powolnym ruchem, nieubłaganie, wszedł na parapet i pochylił się, by przejść pod podniesionym oknem. Daleko w dole, na chodniku, dostrzegł zbity tłum i instynktownie skurczył się, by weń nie trafić. Jego ciało zawiroowało w powietrzu jak niezgrabna ropucha i roztrzaskało się o twardą nawierzchnię ulicy.

Max Klein, fotograf, który był świadkiem tej sceny, miał dość czasu, zanim policja zabrała trupa, by zrobić swoje życiowe zdjęcie. Ukazało się w „Life” kilka dni później. Była to wyśmienita fotografia.

**I WYKOŃCZYMY
WSZYSTKICH
OBRZYDLIWCÓW**

I

Zaczyna się łagodnie.

Dostać w łeb, to jeszcze nic. Zostać dwukrotnie znarkotyzowanym w ciągu jednego wieczora, to także nic przykrego. Lecz wyjść dla zaczerpnięcia świeżego powietrza i nagle znaleźć się w nieznanym pokoju, z kobietą, oboje w stroju Adama i Ewy, to zaczyna już być lekka przesada. A jeszcze co mi się później przydarzyło...

Lecz sadzę, że lepiej będzie, jeżeli od razu zacznę od początku pierwszego wieczora. Letniego wieczora, zęby być ścisłym. Dokładna data - mało ważna. No cóż, nie wiem, dlaczego zachciało mi się wyjść wieczorem. Na ogół wolę kłaść się i wstawać wcześniej, lecz niekiedy człowiek odczuwa potrzebę kropli alkoholu, odrobiny ludzkiego ciepła, towarzystwa. Być może jestem sentymentalny. Widząc mnie, nikt by tego nie powiedział, lecz górkę tworzące moje mięśnie są zwodniczym złudzeniem, pod którym skrywam me serce Kopciuszka. Bardzo lubię przyjaciół. Bardzo lubię przyjaciółki. Nigdy nie brakowało mi ani jednych, ani drugich i od czasu do czasu dziękuję w duchu moim rodzicom za wygląd, jakim mnie obdarowali. Są tacy, co dziękują za to Bogu, wiem... lecz między nami, to sadzę, że mieszają Boga do spraw, z którymi tak naprawdę nie ma on nic wspólnego. Jakkolwiek by było, udałem się mojej mamusi... no i tatusiowi... w końcu też miał w tym swój udział.

Miałem ochotę wyjść, więc wyszedłem. To niezaprzeczalna korzyść, kiedy można sobie wybierać rodziców wedle upodobania. Wyszedłem; cała banda czekała na mnie u Zooty'ego Slammera. Gary Kihan, reporter z „Cali”, Clark Lacy, kumpel z Uniwersytetu mieszkający pod Los Angeles, tak jak ja i większość naszego stałego towarzystwa; żadnych dziewczyn, co to sprawiają, że wszyscy faceci mający trochę forsy czują się w obowiązku taszczenia ich ze sobą, żadnych marnych śpiewaczek czy innych nazbyt doświadczonych tancerek. Nie lubię tego...one zawsze się jakoś tak kleją. Żadnych takich dziewczyn. Tylko przyjaciółki, prawdziwe... nie jakieś figurantki próbujące złapać męża czy lekko przechodzone naiwniaczki, po prostu miłe, sympatyczne dziewczyny. To straszne, ile miałem kłopotów, żeby takie znaleźć. Lacy wyczają ich tyle, ile chce, i może spędzić z każdą dziesięć wieczorów z rzędu i żadna nawet nie próbuje go pocałować; ja sprawiam na nich zgoła odmienne wrażenie, to naprawdę okropnie odpychać ładną dziewczynę, która sama się rzuca w ramiona. Choć nie chciałbym mieć gęby Lacy'ego. Zresztą, to całkiem inna historia. Koniec końców, wiedziałem, że u Slammera spotkam Beryl Reeves i Monę Thaw, a przy nich nic mi nie groziło... A jeszcze wracając do innych dziewczyn, to wszystkie wyglądają, jakby

wyobrażały sobie, że miłość jest celem życia, zwłaszcza jeśli się waży dziewięćdziesiąt kilo i mierzy sześć stóp i dwa cale. Zawsze im mówię, że jeśli już jestem w takiej formie, to tylko dlatego, że się oszczędzam. I że gdyby miały moją żywą wagę do udźwignięcia, to z pewnością zmęczyłyby się dostatecznie, by dać mi święty spokój... w każdym razie, Beryl i Mona nie są takie i wiedzą, że higieniczne życie jest więcej warte od wszystkich zbytków ćwiczonych na tapczanach od wieków.

Wszedłem do Zooty'ego Slammera. To fajna knajpka prowadzona przez Lema Hamiltona, wielkiego czarnego pianistę, grającego niegdyś w orkiestrze Leatherbirda. Zna wszystkich muzyków z wybrzeża i Bóg wie kogo jeszcze w Kalifornii. U Slammera można posłuchać prawdziwej muzyki. Lubię to, można się odprężyć... a ponieważ jestem odprężony z natury, jest to niezwykle kojące. Gary czekał na mnie, Lacy tańczył z Beryl, a Mona rzuciła mi się na szyję...

- Dobry wieczór, Mona - rzekłem. - Co nowego? Cześć, Gary.

- Cześć - odparł Kilian.

Był bez zarzutu, jak zwykle. Ładny, ciemny chłopak o niebieskawej skórze. Jego jasnoróżowy bowtie trzymał się tak prosto, że wyglądał, jakby był nakrochmalony. To, co lubię u Gary'ego, to właśnie jego zmysł estetyczny, jeśli chodzi o ubranie. W końcu, ma taki sam gust jak ja, tak to należy rozumieć.

Mona przyglądała mi się.

- Rocky - powiedziała - to nieprzyzwoite. Z każdym dniem jesteś coraz piękniejszy.

W jej wykonaniu nie było to krępujące. Jej ton był... jakby to powiedzieć... znośny.

- Jesteś cudowny, Rocky. Twoje blond włosy... pomarańczowe ciało... mmm... chciałoby się je schrupać.

Mimo wszystko zaczerwieniłem się. Taki już jestem. Gary kpił sobie ze mnie.

- Rocky, już nawet nie protestujesz - rzekł. - Kiedyś byłbyś uciekł...

- Ona dała mi już dowody swej inteligencji - odparłem - lecz jeżeli będzie robiła tak dalej, to z pewnością odejdę.

W każdym razie, cieszyłem się, że nie było przy tym Lacy'ego... Nie lubię, kiedy dziewczyny prawią komplementy na temat mego wyglądu, a zwłaszcza w obecności Clarka Lacy. To najwspanialszy gość na ziemi, lecz rzecz by można, że jego ojciec był szczurem, a matka ropuchą; nie zdziwiłoby mnie to zbytnio, bo tak właśnie wygląda. Trochę mu to przeszkadza w podrywaniu dziewczyn.

Mona zaczęła od nowa.

- Rocky, kiedy wreszcie zdecydujesz się wyznać, że mnie kochasz?

- Nigdy, Mona... Nie chcę unieszczęśliwiać tysięcy. Musiała trochę wypić, bo nieczęsto tak się naprzykrzała. Na szczęście wrócili Clark i Beryl, więc zmieniono temat. Hamilton, szef knajpki, zasiadł do pianina. Jak każdy grubas, miał nadzwyczaj delikatne uderzenie i słuchając go zaśmiewałem się, taką mi to sprawiała przyjemność. Gary zaczął tańczyć z Beryl, a ja już miałem zaprosić Monę, kiedy porwał ją Lacy. Z powodzeniem mogłem wziąć jakąkolwiek dziewczynę, bo kiedy gra Hamilton, to efekt jest taki, jakby nastąpiło wyładowanie elektryczne. Rozejrzałem się dookoła i oto wszedł mój zbawca. Ten kretyń, Douglas Thruck. Zaraz wam powiem, kto to jest, ale tymczasem rzucam się na towarzyszącą mu dziewczynę i ciągnę ją na parkiet. Nieźle zbudowana i dobrze tańczy,.. Bez żartów... O, już zaczyna się za bardzo przyciskać...

- Powoli! - mówię. - Zależy mi na reputacji.

Być może to, co mi się wysypało, jest trochę chamskie, ale przy mojej gębie wszystko uchodzi. Ona uśmiecha się lekko i dalej robi swoje. A widząc, jak tam kombinuje zawieszaniem, łatwo sobie wyobrazić, co jej chodzi po głowie.

- Szkoda, że to nie samba - mówi, niczym się nie przejmując. Śmieje się, Gary również. Ja też. To są prawdziwi kumple.

- Dlaczego - mówię - uważam, że dobrze jest jak jest.

- Samba ma lepszą atmosferę - odpowiada. - Bo ta muzyka jest jednak trochę zbyt chłodna.

Dzieci drogie, jeśli ona to nazywa chłodną muzyką, to już wolę nie tańczyć z nią samby. Do licha! Muszę coś zrobić. W końcu jestem nieco silniejszy od niej i udaje mi się odsunąć ją od siebie.

Tańczę dalej, trzymając ją na odległość wyciągniętego ramienia. Nie można poświęcić życia jednocześnie na sport i tańce z takimi laleczkami, jak ta. To nie idzie w parze. A mnie zależy na sporcie. Nade wszystko.

Przygryza lekko dolną wargę, lecz nadal się uśmiecha. Niemożliwa do obrażenia. Pewnego dnia przykleję sobie fałszywe wąsy i będę mógł tańczyć w spokoju.

Hamilton przestaje grać.

Odprowadzam dziewczynę do prawowitego właściciela, Douglasa Thrucka. Douglas wart jest bardziej szczegółowej prezentacji. To wysoki chłopak o przylizanych blond włosach, o ustach jakby podwójnej grubości, zawsze wesoły. Jest bardzo młody, pije jak smok i pracuje jako coś w rodzaju dziennikarza. Ma całą kolumnę w jakimś filmowym brukowcu, a w chwilach zwątpienia pracuje nad wielkim dziełem swego życia, „Estetyką kina”, przewidując na to dziesięć lat pracy i tyleż tomów. Pali cygara. Poza tym, poważam raz jeszcze, to

prawdziwa gąbka.

- Cześć - mówi do mnie. - Przedstawić cię? - Mowa!

- To Rock Bailey - wyjaśnia ładnej brunetce, która nastawała na me uczucia. - Sunday Love - mówi, wskazując na nią. - Nadzieja „Metro-Goldwyn-Meier”.

- Miło mi poznać.

Skłaniam się kurtuazyjnie i ściskam jej dłoń. Uśmiecha się. Mimo wszystko jest miła. Nadzieja „Metro”. Mój Boże, gdybym to ja był „Metro”, zapewne wiązałbym niejaki nadzieje z tą panienką; wszystko u niej tak świetnie trzyma się kupy.

- Ma do ciebie słabość - mówi do mnie Douglas Thruck z wrodzonym taktem.

Fakt, że jeśli chodzi o chamstwo, to nie mam mu czego zazdrościć, ale w końcu... muszę go ofuknąć...

- Powiedział to tylko po to, żeby się ciebie pozbyć.

- Zgadłeś - mówi Sunday Love.

Zbliża się do mnie. Holender, ależ te kobitki potrafią być słabiące. Skąd ona wytrzasnęła to marne nazwisko, Sunday Love... Dziwny pomysł. Trochę wsiowy. I zupełnie do niej nie pasuje. Jestem przekonany, że ta dziewczyna nie zadowala się uprawianiem miłości tylko w niedzielę.

- Zatańczymy jeszcze? - proponuje mi, bo Lem Hamilton rozpoczął właśnie kolejny kawałek.

- Nie - odpowiadam. - W końcu mnie zdeprawujesz, a mój trening nie zezwala na takie fantazje. Jestem do twojej dyspozycji, jeśli chodzi o kielicha.

- To trening zezwala na alkohol? - oddaje mi wet za wet.

- Oczywiście - zapewnia Douglas, który nie traci ani słowa z naszej rozmowy. - Posłuchaj, Sunday, nie próbuj uwieść naszego starego Rocky'ego. On jest niewzruszony i wszystkie dziewczyny rozbiły sobie o niego nos. Wiesz zresztą, sportowcy nie mają w sobie nic ponadzmysłowego. W temacie, który ciebie interesuje, nikt nie dorówna intelektualistom.

Intelektualista to on. Pewnie. W końcu... stawiam kolejkę. Douglas też. Ja poprawiam. W przerwach tańczę z Beryl, z Moną... Jeszcze raz z Sunday Love... Nieźle się bawię, bo pomimo wszelkich wysiłków z jej strony, nadal pozostaję zimny. Zrozumiała i gra już uczciwie. Dzisiejszego wieczora jestem w świetnej formie... i wiem, że wiele kobiet tu obecnych dałoby się na to nabrać. W sumie, to przyjemne mieć ładną gębę.

- Posłuchaj - mówi do mnie nagle Sunday Love.

- Słucham cię.

Przykleja swój policzek do mojego. Bardzo ładnie pachnie. Zapach jej włosów i

szminki jest doskonale dobrany. Mówię jej to.

- Bez żartów, Rocky, jeśli łaska, Wcale tak nie myślisz. - Ależ owszem, moja słodka - mówię. - Jestem jak najpoważniejszy.

- A gdybyś mnie stąd zabrał?

- Dlaczego chcesz stąd iść? Nie podoba ci się muzyka starego Lema?

- Owszem, ale tobie podoba się stanowczo za bardzo. Czy mogę mieć przyjemność z tańczenia z facetem, który słucha muzyki?

- Wiem, że są tacy, co tańczą dla dziewczyn, nie dla muzyki - powiadam - lecz mnie się ona podoba i powtarzam raz jeszcze, że kobiety mnie nie interesują.

- No, no? - mówi z wyrzutem, skubiąc moje bicepsy. - Nie jesteś chyba...

Widząc, że bierze mnie za ciotuchnę, wybucham śmiechem.

- Pewnie, że nie...! - odpowiadam - nie obawiaj się, mężczyzn też nie lubię, jeśli tak to rozumiałaś... lecz szczególnie cenię dobre imię mojej uczelni... a w tym najbardziej pomaga mi sport.

- Och! - mówi pogardliwie. - Nie zrobiłabym ci krzywdy. Jak tak dobrze jej się przyjrzeć, to jest cholernie ładna, i o mały włos wykroczyłbym przeciw osobistemu regulaminowi.

Lecz do psa starego, zdecydowałem się niech to mięknię deczko zdecydowałem, że pozostanę cnotliwy aż do dwudziestego roku życia. Być może to kompletny idiotyzm, ale w młodości człowiek wymyśla sobie takie bzdety. To coś, jak z chodzeniem po chodniku bez nadeptywania na szczeliny pomiędzy płytami czy spluwanie do umywalki tak, zęby nie dotknąć brzegów, lecz przecież nie mogę jej tego powiedzieć, w końcu co zrobić?

- Ufam, że mnie zrozumiesz - mówię, ściskając ją lekko za ramię - ale z powodu, którego me mogę ci wyjawić, muszę być bardzo poważny.

- Zrobiłeś jakieś głupstwo?

Do licha Zrozumiałaby pewnie wszystko, ale chyba nie to.

- Nie wiem, jak ci to wyjaśnić - powiadam - lecz jeśli chcesz się umówić w me dwudzieste urodziny, to dostaniesz prezent od Mikołaja.

No cóż, jeśli chciałem ją ostudzić, to się nie udało. Spogląda na mnie wzrokiem pozeraczki mężczyzn i szybciej oddycha.

- Och, Rocky. Nie żartuj, mój mały Rocky.

No proszę, siedemnastoletnia dziewczyna, którą mógłbym unieść jedną ręką i to na wyciągniętym ramieniu, nazywająca mnie swoim małym. Zapewniam was, że to nadzwyczajna rasa.

- Słowo mężczyzny - mówię - Nie zmienię zdania.

- Mogę ci zrobić podobny prezent - odpowiada, patrząc mi prosto w oczy.

Hmm, jeśli chcecie poznać moje zdanie, to powiem, że to jednak trudna chwila. Na szczęście stary Gary przybywa z odsieczą. Klepie mnie w ramię.

- Odbijany! – woła.

Kiwam głową i pozwalam na objęcie dziewczyny. Jeszcze się trochę dąsa, ale nie jest zła, bo Kihan, mimo wszystko, to niezły kawał chłopca Sunday uśmiecha się do mnie spod lekko opuszczonych powiek. Wygląda jak cieplarniany kwiatusek, w rodzaju Lindy Darnell.

Wracam do barku. Jest tu Clark Lacy, który rozmawia z Beryl, a Mona tańczy z Douglasem. U Zooty'ego Slammera są sami sympatyczni ludzie. Znam prawie wszystkie twarze. Przeciagam się. Jak to jednak przyjemnie jest żyć, mieć pełne kieszenie forsy i takich wspaniałych kumpli. Bawię się po pachy. Cygaro Douglasa leży w popielniczkę i śmierdzi, że uchowaj Panie Boże. To jedno z tych włoskich paskudztw, pokręcone jak kości starego reumatyka i cuchnące gorzej niż wszystkie ścieki piekielne. Nagle odczuwam potrzebę zaczerpnięcia świeżego powietrza i mówię o tym Lacy'emu.

- Zaraz wracam Wychodzę na sekundę.

- OK – odpowiada.

Idę w kierunku drzwi. Przechodząc koło Lema, puszczam do niego oko, a on uśmiecha się całą swą czarną twarzą.

Pogoda jest wspaniała Noc granatowa i pachnąca, a wszystkie światła miasta tworzą nad moją głową niewyraźną otoczkę. Robię kilka kroków i opieram się o moją brykę, czekając roztropnie tuż koło Slammera. Gdzieś z tyłu wyszedł jakiś facet. Zbliży się. Jest wielki, napakowany, trochę wygląda na prostaka, ale zachowuje się w porządku.

- Ma pan ogień? – pyta.

Podaję mu zapalniczkę i przypominam sobie, że jest to klasyczne wejście gangstera, który wytnie zaraz jakiś niemiły numer. Chce mi się śmiać. Więc się śmieję.

- Dziękuję - mówi.

Teraz z kolei on się śmieje i przypala papierosa. Szkoda. To nie gangster. Wdycham dym z jego papierosa. Dziwny zapach. Dostrzega, co robię, i podsuwa mi papierośnicę.

- Chce pan?

Śmierdzi to prawie jak cygaro Douglasa, ale na świeżym powietrzu nie jest to takie istotne. Zapalam i dziękuję mu, jako że sam również uczęszczałem do szkółki niedzielnej.

W smaku jest także równie wstrętne jak cygaro Douglasa, ale nie mam już czasu, by to stwierdzić, gdyż wycinam takiego orła, jakbym wypił co najmniej poczworną jagodziankę.

Gość jest czarujący, udaje mi się jeszcze zdać sobie sprawę, że trzyma mnie za głowę, żebym nie palnął nią o chodnik, po czym odlatuję do krainy niebieskich migdałków.

II

Szczypta wesołej fizyki

Budzę się w sypialni, co jest całkiem normalne. Jeszcze jest noc, tak sędzę, bo zasłony są zaciągnięte, a światło zapalone, spoglądam na zegarek. Musiało być koło pół do drugiej, kiedy zapaliłem tego papierosa... Pamiętam wszystko dokładnie, prócz tego, co się zdarzyło pomiędzy papierosem a tym łóżkiem, na którym leżę... całkiem nagi.

Odwracam się i szukam mojego ubrani pościeli, czegokolwiek. Nie jest przyjemnie znaleźć się na golasa w nieznanej sypialni. W pięknej sypialni. Pomarańczowobeżowe ściany, intymne światło. Dziwne. Ani jednego mebla. Łóżko jest niskie, bardzo miękkie. Nic znikąd nie wystaje. Jedne drzwi.

Wstaję. Podchodzę do okna. Rozsuwam zasłony. Tyle tych zasłon, co i ubrania. Złudzenie, a za nim solidny mur.

Drzwi. Trzeba wszystkiego spróbować. Jeśli drzwi też są złudzeniem, to ciekawe, jak mnie tu wprowadzili.

Drzwi ani drgną. Wydają się solidne. Ale są to prawdziwe drzwi.

Nie ma się czym przejmować. Rzucam się na łożę i chwilę dumam. Nie za długo... dumanie mnie męczy. Jeszcze trochę mnie krępuje własna nagość, ale w końcu, nic nie mogę na to poradzić, a poza tym można się przyzwyczać, bo jak mawiają, niektórzy faceci spędzają w ten sposób całe życie... W Afryce czy w Australii, o ile pamiętam. No i na zdrowie. Osobiście nie widzę siebie tańczącego sambę z Sunday Love w tym stroju.

Tak. Ale weź sobie prysznic, to ci przejdzie. Drzwi otwierają się, a potem zamykają... i pomiędzy tymi dwiema operacjami następuje niewielka przemiana mego stanu ducha.

Gdyż teraz w pomieszczeniu znajduje się kobieta w podobnym stroju jak ja.

Niech to gęś, przyjaciele, ale sztuka! W pośpiechu zmawiam krótką modlitwę do Pana Boga, bo jeśli ja sprawiam na niej takie wrażenie, jak ona na mnie, to wszystkie moje postanowienia diabli wezmą.

Jest bardzo piękna, ale w sposób dość zaskakujący. Nieco nazbyt perfekcyjna, że się tak wyrażę. Rzecz by można, że zrobiono ją z piersi Jane Russel, nóg Betty Gracie, oczu Bacall i tak dalej. Patrzy na mnie, ja na nią i czerwienimy się chyba w tym samym momencie. Ona zbliża się. Zmawiam kolejną modlitwę. Do licha, modlitwy to nie mój styl. Możliwe, że ona chce ze mną po prostu porozmawiać. Wysilam się, chcąc pozostać bez zarzutu, i udaje mi

się to, lecz o Panie, z jakim bólem... Myślę o moim ojcu i jego złotych okupach, o matce w fioletowej sukience, o małej siostrzyczce, którą mógłbym mieć, o meczu baseballowym i o solidnym, zimnym prysznicu, tymczasem ona siada na łóżku. Patrzy mi prosto w oczy i leciutko trzepocze rzęsami. Mają pół metra długości, a jej skóra jest tak gładka...

No i co o tym myślicie? Jestem tam kompletnie nagi, z dziewczyną jak sto pięćdziesiąt w takim samym przyodziewku, na samym środku pokoju, gdzie jest łóżko i nic więcej. I jest problem, jakiego na Uniwersytecie nie nauczono mnie rozwiązywać, to pewne. Najbardziej lubiłem wykłady z francuskiego... chociaż te nerwusy mają takie czasowniki nieregularne...

Wreszcie, dzięki czasownikom nieregularnym, udało mi się odzyskać nieco zimnej krwi. Poczulem się pewniej. Kurczę blade, skoro postanowiłem zachować rozsądek aż do dwudziestego roku życia, to nie po to, by przy pierwszej kobiecie, która wejdzie do mej sypialni, cały program wychrzanić do kosza. Bo w końcu, jest to moja sypialni jako że pierwszy się w niej znalazłem. A strój nie ma tu nic do rzeczy. Pokażę jej, że można zachować godność nawet bez spodni.

Podnoszę się i skrzyżowawszy ramiona, mówię do niej:

- Czego pani sobie życzy? Nie czekam długo.

- Pana.

Krztuszę się i kaszlę jak stary astmatyk.

- Więc nasze interesy są rozbieżne - odpowiadam. - mój trening wymaga całkowitej niewinności.

Ona podnosi brwi, uśmiecha się i wstaje. Podchodzi. Zaraz zarzuci mi ramiona na szyję. Chwytam za przeguby i próbuję zachować dystans. Przypominam sobie Sunday Love. To jest jednak dużo łatwiejsze na dancingu, w stroju wieczorowym.

Nie wiem już, co robić... ona jest silna jak koń... i pachnie diabelnie ładnie; ona też. Przecież to szaleństwo, w końcu... chciałbym zrozumieć.

- Kto mnie tu przywiózł? - pytam. - Gdzie jesteśmy? Co to za historia, co to ma znaczyć? Co by pani powiedziała, gdyby tak panią znarkotyzować, zaciągnąć do pomieszczenia, którego nie widziała pani na oczy, rozebrać i wprowadzić mężczyznę o jasno sprecyzowanych zamiarach?

- Nic bym nie powiedziała - odparte, nie przestając się poruszać. - Słowa są całkiem zbędne w takich dziwnych okolicznościach... Nie uważa pan?

Uśmiecha się. Ta dziewczyna ma wszystko. Nawet zęby takie, że można by wskoczyć na sufit.

- Być może tak jest w pani przypadku, bo pani wie, o co tu chodzi, ale że mną jest

zgoła inaczej.

Niejasno zdaję sobie sprawę z absurdalności tej rozmowy, a zwłaszcza w tym stroju, i ona też jest tego świadoma; uśmiecha się i ponownie próbuje podejść do mnie, i niech to szlag, jest już blisko, bo jej pierś dotyka mojej, podczas gdy ja wrywam się w najlepsze... słabnę... słabnę... wygląda, jakby uważała mnie za wyjątkowego idiotę... faceta z zasadami, i to mnie złości. Tak jest, mam zasady i pozostanę przy moim poglądzie. Zaczynam się drzeć, jakby mnie obdzierano ze skóry...

- Niech mnie pani puści! Wampirzyca! Proszę mnie zostawić w spokoju...ja nie chcę...
Pani mnie wkurza... Mamusi...!

Tym razem została całkowicie rozbrojona. Puszcza mnie, odchodzi, opiera się plecami o ścianę i przygląda mi się. Dzieci drogie, jeśli udało wam się kiedykolwiek odczytać cokolwiek w spojrzeniu, natychmiast moglibyście powiedzieć, że jestem największym kretnym, jakiego ziemia nosiła. Tak się wydzierałem, że boli mnie gardło i mam ochotę znaleźć się zupełnie gdzie indziej.

I nagle otwierają się drzwi i wchodzi dwóch całkiem niesympatycznych facetów. Ubrani na biało, jak pielęgniarze, a konstrukcji są tak lekkiej, jak most w San Francisco. Mnie to za jedno, protestuję i tak.

- Zabierzcie tę stukniętą i oddajcie mi ubranie. Ze mnie na pewno nie będziecie mieli pożytku w waszych historiach podglądaczy.

- Co jest? - pyta pierwszy.

Jest tłusty, głupi i ma mały wąsik.

- Woli mężczyzn? - pyta drugi.

O, mój stary, tego pożałujesz. Nabieram rozpędu i walę go z całej siły pięścią w żołądek. Najwyraźniej jest mu to nie mile, bo zgina się w pół, krzywiąc twarz w grymasie tylko częściowo wyrażającym zadowolenie.

Wąsaty grubas patrzy na mnie z wyrzutem.

- Niepotrzebnie to powiedział, to pewne - mówi - ale nie powinieneś być tak brutalny.
Co ci to dało?

Drugi się wyprostował. Twarz ma zieloną, a gardłem wydaje dość oryginalne odgłosy.

- Nie chciałem pana obrazić - próbuje powiedzieć. - Nie warto się unosić.

Nie jestem nieufny w stosunku do niego i to błąd, bo wymierza mi w łeb jeden z tych ciosów pałką, po którym widzi się cały system słoneczny w pełnej krasie. Gruby robi krok i chwyta mnie w ramiona. Desperacko walczę ze sobą, nie chcąc stracić świadomości, i udaje mi się stanąć o własnych siłach. Na mózgowicy muszę mieć coś w rodzaju zarodka strusiego

jaja i czuję, że rozwija się ono w mgnieniu oka. Za jakieś pięć minut coś się z niego wykluje. I będzie od razu ugotowane, bo jajo jest gorące.

- Jesteśmy kwita - mówię, a raczej bełkoczę.

- Dobrze, dobrze - powiada wachał - wiedziałem od razu, że będziesz rozsądny. Posłuchaj, nie możesz ogłuszyć nas obu, więc pozwól nam działać. Odmawiasz pozostania z panią sam na sam?

- Jest czarująca - odpowiadam - lecz mam własne powody.

- Dobra - mruczy drugi. - W końcu to twoja sprawa. Chodź z nami.

W głowie mi dzwoni jak w starej dzwonnicy, ale tamten jest silny i idzie zgarbiony. W pewnym sensie podtrzymuje mnie to na duchu.

Czuję coś na stopie. To podkuty bucior wąsatego grubasa. Nie naciska.

- Posłuchaj, kruszynko - mówi - chodź z nami. Zajmiemy ci pięć minut i, słowo, będziesz mógł odejść.

Człowiek czuje się strasznie bezbronny, będąc na bosaka, gdy inni mają buty. Zwłaszcza podkute. No i czaszka nie pozwala mi rozmyślać wystarczająco wydajnie.

Dziewczyna rzuciła się obojętnie na łóżko. Prawie czuję żal, ale trudno. Być może to przesady kazały mi działać, ale przecież trzeba się czegoś trzymać, nawet jeśli są to tylko przesady. Dwadzieścia lat skończę za sześć miesięcy i jeśli nie uda mi się wytrzymać przez te pół roku, to nigdy już nie będę miał do siebie szacunku. Podążam za dwoma gośćmi nagim i czystym korytarzem w stylu szpitalnym. Czuwają nade mną spod oka, a ten drugi cały CMS trzyma rękę w kieszeni. Wiem, że ma tam małą pałkę... Mam nadzieję, że to wszystko, co trzyma tam na mnie. Wzdrygam, się na myśl o knajpcie Zooty'ego Slammera i kumplach, którzy tam na mnie czekają. Gdyby mogli mnie zobaczyć...

Zaczerwieniłem się ponownie, myśląc o moim stroju. Dałbym nie wiem co, żeby się tak nie czerwienić co chwilę. W końcu, jest to idiotyczne.

Wchodzimy do pomieszczenia z gatunku sal operacyjnych. Jest tu kilka przyrządów. Pozioma, niklowana sztaba, znajdująca się na wysokości ramion, przymocowana na stałe do sufitu, bardzo mnie intryguje. Ustawiają mnie przy niej.

- Podnieś ręce - mówi ten drugi.

Podnoszę. W jednej chwili trzema ruchami przywiązują mi dłonie do dwóch końców sztaby. Zapadam w pustkę.

- Puśćcie mnie, wy, kacze zbuki...!

Mówię im jeszcze wiele innych rzeczy, ale pamięć mnie zawodzi, kiedy chcę je przytoczyć. To i lepiej. Łapią mnie za nogi i przywiązują do ziemi. O co im chodzi? Chcą

mnie wybatożyć? Drę się w niebogłosy. Musiałem wpaść w łapy bandy takich, co robią specjalne zdjęcia i dostarczają wybornych widowisk zgredom i staruchom, nieco umęczonym życiem.

- Odpieprzcie się ode mnie... Banda szczurów... Banda wszarzy... Jeszcze się spotkamy, przysięgam.

Ale... gadaj do słupa. Krzątają się po pomieszczeniu. Pierwszy postawił przede mną coś w rodzaju kuwety opierającej się na nóżkach, jak popielniczka, drugi coś kombinuje z jakąś elektryczną maszynką.

- Jeśli o nas chodzi - mówi pierwszy - to wolelibyśmy pierwsze rozwiązanie... ale skoro wygląda, że ci na tym nie zależy, będziesz nam musiał wybaczyć...

Kładzie mi jakiś przyrząd na brzuchu. Jest on połączony z nożyną elastycznym kablem, a drugi zachodzi mnie od tyłu z kolejną elektrodą. Na Boga! Ale świntuch! Czuję się jeszcze bardziej poniżony, niż gdyby to był termometr. Traktują mnie zupełnie jak królika doświadczalnego. Obdzielam ich wszelkimi stosownymi określeniami, jakie mi jeszcze podsuwa pamięć.

- Nie martw się - mówi grubas. - To nie boli, a poza tym miałeś wolny wybór. Nie ruszaj się, włączam.

Włącza raz... drugi... trzeci, a ja podskakuję za każdym razem i rozumiem już, do czego służyło porcelanowe naczynie. Jestem zbyt zawstydzony, by cokolwiek powiedzieć, a ci dwaj kretyni wybuchają śmiechem.

- Nie przejmuj się - mówi drugi. - To zostanie między nami. Kłamię chcąc zachować twarz.

- Mnie to wisi - mówię burkliwie. - Niezła z was para łajdaków, ale jeszcze się spotkamy.

- Kiedy tylko zechcesz, synku - odpowiada pierwszy, śmiejąc się w najlepsze.

Pamiętam jeszcze, że dali mi coś do picia...

III

Andy Sigman przychodzi z pomocą

Odzyskałem świadomość, by wysłuchać śpiewu błękitnej zięby gabońskiej siedzącej na drzewie w gaju pomarańczowym znajdującym się tuż przy drodze, na brzegu której leżałem kompletnie ubrany. W nosie miałem zapach cygara Douglasa i zadawałem sobie pytanie, w jaki sposób ten cymbał mnie odnalazł.

Zorientowawszy się stwierdziłem, że nie było to cygaro Douglasa. Przede mną stała pomarańczowo-czarna taksówka, a jakiś poczciwy jegomość siedział na jej progu i patrząc na mnie, palił fajkę.

- Co ja tu robię? - zapytałem.

- Właśnie miałem zadać panu to pytanie - odrzekł gość.

- Jestem ubrany... - stwierdziłem.

- Hmm, tak sądzę! - powiedział. - Miał pan coś jeszcze? Pomacałem kieszenie. Na optykę - nic nie brakowało.

- Która godzina? - zapytałem.

- Koło szóstej - odparł.

Wstałem. Stan mojej głowy dowodził, że to nie był sen. Musiałem chyba stęknąć, bo popatrzył na mnie z troską.

- No staruszkule, masz pan pięknego guza...

- Owszem.

Czułem zmęczenie w okolicy krzyża. To po tej bandzie chamów z ich elektryczną aparaturą. Ale jeśli to było wszystko, to wykpiłem się tanim kosztem. Zawahałem się przez chwilę.

- Może mnie pan odwieźć do miasta?

- Przypuszczałem, że mnie pan o to poprosi - powiedział. - Dlatego właśnie czekałem.

Nazywam się Andy Sigman.

- A ja Rock Bailey - rzekłem. - No cóż, cieszę się, że pana spotkałem.

- Och, nie ma sprawy - odparł. - I tak wracałem na pusto. Więc dla mnie to też korzyść.

Dumałem przez minutę, a czaszka dała mi odczuć, że było to maksimum.

- Naprzód - powiedziałem. - Niech mnie pan zawiezie do Zooty'ego Slammera.

Pojedzie pan prosto, do Pico Boulevard i San Pedro Street, dalej pokieruję.

- Wiem, gdzie to jest - odparł. - U Hamiltona.

- Właśnie.

Usiadłem obok niego, do diabła z regulaminem, tak można wygodniej pogadać, a wiadomo, że wszyscy taksjarze są gadatliwi jak stare Murzynki. Próbowałem sklecić jakąś historię trzymającą się kupy. Przecież nie mogłem mu opowiedzieć szczegółowo wszystkiego, co mi się przydarzyło.

- Nie ufaj pan kobietom - powiedziałem na początek.

- To parszywy gatunek - przytaknął.

- Zwłaszcza kiedy wyrzucają cię z samochodu, pozwoliwszy się uprzednio obmacywać przez dwadzieścia mil.

- „Nie jechała chyba zbyt szybko... - rzekł, patrząc na moje ubranie.

- Na szczęście - odparłem. - Dopiero ruszała.

- Dziwi mnie trochę, że jakaś dziewczyna nie chciała pana pocałować - powiedział nieco podejrzliwie. - Trochę trudno mi ocenić, patrząc na ten guz na głowie, ale chyba nie powinny robić takich ceregieli... na mój gust, to jest pan chyba raczej z gatunku takich, przed którymi one padają jak muchy.

Ani cienia pochlebstwa w jego głosie. Zapewne myślał tak, jak mówił.

- Na ogół - rzekłem tek właśnie jest... ale zawsze kosa może trafić na kamień. W każdym razie, ta nieźle mnie załatwiła i ciężko byłoby mi powiedzieć, co się zdarzyło od chwili, kiedy wyryłem nosem w pobocze.

- Musiał się pan zdrzemnąć na miejscu - stwierdził.

- Prawdopodobnie - odparłem.

- To fart, że zawiozłem tego klienta aż do San Pinto.

- Fart dla mnie.

- Kiedy byłem w Szanghaju - zaczął - codziennie można było spotkać ludzi leżących na ziemi.

- Był pan w Szanghaju?

- Jako dyrektor francuskiego przedsiębiorstwa tramwajowego. To dziwna historia.

Zacząłem rechotać.

- Jaja mi pan wstawiasz.

- A skąd. Naprawdę nim kierowałem. No więc, mając dziewiętnaście lat, zapisałem się do szkoły języków orientalnych, jak to tam mówią, na turka. Ale pierwszego dnia pomyliłem klasy.

Teraz on zaczyna się śmiać.

- Ma pan rację - ciągnie. - Wygląda na zbyt, a to prawda. Wszystkiego było tam dwóch uczniów. Razem tworzyliśmy trójkę. Po raz pierwszy od jedenastu lat profesor miał trzech uczniów... nie miałem odwagi sprawić mu zawodu.

- Nor?

- No i kiedy nauczyłem się chińskiego, musiałem pojechać do Chin, pozostałem tam dwadzieścia lat i w tym czasie nauczyłem się angielskiego.

- I oto pan jest...

- I oto jestem. Kalifornia to klawe miejsce.

- Tak - rzekłem. - Klawe.

Nieźle miejsce, gdzie częstują cię faszzerowanymi papierosami po to, by cię poddać haniebnym praktykom w nieznanym miejscu. Gdybym mu to opowiedział, z pewnością by się spocił. Bardziej, niż gdyby wszystkie szanghajskie tramwaje przyjechały dzwonić pod jego oknem o czwartej nad ranem. Nie, raczej o czwartej po południu... zapewne musiał sypiać w ciągu dnia.

Byliśmy niedaleko. Tamci wysadzili mnie na drodze z San Pinto. To nic nie znaczyło. Mogli mnie wywieźć gdziekolwiek w promieniu czterdziestu mil...

Andy Sigman skręcił za róg. Mój buick stał tam cały czas i rozpoznałem gruchota Douglasa.

- Dobra - powiedziałem do Andy'ego. - Niech mnie pan tu wysadzi i dzięki raz jeszcze.

- Gdybym kiedykolwiek był panu potrzebny... - odparł, patrząc na mnie z dziwną miną.

Zapisał numer telefonu w moim notesie.

- Ma pan telefon? - zdziwiłem się.

- Owszem - odrzekł. - Jestem nieźle urządzony. Szczerze mówiąc, bawi mnie bycie taryfiarzem. Ale mógłbym się bez tego obyć.

Dlatego właśnie nie ośmieliłem się dać mu napiwku.

- Zadryndam do pana któregoś dnia i wyskoczmy razem na kielicha - powiedziałem, ściskając jego dłoń twardą i szcuple.

- Zgoda - odparł. - Do widzenia.

Zobaczyłem jeszcze znikającą tablicę rejestracyjną jego wozu.

Było dokładnie pół do siódmej. I kiedy po raz drugi wchodziłem do tawerny Lema, ujrzałem plecy cofającej się Sunday Love, która krzyczał ukrywając twarz w dłoniach.

- Tam jest martwy mężczyzna!... tam... w kabinie telefonicznej.

IV

Gary się rozkręca

Tak więc mój powrót przeszedł całkowicie niepostrzeżenie, a ja czułem, jak rozwija się we mnie olbrzymi kompleks z powodu doznanej krzywdy. Stary Lem robi dziwną minę, bo jeśli to prawda, kiepsko będzie dla knajpki. Gary i Douglas udali się w kierunku kabiny telefonicznej znajdującej się w głębi sali po prawej stronie, i widzę, jak patrzą na coś leżącego na ziemi. Muszę wam powiedzieć, że nie ma już prawie nikogo u Zooty'ego Slammera. Nawet Mony i Beryl. Nie widzę także najmniejszego śladu po Clarku Lacy. Gary i Douglas wracają nie dotknąwszy niczego.

- Lem, niech pan zadzwoni na policję - mówi Gary. - Tamten nie żyje. Lepiej ich zawiadomić od razu. Niczym pan nie ryzykuje. Niech pan poprosi porucznika Defato. Nicka Defato. To przyjaciel.

A potem dostrzega mnie.

- Gdzieś ty był! Zdrajco... Wracasz w porę! Wybrałeś sobie stosowną chwilę.

- Wyszedłem, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza - mówię. - Uprzedzałem cię.

- I butla z tlenem skoczą ci na głowę - dodaje Douglas z wrodzonym poczuciem humoru.

Bo trzeba czegoś więcej niż zwykły nieboszczyk, żeby postradał radość życia. Czyni aluzję do guza na mojej czaszce. Lepiej zmienić temat.

- Zamiast opowiadać dowcipy - mówię mu - pociesz raczej tę biedną Sunday.

Tymczasem Gary podszedł do telefonującego Lema i słyszę, jak osobiście interweniuje, chcąc uzyskać Nicka Defato na drugim końcu sznura.

- Ale bez głupich żartów - upiera się Douglas - coś ty robił?

- Zostałem porwany przez kobietę kochającą mnie miłością tajemną - mówię. - I napotkałem faceta palącego jeszcze gorsze świństwo niż ty.

- No, no - powtarza Douglas. - Mów zaraz... Gdzie byłeś? - To chodliwe... - mówi Sunday Love. - Jak myślicie, tamten naprawdę nie żyje?

Jest jeszcze wstrząśnięta. Gary i Lem skończyli rozmawiać i wracają. Dwaj czy trzej klienci, którzy jeszcze zostali, podnieśli się, poszli obejrzeć trupa i wrócili do barku, co sprawiło, że wszyscy otoczyli kontuj czekając aż Lem przygotuje jakąś straszliwą mieszaninę dla pokrzepienia, jako że barman już jakiś czas temu udał się na spoczynek. Pytam Kiliana:

- Co to za facet? Był tu dzisiaj wieczora?

- Tak mówi Kilian. - Przypominam sobie jak przez mgłę, że widziałem go dwie godziny temu, może wcześniej. Chwilę po twoim wyjściu, jak sądzę... Wyszedłem, żeby zobaczyć, co robisz, a on był na zewnątrz... rozmawiał z jakimś innym i razem weszli. Spostrzegłem ich głównie dlatego, że ciebie nie było, choć oczekiwałem, że cię spotkam.

Do głowy przychodzi mi pewien pomysł... Szybko ruszam w głąb sali. Jeśli to ten sam... Oglądam gościa. Jest całkiem nieżywy, musiał wypić coś niesmacznego, bo jego twarz ma dość oryginalny kolor. Ale to nie ten, co mnie poczęstował papierosem. Może to jego kumpel... Gary widział ich chyba, kiedy wchodzili. Wracam, żeby go wypytać o inne szczegóły, lecz dostrzegam czerwony odblask świateł wozów policyjnych i słyszę głos syreny. Całkiem cichutki głos. Delikatnie się z nami obchodzą. Wchodzą. Dwaj mundurowi i jeden w cywilu wyglądający na niezbyt rozbudzonego. Ściska dłoń Kiliana. To musi być Defato. Zaraz nadchodzą jeszcze dwaj. Jeden z nich ma czarną walizeczkę i pysk zdziwionego konia, drugi - to zapewne fotograf. Przechodzą koło baru, podążając za dwoma oderzniętymi gliniarzami. W dobrej chwili, przynajmniej szybko to idzie.

Idzie jeszcze szybciej niż myślałem. W pół godziny jest po wszystkim, wzięli nazwiska, adresy, kontakty i wrócili do siebie, zgarniając cały majdan.

- To miło mieć znajomości - mówię do Kiliana. Uśmiecha się. Poczciwy Lem ma już całkiem rozweseloną minę i stawia nam kolejkę. Douglas nie może się już utrzymać na nogach, a roztropności wystarcza mu akurat na tyle, żeby wyjść.

Co zrobi z samochodem, to już jego sprawa, no i bardzo dobrze. Teraz z kolei my wychodzimy.

- Podrzucić cię? - pytam Sunday Love. Spogląda na mnie i niewątpliwie próbuje oczami dać mi coś do zrozumienia, ale ja jestem kompletnie nierozgarnięty, nic nie rozumiem i ją podwiozę pierwszą. Bo z Garym muszę pogadać.

Obaj mówimy jej „do widzenia” i patrzymy, jak wchodzi. Mimo wszystko przesyła nam piękny uśmiech i znika za odrapanymi drzwiami budynku. Jest już środek dnia, a mnie się chce trochę spać. Za to Gary wydaje się świeży jak różyczka. Lecz gdy tylko zostajemy sami, odwraca się do mnie zaniepokojony i napięty jak struna gitary.

- Rock... Gdzieś to zarobił?

On też dostrzegł mojego guza, trzeba by zresztą być ślepym. Kieruję samochód w stronę wyjazdu z miasta, wycieczka na plażę w Santa Monica dobrze nam zrobi, a o tej godzinie będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

- To prezent - mówię. - Od nieznajomego.

- Gdzie? Kiedy?

- Najpierw jedno pytanie - przerywam. - Powróćmy do tych dwóch gości, których widziałeś wchodzących do Zooty'ego. Jednym z nich był nieboszczyk. Czy drugi był napakowany, z nieprzyjemną miną, w beżowym garniturze i białych pantoflach?

- Tak - odpowiada Gary po chwili.

- I w krawacie trochę podobnym do twojego? Odruchowo poprawia węzeł.

- Tak - mówi.

- Dobra, teraz opowiem, co mi się przydarzyło.

Mówię mu, w jaki sposób facet, którego rozpoznał z opisu, nafaszerował mnie narkotykami. Jak zaciągnęli mnie do pokoju, gdzie znalazłem się całkiem nagi. Opowiadam o pięknej dziewczynie i o zabiegu, któremu mnie poddali, o ciosie pałką, a na koniec o Andym Sigmame.

Gary słucha nie przerywając, a kiedy kończę, milczy przez chwilę. Po czym nagle wygląda przez okno i aż podskakuje.

- A dokąd ty tak jedziesz?

- Nie sądzisz, że morska kąpiel zrobiłaby nam dobrze?

- Kąpiel kąpielą, ale ty jesteś przyćpany, Rock. Oddaj kierownicę.

Więc zamieniliśmy się miejscami i wiercie mi, że Gary grzał do dechy. Nie przeszkadzało mu to w rozmowie.

- Czy wiesz, kim był ten truposz od Lema?

- A niby skąd miałbym wiedzieć?

Wiem tylko, że był to wysoki blondyn o niebieskich, prawdopodobnie, oczach, lecz tak, jak się przedstawiał, to już lepiej było patrzeć gdzie indziej.

- To był Wolf Petrossian - mówi Kilian. - Dlatego tak szybko się to odbyło. Defato poszukiwał go niezły kawałek czasu i był nawet zadowolony, że go dopadł.

- A kto to ten Wolf Petrossian? - pytam. - Nigdy nie słyszałem o facecie.

- Dziwny gość - mruczy Kilian. - Uprawiał wszelkie zawody... To jedyny człowiek, jakiego znam, który wykorzystał cały klasztor.

- Tak po prostu, na Boga? - pytam.

- Pod pretekstem kręcenia filmu rysunkowego o życiu świętego Marcina - mówi Gary Kilian. - Wszelkie pośrednictwa przeprowadził przez zakonnice. Oczywiście, gratis pro deo... ale poza tym był to jeden z największych handlarzy narkotyków na wybrzeżu...

- Więc?

- Więc się zastanawiam, kto go wykończył... a ponieważ istnieje ściśle ograniczona ilość możliwości... zaraz to sprawdzimy... Robisz coś dzisiaj?

- Nic...

- Świetnie, mój mały Rocky, zabawimy się trochę w detektywów...

- Aha... - mówię bez entuzjazmu.

Filmy z Bogartem nauczyły mnie, że w tym zawodzie bierze się najczęściej w łeb poza kolejnością, ale wobec Gary'ego nie chciałem za bardzo pękać.

- Ubawimy się po pachy - mówię.

Wysilam się na radosny uśmiech. Ale wygląda, że nie na to czekał.

- Wiesz - mówi - to może być ryzykowne. Nieraz nie udaje się obejść niebezpieczeństwa.

Teraz już otwarcie udaję zucha, strzelając palcami.

- Mowa. Załatwimy ich.

- Kogo - pyta uszczypliwie.

- Hmm... Nie wiem... ty masz jakiś pomysł, no nie?

- Owszem - mówi Gary. - Mam parę.

Potem podjechaliśmy pod budynek policji, a ja oddaję głos Gary'emu, który woli opowiedzieć wam ciąg dalszy na swój sposób. Prawdę mówiąc, nie będzie to całkiem ciąg dalszy, gdyż on wam opowie, co się dzieje, kiedy Defato i ambulans opuszczają Slammera z ciałem Petrossiana... Wszystko to są cynki, które przekazał mu Defato.

V

Atak na karetkę z trupozem

Karetka ze zwłokami wyrusza pierwsza, obstawiona z obu stron przez dwóch policjantów na motorach. Samochód porucznika Defato jechał za nią Ten ostatni, teraz już bardzo rozbudzony, ze wzruszeniem pomyślał o ciepłym łóżku niedawno opuszczonym, które wkrótce miał ponownie ujrzeć, i zadowolony rozwalił się na siedzeniu. Perry prowadził, a Lynn siedział obok niego, z przodu. Biuro policji znajdowało się dość daleko od Złoty Slammera, więc Perry jechał tak szybko, jak tylko mógł. Ruch nie był jeszcze zbyt nasilony.

Kiedy przejechawszy Flower Street, mieli już skręcić w kierunku północnym, nastąpiło gwałtowne uderzenie i dał się słyszeć bezosobowy jazgot lekkiego karabinu maszynowego. Samochód dał nura na swych kołach, a Defato w mgnieniu oka opadł pomiędzy siedzenia. Usłyszał jęk Perry'ego i głuchy chrzęst tłuczonych szyb. Lynn był już na zewnątrz i strzelał. Obaj agenci na motocyklach solidnie zarobili, a kierowca karetki dziobał nosem kierownicę. Demonstrował przy tym błogi uśmiech, bo seria odstrzeliła mu właśnie większą część dolnej szczęki. Defato nie ruszał się i słuchał dyskretnego trzasku colta Lynna. Ten musiał bardzo wadzić napastnikom, bo nastąpił kolejny prysznic i Defato usłyszał brzęk szatkowanych blach i głuche rozplaszczanie się ołowiu w ciele Perry'ego. Zdał sobie sprawę, że Lynn został ranny, bo głuche rżenie rozbrzmiewało tuż przy jego głowie, przytłumione przez grube drzwiczki i podłogę samochodu. Później na zewnątrz zawarczał silnik, trzasnęły drzwi i dał się słyszeć pomruk zaniepokojonych głosów. Defato podniósł się. Wytarł czoło zroszone potem. Zdał sobie również sprawę, że syrena nie przestawała wyć przez cały czas trwania ataku. Rozległy się inne syreny - posiłki przybywały zbyt późno. Otworzył drzwi i skoczył w kierunku karetki. Była otwarta, a zwłoki Wolfa Petrossiana leżały nagie i sponiewierane na jezdni. Kilka części jego garderoby walało się po ziemi obok niego. Zdziwiony Defato uniósł brwi i skierował się ku ludziom z drugiego patrolu, którzy zbierali fragmenty uszkodzonych kompanów. Lynn jeszcze się trochę ruszał. Jego ręka macała za pazuchą granatowej bluzy ze złożonymi guzikami, po czym opadła umazana na czerwono aż po nadgarstek. Defato zacisnął zęby.

Nie tracąc chwili, dał znak w kierunku jednego z wozów policyjnych i wsiadł do niego. Kilka minut później znajdował się już w swoim biurze i twardym głosem wydawał rozkazy. Zadzwoił wewnętrzny telefon. Zaanonsowano mu Gary'ego Kiliana i Rocka

Baileya.

- Wprowadzić - powiedział.

VI

Kabina w centrum zainteresowania

Wyszliśmy z biura Nicka Defato nieco ostudzeni informacjami, które nam przekazał. Gary wyglądał na zamyślonego.

- Wedle tego, co mówi Nick, w kieszeniach Petrossiana nic nie było. W każdym razie, nic interesującego.

- Też tak to zrozumiałem - odrzekłem.

- Całe szczęście, że Nick go dokładnie obszukał jeszcze u Zlooty'ego Slammera - powiedział Gary.

- To zależy - odparłem. - Jeśli nie znaleźli tego, czego szukali, to, być może, rozróżba nastąpi w jakimś innym momencie.

- Co o tym myślisz?

- Wolf zmarł w kabinie telefonicznej - rzekłem. - Sądzę, że jeśli miał coś kompromitującego do ukrycia, to jest to idealne miejsce.

- Nie nadążam - powiedział Gary.

- Musiał się czegoś spodziewać - odparłem. - Sądząc po szybkości, z jaką działa ta banda, to jeśli miał dokumenty, narkotyki czy co tylko chcesz kompromitującego, powinien się tego pozbyć możliwie jak najszybciej. A potem dał się zabić, ale nie przypuszczam, by morderca należał do bandy.

- Dlaczego? - zapytał Gary.

- Istnieje pewna różnica w stylu. Popatrzył na mnie podejrzliwie.

- Rock, mój stary, jeśli będziesz działał w zawodzie detektywa z podobnymi pomysłami, to istnieje ryzyko, że spotka cię rozczarowanie; me wiemy, czy ludzie, którzy zabili Petrossiana, nie byli członkami tej samej organizacji co ci, którzy ciebie porwali, nie wiemy również, czy znaleźli to, czego szukali.

- To się nie trzyma kupy - powiedziałem. - Petrossiana zabijają, i to przy użyciu narkotyków. W dwie godziny później porwiają jego ubranie, najwyraźniej po to, by je przeszukać. Następnie Defato mówi nam, że nic w nim już nie było. Mam na ten temat pewien pogląd. Wyjaśnię powoli, bo widzę, że myślenie ciężko ci idzie.

Staliśmy na korytarzu przed biurem Defato i Gary pociągnął mnie za sobą.

- Chodź - powiedział - przejdziemy się do Biura Osób Zaginionych. Ja też mam

pewien pomysł. Ale kontynuuj.

- Przede wszystkim - rzekłem - zabójca oddalił się wcześniej niż zmarł Wolf. Został on przecież otruty. A nie pił chyba w kabinie. Czyli że wypił przy barku lub przy stoliku. Poszedł zadzwonić i umarł tam sam, bez towarzystwa. W związku z czym morderca go nie przeszukał.

- To nawet niegłupie - powiedział Gary.

- Następnie Defato wyznaje nam, że nic przy nim nie znaleziono. A gliniarz chyba na się na tych sprawach.

- Zgoda - rzekł Gary.

- Tertio, ludzie, którzy napadli na furgonetkę, nie zrobili tego ot tak sobie. Czyli wiedzieli, że jednak coś było warte poszukiwań. Quarto, stawiam dziesięć do jednego, że Petrossian dzwonił i że chciał przekazać im ten towar. Umarł w tym samym czasie. Czy słuchawka wisiała w kabinie, gdzie go znaleziono?

- Owszem - powiedział Gary.

- Świetnie. To dowodzi, że nie zdążył im powiedzieć, iż schował towar, a tym bardziej - gdzie. Nadążasz? Wiesz dlaczego?

- Tak - odparł Gary. - Bo gdyby im powiedział, nie porwaliby ciała. Pojechaliby prosto do Slammera.

- O właśnie - rzekłem.

Gary popatrzył na mnie. Pochlebił mi tym spojrzeniem.

- Mój stary - powiedział - zasnujesz mnie. Dojść do takiego rezultatu z guzem, jaki masz na głowie... To prawdziwy wyczyn.

- Po tym właśnie się przecknąłem - odparłem. - Lepiej byśmy zrobili szybko ruszając do Slammera, zanim tamci nie przeprowadzą podobnego rozumowania.

- Do licha - mruknął Gary. - Chciałem coś sprawdzić w Biurze Osób Zaginionych... Już przy nim jesteśmy... a to szkoda...

- To kwestia minut - odparłem. - Zawiadamiamy Defato?

- Spróbujmy najpierw dowiedzieć się, co to takiego - powiedział Gary. - No trudno... wrócimy tu jeszcze. Spadamy.

Podjeżdża winda. Grzejemy do niej.

- Cała naprzód! - woła Gary do windziarza.

Wręcza mu dolara i w trymiga jesteśmy na dole. Biegnę, a Gary za mną. Startuję wozem jak z procy. Udaje mi się złapać rytm i na całej długości trasy mamy zieloną falę. Staję tuż przed Zootym Jest zamknięty, więc innymi drzwiami wchodzimy do gmachu, w

którym znajduje się bar. Trafia mi się jak ślepej kurze: Lem tam jest i gada z portierem.

- Lem - mówię - mogę wejść przez sąsiednie drzwi? To bardzo ważne.

Spogląda na mnie, łypie nieco przerażonym okiem i podaje klucz.

- Nie obawiaj się - mówię - za minutę wracam.

Nie potrzebuję nawet dziesięciu sekund, by dopaść do kabiny. Panuje w niej ponury półmrok i tak cuchnie wystudzonym dymem tytoniowym, że można się od tego wywrócić. Unikam rozglądania się dookoła. Główny kontakt jest wyłączony, więc pocieram zapałkę, by cokolwiek zobaczyć. Zaglądam za aparat, kręcąc szyją jak paralityk. Nie ma nic, jak sędzę. Niech to szlag. Nie ma innej skrytki. Zastanawiam się i kucam.

Pod stoliczkiem znajduje się koperta przyklejona za rogi gumą do zucia.

Dokładnie w chwili kiedy ją odrywam, słyszę samochód zatrzymujący się z piskiem opon przed wejściem. Pryskam jak strzała i osiągam czas jeszcze lepszy niż w tamtą stronę. Zewnętrzne drzwi rozsypują się w kawałki akurat w momencie, kiedy ja zamykam drzwi. Rzucam klucz czekającemu na mnie Lemowi.

- Niech pan się schowa - mówię.

Nabieram rozpędu i na pełnym gazie dopadam do wyjścia. Gary widział mnie i szczęśliwie pozostawił otwarte drzwiczki. Wpadam, a on rusza jak burza dokładnie w chwili, kiedy mój tyłek wchodzi w kontakt z siedzeniem. Wszystko to powoduje hałas na ulicy, lecz tamci, jak sędzę, biorą nas po prostu za dwóch facetów, co się przestraszyli, bo nic się nie dzieje. Nie strzelają do nas.

- Mam - mówię do Gary'ego. - Koperta. - Nie żartuj...

Zasepia się i patrzy we wsteczne lustro. Pospiesza tak, że przyciska nas do oparcia. Samochód bierze zakręt, mało mu się koła nie urwą, i prawie natychmiast Gary zatrzymuje się.

- Wsiadaj - mówi. - Żwawo.

Robi to samo i zatrzymuje taksówkę, zanim jeszcze udaje mi się dojść do niego. Wsiadamy obaj, a on podaje swój adres kierowcy.

- Dlaczego nie mój? - pytam.

- Z dwóch rzeczy, jedna - mówi. - Widzieli cię. Więc albo są to kumple Petrossiana i wiedzą, kim jesteś, bo nie porwali cię przypadkowo...

- Słusznie - przyznaję, rzucając na mój samochód pełne żalu spojrzenie.

- W takim przypadku lepiej nie jechać do ciebie, bo nas tam dopadną. Albo nie znają ani ciebie, ani mnie. Więc to bez znaczenia, czy pojedziemy tu, czy tam.

Kiwam głową potakująco i wyciągam kopertę z kieszeni. Gary rozdziera brzeg. Dzieci drogie, gdybyście tak mogły zobaczyć, co było w tej kopercie.

VII

Zdjęcia artystyczne

Gary wyciąga fotografie jedną po drugiej i podaje mi. Jest nieco blade i zaciska zęby. Z trudem przełyka ślinę.

Przy czwartym zatrzymuje się i podaje i oddaje mi wszystko.

- Zabierz to mówi. - Ja już nie mogę.

Oglądam dalej. Muszę wyznać, że trzeba mieć do tego mocne nerwy. Mówiąc między nami, spodziewałem się znaleźć zwyczajne zdjęcia pornograficzne. Lecz nie są to sprośne obrazki. Na Boga! Nie...! Cóż za człowiek mógł je zrobić z zimną krwią...!

Dwa pierwsze przedstawiają operację. Ovarietomia - taki jest chyba termin łaciński. Ale tu nie ma mowy o jakichś białych prześcieradłach ograniczających pole operacji. Wszystkie szczegóły są na wierzchu.

Co do innych, to są jeszcze gorsze. Nie mogę wam ich opisać, ale nigdy nawet nie przypuszczałem, że można ludzkie ciało pochlastać do tego stopnia.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu. Gary coś burknął, odchrząknął i powiedział:

- Byłoby za co posadzić autora na krześle elektrycznym i zapuszkować sporą ilość pośredników.

- Nie sądzisz, że to są zwykłe operacje chirurgiczne... - zapytałem.

Uśmiechnął się bez cienia radości.

- Widziałem już kilka takich - rzekł. - A to tutaj ma swoją nazwę. Po prosu wiwisekcja w najczystszej postaci. Takie rzeczy robi się w laboratoriach małpom i świnkom, ale nie sądzę, bym znał jakkolwiek, której zrobiono by coś takiego, jak na dwóch ostatnich zdjęciach.

- Trzeba było obejrzeć następne - powiedziałem.

- Dzięki - szepnął Gary. - Mnie to wysyczy. Zamyślił się.

- One muszą pochodzić stamtąd, dokąd zawieźli cię dzisiejszej nocy - zapewnił. - Mówiłeś, że było tam coś w rodzaju sali operacyjnej.

- Owszem.

- W końcu, nie może być zbyt wiele tajnych sal operacyjnych... - stwierdził.

- Jest sporo prywatnych klinik, mniej lub bardziej znanych - powiedziałem. - Różne odwykówki, przybytki dla kopniętych burakiem... Rozumiesz, co mam namyśli?

- Rock - odrzekł - koniecznie musimy się dowiedzieć, dokąd zostałeś zawieziony

dzisiejszej nocy. Mówiłem ci, że mam pewien pomysł i zaraz pójdziemy sprawdzić, czy jest dobry, ale istnieje jeszcze inna szansa.

- Jaka? - zapytałem.

- Nie widziałeś ludzi, którzy przed chwilą przyjechali do Lema?

- Nie miałem czasu.

- Jeśli nic nie znaleźli, a wiemy, że nic nie znaleźli, bo mamy kopertę, to z pewnością pójdą do ciebie.

- Tym gorzej dla mebli - odparłem.

- Pojedziemy do ciebie i spróbujemy ich sobie obejrzeć. Jeśli szczęście nadal będzie nam sprzyjać, być może uda ci się stwierdzić, czy jeden z nich jest facetem, który cię znarkotyzował dzisiejszej nocy.

- Byłby to nadmiar szczęścia... - powiedziałem.

- Nie... - zaprzecza Gary. - Prawdopodobnie, jeśli to jest ta sama banda, będą woleli gościa, który cię zna.

Gary nachyla się i przekazuje nowe wskazówki kierowcy.

- A jeśli już są na górze? - pytam. Uśmiecha się.

- Nie bój się, nie każę ci wchodzić.

VIII

Znów wśród kumpli

Zatrzymaliśmy się przed domem, gdzie zajmuję mieszkanie i czekamy. Jeszcze nie przyjechali, bo nie ma żadnego zaparkowanego samochodu. Od minuty Gary przygląda mi się z dziwną miną.

- Hej - mówi - czy pamiętasz swoje rozmowanie sprzed kilku minut?

- Owszem - odpowiadam jeszcze pełen dumy, lecz nieco zaniepokojony wyrazem jego oczu.

- Co dowodzi, że ci, którzy zaatakowali Defato, i ci, co przyjechali do Slammera, są z tej samej bandy?

Chwilę się nad tym zastanawiam. I rozumiem, co chce zasugerować. Zabójca Petrossiana jest z całą pewnością członkiem grupy rywalizującej z jego bandą... Jeśli to przyjaciele Petrossiana próbowali odbić ciało, to być może przyjaciele jego mordercy napadli na Slammera. Może być tak lub odwrotnie, lecz chodzi o to, że oba ataki mogły zostać przeprowadzone przez dwa różne gangi. Drapię się w głowę.

- Rozumiem, co masz na myśli - mówię do Gary'ego.

I brzmi to wcale niewesoło. Kiwa głową, prawie natychmiast otwiera drzwiczki i wychodzi. We wstecznym lusterku pojawił się samochód. Zwalnia i odjeżdża. Fałszywy alarm. Przez okno Gary wsadza do mnie głowę.

- Stanę w wejściu do tego budynku - mówi, wskazując dom, przed którym się zatrzymaliśmy. - Jeśli obaj pozostaniemy w taksówce, to będzie to wyglądało podejrzanie. I to ty musisz zostać, żeby rozpoznać faceta, który cię nafaszerował. Bo jeśli ktokolwiek przyjedzie, to mogą być tylko oni, jedyni, co cię znają. A teraz, czy są „za”, czy „przeciwko” Petrossianowi - w tym cały problem.

- Naprzód - mówię. - O, jedzie następny.

Kilian wchodzi do budynku, a ja kątem oka obserwuję nowo przybyłych. Tym razem wymijają nas i zatrzymują się dokładnie przed moim domem. Dwaj wchodzi do środka.

Nie rozpoznaję żadnego z nich. Lecz wychyliwszy się nieco, spostrzegam, że pozostał jeszcze jeden z tyłu i kierowca. W sumie jest więc ich czterech.

Co tu zrobić, żeby zobaczyć tego typka? W życiu tyle nie kombinowałem. Nagle wpada mi myśl.

- Ej - mówię do kierowcy - chcesz pan zarobić pięć dolarów dodatkowo?

- To zależy... - odpowiada.

Nie mógł słyszeć naszej rozmowy. Być może doszło do niego to, co powiedzieliśmy, kiedy się zatrzymał. Lecz wiele mu z tego nie przyszło.

- Mój stary, niech pan posłucha - mówię - chciałbym zobaczyć twarz mężczyzny siedzącego w tamtym samochodzie. Więc pan wysiądzie, grzecznie otworzy jego drzwi i powie, że siadło mu koło. Pasuje za piątkę?

- Ale jego koła są w porządku... - odpowiada gość.

- No cóż... To jasne, ale tamten tego nie wie.

- A jeśli to kierowca wysiądzie?

- Tym gorzej, ale nie dla pana. Ale jest mało prawdopodobne, żeby to szofer wysiadł.

Drapie się w głowę.

- Dobra, idę - odpowiada.

Wysiąda, otwiera drzwi od tamtego. To szary chrysler o zakrytym nadwoziu. Taksiarz coś mówi. Na jego szczęście jedno z kół jest nieco sflaczałe. Wraca, a ja wstrzymuję oddech. W tym samym momencie Gary schodzi po schodkach i wsiada do taksówki, zaś tamten facet wychodzi.

Mój Boże... to on. Zaszywam się w kąt taksówki w obawie, żeby mnie nie poznał i wołał do kierowcy:

- Naprzód, wieź pm nas do...

Nic nie mogę wymyślić, więc mówię pierwszą nazwę, jaka przychodzi mi do głowy:

- Hollywood Boulevard w Mexico City.

To daleko stąd, lecz szofer ani pisnął, tylko rusza.

- Zapisz ich numer... - mówię do Gary'ego, dając mu łokciem w żebro solidnego kuksańca.

Odwraca się, wygląda przez tylną szybę i coś tam notuje w kalendarzyku.

- To był on - mówię Gary'emu.

- Dobrze - odpowiada po prostu. Po czym zwracając się do kierowcy: - Mój stary. Wie pan, gdzie mieści się Biuro Osób Zaginionych? Niech pan nas tam szybko wiezie.

Gość grzeje, ile wlezie, wciska się wszędzie jak szczur i oto po raz drugi dzisiejszego poranka jesteśmy w biurze. Zaczynam przypominać sobie, że nie spałem tej nocy. Za to Gary jest świeży jak wiejskie jajko, a jego krawat w kształcie motyla trzepocze zwawiej niż kiedykolwiek.

Wysiadamy i daję dwadzieścia dołków kierowcy. Nie żąda więcej, ale w końcu, nie

musi wiedzieć, że ryzykował życiem.

- Wiesz - mówię do Gary'ego, kiedy wjeżdżamy aż na dziesiąte piętro - ci faceci to odważniaki. Cała policja Los Angeles lata za nimi, a oni paradują, nie krępując się ani trochę.

- To właśnie każe mi przypuszczać, że są dwie bandy - odpowiada Gary. - Ci sami nie mieliby przecież tyle tupetu, żeby wyciąć dwa takie numery w ciągu jednego poranka.

- W każdym razie, zastanawiam się, w jakim stanie znajdę moje rzeczy - rzekłem zgryźliwie.

- Bez wątplenia, w lekkim nieładzie - zakpił ten łajdak Gary. Wchodzę za nim do biura, gdzie jakiś stary pocziwina w mundurze wertuje akta.

- Dzień dobry, Mac - mówi do niego Gary.

- Dzień dobry, Kita - odpowiada mężczyzna. - Co mogę dla ciebie zrobić?

- Chciałbym obejrzeć zdjęcia ostatnich dwudziestu dziewczyn, które zniknęły w Los Angeles i okolicach - mówi Gary.

IX

Kobiety się ulatniają

Mac wstaje i wyciąga najwyższą szufladę jednego spośród sześciu metalowych katalogów zdobiących jego biuro.

- To aż do ubiegłego tygodnia - mówi. - Od tej pory nie było nic interesującego. Zobaczcie sami. Są ułożone w kolejności. Jest także drugi katalog, według alfabetu, jeśli sobie życzyście.

- Nie, ten jest świetny - odpowiada Gary. - Chodź Rocky, będziesz mi potrzebny.

Uważnie studiuje sześć pierwszych zdjęć. Przy siódmym chwytam Gary'ego za ramię.

- Posłuchaj - mówię mu - to wszystko idzie coś za szybko. Lepiej by było, gdybyś zaczął mnie oszczędzać, bo w tym tempie zgłupieję, zanim wyrosną mi zęby mądrości.

Gdyż dziewczyna, która się pięknie do nas uśmiecha ze zdjęcia, jest bez najmniejszych dyskusji tą piękną laleczką, która składała mi niestosowne propozycje ubiegłej nocy.

To z pewnością ona, ani cienia wątpliwości. Rozpoznaję jej blond włosy, pięknie wykrojone usta, prosty i wąski nos, wielkie, błękitne oczy. Wiem, że są błękitne, bo widziałem je z tej samej odległości, co oczy Gary'ego w tej chwili. A te wpatrują się we mnie pytająco.

- To ona - mówię po prostu.

- No cóż, mój stary, jesteś wybredny - odpowiada, nie przejmując się i podziwiając piękną twarz laleczki w najlepszym gatunku.

- Kto to jest? - pytam.

Odwraca fotografię i czyta z napisanej na maszynie kartki:

- Berenice Haven, lat dziewiętnaście. Zniknęła sześć dni temu.

- Rodzice podejrzewają ucieczkę z domu - wyjaśnia pocziwina, zbliżywszy się do nas. - Poszła potańczyć i już nie wróciła. Mamy jeszcze jedną w tym tygodniu, która zniknęła dokładnie w takich samych okolicznościach.

Wskazuje na czwartą fotografię z kupki.

- Cynthia Spotlight, córka komodora W. Spotlighta. Również niekiepski kawał dziewczuszki. Także poszła do nocnej knajpki spotkać się z przyjaciółmi.

- Ale przecież - mówię - gazety nie pisały ani o jednej, ani o drugiej, a widzę tu zdjęcia Phyllis Barney i Leslie Daniel, o których trąbiły wszystkie miejscowe pisma. Jak to się dzieje?

- Na specjalną prośbę rodziców - odpowiada Gary. - Możesz być pewien, że pan Haven i komodor Spotlight są ludźmi w dobrej kondycji i wysupłali sowitą sumkę, żeby uniknąć skandalu.

- Ależ to głupota - mówię. - A jeśli zostały porwane?

- Tak czy inaczej, policja ich poszukuje - odpowiada facet. Pozwalam Gary'emu zanotować jeszcze kilka informacji wychodzimy z biura.

- Sam rozumiesz - mówi Gary - to mogłoby być bardzo niebezpieczne dla ich rodziców, gdyby nagle zaczęli trąbić na środku ulicy, że ich córunie zerwały się z domu, zwłaszcza jeżeli mają zamiar wydać je za ludzi z towarzystwa.

- Dobrze - zgadzam się. - Co robimy teraz? Czy nie mieliśmy poszukiwać śladów tego przebrzydłego łobuza, co dał mi do palenia zatrute siano?

- Ale! - odpowiada Gary. - Jeśli masz ochotę znaleźć się w rowie z gębą pełną dmuchawców, to bardzo proszę. Mój stary, nie będę bawił się w detektywa w taki sposób. Posłuchaj. Na pewno jesteś głodny. Idź zjedz obiad, a później, o drugiej, spotkamy się w moim biurze, w „Cali”. A ja spróbuję się dowiedzieć, skąd pochodzi ten numer rejestracyjny.

- Na pewno jest fałszywy - stwierdzam.

- Nie sądzę... - odpowiada. - Zbyt dużo robią głupot, żeby pozwolić sobie na zakładanie fałszywych numerów na wszystkie swoje samochody. Jest dużo lepszy sposób na wykiwanie policji.

- Jaki?

- Mieć prawdziwe numery i być grubą rybą - mówi. - Bądź spokojny. Wskazówki, które złowimy tu i ówdzie, zaprowadzą nas, być może, do jakiegoś senatora lub nawet gubernatora, a z pewnością nie do pana Smitha czy Browna.

- Można zaryzykować - stwierdzam. - Osobiście mam wrażenie, że lepiej byłoby ich śledzić.

- Nie bój się - mówi Gary. - Nawet jeśli się mylę, spotkamy się z nimi prędzej niż byśmy tego sami chcieli... Nie zapomnij o pewnym drobiazgu.

- O jakim? - pytam.

- To my mamy zdjęcia.

Do licha...! Ma rację ten zwierzak. Czuję mroźny powiew na plecach.

- Co mam z nimi zrobić? - pytam.

- Wsadź w drugą kopertę i wyślij na adres, który ci teraz podam. Skrobie coś w swoim notesie, wrywa kartkę i podaje mi.

- A przede wszystkim... - ciągnie - nie wracaj teraz do siebie. Idź na obiad dokąd chcesz... To na razie, Rocky.

- No to ku chwale - mówię.

Już wiem, co zrobię. Łapię taksówkę. Jadę odzyskać moją brykę, która stoi nietknięta. Wsiadam i pędzę do Douglasa Thrucka. Po drodze zatrzymuję się na poczcie, wysyłam list i wchodzę do Douglasa.

Dusi komara.

X

Sporo flirtuje

Jeśli nigdy nie składaliście wizyty Douglasowi, to nigdy nie widzieliście prawdziwego bałaganu w sypialni. Mieszka w domu na Poinsettia Place, mniej więcej w równej odległości od wszystkich studiów Hollywood, co pozwala mu na późne wstawanie i nie musi tracić czasu na smarowanie swych kretyńskich kwitów. Poinsettia znajduje się pomiędzy Wilshire Country Club a stadionem Gilmoura i jest to z pewnością zakątek nie mniej cichy niż cała reszta tego przeklętego miasta. Ode mnie jedzie się tam Drugą Ulicą i bulwarem Beverly, i idzie to dość szybko. Wracając do Douglasa, znajduję go w pościeli. Leży zgięty we dwoje, jedno ramię ma wciśnięte między prawą koskę a lewe kolano. Musi to zapewne powodować pasjonujące sny. Jest strasznie gorąco, z czego zdałem sobie sprawę, wchodząc do jego sypialni, bo mimo otwartego okna, nikt by nie powiedział, że znajdujemy się tak blisko oceanu. Chyba już dość się wyspał. Udaję się do łazienki i napełniam szklankę wodą. Nie jestem złośliwy, ograniczam się do wzięcia wody z kranu, a nie z lodówki, i wracam, by bez wahania wylać mu to na głowę. Krzywi się okropnie i budzi z głośnym beknięciem.

- Za dużo wody w tej whisky - mruczy, po czym mnie dostrzega.

- To twoja robota, brutalu! - woła.

- Douglas, chyba się nie gniewasz? - pytam. - W końcu, mogłem ci to wylać trochę niżej.

- Nic by to nie pomogło - szepcze. - Możesz mi wierzyć, próbowałem wszystkiego, w tym także zimnej wody. Która godzina?

- Zapraszam cię na obiad - odpowiadam.

- Świetnie, świetnie... - mruczy. - Dla mnie stek smażony z cebulką i szarlotka.

Wyznam wam, po co przyszedłem spotkać się z Douglasem. Być może sami zgadliście.

- Hej - stwierdzam - tak we dwóch, to będzie trochę smutno. Gdybyś tak zadryndał do Sunday Love.

Patrzy na mnie.

- Za kogo mnie bierzesz? - pyta. - Za handlarza żywym towarem? Akurat wydam tę naiwniaczkę na pastwę twych zboczonych instynktów.

Jednak sięga po telefon, dzwoni, a po kwadransie spotykamy się wszyscy w dużej

kawiarni w Hollywood. Douglas dostaje swój stek z cebulką, a ja zaczynam od kilku jaj na chesterze, bo mam wrażenie, że nie jadłem co najmniej od półtora roku.

Sunday Love jest zachwycająca, a życie - piękne. Dziewczyna napada na mnie natychmiast.

- Dlaczego wczoraj wieczorem urwałeś się tak po prostu?

- To nie było wczoraj - odpowiadam. - To było dziś rano. Miałem pilne spotkanie.

Patrzy na moją głowę z niedowierzaniem. Trochę zapomniałem, że to jeszcze widać.

- Na twoim miejscu nie spieszyłabym się tak bardzo. To niebezpieczne.

- To raptus - zapewnia Douglas. - Rock zawsze był raptusem, i raptusem pozostanie.

Wierz mi, kochanie...

Nachyla się czule nad Sunday Love z pełnymi ustami smażonej cebuli. Dziewczyna go odpycha.

- Chyba sobie nie wyobrażasz, że mnie uwiedziesz tym cebulowym smrodkiem - mówi. - Porozmawiajmy raczej o perfumach Chanel.

Douglasa trudno jest obrazić. Pochłania swój stek z wyraźną przyjemnością, a mnie właśnie udaje się wyprzedzić go na mecie z jajami.

Patrzę na Sunday Love, a ona na mnie, i w atmosferze z pewnością zachodzi niejaka przemiana, gdyż zderzenie naszych spojrzeń powoduje wyraźny wzrost temperatury. Upuszczam papierową serwetkę i schyliwszy się, by ją podnieść, stwierdzam, że pod stołem jest mnóstwo rzeczy do zobaczenia, zwłaszcza jeżeli ktoś chce je wam pokazać, i że Sunday Love nie ma nic, co by jej mogło przeszkodzić w wykonaniu szpagatu czy w grze w klasy...

- Nie jestem raptusem - mówię. - Wiem, że cię zostawiłem, ale to było naprawdę wbrew mej woli. Błagam pokornie o przebaczenie. Jak widzisz (pokazuję jej głowę), nie byłem na balu.

Uśmiecha się i widzę, że nie ma mi tego za złe, co sprawia, iż zamawiam podwójny stek ze szpinakiem. W czasie gdy kelner przyjmuje zamówienie, rozglądam się dookoła i kiedy mam głowę zwróconą w prawo, ktoś stuka mnie w lewe ramię. Odwracam się, jakby mnie dziabnął grzechotnik. To drugi kelner.

- Jakaś dama pana prosi - mówi.

- Gdzie jest? - pytam prosto z mostu. - Tam.

Pokazuje mi wysoką, szczupłą dziewczynę stojącą przy wejściu.

- Czego chce?

- To sprawa osobista, jak sądzę - odpowiada. I oddała się.

- No proszę - mówi Douglas. - Jeszcze jedna zawiedziona, co? Moja biedna dziecino -

ciągnie dalej, zwracając się do Sunday Love - sędzę, że będziesz zmuszona zadowolić się moim towarzystwem. Po raz kolejny.

Wstaję. Zabieram dłoń z jej uda, a ona wykonuje ruch, chcąc mnie powstrzymać, gdyż masaż, który zastosowałem, był zapewne jednym z tych, jakie lekarz jej przepisał...

- Nie obawiajcie się - mówię. - Zaraz wracam.

Gdy tylko podchodzę do nieznajomej, ta natychmiast zaczyna mówić bardzo szybko. Nie jest zbyt ładna, ale ma wydatne usta i całkiem przyjemne oczy.

- Ma pan zdjęcia? - pyta.

- Jakie zdjęcia?

- Dobrze pan wie. Chciałam przekazać, co następuje: albo odda nam pan zdjęcia, albo sami sobie poradzimy, by je odzyskać. Wie pan, dokąd to zaprowadziło Petrossiana.

- W każdym razie, was zaprowadziło to niewiele dalej, skoro nadal szukacie.

Wcale jej to nie rozśmieszyło. Spojrzała mi prosto w oczy. Minę miała nieco rozczarowaną.

- Żal mi pana - mówi. - Był pan ładnym chłopcem.

Wierzcie mi, jeśli istnieje jakiś czas, którego nie cierpię, kiedy się go używa, mówiąc o mnie, to jest to z pewnością czas przeszły dokonany.

- Mam nadzieję pozostać nim jeszcze przez jakąś chwilę - odpowiadam z przekonaniem.

Na jej twarzy maluje się słaby uśmiech, całkowicie lodowaty. Dokładnie taki, jakbym był szczeniakiem, który palnął głupstwo. Chwytam ją za ramię. Wyglądam bardzo łagodnie, lecz kiedy zechcę, mogę mocno capnąć.

- Niech pani pójdzie zjeść coś z nami - mówię. - Mam czarujących przyjaciół, którym chciałbym panią przedstawić.

Wrywa się i usiłuje protestować, lecz szczerze mówiąc, jej ręka i moja, to dwie różne rzeczy i to wcale jej nie obrażając. Ciągnę ją do naszego stolika, więc chcąc nie chcąc, siada pomiędzy Douglasem i mną.

- Przedstawiam pani - mówię - Douglasa Thrucka i Sunday Love.

Pytam ją spojrzeniem.

- Cynthia Spotlight... - odpowiada.

Z wysiłkiem przełykam ślinę, omal się nie duszę. Tylko tej nam brakowało... Naprawdę, to już komplet...!

- Jak się masz! - mówi odruchowo Douglas.

- Co pani sobie życzy, Cynthia...? - pytam z trudem.

- Rock, niech pan posłucha, mnie się bardzo śpieszy - odpowiada. - Czekają na mnie.

Jeśli będę się upierał, to dziewczyna gotowa wywołać skandal, a nie chciałbym ryzykować wypuszczenia jej tak po prostu.

- Dobrze... nie chcę, żeby się pani spóźniła - mówię (w sposób możliwie jak najbardziej naturalny). - Odprowadzę panią. Chodźmy.

Gram va banque. Wstaję, ona też, chwytam ją po raz drugi za ramię i holuję do samochodu. Wściekam się na myśl o moim steku ze szpinakiem. Złość mnie ogarnia, gdy przypominam sobie, co ta idiotka, podająca się za Cynthię Spotlight, powiedziała mi przed chwilą.

Przed moim samochodem stoi jakiś inny wóz, wewnątrz siedzi jakiś ciemnowłosy facet, który jak na mój gust, zbyt intensywnie się we mnie wpatruje; jest na wpół odwrócony i pali, nie drgnąwszy nawet na milimetr. Za moim wrakiem stoi drugi samochód z jakimś czarniawym gościem o czerwonej twarzy, który wpatruje się we mnie jeszcze bardziej uparczywie niż pierwszy. Dlaczego ci wszyscy faceci tak mi się przyglądają? Z tego wszystkiego zaczynam się robić nerwowy. Wpycham fałszywą Cynthię do samochodu, zatrzaszukuję drzwi i błyskawicznie siadam za kierownicą. Jeśli będą mnie śledzić, to trudno. Wiem, co mam robić. Jestem coraz bardziej wściekły, bo oprócz mojego steku ze szpinakiem i tego, co mi powiedziała, mam przed oczami Sunday Love, przed którą ta kretyńska przeszkadza mi dostatecznie się usprawiedliwić.

- Tak bardzo pana bawi zarobienie kulki w łeb?

Przerywam jej w pół słowa, ruszając jak szalony, i dynda mi, czy jadą za mną, czy nie. Cholera mnie bierze, więc grzeję pełną parą pod najbliższe biuro policji. Staję tuż przed nim.

- Jeśli pani przyjaciele pragną się ze mną podroczyć - mówię - to niech przyjdą. W oczekiwaniu, przeprowadzimy krótką rozmowę. Skąd się pani wzięła i jakie jest pani prawdziwe nazwisko?

- Co to pana obchodzi - odpowiada. - Niech pan odda zdjęcia, a nic się panu nie stanie. W przeciwnym razie spotka się pan z Petrossianem w kostnicy miasta Los Angeles. To wszystko, co miałam do powiedzenia, i proszę nie oczekiwać, że usłyszysz pan cokolwiek interesującego. Jestem głupia, źle wychowana i mam sztuczny biust.

Patrzę na nią z boku i jestem zmuszony zdać sobie sprawę, że dziewczyna nie da się zrobić w ten sposób. Otaczam ją ramieniem. Z tymi swoimi wydatnymi ustami i jasnożółtymi oczami jest dość podniecająca.

- I cóż ci zrobiłem, siostrzyczko? - pytam. - Tak bardzo byś chciała, żeby przytrafiło mi się nieszczęście? Taka jesteś niedobra?

Śmieje się. Śmiech ma prostacki. Trudno. Ale biust jest prawdziwy.

- Tylko niech mi pan tutaj nie próbuje wciskać kitu - mówi.

- A może poszlibyśmy do kina? - proponuję.

- Mowy nie ma... - szepcze.

- To nieładnie... - mówię. - A już prawie ci wybaczyłem... bawi cię twoja praca?

- Za to mi płacą.

- Zgoda... ale na pewno nie płacą wystarczająco, no i masz chyba prawo do wakacji...

Nie chciałabyś spędzić ich ze mną? Taka mała zaliczka.

- Och! - woła. - Ależ pan upierdliwy...!

Kiedy choć raz mój urok powinien był zadziałać, to akurat wysyła mnie na drzewo. Dałbym wiele, żeby mieć gębę Mickey Rooney'a. Przy moim farcie, to pewno dziewczyna, co lubi popaprać. Zabieram ręce z jej ramion i ponownie ruszam w drogę, bo nie ma już potrzeby stać pod biurkiem policji, żeby zrobić to, co zamierzam.

Po jakimś kwadransie, nie patrząc na nią, pytam:

- Dokąd wywieźliście Cynthię?

Nie odpowiada. Przygotowuję się. Przybyłem w prawie niezłe miejsce: ogrody, mało ludzi. Skręcam w małą, wznoszącą się uliczkę i przystaję. Bez ostrzeżenia chwytam ją, jedną ręką zamykając jej usta, podczas gdy drugą ściskam ją za gardło. Wierzga mi w okolicach nóg, a jej szpiczasty obcas sprawia, że nieomal kroczę z bólu, lecz wytrzymuję, a i ona uspokaja się pomału, jako że traci oddech. W tym momencie zwalniam uścisk i lekko daję jej po łbie.

Upuszcza torebkę i leży bez ruchu. Sięgam po torbę. Przeszukuję ją. Trudno. Nie jest to zabawne, ale trzeba.

Dziewczyna jest goła. Goła w pełnym tego słowa znaczeniu. Robi mi się w związku z tym ciepło za uszami i pozwalam sobie na przeprowadzenie doświadczeń, w końcu mam prawo poznać, jak jest zbudowana kobieta, a okazja jest wyśmienita, bo ona nie porusza się bardziej niż kłoda. Moja lewa ręka wędruje wzdłuż jej nóg i wyżej, nad pończochy; czuję ciepłą, delikatną skórę i instynktownie szukam miejsca, które jest najcieplejsze i najdelikatniejsze, nie ma tam żadnych dokumentów. Dla spokoju sumienia przeprowadzam drobiazgowo poszukiwania, a ona przez sen wzdycha leciutko, z zadowoleniem. Osobiście, kiedy daję mi po łbie, nie znajduję w tym żadnej przyjemności. Lecz kobiety to dziwne stworzenia. Przerwywam, bo za chwilę ja też wydam jęk zadowolenia i wyciągam rękę, by przejść trochę wyżej. Żadnego schowka w staniku, jest na to zbyt dobrze wypełniony czymś, co nie ma nic wspólnego z kauczukiem, który pakują sobie tam wszystkie chcące się

upodobnić do Paulette Goddard. Do licha! Jestem zbyt silny, by zajmować się mechaniką precyzyjną i zrywam wyżej wymieniony stanik...na pewno będzie miała mi to za złe. Zatrzymuję się i błyskawicznie wysiadam... Jeśli pozostanę jeszcze pięć minut w tym samochodzie, nie odpowiadam za siebie...

Otwieram drzwiczki i układam dziewczynę w pozycji siedzącej, całkiem bez świadomości, pod ścianą najbliższej posesji. Wsiadam i zmykam.

Odjechawszy stamtąd, natychmiast przyśpieszam. Kierunek: punkt zbiórki - „California Cali”.

A tak okazji, jak to się dzieje, że nikt mnie nie śledzi?

Mam nadzieję, że Gary już wrócił.

Łypię na leżącą obok mnie torebkę tej niby-Cynthii. Jest całkiem nowa, dość gruba. Wygląda na pełną. Mam wielką ochotę zajrzeć do niej... Nie mówiąc już o tym, że nie mam najmniejszej ochoty trzymać jej w samochodzie. To mogłoby być niebezpieczne.

Lecz teraz - patrząc wstecz - mam takiego cykora, że posuwam jak lux-torpeda aż do „Cali”, gdzie zatrzymuję się na wpół martwy ze strachu. Zakichany ze mnie detektyw. O mało co nie straciłem cnoty.

XI

Kalkulujemy

Pędzę do pierwszej windy. Ucieka mi sprzed nosa. Wsiadam do drugiej i windziarz pojmuję, że mi się spieszy.

- Szesnaste - mówię. - „Cali”.

- OK - mówi, posyłając mi uśmiech.

Żeby nie pozostać w tyle podaję mu dolara i papierosa, chowa to w bocznej kieszonce. Lecimy gazem i o mały włos nie mijamy piętra. Zanim jeszcze dobrze otworzył drzwi, jestem na zewnątrz i szykuję się do biegu przez korytarz, kiedy jakaś ręka chwyta mnie nagle. Robię półobrót i widzę Gary'ego. To on wpadł na mnie.

- Dopadłem cię - mówi. - Do mojego biura, szybko. Torebka niby-Cynthii cholernie wypycha moją marynarkę i chciałbym się jej pozbyć jak najszybciej.

- Co słyhać - pyta Gary. - Jest coś nowego?

Wygląda na równie podnieconego jak ja. Wszystko to jest tak zabawne, jak gra w chowanego, którą uprawiałem z kumplami w piwnicach. Dobre dwanaście lat temu.

Wchodzimy. To farciarz, ma własne biuro. Nie wiem dokładnie, kim Gary jest w swoim piśmidle, lecz zapewne spełnia funkcję wydawcy, co związane jest z pewną ilością kwitów do przewalania i daje mu przywilej pracowania w samotności.

- Mam to - mówię, kiedy drzwi zostają zamknięte.

I kładę torebkę na stole. Gary wybałusza na mnie ślepią. Jego opalona twarz wyraża kompletne niezrozumienie.

- A co to takiego? - pyta. - Teraz napadasz kobiety na ulicy? Walę z grubej rury.

- Jest to autentyczna i oryginalna torebka osoby podającej się za Cynthię Spotlight.

Mruży oczy po ciosie.

- Dobra - mówi. - Jeden zero dla ciebie. Opowiadaj. Streszczam, co się wydarzyło, a on nawet się za bardzo nie gniewa.

- Jesteś pewien, że cię nie śledzili?

- Wprost przeciwnie - odpowiadam. - Jestem pewien, że to robili. Było ich dwóch. Co najmniej.

- Dobrze... - stwierdza. - Jeszcze do tego wrócimy. Co jest w środku?

- Nie wiem - mówię. - Nie otwierałem.

Tym razem przygląda mi się z czymś, co mocno przypomina podziw. Czuję się mile polechtany.

- Ciekaw jestem, jak udało ci się wytrzymać - woła, chwytając torebkę. - Przypuszczałem, że nic nie mówisz, bo w środku jest pusto.

Otwiera ją i wywraca nad biurkiem na lewą stronę. Wypadają z niej różne damskie akcesoria: puderniczka, szminka, zapalniczka, a później papierosy, zdjęcia, dwie koperty.

Gary zostawia w spokoju przedmioty, rzucając się na papiery. Na pierwszej kopercie widnieje nazwisko: Cora Leatherford i adres jakiegoś miejsca, gdzie diabeł mówi dobranoc, gdzieś w okolicy South Pasadena. Jest pusta. Druga jest czysta i najwyraźniej zawiera zdjęcia formatu dziewięć na dwanaście. Przez chwilę przypuszczam, że są tego samego rodzaju, co w kabinie telefonicznej, a Gary musi mieć podobne wżenie, bo podaje je mnie. Przed otwarciem koperty oglądam pozostałe fotografie. Amatorskie ujęcia, na których dostrzegam szerokousta dziewczynę, najpierw samą... a na drugim - w towarzystwie sporego bydlaczka, w którym bez trudu rozpoznaję naszego dobrego przyjaciela, Wolfa Petrossiana... świętej pamięci Wolfa Petrossiana.

Odwracam zdjęcie. Cztery słowa: „Od Wolfa dla Cory”. To ona. Wyjaśniam to Gary’emu.

- Świetnie - mówi. - Oto dlaczego twój czar nie zadziałał. Ona jest jeszcze pod wrażeniem bolesnej straty.

- Wała - odpieram pyszałkowato. - Jeszcze ze dwa dni i wszystko by mi wyśpiewała.

- Na co czekasz, dlaczego nie zaglądasz do koperty? - pyta.

- Te są na pewno inne - stwierdzam. - Bo tamte przecież chciała odzyskać.

- Po to, by je zniszczyć - odpowiada Gary - więc mogą być takie same.

- Lepiej zobaczmy - mówię.

I otwieram kopertę drżącą dłonią.

Wzdycham z ulgą. Ale cienko. Na pierwszym jest Berenice Haven.

Druga, bez cienia wahania, to Cynthia Spotlight. Prawdziwa...! Ta, co zniknęła. Trzecia jest nieznana. Gary zabiera mi zdjęcia i odwraca je. Z tyłu są nazwiska. Na pewno się zgadzają. Trzecią jest więc niejaka Mary Jackson.

Podsumowuję na użytek mój i Gary’ego.

- Oto jak się rzecz ma cała - mówię. - Po pierwsze, zostaję nafaszerowany przez osobnika X, porwany przez nieznaną indywidua, co chcą mnie skojarzyć z niejaką Berenice Haven, onegdaj zaginioną, i którzy nie osiągnąwszy celu, stosują środki elektryczne, dzięki czemu mogą powetować sobie brak zaangażowania z mojej strony. Po drugie,

przyjaciel osobnika X, zwany Wolf Petrossian, zostaje znaleziony martwy w kabinie telefonicznej, o dwa kroki od miejsca, skąd zostałem porwany, ukrywając w niej uprzednio zdjęcia tak potworne, że robiło się niedobrze i mnie, i tobie. Po trzecie, banda A próbuje odzyskać fotografie i likwiduje kilku gliniarzy jedynie po to, by tego nie osiągnąć. Ci sami - albo też banda B - ponawiają próby ich odzyskania z kabiny, a potem ode mnie, przy czym ten ostatni fakt zdaje się wskazywać, iż są dwie różne bandy, z których jedna mnie zna, a mianowicie ta od osobnika X. Po czwarte, wiemy, że zniknęła kolejna kobieta: Cynthia Spotlight. I że trzecia wkrótce zniknie, o ile już się to nie stało.

Gary przerywa mi:

- Bardzo piękne to twoje streszczenie – mówi, ale wiemy jeszcze jedno, a mianowicie: ludzie porywający te dziewczyny nie ograniczają się jedynie do kojarzenia ich z chłopakami. Są jeszcze zdjęcia. No i fakt, że samochód, który czekał dziś rano przed twoim domem, miał fałszywe numery.

- Tego właśnie dowiedziałeś się ze swej strony? - pytam.

- Owszem - stwierdza.

- Od razu ci mówiłem...

XII

Mary Jackson, gdzie jesteś?

- No, łaskawco - mówi Gary - mamy ręce pełne roboty. To byłoby zbyt piękne, gdyby można mieć wszystko w jednej chwili. Mieliśmy fart rano, a teraz trzeba się trochę natężyć... Przysięgam ci, już teraz możemy odwalić niezły kawał roboty.

Ponownie myślę o Sunday Love i - wskutek skojarzenia - o moim steku ze szpinakiem.

- Przez to wszystko - stwierdzam - nie skończyłem obiadu i przerwałem flirtik.

- Do psa starego - obrusza się Gary - chcesz pozostać niewinny czy nie?

- Teraz, kiedy już jestem detektywem i mogę zejść w każdej chwili - odpowiadam - zaczynam stwierdzać, że to byłoby cholernie po kretyńsku, gdybym nie skorzystał z czasu, który mi pozostaje.

- No cóż, rybko, będziesz musiał się wstrzymać - mówi Gary. - Żeby cię rozerwać, zadzwonimy do Defato.

Wykręcam numer, a on czeka. Biorę drugą słuchawkę i też słucham.

Wymiana zdań z operatorem i oto mamy Defato na drugim końcu sznura.

- Co nowego? - pyta Gary. - Od razu informuję, że my pracujemy ostro.

- Bez jaj - odpowiada słodko-kwaśnym tonem. - Niech policja sama sobie radzi.

To z pewnością świetny kumpel Gary'ego, bo natychmiast dodaje:

- Mam dla ciebie nowiny, Kilian. Mamy tu właśnie dwóch gości podziurawionych jak sito, lecz jeszcze żywych. Jeden z nich to niejaki Derek Petrossian, brat Wolfa. Drugi się nie przedstawił, a nie ma nic, co pozwoliłoby na zidentyfikowanie go, jeśli nie liczyć czarnego nasha z fałszywymi numerami. Petrossian powiedział mi, że śledził sporego blondasa, który był w El Gato z dziewczyną i facetem o paskudnym pysku i że za to mu zapłacono. Wydaje się, że obaj przejechali na czerwonych światłach jednocześnie, śledzili bowiem obaj tego samego typu; jak się łatwo domyślić, jeden klepnął drugiego w tyłek, a ponieważ obaj są nerwowi, to się odrobinę postrzelali. Myślę, że się z tego wyliżą. W każdym razie, ich rany są dość bolesne w dotyku i gdyby się dobrze przyłożyć, to sądzę, że opowiedzą kupę ciekawostek. Szczerze mówiąc, to nie wiem, dlaczego ci to opowiadam.

Gary rechocze.

- Ja też nie wiem - mówi. - Dzięki, Nick, na pewno ci to wynagrodzę.

- Cześć - odpowiada Nick i odkłada słuchawkę.

- Niezły facet! - woła Gary. - Teraz już rozumiesz, dlaczego cię nie śledzili! Obaj jechali za tobą i sami się wyeliminowali.

- Nie lubię takich obyczajów - odpowiadam. - Mają za nerwowe paluszki. A coś ty zrobił Defato, że ci opowiada takie tajemnice?

- To mój sekret - mówi Gary. - A teraz...

- Teraz wreszcie zjem obiad.

- Dość już się najadłeś - odpowiada Gary. - Teraz zadzwonimy do Mary Jackson. Podaj książkę telefoniczną.

Otwieram książkę. Smutek i mizéria. W samym Los Angeles cała strona Jacksonów.

- O rany - mówię. - Jeśli spróbujemy wszystkich, to zajmie nam to z pół dnia.

- Ależ skąd - odpowiada. - Najpierw wyeliminujemy wszystkich, którzy najwyraźniej reprezentują biura.

Czyni to natychmiast, zakreślając nazwisk które chce zachować. Po czym chwytając słuchawkę, rozsiada się wygodnie w fotelu i zaczyna kręcić. Zmienia formułki z wprawą artysty. Czasem jest przedstawicielem towarzystwa ubezpieczeniowego, czasem przyjacielem Mary, który chciałby z nią pogadać itd...

A ja w tym czasie siedzę, czekam i dumam trochę o sobie samym. Ponownie widzę Córę Leatherford w samochodzie i siebie obok niej... sądzę, że następnym razem, gdybym miał ją znów pod ręką, postąpiłbym zgoła inaczej. W końcu, jest to nieco denerwujące. Za każdym razem, kiedy jestem z dziewczyną w interesującej sytuacji, pękam... a moja koncepcja dziewictwa staje mi w gardle, powstrzymując mnie przed każdym użytecznym działaniem. Ta mała uliczka, gdzie pozostawiłem Córę, była taka spokojna... stały tam małe domki z niewielkimi sypialniami o grubych dywanach... a na dywanie może być bardzo przyjemnie... Niech to szlag... Mam wrażenie, że zmienia mi się koncepcja świata, jest całkiem różna od poprzedniej. Oto jeden szczegół: nie dokończyłem mego rozwoju fizycznego i lata mi to nisko, wolałbym przetrenować kilka ćwiczeń rozluźniających z dziewczyną o żółtych oczach. Z nią albo z Sunday Love... lub z Berenice Haven... lepiej jednak, bym nie myślał o tej ostatniej, bo znam ją w takim kształcie, że z całą pewnością nie jest to dobre dla mego ciśnienia.

Wygląda na to, że Gary na coś natrafił... Nie słyszałem, co powiedział, lecz kiedy znów zwracam na niego uwagę, słyszę, że prowadzi obszerną dyskusję a propos niejakiej Cory Leatherford, której - jak twierdzi - jest przyjacielem. Podnieca się coraz bardziej, lecz nagle brutalnie odkłada słuchawkę i od razu rozumiem, że trafił na kogoś, kto robił sobie z

niego jaja.

- To ogłupiające - stwierdza. - Robota na cały dzień. Miałeś rację.

- A gdybyśmy tak chcieli się z każdą spotkać - pytam - to nie sądzisz, że zabrałoby nam to miesiąc?

Wzrusza ramionami.

- Ostatnia powiedziała mi, że jest szwagierką prezydenta Truwomana, zdajesz sobie sprawę?

- Może to prawda - mówię.

- Akurat... po tym, co jeszcze dorzuciła... Szwagierką Truwomana jest z pewnością lepiej wychowana. Może być tak mnie zmienił?

- O nie - mówię. - Chciałeś zabawiać się w gliniarza, więc baw się sam. Ja mogę poudawać uwodziciela, ale to wszystko.

- Oby ci się tylko udało... - mruczy Gary pod nosem.

Ponownie ujmuje instrument i kręci tarczą. Pomiędzy próbami dzwoni do baru prasowego, żeby przynieśli coś do jedzenia i picia, a moje morale podnosi się, skromnie mówiąc, o jakieś dwa i pół metra. A piekielna zabawa trwa nadal.

XIII

Andy i Mike wtrącają swoje trzy grosze

Odbywa się jeszcze, kiedy w dwie godziny później Gary znajduje się na końcu listy z Jacksonami, na której widnieje już tylko pięć nazwisk. Ja w tym czasie poprawiłem stan mojego zdrowia przy pomocy artykułów spożywczych i czuję się znacznie lepiej. Teraz ja przejmuję listę i zaczynam rozwijać nieprawdopodobne pomysły, bo każda spośród pozostałych dziewczyn mieszka w przeciwnym końcu miasta niż poprzednia.

W dwadzieścia minut później znów pędzimy przez ulice miasta w poszukiwaniu tej właściwej. Nie mam zbyt wiele nadziei. Lecz nigdy nic nie wiadomo... w końcu ta nasza ma chyba telefon, a Gary nie jest takim cymbałem, na jakiego wygląda.

Wykreślamy dwie pierwsze. Stajemy przed budynkiem, gdzie jakoby mieszka trzecia, a Gary wysiada. Podążam za nim, bo wybraliśmy się obaj, żeby nie było smutno.

Dzwoni. Po minucie drzwi się otwierają. Patrę na Gary'ego i szybko odwracam oczy.

- Panna Mary Jackson? - pyta z najwdzięczniejszym uśmiechem.

Damulka stojąca przed nami ma włosy w kolorze marchewki i piękną zajęczą wargę, co sprawia, że uśmiecha się do nas wszystkimi zębami jednocześnie.

- To ja... - odpowiada.

Nie wiem, co się dzieje z Garym.

- Świetnie! Bo to nie my - mówi grzecznie. Wyprzedzam go na schodach o jakieś siedem stopni, lecz nadal słyszę, jak ona opieprza nas obu. Wsiadam do samochodu nieco zniechęcony. Zostały tylko Mary Jackson z Figueroa Terrace i z Maplewood Avenue, więc jadę najpierw pod drugi adres, bo Figueroa, którą z trudem znajduję na mapie, jest tam, gdzie psy zadkiem szczekają.

Naprzód, do Maplewood. Pod wskazanym adresem wznosi się piękny budynek. Zaledwie rozpoczęliśmy manewr i zdążyłem trzasnąć drzwiami, zatrzymuję się i kładę rękę na ramieniu Gary'ego. Dziesięć metrów przed sobą widzę Córkę Leatherford wchodzącą do budynku. Przed moim samochodem stoi jasnobezowy dodge coupe.

- Zaczekaj - mówię do Gary'ego. - To ona...

- Dokąd idziesz? - pyta.

- Przecież nie będziemy jej tak po prostu śledzić...

- Jak to, śledzić?

- Posłuchaj - mówię. - Ona zaraz wyjdzie. Przyszła tu po Mary Jackson.,.

- Kto? - pyta.

- Cora - odpowiadam. - Kobieta, której zabrałem torebkę. Właśnie tam weszła. Jesteśmy na pewno u Mary Jackson, a tamta zaraz z nią wyjdzie. Więc zadzwonię do Andy'ego Sigmana.

- Wyjaśnij mi to, Rock, bardzo cię proszę - mówi. - Po ciosie, jaki otrzymałeś, mam wrażenie, że coś ci nie klapuje.

- O rany, Gary - odpowiadam. - Przypominasz sobie, że zostałem zabrany z drogi do San Pinto przez niejakiego Andy'ego Sigmana. Oddał się do mojej dyspozycji na wypadek poważnych tarapatów. Mam zaufanie do faceta. Zadzwonię do niego... bo ta poranna historia każe mi pozostać nieufnym... Lepiej mieć jakieś posiłki. Nie wiem, dokąd zmierzamy, lecz ci psotnicy wykonujący operacje, które widzieliśmy na zdjęciach, z pewnością nie są ludźmi nazbyt przystępnymi, powtarzam ci raz jeszcze.

- Przypuszczasz, że zawiozą tę dziewczynę tam, gdzie ciebie? - pyta Gary.

- Wydaje mi się to być oczywiste - odpowiadam. - I wolałbym ją śledzić w kilka osób.

- Dziwny z ciebie detektyw... - mówi Gary, kiwając głową.

- A angażowania innych nie uważam za nazbyt chytre posunięcie.

- Mnie tam za jedno - odpowiadam. - Wcale nie mam ochoty być chytruskim. Wolałbym tylko nie zostawać w pojedynkę z panienkami. To mnie przyprawia o kompleksy.

- Dobra - mówi Gary. - W końcu, twoja sprawa.

Cała rozmowa odbyła się szybko, a ja jeszcze szybciej znajduję się w kabinie telefonicznej w trakcie wykręcania numeru Sigmana.

Jest w domu... wygląda na zachwyconego... Rozpoznaje mnie od razu.

- Potrzebuję pana - mówię. - Razem z wozem. Ale musi pan mieć jeszcze jakiegoś koleśia. Czy jasne, co chcę przez to powiedzieć?

- Sądzę, że jasne - odpowiada. - Mam propozycję. Mój siostrzeniec. Świetny chłopak, niezbyt gadatliwy, silny jak koń. Służył w piechocie morskiej.

- Nazywa się?

- Mike Bokanski. Daję za niego głowę, jak za siebie samego.

- OK - mówię. - Przyjeżdżajcie szybko. Wie pan, gdzie jest Maplewood Avenue? Zatrzyma się pan pod 230.

- Będę za dziesięć minut - odpowiada. Jego głos drży z podniecenia.

- Przyjeżdżaj pan w trymiga - mówię - bo nie wiadomo, ile czasu to potrwa. Ona może odjechać w każdej chwili.

Nie żąda żadnych wyjaśnień, tylko odkłada słuchawkę.

Jest już po ośmiu minutach i - szczęśliwie - nikt jeszcze nie wyszedł z budynku. Podchodzę do niego i ściskam dłoń. Z tyłu, w samochodzie, siedzi sympatyczny, nieźle zbudowany gość o smagłej cerze, energicznych rysach twarzy i przeszywającym spojrzeniu, sprawiającym zaskakujące wrażenie w jego spokojnej twarzy.

- Mike - mówi Andy. - Mój siostrzeniec.

- Dzień dobry - mówi Mike.

- A więc - stwierdzam - będziecie z nami współpracowali. Prosta sprawa: wystarczy, że będziecie nas śledzić, gdy tylko ruszymy. Nie za blisko, ale tak, by nas nie zgubić.

- Dobra - mówi Andy. - Zgoda.

Mike Bokanski daje solidnego klapsa komuś, kogo dotąd nie dostrzegłem. To wielkie psisko o wyglądzie równie łagodnym co właściciel, wspaniały dziki bokser.

- Noonoo... - przedstawia Mike Bokanski, wskazując na zwierzę, które się szeroko do mnie uśmiecha na psi sposób.

- Wszystko pójdzie jak z płatka - mówię. - Nawet jeśli nas zgubicie, to on nas odzuka raz dwa.

- Mowa! - woła Mike Bokanski.

Znów obdarza swego psa soczystym kuksańcem, zdolnym powalić byka, czym ów wydaje się być całkowicie uszczęśliwiony. Opuszczam ich i wracam do samochodu, gdzie czeka na ranie Gary. No proszę, chrapie. Powstrzymuję się przed obudzeniem go i siadam obok.

XIV

Orgietka w moim stylu

Ja czekam. On czeka. Oni czekają. Wszyscy czekają. Nie jestem pewien, czy przypadkiem nie śpię, gdyż podskakuję, widząc otwierające się drzwi niebieskiego coupe. Rozpoznaję sukienkę Cory. Wsiada, a za nią młoda kobieta w jasnym kostiumie, wysoka i szczupła, z masą blond włosów wymykających się spod zachwycającego kapelusza (czy aby na pewno jest on zachwycający? A może ja się wcale nie znam na kapeluszach?). Ruszam pomału. Dodge coupe sunie o jakieś sto metrów przed nami, w lusterku dostrzegam startującą taksówkę Andy'ego Sigmana. Dobrze to czy źle, ale przynajmniej daje mi pewne poczucie bezpieczeństwa.

Gary chyba się budzi.

- Co jest? - pyta. - Płyniemy?

- Jeszcze nie - odpowiadam. - Zrobimy małą wycieczkę na wieś. Są jakieś przeciwwskazania?

- Dopóki wiesz, co robisz, nie ma żadnych - szepcze. Zасыpia ponownie. Budzę go sójką w zebro.

- Hej, Gary, lepiej, żebyś ruszył szarymi, zamiast męczyć karpia. - Buu... - mruczy - to proste jak rogalik. Derek Petrossian pracował z bratem, a tamten z innymi, zaś obie bandy nadal szukają zdjęć.

- Denerwuje mnie ta cała historia ze zdjęciami - mówię. Teraz nieźle już zsuwamy, a dodge jest dość daleko przed nami. Nie daj Boże czerwone światło i bankowo ją stracę, jeśli zapragnie gdzieś skręcić.

Skręca, lecz złapałem ją w porę i trzymam się równo aż do Foothill Boulevard. Teraz posuwa się jeszcze szybciej, ale nadal w granicach tolerowanych przez sympatyczną policję tego miasta. Jedzie prosto w kierunku San Pinto.

Dzielę się tym spostrzeżeniem z Garym. Upał mu najwyraźniej nie służy, bo zapomniałem wam powiedzieć o upale, lekko ogłupiającym w to radosne popołudnie.

- Wiesz, co robimy? - pytam, chcąc mu przywrócić poczucie rzeczywistości.

- Owszem - odpowiada. - Śledzimy Mary Jackson, porwaną właśnie przez dziewczynę, której skubnąłeś torebkę.

- No - mówię. - Nie jesteś taki tępy, na jakiego wyglądasz. A tak między nami

mówiąc, jak na porwaną zachowuje się raczej dość zgodnie. Ciekaw jestem, co tamta mogła jej powiedzieć.

- Nietrudno odgadnąć - mruczy Gary. - Zapewne zaproponowała jej małą orgietkę rzymską wedle najnowszej mody. Wnioskując z tego, co powiedziałeś mi o Berenice Haven, wnoszę, że wszystkie te dziewczuszki są raczej zgodliwe.

- Niewątpliwie masz rację... - mówię. - Faktycznie, nie musiałem nawet kiwnąć palcem. Lecz rozmawiajmy o czymś innym, bo to niemiłe wspomnienie.

- A to zależało już tylko od ciebie - zakpił Gary.

I - do diabła - wiedziałem, że ma rację. Im dalej, tym bardziej zaskakuje mnie praca, jaka dokonała się w moim umyśle. Ja, który chciałem być rozsądny, odkrywam u siebie mentalność starej łajdaczki. Uważam, że świetnym pomysłem byłoby dogonienie obu kobiet i zaproszenie ich na obiad do jednej z tych oberży w stylu meksykańskim, jakie można spotkać na całej długości drogi.

Zwierzam się Gary'emu z mego natchnienia. Uśmiecha się.

- Chyba dobrze zrobię, jeżeli zacznę nad tobą czuwać - mówi.

Tymczasem przyciskam do dechy, bo niebieski dodge znika jak we mgle... Tak się mówi. Niech ktoś spuści na nas, jeśli łaska, zimną mgłę, co by odświeżyła nam rozумы. Wóz toczy się sam po tym stole bilardowym, a ja mam coraz większą ochotę, by je wyprzedzić i uciąć sobie małą pogawędkę.

- No, no - mówi Gary, czuwając nade mną kątem oka. - Nie bardzo ci się powiodło z tą dziewczyną. Spróbuj się trochę uspokoić... Bo ze śledztwem też może ci się nie powieść.

- Do licha - odpowiadam. - Prawdę mówiąc, to nie taki głupi pomysł. Zastanów się, one nie wyglądają na zdolne do obrony i zapewne będzie im miło spędzić wieczór z tak przystojnymi chłopcami, jak my. A przy okazji czegoś się nauczymy.

Tym gorzej dla Sunday Love. Gary słabnie, a ja przyspieszam. Podjeżdżam na wysokość małego niebieskiego coupe i wyprzedzam, spychając je ku krawędzi drogi. Cora prowadzi. Spogląda niebezpieczeństwu prosto w oczy. Przypuszczam, że rozpoznała mnie natychmiast i zamiast się odsunąć, hamuje gwałtownie, pozwala się wyprzedzić, po czym bezwstydnie wyprzedziwszy mnie ponownie, pryska sprzed nosa. Lecz jej silnik nie może się równać z moim... Ponawiam manewr. Tym razem ona już się nie upiera i zatrzymujemy się oboje, jedno za drugim. Wtykam nos przez drzwi i po raz drugi odgrywam starego kumpla.

- Halo, Cora - wołam. - Co nowego od rana...?

- Po staremu, Rock - odpowiada. - Przedstawiam ci miss Jackson. Wiesz. Tę, której fotografia była w mojej torebce.

Po tym, jak ją potraktowałem, jestem w stosunku do niej nieco nieufny. Lecz wygląda, że wszystko gra. Najwyraźniej nie chowa rewolweru w staniku, który wydaje mi się równie dobrze wypełniony jak rano.

Andy Sigman i Mike wyprzedzili nas i widzę, że się zatrzymują dwieście metrów dalej i zaczynają zmieniać koło, choć nie ma, oczywiście, najmniejszej potrzeby.

Kontynuuję przygotowywanie gruntu.

- To jak, Cora - pytam - co będzie z tą popijawą, którą mieliśmy razem zrobić...? Jest okazja jak nigdy... Właśnie jest ze mną kumpel, Gary Kilian, i możemy zrobić drobną kolacyjkę we czwórkę. Pasuje? Miss Jackson nie będzie miała chyba nic przeciwko temu.

- Będziemy zachwycone - mówi Mary Jackson.

Jak na gust Cory, która obdarza mnie niezbyt ciepłym spojrzeniem, to chyba wypowiedziała się trochę za szybko, lecz ja ponawiam.

- Świetnie - mówię - Gary najwyraźniej też się zgadza, bo od dziesięciu kilometrów popędza mnie, żebym was złapał. Właśnie on cię pierwszy rozpoznał. Cora, zabieram cię, a Gary zajmie twoje miejsce.

Daję znak Gary'emu. Podchodzi i przedstawiam go. Pięć minut później ruszamy. Siedząc w dodge'u, nucę piosenkę, a nieco w tyle widać Andy'ego i Mike'a znów podążających za nami po naprawieniu fałszywej gumy.

- Czego szukałeś dziś rano? - pyta niewinnie Cora. - Kompletnie mnie rozebrałeś.

W życiu nie widziałem równie twardej dziewczyny. To, że nie chowa wcale urazy, jest równie niepokojące, jak gdyby rzuciła się na mnie z zakrzywionymi szponami.

- Chciałem skorzystać z twojej nieświadomości - mówię. - Jestem tak nieśmiały wobec kobiet, że zawsze korzystam z ich snu, chcąc zbadać, jak są zbudowane.

I jest to po części prawda. A ona najwyraźniej pochodzi z gatunku tych dziewczyn, którym trzeba najpierw trochę przylać, żeby stały się nieco sympatyczniejsze.

- A ja nie skorzystałam - odpowiada. - Mógłbyś mi może wyjaśnić, co robiłeś w czasie... kiedy ja spałam?

- To nie są rzeczy do opowiadania - mówię - lecz kiedy będziemy mieli chwilę spokoju, mam nadzieję, że podciągnę twoją edukację. A przy okazji, czy znasz jakieś miejsce, w którym miałabyś szczególną ochotę spędzić wieczór?

- Jest ich mnóstwo... kawałek przed San Pinto - odpowiada. Powstrzymuję mimowolny odruch i mówię:

- Zgoda.

- Więc przyciśnij trochę - ciągnie dalej. - Miałam męczący dzień, a żołądek przykleił

mi się do kręgosłupa.

To na prawdę przeciwnik bez zarzutu. Po godzinie jazdy zatrzymuję się przed czarującą, ukwieconą restauracją pomalowaną na biało-czerwono, stojącą tuż przy poboczu drogi. Na podwórzu pokrytym żwirem parkuje duży samochód.

Jest to mniej więcej wszystko, co udaje mi się dostrzec. Gary dołączył do mnie i w chwili kiedy wchodzimy, czterech facetów skacze nam na kark. Powinienem był powiedzieć: czterech goryli.

Toczę się po ziemi jak kula, bo jeden z nich rzucił mi się między nogi... I jest to najpiękniejsza bójka, jaką w życiu widziałem.

Gdybym tak jeszcze mógł zadowolić się tylko jej obserwowaniem!

XV

Troszczę się o mój wygląd zewnętrzny

Cora Leatherford wskazała mi to miejsce najwyraźniej dlatego, że była w nim umówiona z ludźmi ze swej bandy, tymi (bez najmniejszych wątpliwości), którym miała przekazać Mary Jackson, świeżo uprowadzoną dziewczynę. Jedno, czego nie potrafię zrozumieć, to to w jaki sposób zostali ostrzeżeni o naszym przybyciu, jak mogli wskoczyć nam na grzbiet zaraz po wejściu. Myślę o tym szybko i jak przez mgłę, bo między udami ściskam szyję jednego z czwórki, podczas gdy drugiego ściskam rękami... I to najwyraźniej za gardło, bo coś mi chrupie pod palcami. Gary, którego dostrzegam w przelocie, też wygląda, jakby się bronił. Zbieram wszystkie siły i ściskam jeszcze mocniej rękami i nogami. Facet, którego trzymam za gardło, nagle przestaje okładać mnie po zebach i leży sflaczały. Odpycham go lekko na bok, chwytam drugiego za pióra i ciągnę ile sił. Ten wyje jak dziki kocur, wykręca się jak węgorz i udaje mu się wyrwać, cofa się i nabiera rozpędu, żeby na mnie wskoczyć. Szykuje się na jego przyjęcie, gdy nagle dziesięciokilowy wazon skacze mi na głowę. Przez chwilę czuję falowanie. Mój drugi napastnik korzysta z tego, by mnie strzelić pięścią w facjatę, i sądząc po delikatności kontaktu, gość musi być zapewne wyciosany z jednej bryły krzemienia. Inkasuję w lewe oko i oddaję mu lewą nogą w podbrzusze. Zgina się wpół, a ja znów widzę życie w różowych kolorach. Któż mógł mnie uczęstować wazonikiem? Odwracam się i dostrzegam Córe.

- Och - wołam. - Nieładnie atakować narzeczonego od tyłu.

Ona śmieje się szyderczo. W tym momencie zostaję pochwycony od tyłu przez jednego z napastników Gary'ego. On sam jest w kiepskim stanie. Rozciągnięty na plecach szczyrzy się, patrząc w sufit. Daję się pociągnąć w tył, robię mostek, prostuję się gwałtownie i udaje mi się przerzucić gościa nad głowę. Pada na podłogę z miękkim kłapnięciem. Wybucham śmiechem, lecz drugi wazon, co najmniej pięćdziesięciokilowy, ląduje mi na łbie, więc padam na kolana tuż obok faceta, którego udało mi się wysadzić w powietrze. Nie nadaje się do oglądania. Gębę ma rozkwaszoną, a lewe ramię całkiem wykręcone. Gary jęczy w swoim kącie, a jego pierwszy napastnik, gruby gość w garniturze z jasnej gabardyny i w szarym kapeluszu, pochyla się nad nim; Gary dał się złapać łatwiej niż przypuszczałem... Oczekuję nowej napaści ze strony Cory Leatherford i wściekam się jak sto diabłów, bo tak bardzo boli mnie głowa, że nie mogę ruszać ani ręką, ani nogą. Mam chwilę satysfakcji,

widząc, jak napinają się dwie nogi Gary'ego i trafiają prosto w szczękę pana w gabardynie, który wypluwa jakieś trzy tuziny zębów i zwala się, klnąc jak dorożkarz. Gary wstaje. Jego omdlenie było udawane. Lecz wszystko odbywa się zbyt szybko i nie bardzo rozumiem, co się dzieje. Klęczę (na wpół K.O.) u wezłowia mej ostatniej ofiary i czuję, że Cora wskakuje na moje plecy jak na konia i okłada po potylicy wykonanym z brązu chińskim przyciskiem do papierów. 1, 2, 3, 4... dobra! Ryję nosem w podłogę z pięknym, melodyjnym burczeniem.

XVI

Jesteśmy załatwieni na cacy

Kiedy odzyskuję świadomość po jakimś kwadransie, dekoracja (nie miałem czasu wam jej opisać) jest nadal taka sama. Na podłodze leży piękny dywan indyjski z kilkoma ciemnoczerwonymi plamami, gdyż pokrwawiliśmy mniej więcej wszystko. Meble są inkrustowane miedzią, muszą być chyba z mahoniu, ale tego nie mogę gwarantować. Są także dziwne, małe okienka o solidnych kratkach. Leżę oparty o ścianę, spętany jak baleron. Ledwo mogę obracać głową i jestem całkiem obolały. Dostrzegam Gary'ego tuż obok. Nosem próbuje dotknąć klatki piersiowej i w ogóle wygląda na raczej zmęczonego. Naprzeciw pozostali czterej uczestnicy tej sympatycznej, małej przepychanki leczą sobie nawzajem rany, a ruchy mają powolne. Jeden z nich wygląda, jakby całkiem odeszła mu ochota do życia. To ten, któremu zgmiotłem szyję. Dwóch wymierza mu klapsy, aż jego ramiona podskakują, on zaś rusza się nie więcej niż kłoda. Pan w gabardynie również nie ma najlepszej miny; ociera sobie twarz całkiem czerwoną chustką do nosa i kiedy zamyka usta, widać, co pozostało z jego zębów, a raczej, że nic mu z nich nie pozostało. Co do koloru oczu, które powiększały się aż do połowy policzków, to przypomina on bakłazana, no, może odcień ciut żywszy. Dwaj pozostali, grubas w granatowym garniturze, który zajmował się mną (ten, co go przerzuciłem ponad głową), i drugi krępy, czarniawy, o ramionach wyciętych na kształt średniowiecznego kominka, macają się sprawdzając, co mają złamanego, i to badanie od czasu do czasu wydusza z nich jakieś takie rozweselające jęki. Jestem raczej zadowolony z rezultatu operacji, mimo że czuję się tak, jakby mnie przepuszczono przez wyżymaczkę. Gary w dalszym ciągu nie chce podzielić się swymi wrażeniami. Jest również Cora Leatherford siedząca okrakiem na krześle, świeża jak różyczka, oraz Mary Jackson, która zdaje się być lekko zdziwiona. Wiem, że kobiety lubią patrzeć na bijących się mężczyzn, nawet jeśli to nie o nie chodzi. Mary Jackson poprawia makijaż, jakby to co najmniej ona się tłukła...

- Masz dziwny sposób dziękowania ludziom zapraszającym cię na kolację - mówię.

- A jak ty traktujesz ludzi zabranych na przejażdżkę? - oddaje mi wet za wet.

I śmieje się!

- Zupełnie nie jesteś w moim stylu... - stwierdza. Zastanawiam się, czym by tu ją zezłościć, bo ten śmiech zaczyna osłabiać we mnie poczucie taktu.

- Znam ten twój styl - mówię. - Leży z gębą w niebieskie cętki w lodówce w kostnicy,

w oczekiwaniu na tych przyjemniaczków z naprzeciwka.

Wskazuję brodą na cztery okulawione małpy, które na wpół żywe kręcą się po pomieszczeniu, a moja uwaga nie wydaje się ich wprawiać w dobry humor. Co do Cory, to aluzja na temat jej ukochanego nieźle ją ubodła, więc rzuca mi czarno-ponure spojrzenie.

- Wolf Petrossian nie był tak głupi, jak ty, Rock Bailey - rzuca. - Zabito go przez zaskoczenie, podając truciznę, lecz nigdy nie byłby takim idiotą, żeby się rzucać wprost do paszczy lwa, tak jak tyś to zrobił.

- Był jednak dość głupi, by połknąć to świństwo i pójść zdechnąć do kabiny telefonicznej - odpieram.

- A propos kabin telefonicznych - mówi - jest pewna historyjka ze zdjęciami, którą zaraz będziesz nam musiał wyjaśnić.

- Komu? - pytam. - Tobie? Tym panom? (wskazuję na tamtych czterech). Czy może komuś jeszcze?

Owi panowie zdają się nie wyczuwać sedna naszej konwersacji, a mały krępy podchodzi do mnie. Zanim mam czas się zastanowić, rozgniała mi nos ciosem pięści, a moja głowa dzwoni głośno o ścianę...

Cora musi zdawać sobie sprawę, że wywoła to złe wrażenie. Ciekaw jestem, jak wytłumaczy to Mary Jackson. Zdecydowanie, dziewczyny, które rekrutuje do doświadczeń pana X, potrafią patrzeć niebezpieczeństwu prosto w oczy. Muszą być nawet trochę zepsute. To wyjaśniałoby, dlaczego rodzice Berenice Haven i Cynthii Spotlight nie wnieśli skargi i dlaczego rodzina Mary Jackson również tego nie uczyni. Lecz rodzice nie widzieli zdjęć i pewnie wyobrażają sobie, że chodzi o zwykłą ucieczkę z domu.

W czasie gdy dokonuję tych konstatacji, Cora opieprza krępego, który mruczając pod nosem, wraca na swoje miejsce. Później rozlega się jakiś hałas i dwaj mężczyźni pojawiają się w pomieszczeniu. Rzucają okiem na nas obu, śmieją się szyderczo, patrzą na pozostałych i już się nie szczerzą. Z czego wnioskuję, że są to posiłki - dla obozu przeciwnika.

Cora wstaje.

- Zabierzcie tych dwóch - mówi, wskazując na Gary'ego i na mnie - i zaprowadźcie, gdzie trzeba. Chodź, Mary - dodaje.

Dwaj mężczyźni zbliżają się do nas. Jeden z nich jest średniego wzrostu, dobrze ubrany, o dobronudnym wyrazie twarzy. Drugi... Rozpoznaję go. To ten gruby pielęgniarz, co poddał mnie zabiegowi (o którym nie mogę myśleć, nie żałując Berenice Haven) jeszcze pierwszego wieczora tej przygody.

Grubas przecina mi sznurki krępujące mi nogi.

- Wstawaj - mówi. - O! Toż to nasz stary kumpel! Co to? Wracamy spotkać się z przyjaciółmi?

- Dokładnie - odpowiadam. - Sentymentalna wycieczka do miejsca naszego pierwszego rendez-vous.

Wybucha grubym, dwustugramowym śmiechem. Już wcześniej odnotowałem jego jowialny charakter.

- W dalszym ciągu pedzio? - pyta. - Czy to dlatego, że odmówiłeś Córce, znajdujesz się teraz w takim stanie?

- Akurat... - odpowiadam. - Gdybyś tak przyszedł kwadrans wcześniej, znalazłbyś nas jedno na drugim.

To szczerza prawda, lecz zapominam powiedzieć, że to ja byłem pod spodem, a ona uprawiała ze mną miłość przy pomocy przycisku do papierów. Tymczasem udało mi się wstać, lecz czuję mrówki w nogach i muszę wesprzeć się na nim, zęby nie paść. Jego współnik próbuje poruszyć Gary'ego. Lecz biedaczysko nie chce drgnąć. Nie ma już ochoty na nic. Mary Jackson patrzy na niego z zainteresowaniem, a Cora podchodzi. Zanim zdążyłem westchnąć, ona obdarza pizczel Gary'ego ciosami szpiczastego obcasa. Kilian podskakuje i wyje. Mary Jackson wydaje się być coraz bardziej zainteresowana rozgrywającą się sceną i widzę, jak koniuszkiem różowego języka zwilża swe lśniące wargi. Widać ta dziewczyna lubi zrywać ludziom paznokcie przy pomocy otwieracza do piwa. Gary przecknął się z osłupienia i nadal wyjął, przekręca się na bok, by umknąć Córce. Chwyta się ściany. Jego paznokcie zgrzytają. Podnosi się z najwyższym wysiłkiem. Cora Leatherford pysnie się bawi, ale chwilę później, kiedy pięść Gary'ego dosięgają boleśnie w prawą pierś, bawi się znacznie gorzej. Teraz dla odmiany ona się wydziera i podskakuje w miejscu, trzymając się za biust obiema rękami.

Dwaj mężczyźni wloką nas. Przemierzamy podwórze posypane żwirem. Wielki samochód, który tam parkował, stoi nadal, zaś mój czeka na zewnątrz, za dodgem Cory. Wsiadamy do dużego. Nasi dwaj strażnicy mają najwyraźniej zamiar pozostawić Córę, żeby sobie radziła sama, gdyż skoro tylko zdążyliśmy się usadowić, ten jowialny ponownie wchodzi do restauracji i powraca w towarzystwie samej Mary Jackson.

Popychając Gary'ego, próbuję umieścić go w możliwie jak najbardziej komfortowych warunkach. Mary Jackson siada obok mnie i ruszamy. Mały prowadzi. Gruby czuwa nad nami, patrząc w lusterko wsteczne.

- Dokąd jedziemy? - pytam.

- Przed chwilą zgadłeś - odpowiada. - Do bardzo miłego pana, który ofiarowuje

pokoje damom i innym panom oraz dostarcza im sprzętów i całej reszty!

Przerywa, by przekręcić gałkę na desce rozdzielczej i przez radio podaje sygnał wywoławczy. Prawdopodobnie zamontowali w samochodzie radiostację, coś w rodzaju walkietalkie, jakie mają w armii. Teraz rozumiem, dlaczego czterej faceci czekali na nas w restauracji, Cora musiała być włączona na ich długości fali, więc słyszeli całą naszą rozmowę od chwili, gdy wsiałem do samochodu.

Czuję na sobie Mary Jackson, która zaczyna się poruszać. W dalszym ciągu mam związane ręce, nie mogę nawet drgnąć i czuję jej dłoń macającą mnie po udzie, co mi się bardzo nie podoba. Cała moja chęćka i wszelkie pożądanie bardzo osłabły od czasu, kiedy Cora pieściła mnie po czasie dziełami sztuki.

- Niezły jesteś - mówi Mary Jackson prosto z mostu. - Kiedy twoja buźka wróci do normy, będziesz nawet całkiem niczego sobie... Dlaczego pozwoliłeś tym czterem prostakom, żeby ci włali?

- Gdyby twoja przyjaciółka Cora nie skoczą mi zdradziecko na plecy - odpowiadam - inaczej by to wyglądało.

Mary Jackson śmieje się cichutko. Ma bardzo ładne blond włosy i lekki, lecz korzystny zapach.

- Nie rozumiem nic z tego, co się dzieje - stwierdza. - Cora obiecała, że zabierze mnie na weekend do domku jednego z jej przyjaciół.

- A kto to? - pytam.

- Markus Schutz... doktor Markus Schutz. Zdaje się, że miewa dużo gości. A potem wyruszyliśmy i spotkałyśmy ciebie i twojego przyjaciela, Jak on się nazywa?

Staram się odpowiedzieć spokojnie. Jej dłoń w dalszym ciągu pieści moje udo, choć nie wygląda na to, by Mary Jackson zdawała sobie z tego sprawę.

- Nazywa się Kilian - mówię. - Gary Kilian. Nie ma powodów, żeby wciskać jej kit.

Ta cała Mary Jackson to nimfomanka. Po prostu. Zostawia wreszcie w spokoju moje nogi, zaszywa się w kącie samochodu i ciągnie mnie, objąwszy ramieniem za szyję. Kurde balans! Zawsze dam się zrobić na szaro w chwili, kiedy nie mogę się bronić!

Łeb mam obtłuczony, cały jestem pokryty siniakami - muszę wyglądać okropnie - ręce związane, a ta wścieklica kpi sobie z tego koncertowo i zabawia się robieniem mi średniowiecznych gilgotek w okolicy mięśnia jarzmowego, w samochodzie wiozącym nas do Markusa Schutza, do doktora Schutza. Pana, który porywa ludzi, by ich razem położyć do łóżka! I ma u siebie sale operacyjne, skąd zapewne pochodzą zdjęcia... zdjęcia niedawno oglądane, przy próbie odzyskania których wystrzelało się wzajemnie już pół tuzina facetów.

Mary odwraca się w moją stronę, przyciąga do siebie - co sprawia mi okropny ból - i całuje. Usta ma świeże i delikatne i z pewnością pobierała lekcje u jakiegoś wybitnego specjalisty. Jestem całkiem odurzony i chciałbym bardzo, żeby to nadal trwało. Zresztą, trwa to dość długo. Zamykam oczy i pozwalam sobą rozporządzać... Kobiety to piękny wynalazek... Jestem pewien, że grubcio podgląda nas w lusterku, lecz kpię sobie z tego. Mary Jackson odrywa się i wzdycha cichutko.

- Chciałabym usiąść pomiędzy wami dwoma ~ mówi. - Źle mi tutaj w kącie.

- Jak sobie życzysz - odpowiadam.

- Nie jestem specjalnie zachwycony tym, że mam związane ręce, gdyż w odpowiedniej chwili wiedziałbym dokładnie, gdzie je umieścić. Mary podnosi się i przesuwa nade mną, podczas gdy ja przemieszczam się na prawo. Ma na sobie zwiewną sukienkę i czuję jej jędrne ciało na swoim... Zatrzymuję się, chcąc ponownie wejść w kontakt, ale ta cholerna dziewczyna odwraca się do Gary'ego, ujmuje w dłonie głowę mojego przyjaciela i aplikuje mu to samo, co mnie. Mnie to me przeszkadza, bo to mój stary Gary, lecz czuję się pomniejszony w stosunku do niej zarówno w sensie dosłownym, jak i w przenośni. Korzystam z wolnej chwili, by trochę popatrzeć na krajobraz. Grubas siedzący za mną bawi się pysznie. Jest do nas na wpół odwrócony. Rzuca mi sarkastyczne spojrzenie i ponownie zabiera się do gmerania pokrętłami radia i konwersowania półgłosem z niewidzialnymi rozmówcami. Tamci nie mogą być zbyt oddaleni, bo wiem, że zasięg tych odbiorników jest dość niewielki. Krajobraz nadal bez zmian, spalony przez słońce, które zaczyna zniżać się nad horyzontem, porośnięty karłowatą roślinnością i gdzieś tam pięknymi kwiatami. Tu i ówdzie wala się szkielet wielbłąda - pamiątka po dawnych karawanach. Mary Jackson porzuca Gary'ego i znów się bierze za mnie.

- Co to - pytam chrząkając - jeszcze nie masz dosyć?

- Pozwól mi wybrać - odpięra bez najmniejszego zażenowania. - Po przeanalizowaniu stwierdzam, że wolę ciebie.

Skubana... zna się na rzeczy! Wiem, że to zwyczajne pochlebstwo... Ale mile mnie łechcze. Tym razem dziewczyna przykłada się z jeszcze większym ogniem... a ma go sporo!

- Gdybyś tak jeszcze przecięła sznurek... - udaje mi się powiedzieć - straciłbym wrażenie, że jestem niepotrzebny.

- Chętnie - odpowiada - ale nie mam czym. Nie traćmy czasu, dobrze jest, jak jest.

Gary, który już oprzytomniał, ponownie popadł w kompletne osłupienie. Przypuszczam, że wykończyły go pocałunki Mary. Tuz przy moim policzku widzę masę falujących i lśniących blond włosów oraz drobne uszko; mój wzrok gubi się w mrocznych

zakamarkach jej kształtnej i długiej szyi. Zaczyna mnie ogarniać błogie ciepło i nic już nie mam za złe obu facetom wiozącym mnie do doktora Markusa Schutza... Dowiem się wreszcie, kto to jest ten doktor Schutz?

Zadaję sobie to pytanie, lecz bez specjalnego przekonania, bo akurat nie czuję się w nastroju do rozmyślań nad problemami natury kryminalnej. Samochód zwalnia, skręca w przecznicę w prawo i posuwa dalej. Wskutek ruchu przykleiłem się do Mary. Mam drobne wyrzuty sumienia, myśląc o Sunday Love. Jędrny biust Mary rozpląszcza się na mojej piersi i czuję, że ona zaczyna szybciej oddychać. Samochód podskakuje na nierównościach drogi, znowu zwalnia, zakręca ponownie, tym razem w lewo, przejeżdża dwieście metrów i staje gwałtownie.

Poprzez jasne włosy Mary dostrzegam wysoki, ceglany mur.

Dwaj mężczyźni wysiadają. Słyszę przekleństwo, pisk hamulców drugiego samochodu i widzę, jak grubas pada pod ciosem drapieżnej masy lecącej jak rakieta, podczas gdy drugi, dla równego rachunku, także wali się na glebę. Stwierdzam, że to robota Mike'a Bokanskiego i jego wielkiego psa Noonoo... a poczciwa gęba Andy'ego Sigmana uśmiecha się do mnie szyderczo.

XVII

Wszystko zaczyna grać

To Andy i Mike, którzy jechali za nami, a teraz przychodzą na ratunek. Andy Sigman otwiera drzwiczki samochodu, wyciąga z kieszeni nóż i przecina moje więzy. Mary Jackson, siedząca nadal obok mnie, nawet nie drgnęła. W ogóle wygląda, jakby miała w nosie wszystko, co się dzieje dookoła. Wsiadam pojękując. Krew ponownie zaczyna krążyć w moich żyłach, a to boli jak cholera. Mike ciosami pałki rozkłada w sposób niezwykle higieniczny obu moich opryszków, jednego tuż przy drugim. Teraz, kiedy dzieło boksera zostało dokończony kilkoma machnięciami przyrządu do walenia po łbie, prześpię się trochę... Dziękuję Andy'emu z głębi serca - naprawdę wyciągnął mnie z niezłej kabały. Teraz próbuje reanimować Gary'ego, któremu przeciął więzy. Mike Bokanski pozdrawia mnie, a jego pies także. Mike właśnie spuścił na jego tyłek jeden z tych miłosnych klapsów, które obu sprawiają tyle przyjemności.

- Nie należałoby jednak pozostawać tutaj zbyt długo - mówi Mike, wskazując na wysoki, ceglany mur, przed którym zatrzymała się nasza taksówka. - Faceci stamtąd muszą być ostrzeżeni o naszym przybyciu i czekając tu, będziemy wszystkich ich mieli na karku.

- Masz rację - odpowiadam - ale co robić? Teraz, kiedy odkryliśmy już kryjówkę tych panów, nie odjedziemy przecież, nie dowiedziawszy się najpierw, co knują!

Czuję ramię Mary Jackson oplatające moją szyję. Ona także wysiadła i mam wrażenie, że jedynym jej życzeniem byłoby kontynuować to, co rozpoczęliśmy w samochodzie.

- Trzeba zabrać stąd bryki i gdzieś je zadekować - mówi Mike. - Później przeprowadzimy rewizję w domu.

- Gary nie nadaje się do niczego - stwierdzam - ale zęby zaryzykować wejście do środka, potrzeba przynajmniej dwóch.

Mike Bokanski wejdzie razem ze mną do doktora Markusa Schutza. Na Boga, jest to towarzysz nie do pogardzenia. Zwłaszcza z psem na dokładkę.

Ale co zrobimy z Mary Jackson? W dalszym ciągu klei się do mnie i próbuje całować, ale teraz, kiedy stoimy, jest to mniej kompromitujące, zwłaszcza że sięga mi ledwo do ramienia. Moje ramiona całkiem już doszły do siebie, a ponieważ mam wszędzie zbyt dużo guzów, by na nie zważać, czuję się prawie w formie. Biedaczysko Gary wygląda natomiast, jakby kilkunastu bokserów używało go w charakterze worka treningowego. Oczy ma w

kolorze głębokiej, pięknej czerni i cały jest pokryty krwią (swoją i cudzą). Kuleje, niucha z odrazą i próbując zabrać głos, porusza paszczką. Przypuszczam, że liczy zęby językiem.

- No jak - pyta - jesteś zadowolony ze swego pomysłu? Śliczny obiadek mieliśmy...! Dokąd udały się nasze partnerki?

- Z pewnością się jeszcze pojawią.

Andy szczyrzy się mocno, Mike znacznie mniej.

- Byliśmy także rzucić okiem, co się tam zdarzyło w hotelu - mówi Mike. - Tamci mieli już w zasadzie dosyć, ale teraz nie będzie o nich nawet słyhać przez dobre dwa miesiące... Była tam także jakaś kobitka?

- Owszem - odpowiadam - czarująca panienska... znasz ją, Mary? Twoja przyjaciółka Cora...

- Tej - mówi Mike - Noonoo troszkę poszarpał sukienkę i jeżeli nie zmastruje sobie nowej zaslonki, to nie jestem pewien, czy będzie mogła wyjść dzisiaj na spacer, nie dając się zwinąć do paki.

- Przecież ona zawiadomi wszystkich - stwierdzam. - Nie będziecie mi tu chyba opowiadać, że zadowoliliście się rozebraniem jej (czy spowodowaniem jej rozebrania) przez Noonoo.

Mike Bokanski czerwieni się.

- Niczym nie ryzykujemy - mówi - ona jest w pewnym miejscu.

I dodaje, pękając ze śmiechu jak balon:

- Siedzi w kufrze taksówki!

Czuję się pewniej. W tym czasie Andy Sigman wymasował ramiona i tors Gary'ego, który otrząsa się i ryczy (słabo): - Do ataku!

- O właśnie - mówię. - Wsiądziesz do tego samochodu (wskazuję na auto, którym nas tu przywieziono, Gary'ego, Mary Jackson i mnie) i pojedziesz z Andym! Trzeba gdzieś je zabunkrować, jeśli nie chcemy, by nas nakryli. Tymczasem Mike i ja zrobimy mały obchód po chałupie. Ty zadryndasz do Nicka Defato. Po drodze na pewno znajdziesz jakiś bar.

- Przed chwilą właśnie z jednego wyszedłem - mówi. - Dzięki za miłe bary.

- Dobra - odpowiadam. - Ale przecież nie jesteśmy oczekiwani wszędzie. Powiadom Nicka Defato o miejscu, w którym jesteśmy, i natychmiast wracajcie, gdy tylko zaparkujecie samochody. Nie zapomnijcie o Córce Leatherford siedzącej w kufrze!

- Jeśli o mnie chodzi - rzędzi Gary - to ona pozostanie tam do końca dni swoich, a mam nadzieję, że nastąpi to wkrótce.

- OK - mówię. - Zabierzesz także naszą przyjaciółkę Mary Jackson i spróbujesz się

nią zająć.

- Och! - woła Mary, słuchając nas od pewnej chwili - jadę z nim? Ekstra...! Zaprosisz mnie na kolację.

- Zabierajcie się - mówię. Wsiadają i Andy rusza.

- Za pół godziny jesteśmy z powrotem - mówi.

- Dobra! Nie musicie się tak bardzo śpieszyć.

Gary z trudem zasiada za kierownicą, a Mary Jackson pociska się do niego... Miejmy nadzieję, że nie spowoduje przez nią wypadku... Co za dziewczyna!

Odwracam się do Mike'a Bokanskiego.

- Teraz nasza kolej... - mówię. - Musimy się wśliznąć się do środka.

Stoimy obaj pod murem mierzącym co najmniej dwa i pół metra. Dostrzegamy czubki pięknych drzew. Zapada zmierzch i zaczyna się robić trochę chłodno, gdyż San Pinto leży na wysokości ośmiuset metrów nad poziomem morza (a jesteśmy niedaleko od San Pinto).

Pierwsza rzecz, to oddalić się od drogi. Dwaj mężczyźni, którzy nas przywieźli, zatrzymali się pod tym murem. Lecz jednak musi być jakiś płot wokół parku. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej wydaje mi się dziwna ta droga zakończona ścianą. Dziele się mymi refleksjami z Mikiem.

- Bardzo możliwe, że tu jest jakieś wejście - stwierdza. Ale z pewnością zakamuflowane.

- Obejdźmy posiadłość dookoła - proponuję. - W prawo czy w lewo?

Ruszamy w prawo, nagle Noonoo warczy i puszcza się pędem w kierunku domu, którego nie dostrzegliśmy pomiędzy drzewami. Spuściwszy wzrok, zauważam prowadzące w tamtą stronę ślady opon, lecz ziemia jest twarda i kamienista, więc są ledwo widoczne.

Dochodzimy do budynku. Jest to coś w rodzaju hangaru. Nie wygląda zbyt zachęcająco. Jest stary i zrujnowany, dość duży.

- Uwaga - mówię - tam może ktoś być.

- Noonoo tu jest - odpowiada Mike.

Chałupa stoi o trzydzieści metrów od ceglanego muru. Ciągnę za drzwi. Najwyraźniej zamknięte. Ostatni rzut oka dookoła. Nikogo. Mike ogląda zamek, śmieje się szyderczo i napiera ramieniem na drzwi. Później z całej siły wali się na nie i zaraz miota bardzo grube i brzydkie przekleństwo. Musiał zadać sobie srogi ból, lecz drzwi nawet nie drgnęły.

- Nie takie to stare, jak wygląda - mruczy pod nosem, masując sobie ramię.

- Spróbujmy zamek - mówię.

- Mam tu ze sobą parę narzędzi - odpowiada.

Wyciąga z kieszeni żelazną blaszkę, płaską i wygiętą. Ledwo wsadził ją do zamka, natychmiast wykonuje piętnastometrowy skok, spada na tyłek i energicznie masuje sobie dłoń.

- Łajdaki! Łobuzy! Chamy! Bydlaki! Rogacze! - klnie.

Deklamuje to jednym tchem, a ja się skręcam ze śmiechu. Zawsze zabawne jest patrzenie na faceta, którego kopnął prąd. Jest to niegroźne, ale jednak wstrząsa.

- Interesujące - powiadam. - Jeśli zamek jest podłączony do prądu, to znaczy, że w środku ktoś jest.

- Dobra, dobra - mówi. - To bardzo interesujące. Pasjonujące nawet... Tylko niezbyt posunęliśmy się naprzód.

Chwytam go za przegub... Słyszę coś...

- Stój! Chowajmy się...

Chałupa jest otoczona dość wysokimi krzakami. Wskakujemy za nie. Mike chwyta psa za obroź i przypląszcza do ziemi.

Z wnętrza hangaru dochodzi odgłos silnika (coś, jakby silnik windy). Później słyszę głuchy trzask, przypominający odgłos zamykającej się kasy pancernej. Drzwi otwierają się ze zgrzytem. Z mego miejsca słabo widzę. Wykręcam szyję, chcąc rzucić spojrzeniem w mroczny otwór. W tym momencie jakaś bryka wypada jak strzała, skręca gwałtownie w prawo i pędzi między drzewami ledwie widoczną dróżką, która zapewne łączy się z szosą.

Drzwi zamykają się powoli Bez słowa pędzimy z Mikiem naprzód Wchodzimy. Podłoże dość stromo opada Robimy kilka kroków w słabo oświetlonym, podziemnym przejściu i stajemy. Ponad nami ciężkie płyty drzwi przesuwają się z hałasem, zamykając wejście. Pochylam się, by nie zostać potrąconym przez pierwszą, i szybko schodzę po stoku, żeby móc stać, nie zginając głowy.

Mike rozpląszcza się na jednej ze ścian. Przyłączam się do niego bezgłośnie.

- To w ten sposób przechodzą przez mur - mówi.

- Tak - odpowiadam. - Tylko jak Gary i Andy nas odnajdą?

- Jakoś to będzie.

- Dziwne, że nie ma strażników!

- Tego - mówi Mike zaszepiając się - nie rozumiem wcale. Rzecz by można, że wszystko odbywa się automatycznie.

- A Jednak - mówię - Muszą być strażnicy. - Nie... Noonoo by ich wyczuł.

Ruszamy dalej Korytarz nadal opada. Wreszcie docieramy do płaszczyzny poziomej. Pies zastyga, warczy i cofa się.

- Cicho - szepcze Mike.

Nie potrzebuję wam mówić, że nie zrobiliśmy najmniejszego hałasu i że idziemy wzdłuż ściany, rozplaszczając się jak jaszczurki. Trochę już zapomniałem o ciosach otrzymanych w oberży, lecz nagle sobie o nich przypominam. Boli mnie mniej więcej wszędzie i nie czuję się na siłach stawie czoła kolejnym przykrościom. Na szczęście obecność Mike'a trochę podnosi mnie na duchu.

Pies zamilkł Mike szepcze do mnie.

- Zostań tu, a ja pójdę zobaczyć, co się dzieje.

- Idę z tobą. - Nie..

W jego głosie wyczuwam coś, co sprawia, że jestem posłuszny.

Dość łatwo jest skryć się w przejściu Ściany są podstemplowane, jak chodnik w kopalni, i od czasu do czasu wystają grube filary, za którymi można się posuwać bez obawy, że się zostanie odkrytym Mike podaje mi coś i odchodzi, a za mm Noonoo, przykleiwszy się swemu panu do pięt. Patrzą, co mi dał. Mała pałka, jak ta, którą posłużył się niedawno. Sympatyczny przedmiot, dający człowiekowi poczucie niezależności i komfortu. Moje oczy zaczynają się przyzwyczajać do półmroku panującego w podziemiach, lecz Mike podąża tak niepostrzeżenie, że niemal trączę z oczu jego sylwetkę. I nagle podskakuję, a moje palce wpijają się w drewno filara. Rozlega się detonacja, później druga. A potem wycie zakończone charkotem. Zapominam o wszystkich zaleceniach Mike'a i pędzę przed siebie. Cisza Podchodzę do Mike'a. Klęczy przy mężczyźnie rozciągniętym na plecach. Obok ręki faceta leży rewolwer, a na rękawie Mike'a widnieje trochę krwi.

Podnosi głowę i uśmiecha się.

- Ma za swoje!

- Strzelał do ciebie?

Tylko draśnięcie. Noonoo złamał mu przegub.

- Trup?

- Nie - odpowiada Mike - Tylko go nieco uśpiłem. Dostrzegam drzwi w ścianie. Prowadzą do małej budki wydrążonej w ziemi i wybetonowanej. Na stole stoi aparat nadawcy coś w rodzaju intercomu. Jeśli jest włączony, to tamci musieli słyszeć strzały i lada moment wskoczą nam tu wszyscy na plecy. Mike podniósł się i ciągnie kupę mięsa do kabiny. Kładę palec na ustach, wskazując aparat. Potakuje.

Wsuwamy gościa pod stół, a ja przecinam kabel intercomu. Nie jest to zbyt ostrożne ale trudno.

Bez najmniejszych środków ostrożności pędzimy aż do końca podziemnego przejścia i

wydstajemy się na świeże powietrze. Jest tam droga okolona drzewami. Posiadłość musi być olbrzymia. Idziemy skrajem drogi, kryjąc się za potężnymi pniami Noonoo prześlizguje się przed nami Już prawie noc i w mroku jego jasna sierść jest ledwo widoczna. Nagle pies zatrzymuje się z napiętymi mięśniami, a ja wpadam na Mike'a, który gwałtownie zastopował.

Przed nami rozciąga się polana. Po prawej i po lewej dostrzegam dwa budynki stojące na palach, zapewne wartownie.

Wszystko jest puste i ciche, lecz trzeba się dobrze strzec. Bokser niewątpliwie zwęszył czyjąś obecność.

Co robić?

Mike ciągnie mnie bez ceregieli w tył, przyzywa psa dyskretnym gwizdnięciem i kładzie się na ziemi. Ja robię to samo. Szuka czegoś w kieszeni Jego ramię zatacza łuk I Mike zatyka sobie uszy obiema dłońmi.

Granat wybucha dokładnie w samym środku wartowni po prawej stronie Słychać głośny trzask i budynek rozpląszcza się na gruncie. Słychać krzyki i przekleństwa. Zapala się reflektor na drugiej wartowni i przeszukuje ciemności. Szybko rzucamy się w kierunku tego budynku i chowamy się pod nim. Tam światło na pewno nas nie dosięgnie. Rozlega się jazgot karabinu maszynowego, a kule tną liście.

- Uwaga! - szepcze Mike. - Zaraz będzie gorąco.

Gość, który znajdował się w pierwszej wartowni, właśnie wymknął się ze zgliszcz. Jeśli wierzyć w to, co słychać, to zrobił sobie niewielką krzywdę padając. Lecz my jesteśmy wstrętnymi egoistami i sływa to po nas jak po kacze.

Mike po raz drugi zanurza rękę w płaszczu, a ponieważ wiem, co z niej wyciągnie, czuję się trochę nieswojo i zatykam sobie uszy.

- Chyba zaryzykuję... - szepcze.

Ociera czoło. Nagle ponad nami słychać piekielne poruszenie i rozjaśnia się cała przestrzeń. Na wszystkich drzewach zapalają się lampy.

Mike nie traci ani chwili. Odskakuje na metr i rzuca granat prosto ponad siebie. Słyszę odgłos granatu padającego na podłogę wartowni i głos ryczącego strażnika:

- Są tam... Ognia!

Biedaczysko... musiałby krzyczeć znacznie głośniej, by zagłuszyć huk drugiego wybuchu.

Zaczynam się zastanawiać, czy Mike Bokanski nie wykracza teraz nieco poza ramy obowiązków policjanta-amatora.

Oczywiście, faceci ze strażnicy już się nami więcej nie zajmują i równie dobrze

moglibyśmy się przechadzać samym środkiem alejki. Lecz my w dalszym ciągu przemykamy pod osłoną drzew.

- Mam nadzieję, że hałas sprawi, iż wszyscy się pojawią - szepcze Mike pomiędzy dwoma skokami. - Wtedy będzie można się zorientować, o co tu chodzi.

- Miejmy nadzieję - odpowiadam.

Chciałbym bardzo ujrzeć już kres tych cholernych wyścigów, gdyż niezbyt zabawnie jest zahaczać się o jeżyny, szarpilaszkę i korzenie, wystające w całkowitej ciemności co dwa metry, nie wiedząc, dokąd się biegnie. Mike Bokanski kpi sobie z tego wszystkiego koncertowo i traktuje wszystko jak czołg. Myślę sobie, że z pewnością ma przy sobie z tuzin granatów, co napawa mnie lękiem, ale z drugiej strony, stwierdzam, iż umie się nimi posługiwać i w końcu sam bierze na siebie odpowiedzialność. Jednak dręczy mnie pewien niepokój, kiedy przypomnę sobie, że Gary ma zadzwonić na policję... Znaleźliśmy się w dziwnej sytuacji...

W końcu, trzeba brać wszystko od najlepszej strony, a ja od kilku miesięcy nie miałem zbyt dużo ruchu. W dwa czy trzy dni odrabiam te zaległości. Mięśnie służą mi pokornie, a do ciosów w głowę tak się przyzwyczaiłem, że efekt tych ostatnich już prawie zniknął. Pozostała tylko opuchlizna. Nagle słyszę, że pies Mike'a zatrzymuje się warcząc, i wpadam na jego właściciela, który musiał się zatrzymać w tej samej sekundzie. Ten pies jest naprawdę świetnie wyregulowanym sygnalizatorem.

- Jesteśmy - szepcze Mike.

Przed nami stoi wysoki, biały budynek z tarasem na dachu, murowany sześcian, podziurawiony kilkoma rzadkimi oknami.

Czaimy się przez kilka chwil. Jest całkowicie nieprawdopodobne, by mieszkający w nim ludzie nie słyszeli wybuchów. Lecz wszystko pozostaje spokojne i nieruchome.

- Naprzód - mówię do Mike'a.

- Zaczekaj - odpowiada.

Patrzę. W jednym z okien zapaliło się światło. Mignął jakiś cień i znowu zapadła noc. Dobrze. Przynajmniej zostaliśmy upewnieni. Ktoś tam jest. W końcu, być może, ma wyjątkowo marny słuch.

- W jaki sposób tam wejdziemy?

Stawiam to pytanie Mike'owi, a on kiwa głową z zadumą.

- Można by zadzwonić - proponuje jak najpoważniej w świetle.

Przed nami dobre dziesięć metrów do przebiegnięcia po odkrytym terenie. W takich przypadkach najlepiej jest działać w sposób całkowicie naturalny. Mike posuwa się śmiało, z

rękami w kieszeniach. Uśmiecham się na tę myśl.

Nic. Zaczyna mnie to coraz bardziej denerwować.

Mike dochodzi do ściany budynku i dostrzegam, że to, co brałem za cokół, jest doskonale przyciętym żywopłotem z maculowca kaledońskiego, mniej więcej wysokości człowieka. Nie chcę uchodzić za tchórza, więc posuwam się za nim.

Pies przeszedł przede mną i czuję się nieco pewniej, stwierdziwszy, że nie objawia żadnych oznak zaniepokojenia. Wślizguję się za żywopłot.

Ani śladu Mike'a.

Obmacuję ścianę. Nic. Pełna, zwarta i twarda. Posuwam się o krok. Panuje tu lekki zapach środka dezynfekcyjnego, wydaje się dochodzić gdzieś z dołu. Musi tam być okienko piwniczne. Pochylam się i faktycznie - jest, można wsunąć głowę, tułów i nogi; wolę przyjąć odwrotną kolejność i ląduję obok Mike'a.

- To niemożliwe, nikogo tu nie ma.

- Przy wejściu i na wartowniach siedzieli strażnicy - odpowiada w sposób nie pozbawiony logiki. - Byli tam po to, żeby czegoś pilnować, no nie?

- Chyba że siedzieli tam tylko po to, by udawać, że jest coś do pilnowania - stwierdzam w sposób równie logiczny, skrobiąc się czubkiem paznokcia w kość krzyżową, która mi doskwiera.

- Zaraz się okaże... - odpowiada Mike. - Wiemy, że w tym miejscu znajduje się przynajmniej jeden facet: ten, którego cień widzieliśmy w oknie.

- Najpierw muszę go zobaczyć, zęby uwierzyć... - mówię. W tej samej sekundzie zostajemy oślepieni światłem potężnej latarki. Mike pozostaje na miejscu i podnosi ręce. Ja robię to samo - jesteśmy załatwieni. Mike gwizdże na psa, który układa się u jego stóp; tak będzie dla niego bezpieczniej.

XVIII

C-16 gada

Nic nie słyszymy. Ani słowa, światło lampy pada teraz ponad nasze głowy i wreszcie możemy zobaczyć, gdzie jesteśmy, gdyż do tej pory byliśmy zanurzeni w absolutnej czerni i kompletnie oślepieni.

Przed nami stoi facet w mundurze strażnika i celuje w nas latarką. Gasi ją.

- Czego chcecie? - pyta. - Po co tu przyszliście?

- Chcieliśmy pozwiedzać - odpowiada Mike z tupetem. Tamten drapie się w głowę. Nie wygląda na groźnego. Noonoo wstaje i idzie go obwąchać, po czym powraca do nas i z przerażoną miną chowa się między nogami swego pana.

To dziwne.

- Ale... - mówi strażnik (przypuszczalny) - to nie jest odpowiednia godzina na zwiedzanie kliniki... a poza tym nie wpuszczamy turystów.

Dopytuję się grzecznie:

- To to jest klinika?

- Oczywiście - odpowiada mężczyzna. - Najlepsza w okolicy. Przystępne ceny, zniżki, świeże powietrze, bliskość gór, wyżywienie obfite...

Gada jak nakręcony.

- Stop - mówi Mike - wystarczy. I zabierz rękę od rozporka. Przerywa natychmiast, jakby zakręcono kurek. Jestem lekko zaskoczony. Spoglądamy na siebie z Mikiem. Obaj zaczynamy przyzwyczajać się do tego oświetlenia. Ten facet wygląda jakoś dziwnie. Mówi gardłowym głosem i wbija wzrok wprost przed siebie. Minę ma nieco zakłopotaną i nie wygląda na uzbrojonego.

Mike śmiało opuszcza Tece i podchodzi do gościa. Tamten ani drgnie.

- Jak się nazywasz? - pyta Mike.

- Wedle uznania - odpowiada ~ na ogół podaje się mój numer serii.

- Jak proszę? - pyta Mike.

Po raz pierwszy widzę Bokanskiego naprawdę zakłopotanego. I co gorsza nie może sobie z tym poradzić przy pomocy rzucania granatów we wszystkie strony.

- Jaki numer serii? - pytam.

Tamten zdejmuje czapkę i drapie się w głowę. Na bańce nie ma ani włoska. Jest

zabawny. Teraz ja z kolei podchodzę do niego. Wygląda, jakby był źle wykończony.

- Mój numer serii - odpowiada. - Numer szesnasty, seria C. Możecie mnie nazywać C-16.

- Wolę cię nazywać Jef Devay - mówię.

- Dlaczego? - pyta Mike.

- Kiedy byłem na Uniwersytecie, miałem kumpla, który się tak właśnie narwał. Źle skończył. Teraz uprawia dziennikarstwo. A poza tym, wcale nie jesteś do niego podobny.

- Ładne nazwisko - stwierdza C-16. - Przyjmuję je chętnie. Doktor Schutz zapomniał nadać mi nazwisko. Nie interesowałem go. Zresztą, cała seria była chybiona. Tylko ja i C-9 przeżyliśmy. Ale C-9 jest nienormalny. Dotyka się.

- Posłuchaj - mówi Mike Bokanski. - Chciałbym bardzo, żebyś przestał nam tu wciskać bujdy na resorach, bo od tego gniją kartofle w piwnicy. Co tu, do cholery, robisz? I czy pozwolisz nam wreszcie wyjść z pomieszczenia, żebyśmy mogli zobaczyć, co dzieje się w tym domu?

- Bardzo chętnie - odpowiada Jef Devay (wolę tak go nazywać). - Ale będę musiał wam towarzyszyć. A nawet - teoretycznie - powinienem trąbić na alarm. Ale ponieważ jestem nedorobiony, czasami zaniedbuję obowiązki. W przeciwnym razie już byście byli mniej więcej martwi.

Ten chłopak jest kompletnie stuknięty. Spoglądam na Mike'a i stwierdzam, że uważa podobnie. A tak a propos, bardzo bym chciał znaleźć się we własnym łóżku (z Sunday Love, ale tego nie ośmielałam się dorzucić z powodu wrodzonej nieśmiałości).

- Doktor niedawno wyjechał - mówi Jef. - Ponieważ ma tu rozpoczęte doświadczenia, więc pozostało kilku jego pomocników. Chcecie zobaczyć? Naprawdę bardzo ładne doświadczenia. W sali numer osiem właśnie pracują nad dziewczyną, bardzo ładną, słowo daję. Nazywa się Berenice, jak sądzę.

Chwytam go za przegub.

- Kpisz sobie z nas, koleś? - pytam.

Bez wątpienia ściskam zbyt mocno. Zawsze zapominam, że oburącz mogę zgnieść kokosa. Blednie i szybciej mówi.

- Puść mnie - prosi - błagam cię. Czy nie zdajesz sobie sprawy, że jestem pełen wad konstrukcyjnych? Błąd na błędzie i błędem pogania.

- Dość tych bzdur, mój stary - przerywa mu Mike. - Może byś tak nas zaprowadził do tej sali osiem. Resztę wyjaśni się później.

- Dobrze, dobrze - odpowiada. - Już prowadzę. Ale najpierw wam wyjaśnię. To doktor

Schutz mnie wyprodukował, w sposób sztuczny, i trochę mu nie wyszło. To dlatego opowiadam wszystko, czego nie trzeba. Doktor Schutz przeprowadza doświadczenia na mężczyznach i kobietach i wytwarza nowych w bardzo krótkim czasie. To wielki naukowiec. Ja się nie udałem, powtarzam, ale nie mam mu tego za złe, to jego pomocnicy robili sobie dowcipy. Przez zapomnienie pozostawili mnie w wylęgarni. Cała reszta się upiekła, wszyscy z serii, oprócz C-91 mnie.

Śmieje się grzechotliwie.

- Na was to robi wrażenie... Ja się już przyzwyczailem. Wszyscy pomocnicy doktora Schutza są jak ja, wytworzeni sztucznie. To bardzo proste do wykonania, jak sądzę... Początkowo wybierał ludzi z zewnątrz, ale to było niebezpieczne, bo mogli mówić. My zaś nie mówimy.

Znowu rechocze nieprzyjemnie.

- Oprócz mnie, oczywiście, boja się nie udałem.

- Dobrze, dobrze - mówi Mike - Zrozumieliśmy. Krótko mówiąc, doktor Schutz przeprowadza na mężczyznach i kobietach doświadczenia dotyczące rozmnażania?

- Tak - odpowiada Jef Devay. - Poprawia rasę. Wybiera pięknych chłopców i dziewczyny i każe im się rozmnażać; zresztą, bardzo zabawnie jest na to patrzeć i jestem pewien, że spodobałoby wam się obejrzenie stu pięćdziesięciu czy dwustu par w trakcie robienia dzieci. Doktor wymyślił całe mnóstwo rzeczy: środki przyspieszające rozwój embrionu, zdolne spowodować powstanie trzech lub czterech pokoleń w ciągu miesiąca, wykorzystując gruczoły genitalne płodów i ponownie zapładniając komórki jajowe embrionów płci żeńskiej... bardzo źle wam to wszystko tłumaczę. Co słyszałem, powtarzam, a to dlatego, że jestem z serii, która zbyt długo się podgrzewała, a także dlatego, że jestem złośliwy, źle usposobiony i pełen wielkiej nienawiści do doktora Schutza, pomimo iż jest on całkiem niewinny.

Razem z Mikiem przez moment jesteśmy kompletnie porażeni tym, co nam opowiada. Pies Mike'a warczy i zaszywa się w kacie pomieszczenia, możliwie jak najdalej od tego gościa.

- Zachowuje się dziwnie z mojego powodu - ciągnie tamten, wskazując na Noonoo - dlatego że jestem pozbawiony ludzkiego zapachu. Między innymi. I to go niepokoi.

I nagle widzę, jak drzwi, o które się opierał, otwierają się gwałtownie, a pysk rewolweru przesyła mi piękny, okrągły uśmiech, trochę w stylu kurzej pupki, nie da się ukryć... C-16 zostaje pochwycony przez rękę zdającą się być niezłych rozmiarów, i ktoś go ciągnie w tył. Przed nami dwóch mężczyzn ubranych w takie same mundury, jak on.

- Już niezły kawałek czasu was szukamy - mruczy pierwszy, wysoki, ogorzały facet o bardzo białych zębach i niewielkim wąsiku. Drugiego słabo widzę. Dopiero szybki ruch go demaskuje. Z zaskoczenia omal nie kluczę. Są identyczni w każdym calu. Mike dolewa oliwy do ognia.

- Jesteście obaj z tej samej serii?

Patrzę na niego, lecz ani jeden mięsień na ich twarzach nie drgnie nawet o włos.

- Chodźcie z nami.

Numer 1 odsuwa się, pozwalając nam przejść, a Ibis podąża przed nami białym korytarzem, przypominającym ten, w którym wymieniał poglądy z dwoma pielęgniarkami tego samego wieczora, kiedy rozpoczęła się ta cała historia.

- Dokąd nas prowadzicie? - pyta Mike maszerując.

- Milczeć! - mówi ten, co postępuje za nami.

Korytarz zdaje się nie mieć końca. Trzeba coś zrobić. Mike zaczyna pogwizdywać przez zęby. Zastanawiam się, dokąd poszedł C-16. Zabrał go jakiś trzeci? Cóż nim zrobili? Stałem w złym miejscu, kiedy go wyciągnęli za drzwi i nic nie widziałem. Gorzko wyrzucam sobie głupotę. Straciliśmy cenny czas na dyskusje w tej piwnicy. Powinniśmy go byli wykorzystać na zbadanie budynku. Wbrew sobie nie mogę przestać rozmyślać o tym, co ten dziwoląg nam opowiedział... Kim jest Markus Schutz? Domyślałem się, że przeprowadza doświadczenia, ponieważ widziałem zdjęcia - a one nie pozostawiały cienia wątpliwości. Ale te historie z rozmnażaniem, całe to ludzkie stado? Niemożliwe, żeby tego rodzaju rzeczy działy się w Kalifornii. Moim zdaniem, prawda jest inna - ten doktor Schutz prowadzi prywatną klinikę, zajmującą się chorymi umysłowo, z których jeden zbiegł... A przy okazji zajmuje się całą gamą innych handelków. Lecz odrzucam to wyjaśnienie. To niemożliwe. Bzdura, tu może chodzić tylko o jakąś straszną rzecz... przerażającą... a ci dwaj identyczni mężczyźni, którzy nas prowadzą... kim są?

Do licha, chętnie bym pogadał o tym wszystkim z Garym Kilianem. Co on kombinuje? Czy zawiadomił policję?

Ależ ze mnie idiota... Oczywiście, że nie mógł ich powiadomić... Nick Defato jest wszechmocny w Los Angeles, ale tutaj, w San Pinto, co on może? Na takim zadupiu łatwo można kupić biuro policji w całości... Z szeryfem i agentami włącznie.

Dobra. Jeden punkt mamy wyjaśniony. Niczego nie oczekiwać ze strony policji. Ale Gary? I Andy Sigman? Gdzie są?

A granaty Mike'a? A ludzie z wartowni?

Mój Boże, im dalej, tym bardziej przypomina to jakiś koszmar. A my maszerujemy

dalej białym korytarzem. Mike pogwizduje... Słyszę cichy stukot pazurów Noonoo po betonowej posadzce. Drepcze za idącym za mną strażnikiem.

Mike jest całkiem blisko tego, który otwiera pochód. I nagle widzę, jak skacze na niego i drze się.

- Naprzód Noonoo! Bierz!

Słyszę rżenie za plecami i odwracam się, by ujrzeć mego nadzorcę podnoszącego rękę do szyi i usiłującego oderwać cielsko boksera, który posłuchał natychmiast. Prawie mu się to udaje, podnosi rewolwer i zaraz strzeli, lecz chwytam go i wykręcam mu ramię w przeciwnym kierunku. Coś tam chrupie i wiotczeje. Dobra, złamane, trudno, ryzyko zawodowe.

W tym czasie Mike tłucze metodycznie głową drugiego strażnika o beton. Uśmiecha się szyderczo, licząc uderzenia. Zatrzymuje się przy piętnastym. Stosowana miarka. Ten, któremu przefasonowałem ramię, bardzo uprzejmie zemdlał. Rozciągam go pod ścianą i lekko przeszukuję, nie chcąc tracić dobrych nawyków.

Oczywiście, w kieszeniach nie ma nic. W każdym razie, nic interesującego.

- Teraz - mówi Mike półgłosem - musimy się trochę sprężyć. Dokąd polazło tamto dziwadło?

- Kto - pytam. - Jef?

- Ano... Jef... Co z nim zrobili? Tylko on może nas poprowadzić.

- Żadna sprawa - mówię. - Trzeba iść prosto.

- Mijaliśmy różne drzwi - odpowiada Mike - bardzo chciałbym wiedzieć, co się za nimi kryje...

- Więc wracajmy szybko... Lecz on zapewne jest aktualnie w trakcie oddawania się swym indywidualnym ćwiczenkom.

Po raz ostatni dajemy po łbie naszym cks-strażnikom. Staram się na nich nie patrzeć, zbyt są do siebie podobni. Gimnastycznym krokiem wracamy do punktu wyjścia.

Drzwi są zamknięte. Korytarz rozdziela się na dwie odnogi tuż przed nami. Nie zdaliśmy sobie z tego sprawy przed chwilą. Dokąd poszedł łusy? Co mu zrobili?

- Być może było ich trzech - mówię do Mike'a.

- Możliwe - mruczy. - Nie warto prosić psa, zęby nas z tego wyciągnął, ten facet niczym nie pachniał... To świntuch...!

- Z pewnością go zamknęli - mówię. - A gdyby tak spróbować otworzyć wszystkie drzwi?

- To ryzykowne - odpowiada Mike. - Którym korytarzem idziemy? Możemy pójść w

prawo, w lewo lub wrócić do punktu, gdzie zostawiliśmy obu naszych uwodzicieli w marnym stanie.

- A gdybyśmy tak nawiali? - proponuje jeszcze. - Wychodząc przez okienko?

- Drzwi są zamknięte - zauważa Mike.

Parzy na mnie w taki sposób, że się czerwienię. Takie rumieńce to naprawdę kretyństwo. A jednak... nie ma to jak w domu...

- Nie mam cykora - mówię. - Po prostu chce mi się trochę spać.

- Mój stary - odpowiada Mike Bokanski - mam wrażenie, że na twoim miejscu miałbym raczej ochotę na kilka kompresów i parę kul... Nie wiem, z czego jesteś zrobiony, ale ten materiał może sporo wytrzymać... A skoro już przy tym jesteśmy, to otwórz jednak te drzwi... jeśli trzeba będzie pryskać, to choć jedno wyjście będziemy znali.

Podchodzę do drzwi i badam je. Są solidne. Lekko napieram ramieniem. Ani drgną. Cofam się.

- Uwaga - mówię do Mike'a.

Nabieram rozpędu i wpadam na nie całymi dziewięćdziesięcioma kilogramami. Wszystko trzeszczy, a ja padam pośród dobrego tuzina kawałków drewna. Mike pomaga mi wstać. Jest przy tym sporo hałasu.

- Nic nie rozumiem - mówi. - Czy zdajesz sobie sprawę z hurgotu, jaki robimy od pół godziny? A wszystko, co udało nam się przyciągnąć, to trzech kompletnie stukniętych facetów.

- Dziwne miejsce - zauważam, masując sobie prawy obojczyk.

- Mam już trochę tego wszystkiego dość.

Mike wchodzi do pomieszczenia i stwierdza, że okienko nadal tam jest. Wszedłem za nim i nagle podskakuję. To szczękniętą Noonoo, krótko i głucho. Odwracamy się i kryjemy po obu stronach wypatroszonych drzwi.

- Zaczynam rozumieć - mówię. - To pomieszczenie służy im jako pułapka na myszy.

Odgłos kroków zbliża się. Mike przywołuje psa. Czekamy. Kroki zatrzymują się przy drzwiach. Noonoo z odrazą chowa się pomiędzy nogami Mike'a. Wchodzi mężczyzna. - To jak - mówi (rozpoznaję głos C-16, czyli Jefa Devaya).

- Idziecie zobaczyć operację w sali numer osiem?

XIX

Wizyta domowa

Stoimy bez słowa.

- Już zaczęli - naciska Jef. - Lepiej by było, gdybyście poszli natychmiast. Operacje na ogół nie trwają zbyt długo.

- Idziemy za tobą- mówi Mike. - Gdzie jest ta sala osiem?

- Dwa piętra w dół - odpowiada Jef. - Pojedziemy windą. Co to, połamaliście drzwi?

- Owszem - stwierdza Mike. - Nie mówmy już o tym, to drobna pomyłka.

- Nie żądaj ode mnie takich rzeczy - mówi Jef. - Wiesz dobrze, że rozpowiadam wszystko, jeśli tylko poproszą, bym to zachował dla siebie.

- Przepraszam - odpowiada Mike. - I jeśli łaska, wyjmij rękę z kieszeni.

Jef robi półobrót, a my podążamy jego śladem. Nie zrobiliśmy jeszcze trzech metrów, kiedy Noonoo staje i galopuje w kierunku punktu wyjścia, machając ogonem. Słyszymy okrzyki i odwracamy się, by dostrzec Gary'ego Kiliana i Andy'ego Sigmana podziwiających z zainteresowaniem stan drzwi.

Cieszę się, że znów ich widzę. Gary wygląda, jakby doszedł do siebie po popołudniowych rozróbkach. Nie opisuję jego twarzy, bo na początku tej historii powiedziałem wam, że jest ładnym chłopcem, co w chwili obecnej nie byłoby już zgodne z obrazem jego fizjonomii, jaki ewentualnie mógłbym wam przedstawić.

Nie traćmy czasu na pogaduszki. I tak jest już dosyć nadzwyczajne, że są tu z nami. Mike wyjaśnia im w dwóch słowach, co się zdarzyło od naszego rozstania pod ceglany murem. Przedstawiamy im fałszywego Jefa Devaya, który wydaje się być zachwycony tym dodatkowym towarzystwem, i ruszamy za nim w drogę. Jego prawe ramię w dalszym ciągu porusza się miarowo.

Po raz drugi podążamy wielkim korytarzem, lecz zaraz skręcamy w prawo i po kilku krokach przystajemy przed całym rzędem wind, z których każda byłaby zdolna przetransportować packarda i dwadzieścia dwa puzony na resorach.

Jef Devay popycha nas w kierunku trzeciej klatki i drzwi otwierają się pod naciskiem palca. Wsiadamy tam wszyscy i maszyna zanurza się pod ziemię.

Zatrzymuje się tak, że nic nie odczuwamy i oto znajdujemy się w drugim korytarzu, identycznym z poprzednim. Wybudowanie tej posiadłości musiało kosztować naszego

przyjaciela, Markusa Schutza, znaczną ilość banknotów o wysokich nominałach.

Jef zapuszcza się w prawo. Mike nie spuszcza oka ze swego psa, gotów reagować przy najmniejszej oznace niepokoju wielkiego, żółtego zwierzęcia. Ten przeklęty Mike w dalszym ciągu upiera się maszerować z rękami w kieszeniach, a ja ciągle czekam, kiedy zacznie wysyłać w publikę swe wielkanocne jaja. Żdziebko mnie to rozprasza. Wszystkie pucky, które zebrałem w ciągu dwóch dni, też mnie trochę drażnią i wolałbym raczej wypić kielicha z osiemnastoletnimi panienkami niż plątać się po korytarzach cuchnących eterem z uciekinierem z domu wariatów, kilometry od najbliższego miasta.

Jef zatamuje się i otwiera drzwi, których omal nie zauważyłem.

- Wchodźcie - mówi. - Zrobimy się na bóstwa. Wpuszczamy go pierwszego i Jef wchodzi do pomieszczenia.

Jest kwadratowe i nieskazitelnie czyste. Dookoła drzwi... metalowych szaf, pokierowanych na białą. Jef otwiera piątkę i czyni honory.

- Zechciecie włożyć to zachwycające odzienie - mówi. - Pozwoli wam to wejść, dokąd tylko zechcecie...

- Są wysterylizowane? - pyta Gary.

- Nie - odpowiada Jef z uśmiechem - ale wszyscy przejdziemy przez sterylizator. Nie martwcie się. Tu jest wszystko doskonale zorganizowane. Ja im się nie udałem, ale naprawdę można powiedzieć, że to nie z ich winy. To po prostu błąd wynikający z nieuwagi, a poza tym były to dopiero początki doświadczeń. A zresztą bardzo przyjemnie jest onanizować się cały dzień.

Andy i Gary nie są przyzwyczajeni do wypowiedzi Jefa Devaya i zdaje się to robić na nich niejaki wrażenie, lecz ten popapraniec, nie przejmując się ani krztynę, idzie w stronę innych drzwi, umieszczonych pomiędzy szafami odzieżowymi. Przechodzi pierwszy. Podążamy za nim i znajdujemy się w czymś w rodzaju celi, której ściany wyposażone są w całą serię zegarów. Drzwi są podwójne i obite porowatym kauczukiem, a pod zegarami kilka dźwigni wskazuje jakieś punkty odniesienia i numery.

- Pięć minut - mówi Jef - i będzie po wszystkim.

Staje przed aparaturą, popycha pierwszą dźwignię, która zamyka brutalnie pozostawione przez nas otwarte drzwi, po czym manipuluje innymi instrumentami i pomieszczenie wypełnia się ciepłą, pachnącą mgłą, będącą bez wątpienia środkiem odkażającym. Temperatura wzrasta, a mgła gęstnieje. Mimo to oddycha się z łatwością. To niewątpliwie jakiś nowy wynalazek. Doktor Schutz musi mieć więcej ciekawostek w zanadrzu.

Po upływie pięciu minut rozbrzmiewa gong dźwiękiem czystym i głębokim, a Jef sprowadza dźwięnie na zero. To powoduje otwarcie trzeciego przejścia, na wprost tego, przez które wkroczyliśmy, więc udajemy się w tamtą stronę. Pies Mike'a Bokanskiego wydaje się zachwycony sterylizacją i przed wyruszeniem za swoim panem kicha pięć czy sześć razy.

Stajemy przed kolejnymi drzwiami.

Wystarczy naciśnięcie guzika i wślizgują się bezgłośnie do swych szczelin. Dostrzegamy półokrągłą ścianę, jak w teatrze, a sami wchodzimy do czegoś w rodzaju kolistego przejścia prowadzącego do łóż, zamiast których jest tylko ciąg okrągłych okienek z grubego szkła, skąd wydobywa się światło tak przenikliwe, bezlitosne i ostre, że cofamy się oślepieni.

Jef podąża w prawo, a za nim Andy Sigman. Gary ciągnie mnie za sobą. Pochód zamyka Mike z bokserem, który wydaje się zaniepokojony tym, co widzi. Zapewne ciężko mu się połapać we wszystkim z powodu zapachów unoszących się w pomieszczeniach.

Jef staje. My również, i teraz, kiedy nasze oczy już się przyzwyczyły, łączywie przyklejamy twarze do okienek.

Najpierw słabo rozróżniam, a później już widzę.

O dwa metry ode mnie spoczywa jakiś kształt przykryty białymi prześcieradłami, pozostawiającymi pole operacyjne o wymiarach dwadzieścia na dwadzieścia centymetrów. Trzech mężczyzn, w ubraniach takich samych jak nasze, krząta się wokół ciała.

Obok, na drugim stole, leży kobieta. Tym razem pole operacyjne jest znacznie większe, bo przywiązano ją do stołu za stopy, kostki i uda, a stalowy, płaski i lśniący pas krępuje jej brzuch, poza tym nic jej nie okrywa. Wygląda na to, że tamci na razie nią się nie zajmują.

U węzłowia każdego ze stołów znajduje się jakaś skomplikowana aparatura. Być może do znieczulania.

Staram się dojrzeć, czy w pomieszczeniu znajdują się inni pomocnicy, lecz ciemność otaczająca wszystko, co nie znajduje się w ogniu dwóch gigantycznych reflektorów, wcale nie ułatwia mi zadania. Sądzę, że są tylko ci trzej mężczyźni.

Krzątają się wokół pierwszego stołu. Próbuję domyślić się, co robią, lecz jeden z nich odwraca się do mnie plecami. Lekki ruch, jaki wykonuje, pozwala mi zgadnąć, że są w trakcie operowania człowieka. Nie mogę na to patrzeć...

Nie zrobiłbym tego memu najgorszemu wrogowi. Odwracam głowę. Mam dosyć. Pojąłem, skąd biorą się zdjęcia. Wcale mi nie zależy na oglądaniu dalszego ciągu. Chcę odejść. Zanurzyć się w zimnej wodzie. Wziąć kąpiel w Pacyfiku. To by była odpowiednia

wanna.

Ledwie zdążyłem odwrócić głowę, kiedy odniosłem wrażenie jakiegoś ruchu po lewej. Słyszę warczenie Noonoo i w mgnieniu oka dostrzegam, jak przypląszcza się i chce uciec w głąb kolistego korytarza. Od tej chwili wszystko odbywa się bardzo szybko. Staję twarzą w twarz z facetem, który przerasta mnie co najmniej o głowę... To niemożliwe, chyba oszalałem. Nie ma maski. Cały jest ubrany na biał.

- Mike...! Gary...!

Znajduję siły, by wykrzyknąć ich imiona zduszonym głosem, a łapy monstrum rzucają się na mnie. Jego niebieskie oczy, twarde i zimne, przyglądają mi się tak... jak się patrzy na pluskwę. Czuję jego palce miażdżące jak stalowe obcęgi moje łopatki.

Strzał... Drugi... Wyję... Boli mnie... Skręcam się w szponach bestii... Jego oczy patrzą na mnie. Boże! Są całkiem pozbawione wyrazu... Czerwona dziura pojawia się w jego czole, krew płynie po twarzy, a on ściska... Ściska coraz mocniej... Czuję, jak łzy napływają mi do oczu. Zaraz przełamie się na pół...

Jeszcze dwa strzały... Padam prawie jednocześnie. Mike wyciąga mnie spod potężnego trupa, który zwaliwszy się, nawet nie drgnął.

Ledwo udaje mi się stanąć na nogi, a już Jef przyzywa nas słodkim głosem.

- Teraz lepiej stąd odejść - mówi. - Doktor Schutz z pewnością nie będzie zachwycony, że zabiliście jeden z egzemplarzy serii R.

To Gary dobił go dwiema kulami w plecy... na wysokości serca. Ciąg dalszy następuje zbyt szybko, bym miał czas na rozmyślanie o moich ramionach, zgniecionych i zmaltretowanych przez stalowe łapy monstrum. Galopujemy za Jefem Devayem wciągającym nas w otchłanie korytarza. Jakieś przejście, w które wpadamy, skręcamy w prawo, znowu w prawo... Pogubiłem się kompletnie. Pocziwiec Sigman jest w swoim żywiole i słyszę, jak gulgoce pod swoją maską, zachwycony przygodą.

Ja zaś... słowo daję, waham się, czy wam powiedzieć... dobry Boże, mam dwadzieścia lat, ważę dwieście funtów, same mięśnie... i mało co może mnie przestraszyć... do licha... no trudno... chyba się zdecyduję... cóż, biegnąc spostrzegam, że...

Dobra. Jak trzyletni dzieciak. Zmoczyłem spodnie, takiego stracha napędził mi ten ohydny bydlak.

A ilu ich musi być jeszcze w tej piekielnej budzie... Teraz rozumiem, dlaczego wisi im kalafiolem, czy ktoś wchodzi, czy nie...

Z takimi pacanami w charakterze policji nie ryzykują, że ktoś im będzie zbyt długo zawracał głowę.

Jakie jeszcze nowe okropieństwa zobaczymy? Tak bardzo jestem zaabsorbowany własnymi myślami, że prawie się rozplaszczam na Mike'u Bokanskim. Właśnie się zatrzymał przede mną, a ja biegłem dalej, całe szczęście, że tu był, bo inaczej wskoczyłbym na ścianę, lecz drzę na myśl o jego granatach i podskakuję w miejscu jak ukąszony przez tarantulę. Nie ma mi tego za złe...

Minę ma równie spłoszoną jak Gary i Andy. Tylko Jef pozostaje nieustraszony.

- To drobiazg - mówi. - Tutaj nic już nam nie grozi. Osobiście cieszę się, że zabiliście R-62. Zawsze kpił sobie ze mnie, że jestem zbyt wypieczony. Jemu nic nie brakowało... zgoda... ale to on nie żyje, teraz będzie miał nauczki.

- Dobra - ucina Gary. - Jak można stąd wyjść?

- Och! - mówi Jef niezwykle wykwintnie - to byłoby śmieszne i nieuprzejme, gdybyście opuścili wzorcową lecznicę doktora Schutza, nie zwiedziwszy uprzednio choć pomieszczeń inkubacyjnych i sal przyspieszonego starzenia się embrionów. Wówczas będę mógł wam wyjaśnić dokładnie i szczegółowo wypadek, który mi się przytrafił, co zainteresuje was niewątpliwie w najwyższym stopniu.

- Do licha - mówię. - Mnie już wystarczy! Spadajmy, i to szybko! Rezygnuję z doktora Schutza. To już wolałbym raczej studiować hodowlę winorośli w San Bernoo. A ciebie - dorzucam - też możemy zabrać, jeśli chcesz. Na pamiątkę.

- No - woła Mike - weźcie się obaj w kupę. W końcu mamy świetną okazję obejrzyć interesujące rzeczy...

~ Pewnie - dodaje Andy Sigman - Rock, Gary, dzieciaki, jesteście zmęczeni, i ja to rozumiem, po tym, co już zrobiliście, lecz zdajcie sobie sprawę, że zabawa dopiero się zaczyna. Pomyślcie o biednym Andym... staruszek nudzi się cały dzionek... W końcu, nie co dzień ma się okazję zobaczyć tego rodzaju historie...

- Posłuchaj - mówię - i tak już są spore szansę na kłopoty po wyczynie kolegi Mike'a z granatami... lecz jeśli będziemy zmuszeni zabić wszystkich facetów, jacy tu są, dlatego że nie da się z nimi pogadać, to coraz trudniej będzie wytłumaczyć to wszystko policji.

- Spuście się na nas - odpowiada Mike. - Andy i ja jakoś sobie z tym poradzimy.

Tymczasem Jef niecierpliwi się.

- Pospieszcie się - mówi. - Cały dzień przenoszono skrzynie i opróżniano sale, a jutro mają zabrać resztę. Więc ruszajcie się trochę. Bo inaczej nic nie zobaczycie.

Nadstawiamy ucha i podążamy za nim.

- A co wynosili? - pyta Mike od niechcienia. Jef uśmiecha się chytrze.

- Ha! Ha! - woła. - Sami widzicie, jaki jestem denerwujący. Kazano mi przysięgać, że

nie będę gadał, a od chwili, kiedy zjawili się wasi przyjaciele, nie przestaję sypać.

Dochodzimy do kolejnych drzwi, które otwierają się przed Jefem. Przechodzimy przez coś w rodzaju śluzy rozjaśnionej przez fioletową świetlówkę. To prawdziwy relaks po ostrym świetle korytarza i oślepieniu z sali operacyjnej, tyle że nieco ponuro.

- To nie wiedzieliście, że doktor Schutz ma opuścić San Pinto? - pyta Jef.

Stanęliśmy przed matowymi, stalowymi drzwiami. Panuje kompletna cisza, atmosfera jest dość dziwna, podobna do tej, jaką spotyka się w wielkich salach Muzeum Morskiego... wilgotno... ciepło... niepokojąco.

- Nie guzdrajmy się - mówi Gary. - Te historie o Schutzu opowiesz nam kiedy indziej.

- Ależ nie - protestuje Mike - mamy czas... pozwól mu mówić.

- Zresztą, ja nic nie wiem - stwierdza Jef. - Wczoraj przyjechały ciężarówki, a przez cały dzisiejszy dzień zabierały materiały, aparaturę i całe serie osobników. Wszystkie osobniki od D do P. Doktor Schutz wyjechał sam dzisiejszego wieczora. Jutro ta sala zostanie opróżniona. Przypuszczam, że sprzedał klinikę.

- Dokąd pojechał? - pyta Mike brutalnie.

- Ale... ja nie wiem - odpowiada Jef. - Nie mów do mnie w ten sposób, jestem lękliwy.

Manewruje dźwignią otwierającą wielką, stalową płytę, która wsuwa się w ścianę po prawej stronie, przechodzimy. Światło tutaj jest takie samo jak w śluzie. Zaczynamy się do tego przyzwyczajać.

Sala jest bardzo wielka, ma co najmniej trzydzieści lub czterdzieści metrów długości. Jest to raczej coś w rodzaju galerii, w regularnych odstępach białe, porcelanowe cokoły... nie, to polakierowana stal, podtrzymująca skrzynie z grubego szkła, delikatnie podświetlone od spodu. Robimy kilka kroków. Jest bardzo ciepło, o wiele cieplej niż w śluzie, i oddychamy z trudem, mimo że zduśmy maski już kilka minut temu. Pochylam się nad jednym z pojemników. Nie rozumiem tego, co widzę. Każda ścianka pokryta jest grubą warstwą szkła.

Nagle cofam się, wydając okrzyk przerażenia. Głowa, która na mnie spogląda z drugiej strony szyby swymi strasznymi, wyłupiastymi, czerwonymi oczami, jest głową płodu ludzkiego. Która na mnie spogląda... to tylko określenie, gdyż cieniutkie, napięte powieki pokrywają gałki oczne. Porusza się delikatnie... w mętym płynie... nieprzyjemnie na to patrzeć.

Mike, Gary i Andy pochylają się nad innymi podobnymi obiektami... i widowisko chyba nie napawa ich entuzjazmem. Przy każdej skrzyni znajduje się tablica rozdzielcza, gdzie podane są wskazania, których znaczenia nie pojmuję.

Odchodzę na kilka kroków, lecz one są wszędzie, i teraz, kiedy już wiem, co zawierają

wszystkie te szklane pudła, mam tylko jedno pragnienie - odejść stąd jak najprędzej.

Chwytam Jefa za ramię.

- Nie masz nic lepszego do pokazania?

- Nie wszystkie są takie - mówi. - W głębi sali znajdują się lepiej rozwinięte.

- Mnie wystarczy - odpowiadam.

- Ale pozostałe nie są w wodzie - mówi. - Są... hmm... są żywe. Są... narodzone, że tak powiem.

- Jeśli o mnie chodzi, to wal prosto z mostu. Mnie to i tak nic nie mówi.

- Ach...! - woła Jef. - W sumie, widzicie, co mi się przytrafiło, to znaczy, moja aparatura się rozregulowała. Miałem za ciepło przez cały czas.

- Znowu tak bardzo ci to nie zaszkodziło - stwierdzam. Podchodzę do Gary'ego, Andy'ego i Mike'a.

- Nie za piękne - mówi Mike. - Jednak ciekawe.

- Pozostaje się tylko dowiedzieć, jak je produkuje - dodaje Gary.

Jef zabiera głos.

- Odbiera je w naprawdę młodym wieku - mówi. - Jest kilka metod. Bądź powoduje normalne zapłodnienie dokładnie wybranej kobiety przez dobranego mężczyznę, bądź zapładnia bezpośrednio komórki jajowe, które później odzyskuje w wyniku operacji chirurgicznej, ale tak czy inaczej, w pierwszym przypadku - zapłodnione jajo zostaje wydobyte z ciała kobiety jeszcze przed końcem pierwszego miesiąca. Są jeszcze inne sposoby... ale nie wszystkie znam.

- To chyba do tego pierwszego sposobu chciał ciebie użyć - mówi Gary.

- Owszem - odpowiadam. - Kiedy widzę to wszystko tutaj, to dostaję gęsiej skórki.

- Chodźcie - mówi Jef - pokażę wam następną salę. Kiedy mają rok, wsadza się je do specjalnych wylęgarni i sztucznie je postarza przy pomocy kąpiei tlenowych i całego mnóstwa innych kombinacji. W wieku trzech lat obiekty są zdolne do rozmnażania. W ciągu dziesięciu lat można uzyskać prawie cztery pokolenia. Nie mogę wam pokazać trzylatków, zabrano je wczoraj... lecz sala znajduje się z tyłu.

- Dobra - mówi Mike. - Niech już będzie jak jest.

XX

Scenka rodzajowa

- Och, do licha - woła Jef rozczarowany. - Wydaje wam się, że mnie bawi spędzanie całego życia w tej klinice dla popaprańców, na udawaniu, że jest to śmieszne. Kiedy raz wreszcie mam gości, moglibyście przynajmniej udawać, że was to interesuje... Posłuchajcie, jest tu jeszcze parę rzeczy, które chciałbym wam pokazać. Do tej pory nie chciałem, gdyż osobiście uważam takie widowiska za wyczerpujące... ale tam na górze jest jeszcze chyba jedna dziewczyna, którą właśnie... ale to będzie dla was niespodzianka.

Patrzemy na niego wszyscy czterej, a Noonoo spluwa na ziemię z grymasem obrzydzenia na pysku.

- Mam tego potąd - mówi. - Czy w tym przybytku nie ma suczek?

Po raz pierwszy słyszymy jego protest, toteż Mike nie opieprza go zbyt.

- Mamy jeszcze dobre pięć minut - zauważa Andy Sigman. - Wyjmij rękę z kieszeni - dorzuca pod adresem Jefa. - Po raz piętnasty ci to powtarzam.

- A ja robię to o wiele częściej niż piętnaście razy - stwierdza Jef. - Musisz walczyć ze starym przyzwyczajeniem i wkrótce ci się to znudzi. Chodźcie.

Opuszczamy salę z niejaką ulgą, a stalowa płyta wysuwa się ze swej szczeliny z delikatnym odgłosem naoliwionego metalu przemieszczającego na dokładnie dopasowanych łożyskach. Po raz sto sześćdziesiąty dziewiąty znajdujemy się na korytarzu, Jef rusza na czele naszej małej grupki.

- Gdybym wam powiedział, co zobaczycie - mówi, udając, że się tam nie dotyka - nie moglibyście iść.

- Dobra, Devay - odpowiada Mike. - Sami zobaczymy.

Nieświadomie przyspieszamy kroku. Windy są niedaleko.

Jesteśmy na szczycie budynku. Nikt z nas nie wie, czy jest dzień, czy noc, gdyż cały czas towarzyszy nam ten sam bezlitosny blask. Na drzwiach widnieją świecące numery i jakieś napisy zupełnie pozbawione sensu. Jef kica jak królik po woskowanym płótnie, podążam za nim, a tuż za mną Andy Sigman. Potem Mike, Gary. A Noonoo zamyka pochód z miną pełną dezaprobaty.

Tym razem jestem pewien na sto procent, że stąpamy po podłodze korytarza, po którym ciągnięto mnie pierwszego dnia. Pewien fragment mego jestestwa przypomina sobie o

tym ze szczególną precyzją. Depczę po piętach Jefa Devaya, który zaczyna galopować i wreszcie dopadamy do drzwi - ileż drzwi jest w tym budynku? - prawie na końcu korytarza.

Jef wchodzi bez najmniejszych środków ostrożności i po czterech sekundach tłoczmy się za nim.

- Wszystko odbywa się tam, w dole - mówi. - Chodźcie.

Zamyka drzwi i zapala małą lampkę, której słabe światło sprawia, że mamy ochotę zapłakać z ulgi. Noonoo posuwa się nawet do zadarcia łapy, lecz chyba zbyt wewnętrznia swe uczucia.

Jef doszedł do środka pomieszczenia, nachyla się i ciągnie za rączkę, która w stanie spoczynku jest zagłębiona w podłogę i odciąga fragment tejże o powierzchni pięćdziesięciu centymetrów kwadratowych. Skupiamy się nad otworem, i słowo daję... osobiście mam niezłe miejsce. Mam czas rzucić ostatnie spojrzenie na Jefa i stwierdzić, dziwna rzecz, że jest całkiem spokojny, a później pogrążam się w kontemplacji ud Cynthii Spotlight, która dwa metry niżej daje się przekładać osobnikowi z serii co najmniej W, sądząc wedle kalibru broni, jaką się posługuje.

Jef szepcze mi do ucha.

- Mnie takie rzeczy nie wzruszają. Tyle tego widziałem. Uważam, że o wiele lepiej można się zabawić samemu.

- Bardzo przepraszam - mówię - ale ustosunkuję się do tego za chwilę.

Słyszę krzyk Gary'ego. Widocznie rozpoznał Cynthię ze zdjęcia, tego, które Mac nam pokazał w Biurze Osób Zaginionych, a które zawiodło nas aż do Mary Jackson.

Nigdy nie widziałem dziewczyny znoszącej to, co ona, z takim uśmiechem... To prawda, że jestem prawiczkim... Tamten ją przewraca, potraça, szturcha, wykręca, łachocze, pieści, miażdży i... powtarza to co pięć minut.

Przez chwilę wyobrażam sobie, że Sunday Love jest obok mnie i chwytam ją za ramię, lecz słyszę głos Mike'a mówiącego do mnie:

- Spokojnie braciszku... to tylko ja... przykro mi...

- Czy chcecie nagłośnienie? - proponuje prawie w tym samym czasie Jef, nadal sympatyczny i uprzedzająco grzeczny.

Podchodzi do ściany i manipuluje pokrętłami na desce. W czasie, kiedy nagrzewa się wzmacniacz, dziewczyna poddaje się pięciu zmianom pozycji. Nigdy nie widziałem takiego faceta jak ten samiec krzątający się na dole. Jef powrócił, więc szturcham go łokciem.

- Produkcja Schutza?

- Owszem - odpowiada. - Seria T. Specjalny gatunek reproduktorów.

Jestem zafascynowany grą mięśni mężczyzny. Ma co najmniej metr sześćdziesiąt obwodu w klatce piersiowej i wygląda jak wyrysowany, tok jest pokryty wybrzuszeniami i zagłębieniami, na osiągnięcie których zwykłym biedakom potrzeba dziesięciu lat uprawiania ćwiczeń po osiem godzin dziennie. A ja uważałem się za dobrze zbudowanego... W zeszłym roku zdobyłem tytuł „Mister Los Angeles”... Teraz mogę to wyznać... No cóż, przypuszczam, że facet bije mnie na głowę...

Myślę o tym wszystkim w sposób dość rozkojarzony, gdyż od kilku sekund słyszymy, co się tam odbywa na dole... i żal mi was, bo nie da rady przekazać słów dziewczyny w tym momencie. Właśnie ją postawił... i trzyma na długość ramienia, co przeszkadza jej w zbliżeniu się do niego, więc dziewczyna wyje. Wyje takie rzeczy, że nawet Noonoo odwraca się z zażenowaniem. Bardzo powoli mężczyzna przyciągają do siebie... Ona wyrzywa się, próbując przyspieszyć ruch, lecz nawet samemu Herkulesowi ciężko by było walczyć z mocą tych stalowych mięśni, napinających się powoli. Dziewczyna odrzuca głowę w tył... Jej na wpół otwarte usta dyszą gwałtownie... Ich oczy zamykają się, a ciała, lśniące od potu, łączą się ze sobą... Paznokcie Cynthii orzą głęboko potężne, przysłaniające ją ramiona... A ja zastanawiam się, co się ze mną dzieje...

Odzywa się głos Jefa.

- Oni będą tak jeszcze przez dobre dwie godziny - mówi. - Jeśli was to bawi, to możecie zostać, lecz ja osobiście wolałbym zagrać w wyścigi ślimaków lub w berka.

Podnoszę się z trudem. Mike, Andy i ja staramy się na siebie nie patrzeć. Co do Gary'ego... to śpi. To jest najlepsze...

- Dzięki za widowisko, Jef - mówi. - Zmieni ono prawdopodobnie kierunek mej kariery, i tobie to będę zawdzięczał.

- Tak? - pyta Mike - hmm... Faktycznie, daje to do myślenia...

- Do myślenia, czy to aby właściwe słowo? - szepcze Andy. - Sądzę, że jestem już za stary na tego rodzaju rozrywki.

Wygląda na raczej zdeprymowanego. Wymierzam mu solidnego szturchańca w plecy.

- No, Andy... nie przejmuj się... Zakończymy robotę i przyjdzie nasza kolej na rozrywki. Kiedy wszystko już minie, obiecuję ci solidną kolejkę miłych knajp, o których zapewne powiesz mi wiele dobrego.

Jef podchodzi do centralnej płyty i zamykają. Nie słychać już oddechu Cynthii w głośnikach. Mike kieruje się ku desce rozdzielczej, odcina dopływ prądu i ociera czoło.

- Wyjdźmy stąd - mówi. - Dość już widzieliśmy. Czy istnieje możliwość zajrzenia do biura Schutza, zanim się wyniesiemy?

- Całe biuro zostało wyniesione - odpowiada Jef. - Powtarzam raz jeszcze, że doktor wyjechał. Na Pacyfiku, o siedemnaście czy osiemnaście setek kilometrów od brzegu, nie wiem dokładnie gdzie, jest wyspa należąca do niego, na którą wszystko zostało przewiezione.

- Statkiem? - pyta Andy.

- Akurat - odpowiada Jef. - Superfortecą B-29. Ma ich cały zestaw. Wszelkie instalacje na wyspie są nietknięte; w czasie wojny służyła jako baza wojskowa, a niedawno została sprzedana w ramach wyprzedaży.

- Coś podobnego - mówi Andy. - Wiesz nawet i to. Zdecydowanie, Jef, wiesz mnóstwo rzeczy.

- Och - odpowiada Jef - kiedy nie ma się nic do roboty przez cały dzień, trzeba się chociaż jakoś doksztalcać. Moja egocentryczna działalność seksualna pozostawia mi wiele czasu na rozmyślanie, a w przypadku braku tematów - na wkuwanie. Naprzód, opuśmy to miejsce... Zapewniam was, że nie ma tu już nic ciekawego.

Podążamy za Jefem pilotującym nas bez przeszkód aż do wyjścia, to znaczy - do okienka, przez które przedostaliśmy się do wnętrza budynku. Przestaję się czemukolwiek dziwić: nikt nie przeszkadza nam wyjść, nikt do nas nie strzela i bez problemów docieramy do wyrwy w murze, która wydaje się dość świeża.

- To tędy weszliśmy, Kilian i ja - wyjaśnia Andy.

Gary potakuje. Jeszcze się całkiem nie rozbudził. Jef najwyraźniej nie ma ochoty nas opuścić. Co my zrobimy z tym gościem?

- Musisz się jakoś trzymać, bo na zewnątrz będziesz się rzucał w oczy.

- Trzeba wymyślić coś innego - wzdycha Jef. - Powiedźcie, a guma do żucia, czy to uspokaja?

- Może być - potwierdza Mike.

Podaję mu paczkę i Jef zaczyna przeżuwać. Dochodzimy do wozu Sigmana.

- Czy Mary Jackson nadal siedzi w kufrze? - pyta Mike.

- Zostawiliśmy je obie szefowi policji w San Pinto - mówi Andy.

- To szaleństwo - stwierdzam. - On jest z pewnością na żołdzie Schutza.

- To znaczy, nowemu szefowi policji - odpiera Andy. - Masz tu, Rock, popatrz, to ci wiele wyjaśni.

Wyjmuje portfel, otwiera, wyciąga jakiś papier i podaje mi. Patrząc i widzę, że czytający ma rozkaz oddać się do całkowitej dyspozycji agenta Francka Saya, wyznaczonego przez FBI do badania działalności Schutza Markusa, lekarza i matematyka... Po czym następuje kupa poleceń, z których nic już nie rozumiem. Jestem całkowicie ogłupiały.

- Franek Say to ty? - mówię do Andy'ego. - Ja.

- A Mike?

- To jego prawdziwe nazwisko. On też jest z FBI.

- Więc z tymi granatami niczego nie ryzykuje? - pytam nieco rozczarowany.

- To taka jego mania... - odpowiada Andy. - Jesteśmy zmuszeni ją tolerować, bo to wspinały agent, ale mimo wszystko, w wyższych sferach nie jest to mile widziane.

Wsiadamy do taksówki Andy'ego (nie mogę się przyzwyczać do jego nowego imienia) i ruszamy.

- Trzeba będzie wyczyścić tu wszystko - mówi.

Jest już czarna noc, z czego dopiero teraz zdajemy sobie sprawę. Światła chevroleta omiatają drogę. Mike przemawia do swego mikrofonu, a ja domyślam się, co im tam opowiada: słyszę, że ciotka Klara właśnie powiła czworaczki, ale faceci z FBI mają z pewnością do dyspozycji rozliczne szyfry. Warkot samochodu znów uspił Gary'ego, a Jef zaciekle żuje swoją gumę. Dzielny z niego chłopię ale widać, że jest trochę skołatany.

- Dokąd jedziemy? - pytam Andy'ego.

- Zdrzemniemy się trochę... - odpowiada.

- Do licha... Nie chce mi się spać...

- Mój stary, trzeba odzyskać siły. Jutro ostateczny cios.

- Jutro?

- Jutro zostaniemy zrzućeni na spadochronach na wyspę Schutza. Tymczasem torpedowiec podpłyńie do niej i gdy już się pojawi, wszystko musi być zakończone, tak żeby tylko załadowali towarzystwo.

- I to my mamy zrobić? - pytam.

- Chyba żebyś nie chciał... Jesteś w temacie od początku, wiesz, o co chodzi... a poza tym, przede wszystkim...

- Co, przede wszystkim?

- Swobodnie możesz uchodzić za osobnika serii T.

Ciężko westchnąłem, lecz zostałem mile połączony. W końcu, mogę stawić czoła produktom doktora Schutza, mimo Wszystko. Andy prawdopodobnie nie ma żadnego powodu, by prawić mi nieuzasadnione komplementy. Jeśli to mówi, znaczy, że tak myśli... a jest to człowiek, który potrafi ocenić.

- Idę z wami - mówi Jef.

- Liczę na to - odpowiada Andy. - Możesz wśliznąć się pomiędzy ludzi Schutza bez zwracania uwagi i wykonać swoją robotę. My dwaj zabunkrujemy się gdzieś w okolicy... Z

resztą, będzie nas jeszcze o czterech więcej... Czterech pewniaków...

Gary budzi się.

- Ja też idę... - mówi. - Jakież będą sensacyjne kwity dla „California Call”...

Tam do licha, czy jest coś, co by mi przeszkadzało...

XXI

Schodzę na złą drogę

I oto jestem u siebie, o wpół do szóstej rano. Andy i pozostali właśnie odjechali. Umówiłem się z nimi o pierwszej na lotnisku, skąd polecimy nad Pacyfik.

Nie ma mowy o spaniu o tej godzinie. Natomiast bardzo miłe i pouczające może być wykonanie telefonu.

Rozbieram się i nacieram alkoholowym roztworem podszwowa, a na slipy wkładam piękny szlafrok z pomarańczowego jedwabiu. A później, z nogami w skórzanych sandałach, rozciągam się na łóżku i chwytam aparat, który drażnię sześć razy z rzędu, tak jak się należy.

Odpowiada mi zaspany męski głos, więc marszczę brwi.

- Halo? Co tam?

- Rock Bailey przy aparacie. To ty Douglas? Co ty robisz u Sunday Love?

- To łajdaczka – mruczy Douglas. - Paskuda. Jędza. Lesbijka.

- Co ty u niej robisz, odpowiedz.

- Odprowadziłem ją - mówi Douglas nagle poruszony. - Postawiłem jej kolację, kino, dancing, Wszystko. Wydałem czterdzieści siedem dolarów w jeden wieczór. Wszedłem do niej na kieliszek. Sądząc, że wszystko zmierza ku dobremu, zacząłem się rozbierać, a ta się wściekła. Próbowałem ją pocałować, a ona rzuciła mi na bańkę popielniczkę i wyszła trzaskając drzwiami, zabrawszy moje spodnie. Powiedziała, że mogę się położyć w jej łóżku, jeśli o to mi chodziło, lecz ona woli spać sama, niż z jakimś satyrem, a zwłaszcza z satyrem o takiej gębie, jak moja. Tak więc nie mam już spodni i nie mogę wrócić do siebie, bo klucze były wewnątrz, więc zostałem u niej.

Ziewa głośno.

- Jesteś cham - mówię. - Powinieneś zostawić kobiety w spokoju. Dlaczego nie zostaniesz, na przykład, mistrzem w baseballu? Sportowcy zazwyczaj nie tykają dziewczyn. W ten sposób uniknąłbyś rozczarowań.

- Noo... - odpowiada. - Dobra, ja śpię dalej w gruncie rzeczy, to bardzo miłe być samemu w łóżku. Cześć.

Odkładam słuchawkę i wykręcam numer Douglasa. Mam słusznego. Lalunia jest tam, ale cosik niezadowolona.

- Czego? - szczeka. - To ty, barani łbie?

- To Rock - mówię. - Ten stary Bailey.

- Och! - wykrzykuje. - Myślałem, że to ten kretyn, Douglas Thruck, chce mi znów zaproponować rzymskie rozrywki. Co tam, Rock? Mogę ci w czymś pomóc?

- Owszem - mówię. - Mam bardzo twarde materac, który potrzebuje kilku ćwiczeń zmiękczających.

Hmm, moje dzieci, jeśli tego nie zrozumiała, to naprawdę nie wiem, czego jej potrzeba... Do licha, trudno... Jestem cnotliwy i w końcu mogę nie wiedzieć, jak trzeba się obchodzić z kobietami.

- Ehem... - odpowiada. - To mi wygląda na dziwną propozycję jak dla porządnej kobiety. Ale w końcu, nie możesz wiedzieć, czy jestem porządną kobietą... toteż przyjadę i wyjaśnię ci to osobiście. Gdzie jesteś?

Podaję jej adres, a moje serce bije dziwnie mocno. Holender, niech kto mówi, co chce, ale pierwszy raz, to jest jednak coś. Czy będę wiedział, jak to robić? Nie mam nawet podstawowego podręcznika...

Hmm, sądzę, że będę wiedział... Wystarczy, że sobie przypomnę to, co widziałem u doktora Schutza.

Błyskawicznie porządkuję pokój, wpychając do szafy wszystko, co się wała... Sprzątaczką doprowadzi to jutro do porządku. Pędzę do łazienki i szykuję się do wzięcia prysznic, by odświeżyć sobie rozum, bo mam wrażenie, że jeśli to dłużej potrwa, to zacznę bez niej... i dokładnie w tym momencie, kiedy zimna woda zaczyna spływać mi na ramiona, słyszę otwierające się drzwi i słodki głosik:

- Rocky? Gdzie jesteś?

Słyszy odgłos wody i wchodzi, nie krępując się zupełnie... Ma na sobie spodnie i sweter, równie czarny jak jej włosy, oraz sznurek pereł wokół swej ładnej, okrągłej szyi, a wszystko to razem pasuje jej jak nagość Wenus z Milo.

- Świetny pomysł, Rocky... To nam dobrze zrobi.

W dwie sekundy opadają spodnie i sweter odfrują, i niech mi Bóg wybaczy, to co ma, wystarcza jej całkowicie. Nie wiem, gdzie się schować... Wchodzi do kabiny, której zasłony nie zaciągnąłem.

- Posuń się... brutalu... Budzić porządną dziewczynę o takiej godzinie... Rocky... kochany... Wiesz, że jesteś taki... można by paść przed tobą na kolana...

Jak mówiła, tak zrobiła... Nie odbywa się to tak, jak przewidziałem... Prosta sprawa... Nawet zbyt prosta... Nic nie muszę robić... Ale za to ona potrafi sobie poradzić... Ani słowa, znać rękę fachowca, to lepsze niż elektryczność papy Schutza...

Chwytam ją pod ramiona i podnoszę...

- Sunday... kotku... Nie zechciałabyś rozpocząć zagadnienia od początku...? Wiesz, jestem nowicjuszem...

Pociska się do mnie, a moje plecy dotykają szyny prysznic. Woda tryska na nasze ciała, a moja skóra zaczyna dymić. Całuję ją poprzez tysięczne bryzgi wirujące wokół nas. Jej dłoń mnie prowadzi. Unoszę ją o kilka centymetrów, by wyrównać różnicę poziomów... Nic nie waży w moich ramionach... Jestem w stanie nieopisanego podniecenia... Ona nie chce się odsunąć nawet o milimetr.

- Sunday... To niebezpieczne.

Zamyka oczy, uśmiecha się i częstuje mnie „przeklętym idiotą” oraz „chłopaczkiem przystępującym do pierwszej komunii”, po czym gryzie mnie w wargę tak mocno, jak tylko potrafi... nie mogę już dłużej wytrzymać i wychodzę spod prysznic, unosząc ją ze sobą... W pokoju tracę równowagę, zaplątuję się w dywan i udaje mi się wylądować w poprzek łóżka... Ona jest w dalszym ciągu jak przyśrubowana do mego ciała i zmusza mnie, bym ułożył się na plecach...

- Rocky... Skoro to pierwszy raz, to pozwól, że ci pokażę... Pozwalam... Próbuję zapamiętać wrażenia... Nie odczuwam najmniejszego żalu... Lecz nie przypomina to niczego, co znałem do tej pory.

Słodki Jezu... To przyjemniejsze niż jedzenie ananasa z lodu...

A czas pędzi... jak list pocztą lotniczą...

W sumie, to doktorowi Schutzowi zawdzięczam utratę dziewictwa o sześć miesięcy wcześniej niż przewidywałem. Doktorowi Schutzowi i Sunday Love. Myśl ta uderza mnie w chwili, gdy od niechcienia całuję tę część ciała Sunday Love, która znajduje się w zasięgu moich warg... Nieźle zresztą wybrana część, jędrna i nieco wypukła, jak kalifornijskie owoce, tyle że bardziej smakowita.

Zaczynam widzieć wszystko jak przez lekką mgłę i zastanawiam się, czy jest to efekt ciosów w głowę, czy też manewrów wykonywanych przez moją przyjaciółkę, która wygląda równie aktywnie jak przed czterema godzinami, kiedy wkroczyła do mego mieszkania...

- Sunday - mówię.

Zamyka mi usta, przesuając swe ciało do przodu, a ja rozumiem, co chce, bym zrobił, gdyż w końcu przy jedenastym razie, trudno udawać głupka. Wreszcie musiałem skapować, W szczękę złapał mnie skurcz, bo nieźle napracowałem się żuchwą, lecz jest to ten rodzaj skurczu, który chętnie zachowałbym przez kilka dni...

Na szczęście doszedłem do większej wprawy i jej ciało odpręża się gwałtownie, dając

mi do zrozumienia, że pragnie pięciu minut wytchnienia... dla niej, nie dla mnie, gdyż dostrzegam u siebie miejscowy przyływ natchnienia...

- Sunday - mówię bardzo szybko - chwilę odpoczynku... Padam z nóg... Wrzucimy coś na ruszt i kontynuujemy... Nie spałem od czterech dni, wiesz przecież...

- Ja też - szepcze, prostując się i przyklejając swą twarz do mojej. - Ale ja dlatego, że tak bardzo cię pragnęłam.

Zgrywam się na hipokrytę.

- Miałaś Douglasa Thrucka - mówię. - W końcu, do spędzenia wieczoru...

- Spędziłam już dwa wieczory na wysłuchiwanie planu ogólnego wstępu do jego „Estetyki kina” - odpiera, sadowiac się wygodnie pomiędzy moim ramieniem a tułowiem.

- I to ci wystarcza?

- Wolę twoją osobistą estetykę... - szepcze, gryząc mnie w pierś.

Moja lewa dłoń pieści jej szpiczaste cycuszki. Podnoszę się i siadamy razem. Patrzę na godzinę. Jedenasta. Za dwie godziny muszę być tam... Wyskakuję z łóżka i przewracam się na twarz. Trochę osłabłem w nogach... Na szczęście trwa to krótko. Po prostu pozycja pozioma wydaje mi się być lepszą od pionowej.

- Rock! - woła Sunday Love. - Chyba nie odejdziesz znowu...

- Muszę, skarbie.

- Och! - lamentuje. - Kiedy wreszcie udaje mi się spotkać mężczyznę, którego nie muszę karmić pomidorami z czerwoną papryką...

- I to jeszcze - mówię - wzięłaś mnie umęczonego. Poczekaj, niech no tylko odzyskam moją prawdziwą formę.

- Rocky... kruszynko... To niemożliwe... Coś takiego jak zmęczenie nie może ci się chyba nigdy przytrafić...

- Och - mówię wywijając się - nie za często. Zobaczmy, jak wrócę... Lecz osobiście radzę ci, byś sobie na ten dzień poszukała przyjaciółki na zastępstwo... bo teraz, kiedy już znam muzykę... przyspieszymy trochę tempo...

XXII

Wszystko zaczyna się od nowa

Mam straszny problem z wyrwaniem się z ramion mojej czarującej przyjaciółki, lecz wskazówki mego zegarka nie wiedzą, co to miłość, i muszę być im posłuszny. Pozostawiam ją kompletnie nagą na środku pokoju i zjeżdżam na czwartym biegu, żeby złapać taksówkę. Będę musiał pomyśleć o odzyskaniu mojej bryki.

Dobrze. Jest tutaj. Przed drzwiami. Andy Sigman pracuje szybko. W ten sposób zaoszczędzę dobry kwadrans... Nie będę musiał pędzić jak szaleniec.

Po drodze odświeżam w pamięci kilka dni tej przygody i chyba muszę być nieźle wykończony, gdyż wszystko wydaje mi się matowe...

Nawet poranek z Sunday Love... Dobry Boże, bez wątpienia miałem słusność, opóźniając moje... powiedzmy, moją inicjację tak długo, jak tylko mogłem. To, co niedawno z nią robiłem, wydaje mi się całkiem normalne... niewątpliwie przyjemne, stosowne dla spędzenia szybkich i odświeżających poranków... lecz najwyraźniej niewystarczające... Mam wrażenie, że znam ją teraz od podszewki... Szukam... szukam... Czy jest jeszcze coś, czego jej nie zrobiłem?

Moja edukacja w tej dziedzinie jest w oplakanyam stanie. Koniecznie muszę się doksztalcić. Na pewno są tu jakieś sztuczki techniczne, które mi umknęły. W przeciwnym razie... Tak, jak jej mówiłem... Będę musiał wziąć trzy lub cztery na raz... Albo jedną, ale za to najwyższej klasy... Tak, żeby ręce były pełne roboty.

W ostatniej chwili umykam ciężarówce, która chciała mi zaprezentować swą markę z bliska, i myślę o kaszce mannie, aby obniżyć ciśnienie. Nie cierpię kaszy manny. Mamusia kazała mi ją jeść kilogramami, kiedy miałem jedenaście lat, po czym byłem zmuszony łachotać sobie podniebienie przy pomocy kociego ogona, by oddać Bogu część przynależną biedakom. Nie są to miłe wspomnienia i czuję, jak mój puls szykuje się do przerwania pracy. Właśnie o to mi chodziło.

Docieram na lotnisko na dziesięć minut przed godziną spotkania, Mike i Andy już są i przedstawiają mi kilku napakowanych gości oraz jednego chudziaka o czarnych oczach. Wygląda inteligentnie, ma lodowatą minę, rozjaśnia się jednak, by mi przesłać uśmiech.

- Aubert George - mówi Mike Bokanski. - Jeden z najlepszych miejscowych agentów. Ściskam mu dłoń. Cała ekipa wydaje się w komplecie.

- Rock - mówi Andy - samolot będzie gotów nie wcześniej niż za półtorej godziny. Na twoim miejscu poszedłbym do knajpki na kielicha, a potem podusił komara.

- Nie jestem zmęczony - odpowiadam.

- Niczego innego nie mogę ci zaproponować - mówi Andy. - Mike i ja musimy czuwać nad wszystkim i dokonać nasz pierwszy raport... Aubert dotrzyma ci towarzystwa.

- A Gary?

- Powiadomiliśmy go telefonicznie - odpowiada Andy. - Przyjdzie na czas. Ciebie nie było już w domu. Twoja sekretarka... hmm... tak nam powiedziała.

- Ach... tak... - mówię. - To moja sekretarka.

Aubert ciągnie mnie do restauracji, której wielkie okna wychodzą na pas startowy.

- Mają tam pokoje gościnne - mówi. - Być może będziesz wolał się wyciągnąć...

- Nigdy sam - odpieram.

- Och - szepcze - na pewno kogoś znajdziesz... Pełno tam pokojówek i kelnerek... A ja... rozumiesz... moja żona czeka za zewnątrz w samochodzie i chciałbym ją pożegnać...

- Śmiało - mówię. - Poradzę sobie sam.

Idę i odwracam się, by wpaść na moje stare kumpelki, Beryl Reeves i Monę Thaw, które przedstawiłem wam na początku tej historii w barze Zooty'ego Slammera.

- Och! Rock... wreszcie jesteś- mówi Beryl. - Szukamy cię od rana... Gary nie chciał nam powiedzieć, gdzie możemy cię spotkać, a twoja... ehem... sekretarka tak źle nas przyjęła... Od dawna ją masz, kiciusiu?

- Od rana.

- Wydawało mi się, że skądś ją znam... szepcze Mona Thaw.

- Na pewno widziałaś ją z Douglasem - odpowiadam. - To on mi ją podsunął.

- Dobrze... w końcu... wskazała nam miejsce, gdzie cię szukać - mówi Beryl.

Skąd się tego dowiedziała? Aha! Z rozmowy z Andym.

- Byłyście u mnie? - pytam.

- Oczywiście, Rocky... Nie pokazujesz się od trzech dni... Chodź, jesteśmy wozem... Przejedziemy się... Przecież nie odlatujesz natychmiast...

- Mam trochę czasu... - odpowiadam.

Podążam za nimi i siadam pomiędzy obiema w cadillacu Mony, która pozwala Beryl usiąść za kierownicą. Wyjeżdżamy na drogę i prawie natychmiast samochód zatrzymuje się przez zachwycającą willą.

- Mieszkają tu moi kuzyni - mówi Beryl. - Nie ma ich w tej chwili. Chodź, napijemy się czegoś.

Wysiadamy i wchodzimy, pozostawiając samochód przed wjazdem do ogrodu, by moc wyruszyć, nie tracąc czasu. Pogoda jest piękna, jak tylko może być w Kalifornii. Powietrze łagodne i ciepłe tak, iż tylko oddychając, człowiek czuje, że żyje...

- Zostańmy na zewnątrz... - mówię. - Jest tak fajnie...

- Musimy z tobą porozmawiać - odpiera Mona.

Do Ucha, szybko to idzie... Gdy tylko siadamy w salonie, Beryl atakuje:

- Kim jest ta dziewczyna u ciebie, Rock? Spałeś z nią? - Ten... tego... to nie wasza sprawa - mówię trochę skrępowany.

- Owszem, nasza - odpowiada Mona. - I to bardzo. Odchrzaniłyśmy się od ciebie, wiedząc, że nie chcesz nic kombinować do dwudziestki, ale skoro tak dotrzymujesz obietnic, to i my nie dotrzymamy naszych. Rozbieraj się.

- Ależ Mona - mówię błagalnie. - Padam z nóg... Zaczekajcie kilka dni... Kiedy wrócę...

- Mowy nie ma - ucina Beryl. - Mamy cię i nie puścimy. Kiedy pomyślę, że wybrałeś to małe paskudztwo na pierwszy bój...

- Jesteś całkiem bez gustu - dorzuca Mona. - Ona nie ma ani piersi, ani bioder i jest chuda jak szczapa.

- O rany ~ mówię - przecież chyba nie tutaj... Ktoś może przyjść... Janie mam czasu...

- Masz całą godzinę - odpiera Beryl. - To całkowicie wystarczy Tym bardziej że ułatwimy ci zadanie... Naprzód... ściągnij ubranie... bo inaczej same to zrobimy... Skarpetki możesz zatrzymać.

- Mona, przynajmniej zamknij drzwi...

- Dobrze - zgadza się Mona - chętnie zamknę drzwi, żeby ci zrobić przyjemność. Pomóż mu się rozebrać, Beryl. I tylko bez oporów... Coś podobnego... wybranekę mizerotę...

Trzaska drzwiami, odwraca się, odpina sukienkę, a jej piersi wydostają się na światło dzienne. Faktycznie, nie mają nic wspólnego z biustem Sunday Love... Czuję coś w rodzaju klucia w lędźwiach, że tak powiem... Niech to gęś, to już będzie dwunasty raz od rana... Lekka przesada...

- Mona, nie tak szybko - protestuje Beryl. Pozwól i mnie przygotować strój...

Mona krząta się wokół mnie... Zatrzymała pończochy i to małe cacuszko z jasnej koronki, do którego je przyczepia... Dokładnie w tym samym kolorze, co... no, dokładnie w tym samym kolorze. Jest gorąca i pięknie pachnie kobietą... a stary Rocky nie jest taki zdechły, na jakiego wygląda... Zdejmuje mi koszulę, ściąga spodnie... Pozwalam jej na to... Ma trochę więcej kłopotów z moją bielizną, która się zahacza...

- Mona, bez żartów, mówię ci... będziemy o niego ciągnąć losy - piszczy Beryl.

Ona również nie ma nic na grzbiecie... Zrolowała swe pończochy aż do kostek...

Dokonuję porównań.

- Hej - mówię - nie jestem handlarzem jaj...

- Cicho tam - rozkazuje Mona. - Ona ma rację. Pociągniemy losy...

- To niesprawiedliwe - protestuję. - A jeżeli ja wolę jedną z was...

Mam kłopoty z mówieniem. To dziewczyny wprawiły mnie w taki stan, że mam ochotę wyłącznie na jedną rzecz. Wszystko jedno, która z nich dwóch, ale za to natychmiast.

- Zgoda - przytakuje Mona. - Zawiążemy ci oczy, później coś zrobimy, a ty powiesz, którą wolisz.

- Trzeba mu także związać ręce - woła Beryl coraz bardziej podniecona.

Rzuca się do okna i zrywa jeden ze sznurków do odciągania zasłon. Pozwalam się związać, będąc pewnym, że przerwę linkę, kiedy zechcę, zaraz po skończeniu chwyta mnie Mona i przewraca na dywan...

- Beryl, twoja apaszka...

Leżę na plecach... na szczęście, bo inaczej bym cierpiał... nic już nie widzę... Dwie dłonie układają się na mej piersi, dwie długie nogi przywierają do moich... Mógłbym wyć, tak bolesne jest to oczekiwanie... I nagle pierwsza z nich rozciąga się na mnie... Przeszywam ją ze wszystkich sił... prawie natychmiast odsuwa się i druga zajmuje miejsce... Desperacko ciągnę sznurek krępujący mi ręce... Pęka... Niczego nie spostrzegła... W chwili kiedy już chce się oddalić, me ramiona zamykają się nad nią... Tę trzymam jedną ręką, a drugą udaje mi się złapać tamtą za nogę... Przewracam ją obok siebie, a me wargi wędrują wzdłuż jej ud... tak daleko, jak tylko mogę... Bardzo to lubię... Obie pojękują trochę... cichutko...

A czas płynie...

Bardzo dzisiaj płynie...

XXIII

Na koń

Docieram na miejsce o piątej cadillakiem Mony... Tuż przed samym odlotem... Obie dziewczyny zostawiłem u kuzynów... Mam nadzieję, że się obudzą, zanim ktokolwiek przyjdzie... gdyż stan, w jakim się znajdują, powinien raczej pozostać tajemnicą. Nogi niosą mnie z trudem i kiedy stawiam się w ich położeniu... dobrze je rozumiem... Andy przygląda mi się ze śmiechem.

- No jak, Rock... pożegnałeś się już ze swoją staruszką matką? - Hm... Tak - mówię. - Zatrzymała mnie dłużej niż się spodziewałem... Lecz oto jestem.

- Będziesz mógł sobie uciąć krótką drzemkę - proponuje mi Mike. - Minie spory kawałek czasu, zanim tam dotrzemy.

- Nie możemy pozwolić sobie na luksus wylądowania w biały dzień - uściśla Andy.

Wszyscy są już całkiem gotowi. Aubert George również powrócił i jeśli ja mam podobnie podkrążone oczy jak on, to rozumiem, dlaczego Andy Sigman stroi sobie ze mnie żarty!

Wielki samolot czeka na nas na swych trzech kołach, z dziobem zadartym w górę, pod wiatr. Wokół niego krząta się kilku mężczyzn. Podjeżdża samochód i zatrzymuje się o dwa kroki od nas. Wysiada z niego Nick Defato. Jest z nim Gary... Faktycznie... brakowało nam tylko starego Gary'ego...

Ściskamy grabę Nickowi... Minę ma kompletnie zde gustowaną.

- Możesz sobie pogratulować - rzuca słodko-kwaśno pod moim adresem - niezłej robótki mi dokładasz...

- To nie moja wina, szefie - odpowiadam, udając zmieszanie.

- Uważajcie, dzieciaki - mówi Nick. - Wieczorem kondory nisko latają...

Gary prycha ze śmiechu. To z pewnością taki zwyczajowy dowcip. Gary cały pokryty jest plastrami i jodyną; wygląda jak mumia egipska po przejściu przez magiel. Jeśli nie zeskrobie z siebie tego wszystkiego przed wylądowaniem na wyspie Schutza, to rozpoznają nas raz dwa.

Później Nick Defato i Andy Sigman wymieniają konfidencjonalnie jakieś informacje, a chłopaki z samolotu dają nam znak, żeby wsiadać. Jeśli dalej wszystko się tak będzie toczyło, to zapewne zaraz podniesiemy kotwicę.

Rozsiadam się obok Auberta George'a, który mi opowiada, jak rozpoczynał zyciową karierę, próbując grać w teatrze; jedyną sztukę, w jakiej udało mu się zagrać, wystawiano tylko przez miesiąc, a jego rola to było dziesięć czy dwanaście linijek - klient wchodzący, proszący o książkę i wychodzący. Mówi mi, że była to sztuka kompletnie ujajająca (tak się właśnie wyraża), lecz jednak można się było ubawić po pachy.

W zamian opowiadam mu, jak zostałem rozprawiczony dziś rano, nie podaję mu wszystkich szczegółów, które bym chciał, bo oczy by mu wyskoczyły z głowy i potoczyły się po ziemi, jak kulki żółtego agatu, lecz jest tego dość, żeby się nieco rozbudził.

W tym momencie dostrzegam, że coś się rusza i że lecimy. Ponieważ jest to wyjazd dla rozrywki, wcale nie ma stewardess (także trochę dlatego, że jest to samolot wojskowy). Nie jest to mój pierwszy lot, a więc jestem nieco zblazowany, jeśli chodzi o doznawane uczucia. Andy jest gdzieś tam w okolicy kabiny pilota, a Mike - o dwa siedzenia przede mną, razem z Garym. Maszyna została przystosowana do transportów mieszanych. Jest nieźle. Przez chwilę patrzę na pejzaż i wybrzeże, nad którym właśnie przelatujemy. Wzbijamy się bardzo wysoko, a ja rozciągam się w fotelu, który czyjaś przezorna ręka rozłożyła maksymalnie.

XXIV

Prawie

Budzi mnie potrząsająca energicznie ręka Andy'ego Sigmana. Śniłem, że uprawiam miłość z żyrafą, tak więc Andy wyciąga mnie z niezłej opresji. Dziękuję mu, a samolot zaczyna przyjmować pozycję do desantu na wyspę.

Jest jeszcze jasno. Gdyż lecieliśmy w kierunku słońca. Z tego powodu nasz odlot został opóźniony o kilka godzin. Mike jest już prawie gotów, a jego ludzie ubierają się. Aubert znika w kombinezonie za dużym dla niego o cztery numery i zaczyna deklamować Szekspira. Układa słowa na własny sposób. To, co napisał Szekspir, jest już śmiałe, lecz to, co robi z niego Aubert, nie nadaje się do powtórzenia przed żadną komisją rewizyjną, choć jednak właśnie tam najczęściej można coś podobnego usłyszeć. Świetny humor, a nawet zapał, panuje we wnętrzu B-29, które podczas naszego snu, dzięki staraniom członków załogi, zostało wyklejone zachwycającą tapetą w kwiatki. Nie mogę się doczekać, kiedy będziemy na miejscu.

Andy Sigman stawia przede mną nieprawdopodobną kupę wszelkiego towaru, a ja go pytam:

- Co mam z tym wszystkim zrobić?
- Wskoczyć... - odpowiada. - Bez tego nie spadałbyś dość szybko.

Jest tam absolutnie wszystko, co tylko można sobie wyobrazić, oczywiście, jeśli ma się rozum na swoim miejscu. Prowiant, broń, ubrania, amunicja, papierosy - byłoby czym uszczęśliwić poszukiwacza zagubionego w birmańskiej dżungli od dobrych dwudziestu pięciu lat. Coraz mniejszą mam ochotę, by sobie to wszystko wrzucić na garb... czemu by nie wsiąść tak po prostu i skończyć z tym wszystkim natychmiast? Jest nawet lornetka przyzmatyczna i aparat fotograficzny, może się od tego przewrócić w głowie.

Nareszcie. Jednak weźmiemy się za robotę. Tuż przede mną Mike znika pod masą ciuchów i paczuszek. Wygląda, jakby właśnie wracał z zakupów u Macy'ego. Ajajaj, co za zawód...

XXV

Już

A potem wszystko już idzie bez przeszkód. Przelecieliśmy ponad wyspą. Jest dość duża... Miałem stracha, że nie trafię i wyląduję gdzieś obok, ale teraz się uspakajam. Na środku stoi piękny stary wulkan, oczywiście wygasły, z czarującym, okrągłym jeziorkiem na szczycie, lśniącym poprzez gęste drzewa. Wskoczyliśmy jeden po drugim, a ostatni zamknął drzwi za sobą, wszyscy bowiem są tu dobrze wychowani... Spadamy oddaleni od siebie o kilkaset metrów, z całym majdanem dzwoniącym nam o grzbiety. Andy wyskoczył pierwszy, ja byłem czwarty, nie mam zbytniego cykora, lecz jednak trochę mnie to drażni; człowiek czuje się cały poruszony i дума, czy to się otworzy zgodnie z tym, co mówiono. Jestem już o pięćdziesiąt metrów niżej od wszystkich, nic dziwnego - przy moim ciężarze opadam szybciej. Zbliżają się drzewa. Powinniśmy przelecieć między nimi. Nie dało rady zrzucić nas w szczerze pole, byłoby to zbyt blisko przypuszczalnego schronienia doktora... Więc ryzykujemy, i każdy na własny rachunek musi próbować nie rozbić sobie pyska. Dostrzegam już czubki pierwszych drzew i zaczynam pociągać za linki, chcąc się rozkołysać, by w ostatniej chwili, o ile będzie to możliwe, nakierować się w najmniej niebezpieczną stronę.

Kiedy jest się niżej, to wszystko idzie jeszcze szybciej. Kulę się, gotów schwycić pierwszą napotkaną gałąź... Hop... oto i ona... Drapie mnie po rękach i spuszczam sobie na czaszkę niezły kawał drewna... świetna robota... zwałam się przy trzasku łamiących się gałęzi, skręcając sobie przy tym kilka gnatów, i ląduję w zgrabnych widełkach, kompletnie zaklinowany. Jestem co najmniej o dziesięć metrów od ziemi. Niedaleko od siebie słyszę różne odgłosy i przekleństwa...! Jeden z moich koleżków musiał wylądować... Teraz nie ma czasu na wygłupy. Jest dość jasno... Orientuję się bez kłopotów. Jestem przy samym pniu, pode mną nie ma ani jednej gałęzi, do której mógłbym dotrzeć bez trzymetrowego upadku... Dobra. Andy rzeczywiście miał rację. Zajmuję pewną pozycję i rozwijam kłęb sznura, jakim mnie opasał. Jest on zakończony małą kotwiczka z hartowanej stali, którą wbijam w drzewo, a przed pochwyceniem linki zakładam rękawice wiszące na mej szyi... W porządku. Spuszczam się... jedynie na samych rękach; Boże, jakież jestem ciężki... Spoglądam... Jeszcze dwa metry... Jakoś to będzie... Puszczam.

Wydaję głośny okrzyk spadając okrakiem na wielką ropuchę, która czeka na mnie już od pięciu minut. Od razu przeszła do rzeczy chciała się po prostu przywitać, nic więcej. Zaraz

potem odchodzi. Powstrzymuję ochotę do ucieczki co sił w nogach i zaczynam iść w kierunku odgłosu, który przed chwilą słyszałem. Miejsce zbiórki zostało wyznaczone na północy, na brzegu jeziora. Busola? Obecna!... na prawym nadgarstku.

To Mike upadł obok mnie. Również jest nietknięty... lecz ciężko mu się maszeruje, gdyż gruba gałąź wjechała mu dokładnie między nogi. Mike, jak przystało na eleganckiego mężczyznę, już złożył swój spadochron, a ja przypominam sobie, że pozostawiłem mój na drzewie wraz z linką. Mówię mu o tym.

- Pójdziemy go odszukać - mówi. - Mógłby nas zdemaskować.

- Sądzisz, że to się jeszcze nie stało? - pytam.

- Mam nadzieję... Zaraz się o tym dowiemy.

Wracamy pod moje drzewo i udaje nam się odzyskać sznur i spadochron, nie bez trudu zresztą... Tam dowiaduję się o istnieniu sztuczki kuglarskiej, zwanej tyrolskim zawołaniem... Bardzo sprytnie...

Później udajemy się w drogę w kierunku jeziora. Las jest zwarty i pełen kęp ostrej, twardej trawy. Na szczęście, chronią nas kombinezony, a ta wyspa była często odwiedzana, widać pozostałości ścieżek, nadające się jeszcze do wędrówki. Wystarcza nam kwadrans, żeby dotrzeć do jeziora. Brzeg lśni w świetle księżyca, a wielkie bloki lawy oddzielają urwiste skarpy od wody.

Niewielki ogienek mruga w oddali. Mike nieruchomieje i patrzy...

- To Sigman - mówi. - Czeka tam na nas.

Podchodzimy do niego i stwierdzamy, że Aubert też już dotarł. Powoli wszyscy wychodzą z lasu i wkrótce jest nas ośmiu. Carter ma zwichnięty nadgarstek, to wszystko. Gary kica jak stado pasikoników, po skoku jest rozbudzony bardziej niż kiedykolwiek. Aubert szturcha mnie łokciem.

- Szkoda, że nie ma tu mojej żony - mówi. - Brzeg jeziora w świetle księżyca nieźle by ją natchnął... zwłaszcza, że jest Węgierką...

Jakoś nie widzę związku i mówię mu o tym, co go nie wzrusza w najmniejszym stopniu.

- Romantyczka, rozumiesz... to wszystko wyjaśnia.

Skoro romantyczka, to nie ma nic do dodania. Andy zaczyna wydawać polecenia. Ustalono, że dwóch z nas pozostanie tutaj: Carter i drugi, wysoki rudzielec o ptasiej głowie, zostają wyznaczeni. Założą tu coś w rodzaju obozowiska, które ukryją możliwie jak najlepiej i gdzie pozostawimy nasz towar. Pozostali wyruszą do ataku na Fort Schutz... Z pewnością jest tam jakaś chałupa, w odniesieniu do której można by użyć tego terminu.

- Kiedy wyruszamy? - pyta Gary.

Niesie na piasku leicę i aż płonie z ochoty do działania. Jak jakiś pies myśliwski w pustym polu, tak on węszy trop królika w potrawce (pewien specjalista - jeden z mych przyjaciół - zapewniał mnie, że pies może sobie przedstawić królika jedynie w takiej postaci, stąd jego pokrewieństwo z tym zwierzęciem oraz obowiązek, który sobie narzuca, przystosowania rzeczywistości dla uzyskania wyniku zgodnego z jego wyobrażeniem).

- Już wkrótce - odpowiada Andy.

Faktycznie, dziesięć minut później podnosimy kotwicę. Andy zorientował się w terenie i żwawo maszerujemy poprzez gęstwinę lasu porastającego wyspę.

Nie liczę ilości skoków, które robimy, lecz liczba ich musi oscylować między trzema tysiącami czterystu siedmioma a trzema tysiącami czterystu dziewięcioma, kiedy wypadamy na równinę. Pozostawiamy las za sobą i tniemy prosto przez pola pokryte trawami i japońskimi hełmami, pozostałością wojny szalejącej tutaj jeszcze nie tak dawno.

Jest prawie trzecia nad ranem.

Posuwamy się bezgłośnie, lecz nieco zaniepokojeni. Jak się rzeczy będą przedstawiały? Ziemia pod naszymi stopami jest sucha i twarda, a łodyżki traw trzeszczą rytmicznie w miarę, jak torujemy sobie drogę w kierunku wyznaczonym przez Andy'ego.

Po pewnych oznakach stwierdzam, że jesteśmy w bezpośredniej bliskości miejsc zamieszkałych. Od czasu do czasu pojawiają się ślady ludzkiej bytności i oto przed naszymi nosami ukazuje się bez cienia wstydu droga, rozciągając się pod żółtym okiem księżyca, który udaje, że patrzy gdzie indziej.

- Stać! - rozkazuje Andy. Stajemy. Andy orientuje się.

- Naprzód. Ruszamy w lewo.

- Bez hałasów - nakazuje Andy. - Musimy być niedaleko...

Jeszcze kwadrans... i depczę po piętach Jamesona, który znieruchomiał przede mną. Aubert też mnie nie chybia, więc padam na ziemię jak placek. Na szczęście, nie jest zbyt ciężki... Uf...

- Nie ściskaj mnie tak namiętnie, Aubert - mówię. - Węgierki są piekielnie zazdrosne. A tak w ogóle, to skąd wytrzasnąłeś swoje imię? Jesteś pochodzenia kanadyjskiego? Czy jakiego?

- Mohikańskiego... - odpowiada - i niech mnie diabli, jeśli wiem, dlaczego się tak nazywam.

- Cii! - mówi Andy półgłosem. - To nie igraszki - dodaje - w rodzaju skoku przez konia na wrotkach z jajkiem na łyżce w zębach.

Przed nimi rozciąga się olbrzymia posiadłość na wpół zamaskowana zasłoną drzew... Wielki, niski dom oświetlony od góry do dołu, to znaczy - na całej szerokości, zważywszy, że góra jest równie nisko jak dół, jak to zwykle bywa ze wszystkimi jednopiętrowymi budynkami.

Słysząc nikłe echo muzyki jazzowej... niezłej muzyki jazzowej... W oknach przesuwiają się jakieś sylwetki... Jeszcze jesteśmy zbyt daleko, by zobaczyć dokładnie...

Andy przykuca, robimy to samo.

- Rock - woła. - I ty Mike. Podejdźcie do mnie... Zbliżam się czołgając, a Mike już jest przy nim. Trzyma wielką lornetę i podaje mi ją. Swoją, oczywiście, zostawiłem w obozowisku.

- Popatrz na to...

- Patrę...

Jakoś niewyraźnie, kręcąc ostrością...

A to dopiero... ale zbyt.

Wszyscy są ubrani w zachwycające naszyjniki z pereł lub bransolety z kwiatów... no, nie, przesadzam... Jeden ma na piersiach całą girlandę, a na głowie kolorową opaskę...

- Rozbierajcie się - rozkazuje Andy. - A ty, Aubert, zbieraj kwiaty... z Jamesonem... i uplećcie wianki...

- Ale ja nie umiem...! - jęknął wielki Jameson...

- No, nie przejmuj się - mówi Aubert. - Tak rodziła się sztuka... Od razu widać, że nigdy nie uprawiałeś teatru... Kiedy człowiek się tym zajmuje, może się wszystkiego nauczyć.

Wykonuję rozkaz Andy'ego i wkrótce jestem w stroju niedbałym. Ci, co nie zajmują się kwiatami, natychmiast mnie otaczają...

- Niech to - mówi Nicolas. - Przecież to ty jesteś ubiegłoroczny „Mister Los Angeles”.

Wybucham śmiechem... Mam dobrego krawca i kiedy jestem ubrany, ciężko jest się domyślić, co wykombinowałem sobie w temacie anatomicznym (rodzice pomogli mi trochę na początku).

- Zgadza się - odpowiadam. - Lecz nie przysparza mi to chwały... Wszyscy biorą mnie za kretyna...

- I nie za bardzo się mylą - dorzuca Gary.

Tymczasem Mike Bokanski również wyskakuje z odzienia, i słowo daję, dość pasujemy do siebie... Kolega Mike jest na poziomie...

Aubert skończył piękną bransoletkę z kwiatów wihajstrozezowca rozbieżnego i podaje mi ją. Jest mi w niej bardzo do twarzy... Jameson zadowala się zbieraniem zwykłych

kwiatów... Jego pierwsza produkcja okazała się strasznym paskudztwem, więc odpuścił sobie...

- Dołączycie do tamtych - mówi Andy. - I wróćcie możliwie jak najszybciej z informacjami...

- A jeśli się niczego nie dowiemy? - pyta Mike.

- Spuszczam się na was - odpowiada Andy.

- Wkurza mnie to - mówi Mike. - Po pierwsze, nie mam psa, a po drugie - granatów. Jestem całkiem bezbronny.

- Radźcie sobie sami - odpiera Sigman. - I wypieprzać...

- Dobra, szefie - mówi Mike. - Lecimy.

Przyozdabia się kwiatami i pędzimy, trzymając się, w ramach zbyków, za mały paluszek. Panowie skręcają się ze śmiechu w chińskie dziewięć.

Początkowo uczucie nagości trochę mnie krępuje, lecz czas jest tak piękny, a noc nie ma sobie równych. A poza tym, wygląda na to, że wszystkim na tej wyspie wisi koncertowo. Spodziewałem się znaleźć Schutza obwarowanego, złego, produkującego roboty w celu podbicia Ameryki czy coś w tym rodzaju... A tu nic takiego, owszem... śliczne przyjętko dla satyrów...

Podążamy ścieżką wysadzaną kwiatami... Teraz muzykę słyhać bardzo wyraźnie.

I nagle na zakręcie, widzę idącego przede mną Mike'a, który drży od stóp do głów...

Przy krawędzi drogi wisi ukrzyżowany mężczyzna... Także nagi... jasny blondyn... bardzo blady... Ziejąca rana widnieje na jego lewej piersi... Został przybity do pnia drzewa przy pomocy stalowego pręta, który przeszył mu serce.

Na szyi tabliczka: „Braki w wyglądzie”.

Mike chwyta mnie za ramię... Nie zdaje sobie sprawy, że ściska bardzo mocno, ja również nie zdaję sobie z tego sprawy. Toteż dalej na mnie wisi.

- Co to może znaczyć? - szepcze. - Widzisz u niego jakieś braki w wyglądzie?

- Hmm... - mówię - nie zamieniłbym się z nim teraz, ale przedtem - z pewnością. - Nie żyje... - dodaję...

- Całkiem, zupełnie i bardzo - odpowiada Mike opanowany jak zwykle, lecz jednak trochę poruszony.

- Wracamy czy idziemy dalej?

- Idziemy - mówi Mike. - Wszystko się okaże.

Cóż, nagle stwierdzam, że kiedy się nic nie ma na grzbiecie, wcale nie jest zbyt gorąco... Co to może być za brak w wyglądzie, którego nie widać? To się chyba może również

nazywać pretekst...

Idziemy powolutku... Jesteśmy już bardzo blisko imprezy... Jakaś para pojawia się przed nami... Zaraz nas wyminą... Mijają nas...

- Hej - mówi Mike - jeśli wszyscy są tacy jak ta dwójka... to rozumiem, dlaczego skasowali takiego koleśka.

Nigdy bowiem nie widzieliśmy dwóch istot podobnej urody...Nie dają się opisać. Widząc nas, nawet nie mrugnęli okiem. Przeszli obojętnie, trzymając się za ręce. Mężczyzna i kobieta... równie skąpo odziani jak my... kilka kwiatów...

- Powiedz, Mike... Czy naprawdę uważasz, że mamy szansę przejść niepostrzeżenie... Czuję się, jakbym miał mnóstwo braków w wyglądzie... A w środku, to już musi być zupełna katastrofa...

- Ty jeszcze ujdiesz - mówi Mike... – Ale ja... Przyglądam mu się uważnie... Nic do zarzucenia... Być może trochę zbyt obfite owłosienie...

Dzielę się z nim moimi wątpliwościami...

- Ach, do licha - mówi Mike. - Jeśli tylko ten drobiazg, to jakoś będzie musiało to ujść... Przecież nie wyrwę sobie całej mojej pięknej sierści, by ucieszyć oczy doktora Schutza. Spójrz w lewo - dorzuca, nie zmieniając tonu.

Po mojej lewej leży skulone, blade ciało... Długi, żelazny pręt przeszywa mu gardło... Głowę ma odrzucaną w tył, a metalowa łodyga przygwaźdża je do ziemi... Na szyi wisi tabliczka z dwoma proroczymi słowami...

- Cholera - mówię. - Dziwne przyjęcie... Sądzisz, że zostawili to na naszą cześć... ?

- Nie... Cii... - szepcze Mike.

Właśnie wyszliśmy na otwarty teren. Dwanaście lub piętnaście par tańczy słowa, podczas gdy inni chodzą tam i z powrotem, śmieją się, piją, palą...

No, teraz trzeba będzie zagrać ostro...

XXVI

Tajemnice Markusa Schutza

Kilka metrów przed nami stoją trzy kobiety. Rozmawiają, nie zważając na nic, i wydają się obserwować czyjeś zachowanie. Zbieram cały mój tupet i skłaniam się przed jedną z nich.

Przysięgam, że pierwszy raz w życiu tańczę w pełnym świetle z osobą, która za cały strój ma duży naszyjnik z czerwonych kwiatów. Całe szczęście, że Sunday Love i moje dwie stare przyjaciółki, Beryl i Mona, pozwoliły mi na uzyskanie pewnej przewagi... A poza tym, wydaje mi się, że było to tak dawno. Czuję na mej piersi napór dwóch kształtnych i jędrnych kul, a moje nogi muskają dwie kolumny z gładkiego i świeżego ciała. Przybliżam ją trochę do siebie i pragnę, by płyta, o ile to płyta, nie skończyła się zbyt szybko albo zęby skończyła się natychmiast...

Mike także tańczy. Śledzę wzrokiem trzecią kobietę. Oddala się, nie rzuciwszy nam nawet spojrzenia.

Nagle podskakuję, gdyż dostrzegam dwie twarze całkiem identyczne, lecz nasza wizyta w klinice w San Pinto już mnie oświeciła w tym względzie. No proszę, a co z Jefem Devayem? Gdzie on jest? Od mojego powrotu do Los Angeles wydarzyło się tyle rzeczy, że całkowicie zapomniałem, iż miał nam towarzyszyć.

Waham się. Porozmawiać z tą kobietą...? Ona atakuje pierwsza.

- Z jakiej serii jesteś? - pyta. - Wyglądasz na S.

- Dokładnie - odpowiadam, zadowolony z tej deski ratunku. - A ty?

- Seria O, zaledwie - mówi z pokorą. - Nie przypuszczam, że doktor pozwoli wam przyjść. To jest impreza dla O.

- Jakoś sobie poradziłem - odpieram. - Wiesz, w jednej serii wszyscy są do siebie zbyt podobni... Nie ma w tym wcale wdzięku...

- Tak - przyznaje dziewczyna - na próżno doktor komponuje elementy z różnych twarzy, zawsze są jakieś punkty wspólne... Cieszę się, że mogę rozmawiać z kimś z S...

Daje mi wyraz swego zadowolenia, więc jestem zobowiązany czynić podobnie...

- Doktor pojawi się dzisiaj wieczorem? - pytam trochę na chybił trafił.

- Owszem, przyjdzie pod koniec... Na pewno nie omieszka... Czy chcesz, żebyśmy od razu poszli na ławkę?

- Hm, tego - mówię lekko zażenowany.

Co się robi na łące? Domyślam się niejasno...

- Dzisiaj mamy prawo - dodaje. - To nie jest dzień niebezpieczny...

Zaczynam pojmować, o co może chodzić.

- A nie wolałabyś pogawędzić? - pytam.

- Och... - mówi - gawędzić... To zabawne... ale niczego nie zmienia... Tak bardzo bym chciała kochać się z kimś z serii S...

Trudno odmówić... zwłaszcza że nie mógłbym jej powiedzieć, iż tego nie lubię... Właśnie mimowolnie udowadniam jej coś wręcz przeciwnego... Jezu, co za dzień...

Kieruje mnie w stronę drzew i dotarłszy do granicy cienia, natychmiast się rozłączamy. Biegnie, ciągnąc mnie za rękę. Gdzie jest Mike? Nie interesuje mnie to.

Toczymy się po gęstej i pachnącej trawie.

Dziewczyna jest całkiem jak spuszczone z łańcucha.

- Natychmiast - jęczy. - Natychmiast... Proszę...

Do licha, w takim tempie jest to mało zabawne. Zacząłem gustować w drobnych żarcikach wstępnych, co jej natychmiast udowadniam. A poza tym, to trochę relaksuje.

Po trzech minutach sportu jestem zmuszony położyć jej dłoń na ustach, bo za bardzo się wydziera. Wykręca się jak węgorz pocięty na troje. Jest nazbyt doskonała; na próżno by szukać jakiś barokowych wybrzuszeń, anomalii... Nic... Najmniejszego braku w wyglądzie. No i konsystencja raczej podziwu godna.

Naprzód... Zmieńmy miejsce... Trawa jest przyjemna, lecz rozciągnąć się na pięknej skórze... to także rzecz warta zachodu... Jestem trochę zbyt świadomy... Bardzo chciałbym stracić głowę...

- No - mówię - czego cię nauczono...

- Posłuszeństwa - odpowiada rwącym się głosem.

O nie, muszę jej powiedzieć, czego od niej oczekuję... Lecz nie mam śmiałości... A poza tym, mam zbyt bujną fantazję... i na dokładkę nazbyt skomplikowaną...

- Pozwól mi działać - mówię jej do ucha. - Tak będzie wygodniej.

Bo jest jeszcze parę drobiazgów, jakich nie miałem czelności wypróbować z Sunday, Beryl i Moną. Drobiazgów, które zresztą nic was nie obchodzą.

Tym razem jestem zmęczony już po pół godzinie... Brak treningu bądź jego nadmiar. Dziewczyna ze swej strony jest całkiem nieruchoma. .. Ale serce bije... Zawsze tak jest... Wstaję chwiejąc się.

Zostawiam ją tam po prostu... Co za dziwne miejsce. Inna sprawa, że nikt nie

trzymałby ludzkiej stadniny tylko po to, by jej pensjonariuszki nauczyły się grać w kulki...

Wracam na bal. Stoję nosem w nos z Mikiem.

- Gdzie się podziały twoje kwiatki? - pytam.

- A twoje? - odpowiada. - A kto cię ugryzł w obojczyk?

- To tajemnica, kiciusiu. Co odkryłeś?

- Że te samiczki są gorące jak sto szatanów... - mamrocze Mike.

- Bardzo mi się to podoba - mówię. - Lecz jak na informację dla Andy'ego, to raczej niewiele. Mike...! Popatrz...! Dziadek...!

Pomiędzy grupkami pojawił się właśnie jakiś mężczyzna... Wysoki, szczupły, o srebrnych włosach, ubrany w spodnie i koszulę z białego jedwabiu.

Podchodzi do nas.

- Co tu robicie? - pyta. - To nie wasz dzień.

Przygląda mi się trochę uważniej i w kąciku ust pojawia mu się lekki uśmiech.

- Ach! To nasz drogi pan Rock Bailey... Bardzo mi miło... Wziąłem pana za jednego z mych... hmm... pensjonariuszy.

- Z serii S - mówię. Jego uśmiech się poszerza.

- Dokładnie, z serii S.

- Mike Bokanski - mówię, wskazując na Mike'a. Mike kłania się. Tamten również.

- Jestem Markus Schutz - mówi. - No cóż, panie Bailey, cieszę się bardzo, że szczęśliwy przypadek przywiódł pana do mnie... Zna pan już moją posiadłość w San Pinto, jak sądzę... Ta tutaj jest o wiele przyjemniejsza... Spokojniej tu...

- A poza tym, można spokojnie kasować ludzi mających jakieś braki w wyglądzie - dodaje Mike.

Doktor unosi szczupłą dłoń w geście protestu.

- Oni popełniają samobójstwa. To taka ułomność... Wychowuję ich w dość szczególny sposób... Tak są uwarunkowani, że samo już pojęcie brzydoty budzi w nich wstręt... i kiedy dostrzegają u siebie jakąś niedoskonałość, kończą ze sobą sami... Ponieważ mimo to są nadal bardzo piękni, pozostawiamy ich ciała jeszcze przez kilka dni... Moi ogrodnicy rozmieszczają je starannie u wejścia do posiadłości...

- A jak tam pana doświadczenia? - pytam.

- Mój Boże... trochę mi przeszkadzano ostatnimi czasy... Muszę wam wyznać, że miałem sporo kłopotów z moimi sekretarzami, braćmi Petrossian... Spostrzegłem, że za moimi plecami zorganizowali drobny handelek... Nic poważnego... zdjęcia z operacji... Nieźle im szło, jak sądzę, lecz doprowadziło do pewnych komplikacji, więc poprosiłem ich, żeby

przestali...

- Pan ma metody... - mówi Mike.

- Mam wyśmienitych strzelców w mojej ekipie - odpowiada Markus Schutz. - Ale a propos, Barley... Pewnego wieczora zaprosiłem pana do siebie... Dlaczego odmówił pan tej młodej damie, którą panu zaproponowałem...? Jest pan chyba chłopcem lubiącym kobiety, co...? Proszę zauważyć, że osobiście mam odmienny gust... lecz prawdę mówiąc, nie zrozumiałem pańskiej niechęci...

- Przypominam sobie dwóch pańskich pielęgniarzy - odpieram. - Jednego wyrolowałem na zakręcie, lecz jeśli kiedykolwiek zdarzy mi się położyć rękę na drugim...

- To dzielny chłopak - mówi Schutz. - No, nie uprzedzajmy się zbyt łatwo... Szybko pan zapomni o tym wszystkim. Chodźcie obaj, napijemy się czegoś...

Spoglądamy na siebie z Mikiem całkowicie oglupiali.

- Nie przejmujcie się - mówi Markus Schutz. - Wszyscy reagują w ten sam sposób, widząc mnie po raz pierwszy. Wcale nie wyglądam na takiego, jakim jestem w rzeczywistości. Ale - dodaje, zwracając się w moją stronę - zostaniecie chyba moimi gośćmi przez kilka dni...? Bardzo bym pragnął zapoznać pana ze wspaniałą przyjaciółką... Będzie pan mniej... płochliwy niż za pierwszym razem, mam nadzieję... i jeśli pan Bokanski się zgodzi... Wydaje mi się, że ma pożądane gabaryty... będę miał również kogoś dla niego.

- Bierze mnie pan za knura? - pyta Mike nieco brutalnie. - No, no - mówi Schutz. - Niech pan nie używa takich słów... Lubię ładne stworzenia i staram się wyprodukować ich możliwie jak najwięcej... Lecz pragnę różnorodności, co mogę uzyskać, jedynie często zmieniając moich podstawowych reproduktorów. Przedstawiam wam sprawę otwarcie... Mam nadzieję, że wszyscy trzej pozostaniemy szczerzy... Pana przyjaciel wygląda na bezpośredniego - ciągnie, zwracając się do mnie - używa słów nieco potocznych, lecz to też forma szczeroci... I nie jest irytująca...

Idziemy za nim wzdłuż podestu z jasnego kamienia ku wnętrzu potężnej i zachwycającej willi.

- Mam mnóstwo ludzi do wyżywienia - mówi Schutz - więc musiałem zakupić tę wyspę... Mam całą serię pracującą na polach, mam ludzi do wszystkiego... Kiedy już się zrobi pierwszego, to dalej idzie już łatwo.

- Kto panu podsunął pomysł produkowania żywych istot? - pyta Mike.

- Wszyscy ludzie są bardzo brzydzy - mówi Schutz. - Czy zauważyliście, że nie można się przejść po ulicy, nie widząc mnóstwa obrzydliwców? No cóż, uwielbiam przechadzać się po ulicach, lecz nie cierpię brzydoty. Toteż skonstruowałem sobie ulicę i

wyprodukowałem ładnych przechodniów... To było najprostsze. Zarobiłem mnóstwo pieniędzy, lecząc miliarderów o owrzodzonych żołądkach... Ale mam już tego dość... Wystarczy... Moje hasło brzmi: wykończymy wszystkich obrzydliwców... Zabawne, nieprawdaż?

- Jakież to podniosłe! - wołam.

- Oczywiście, jest w tym pewna przesada - dodaje jeszcze. - Nie zabija się ich, ot tak...

Podchodzimy do wielkiego stołu przykrytego nieskazitelnym obrusem, gdzie lśnią kieliszki, szklanki, lód i całe mnóstwo rzeczy każących nieodparcie myśleć o picciu. Otaczające nas pary nie zwracają najmniejszej uwagi na nasze trio.

- Płatom ludziom mnóstwo psikusów... - ciągnie dalej Schutz. - Oczywiście, nie ograniczam się wyłącznie do hodowania dzieci w słoikach, to drobiazg. Kształuję ich ciała i umysły, po czym wypuszczam w świat bądź pozostawiam przy sobie, by mi pomogli w pracy. Mam poważne referencje... Na przykład Lina Dardell, gwiazda filmowa... Pochodzi ode mnie... To właśnie dlatego nigdy nie można było niczego przeczytać o jej życiu... Dziesięć lat temu siedziała jeszcze w swoim słoiku... Przyspieszone starzenie to rzecz najłatwiejsza do uzyskania... Czasowe przyspieszenie rytmu życiowego, wzmocnione dotlenianie... to idzie jak z płotka... Punkt kulminacyjny to selekcja... ulepszanie... Bo jednak jest dość duży procent odpadów... Sześćdziesiąt, mniej więcej...

- Czy wielu ma pan pensjonariuszy, którzy stali się sławni? - naciska Mike.

Schutz patrzy na niego.

- Mój drogi Bokanski, gdyby się pan tego nie domyślał, nie byłoby pana tutaj...

- Ależ myli się pan - zapewnia Mike. - Wiem o panu tyle, ile mi pan sam powiedział...

- Dobrze już, dobrze... - ironizuje Schutz. - Domyśla się pan, że jestem poinformowany.

Odwraca się ku mnie.

- To już pięć meczy przegrał Harvard w rozgrywkach z Yale - mówi.

- Futbolowych? - pytam.

- Owszem. Pięć meczy z rzędu. To się liczy. A wszystko to dlaczego?

- Bo drużyna Harvardu jest gorsza - odpowiadam.

- Nie - mówi Schutz. - Dlatego, że drużyna Yale jest lepsza. Ci z Harvardu są najlepsi w Ameryce, ale ci z Yale pochodzą z moich warsztatów.

Śmieje się szyderczo.

- Tylko trzeba by tego dowieść... i oto mamy przygnę wizyty Mike'a Bokanskiego i Andy'ego Sigmana w moim domu w San Pinto. Ile dostaliście od Harvardu za spapanie

wszystkiego u mnie? - ciągnie, zwracając się do Mike'a.

- Nic - mówi Mike. - Daję panu słowo.

- Pan nie ma słowa - odpiera Schutz. - niewiele ono pana kosztuje.

- Jestem tu z całkiem innego powodu... - mówi Bokanski. - Nie chodzi tu o sport. I pan dobrze o tym wie.

- Ach - odpowiada Schutz - kiedy pan mówi zagadkami, to już za panem nie nadążam. Chodźcie zobaczyć moje dziewczynki, już i tak straciliśmy dość czasu... Proszę was tylko o godzinę, a potem dam wam święty spokój...

- Niech pan posłucha - mówię. - Naprawdę, dopiero co z jednej skorzystałem i nie jest to żadna metafora. Jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu byłem całkowicie niewinny i zapewniam pana, że żał mi tamtego okresu. Gdyż od ósmej rano wczorajszego dnia nie przestaję...

- Och - mówi Schutz - jeden raz mniej czy więcej... No, chodźcie.

Posuwamy się za nim przez ciąg wielkich pomieszczeń pomalowanych na jasne kolory, z wielkimi otworami wychodzącymi na ocean, którego obecność można z trudem odgadnąć w mroku nocy. Świt ledwie zaczął wstawać. Wreszcie docieramy do znikających gdzieś w dole schodów.

- Znowu pod ziemię - stwierdzam.

- Tam jest bardzo dobrze - odpowiada Schutz. - Stała temperatura, doskonałe wyciszenie, bezpieczeństwo, wszystko tam jest.

Zagłębiamy się we wnętrzości ziemi... wnętrzości wyszorowane do czysta. Doktor podąża przed nami, Mike idzie tuż za nim, a ja zamykam pochód.

- Wracając do naszej rozmowy - mówi Mike - chciałbym się dowiedzieć, kim jest Pottar.

Schutz nie odpowiada i niewzruszenie maszeruje dalej.

- Słyszał pan o Potrze? - ciągnie Mike. - A ty, Rock, znasz Pottara?

- No... cóż, jak wszyscy - odpowiadam. - Czytałem jego artykuły... ale nigdy go nie widziałem...

- Nie wiadomo, kim jest Pottar - kontynuuje Mike, mówiąc rozmarzonym tonem, jak gdyby był sam - lecz za Pottarem stoi dwadzieścia milionów Amerykanów gotowych pójść za nim na najmniejszy znak. A Kapłan?

- Wiem, kim jest Kapłan - odpowiadam. - To ten, co poprowadził ostatnią kampanię przeciwko gubernatorowi Kingerleyowi.

- Kapłan pojawił się w świecie polityki cztery lata temu - mówi Mike - i wysadził w

powietrze wszystkie projekty Kingerleya, człowieka działającego w branży od dwudziestu lat... O Kapłanie nic nie wiadomo... Lecz kiedy człowiek zada sobie trud porównania teorii Kapłana i Pottara... napotyka różne ciekawostki...

- Niezbyt interesuję się polityką - mówi Schutz.

Dotarliśmy do końca schodów i Schutz pilotuje nas przez kolejne jasne i puste korytarze. Podłoga pokryta jest grubym różowobeżowym dywanem, a chromowane okleiny lśniąco ozdabiają ściany.

- Kapłan i Pottar podobają się tłumom - mówi Mike. - Są przystojni, inteligentni, czarujący... i prowadzą niebezpieczną grę. Zagrożają bezpieczeństwu całych Stanów Zjednoczonych...

- Niewątpliwie ma pan rację - odpowiada Schutz. - Powtarzam panu, że mnie to mało interesuje... Przede wszystkim jestem esteta.

- Kapłan i Pottar pochodzą od pana... - stwierdza Mike zimno. Zapada cisza. Schutz zatrzymuje się, a jego szare i lodowate oczy spoczywają na Mike'u.

- Posłuchaj, Bokanski - mówi - oszczędź mi pan tych dowcipów... Porozmawiajmy o czymś innym... Proszę o to, jak o osobistą przysługę...

- Dobra - mówi Mike... - Nie będę się upierał... Lecz jeśli mi pan powie, że zadowolona się rozpowszechnianiem kultury fizycznej, to niech pan nie oczekuje, że ja to łyknę... Wiem doskonale, że trzy piąte polityków niebezpiecznych dla aktualnej władzy zostało wychowanych i uwarunkowanych przez pana. Moje gratulacje zresztą... pana system jest ekstra.

Schutz zaczyna się śmiać.

- Posłuchaj Bokanski... Już miałem się zezłościć, ale mówi pan to tak poważnie, że wybaczam panu... Ja, Markus Schutz, penetrujący wszelkie środowiska, by położyć rękę na sterze władzy...? Mój drogi, daj spokój... Raczysz żartować... Siedzę na mojej wyspie jak niekoronowany król i oddaję się doświadczeniom w całkowitym spokoju...

- Nie mówmy już o tym - odpiera Mike. - Gdzie są te pańskie dziewczynki?

- Ach? - mówi Schutz. - Dobrze powiedziane... Już jesteśmy.

Usuwa się, by umożliwić nam wejście do wielkiego pomieszczenia, którego środek zajmuje biurko. Podchodzi do niego, wyciąga szufladę pełną kartek, na które rzuca okiem.

- Dobrze - stwierdza. - Sale 309 i 311. Sprowadzę dziewczyny za godzinę będziecie wolni... to znaczy, będziecie mogli odejść, oczywiście, gdyż doceniam humor, lecz jeśli nie ma w nim przesady.

- Obiecuję panu, że nie mamy zamiaru zabawić tu zbyt długo - mówię. - Gdyby nie to,

że tak usilnie pan nastawał, byśmy zostali, to już dawno by nas nie było.

- Zapewne musicie czuć się nieco śmiesznie - ciągnie Schutz.

- Wsiąść w B-29, wyskoczyć na spadochronie, jak jakiś mały komandos, rozebrać się do naga i napaść na dom starego poczciwca, który hoduje ludzkie rośliny, tak jak inni hodują orchidee lub popachypodium, naprawdę, wszystko to nie stanowi dla was tytułu do chwały...

- Przyznaję, że to idiotyczne - stwierdza Mike.

Lecz mam wrażenie, że Mike coraz bardziej ma się na baczności...

- W każdym bądź razie - ciągnie Schutz - chodźcie ze mną. Pokażę wam, gdzie to jest.

Podnosi słuchawkę.

- Przyślijcie P-13 i P-17 do pokoiów 309 i 311 - mówi. Odwraca się do nas.

- Obie są całkowicie identyczne. Gdybyście woleli być razem we czwórkę, to oczywiście wasza sprawa... oba pokoje się łączą.

- Dzięki - mówi Mike. - Skorzystamy z pozwolenia. Schutz odkłada bezwiednie słuchawkę.

- No to naprzód.

Podążamy za nim, jak dwa wierne psy w czasie łowów na ślimaki. Przy pokoju 309 zatrzymuje się i Mike wchodzi. Ja przekraczam próg następnych drzwi.

- To na razie! - woła Schutz odchodząc.

Policja w jego korytarzach jest kompetentna. Od momentu zejścia nie widzieliśmy żywego ducha.

W pokoju czeka na mnie bardzo ładna osoba. Jest ogniście ruda. Ruda od stóp do głów.

- Dzień dobry - mówi. - Jesteś z serii S, co najmniej?

- Jestem wolnym strzelcem - odpowiadam. - Pracuję na własny rachunek.

Wydaje się nieco zaskoczona.

- To skąd się tutaj wziąłeś?

- Takie rzeczy się zdarzają - mówię. - Gdyby nie tajemnice, życie byłoby nudne.

Udaję się do drzwi przejściowych i wchodzę bez pukania. Mike siedzi na łóżku. Przed nim stoi wierna kopia mojej towarzyszki.

- Hej, Mike - wołam. - Czujesz się na siłach?

- Zaczynam mieć tego dość - mówi. - Po pierwsze, nie znoszę tego, a po drugie, raz w tygodniu całkowicie mi wystarcza. A może zostawić je, niech sobie same radzą?

- Świetny pomysł - mówię. Wracam do swego pokoju.

- Chodź Sally - mówię. - Zabawimy się.

- Chętnie.

Przykleja się do mnie w przejściu i coś tam kombinuje biodrami. Pozostaję niewzruszony.

- Nie podobam ci się? - pyta.

- Owszem, żabciu - odpowiadam. - Ale ja jestem homoseksualistą.

- A co to znaczy?

- Że lubię jedynie tych, którzy są do mnie podobni. Dlatego, jeśli nie masz nic przeciwko temu, rozerwiesz się z Mary.

- Ale dlaczego nadajesz nam te imiona? - pyta.

- Nie cierpię cyfr - odpieram.

Daje się ciągnąć i patrzy na mnie z niepokojem. Widząc ją, Mike aż wykrzykuje.

- To niemożliwe - mówi. - To jakieś zwidy. Nie mogą przecież być podobne do siebie aż do tego stopnia.

- Ależ owszem - protestuje Mary. - Jesteśmy bliźniaczkami z jednej serii... Dobrze wiecie...

- To oburzające - mówi Mike. - Poślubić taką kobietę i w każdej chwili mieć świadomość, że zdradzacie z innym...

- Lecz my jesteśmy dwie - odpiera Sally. - Dwie, rozumiesz?

- A czy wy chociaż wiecie, co dwie ładne dziewczyny mogą robić ze sobą? - pyta Mike.

- To surowo zabronione - mówi Mary.

- Powiem ci szczerze - ciągnie Mike. - Nie mogę iść z tobą do łóżka, bo doktor zabronił mi uprawiać tego rodzaju sportów. Jestem słabeuszem i cały czas muszę odpoczywać.

- Wcale nie masz ochoty na odpoczynek - stwierdza Sally. - To widać.

- Nie przejmuj się - mówi Mike. - To odruch, taka sztywność trupia, nic nie znacząca. Chodź no tutaj...

Chwyta Sally.

- Ja - mówi - chciałbym bardzo, żebyście się od siebie różniły. Sadza ją na kolanach, a tamta robi wszystko, żeby coś z tego wyszło... lecz Mike zadowala się trzymaniem i gryzie ją mocno w lewe ramię. Dziewczyna wydaje okrzyk i wrywa się. On ssie przez chwilę, chcąc uzyskać piękny fioletowy odcień, po czym ją puszcza.

- W ten sposób - mówi - już was nie pomylę. Teraz, Mary, połóżysz się na łóżku.

Chwyta ją i rozkłada na łóżku. Pozwala sobie manewrować, bierna i dysząca. Łapie

Sally, odwracam i układam na jej towarzysze.

- Jesteście gotowe do dzieła, że ośmielę się tak to ująć - ciągnie Mike. Raczcie się tym, co dał wam dobry Bóg, moje dzieci.

Odsuwają się od siebie, zaróżowione ze zmieszania.

- Ale... nigdy tego nie robiłyśmy... - mówi Sally.

- Nawet najlepsi ludzie tak czynią- zapewnia Mike. - Pocałujcie się... delikatnie... To bardzo przyjemne, zobaczycie.

Przyklęka obok nich i zbliża je do siebie. Mary zaczyna pojmować i nadstawia się na pocałunki Sally, która pozwala sobą kierować i dzięki kilku pieszczotom wspomagającym Mike'a, wkrótce przechodzą do pełnego działania. Od czasu do czasu Mike daje im solidnego klapsa w pupę...

- Naprzód, lalunie - mówi... - Nikomu to nie wyrządzi krzywdy i nie będzie żadnych dzieci.

No cóż, to dosyć przyjemne, obserwowanie dwóch ładnych dziewcząt uprawiających miłość... Dla mnie to nowe widowisko, lecz bardzo szybko się przyzwyczajam. Włosy Mary omiatają aksamitną skórę ud Sally, która jako pierwsza rozluźnia się całkiem i przewraca się, postępując z satysfakcją... Druga niezbyt pilnie jej słucha...

- Dalej... babo kapryśna... Co to ? Ja jeszcze nie mam dosyć...

- No, myszko - mówi Mike. - Nie denerwuj się... Mój doktor na pewno się mylił...

Rozciąga się u boku Mery i pociska ją do siebie, jedną ręką trzymając za pierś. Ona pręży się i przykleja plecami do brzucha Mike'a, który działa z podziwu godną precyzją...

Tam do licha... nic tu po mnie... Naprawdę, chyba lekko przesadziłem... Odwracam się i przechodzę do sąsiedniego pomieszczenia... Bawcie się dzieciaki... Ja się trochę zdrzemnę... Rozciągam się i zamykam oczy... Pięć sekund... Śpię...

XXVII

Rozmawiamy o filozofii

Czyjaś energiczna dłoń potrząsa mną. Spoglądam. Mike stoi tuż przy mnie, pokryty potem i dyszący.

- Rock - mówi - chodź mi pomóc... Nie mogę ich już utrzymać na wodzy... Zadamy im bobu i będzie święty spokój...

- Mike, mój stary - odpowiadam całkiem jeszcze ospale - to twoja wina...

- Rock, proszę cię o tę przysługę - błaga.

- Możesz im spuścić manto sam - odpieram. - I nie opowiadaj mi tutaj historii starego impotenty... czy o jakiejś utajonej chłości...

- Rock - mówi Mike - przysięgam ci, że przybywając na wyspę byłem całkiem niewinny. Czytałem książki i znałem teorię, lecz nigdy nie dotknąłem kobiety...

- Fuj! Jak ci nie wstyd! - odpieram.

Nie mogę powstrzymać się od śmiechu, widząc jego przegraną minę.

- Naprawdę - mówi Mike. - Mnie interesuje jedynie kultura fizyczna...

- Mój mały - odpowiadam - nie tylko to istnieje w życiu...

Podążam za nim do sąsiedniego pokoju, którego drzwi nie przestał trzymać, a dwie furie wskakują mu na plecy... Chwytam jedną za to, co mi wpada pod rękę, przekładam ją przez kolano i wymierzam jej w tyłek klapsy, o jakich powiada Pismo Święte. Po czym ją podnoszę i pakuję pięść prosto w oko. To Sally... poznaję po ugryzieniu. Nadal wymachuje kończynami. Zaciągam ją do mojego pokoju i zamykam na klucz. Wracam i znajduję Mike'a siedzącego na plecach Mary, która leży na łóżku rozciągnięta na brzuchu i wygląda na to, że się już nie rusza.

- Nie cierpię bić kobiet - mówię - lecz czy można je uważać za kobiety?

- Nie - odpowiada Mike. - A może byśmy tak sobie poszli...

- Zabieramy zabawki? A co zaniemiemy Andy'emu?

- Nic - mówi Mike. - Już wszystko wiadomo. Sigman zna szczegóły na temat Schutza i jego sprawek, o których można by napisać tomiście grubości encyklopedii Webstera.

Siadam obok niego, na udach Mary. Są ciepłe.

- Zawód detektywa jest fajny - mówię przeciągając się. - Musi być jakaś szósta rano i zagnam zdychać z głodu. Czy Schutz naprawdę zrobił to wszystko, o czym mówiłeś? Te

historie o Pottarze i Kapłanie? Czego on chce?

- Zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych - mówi Mike.

- Przecież każdy obywatel amerykański ma możliwość zostania prezydentem Stanów Zjednoczonych - odpowiadam. - Tak piszą w książkach. A więc dlaczego by nie on? Przynajmniej będziemy mieli przystojnych senatorów.

- Ty - mówi Mike - jesteś właśnie w trakcie przechodzenia do obozu wroga. Przypomnij sobie tabliczki z „brakami w wyglądzie” i igraszki na ulicach Los Angeles, i dziewczyny, które kazał porywać...

- Niech to szlag - wołam. To banda popaprańców... ale jeśli wszystkie są takie jak Mary Jackson, to oddaję mu je w prezencie...

- A operacje? - pyta Mike. - Rock, pamiętasz operacje?

- Ale skoro twierdzi, że to jego sekretarze wykorzystywali sytuację? Wymienił nazwisko braci Petrossian, czyż nie tak?

- To niedopuszczalne - mówi Mike. - Nie można pozwolić jakiemuś człowiekowi, żeby stanął, prawo...

- Więc wolisz, by to robiła banda skorumpowanych polityków? - pytam. - Oczywiście, jest pewien problem z tym wykończeniem wszystkich obrzydliwców. Ale w końcu, ty i ja należymy do tej drugiej kategorii... a więc?

W czasie naszej rozmowy czas najwyraźniej zaczyna się Mary, gdyż porusza się i próbuje nas zrzucić.

- Spokój! - rozkazuje Mike, wymierzając jej dźwięcznego klapsa w tyłek.

- O la la - jęczy. - Mam wrażenie, że przeszłam przez wyżymaczkę...

- Ja też - mówi Mike. - Więc się zamknij. Ciągnie dalej.

- Rock, me zdajesz sobie sprawy z liczby osób, które trzeba będzie skasować. To przerażające.

- Ale skoro są paskudni - mówię. - Ale za to później jak by było fajnie..

- Ale brzydale są potrzebni - protestuje. - Mój Boże, co by to było bez brzydali... Nie zdajesz sobie sprawy, powtarzam ci... Kto pójdzie do kina, jeśli wszyscy ludzie będą piękni jak Apollo?

- Pójdzie się obejrzeć obrzydliwców - mówię. - Wystarczy zachować kilka tuzinów.

- Chyba rozumiesz, że w tym momencie trzeba będzie być brzydalem, żeby odnieść sukces u dziewczyn - ciągnie Mike zdesperowanym tonem. - Wtedy wszyscy popaprańcy zrobią do mnie miny, a my będziemy mogli iść zabawić się sami... I mówisz, że tak będzie fajnie, co?

- Tak - mówię - to cholernie przekonujący argument, tym bardziej że jest ad hominem. Jest oczywiste, że przy aktualnym stanie rzeczy mamy niejakie szansę u dziewczyn... lecz sam widzisz: co nam z tego przychodzi? Jesteśmy prawniczkami do dwudziestu lat i dłużej.

- I tylko dlatego, że jesteśmy złamasami - mówi Mike - mamy pozwolić zginąć społeczeństwu, nawet jeżeli jest ono jeszcze bardziej popaprane niż my?

- Nie zgadzam się wcale z twoim rozumowaniem - odpieram. - Po pierwsze, nie jesteśmy złamasami, tylko prawniczkami, a to jest godne pochwały; poza tym, społeczeństwo lata mi nisko.

- Mnie też - mówi Mike - tyle że jeśli powiem to Andy Sigmanowi, będzie mnie opieprzał godzinami, chcąc udowodnić, że jestem zwykłym tumanem. Toteż pozostanę wierny przysiędze tajnych agentów. Spadajmy stąd, przedstawmy raport i niech Andy sam sobie radzi.

- Zgoda - mówię. - Spadajmy. Ale jak?

- Otwiera się drzwi - odpiera Mike - i się wychodzi.

- I spotyka się papę Schutza, który biegnie za nami z karabinem maszynowym. Mowy nie ma.

- Ależ skąd - mówi Mike - to żarty. On teraz pracuje w swoim biurze.

- Więc naprzód.

Wstajemy razem, a Mary wydaje westchnienie ulgi i zasypia. Potrzebne jest jej kilka machnięć grzebieniem i solidne przetarcie szczotką do butelek.

Mike idzie do drzwi i otwiera je. Wygląda na korytarz w prawo i w lewo.

- Nic - mówi. - Możemy iść.

Wychodzi, a ja podążam za nim. Robimy kilka kroków. Wszędzie spokój i cisza. Próbujemy odnaleźć schody.

- Tamtędy... - mówi Mike bez wahania.

Gdyby tak jego pies był z nami... już by było po sprawie... To miejsce przyprawia mnie o chandrę. Oto i schody. Bardzo proste. Lecz na górze wszystko jest zamknięte.

To także jest bardzo proste.

XXVIII

Schutz wyjeżdża na wakacje

Próbujemy pierwsze drzwi. Puszczają po czwartej próbie. Robimy możliwie jak najmniej hałasu, lecz sił nie pozostało nam zbyt wiele... a nierobienie hałasu jest bardzo męczące.

Po pierwszych, oczywiście, są następne...

- Mam tego dość - mówię. - Krzyczę. Będę krzychał. Będę wył. Będę ryczał...

Ouaouaoua...

Wydaję odgłos mogący zachwycić Tarzana i czuję się o wiele lepiej. Wielka sala, w której się znajdujemy, odbija ryk ponurym echem.

- Bailey, ty jesteś kopnięty - mówi Mike. - Co ci daje takie wycie?

- Ponosi ulgę, Mike - odpowiadam. - Spróbuj. Wspaniałe. Poprawiam. Tym razem czuję, że posiniałem i słyszę, jak kieliszki zaczynają dzwonić na stole.

- To jeszcze nic - mówi Mike. - Zrobię to lepiej. Posłuchaj.

Ugina się na nogach, składa ręce w trąbkę i wydaje najpiękniejszą serię ryków, jaką kiedykolwiek słyszało Jerycho. Nie chcę pozostawać w tyle, więc ripostuję w najlepsze. Stoimy tam i drzemy się na całe gardło, i nagle przyjmuję na zadek kubeł lodowatej wody. Całkiem zapomniałem, że jestem zupełnie nagi, ale błyskawicznie sobie o tym przypominam. Mike odwraca się... Został podobnie potraktowany.

- Kurde balans, ty swingu - mówię. - Dlaczego nie pozwalasz ludziom bawić się w spokoju?

Za nami... ależ to on... łobuz... bydlak...

Jednym słowem, facet, który wsadził mi elektrodę w tyłek. No, mój stary, jesteś trup. Wyskakuję w powietrze i spadam na ziemię już biegnąc. Przewidział mój ruch i galopuje o dwa metry przede mną. Mike rusza za mną i oto pędzimy przez willę Schutza, biegnąc jak kangury, to znaczy - z intermediami w postaci salt.

Wyprzedza mnie coraz bardziej, bo zna teren, co pozwala mu nawet otworzyć drzwi i pędzić w najlepsze. Biegnąc obrzucam go przekleństwami.

- Skurwysynu! Cymbale! Świński ryju! Zatrzymaj się, ty tchórze!

To dostał niezasłużenie, bo ja ważę o dobre trzydzieści kilo więcej od niego... W gruncie rzeczy sam jestem wielkim tchórzem. Biegniemy przez kolejny korytarz i zadzieram

kolana aż do nosa, tak bardzo się do tego przykładam; zdobywam metr... dwa... Już jest tylko o trzy metry ode mnie. Na końcu korytarza widnieją drzwi... Tamten nie zwalnia... Atakuje... Bęc! Wpada na nie... Są zamknięte, ale to taki sam fajans, więc się otwierają... Siedzę mu na karku... Na świeżym powietrzu! Dobry Boże, jesteśmy na zewnątrz! Nagle znów tracę cztery metry i Mike mnie wyprzedza.. Biegniemy piaszczystą ścieżką. Ten zakarczemny pielęgniarz ma tenisówki, a nam zakopują się stopy... ale trudno... i tak go dopadniemy...

Pokonuje stok, tratując kępy czerwonych kwiatów i masy innej roślinności... Chłodna bryza chłodzi nasze twarze, szmer oceanu jest niedaleki... Ten przeklęty facet zna wszystkie ścieżki; za punkt honoru stawiam sobie dogonienie Mike'a, na którego plecy łypię miłośnie... Ten świntuch ma piękne muskuły... Tamten z przodu skacze jak konik polny, a opadając, za każdym razem rozwija poły swego pielęgniarzkiego fartucha, by posuwać się lotem szybowcowym... Stok jest diabelnie stromy, więc pędzi ja strzała - nigdy bym nie przypuszczał, że taki mały człowiek może biec tak szybko, inna sprawa, że nie kopułowa! przez dwadzieścia cztery godziny bez przerwy; a zresztą, u papy Schutza nigdy nic nie wiadomo...

Wreszcie nogi mu się plączą i toczy się po ziemi... lecz bynajmniej nie zatrzymuje... Jesteśmy prawie na krawędzi brzegu... Niewielka, sześciometrowa skała... Udaje mu się wdrapać i skacze na głowę...

Cholera. Ale nas zrobił na szaro... Nie wskakuję, bo nie miałbym siły wypłynąć, w wodzie musi być teraz zbyt przyjemnie.

Po naszej prawej rozciąga się piaszczysta zatoczka, zachwycająca, otoczona świeżą roślinnością i czerwonymi skałami... Na kotwicy kołysze się jakaś mała łódź... Jachcik z silnikiem, długości trzydziestu metrów... Prawdziwy okręt miliardów...

- Jest jakaś ścieżka? - pyta Mike.

- Owszem - odpowiadam, gdyż właśnie ją dostrzegłem.

- To co, zostawiamy tamtego?

Pielęgniarz pluska się o jakieś pięćdziesiąt metrów od nas. Wróciliśmy na prawo i zbliżamy się do zatoczki... Można do niej dojść po łagodnym zboczu, pięknie wybetonowanym i wysadzonym kwiatami. Doktor Schutz naprawdę ładnie urządził swój wiejski domek.

Za nami rozbrzmiewa odgłos przyspieszonych kroków. Odwracamy się. To on, Schutz.

- No jak - pyta - miłą mieliście noc?

Stoimy ogłupiali. Doktor trzyma w dłoni niewielki neseserek z krokodylej skóry.

Wygląda świeżo, rześko i młodziej niż kiedykolwiek.

- Pan wyjeżdża? - pyta Mike.

- Owszem - odpowiada Schutz – jest to dokładna data, kiedy wyruszam co roku na wakacje. Panowie wybaczą...

- Ale... co z pańskimi doświadczeniami? - dopytuje się Mike.

- Zabieram wszystko, co jest mi niezbędne - odpowiada Schutz. - Niech pan się nie niepokoi...

- A pacjenci? - pytam.

- Zostaną - mówi Schutz. - Mają zwyczaj radzić sobie sami... Mam bardzo zdolnych ludzi z serii W.

- Czy Pottar i Kapłan też są z serii W? - pyta Mike.

- Ach, widzę, że to pytanie bardzo leży panu na sercu - odpiera Schutz. - Wie pan, poza Pottarem i Kapłanem jest jeszcze Count Gibert i Lewison... i jeszcze paru innych...

- Tak więc... - mamrocze Mike.

- Tak więc, wasz torpedowiec, jak sami rozumiecie, zrobi dokładnie to, co Count mu nakaze... Nie jest się wielkim admirałem floty po to, żeby gruchy kijem obijać, że się ośmielę przyjąć ten wulgarny sposób wysławiania, który jak sądzę, panu podoba się szczególnie...

- I Lewison... To sekretarz Truwomana... - mówię.

- Tak jest - dodaje Schutz. - Naszego drogiego prezydenta... Sami rozumiecie... ziarnko do ziarnka, a zbierze się... Tym razem pozwolimy rzeczom pójść ich własnym biegiem, ale za pięć lat nie będzie już więcej obrzydliwców...

- Niech to gęś - mówi Mike. - Niezły z pana element... - Ależ skąd - odpiera Schutz... - Bardzo lubię pięknych chłopców i dziewczęta. Wy dwaj też jesteście sympatyczni... Będziecie ze mną pracować w Białym Domu. Lecz muszę was opuścić, bo już pora... Do widzenia Rocky... Do widzenia Bokanski...

- Tam do licha - mówi Merke - pan mnie zdumiewa...

- Andy Sigman też dostanie awans - dodaje Schutz... Niech pan się nie przejmuj...

- Co do granatów... - mówi Mike. - Bardzo mi przykro... Chodziło raczej o zrobienie hałasu, niż o cokolwiek innego.

- To bagatelka - mówi Schutz. - Bardzo proszę... Niech pan nie przywiązuje do tego wagi... Do widzenia chłopcy...

Ścisła nam dłonie i oddała się nonszalanckim krokiem... Patrzymy za mm. Jego wysoka, elegancka sylwetka depta piasek zatoczki, po czym doktor wsiada do szalupy, która przed chwilą oderwała się od jachtu... Macha do nas ręką... a później szalupa opływa burtę

jachtu, który skrywa ją przed naszymi oczami. Prawie jednocześnie stateczek zaczyna się poruszać i pienista kipiela pojawia się z tyłu. Okręca się powoli, by zaprezentować oceanowi swój dziób i wyrusza... wkrótce płynie pełną parą...

Na mostku wysoki mężczyzna w bieli pozdrawia nas ręką... robimy to samo.

Mike kładzie mi łapę na ramieniu.

- Rock - mówi - zupełnie nie wiem, co robić.

- Zawsze możemy rzucić pielęgniarzowi kilka kamieni na łeb - podsuwam.

- Och - odpiera Mike - i tak bym chybił cztery razy na pięć. Niech siedzi w wodzie, pożrą go rekiny, dwuszyjce i inne morskie potwory z Pacyfiku.

Melancholijnie wspinamy się wybetonowaną dróżką.

- Co powie Andy? - szepczę.

- A cóż może powiedzieć? - odpowiada Mike tym samym tonem.

- A chłopaki z torpedowca?

- Jeśli Schutz mówi prawdę i jeśli Count Gilbert, wielki admirał Floty Stanów Zjednoczonych, jest jednym z jego facetów, to zrobią dokładnie wszystko, czego sobie życzy Schutz.

- Trzeba iść opowiedzieć Wszystko Andy'emu - mówię.

- I znów włożyć spodnie - dodaje Mike. - Zaczynam mieć po dziurki w nosie zgrywania nudysty. Jakież to niewygodne przy bieganiu.

- I tak całe szczęście - podsumowuję wdychając - że nie trzeba było wspinać się na drzewa.

XXIX

Sigman podejmuje decyzję

I znów jesteśmy w towarzystwie Sigmana i chłopaków z ekipy. Mike kończy relację z naszych przygód, a Aubert George szturcha mnie łokciem, patrząc z zazdrością.

- Były rude, powiadasz?

- Jak lis, Aubercie.

- Kurna chata - mówi. - Gdyby moja żona nie była Węgierką, a na dokładkę tak bardzo zazdrosną, chętnie strzeliłbym sobie parkę tych kobitek od papy Schutza.

- Jak ci nie wstyd? - pyta Jameson. - Żonaty mężczyzna.

- No właśnie - odpiera Aubert. - Na żonatym spoczywa taka odpowiedzialność, że powinien ją sobie zrekompensować jakimiś dodatkowymi względami.

- Obrzydlistwo - mówi Jameson. - Ja lubię tylko mężczyzn.

- Świetnie, możesz dać się wypchać - odpowiada Aubert. - Wolałbym zdechnąć.

- Nie jesteś w moim typie - mówi Jameson. - Pan Bailey podobałby mi się bardziej.

- Bez żartów - mówię po cichu, żeby nie przeszkadzać Andy'emu i Mike'owi.

Ci dwaj ostatni właśnie skończyli swoje obrady.

- Dobra - mówi Andy. - W sumie, wszystko idzie nieźle.

- Wszystko idzie nieźle - mówi Mike. - A może byśmy tak wrzucili coś konkretnego na ruszt? Twoja czekolada i herbatniki są bardzo miłe, ale wolałbym tuzin hamburgerów z serem i jajami.

- Dosyć, Mike - ucinam. - Nie mów tak o rzeczach nieosiągalnych... Między dwa plasterki chleba mógłbym włożyć nawet własną matkę i ją pożreć.

- Hej - mówi Aubert. - Jeśli ta twoja matka jest podobna do ciebie, to czy nie lepiej by było mnie z nią zapoznać?

Temu cholernemu Aubertowi już się kompletnie polasowało.

- Wodzu - proponuje Andy'emu - dobrze by było pójść odwiedzić magazyny papy Schutza, zanim ci złajdaczeni marynarze skubnąłam sprzed nosa najładniejsze lalunie.

- Chłopaki - mówi Sigman - sam nie wiem, co robić... Trzeba wrócić do obozowiska i powiadomić tych dwóch, co tam zostali, a potem, sądzę, trzeba będzie po prostu poczekać na przybycie torpedowca... A co to takiego?

Jakiś facet właśnie pojawił się na ścieżce... Siedzimy na trawie w kółku... Jest piękna

pogoda, powiewa delikatna bryza, a powietrze pachnie kwiatami i zielenią.

- Pan Sigman? - pyta intruz.

Nie wygląda niebezpiecznie. Jameson i Aubert podnoszą się jednocześnie i otaczają go.

- To ja... - mówi Andy.

- Doktor Schutz polecił mi poinformować pana, że ma osiem pokoi przeznaczonych do dyspozycji pańskiej ekipy, na czas dowolny... Oczywiście, po rzeczy pana i pańskich przyjaciół przyjedzie samochód...

Sigman lekko się zaczerwienia, robiąc dobrą minę do złej gry, i wstaje.

- Dobra - mówi. - Chodźcie, dzieciaki...

- Samochód już jedzie - zauważa mężczyzna... - Zostawcie wasze bagaże.

- Jasne - odpowiada Sigman. - Już idziemy...

I znów wracamy drogą, którą ja z Mikiem już raz przebiegliśmy. Braki w wyglądzie już zniknęły... miła troskliwość doktora... dziwny facet... Aubert nie może iść spokojnie...

- Powiedz Bailey... Jak sądzisz, czy te rude nie uznają mnie za mizerotę?

- Ależ skąd, Aubercie...

Nie mam pojęcia, czy im się spodoba... choć przypuszczam, że tak... Lecz myśl o solidnym posiłku i dobrym spaniu bardziej mi się uśmiecha niż te wszystkie łózkowe historie. Wystarczy mi ich na parę dni.

Mike podchodzi do mnie.

- To się jeszcze okaże - mówi.

- Co się jeszcze okaże?

- Co wyjdzie z tymi marynarzami z torpedowca...

- Pośród marynarzy są przystojni mężczyźni - stwierdzam.

- Owszem - odpowiada - ale są również chudziaki i brzydale.

- Wiem, co mówię, Mike. Im będą obrzydliwsi, tym bardziej spodobają się dziewczynom. Patrz uważnie, co się będzie działo z Aubertem, który nie jest najgorszy, ale wazy czterdzieści pięć kilo i wygląda jak pchła. Pożrą go żywcem. To pewne, staruszk. Będą sobie wrywały brzydali z rąk, mówię ci.

Dochodzimy do willi i w tym momencie rozlega się syrena okrętowa. Andy podskakuje w powietrze.

- Torpedowiec! - woła. - Dzieciaki, pospieszmy się z wyborem. W końcu problem jest załatwiony, nic nie można zrobić przeciw Schutzowi. Lecz możemy pokazać tym kanaliom z marynarki, że chłopcy z FBI zostali pierwsi obsłużeni. Naprzód, pospiesz się mój mały -

mówi do naszego przewodnika popychając go przed sobą.

Mike i ja przesuwamy się do pierwszego szeregu.

- Gdzie jest kuchnia? - pytam przewodnika.

- Tam... Obejdźcie dom dookoła.

Chwytam Mike'a za ramię i puszczamy się pędem. Pozostali wchodzą do willi krokiem gimnastycznym.

- Co się teraz będzie działo? - pytam Mike'a.

- Napchamy sobie kałduny - odpowiada. - A reszta, to już ich sprawa...

XXX

Marynarka czyni honory.

Znajdujemy się wraz z Mikiem w gigantycznej kuchni przystosowanej do nakarmienia jednorazowo pięciuset facetów, skromnie licząc. Mike zatrzymuje się przed lodówką i pada na kolana, by złożyć Panu dzięki... Nie traci na to zbyt dużo czasu i wstaje, otwierając emaliowane drzwi urządzenia.

Przesuwam językiem po wargach, widząc, co jest tam w środku... Dobra... Podratujemy trochę zdrówko... Langusta, ryba na zimno, kurczę w galarecie, mleko... Juhuu! Łapiemy, co się da, i zaczynamy przeżuwać.

Upływa cały kwadrans wypełniony odgłosami żucia i mlaskaniem zadowolonych języków. Później Mike odzyskuje oddech.

- Wygląda na to, że cała sprawa rozejdzie się po kościach - mówi.
- Niezły koniec - zauważam. - Zwłaszcza jeśli ugotuje się na nich dobry rosół...
- Co zrobi Sigman? - Nic... Zobaczymy...
- A goście z torpedowca kiedy będą?...
- Już powinni być...

W tym momencie pojawia się jakiś facet ubrany na biało.

- Bokanski - mówi do mnie. - To pan? - To on... - wskazuję na Mike'a.
- Andy Sigman powiedział mi, że to pan go zastępuje - ciągnie mężczyzna, zwracając się do Mike'a.

- Czy jest niedysponowany? - pyta ten ostatni.

- Jest całkowicie rozbuchany - zapewnia spokojnie mężczyzna. - Wziął sobie na raz cztery dziewczyny, tylko dla siebie samego, i wszystkie cztery właśnie proszą o łaskę. Ale on zamknął drzwi.

Patrzę na Mike'a z dumą.

- Hę? - mówię. - To ci dopiero szef...!

- To rozumiem! - potwierdza mężczyzna. - Przyszedł jakiś marynarz i przyniósł mi wiadomość dla Sigmana. Czeka na odpowiedź. Dać panu list?

- Dawaj pan! - mówi Mike, wyciągając rękę, by wziąć papier. Papier ma w nagłówku pieczęć admiralicji i nosi podpis Counta Gilberta.

„Rozkaz dla Andy Sigmana i jego ludzi, by oddali się do całkowitej dyspozycji

doktora Markusa Schutza bądź jego reprezentantów, a pod ich nieobecność, by przedsięwzięli wszelkie środki mogące pomóc w jego pracach, które w najwyższym stopniu interesują Obronę Narodową. W tym ostatnim przypadku zostają im udzielone wszelkie prawa, czego niniejszy rozkaz jest uprawomocnieniem”.

- Tak jak mówiłem, Mike - stwierdzam. - Od chwili gdy ludzie Schutza są w rządzie, pracować dla nich, znaczy służyć krajowi... a kiedy Pottar i Kapłan do niego wejdą, nie będziemy mogli więcej uważać ich za osoby niemiłe...

- Dobry Boże - woła Mike przytłoczony. - To nam wróży piękne chwile... Mówię ci...

- Naprzód, Mike... weź się w garść... Teraz ty jesteś szefem. Mike prostuje się.

- Gdzie jest ten marynarz? Niech tu przyjdzie - mówi do posłańca.

- OK - odpowiada tamten, wychodzi i wraca po chwili w towarzystwie małej małpy, najstraszniejszej, jaką kiedykolwiek widziałem w mundurze marynarki.

- Wiecie, że musicie być mi posłuszni? - pyta Mike.

- Jesteśmy na bieżąco - odpowiada mężczyzna salutując.

- No więc - mówi Mike, patrzy na mnie z wahaniem. - No więc - podejmuje - niech tu przyjdzie dwudziestu pięciu najładniejszych marynarzy ze statku i tyłuż najbrzydszych. Niech ustawią się na podwórzu i czekają na nowe rozkazy.

- Tak jest! - mówi marynarz salutując i odchodzi krokiem gimnastycznym.

- A ty - mówi Mike do mężczyzny - wypuścisz pięćdziesiąt najładniejszych dziewcząt papy Schutza do ogrodu przed willą. W stroju roboczym.

- Rozkaz szefie! - odpowiada mężczyzna. - Z serii P?

- Z serii P.

Mężczyzna oddala się, a Mike ociera czoło.

- No, Rock - mówi - będziemy mieli czyste sumienie. Będzie to doświadczenie mogące pomóc w najwyższym stopniu Schutzowi w jego pracach.

- Ileż to czasu będzie trwało, zanim tu przyjdą? - denerwuję się. - Ciekaw jestem, jak to pójdzie...

- Mam cykora - mówi Mike. - Mam cholernego cykora, mój stary.

Wchodzimy i ponownie znajdujemy się przed wielkim, niskim budynkiem. Pogoda jest cudowna. Palmy poruszają się niedostrzegalnie, zaś kwiaty zadają oczom ból, tak silnie eksplodują ich kolory w palących promieniach.

Dziewczyny zaczynają wychodzić. Oczywiście nagie... seriami, po cztery lub pięć, doskonale identyczne... Rudzielce podobne do tych, z którymi mieliśmy przyjemność dzisiejszej nocy... Brunetki... Blondynki... Wszystkie jak spod sztancy, a piękne, że mogłyby

doprowadzić do zguby każdego hollywoodzkiego producenta.

- Ustawcie się tam - rozkazuje Mike. Liczy je.

- Przyprowadzi my wam mężczyzn, a wy wybieriecie sobie, którego zechcecie...

Jasne? Na komendę podejdziecie prosto do niego i wskażecie go... Będzie was równa ilość.

Z kolei przychodzą marynarze.

- Rozbierać się! - rozkazuje Mike.

Wykonują bez mrugnięcia oka. Zwłaszcza że tak jest przyjemniej.

- Ustawcie się tam. W szeregu. Czy jest pośród was ktoś, kto przeciwstawia się doświadczeniu z zakresu fizjologii stosowanej, którego celem jest oddanie przysługi marynarce i Stanom Zjednoczonym?

- Ja - odpowiada gruby, pucułowaty marynarz, występując o krok - jestem badaczem Pisma Świętego.

- Świetnie - mówi Mike - nic więc nie stoi na przeszkodzie, byś wziął udział w doświadczeniu. Robiono to także w Biblii w czasach króla Salomona.

Są już wszystkie kobiety. Mężczyźni również. Rzeczywiście, grupka brzydali składa się z takiej serii wypierdków, że każdej teksańskiej krowie mogłoby się skwasić mleko w wymionach.

Przypuszczam, że biorą takich na torpedowce dlatego, że sufity są nisko, a rekrutacja utrudniona.

- Gotowe? - pyta Mike kobiety.

Moment jest kulminacyjny. Wyglądają, że cholernie tego chcą...

- Naprzód! - woła Mike.

Prawdziwy tumult. Mike zakrywa twarz. Czterdzieści siedem dziewcząt skoczyło ku grupie paskudów, a tylko trzy ku pozostałym. Zresztą, wszystkie trzy na jednego: faceta zbudowanego jak Herkules i pokrytego czarnym włosiem jak satyr, o wielkim, haczykowatym nosie i lśniących oczach.

- Dość...! - woła Mike - Puście ich...! Koniec... Wystarczy... Za późno. Zamieszanie osiąga szczyt. Dwudziestu czterech pięknych, pogardzonych chłopców patrzy na swoich towarzyszy z odraza i prawie są gotowi ubrać się ponownie. Z drugiej strony ma miejsce taka płatanina ciał, że odwracam głowę kompletnie oszołomiony. Mike spuszcza oczy i czerwieni się. Słychać jedynie dyszenie kobiet i okrzyki wybrańców błagających o łaskę. Od czasu do czasu dwa skumulowane ciała odrywają się od masy i robią kilka kroków, by zwalić się nieco dalej... i w tym momencie inna kobieta rzuca się, by zderzyć swą rywalkę z ciała mężczyzny, i wślizguje się na jej miejsce; powoli hartujemy się i patrzymy... Są naprawdę ciekawe

kombinacje, wskazujące na silnie rozwinięte poczucie koleżeństwa...

- Schutz się mylił - stwierdza Mike. - Żał mi go... Fajny gość... ale był w błędzie... Z tego otrzyma całe pokolenie monstrów...

- Ba! - mówię - spuszcza się na niego... Z pewnością jakoś się z tego wyliże...

Jakiś oszalały typek odrywa się od drgającej grupy i galopuje, trzymając się za pośladki...

- Niektórzy oszukują! - woła. - Do licha... Przecież jest tu dość kobiet...

- Widzisz sam - mówi Mike do mnie... - To klęska całego systemu...

Protestuję.

- To tylko drobna pomyłka, Mike... Nie widzą, co robią w tym zamieszaniu...

Wzgardzeni marynarze stworzyli kółko, a jeden z nich robi zdjęcia przy pomocy kieszonkowego aparatu. Pozostali wyglądają na obrażonych. Kilku ośmiela się i podchodzi do grupy. Trzem pierwszym udaje się do niej włączyć, a nawet stworzyć kilka podwójnych związków benzenowych... lecz czwarty, rozpoznany, zostaje wydalony przez dwie potargane furie, które ścigają go, drapiąc i obrzucając obelgami... Wymyślają mu od popaprańców i grożą kastracją...

Mike chwyta mnie pod ramię.

- Chodź, Rock - mówi. - Nie ma tu dla nas miejsca. Idźmy stracić parę kilo, sflaczeć i zbrzydnąć... Przy aktualnym stanie rzeczy me mamy u kobiet najmniejszych szans.

Podążam za nim i w chwili gdy oddaliśmy się ku morzu, dwudziestu wzgardzonych marynarzy, krzepko dzierżąc szable w dłoniach, szykuje się do ataku na grupę. Od miejsca walki napływa taki zapach potu i rozgrzanego ciała, że kręci mi się w głowie.

Maszerujemy w ciszy, a Mike potrząsa głową z żalem.

- Co to za życie - mówi. - Schutz ma rację - precz z brzydalami! Wszystko zabierają.

- Twój punkt widzenia jest zafałszowany, Mike - stwierdzam. - Znajdujesz się pośród boginek, które na co dzień śpią z facetami równie przystojnymi, jak ty... Mają tego po uszy...

- Zresztą - odpowiada - ja też mam tego po uszy. One są zbyt doskonałe...

- Sam już nie wiesz, czego chcesz - mówię. Zbliżamy się do plaży. Trącam Mike'a łokciem.

- Kto to?

Młody mężczyzna o srebrzystych włosach, bardzo wysoki, podchodzi ku nam... Jest w cywilu... Widząc nas uśmiecha się... Trzyma się niezwykle prosto... Jest bardzo sympatyczny, mocno pociągający...

- Count Gilbert... - szepcze Mike. - Coś podobnego...

Cóż, wyraźnie widać, że pochodzi od Schutza... nigdy przedtem nie widziałem jego zdjęcia... Lecz dziwi mnie, że zwraca sobie głowę takim drobiazgiem. W końcu, to spora szucha.

Stajemy i pozdrawiamy go...

- Pan Bailey? - pyta mnie. - Widziałem pańskie zdjęcie w magazynach sportowych. A pan? - ciągnie, zwracając się do Mike'a - Mike Bokanski - odpowiada. - Zastępuję Andy'ego Sigmana.

- Cieszę się, że mogłem pana poznać - mówi. - Ale pan ma zakłopotaną minę? Wszystko jest w porządku, jak sądzę? Co pan zrobił z moimi pięćdziesięcioma marynarzami?

- Och... mają niezłe zajęcie... - odpowiada Mike. - Przeprowadziłem doświadczenie. Obawiam się, że Markus Schutz uzna je za pożałowania godne.

Wyjaśniam Countowi Gilbertowi, o co chodzi, a ten śmieje się na całe gardło.

- Chodźcie ze mną - mówi. - Wszystko się jakoś samo ułoży... Stawiam kielicha... Jestem tu prywatnie...

- Mam tego dość! - woła Mike. Zatrzymał się. Jego gniew wybucha nagle.

- Kobiety to dziwki! Człowiek zdiera sobie muskuły, zęby być pięknym, zęby schludnie wyglądać, zęby mu nie śmierdziało z gęby, zęby być zdrowym i dobrze zbudowanym... a one pierwszemu napotkanemu popaprańcowi wskakują na comber i gwałcą go, nie zwróciwszy nawet uwagi, że ma on na dokładkę sztuczną szczękę i płuca na agrafkach. To obrzydliwe. Tak nie może być. To niesłuszne, niezasłużone i nie do przyjęcia...

- Nie wierz pan w to - mówi Gilbert.

Podążam za nim... Ja się czuję świetnie... Sunday Love z pewnością już się obudziła w moim pokoju w Los Angeles... Czekaj na mnie... Mona i Beryl również... Życie jest piękne...

- Jestem rozczarowany - mówi Mike. - Te kobiety wzbudzają we mnie odrazę... Pójdę poszukać sobie wielkiej, zaśmierdniętej małpy.

Dochodzimy do plaży. Szara szalupa z torpedowca czeka na nas.

- Wsiadajcie - mówi Gilbert. - Gdy tylko powrócą moi ludzie, odbijamy do Los Angeles... a tam obiecuję wam niespodzianki.

Pochyla się nad Mikiem.

- Nie chciałbym ci czynić zbyt wielkich nadziei... lecz mam obecnie do dyspozycji garbatą sekretarkę...

Oczy Mike'a rozjarzają się.

- Bardzo jest brzydka?

- Obrzydliwa! - zapewnia Gilbert z wielkim uśmiechem.

- A na dokładkę, ma drewnianą nogę...!

DAMSKI GANG

I

Przede wszystkim bale kostiumowe powinny zostać zakazane. Ogłupiają wszystkich, a poza tym w dwudziestym stuleciu człowiek nie jest już w takim wieku, by mógł się przebierać za sycylijskiego złoczyńcę czy diwę operową tylko po to, by mieć prawo dostania się do ludzi, z których córką się spotyka. I właśnie tutaj leżał pies pogrzebany.

Był to 29 czerwca, a nazajutrz Gaya miała wejść w wielki świat. W Waszyngtonie jest to niezły kawał harówki. Zaś ja, przyjaciel Gayi z dzieciństwa, coś w rodzaju mlecznego brata... sami rozumiecie. Stanowczo zmuszony byłem tam pójść - jej rodzice nigdy by mi nie wybaczyli.

Ale czyż Gaya nie mogła pojawić się w wielkim świecie tak, jak całe zainteresowane towarzystwo? W normalnej sukni wieczorowej? Z chłopakami w smokingach? W końcu przy siedemnastce człowiek nie jest już w wieku stosownym, by wrzucić sobie na garb całą tę teatralną tandetę... do czego to podobne?

Nie zadawszy sobie trudu stawiania kolejnych pytań, w dalszym ciągu goliłem się przed powiększającym lustrem; te kwestie wystarczyły mi całkowicie, już dostatecznie wyprowadziły mnie z równowagi. Miałem przed oczyma usta Gayi, ręce Gayi i całą resztę... wszystko dostatecznie dobrze skonstruowane, by obejść się bez tej całej komedii.

Dobra. Gniew wzbierał we mnie coraz bardziej. Szkoda, że nie ma tu mojego braciaka Ritchiego - poprosiłbym, żeby mi zmierzył ciśnienie. Studenci medycyny zawsze są zachwyceni, kiedy ich poprosić o taką przysługę. Wyciągają swoje niklowane przyrządy ze wskazówkami, tarczami, rurkami i liczą wam uderzenia serca albo mierzą objętość płuc, a cała ta chińszczyzna nigdy nikomu do niczego nie posłużyła. Lecz zaplątałem się w moich rozmyślaniach. Powróciłem do Gayi.

Ech, sama tego chciała. Odstawię się za kobitkę. A wszyscy jej kolesie będą się kręcić koło mnie. Nawet moje imię, Francis, świetnie pasuje. Zrozumięją „Frances” i będzie po ptokach. Przez cały wieczór Gaya będzie sobie obgryzać paznokcie, że wydała bal kostiumowy. Jak gdyby dla niej najlepszym przebraniem nie był kwiatusek w zębach i jej piękna skóra na schabikach, z wyłączeniem wszelkiego cudowania.

Z mego okna o podwyższonym zawieszeniu widziałem czubek statui McClellana na skrzyżowaniu Connecticut Avenue i Columbia. Otworzywszy je nieco bardziej, udawało mi się dojrzeć flagę na fińskim poselstwie, między Wyoming Avenue a California Street. Ale nie dość wyraźnie. Oczy bołą. Zamknijmy okno. Powróciłem do mego lustra.

Wygolony dokładnie miałem skórę tak gładką, jak prawdziwa myszka; z ociupinką pudru będzie wyśmienicie. Jedynym zmartwieniem był mój głos. Ba... kieliszek do gardziolka i żaden z tych cymbałów nie zwróci na niego uwagi. Najbardziej bawiła mnie myśl, że jakiś Bili czy Bob zaprosi mnie do tańca... ze sztucznym biustem mojej matki i w dobrych, obcisłych slipach nie ryzykowałem niczym, jeśli chodzi o objawy zewnętrzne... lecz nie mógłbym zabronić im trzymania mnie za boczki...

Jeśli chodzi o kostium, to nie nadszarpnąłem sobie szarych komórek. Suknia z koronki z radosnych lat dziewięćdziesiątych, gorset, halka, czarne pończochy na podwiązki... botki z kozłej skóry, dzieci drogie... miałem to wszystko dzięki pomocy moich kumpli pracujących w teatrze.

Wypadałoby, żebym się przedstawił. Francis Deacon, po Harvardzie (ale złośliwie - nie całkiem), wyposażony w specjalnie nadzianego tatusia i superdekoracyjną mamusię. Dwadzieścia pięć lat - siedemnaście na oko - złe towarzystwo, bokserzy, moczymordy, krzykacze, piękne damy, które kocha się za pieniądze, świetna partia. Raczej sympatyczny. Wstręt do intelektualistów. Usportowiony. Sporty łagodne: judo, wolna amerykanka, jachting, nieco wioślarstwa, narty itd. Wygląd słabeusza - siedemdziesiąt pięć kilo i pięćdziesiąt sześć centymetrów w talii. Mamusia ma o jeden mniej. Ale masaże drogo ją kosztują.

Usiadłem przed lustrem i pochwyciłem przedmiot, którym miałem zamiar sprawić sobie katusze. Gruba laska specjalnego wosku, zakupiona u Chińczyka, znajomka mamusi, który - jak twierdził - regularnie się nim posługiwał przy depilacji swych klientek.

Trzymając zapalniczkę w jednej ręce a wosk w drugiej, potarłem kółeczkiem, a niebieski płomyczek zaczął lizać półprzezroczysty stożek.

Topił się. Wyciągnąłem nogę i bęc! Przykleiłem paskudztwo do włosów „szybko je rozprowadzając”, jak było napisane w instrukcji.

Pięć minut później, powróciwszy do zmysłów stwierdziłem, że jednak - skoro kosztowało mnie to kryształowy kandelabr i lustro o wymiarach dwa metry na dwa - lepiej byłoby udać się bezpośrednio do Chińczyka. Spojrzałem na zegarek. Miałem czas. Podniosłem słuchawkę. Do diabła ze skąpstwem.

- Halo! Wu Chang? Tu Francis Deacon. Ma pan minutkę? Oczywiście, odpowiedział, że tak.

- Przyjeżdżam! - zawołałem. - Za pięć sekund jestem u pana. Jednak pięć sekund dla kulejącego faceta, to mało - zmarnowałem dziesięć.

II

Patrząc jak działa Wu Chang, musiałem obiektywnie stwierdzić, że lepiej było oddać się w ręce specjalisty.

- Nie będzie żadnych śladów? - zapytałem Wu Changa, wskazując na karmazynowe miejsce pozostałe po mojej pierwszej próbie.

- Najmniejszego - odparł Chang. - Za pięć minut cała reszta będzie równie czerwona, a po godzinie wszystko przejdzie.

Popatrzył na mnie, lecz nie można było zgadnąć, co myśli. Te żółtki znane są z tego.

- Idę na bal kostiumowy - powiedziałem mu. - I będę musiał włożyć pończochy.

- Zaraz będzie gotowe - odparł.

Rozprowadzał wosk i szybkim, precyzyjnym ruchem zrywał włosy powleczone substancją, po czym podstawił pałeczkę nad płomyk małego palnika gazowego - zaś moje łydki przypominały grzbiet pieczonego kurczaka.

W pół godziny było po sprawie. Podziękowałem Wu Changowi, zapłaciłem i wyszedłem. Trochę mnie swędziało - ale nie za bardzo. Czulem w kieszeni twardą kulę małego słoiczka kremu, który dostałem do smarowania nóg. Żwawo przebiegłem dwa piętra i powróciłem do przerwanej toalety.

Nie będę wam tego opisywał dokładnie, lecz kiedy spojrzałem do lustra w łazience - o ile dobrze pamiętacie, to w sypialni rozwaliłem w kawałki - odniosłem wrażenie, że jeśli się nie powstrzymam, będę musiał spędzić przykry kwadrans. Zakochałem się w sobie - ot tak... dzieci drogie, gdybyście tak mogli ujrzeć tę dziewczynę, która spoglądała na mnie moimi oczami... a wszystko tam gdzie trzeba - bioderka, piersi (i to nieźle, mamusia nie kupowała byle czego) i wygląd zdolny doprowadzić do szaleństwa wszystkich twardzieli z Bowery.

Patrzę na zegarek. Trwa to już jednak trzy i pół godziny. Wiosek po włosku, wyrwałem je wszystkie, puder - teraz rozumiem, dlaczego ta niegodziwa Gaya każe zawsze na siebie czekać... Prawdę mówiąc, jeśli chcecie poznać moje zdanie, to i tak się nieźle spręża.

Jestem już na ulicy. Mam nadzieję, że nikt się nie zdziwi widząc, jak wsiadam do mojego samochodu, bo bez żartów, nieszczególnie przypominam Francisca Deacona... Teraz już się nie gniewam na Gayę - wiem z pewnego źródła, że przebierze się za pazia - lecz przy jej biuście, możecie być pewni, że wszyscy się zorientują. Zaś ja, daję słowo, że ten, kto mnie rozpozna sprawi mi wielką przyjemność, i jestem gotów dać mu sto dolarów, zupełnie jakbym

je miał.

Stary cadillac tatusia - auto ma dwa lata, tatko dał mi je w prezencie, kupiwszy sobie nowe - wiezie mnie ku Chevy Chase. Skręcam w Grafion i jadę Dorset Avenue. To dzielnica forsiastych, moi starzy również mają tu posiadłość, lecz ja jakoś dziwnie wolę mieszkać na mieście. Skręcam w prawo, w jedną z dróg prywatnych. Przed domem Gayi stoi co najmniej sześćdziesiąt samochodów, a kilka parkuje w ogrodzie. Wpycham się pomiędzy rollsa Cecila, gościa z ambasady brytyjskiej, a starego oldsa 1910, to na pewno wóz Johna Payne'a. Co za pomysł nazywać się John Payne. Panie, co z bryka!

Wysiadam. Pojawia się wielki chrysler, który przyjechał sekundę po mnie, a widząc mnie, facet mruga światłami, jakby go co najmniej Eros ustrzelił. Luz. Peruka trzyma się nieźle, możesz mnie lustrować na wszystkie strony.

Zadzieram delikatnie suknię i wbiegam po trzech stopniach przedsiönka. Pełno tu światła i hałasu, a muzyka gra. Zresztą obrzydliwa - w sprawach muzyki Gaya nigdy nic nie kumała, byle było dostatecznie słodko, i cześć.

Dokonuję entree. Jest już tam cała banda, co najmniej piętnastu sycylijskich zbójców, byłem tego pewien. Okazja do przewietrzenia wydekoltowanej bluzki, zęby pokazać myszkom, po pierwsze, że ma się włosy na piersiach (bądź że się ich nie ma), i po drugie, że Jezusek, rozdzielając naturalne przymioty, nie zapomniał o was (bądź że właśnie o was zapomniał, co jest równie użyteczne, gdyż są dziewczyny, które można tym przestraszyć).

Ja naprężam solidnie tors, a moje fałszywe piersi z kolei tak napinają jedwab stanika, że o mało nie pęknie. Są solidnie wykonane, widać nawet odstające czubki. Działa jak się masz. jakiś skretyniały Robin Hood właśnie mnie poprosił i drżą mu ręce. To cholernie krępujące, dać się prowadzić innemu facetowi. Widać po nim olbrzymi wysiłek, zapewne z powodu „Miłosnego wieczoru”. Wylałem sobie na łeb cały flakon. Gość prawie mdleje. Na szczęście płyta zatrzymuje się, Gaya jest tam, przy samym bufecie, i patrzy na mnie złym okiem. Przebrana jest za pazia, cynk był dobry. Obok mej stoi gruby Lil' Abner, a z drugiej strony Superman ważący jakieś trzydzieści pięć kilo... no, no, faceci są nieźle napakowani. Powiedziałem wam, że Gaya niezbyt jest zachwycona moim widokiem, faktem jest, że odniosłem coś w rodzaju sukcesu, a ona nie wie nawet, któż to taki. Podchodzę do niej. Znalazłem sposób, jak zagadać: głosem niskim i przytłumionym, lekko chrapliwym. Będę się zachowywał, jakbym był starą kumpelką.

- Hello, Gaya...! Jak się masz?

- W porządku - odpowiada... - kim jesteś? Nie poznaję cię.

- Za to ciebie - mówię - można rozpoznać natychmiast. Nie ma mowy, żeby cię wziąć

za mężczyzną.

Być może posuwam za ostro. Jak te myszki gadają między sobą? Nie mam pojęcia. Na pewno też wstawiają sobie drętwą mowę, zresztą, ona nie mrugnęła nawet powieką.

- Ty zaś, droga Flo, nawet nie próbowałaś podjąć ryzyka - mówi, patrząc na mój biust z fałszywą pogardą.

Śmieję się mile polectany (-a). Tak więc jestem Flo.

- Och...! - odpowiadam - próbowałam wszystkiego, lecz nie udało mi się ich spłaszyc... wiesz, miałam taką straszną ochotę przebrać się za sycylijskiego zbójcę... lecz chyba mam tu tego za dużo.

- A mnie się udało - odpiera sucho.

Wielki facet z przebraniu Lii' Abnera obejmuje mnie.

- A co to? - pyta cichym głosem, upewniwszy się, że Gaya nas nie słyszy. - Jesteś Florence Harman? Coś podobnego?!

- Owszem - odpowiadam. - Tylko mnie nie wydaj.

- Mowa... Jestem Dick Harman - odpowiada, przyciskając mnie bardzo mocno, i niech mnie diabli, jeśli nie zatańczę z własną siostrą. Zresztą...

Zaczerwienia się...

- Ona... nie tańczy tak dobrze, jak ty. Lecz jednak jesteś do niej dość podobna.

- A gdzie jest twoja siostra? - pytam.

Bo żabcia przypominająca osobę, jaką jestem w tym momencie, interesuje mnie z całą pewnością. Osobnik nazwiskiem Harman wzrusza ramionami. Teraz go rozpoznaję, to jeden z chłopaków z uniwersyteckiej drużyny futbolowej, już go kiedyś spotkałem u Gayi.

- Florence jest głupia - mówi. - Popełniła to samo głupstwo co Gaya. Przebrała się za chłopaka. I przysięgam ci, że...

O, proszę, już z trudem przetyka ślinę.

- No - ciągnie dalej - to od razu widać... hmm... podczas gdy u ciebie...

Śmieję się nadal, rozbawiona i bardzo filuterna.

- Cóż ty tam możesz wiedzieć? - mówię. - Być może jestem chłopcem.

Przyciska się do mnie czule. Do licha, jakieś to nieprzyjemne być czule przyciskaną przez mężczyznę. Nie dość, że drapie, to jeszcze zalatuje kremem do golenia. Niech żyją dziewczyny.

- A za co przebrała się Florence? - pytam.

- Chciała za Tarzana - odpiera.

Na takie dictum oblekam się w karmazyn.

- Udało mi się to jej wyperswadować. Przebrała się za francuskiego wielmożę w stylu Ludwika XIV czy XV, nie znam się na tych wszystkich cyfrach. Na wysokim obcasie. O, tam jest. Ta ruda. Z pluszową maseczką na twarzy.

Biedny Dick wygląda na okropnie zmieszanego.

- To okropne - mówi. - Ona zaprasza do tańca wszystkie dziewczyny. Sądzi, że biorą ją za mężczyznę.

- Gaya jej nie rozpoznała? - pytam. - Wzięła mnie za nią.

- Podcięła się trochę - mówi Dick. - A z tą maseczką jeszcze trudniej ją poznać. Czy mogę cię prosić o następny taniec?

- Przedstaw mnie raczej swojej siostrze - mówię możliwie jak najbardziej pieszczotliwie. - Bardzo lubię dziewczyny.

Przygląda mi się szczerze zaskoczony i pełen dezaprobaty. Fuj! Każdy mężczyzna to kawał kretyna. Czule ściskam go za ramię.

- Bardzo proszę, Dick. Na imię mi Frances.

Chcąc nie chcąc rusza naprzód. Flo wygląda na zachwyconą, że udało jej się schwytać mnie w pułapkę. Musiała wcześniej podszkolić Dicka, gdyż ten odwraca się do mnie i mówi:

- Mój brat Johnny. Johnny, to Frances. Chciała się poznać.

- Cieszę się ze spotkania... - mówi Flo-Johnny, patrząc na mnie miłośnie.

Ściskamy sobie dłonie. Widząc ją rozumiem, dlaczego Dick nie docenił jej męskiego przebrania. Dzieci drogie, sztuczny biust mojej matki to pestka wobec jej prawdziwego. Co jest najzabawniejsze, ona wygląda na naprawdę oczarowaną moimi wdziękami. Jeszcze jedna wyobrażająca sobie, że jest nową Safoną. Ręce opadają. Srodze się zawiedzie, kiedy przyjdzie co do czego.

Tańczę z nią raz, po czym ją opuszczam, zaprezentowawszy jej oznaki mego zainteresowania, by zatańczyć z dobrym tuzinem chłopaków... tym razem prawdziwych. Gaya jest wściekła, jestem za bardzo w centrum zainteresowania, jak na jej gust... posuwa się nawet do opieprzenia tego biedaka Dicka Harmana. W dalszym ciągu sądzi, że jestem jego siostrą Flo, a nieszczęśnik nie ośmiela się wyprowadzić jej z błędu. Prawdziwa Flo-Jolinny łązi za mną po parkiecie i za każdym razem, gdy jakiś chłopak mnie zaprasza, ostro krzywi buźkę... Ja zaś mam ubaw po pachy i od czasu do czasu wykonuję zawieszaniem ewolucje, które bezwstydnie zapożyczam od Betty Hutton wiedzącej, co znaczy zakręcić biodrem w stylu lat 1890. Wreszcie około trzeciej nad ranem Flo udaje się położyć na mnie rękę. Jest już sporo par solidnie zawiązanych, a kilka jest nawet gotowych do rozwiązania się ze względu na częściowe upojenie alkoholowe. Gaya porzuciła nadzieję, że uda jej się uchodzić za

mężczyznę. Tańczy z jakimś dość paskudnym facetem, który nie jest przebrany. Nie znam go i zastanawiam się, co ona w nim widzi. Podczas gdy Flo przyciska się do mnie i usiłuje mnie nakłonić, bym dzielił z nią jej emocje, czyniąc dyskretne aluzje do mych niepokojących powabów, kątem oka obserwuję Gayę. Rzecz by można, że facet całkowicie trzyma ją w garści; kiedy do niej mówi, Gaya spuszcza oczy i potakuje z miną skarconego dziecka. To dziwne.

- Jak to - pyta mnie Flo - jest ci wszystko jedno, co mówię?

- Przepraszam - odpowiadam - właśnie myślałam o czymś innym.

- Pytałam, czy chcesz, żebym cię odprowadziła, na to ty zapytałaś „dlaczego”, a ja odpowiedziałam, dlaczego.

- Dlaczego? - powtarzam.

- Dlatego, że bardzo mi się podobasz... pod względem fizycznym - odpiera Flo Johnny. Pękam ze śmiechu, ale wewnątrz. Na zewnątrz przybieram bardzo zakłopotaną minę.

- Nie mów takich rzeczy - odpowiadam. Czy nie zdajesz sobie sprawy, że ja wiem doskonale, iż jesteś dziewczyną?

Podniecają to jeszcze bardziej.

- Wiedziałaś, co? - mówi.

A jej dłoń pełźnie, by popieścić delikatnie jeden z moich okazałych atrybutów... atrybutów mojej mamusi, powinienem był powiedzieć.

- Owszem - mówię, spuściwszy oczy po to, by natychmiast je podnieść.

Usiłuję pobrać zmysłowy wyraz twarzy. Ciężka harówka, zapewniam was. Zwłaszcza że raczej mam ochotę pęknać ze śmiechu, jak dętka.

- No więc... cóż powiesz na moje pytanie? - mówi, oddychając nieco szybciej.

Spoglądam na nią. To wspaniała dziewczyna, pomimo idiotycznego kostiumu. Ma szafirowe oczy, wydatne usta z najpiękniejszymi w świecie zębami, owal twarzy z dołeczkami, krągłą szyję... a nogi są pierwszej jakości. Co do reszty, to ten kretyński kostium w stylu Ludwika XV zakrywa wszystko... Słowo daję... bardzo zostanie rozczarowana w swych nieczystych żądzach, ale z pewnością uda mi się ją pocieszyć...

- Bardzo bym chciała, żebyś odprowadziła mnie do domu - mówię - lecz nie mogę wyjść już teraz. Muszę tu chwilę pozostać. Jeśli chcesz, możemy się spotkać za dwadzieścia minut przy ogrodowej bramie.

- Pewnie! - szepcze, stojąc na miękkich nogach. Płyta zatrzymuje się.

- To na razie - mówię, czule ściskając ją za rękę.

A później pędzę raz dwa do drzwi wychodzących na korytarz, za którymi właśnie

znikła Gaya ze swym partnerem.

Z facetem, który - jak wam to już mówiłem - nie pasuje mi zupełnie.

Muszę mu się przyjrzeć z bliska.

III

Dom rodziców Gayi to niezła, dobrze umeblowana chałupa, lecz jednocześnie dość udziwniona. Jedno z tych domostw zbudowanych w taki sposób, by gromadzić całe światło dnia, o ile jest dzień. Oczywiście, przy pomocy całego mnóstwa kątów, werand i szklanych ścian. Wszystko jest solidne i grube, gdyż Waszyngton to w końcu nie Kalifornia i w zimie człowiek potrzebuje tego minimum ochrony. Na szczęście znam drogę i domyślam się, że Gaya musiała pójść do swojego pokoju na pierwszym piętrze. Stawiam stopę na schodach i widzę tamtego faceta, jak schodzi. Cała służba o tej porze już śpi, a rodzice Gayi zafundowali sobie odpoczynek, bez wątpienia zasłużony, gdyż początek wieczoru musiał być niezwykle i pełen wszelkiego rodzaju pompatycznych staroci. To jednak zabawne, że ten facet, którego nigdy nie widziałem, jest z Gayą w stosunkach na tyle zażyłych, by ją odprowadzać do sypialni. Wisi mi to, że ją odprowadza, ale za to zaskakuje, że go nigdy nie widziałem. W chwili gdy przechodzi, potykam się i wpadamy na siebie.

- Przepraszam! - mówię, czarująca i słodka.

- Trudno - odpowiada.

Obrzuca mnie skrupulatnym spojrzeniem, wnikliwym i całkiem chłodnym.

- Potknęłam się o stopień - mówię.

- Widzę - odpowiada.

- Nie znam domu... A poza tym troszkę wypłam...

- To błąd - odpowiada. - Jest tyle fajniejszych rzeczy.

- Nie mam o nich pojęcia - mówię wielce dystyngowanie. - Ja lubię pić.

- Wedle uznania - odpiera.

Milczy. Najwyraźniej chce odejść. Lecz jednak wyglądam dość szelmowsko w mej sukieneczce.

- No cóż... do widzenia - mówi i po prostu odchodzi. Wołam za nim.

- Gaya jest na górze? Zatrzymuje się.

- Nie - odpowiada. - Przypuszczam, że jest w kuchni. Była głodna. To tam.

Wskazuje mi drogę. Żadnych pomyłek, wie również, gdzie to jest. A to prawdziwy wyczyn. Znaleźć kuchnię u Gayi można, jeśli się spędzi w jej domu co najmniej dziesięć lat. Lecz do licha, czy on przypadkiem nie ma na policzkach różu? Mimo iż jest w smokingu...

- Dziękuję - odpowiadam.

Udaję, że tam idę, lecz gdy tylko gość znika za drzwiami sali tańca, ponownie ruszam

ku schodom i wskakuję po cztery stopnie. Wchodzę bez pukania. Jest prawie jasno, światło pali się w wielkiej łazience, której uchylone drzwi przepuszczają dość blasku, by można było czytać książkę bez okularów słonecznych. Idę aż do łazienki.

Jest tu Gaya, siedzi na krześle z przydrinkowaną miną i kretyńskim uśmiechem na ustach. Jest blada, a nozdrza ma zwężone.

- Gaya! - wołam moim normalnym głosem. - Źle się czujesz? Patrzy na mnie jak przez mgłę.

- Kto... kto to?... - pyta.

- Francis - odpowiadam. - Francis Deacon.

- To Flo...! - wzdycha. - Flo z głosem Francisa... nie dałam się na to nabrać. Dobre było.

Zaczyna się rechotać tak, że można dostać mdłości.

- Gaya, co tobie? - pytam.

- Nie dałam się nabrać - poważa z trudem.

Podchodzę do niej i solidnie ją policzkuję, by wywołać jakąś zmianę. Rzucam okiem do umywalki. Nie, nie jest chora. Nie piła. Niczym jej nie czuć. Ani alkoholem, ani marihuaną.

- Odczep się - mówi.

Przyglądam się jej z bliska. Nos ma zaciśnięty, a oczy jak czubek szpilki. Całkowicie zwężone źrenice. Coś mi to przypomina. Rozglądam się dookoła. Nic. Jeden z mankietów ma odpięty. Zadzieram rękaw No jasne, rozumiem.

Na razie nie ma tu nic do roboty. Najwyżej wrzucić ją do łóżka. Niech przetrawi to świństwo. Morfinę czy co innego.

Bo właśnie tego można się domyślić z przedramienia, dobry tuzin kropek: czerwonych, brunatnych lub czarnych w zależności od stopnia zadawnienia. Jedna jest całkiem świeża. Kropelka krwi jeszcze się perli na skórze.

No proszę. Siedemnastoletnia dziewczyna. Zbudowana jak Wenus z Milo z ramionami - być może nie lubicie tego, ale to znaczy, że nie lubicie zapewne takiej ładnie wyglądającej kobyłki - dziewczyna o udach, piersiach i ciele, jakich ze świecą szukać, o pięknej, słowiańskiej twarzy, nieco płaskiej, skośnych oczach i poskręcanych blond włosach. I to dziewczyna, która na dokładkę ma z czego żyć. Ma siedemnaście lat, jest taka właśnie i daje sobie robić zastrzyki z morfiny jakiemuś facetowi przypominającemu alfonsa z rogu ulicy... który w dodatku jest umalowany. Słowo daję. One nie mają pojęcia. Chwytam ją i stawiam na nogi.

- Ruszaj się, krowo - mówię.

Lata mi nisko, czy ktoś wejdzie, jestem przebrany za kobitkę, nie zapominajcie... i nie ma w tym nic szokującego, że stara kumpelka wsadza do łóżka drugą kumpelkę dlatego, że tamta za bardzo się wstawiła.

Gdybyż to było to. Droga Gayu, pewnego dnia złożę ci wizytę i usłyszysz wtedy niezły ochrzan. Zdejmuję jej jedwabną bluzkę i małą, obcisłą kamizelkę - nie pamiętam już jak to nazywają we Francji. Ta bździałwa obwiązała sobie biust bandażem elastycznym, żeby zajmował mniej miejsca. Cóż... prawdę mówiąc, to jej sprawa. Ja sam założyłem sztuczny. Ściągam jej welurowe majteczki i jedwabne pończochy Oto i ona w stroju rekruta przed komisją poborową. Idzie niepewnie i muszę ją podtrzymywać, żeby nie rozbiła sobie bużki. Jeszcze nie jest zbyt przyzwyczajona. Ściele łóżko i wpycham ją do niego, tak jak stoi.

- Branoc...! Flo... - mówi.

Świetnie. Jutro będzie przysięgała, że to Flo położyła ją do łóżka. Całuję ją w prawą pierś, bardzo mocno, żeby odcisnąć jej piękny, czerwony ślad od szminki. Kiedy zobaczy go wstając, z pewnością poczuje skrępowanie. Nie napalam się bardziej, bo choć jest nieświadoma, mógłbym jej sprawić kilka grzeczności. Lecz zastanowiwszy się, gra nie warta jest świeczki. Prawdziwa Flo czeka na mnie na zewnątrz w pełnej świadomości. A zważywszy na stan Gayi w obecnej chwili, równie dobrze można by to robić z krzesłem. A poza tym przeszkadza mi sukienka i kretyńsko bym wyglądał, gdyby ktoś wszedł.

I niech to gęś i szlag, nie cierpię narkomanek, kimkolwiek by były, Gayą czy kimś innym.

IV

Ponownie przemierzam salę. Jest jeszcze kilka par wyczerpanych bądź pijanych. Kumple Gayi. Pozostali, grzeczne dziewczyny i porządni chłopcy, już dawno odjechali z rodzicami lub z szoferem.

Wychodzę. Flo czeka przy końcu ogrodu.

- Odesłałam kierowcę - mówi. - Sama cię odwiozę, droga Frances.

Biorę ją za rękę i ściskam delikatnie. Tamta czuje się jak w siódmym niebie.

- Wsiadaj szybko - mówi.

Wsiadam. Ma ładny samochód. Podaję jej adres. Prowadzi jedną ręką, drugą obejmując mnie za ramiona. Gdyby nie była tak oszołomiona, z pewnością zadała by sobie pytanie, czy przypadkiem, jak na dziewczynę, nie jestem ździebko zbyt szeroki w barach. To dowód, że nie ma zbyt dużo do czynienia z dziewczynami. Zapewne czytała raport Kinseya i powiedziawszy sobie, że wszyscy mężczyźni to świntuchy, postanowiła oddać się rozkoszom nienormalnych igraszek z przedstawicielką własnej płci - słodką, delikatną i bezpieczną w kontaktach.

Bryka staje przed moim domem. Ludzie, którzy zobaczą, jak wchodzimy razem, na pewno stwierdzą, że mały Francis nie odmawia sobie niczego... sami pomyślcie... dwie na raz... Bo przecież, oczywiście, wchodzi ze mną.

- Odprowadzę cię - mówi - aż do pokoju. Jestem pewna, że masz rozkoszną sypialnię.

Jeśli nie rozpozna natychmiast, że mój pokój to sypialnia mężczyzny, będzie to znaczyło, że nie miała zbyt dużo do czynienia z męskimi pokojami. Ta refleksja, choć sprzeczna z poprzednią, całkiem mi się podoba. Otwieram torebkę - mam nawet torebkę - wyciągam klucz i wchodzę pierwsza. Flo podąża za mną zamyka drzwi.

No proszę. Nie może już wytrzymać. Obejmuje mnie od tyłu, a jej dłonie zaciskają się na fałszywym biuście mamusi. Powtarzam raz jeszcze - słowo daję, że to świetna imitacja. Dziewczyna całuje mnie w szyję i drży od stóp do głów. Biedna Flo. Nie bardzo przyzwyczajona do tych strasznych perwersji. Wyrywam się. Zapalam i gaszę światło, w miarę jak przemierzamy się przez kolejne pomieszczenia i oto mój pokój. Wskazuję jej fotel.

- Połóż płaszcz, gdzie chcesz, Flo - mówię rwącym się głosem. - Ja pójdę po lód.

Znajduję lód i wracam. Napitki są w moim pokoju. Kiedy przekręcę wyłącznik w living roomie, który właśnie opuściłem, dostrzegam, że wszystko ukryte jest w mroku i nic

więcej nie widzę.

Po omacku wchodzę do siebie i stawiam tacę na stole. Domyślam się, co się może zdarzyć i powolutku odpinam kilka agrafek przy sukni. Zdejmuje się ją o wiele łatwiej niż zakłada. To niezły fart. Kiedy się trudzę, słyszę odgłosy w okolicy mego łóżka. Trochę mi to przeszkadza w ściągnięciu powłoki. Kiedy już jestem tylko w staniku, szczerze rechoczę. Ale tylko w głębi ducha. Postanawiam go zachować, z pominięciem reszty.

Zbliżam się nieśmiało do łóżka. Światło z ulicy rozjaśnia nieco pokój, gdyż zasłony są rozsunięte. Odchrząkuję.

- Flo - mówię półgłosem. - Jesteś tam? Nie czujesz się dobrze?

- Nie... - odpowiada skrzępowana. - Musiałam się na chwilę położyć.

Potykam się o kupkę łażków, co daje mi obraz stroju, jaki przywdziała, by się wyciągnąć. Prawdziwy strój gimnastyczny.

W chwilę potem, kiedy wzięło się prysznic.

Naprzód. Bez wahania Ta mała Flo ma naprawdę piękne, niebieskie oczy.

Szafirowo niebieskie, takie, jak lubię.

Z pewnością leży rozciągnięta na łóżku, widzę niewyraźną biel jej ciała. Podchodzę. Jeszcze raczej nie jestem w zasięgu jej ręki, kiedy chwyta mnie i obala na łóżko.

Uf. O mały włos, a złapałaby mnie w taki sposób, że natychmiast zdałaby sobie sprawę z fortelu. Na razie jeszcze wszystko w porządku. Przesuwam jej ręce na moją szyję. Siedzę na łóżku, trzymając nogi na zewnątrz, zaś ona leży na wpół uniesiona. Przyciskam się do niej... w dalszym ciągu, z powodu sztucznego biustu, jest pewna swego...

- Zdejmij to... - mówi gorączkowo.

Tym razem mam wielki ból, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Jej ręce majstrują przy zapięciu stanika. No proszę. Zrywa wszystko.

Trzeba działać. Bo będzie za późno. Wywałam tamto urządzenie, przywieram wargami do jej ust i rozpląszczam się na niej całym ciałem.

Dobrze idzie. Wygląda na to, że chłopców też lubi.

A także, że umie również ich rozruszać i skierować ku stosownym miejscom.

Od tego czasu upłynął już tydzień i budzę się pięknego, wiosennego poranka w środku lipca, co nie jest tak nieprawdopodobne, jakby się zdawało, gdyż słowo „wiosna” określa również pewną jakość i nie ma powodów, by wiosenny poranek nie mógł mieć miejsca o dowolnej porze roku. Mam kilka listów. Otwórzmy. Pierwszy proponuje mi kurs psychoanalizy po śmiesznie niskiej cenie. Drugi przypomina, że szkoła detektywów w Witchita w stanie Kansas nie ma sobie równych na świecie, a trzeci to zawiadomienie o

ślubie. Kto wychodzi za mąż? Stara przyjaciółka Gaya... A szczęśliwym wybrańcem jest niejaki Richard Walcott.

Dobrze, dobrze, dobrze. Chwytam za telefon. Dziewczyna jest u siebie.

- Halo? Gaya? Francis Deacon przy aparacie.

- Och, Francis! - woła.

Mówi tylko tyle, a i to tonem słodko-kwaśnym.

- Wychodzisz za mąż, Gaya?

- Ja... wyjaśnię ci Francis - odpowiada - ale nie przez telefon.

- Dobrze - mówię. - Wstałaś już? - Ja... tak... ale...

- Zaraz będę - odpowiadam. - Wszystko mi wyjaśnisz.

Nie widzę powodu, dla którego nie mógłbym trochę zaopiekować się Gayą i jej małżeństwem, skoro serce mi tak podpowiada, co? Zawsze nosiłem się z myślą, że to ja znajdę męża dla Gayi. Dlatego lekko mnie bulwersuje, że nigdy do tej pory nie słyszałem o wymienionym już Richardzie Walcotcie. Bo gdybym pozwolił rodzicom Gayi na zajęcie się małżeństwem ich córki, byłaby to prawdziwa zbrodnia; oboje mają to gdzieś, a na ogół ich nie ma. A teraz bądźcie uprzejmi stwierdzić ukrytą użyteczność takich refleksji - niczego nie zauważyliście, a ja się już ubrałem.

Właśnie do tego służyła ta cała gadka.

Schodzę. Samochód, droga, parking, schody.

- Dzień dobry, Gaya.

- Francis - mówi.

Jesteśmy w jej sypialni urządzonej z szaloną prostotą dla tej drogiej dziewczyny, wszystko jest białe i złote, a na podłodze leży metr dywanu - na metr grubości, nadażacie.

- Kim jest Richard Walcott? - pytam.

- Nie znasz go, Francis.

Siedzi przy swej toalecie na urządzeniu z żelaznych, złożonych prętów, wyściełanych kremowym aksamitem, które jest cholernie idiotyczne. Gładzi sobie paznokcie przy pomocy ptasiej skórki oprawnej w chrom. Na pewno nie zadaje tym bólu ani paznokciom, ani ptaszкови.

- Kiedy mnie jemu przedstawiś - pytam.

- Francis - odpowiada, patrząc na mnie - cóż cię to może obchodzić?

Również patrzę na nią, więc odwraca oczy. Gaya nie wygląda dzisiaj szczerze. Piękny koń wygląda, jakby stał się narowistym koniem. Przybliżam się.

- Daj mi rękę, moja piękna - mówię. Ostentacyjnie podwijam jej rękaw i całuję tam,

gdzie znajdują się ślady ukłuć. Po czym opuszczam rękaw i uwalniam jej ramię.

- Skoro go kochasz, kotku, to wszystko gra - mówię patrząc na nią ponownie spod oka. - Ubieraj się, pojedziemy do Richarda i razem zjemy obiad.

- To znaczy... mam... miałam iść na obiad z nim i jednym z jego przyjaciół ..

- Z jego drużbą, jak sądzę - mówię. Potakuje.

- No to świetnie - mówię raz jeszcze. - Przedstawisz mnie jako swojego drużbę i we czwórkę zrobimy sobie małą wyżerkę. Naprzód, hop...

Chwytam ją pod pachy i stawiam na nogi. Po czym rzucam na cztery wiatry jej rozkoszny peniuar, zaś ona ma zasmuconą minę, tak jakby miała zamiar za chwilę się rozplakać i wszystko opowiedzieć... lecz bierze się w garść.

Dziewczyna w takim stroju, to niezły spektakl.

- W której szufladzie są staniki? - pytam.

- Nigdy ich nie używam - odpowiada obrażona. - Czyżbyś uważał, że sami potrzebne?

- Ależ skąd - odpowiadam. - Lecz takie skarby należałoby trzymać pod kloszem.

Powinnaś nosić staniki ze stalowych prętów.

Śmieje się.

- Francis - mówi - bardzo cię lubię.

Wygląda, jakby się trochę rozluźniła. Pomagam jej się ubrać, ot tak, po prostu, jak kumpel. To właśnie było świetne z Gayą - od czasu do czasu była jak najlepszy kolega. Nie jestem w niej zakochany, ale nie mam ochoty, by zrobiono z niej dziwkę - albo coś jeszcze gorszego.

Opowiadam jej stada bzdetów, a ona śmieje się przez cały czas Czesze swe loki przed lustrem zapełniającym całą przestrzeń pomiędzy dwoma oknami, trochę szminki na usta i po wszystkim, chwyta torebkę, rękawiczki i zatamuje się tuz przed drzwiami sypialni.

- Przecież to nie jest pora na obiad - stwierdza.

- Nie szkodzi - odpowiadam - zrobimy sobie małą przejażdżkę.

Waha się.

- Francis, obiecujesz mi, że nie będziesz stroił sobie żadnych żartów?

- Jakich żartów? - pytam niewinnie i szczerze. - Chcę cię zabrać na przejażdżkę i wrócimy na umówioną godzinę tam, gdzie masz spotkanie ze swoim narzeczonym. Słowo daję.

Jednym gestem odsuwa precz wszystkie swe zmartwienia i rusza ku schodom. Przebiegamy przez podest w dwóch skokach i ona wsiada do samochodu, dokładnie w momencie, kiedy ruszam.

- Wrzucimy parę ostryg i napijemy się mleka w jakiejś budzie po drodze - mówię.

Mówiąc między nami, przychodzi mi do głowy myśl, że mleczna kuracja dobrze by jej zrobiła. Zdaje się, że mleko to niezła odtrutka. I ma mnóstwo witamin. I rząd roztacza nad nim opiekę.

- Gaya, po co wychodzisz za męża? Wzrusza ramionami.

- Mówmy o czymś innym, Francis. I tak byś nie zrozumiał. Otaczam ją ramieniem.

- Jeśli to pociąga cię tak bardzo, miła - mówię - to chyba ja nie jestem taki odrażający? Kładzie głowę na moim ramieniu. Ma dziewczęcy głos. Jest bardzo miła. Prawdziwa idiotka, ale jest młoda, jeszcze się wyrobi.

- Francis - mówi - ja sama już nie mogę się w tym połapać. Mówmy o czymś innym... to bez znaczenia. Jakoś się ułoży.

Droga jest piękna - pełno kwiatów i samochodów, co dowodzi, iż jest to wiosenny poranek, kolejny argument na poparcie mego wcześniejszego dowodu.

Spędzamy dwie naprawdę sympatyczne godziny w małym, bezpretensjonalnym barze, gdzie wszystko kosztuje jedną szóstą tego, co był się zapłaciło u Jagera w Waszyngtonie, lecz mnie, pomimo kilku nowych prób, nic jeszcze nie udało się wyciągnąć z Gayi. Jest zamknięta jak sejf w Banku Federalnym; ten, kto ją zmusi do mówienia, będzie niewątpliwie cwańszy ode mnie, co skłania mnie do wyciągnięcia wniosku, że jest to niemożliwe, nie podoba mi się bowiem myśl, iż ktoś mógłby być cwańszy ode mnie.

W miarę jak zbliża się wyznaczona godzina, Gaya staje się jednak coraz mniej wesoła. Spogląda na zegarek, denerwuje się, patrzy również na mnie i to wcale nie miłośnie. Przypuszczam, że zbliża się chwila jej działki... Jestem słodki i czarujący, wsiadamy do samochodu. Im bliżej jesteśmy miasta, tym bardziej dziewczyna się uspakaja, lecz jednocześnie wzmagają się jej rozgorączkowanie. Jest sztucznie podniecona, nieprzyjemnie na to patrzeć.

- Prowadź mnie - mówię.

- Ty wiesz, gdzie to jest - odpowiada. - Umówiliśmy się w Potomacu.

- W Klubie?

- Tak - odpowiada.

Kapuję. Potomac Boat Club, jak sama nazwa wskazuje, znajduje się na Potomacu, w samym środku Waszyngtonu, przy moście Francisa Scotta Keya. To mały snobistyczny klub, zaś pomysł ze statkiem wydaje mi się jak najbardziej wskazany jeśli chodzi o narkotyki.

- I tam jemy obiad? - pytam.

- Najpierw przejażdżka po rzece, a potem obiad - odpowiada.

- Świetnie - mówię.

Przyciskam do dechy. O mało nie wpadam na tramwaj. Szkoda byłoby, bo tramwaje z Waszyngtonu nie mają sobie równych na świecie... są olbrzymie i całkiem ciche, jeśli kiedykolwiek pojedziecie na wycieczkę do dziury zwanej Belgią (w Europie, zdaje się) natychmiast zrozumiecie, dlaczego zależy mi na zachowaniu tramwajów takich, jak waszyngtońskie. I oto jesteśmy nad Potomakiem. Parkuję samochód, wysiadamy i podążam za Gayą, idzie dość szybko, jakby chciała mnie zgubić - ale ja znam Potomac Club.

Przysiada się do dwóch facetów w klubowym barze. Widząc ich, omal nie łyknałem własnych trzonowców.

Gdyż jeden z nich to gość, którego minąłem, kiedy wychodził z jej pokoju w czasie imprezy. Ten umalowany. Co? To ma być narzeczony? Nie... prezentacja wyprowadza mnie z błędu. To ten drugi, Richard Walcott. No cóż, nie wiem, czy ten także się maluje, lecz zapewniam was, że to jedna z... I to jaka. Prawdziwa ciota, w najlepszym gatunku. O mało nie wybucham śmiechem. Przedstawiamy się. Nie ściskam wyciągniętych ku mnie rąk, z pewnością są upaprane kremikiem. A jakie mają głosy... kobitek, prawdziwych kobitek. Coś takiego w życiu nie poślubi Gayi...!

Krótko potem zniecierpliwiona Gaya wstaje i podążamy za nią do biało-czerwonego chriscrafa kołyszącego się przy pomoście. Słońce praży ostro, a woda lśni, aż oczy bołą. Żal mi ryb. Co za życie!

W chwili gdy mamy wsiąść, Gaya zwraca się do mnie.

- Francis, kotku - mówi - zapomniałam zabrać z baru torebkę. Nie zechciałbyś pójść po nią?

No proszę. Tak się robi faceta w konia. I dobry Francis pójdzie po torebkę, w czasie gdy mała Gaya wstrzyknie sobie morfinę.

- Już idę, Gayu - mówię.

Na razie nie będę niczego przyśpieszał. Wracam do baru. Na stole nic nie ma.

- Moja przyjaciółka zapomniała torebki - zwracam się do barmana. - Nie widział jej pan? Wie pan. to ta wysoka blondynka, co była tu przed chwilą!

Patrzy na mnie. Wygląda, jakby stroił sobie ze mnie żarty.

- Wychodząc, pańska przyjaciółka miała torebkę przy sobie - mówi. - Prosiła mnie o zapalki i wsadziła je do niej. Torebka z czarno-czerwonego zamszu.

- Tak - odpowiedziałem. - Przepraszam. To musiał być dowcip. Wypadam błyskawicznie i kiedy dobiegam do pomostu, Chriscraf jest już daleko.

Bardzo dobrze. Następnym razem wkraczam do akcji. A następny raz jest już teraz.

Gdyż przed sobą dostrzegam nagle sylwetkę mego brata Ritchiego. Z Joan i Ann, które są przyjemną parą myszek. Oto mściwy przypadek. A coście myśleli - my też jesteśmy snobami.

- Jesteś łodzią, Ritchie?

- Owszem - odpowiada. - Właśnie z niej wysiadłem. Przed chwilą wciągnąłem ją do hangaru.

- Świetnie, pożyczam ją sobie - mówię. - Daj klucz od boks. Podaje mi go.

- Uważaj na swoje ciśnienie, Francis - mówi. - Wyglądasz na przekrwionego. Nie wpadnij do wody w takim stanie.

- Dzięki stary... - odpowiadam, nie odwracając się, zwawo biegnąc ku boksom.

Czerwono-biały chrisraf zniknął już za Wyspą Trzech Sióstr. Lecz łódź Ritchiego płynie nieco szybciej... odkupił ją od pewnego głupca, który zabawiał się skokami z trampoliny przez ceglane mury i całą gamą tego rodzaju rozrywek. Złapię Gayę po dziesięciu obrotach śruby.

Silnik jest jeszcze ciepły i startuje po ćwiartce obrotu. Nawiasem mówiąc, łódź mojego brata nazywa się „Kane junior”, nikt nie umiał nigdy powiedzieć, dlaczego, zresztą nigdy nikogo o to nie pytałem. Przyklejam się do kierownicy i daję czadu. I to jakiego. Mam wrażenie, że rozrywam siedzenie, tak ostro wystartowałem...

Prawdę mówiąc, nie jestem szczególnie ubrany jak do tego, co mam zamiar zrobić. Ach...! w skrzyni na przodzie jest kurtka z impregnowanego płótna, która będzie pasowała na mnie jak ulał. Nie puszczając steru, chwytam ją i jakoś wdziewam na siebie. Już jest lepiej. Jeszcze przyspieszam. Objeżdżam wyspę pięknym łukiem. Gdzie jest chris? No proszę!... stoi tam... Znowu rusza. Wygląda, jakby wracał. Musieli się zatrzymać, by pozwolić Gayi na zrobienie zastrzyku.

Myślę sobie, że solidny prysznic nie zaszkodzi ciociom, i celuję. Starannie. Jak wam mówiłem, facet, który sprzedał łódź Ritchiemu, zabawiał się przeskakiwaniem przez mury z cegieł. A chrisraf nawet nie jest z cegieł.

Wezmę ich od przodu. Będą mieli czas wskoczyć do wody. Być może jest kilku widzów, którzy uznają to za zabawne, ale nie warto przejmować się drobiazgami... Silnik warczy, a dziób unosi się ponad wodę. Na dziesięć metrów przed chrisrafem wyłączam dopływ paliwa.

Chrrrup... drą się blachy i cały ten chlam, a ja omal nie rozbijam sobie bańki o nadbudówkę i nabieram dość wody, by utopić piętnaście kaczek. Chrisraf zaczyna pochyłać się do przodu. Moja słodka Gaya tapła się, Walcott również, a tamten trzeci także. No... bądźmy wytworni. Ponownie startuję, na wstecznym biegu odrywam się od crafta i krążę

dookoła, by wyłowić Gayę.

Musiałoby to odebrać co najmniej połowę efektu zastrzyku... rzuca mi spojrzenie pełne rzadko spotykanej srogości... łapie ją, jak leci i wrzucam do łodzi. A tamte typy będą miały nauczkę. Brzeg jest niedaleko. I jest tam mnóstwo złośliwych kamieni.

Zjawia się również stary patrolowiec policji rzecznej. Musieli coś usłyszeć. W każdym razie wiele nie zobaczą. Chriscraf pęta właśnie po mulistym dnie naszego kochanego narodowego Potomacu.

- No, Gaya - mówię. - To tak się roluje kumpli? Odpowiada mi słowem niezbyt przyzwoitym i słabo nadającym się do powtórzenia.

- Rozbieraj się - mówię. - I włóż tę kurtkę.

- Zabierz mnie, Francis - odpowiada przez zaciśnięte zęby. - Zabierz mnie do klubu, i to zaraz. I więcej w życiu się do mnie nie odzywaj.

Chwytam ją za włosy i odwracam w moją stronę. Statkiem buja trochę. Trochę za mocno. Przewracam ją na podłogę.

- Powiem ci coś, Gaya - ciągnę. - Robisz błąd, spotykając się z tą bandą popaprańców. Twój narzeczony - nie wiem skąd się wzięła, ale jest bardzo nieprzyjemna. Rzuć to w diabły, a ja się od ciebie odpieprzę. Wyrosłaś już z wieku, kiedy się ćpa, a jeśli nie będziesz miała nic do roboty i zapragniesz sensacji, to lepiej zrobisz, jak do mnie zadzwonisz.

Śmieje się szyderczo, co wkurza mnie okropnie.

- Zostaw mnie w spokoju - mówi. - Ślubu nie braliśmy, a ja jestem dostatecznie duża, by sobą kierować. Zajmij się swoimi sprawami.

W tym momencie podpływam do pomostu i na zwolnionych obrotach sunę w kierunku boksu Ritchiego.

- Jakieś ciuchy znajdziesz w tej metalowej szafie - mówię. - Ubieraj się i chodź. Odwiozę cię. Ci twoi dwaj kolesie właśnie się pluskają i nie ujrzysz ich wcześniej, jak za osiem dni, póki nie poklajstrują sobie łbów.

Podnosi się i wychodzi. Wygląda, jakby niezbyt pewnie trzymała się na nogach, więc śpieszę, by ją podtrzymać, ale ta zasmarkana bzdziągwa kiwa mnie, bo w chwili kiedy stawiam stopę na betonie, pochyla się, łapie mnie za nogę i wpięprza do wody, gdzie - zapewniam was - jest dość mazutu, by napędzana nim „Elizabeth Queen” mogła dopłynąć z Nowego Jorku do Londynu.

Kiedy udaje mi się wygramolić z tej marmolady, na czaszce mam guza, który puchnie w mgnieniu oka, jak mały balonik. Wnioskuje z tego, że musiałem się zaprawić wpadając i rozbieram się, zęby zmienić ubranie. Całe szczęście Ritchie jest mniej więcej mojego

wzrostu, tyle że nosi okulary, co w tym przypadku nie ma najmniejszego znaczenia. Na umywalce leży stary kawałek mydła, trudno to nazwać luksusem; zdieram z grubsza mój mazutowy makijaż i znajduję stare spodnie oraz sweter. Buty mam mokre, trudno... zdejmuję je, opróżniam, wykręcam skarpety i wszystko to razem zakładam ponownie. Ekstra. Wychodzę i udaję się do baru w klubie. Wypijam świetną, czarną i dobrze osłodzoną kawę i jestem w doskonałej formie..

Wychodzę. Jest mój samochód. Gaya się ulotniła.

Jakież życie jest proste... Guzik! A to małpa! Wszystkie cztery koła to flaki.

VI

Kiedy już jestem dobrze wykąpany, nasmarowany, wykurowany, suchy i leżę sobie spokojnie na tapczanie, zastanawiam się i stwierdzam, że cała ta historia z przebicciem opon nie jest w końcu taka straszna. Opóźniło mnie to raptem o pół godziny, a człowiek ma zawsze o pół godziny za dużo, zwłaszcza jeśli gruchy obija; w sumie, jeśli pomogło to Gayi w odzyskaniu dobrego humoru, to byłem jej winien tę maleńką rekompensatę.

Właśnie czytam kryminał, łagodny jak rzadko, zważywszy, że po jedenastu stronach dopuszczono się zaledwie piątego morderstwa, kiedy dzwoni telefon. Wyciągam rękę i ponoszę słuchawkę.

- Francis? Tu Gaya.

- No - mówię. - Czyżbyś chciała mi sprzedać dętki? Śmieje się.

- Nie Francis. Bardzo mi przykro... Byłam taka zdenerwowana...

Dopiero będzie wesoło, kiedy się naprawdę wścieknie. Będę musiał opancerzyć sobie karoserię.

- Francis... chciałabym gdzieś pójść dziś wieczorem... mógłbyś mi potowarzyszyć? Podjadę po ciebie... sprawiłbyś mi przyjemność... hmm... gdybyśmy się pogodzili.

Dziwi mnie to, zważywszy na stan, w jakim ją zostawiłem. Ale w końcu... była pod wpływem tego święstwa. Umawiamy się i odkładam słuchawkę... i bardzo chciałbym wiedzieć, co się za tym kryje. Zabijam czas przy pomocy tęgich sztanów whisky z cytryną, to wspaniałe narzędzie mordy. Ubieram się... któryż to już raz się dzisiaj ubieram. Jestem milusi niezwykle w moim ciemnogrnatowym smokingu i nikt nie rozpoznałby we mnie tamtego obrzydliwca, uświnionego smarami.

Biorę mój stosowny filcowy kapelusz i już jestem na zewnątrz. Na minutę przed umówioną godziną.

Dokładnie po minucie Gaya zatrzymuje się przede mną w swym kabriolecie. Chwytam za burtę i wskakuję obok niej, nie otwierając drzwiczek. Polecam wam ten trick, piszczele bolą po pierwszych dziesięciu razach i można rozedrzeć sobie portki o klamkę, lecz przy jedenastym efekt jest murowany.

- Dokąd jedziemy? - pytam.

- Do Fawnsa - odpowiada.

- Czemu nie - mówię.

Wesoła jest jak sto szczygiełków. Od czasu do czasu rzuca na mnie spojrzenie spod

oka i jednocześnie wybuchamy śmiechem. Można by nam dać po trzy lata. Nie więcej.

Nieźle się kręci po uliczkach, lecz z grubsza udaje mi się rozpoznać miejsce, zwłaszcza kiedy przejeżdżamy koło Thomas Circle, na rogu Vermont Avenue i Massachusetts. Zjeżdżam trochę na południe, ale nadal pozostajemy na N.W. i Gaya stopuje przed jakąś chałupą bez wyglądu, niedaleko Farragut Square. To ona idzie przodem, a ja depczę jej po piętach. Wchodzimy do pustej sali - lokal znajduje się w podziemiach, ruszamy po marnie oświetlonych schodach i już jesteśmy.

To naprawdę mogło mnie być zdziwić. Patrzę na ludzi kręcących się po czymś w rodzaju snobistycznego baru, pełnego stiuków, metaloplastyki, tworzyw sztucznych oraz reflektorów i już kumam. Kumam jak cholera. Jeśli choć jedna ze znajdujących się tam kobitek spała kiedykolwiek z mężczyzną, to jestem chelbią bałtycką i jeśli te chłopaki niepokoją płęć przeciwną to Washington był sprzedawcą popcornu. Lesbije i cioty, oto cała publika... a ja czuję się skrępowany. Zresztą, muszę oddać sprawiedliwość i przyznać, że jest tu wszystkiego trzech facetów na tuzin kobiet... czy jak tam raczej wolicie je sobie nazwać, bo na te siostrzyczki nie ma stosownej nazwy.

I znów widzimy Richarda Walcotta i jego pomagiera - czy mówiłem wam, że nazywa się Jean Le May? Ładne nazwisko, co?... i jest do niego podobny. Trzeci „mężczyzna” to piękny blondynek, wysoki i nieźle zbudowany. Fuj! Z pewnością jest miękki jak ślimak.

Co do pańnek... sami wiecie, co to za gatunek. I oczywiście są takie, które na dobitkę noszą okulary. Jednej rzeczy tylko nie kapuję - dlaczego policja nie zamyka takich przybytków. Jest to nieco zaskakujące jak na Waszangton.

Ba... jasna sprawa. Protekcja.

Walcott uśmiecha się do mnie sympatycznie i nie wygląda na złego. Przypuszczam, że jego chrisraf był ubezpieczony. Albo nie był jego. Albo się zgrywa. Siadam. Po kiego diabła ta bździągwa Gaya mnie tu przyprowadziła? Jest obok mnie. Pomiędzy nami dwoma, trzymając swą torebkę. Dostrzegam nagle, że jest na wpół otwarta, więc zapuszczam do niej żurawia, podczas gdy jakieś babsko, nad którym można by wycić ze zgrozy, ponosi nam kieliszki.

W torebce Gayi znajduje się nieduży zwitek banknotów... ale za to grubych.

Nie warto zaglądać ponownie. Ma tam dziesięć tysięcy dolarów w kawałkach.

Od niechcenia robię to, co trzeba, i po pięciu sekundach całość siedzi w mojej kieszeni. Teraz potrzebuję pretekstu, by wyjść na pięć minut, zaczerpnąć świeżego powietrza. Wstaję i zabieram się do wyjścia.

- Dokąd idziesz Francis? - pyta Gaya, łapiąc mnie za ramię.

- Zostawiłem portfel w samochodzie - odpowiadam.

- Ale wrócisz?

- Jasne!

- Pójdę z tobą... - proponuje jeden z chłopczków.

- Mówię, że zaraz wracam...

Po dwóch sekundach i sześciu stopniach jestem na zewnątrz. Przez chwilę szperam w skrzynce z narzędziami, później pod maską, i w porządku. Załatwione.

Wracajmy do podziemi. Gaya ma bardzo głupią minę, widząc, jak wychodzę. Siedzi tam nadal i patrzy na mój powrót z niejaką ulgą.

Do czego miało służyć te dziesięć tysięcy dolarów? Pewnie jako zapłata za kolejną dostawę. A może do zduszenia jakiegoś szantażu?

Skąd Gaya wzięła te dziesięć patyków?

Wszyscy siedzą i gadają. Prawdziwa, szalenie nieskomplikowana konwersacja, w której jest mowa o wszystkim, za wyjątkiem tego, co mogłoby zainteresować normalnego człowieka. No proszę, wysoki blondyn zmienił miejsce. Teraz siedzi blisko mnie, nieco z tyłu.

To zabawne. Atmosfera jest, rzec by można, napięta.

Teraz rozmawia się o łodziach i o Potomacu. I o kąpielach w rzece. Oraz o czerwono-białym chrisrafie.

Zaś Richard Walcott bardzo krzywi głowę pod moim adresem. Jeśli chodzi o Teda Le Maya, to porzucił wszelką swą ogładę. Nie mam cienia wątpliwości. Trochę majami za złe.

- To dlatego - stwierdza Richard - zaprosiliśmy Gayę, żeby cię tu przyprowadziła i dziękujemy, że to zrobiła.

- Bardzo przepraszam - mówię - ale nie rozumiem waszych motywów. Przecież nie może was denerwować jakiś chrisraf... przy wszystkich tych narkotykach, którymi handlujecie...

Jest to cios na chybił-trafił, ale najwyraźniej klimat się ochładza.

Za to inny cios, wcale nie na chybił-trafił, spada mi na łeb. Wysoki blondyn, o którym zapomniałem. Czy zrobił to specjalnie? Nie mam pojęcia, ale wcelował dokładnie w guza, jakiego sobie nabiłem przy okazji porannej wycieczki.

Słusznie się domyślałem, że ten palant ma mięśnie z pierza. Przyjmuję puckę z godnością; jeden zero i po sprawie. I tytułem rozrywki podnoszę stół i przewalam go Walcottowi na łeb. Zdecydowanie nie lubię tego faceta. Stwierdzam z przyjemnością, że dostał w samą kichawę. Będzie musiał udać się na operację plastyczną.

Bar wyludnia się natychmiast. Jestem sam przeciw całej bandzie. Gaya stoi po mojej lewej. Blondasek leży po prawej, lekko zbity z pantaląku po solidnym ciosie buta w podbródek. Rzec by można, że bardzo się uczepliłem ich buziek.

Chwytam torebkę Gayi. Piękny fortel. Pędzę ku schodom. Trzech pedryli to za mało, zęby załatwić małego Francisa.

Mowa. Tyle że na schodach stoi kolejny, taki z gatunku szaf trzydrzwiowych.

Okropny facet. Rudy, o spiczastej czaszce, włochaty i wyglądający jak niedźwiedź; waży co najmniej dwieście kilo i jest bardzo złośliwy - widać to po kaprawych, świńskich oczkach, zatopionych w tłuszczu.

Przyjmuję kilka ciosów taboretami po zebrach. Nic poważnego. Za to ten wielki jest poważny. Trzeba się decydować.

Wybieram. Zbiegam po schodach. Zmyłka. Odwracam się gwałtownie, przerzucam torebkę ponad bydlaczkiem i rzucani się między nogi w chwili, kiedy on zbiega. Dobry Boże... nie precisną się nigdy w życiu. Facet ma uda jak słoń. Hopla! Podnoszę... przerzucam, poszło. Gość się zwał. Słyszę wrzask, to Ted, pewnie przyjaciel skoczył mu na nóżkę.

Ach! Znowu jestem na parterze. A tu drobny kłopot. Krótko mówiąc, drzwi wyglądają na hermetycznie zamknięte.

Podnoszę torebkę. Obejrzyjmy te drzwi. Nie! Są pilniejsze rzeczy. Chwytam kilka krzeseł i spuszczam je po schodach, bo przychodzi mi do głowy, że coś próbuje tamtędy wyleźć. Wszystko odbywa się dość szybko, bez dwóch zdań. Nie ma czasu na nudę.

Trzymając w rękach ciężki, dębowy taboret, walę w zamek w drzwiach wyjściowych. To fajans. Puszczam.

Moja czaszka również. Ściemnia mi się.

VII

Ale nie sądzicie chyba, że pozostanę w mrokach dostatecznie długo, byście mieli czas skoczyć na piwko do baru na rogu. Mowy nie ma. Tym bardziej że wylano mi za kołnierz butelkę Seven-up, a zapewniam was, że to orzeźwia. Pewno z powodu bąbelków.

Jestem na dole. Na ziemi cała kupa. To ten wielki rudzielec. Rzec by można, że padając zrobił sobie krzywdę. Ani drgnie.

Jest także Ted Le May trzymający się za ramię, Walcott krwawi z nosa, a Gaya nic nie mówi.

Tamten wysoki blondyn ma problemy z paszczką i patrzy na mnie złym okiem.

No i ja z dyńką w kawałkach, przywiązany do krzesła. Przystarzały sposób.

- Francis - mówi Gaya - gdzie jest dziesięć tysięcy dolarów?

- Które? - pytam.

No proszę, boli mnie, kiedy mówię.

- Te, które były w jej torebce, zasrańcu - mówi wysoki blondyn. I dorzuca mi fangę w nos.

Trudno, sam tego chciałem. Spluwam mu w oko. Nic innego zrobić nie mogę. Nie jest zachwycony i dostaję cios w kulfona, ale to nic nie szkodzi, moja kolej jeszcze nadejdzie.

- A co jest temu dużemu? - pytam.

- Jest lekko uszkodzony - odpowiada Walcott - i ty też wkrótce będziesz.

- Och! - wołam. - To niemożliwe. Jesteście zbyt fajni, zęby mi zrobić krzywdę, mimo wszystko.

- Francis - pyta Gaya - co zrobiłeś z dziesięcioma tysiącami dolarów?

Gaya jest jak oszalała. Chyba będzie miała kryzys.

- Nie wziąłem ich - odpowiadam - i skoro mam wkrótce umrzeć, nie zawracaj mi głowy przyziemnymi kwestiami finansowymi.

Bęc! Dostaję nogą od krzesła w prawy policzek. Łajdak. To Le May. Mam wrażenie, że pękła mi kość. Spluwam na czerwono. Boli.

- W każdym razie mogę ci powiedzieć jedno - dodaję. - Jeśli mnie szlag trafi, to dziesięć tysięcy dolarów, które chciałem ci oddać w ślubnym prezencie, odfrunie daleko.

Wspaniale. Tylko tego mi brakowało. But prosto w arbuz, a na dokładkę z nogą w środku. Walcotta zresztą. Błogosławiona niech będzie moda na cienkie podeszwy. Wyobraźcie sobie, co by to było w porze uprawiania sportów zimowych.

A jednak krwawię z nosa tak, że sprzedawca koszerne mięsa kucnąłby z uciechy. Wkrótce będę się nadawał na sznycle.

Wtrąca się Gaya.

- Zostawcie go.

- Akurat - mówi Richard. - Ten świntuch ma solidną czaszkę.

- Wisi mi, czy mu po niej nakładzicie - odpowiada Gaya - ale chcę, żeby mi zwrócił pieniądze.

Biedactwo. To świństwo, co mówi, lecz jest do tego stopnia na łasce tych śmierdzieli, że mam jednak dla niej litość. Narkotyki bardzo ją muszą trzymać.

- Gaya - mówię - wyprowadź mnie stąd, a jutro będziesz miała u siebie dziesięć tysięcy dolarów. Nie wiem, o jakie pieniądze chodzi, ale zawsze byłaś moją kumpelką i w gruncie rzeczy nie odpowiadasz za istnienie bandy popaprańców, takich, jak te trzy cioty.

Chrup! I tym razem nie chybiają. Tylko to mnie ratuje, że nie wiedzą już, gdzie walić. Jeśli za chwilę zechcą poszukać nietkniętego miejsca, będą musieli się wzajemnie ogłuszyć.

Teraz mam kłopoty z mówieniem i chce mi się wymiotować. Nie czuję się zbyt zuchowato. Robię wysiłek.

- Gaya - mówię - o nic nie poproszę tych trzech dziwek. Jeśli możesz coś zrobić, zrób to. W przeciwnym razie mój braciak wygada wszystko, co mu opowiedziałem o tej historii.

Wstyd mi, że pakuję w to Ritchiego, gdyż to nie jego broszka, dlatego że ma swoje studia i dlatego że sam się wpakowałem w tę kabałę. Także dlatego, że bardzo lubię mojego braciaka i nie chciałbym, żeby mu się coś przytrafiło. Lecz to moja jedyna karta. Ci trzej są tak wkurzeni na mnie, że gotowi są stracić dziesięć tysięcy dolarów w imię zemsty.

Grad urywa się. Gaya mówi do nich. Niezbyt wiele rozumiem. Rozwiązują mnie. Podnoszę się, ale kiepsko to idzie. Odskakują, co mnie rozśmiesza, ale nie na długo, bo padam ponownie na krzesło i mam wrażenie, że kiedy się śmieję, usta otwierają mi się w trzech kierunkach naraz.

W sumie zebrałem niezłe cięgi. Lecz bardzo bym chciał, żeby obudził się wielki rudzielec. Niezłe mu przydzwoiłem...!

- Nie ruszaj się! - woła Walcott.

Patrzę na niego. W rękę trzyma spluwę. Mógłbym zaryzykować, pewno strzela jak noga... ale lepiej nie, bo jeszcze by źle wycelował i mógłby mnie sięgnąć.

- Dziękuję Gaya - mówię, żeby wkurzyć pozostałych.

- Nie dziękuj, Francis. Sprawileś mi większą przykrość niż przypuszczasz i chętnie pozwoliłabym im na wykończenie ciebie... lecz zbyt potrzebuję tych pieniędzy.

- Jesteś pewna, że to nie oni ci je ukradli?

Zgrywam cwaniaka, a to błąd. Zostały jeszcze nogi od krzesel. Tyle że stoję już od pięciu minut, a moje mrówki poszły sobie precz. Ostatnia pucka była od Teda Le Maya... jednym skokiem chwytam go i posługuję się jak tarczą przeciw Walcottowi. Możesz strzelać, staruszk.

Tedowi się to nie podoba. Macha kończynami, lecz trochę go trzymam. Kątem oka obserwuję trzeciego, wysokiego blondyna, i dostrzegam w tym momencie, że rudzielec zaczyna się ruszać. W porządku. Żyje. Tylko tyle chciałem wiedzieć... lecz teraz nie powinien się za szybko pozbierać. Łapię Teda za kołnierz i pasek, pociągam, by sprawić mu ból, i ciskam nim z całej siły w kierunku Richarda. Słyszę strzał i wrzask, jakby ktoś kaczkę rozdeptał!. To blondasek utargował w sam tyłek. Doskonale. Kurna chata, wielki rudzielec rusza się coraz bardziej... pędzę ku schodom. W biegu wołam:

- Będziesz miała swoje pieniądze jutro, Gaya. Obiecuję.

Wbiegam na górę, to już drugi raz, ale tym razem ostatni. Oto i moja bryka. Wskakuję błyskawicznie. Szczerze mówiąc, nie zauważyłem, bym przechodził przez drzwi... no tak, jasna sprawa, przed chwilą je wyłamałem. Noga na gaz... Startuję z trójki, bo bardzo mi się spieszy... Uf...

VIII

Przejeżdżam pięćdziesiąt metrów na pełnym gazie i zaczynani mieć lepsze samopoczucie, po czym nagle czuję coś na szyi poniżej kołnierzyka - jest to zimne i twarde. I ktoś się odzywa. Co za głos...! Znowu pedał?

- Nie ruszaj się... nie odwracaj się. Jedź dalej tamtędy...

Nie odwracam się, bo przychodzi mi do głowy, że ten wichajster na szyi niekoniecznie musi wpłynąć dodatnio na moje zdrowie, lecz nie jestem ślepakiem i rzucam oczkiem w lusterko wsteczne. No proszę... sądziłem, że to mężczyzna... a to kobieta. Och. w porządku... z takim głosem i wyglądem to z pewnością siostrzenica niejakiej Safony, która wypisywała różne świństwa po grecku, zęby nikt ich nie mógł zrozumieć... była to pewno taka resztką wstydu...

- Czym mógłbym pani służyć? - pytam.

- Ja - odpowiada powoli - nie ryzykuję niczym, ale na twoim miejscu nie wtykałbym nosa w nie swoje sprawy.

- Wszyscy mi to mówią- stwierdzam - choć jestem najdyskretniejszym facetem na ziemi. Gdybyś znała Toma Collinsa...

- Dość tych pierdoł - mówi. - Nie występujemy w filmie.

- Jasne, że nie - odpowiadam. - W filmie pocałowalibyśmy się już co najmniej ze trzy razy. A tak między nami mówiąc - sprawiłoby mi to cholerną przyjemność.

I bęc! Dostaję w arbuz rękojęścią. Jak tak dalej pójdzie, to dzisiejszego wieczora będę miał głowę jak prawdziwa ulęgałka.

- Powiedziałam: dość pierdoł. I powtarzam. A kiedy coś mówię, to lubię, jak się na to zwraca uwagę.

- Zawracasz mi tyłek, moja piękna - odpowiadam. - Przede wszystkim nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Jeśli nie powiesz mi kim jesteś, to pakuję brykę w pierwszego napotkanego gliniarza i wtedy zobaczymy, jak się z tego wyliżesz.

* * *

W tym samym czasie dodaję żaru cadillacowi, lecz tamta wsza nie pęka, tylko obsypuje mnie taką garścią kokosów w pierwszym gatunku, jakby co najmniej była instruktorką z Opieki Społecznej.

- Ty ścierwo - mówię.

- Skręć w prawo.

Nie wiem, dlaczego jestem posłuszny. Tą drogą wyjeżdża się z miasta.

- Powiem ci, jak się nazywam - mówi. - Louise Walcott. - Ach...!

Udaję, że sobie przypominam.

- Jesteś matką tego wstrętnego pedryla...

Tym razem ryczę i podskakuję w powietrze, bo wbiła mi szpilkę w comber. Cadillac jedzie zygzakiem, a ja korzystam z tego, chcąc coś wymyślić, ale ta cholerna mała ma niezłe oko.

- Włącz z powrotem światła - mówi. - I nie próbuj mnie wyrolować, najeżdżając na gliniarza, bo ukatrupię cię natychmiast, z nim do kupy.

Oto opis panienki: fizjonomia korzystna, śniada, matowa cera, włosy krótkie, usta ostre.

Moim zdaniem ta lalunia jest kompletnie popaprana. Chyba za dużo słuchała radia.

- Jestem siostrą Richarda Walcotta - ciągnie dalej. - I Richard robi to, co mu każę. A jeśli chodzi o myszkę, którą się zajmuje, to ja kazałam mu zająć się nią.

- Domyślam się. On sam, przy takim wyglądzie, wolałby zapewne zajmować się marynarzykami.

- Co kto lubi - odpowiada. - W każdym razie, ty możesz spać spokojnie. Nikt ci nigdy nie złoży propozycji.

Oho! Próbuje mnie obrazić. Jeszcze się okaże z tymi propozycjami. Niech no tylko się z tego wygrzebię.

- Dzisiejszego wieczora - mówi - sprowadziłam cię, żeby ci lekko przefasonowali portret. A kiedy zobaczyłam, że sprawy przybierają zły obrót, wsiadłam do twojej bryki. Bo musiałeś dostać nauczkę. Nie szkodzi, że nazywasz się Francis Deacon, mała lekcyjka przyda się na pewno. Oczywiście, nie skasujemy cię natychmiast, zaś jeśli chodzi o uślicznienie, to zrobiono niezły początek, z tym że można by to jeszcze trochę poprawić.

To mówiąc wali mnie w czachę, jakby chciała zadzwonić na Anioł Pański. To bładź, niezłe wybrała moment, na samym środku zakrętu. Puszczam kierownicę i łapię się obiema rękami za głowę, zaś samochód wali w dekorację. Całe szczęście odruchowo zahamowałam, lecz jechałam zbyt szybko. Mam dość czasu by osłonić twarz łokciem, żeby nie wyryć nią w przednią szybę.

Odgłos jest przeraźliwy, kiedy wpadam w witrynę i rozkwaszam kilometry serdelków.

Kiedy powracam do zmysłów, stwierdzam, że ta wstrętna dziwka zerwała się, a co najmniej czterdziestu facetów otacza moją brykę, z czego jeden wydiera się znacznie głośniej od pozostałych. To pewnie właściciel sklepu mięsnego. Cóż. przypuszczam, iż jest

ubezpieczony; co do mnie, to robię rzecz najrozsądniejszą w danej chwili: wobec całej tej publiki - odpływam wielkim autem. Podnoszą mnie, usadzają wygodnie w karetce, a ja ani pisnę. Wszystko kręci mi się w głowie, syreny gliniarzy, rudzielec, cioty, niezły koktajl... w sumie nie doliczyłem się ilości ciosów przyjętych na łeb... ten rachunek mnie wykańcza... odjeżdżam na dobre.

IX

Oczywiście, przy pomocy szmalu wszystko można zatuszować, nawet cadillaca w środku wystawy ze świńskim towarem, i już nazajutrz nie przejmuję się tą historią. Mogli stwierdzić, że nie byłem pijany i wyjaśniłem wypadek jakimś paskudztwem, które wpadło mi do oka, kiedy wchodziłem w zakręt. Zdaje się, że mój jarecki wsadził forszę w towarzystwo ubezpieczeniowe, a to zawsze pomaga załatwić takie zagadnienia. Nie załatwia natomiast sprawy tego, co służy mi za czaszkę, więcej tam guzów niż czegokolwiek innego i kiedy wkładam kapelusz, efekt jest przejmujący zarówno dla mnie, jak i dla tych, którzy się przyglądają. Krótko mówiąc, ponieważ nie muszę siedzieć w kapeluszu w sypialni, trochę się pocieszam i patrzę jak Ritchie, mój braciak, próbuje przygotować lufę w oparciu o zawartość mego barku. W życiu nie widziałem gorszego fajtlapy od Ritchiego, kiedy pomyślę, że studiuje medycynę, drzę o jego pacjentów. Mam nadzieję, że zostanie psychiatrą, w tej dziedzinie nawet najgorsze łamagi jakoś sobie radzą, wystarczy być bardziej kopniętym od najbardziej kopniętego spośród własnych pacjentów. Wreszcie Ritchie doprowadza do końca ów delikatny manewr i podaje mi szklanekę, której połowę zawartości wylewam sobie na koszulę. Mam na to usprawiedliwienie, gdyż pod prawym okiem sterczy mi półkilowa śliwa, a każdy wie, że patrząc jednym ślipem, traci się poczucie odległości. W każdym razie, uważam za niestosowne, by młodszy brat robił sobie ze starszego jaja, i to w tak bezczelny sposób.

- Ritchie - mówię - kiedy dasz sobie obić głowę jak twój braciszek, nie będzie cię to wcale tak bawiło.

- Nie widzę powodów - odpowiada.

- No, na twoim miejscu, Ritchie, nie byłbym tego taki pewien. Bardzo mi przykro, ale wpuściłem cię w kanał. Chwila nieuwagi.

Nie wygląda, by zbytnio go to wzruszyło. Ritchie, w gruncie rzeczy, to facet ekstra. Opowiadam mu całą imprezę i kopara opada mu tak, że mógłby tamtędy przepłynąć cały Potomac.

- Tak więc - podsumowuję - odpieprzą się ode mnie aż do wieczora, czekając, bym przekazał dziesięć tysięcy dolarów Gayi. Mam wrażenie, że będzie gorąco. I to dla nas obu.

- A co zrobimy z dziesięcioma patykami? - pyta braciak. No proszę, szybko kuma.

- Zużyjemy je na znalezienie meliny. I na zakup całego niezbędnego towaru. Bo trzeba się, po pierwsze, zabunkrować, po drugie, zakamuflować.

Podaję mu listę, którą sporządziłem, kiedy berta! whisky z wachą. Tym razem noktowizory jak nic wyskakują mu z oprawek z metalicznym odgłosem.

- Co ty chcesz z tym robić? - pyta. - Masz jakieś dupcie na utrzymaniu?

- To dla nas - odpowiadam.

- Co? Sukienki, staniki, fi... Francis, przebierasz miarę. Nigdy nie ośmielę się poprosić o to w sklepie.

- To poprosisz jakąś kumpelkę - odpowiadam. - Od jutra nazywam się Diana, a ty Gryzelda. Oczywiście, możesz wybrać sobie inne imię.

- Francis - mówi - jesteś stuknięty. Za mocno ci nakładli po łbie.

- Holender - mówię - wolisz, zęby znaleźli cię w talarkach? Posłuchaj. To wszystko są cioty i lesbije. Jeśli ta Louise Walcott naprawdę dowodzi bandą, możesz postawić swoją koszulę, że nie mamy najmniejszych szans dowiedzieć się czegokolwiek, pozostając zwykłymi mężczyznami. Więc chcąc działać, wolę się umalować na lalkę. Być może. od czasu do czasu uzyskamy jakąś drobną rekompensatę.

Zastanawia się przez pięć minut.

- W gruncie rzeczy - powiada - prawdopodobnie masz rację... lecz, na Boga, czy wyobrażasz sobie mnie, jak proszę w sklepie o gumowy biust?

Czerwieni się aż po uszy. Niech to gęś, ci studenci medycyny nie są zbyt przebiegli.

- Spadaj już - mówię i trochę się denerwuję, bo tamci nie tracą czasu, spokojna głowa.

- Zadzwoń do Ann, to ci pomoże.

- Czy mogę zapytać, dlaczego chcesz się wtrącać w sprawy Gayi? - mówi przed odejściem.

- Bo to kumpelka - odpowiadam - i nie mam życzenia przyglądać się, jak robi z siebie osła.

- Ale to nie twoja działka. A może byś zawiadomił policję?

- Naprawdę bawiłoby cię to? - pytam.

- Och! Niezbyt za nimi przepadam - odpowiada Ritchie. - Ale to śmieszne, że tak się nią zajmujesz.

Przygląda! mi się podejrzliwie i wychodzi, wzruszając ramionami. Ten Ritchie to jednak fajny facet. No i fartownie wróciła moda na krótkie włosy. Ale uważam, że to zabawne, iż wszystko zaczęło się na balu przebierańców u Gayi. Oglądam moje kończyny. Włosy jeszcze nie odrosły, w porządku...

Po czym w samotności zaczynam pękać ze śmiechu, myśląc o tym, jaki pysk zrobi Ritchie u Chińczyka mamusi, kiedy ten wyrwie mu jego włoski. Rechocząc udaje mi się

zachować kamienną twarz, bo tak jest bardziej po indiańsku, a poza tym lepiej to wpływa na moją czaszkę.

W tym momencie dzwoni telefon. Zawsze tak jest. Ten nieszczęsny przyrząd psuje najlepsze chwile. Podnoszę słuchawkę, złorzeczając.

- Halo - mówię. - To ja, we własnej osobie.

- Francis Deacon? - pyta głos. Rozpoznaję go. To niejaka Louise Walcott.

- Kto tam przy aparacie? - pytam. - Prezydent?

- Tylko bez pierdoł - ciągnie dalej. - Tu Louise Walcott. I dzwonię z automatu, więc nie ma mowy o gliniarzach, jasne? To co z tymi dziesięcioma tysiącami dolarów?

- Robią się - odpowiadam.

- I będą wieczorem przed piątą? - pyta. - Bo inaczej zrobimy ci kipisz.

- Ale z ciebie dziwka - odpowiadam.

I myślę o tych dziesięciu tysiącach dolarów... lecz, kurde balans, one są nadal w bryce... przyczepione przylepcem do kolumny kierowniczej.

- Nie marnuj śliny - mówi Louise. - Jeśli to wszystko, co masz mi do powiedzenia, możesz to sobie wsadzić w buty. Jeśli skrewisz, weźmiemy się za ciebie. Kosztowało cię to już skarpetę, może kosztować jeszcze więcej.

- Zawsze to tylko skarpeta kontra chrisraf - odpowiadam. - Na razie jestem górą. No i mam dziesięć patoli. Nie zapomnij.

No proszę, rzec by można, że panienka zaczyna puszczać dym uszami. Zrobiłbym sobie jeszcze większe sadze, gdyby nie lęk, że rozboli mnie głowa, jak przed chwilą.

- Ty zasańcu - mówi - nie próbuj wyciąć jakiegoś numeru, bo inaczej uważaj na tyłek.

- Mnie nic nie grozi - odpowiadam. - Jestem heteroseksualistą. Rzuca słuchawką. Lecz na Boga, te dziesięć tysięcy dolarów, całkiem o nich zapomniałem. Bez jaj... chciałbym bardzo spróbować wyciągnąć Gayę z tego łąjna, ale nie za własne pieniądze. Dobra. Muszę się ubrać mniej więcej stosownie i ruszyć na poszukiwanie tych kawałków.

Sprężam się. Bez dwóch zdań, boli mnie wszędzie. Ale nie za bardzo. Forma jest nadal całkiem możliwa. Mogę wlać jeszcze ze dwóm lub czterem. Tylko myśleć nie da się zbyt intensywnie.

Mimo to mam żal do siebie, że wpuściłem Ritchiego w maliny. Jestem mu winien pewną rekompensatę. Podnoszę słuchawkę i wykręcam numer Chińczyka.

- Halo! Tu Francis Deacon. Może pan przyjść do mnie? Mam dla pana robotę.

Mamrocze coś tam w końcu sznura. Przeklęty Wu Chang! Ach! Ci Chińczycy...

- Tak - odpowiadam - znowu bal kostiumowy. Nie ja, mój braciak. Gdyby mnie nie

było, kiedy pan przyjdzie, proszę wejść i poczekać na mnie. Zostawiam klucz pod chodnikiem na ostatnim stopniu. Niech pan przyjdzie koło drugiej.

Dobra. Jedna sprawa załatwiona i będę mógł się pośmiać, widząc minę Ritchiego. Łapię moją pokrywkę i schodzę. Przejeżdża taksówka. Zatrzymuję ją. Jest moja. A tak prawdę mówiąc, to dokąd mam jechać?

Nagle stwierdzam, że nie wiem, co zrobiono z moją bryką. Dobra, zaraz się dowiemy.

- Niech pan się zatrzyma przy pierwszym napotkanym gliniarzu - mówię do kierowcy.

- Jeśli o to chodzi - odpowiada - to odmawiam. Nie moja taksówka.

- Ale ja chcę dostać od niego po prostu pewien cynk - mówię.

- A może pan będziesz wiedział. Wczoraj wpięprzyłłem skarpetę do rzeźnika, w związku z latającym spodkiem, który mi wpadł do oka. Przypuszczam, że jej tam nie zostawili, gdyż utrudniałaby ruch. Czy wie pan, co z nimi robią?

- O tym - odpowiada kierowca - nie mam zielonego pojęcia. Ale może jakiś gliniarz będzie wiedział.

- To dlatego prosiłem o zatrzymanie się przy pierwszym napotkanym gliniarzu.

- Pewno, aleja ich nie lubię - stwierdza kierowca.

- Dobra - odpowiadam. - To wysadź mnie tutaj i spadaj. Wysiadam.

- Ale ja jeszcze nie ruszyłem, jeśli pan zauważył - mówi kierowca.

- No i świetnie! Możesz sobie pogwizdać zamiast zapłaty za kurs - odpowiadam.

Macham na drugą przejeżdżającą taksówkę. Ten nie zatrzymuje się w ogóle. Jeszcze lepiej. Pójdę piechotą. Na pewno są jacyś gliniarze w tym mieście. Gdy tylko przejadę na czerwonym świetle, zaraz pół tuzina depcze mi po piętach.

Ach! Oto jeden.

- Panie władzo - mówię - chciałbym się dowiedzieć, co robią z samochodami z wypadków.

- Miałeś pan wypadek? - pyta wyciągając notes.

- Owszem - odpowiadam. - Wczoraj. Wjechałem do mięsnego.

- Gdzie? - pyta.

- To me ma najmniejszego znaczenia - odpowiadam. - Samochodu już tam z pewnością nie ma. Chciałbym wiedzieć, co dzieje się z nimi potem.

- A po co on panu? - pyta. - Przypuszczam, że nie chodzi.

- To moja sprawa - odpowiadam.

- Ubezpieczalnia wypłaciła? - dopytuje się.

- Tak - odpowiadam.

- Więc to nie jest już pańska bryka - odpowiada. - Pił pan?

- Skąd - odpowiadam. - Jakieś świństwo wpadło mi do oka.

- Nooo... - mówi chowając notes. - Wszystkie moczy mordy tak mówią.

- Chyba panu dupę zawracam - zauważam grzecznie i spadam. Bez dwóch zdań - co za k.....a rasa.

Nie zrobiwszy jeszcze dwóch metrów, mam wrażenie, że odbywa się trzęsienie ziemi. Zadzieram nos. Nie... nic się nie rusza. To ja podryguję. A dokładnie, to gliniarz mną potrząsa.

- Co pan powiedział odchodząc? - pyta.

Być może zwracałem już na to waszą uwagę, lecz powtarzam, że jestem nad wyraz cierpliwy. Jeśli powiedziałem temu gliniarowi: „Zawracam panu dupę”, to znaczy, że tak myślałem, i gdzie tu zło? Osobiście uważam, że szczerść jest najważniejsza.

- Niech pan posłucha - mówię. - Uczęślował mnie pan moczy mordą, a ja odpowiedziałem to, co odpowiedziałem. To pan zaczął, no nie? Więc zamknij się pan i daj mi święty spokój, bo narobisz pan sobie kłopotu. Rób pan to wszędzie, byle nie w Waszyngtonie. A poza tym, nie piję nic, prócz mineralnej.

Na takie dictum nic już nie odpowiada. Dobry Boże, ależ ma wstrętą gębę. Już widzę moment, kiedy zaciągnie mnie na komisariat. Nie. Burczy coś pod nosem i puszcza mnie.

A teraz telefon.

Wchodzę do kabiny i proszę moją agencję ubezpieczeniową.

Odpowiada sekretarka.

- Tu Deacon - mówię. - Mój samochód miał wczoraj wypadek. Numer taki a taki.

- Gdzie? - pyta.

- Niech się pani nie martwi - mówię - co do ubezpieczenia - jesteśmy kwita. Prawdę mówiąc, nie chcę niczego przed panią ukrywać. Wjechałem do mięsnego.

- Lepiej było do perfumerii - stwierdza. - Osobiście bym wolała.

- Niech pani kiedy do mnie zadzwoni - proponuję - to jakoś to załatwimy. Lecz problem jest taki, że ja chcę wiedzieć, gdzie on jest teraz.

- Myśli pan, że nie został u rzeźnika? - pyta.

- Z pewnością nie - odpowiadam. - Nie cierpi kiełbasy, karmię go kremem z anchois.

Rechoce. I ma rację. Bardzo jestem zabawny.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie je wsadzają - mówi. - Prawdopodobnie zaholowano go do jakiegoś wakat. Przed wywiezieniem na złom.

- Sądzi pani? - pytam. - Tylko do jakiego?

- Ach! Zbyt wiele pan wymaga - odpowiada. - Tylko tutaj mamy trzysta warsztatów na usługach towarzystwa, więc sam pan rozumie... Musi pan się skontaktować ze swym agentem i ten pana poinformuje.

- Ale jego nie ma nigdy w ciągu dnia - odpowiadam - a to cholernie pilne. W tej bryce zostawiłem wszystkie moje papiery.

- Ach! Nic nie mogę poradzić. Ale jeśli chodzi o perfumy, to może pan do mnie zadzwonić. Niech pan prosi Dorothy Shearing.

- OK, Dot - odpowiadam. - Na razie, dzięki.

No cóż. Jestem coraz bardziej wkur...zony. Zatrzymałem się w porę, co? Najwyraźniej tylko mój agent mógłby udzielić mi informacji, ale stawiam pięćdziesiąt do jednego, że nie złapię go w ciągu całego dnia. A już jest pierwsza. Ritchie będzie koło drugiej. Wu Chang również. Cóż mogę zrobić. Nie zależy mi wcale na spotkaniu z braciakiem przed jego przejściem przez ręce Chińczyka, bo nie mógłbym się powstrzymać i wszystko bym wygadał, a to byłoby już koniec mojej czaszki.

Naprzód, coś jednak próbuję robić. Dzwonię do mojego agenta. Odpowiada mi sekretarka. Jedna mniej, jedna więcej. Rozpocznam moją nawijkę.

Ta również nic nie wie. Uważa, że śpieszę się nadmiernie, że ekspert obejrzy samochód, o ile już tego nie zrobił, i że resztą nie powinienem się wcale zajmować, bo sprawa jest już uregulowana z towarzystwem ubezpieczeniowym, w końcu, nikogo nie przejechałem i nie jest to sprawa bardzo ważna.

Dostrzegam w tym rękę mojego rodziciela. Przy jego manii zapinania wszystkiego na ostatni guzik, z pewnością kazał im, by sprawę potraktowali jak jego własną.

Lecz, na Boga, muszę znaleźć tę brykę.

Otwieram książkę telefoniczną pod hasłem „Autopomoc”. Mowy nie ma. Jest ich co najmniej ze sto pięćdziesiąt.

Nie ma wyjścia. Jestem załatwiony.

I nie ma mowy o proszeniu jareckiego o dziesięć tysięcy dolarów, żeby je dać tej pindzie, Louise Walcott.

Po prostu od piątej lepiej będzie dla Ritchiego i dla mnie, jeśli się gdzieś zamelinujemy.

Dobra. Na dzisiaj daję spokój z samochodem. Na razie nie warto o tym myśleć.

Teraz najpilniejsza sprawa... to melina. A to jeszcze najprostsze...

No... naprzód...

X

Summa summarum, jestem przed moim domem o wpół do piątej. Odniosłem połowiczny sukces. Przed drzwiami stoi stary buick Ritchiego, więc przypuszczam, że jest na górze i właśnie płacze z rozpaczy nad swymi bezwłosymi nogami.

Już mam wejść, kiedy wypada Ritchie, całkiem blady i w pośpiechu. Wygląda, jakby mnie nie poznawał i aż podskakuje, kiedy do niego przemawiam.

- Wsiadaj szybko do mojej bryki - nakazuje. Posłusznie wykonuję. Siada za kierownicą i startujemy!

- Dopiero przyszedłeś? - pytam.

- Owszem - odpowiada. - Na samym środku twojej sypialni leży jakiś żółtek z nożem we flaczorach. Stokrotne dzięki za taką niespodziankę.

- Jak tam wszedłeś? - pytam.

- Drzwi są otwarte - odpowiada. - Wszystko wybebeszone, burdel, jakby tam małpy kopulowały.

- To Wu Chang - wyjaśniam. - Zadzwoiłem do niego, żeby przyszedł wydepilować ci nogi. Żebyś też skorzystał z mego doświadczenia. Lecz myślałem, że będziesz tam o drugiej. Mówisz, że dał się zaciukać?

- Nic dodać - mówi Ritchie. - Ale żyje. Natychmiast zatelefonowałem po policję i dlatego trzeba spadać na czwórce.

- W tym są tylko trzy biegi - zauważam.

- A to szkoda - odpiera. - Marna konstrukcja.

- To te myszki przyszły poszperać u mnie. Myślały, że jak się same obsłużą, to szybciej będą miały szmal. Ale co za wszy garbate! Dziabnąć takiego starego pocziwca jak Wu Chang. To moja wina, do licha, ja do niego zadzwoniłem.

- Nie mogłeś wiedzieć - mówi Ritchie. - Powtarzam ci, sądzę, że żyje.

Słysząc syreny i widzimy, jak przejeżdżają wozy i motory policyjne.

- Cios we flaki - wyjaśnia - nie jest zbyt szkodliwy i łatwo można zaszyć, jeśli nie przetniesz arterii wątrobowej czy samej wątroby. I jeśli uda się powstrzymać infekcję...

- Dobrze zrobiłeś, wzywając policję - mówię. - Ale wpakowaliśmy się w niezłą kabałę.

- Jeśli się z tego wykaraska, to im powie, że to ani ty, ani ja.

- Ale wiesz - mówię. - Mam wrażenie, że się obrazi.

- Mówię ci - ciągnie Ritchie. - Wszystko wychrzaniły w powietrze. Ani jeden mebel się nie uchował.

- Dobra, dobra - mówię. - Odbijemy sobie na tych dziesięciu patykach. A propos, muszę ci powiedzieć, że nie mam ich.

Teraz Ritchie nie dziwi się już niczemu. Wtajemniczam go i dorzucam:

- Poza tym znalazłem melinę. Jedno z tych umeblowanych mieszkań, nędzne i pełne pluskiew. Administratorowi dałem do zrozumienia, że mam dwie kumpelki, na których mi zależy i że on na pewno zarobi na życie, jeśli będzie miły. Tyle że musimy tam pójść przebrani za zabusie.

- Wszystko jest w bryce - odpowiada Ritchie. - Dwie pełne walizy.

- Dobra - mówię. - Teraz jedyny problem, to miejsce, żeby się przebrać.

- Co ty - woła Ritchie. - Przecież chyba nie będziemy przebrani za myszki przez cały czas...!

- Och! To kwestia kilku dni - odpowiadam, by mu dodać otuchy.

- A co zrobisz o piątej? - pyta. - W zasadzie powinieneś zanieść forszę Gayi.

- Nie pójdę tam... - odpowiadam.

- Byłaby to jednak okazja, żeby skubnąć jedną z nich - mówi.

- A po co?

- Żeby ją nieco nakłonić do gadania.

Mój braciak jest pełen świetnych pomysłów.

- A przy okazji będzie można z tego skorzystać, żeby je poddać kuracji - dodaje Ritchie. - Gdyż bardzo często lesbijki to dziewczyny, którym się przekręciło, bo onegdaj nie zostały dopieszczone. Trafiły na jakieś typy brutalni, co je zranili bądź przymusili. Gdyby im to zrobić w sposób miły... Na pewno odzyskałyby smak.

Ten mój braciszek to ma kiepele. Ciekawie zapowiada się ta robótka.

A poza tym strzelić sobie lesbijkę - zawsze mi to imponowało...

W gruncie rzeczy to, co właśnie teraz robimy, to coś w rodzaju przedsięwzięcia resocjalizacyjnego dla nieprzystosowanych.

Pocziwi z nas goście.

Lecz bardzo mi przykro z powodu papy Wu Changa.

Ritchie wciąga mnie z zamyślenia.

- Pojedziemy do Potomac Club - mówi. - Weźmiemy „Kane’a juniora” pod ramię, poradzimy mu, żeby nas nie podgląda! i tymczasem przeberzemy się.

I Ritchie zatrzymuje się przed klubem. Ten chłopak to nie jakiś półgłówek. Wszystko

już wykombinował w swojej głowie. Szczerze mówiąc, dobrze zrobił, bo gdybym tak ja się musiał posłużyć moją... dałoby to zabawne rezultaty, pełne komplikacji.

Kiedy dochodzimy do łodzi, mówię Ritchiemu:

- Musimy obaj pójść do Gayi. Nie warto się teraz rozdzielać.

- Oczywiście, pójdziemy obaj - mówi Ritchie. - A nawet obie. Spójrz na to.

Pokazuje mi piękną parę okularów w różowych oprawkach.

- Czyż nie będę w tym urocza? - pyta.

- Jeżeli w tym wystąpisz, Ritchie, nie będę mógł na ciebie patrzeć - odpowiadam.

Mój sławetny spokój na chwilę szlag trafił.

- No i jeszcze - dodaje - nie jestem pewien, czy wszystko to wpłynie dodatnio na moje egzaminy.

- Gang Walcottów nie będzie miał z nami dużo roboty - mówię. - Wierz mi. Rozpieprzymy ich w trymiga. Będziesz miał czas, żeby się zabrać za swoje egzaminy.

Dobry Boże, gdybym wiedział na co się porywam, sądzę, że nie zgrywałbym takiego zucha. Teraz, kiedy jest już po wszystkim i kiedy to piszę, dopiero widzę, z czego robiłem sobie jaja!

Ritchie otworzył boks. Wchodzimy, zamykamy drzwi, „Kane junior” stoi na wodzie w spokoju. Od strony wody boks jest zawsze otwarty, Ritchie nigdy nie opuszcza blaszanej zasłony, lecz jest dość mroczno, więc trzeba zapalić światło, i tym samym po raz pierwszy ją opuścił. Podchodzę do niej i kręcę korbką. Wszystko jest przerdzewiałe - prawdziwa przyjemność.

Nie opowiadam wam o szczegółach naszego kamuflażu, lecz naprawdę ubaw jest po pachy. Jestem już przyzwyczajony do sztucznego biustu, ale dla Ritchiego jest to pierwszy raz i trochę się dusi.

- Panie święty - mówi - żeby one łączyły z takim ustrojstwem. Grzeje, że można oszaleć.

- Co chcesz - odpowiadam - trzeba przez to przejść. Kłopot w tym, że zawsze może nam czegoś przybyć... lecz skasowanie naszych wrodzonych wdzięków, co całkiem inna robota.

- Wziąłem cholernie obcisłe slipy - mówi Ritchie. - Sportowe, super wytrzymałe. A poza tym mamy dość luźne kiecki.

- Trzeba się będzie golić dwa razy dziennie. - To może być trochę podejrzane.

- Pomyślałem o tym - odpowiada. - Kupiłem maszynki do golenia, które będziemy trzymać w torebkach.

- Razem z pistonówkami - mówię.

- Och, nie - odpowiada Ritchie. - Co tylko chcesz, ale żadnej broni. Zawsze można palnąć jakąś głupotę.

- W bryce jest spluwa- zauważam - a tamci szybko mogą się dowiedzieć, że to twoja, przeczytawszy numery rejestracyjne.

- Nie - mówi Ritchie. - Wychodzimy z założenia, że nie nakryją nas od razu. Bez tego możemy obie odpuścić już teraz.

Nie mamy specjalnie o czym dyskutować, więc milczymy i wygładzamy nasze pyszczki. Jako dziewczyna Ritchie sprawia dziwne wrażenie. Naprawdę wygląda, jakby wyszedł prostu ze szkółki dla nadzianych debili... Ja wyglądam niezwykle intelektualnie. Nie za dużo różu, pudru wcale albo niewiele, buciki na płaskim obcasie - jestem czarująca.

Boks „Kane’a juniora” pachnie pudrem ryżowym i lakierem do paznokci. Razem ze smrodem benzyny tworzy to niezłą miksturę.

Wkładamy nasze męskie ubrania do walizek i kitramy wszystko w kufrze łodzi.

- Wychodzimy - mówię do Ritchiego. Jeszcze się waha.

- A jeśli spotkamy kogoś znajomego? - pyta.

- Będzie to świetna okazja na przeprowadzenie testu - odpowiadam.

Mam piękne wdzianko z jasnobłękitnej bawełny i spódnicę z szarej flaneli. Ritchie ma bardzo prostą sukienkę z drukowanej tkaniny. Naprawdę, nie można nas wziąć za chłopców... mamy spiczaste piersi...!

Wychodzimy, ja pierwszy. Na pomoście aż się mrowi. Słońce praży, łodzie przyplływają i odpływają, silniki warczą, ludzie fają parami w kostiumach kąpielowych, jest na co popatrzeć. Nie uszliśmy jeszcze dziesięciu metrów, kiedy widzę Joan, jedną z wielkich przyjaciółek Ritchiego.

- Tylko nie podskakuj - nakazuję mu. - Nie znasz jej. Przechodzi, mija nas bez spojrzenia. Patrzę na mojego braciaka. Krople potu lśnią mu w okolicy czoła. Ściskam go po przyjacielsku za ramię. Uśmiecha się do mnie.

- W porządku, Francis - mówi. - Naprzód.

A jednak, co za cholerstwo, ta historia z Chińczykiem. Zwłaszcza że muszę wam coś powiedzieć... Ritchie nie ma na nogach ani jednego włoska.

XI

Zajeżdżamy do Gayi mniej więcej kwadrans po piątej. Bryka Ritchiego to kabriolet, więc zostawiliśmy opuszczony dach, żeby śledzący nas ludzie (o ile są tacy) nie mieli podejrzeń, widząc, jak przybywamy.

Potrzebny jest nam jednak jakiś pretekst, żeby się tam zatrzymać. W sumie, po przedyskutowaniu problemu z Ritchiem, ustalamy, że zatrzymujemy się po prostu i gadamy, czytając gazetę, jakbyśmy nie byli zgodni, na co pójdziemy do kina dzisiejszego wieczora.

Wzdłuż ulicy stoją samochody zaparkowane poprzecznie, pośród których odkrywamy dwa mogące nas zainteresować.

Nie pozostaje nam nic innego, tylko czekać. Trochę mnie to denerwuje, bo muszę myśleć o różnych rzeczach i dumam o starym Wu Changu z rozprutym bandziochem, czuję sympatię do Chińczyka i bardzo mi przykro z powodu tego, co się przydarzyło.

Ritchie szturcha mnie łokciem. Właśnie trzasnęła brama zamykająca wejście do ogrodu i wychodzi stamtąd dziewczyna. Spogląda w prawo, w lewo, patrzy na zegarek i wsiada do pierwszego samochodu, nowiuteńkiego, niebieskiego chevroleta. Nosi jasny kostium i jest bez kapelusza.

Czekam, aż zawróci, by pojechać do centrum, lecz ona podąża prosto. Nie mam pojęcia dokąd jedzie.

Skręca w prawo w Godlboro Road i oto jesteśmy na środku Betheseda... i w lewo, na autostradę Rockville Pike. Tam dodaje gazu.

Bez zwłoki podążamy za nią w pewnej odległości. W takim tempie szybko dojedzie do Frederick. Nie... skręca w lewo... to się nazywa Grosvenor Lane. W prawo, a potem znowu w lewo. Tym razem droga jest o wiele gorsza i wkrótce kończy się asfalt. Już nie zastanawiam się, gdzie jestem. Po prostu przyciskam do dechy. Ritchie stuka mnie łokciem.

- Nie możemy pozwolić jej, by dojechała. W przeciwnym razie jesteśmy ugotowani. Sami włączymy im w łapy.

Przyciskam jeszcze bardziej.

Buick Ritchiego jest starszy, lecz ma o trzydzieści koni więcej od chevroleta. Pędzimy. Wyprzedzam ją i spycham na prawo. Trąbi. Blokuję ją jak złoto. Zatrzymujemy się o trzy milimetry od siebie. Ritchie przesiada się do jej wozu i przystawia dziewczynie spluwę pod pachę.

- Jedź za buickiem - nakazuje.

Nie pisnęła ani słowa i rusza za mną. Mam nadzieję, że się nie pomyliliśmy i nie jest to jakaś przyjaciółka Gayi... zdziwiłoby mnie to, muszę wyznać.

Skręcam w małą, opuszczoną dróżkę. Są tam drzewa i kiepska widoczność. To jest właśnie to, czego szukamy.

Dość szybko się zatrzymuję, a chevrolet stopuje za mną. Wyskakuję na ziemię - oczywiście bez otwierania drzwiczek, stary numer. Zaskakuję tym nieco naszą brankę.

- Czego chcecie? - pyta.

Ritchie schował swoją spluwę w samochodzie i maca ją na wszelki wypadek, ale dość zręcznie, tak, by dziewczyna uwierzyła w coś zgoła przeciwnego. Jej torebka pozostała w samochodzie, więc z tej strony niczym nie ryzykujemy.

Nie ma co robić ceregieli. Przechodzę z dziewczyną za samochody i obejmuję ją. Przyglądam się jej z bliska. Jest młoda, ma krótko obcięte włosy, na chłopaka, surową minę, lecz nie jest brzydka. Prawie nie ma piersi. Taka chłopczyca.

Przyciągam ją do siebie i całuję w usta, wkładając w to całe uczucie, należne tej interesującej operacji. Trwa to stosowną ilość czasu. Notuję dla przyszłych pokoleń, że zamyka oczy już w dwudziestej sekundzie, a w dwudziestej piątej nic, co chroniły jej wargi, nie stanowi dla mnie tajemnicy.

O manio, nieźle całuje... Gdyby nie miała tej przeklętej, złotej bransoletki na kostce, rzekłbym: szczęśliwy jej kochanek... lecz ma ją i wściekam się myśląc, że gdybym był chłopcem, cały ten delikatny towar byłby dla mnie stracony.

Ponieważ zdaje się być pozytywnie nastawiona i pragnie podjąć konwersację, sadzam ją na trawie i kontynuuję rękami.

Jej nogi są szczupłe, lecz nieźle zbudowane... i umięśnione...

- Czego chcecie? - powtarza, chcąc dać mi do zrozumienia, że nie straciła od tego głowy.

- Czyżbym nie wyrażała się dość jasno? - pytam.

Wyrywa się jak piskorz, daje mi w łeb i zaczyna wrzeszczeć, bo wykręcam jej rękę. Ritchie stoi na czujce i wcale nie jest skrępowany.

Ona nie boi się zbytnio... dlaczego miałaby się bać dziewczyny? Może sobie najwyżej zadawać pytanie, jak to się dzieje, że jestem tak mocno zbudowana.

- Gryzeldo!

Ritchie podchodzi.

- Trzymaj ją z rękę.

Wykonuje posłusznie. Trzyma jej rękę ponad głową, podczas gdy ja podtrzymuję za

wyciągnięte nogi. Cóż to za miły widok, taki płaski brzuch ładnej, szczupłej dziewczyny, mającej podwiązki i słodkie gniazdko, gdzie niejeden ptaszek chętnie uwiłby sobie mieszkanie.

Naprzód, niech ma za swoje... i ja też.

No proszę, podoba jej się to... mam wrażenie, że mogę puścić jej nogi.

Kropki prezentują czynności szczególnie przeciwnie, których propagowanie jest zabronione. Gdy człowiek ma prawo zachęcać innych, by się wzajemnie mordowali w Indochinach lub gdzie indziej, lecz nie wolno mu nakłaniać bliźnich do uprawiania miłości.

To dobry pomysł, bo w ten sposób mam jedną rękę wolną.

Wydaje okrzyk w chwili, gdy wślizguję się na nią... lecz jest już za późno. Ritchie też ją puszcza i powraca do obserwowania drogi... dyskretny ten mój brat... Dziewczyna otwiera oczy jak przejazd kolejowy.

- Łajdaku... - cedzi przez zęby.

Czuję się jak w nowym garniturze szytym na miarę... jest może ciut zbyt dopasowany, lecz za to co za urok przywdziania czegoś nie używanego... Tymczasem trzymam ją za przeguby i pochylam się, by ponownie ucałować jej usta. Próbuje mnie ugryźć. Dostyc mi się to podoba. Też gryzę.

Dziewczyna jęczy.

Zawód detektywa jest cholernie przyjemny.

Lecz nie wypada, bym przywłaszczył sobie najlepsze chwile tej pracy. Teraz kolej na Ritchiego.

Podnoszę się i poprawiam moją zbroję. Mamy fart, tą przeklętą drogą nikt nie chodzi.

Dziewczyna leży rozciągnięta na trawie w miłym nieładzie.

Być może uważacie nas za kretynów, Ritchiego i mnie, przez trzy godziny charakteryzujemy się po to, by w chwilę później zdradzać się przed jedną myszką, iż posiadamy wszystko, co trzeba, by być mężczyznami.

Lecz, być może, nie przypominacie sobie dokładnie naszych intencji. A opowiadam wam niewielki fragment naszego dialogu, nie tylko dlatego, że śledząc tę lalunię, siedzieliśmy w milczeniu. Otóż prawdę mówiąc, wydało nam się, że byłoby uroczo mieszkać w umeblowanym apartamencie, udając panienki, ale pod warunkiem trzymania pod ręką prawdziwej myszki.

A w takim przypadku najlepiej wziąć tę, którą musimy mieć na oku, to nas zmusi do przedsięwzięcia stosownych środków ostrożności.

- Ritchie - mówię. - Ona chyba czuje się lepiej w tej chwili, teraz twoja kolej.

Nie ociąga się.

Mój Ritchie podnosi kobitkę, przewiesza przez drzwi samochodu, jak gdyby się opierała o nie łokciami i każe mi ją trzymać w ten sposób.

Gdyby przejeżdżał jakiś samochód, to w ich wyglądzie nie ma nic niestosownego... hmm... no, to znaczy, że w tej chwili dziewczyna odrzuciła głowę w tył, na ramię Ritchiego, który całuje ją w okolicy ucha... Ona napina się, jakby miała zamiar wpaść w trans... jej lewa ręka odrywa się od drzwi i chwytą Ritchiego za biodro. Wydaje mi się, że nasza kumpelka wystartowała do siódmego nieba po raz drugi... Opada całkiem rozluźniona w ramiona Ritchiego, który unosi ją i wsadza do samochodu. Jak dla niej, to zbyt wiele emocji.

- Bierz chevroleta - mówi. - Zostawimy go gdzieś w mieście. Teraz wracamy i trochę namówimy do zeznań naszą kociczkę.

Dziewczyna leży wciągnięta na tylnym siedzeniu. Na wszelki wypadek podnosimy dach samochodu i blokujemy drzwi.

Ruszamy. Podróż bez przygód. Jedynie tuż przed Rockville Pikę mijamy samochód, który zwalnia i zatrzymuje się. Skręcamy w Rockville i dodajemy gazu. Jeśli to Louise Walcott, to mogła rozpoznać chevroleta. Lecz jechaliśmy szybko, więc chyba nie mogła odczytać numerów. A chevrolety są dość często spotykane. Dla większego bezpieczeństwa grzejemy jeszcze szybciej i pół godziny później znajdujemy się w zaciszu naszego mieszkania na Pickford Place. Jesteśmy z siebie dość zadowoleni, z punktu widzenia moralnego, ma się rozumieć, bo to dobry uczynek, przywrócić tym biednym dziewczynom smak normalnej miłości... Naprawdę, one nie mają pojęcia.

XII

Mieszkanie na Pickford jest najprostsze w świecie: dwa pokoje, łazienka i kuchyneczka, które wychodzą z jednej strony na nie kończący się korytarz, a z drugiej - na podwórze. Znajduje się na szóstym piętrze budynku z czerwonych cegieł i dość lichego betonu. Wewnątrz jest hali z przysypiającym portierem, niemodnymi, czerwonymi fotelami, zieloną roślinką i klatką przesadnej windy, która jest jednak więcej warta od schodów pokrytych chodnikiem zdartym do ostatniej nitki. Wchodząc widzi się od razu, co za kiepskie dziwki tu mieszkają. Nasze meble są pewnie podobne do tych z innych mieszkań, w niemodnym stylu i kupione na wyprzedaży. Są dwa tapczany, będzie można spać, a to najważniejsze.

Wszedłszy zamykamy drzwi i rozgaszczamy się. Ritchie wniósł specjalnie przygotowaną walizę, pełną istotnych obiektów, niezbędnych w mieszkaniu: picie, jedzenie, papierosy, mydło, ręczniki i całą masę innych ustrojstw. Biorę whisky oraz wodę sodową i udaję się do kuchenki, by przygotować dla nas jakąś popitkę, bo na zewnątrz panuje upał, lecz w środku jest jeszcze goręcej. Stoi lodówka. Jest włączona. Świetnie, będziemy mieli lód.

Wracam z trzema szklankami na tacy. Ritchie siedzi i łypie na myszkę, która nic nie mówi, tylko patrzy w drugą stronę, wcinając paznokcie. Z psychoanalitycznego punktu widzenia to bardzo źle...

Zrzucam wdzianko.

- Na pewno jest ci bardzo gorąco - mówię do dziewczyny. - Zdejmij kostium.

Patrzy na mnie. Niebrzydkie oczy ma ta dziewczyna. Jest w marnym nastroju.

- Jasne - mówi Ritchie - zdejmij kostium. A tak przy okazji, czy można by poznać twoje imię?

- Idźcie się wyświeczkować, bando alfonsów - odpowiada. - Nie odwracajmy ról - odpowiada Ritchie. - Jeśli komuś się to zdarzy, to na pewno nie nam.

Dziewczyna jest lekko osłupiała.

- Chyba nie zaczniecie od nowa?

- Krępowalibyśmy się.

Krztuszę się pijąc mego highballa i idę do kuchni. Tam przestaję kaszleć, bo nic mi nie stanęło gardle, był to tylko pretekst i wrzucam w pośpiechu pół tuzina surowych jajek. Jeśli Ritchie przyłoży się do roboty, to nie wypada, żebym ja ryzykował niewydolnością. A jak twierdzą niektórzy, surowe jaja są niezawodne.

Wracam. Ritchie właśnie przemawia.

- Musisz wbić sobie do głowy, myszko, że nasze metody są równie niezawodne, jak policyjne. Kiedy już z nami skończysz, będziesz żałować do trzeciej potęgi. Jak się nazywasz?

- Jeśli będę mówiła, dacie mi święty spokój?

- Mowa - odpowiada Ritchie.

- A jeśli nie będą mówiła?

- To cię rozbierzemy i nakładziemy po tyłku, aż zmienisz zdanie.

- Więc będę mówiła - stwierdza.

I szczyrzy się. Jednak ton uległ zmianie. Myślę, że jeśli przed chwilą uczestowała nas alfonsami, to była to stara resztką złości, i że właśnie zaczyna zdawać sobie sprawę z sytuacji.

- Naprzód - mówi Ritchie - nie wygłupiaj się. Pokazaliśmy tylko drobną część tego, co możemy ci zrobić.

- Drobną? - pyta. - Ale z ciebie skromniś.

Ritchie zaczerwienia się. Dziewczyna popija swego drinka.

- Posłuchajcie - mówi - obaj jesteście milusińscy. Przede wszystkim wyglądacie na dziewczyny i powinniście ściągnąć te okropieństwa, które wrzuciliście sobie na garba. Żadna prawdziwa dziewczyna nie mogłaby wykazać gorszego gustu.

- Zgoda - odpowiada Ritchie - zdejmujemy je. Ale musisz nam powiedzieć, kim jesteś. Zdajesz chyba sobie sprawę, że jeszcze nie dokonaliśmy prezentacji.

- Pracuję dla Louise Walcott - mówi.

- Tyle to i my wiemy.

- Słuchajcie - ciągnie dalej - niezbyt ciekawa ze mnie koleżanka, lecz wam udało się mnie nabrać, bo to pierwszy raz kiedy... hmm... zrobiono mi to w ten sposób... więc trochę mnie to skołowało i puszcze farbę.. ale pod jednym warunkiem. Jeśli opowiem wszystko, co wiem, zatrzymacie mnie tutaj.

- Oczywiście - mówię. - W każdym wypadku. - I wy mnie... ten...

- Co wieczór - mówi Ritchie. - Obaj? - pyta.

- Owszem - odpowiadam. - Ale jeden po drugim, bo nie jesteśmy świntuchami.

- Dobrze - mówi. - Może byśmy się jakoś rozluźnili? Nazywam się Sheila Sedric.

- Cześć, Sheila - mówię. A Ritchie dodaje:

- Ja jestem Richard, a on Francis. Siadaj - mówi.

Siada obok niego, lecz nie za blisko. Ja spoczywam na krześle naprzeciw nich.

- Podaj mi torebkę - mówi - chcę sobie przypudrować nos. Nieźleście mnie urządzili.

Podajemy, otwiera ją i zanim ktokolwiek zdążył zrobić cokolwiek, mamy przed nosem spory kaliber, ona zaś wstaje. Jeśli chodzi o ochalstwo, to wykazaliśmy pierwszoklasne.

- Nie ruszać się, przyjemniaczki - mówi. - Bando zgniłków... wyobrażaliście sobie, że tak to się odbędzie?

Ręce mam związane nad krzesłem i nagle coś dostrzegam... na razie nie powiem wam co.

- Nie zastrzelę was - ciągnie - bo wolę, zęby Louise się sama wami zajęła... ale kiedy już przejdziecie przez jej łapy, będziecie mogli spokojnie zatrzymywać kobiety na drodze... Niczym nie będą ryzykowały... wtedy naprawdę przypasują wam babskie ciuchy.

Pewne jak w banku, że one nie mają pojęcia. Co za pomysł, zęby tracić czas na takie gadanie, zamiast się zerwać dopóki można. Bo jeśli o mnie chodzi, to zaraz zadziałam... a co do mojego fotela, mogę wam teraz wyznać, że jedna z jego podpórek jest oderwana... i w ułamku sekundy walę nim dziewczynę po ręce. Ona wyje, a słuwa upada na ziemię. Ritchie podniósł ją, nim zdążyłem stęknąć. Dziewczyna trzyma się lewą ręką za prawą i płacze. Podchodzę, leję ją z prawej i z lewej, popycham na tapczan. Przewraca się.

- I zamknij gębę - mówię. - Nie rób tu skandalu, bo cię uśpiemy.

Nie szkodzi, że daliśmy się zrobić jak żółtodzioby. Bez tego połamanego krzesła trzeba by było wszystko rozpoczynać od zera. W czasie gdy Ritchie obserwuje dziewczynę, biorę jej torebkę i przeszukuję. Nic, oczywiście. Tylko prawo jazdy na nazwisko Donna Watson.

- No więc - mówi Ritchie - zaczynamy od nowa. Jak się nazywasz?

- Już ci mówiłam - burczy.

- Sheila Sedric?

Nie odpowiada. Podchodzę i bez zamachu daję jej niezłego klapsa w kichawę. Nie spodziewała się tego i po raz pierwszy naprawdę ma stracha.

- Po następnym razie polecą ci krew - mówię. - Jak się nazywasz?

- Donna Watson.

- To nie ma nic wspólnego z Sheilą Sedric - zauważam. - Czy to jest prawdziwe?

Podnoszę rękę, a ona cofa się odruchowo.

- To jest prawdziwe - odpowiada.

- Gdzie jest Louise Walcott?

Brak odpowiedzi. Zmieniam rękę. Tym razem krew płynie. Dziewczyna próbuje sięgnąć po chusteczkę, żeby sobie wytrzeć kulfona.

- Zostaw to - mówię. - Później się umyje. Jeszcze nie skończyliśmy. Gdzie jest Louise

Walcott?

- O pięć mil od miejsca, w którym mnie zatrzymaliście - odpowiada. - Po Weaver Road skręca się w lewo na Falls Road, a potem pierwszą w prawo, nie znam nazwy. To dom, którego dach widać z drogi, pośród wiązowego zagajnika.

- To pewne? - pytam.

- Przysięgam - odpowiada.

Mówi przez nos, bo krew trochę zatyka jej nozdrza.

- Wytrzymaj się teraz.

Rzucam jej papierowy obrus, który się wala po okolicy, a ona próbuje naprawić szkody. Cały kostium jest umazany krwią.

- Co robisz u Louise Walcott?

- To i owo. Wszystko po trosze.

- Szczegóły - mówię - bo dostaniesz paskiem po udach.

- Nawiązuję kontakty. Dzisiaj byłam u Gayi Valenko, żeby odebrać paczkę, która miała być dostarczona przed piątą.

- Ile was jest u Louise?

- Od metra - odpowiada. - I dostaniemy was, bando alfonsów.

- Już to mówiłaś - zauważam. - W jaki sposób Louise trzyma Gayę?

- Nie wiem.

Podnoszę ją jedną ręką, a drugą zdzieram z niej spódniczkę. W ogóle jestem dość silny, ale jak się wkurzę, to idzie mi jeszcze lepiej. Ona nie śmie nawet drgnąć.

- Teraz już jesteś gotowa - mówię. - Ritchie, podaj mi pasek.

- Spadną mi galoty - powiada Ritchie.

- Nie szkodzi - odpowiadam. - Później będziesz mógł jej trochę dołożyć od siebie... to ją nauczy.

- Łajdaki! Mordercy! Ścier...

To miało być „ścierwa”, jak sądzę, lecz wszystko niknie w mej prawej dłoni. Dziewczyna próbuje mnie ugryźć, lecz nie może dostatecznie otworzyć ust, by dziabnąć me drobne rączęta.

Odwracam ją pośladkami ku górze, a Ritchie zaczyna je okładać.

- Nie wypada ci się skarżyć - rzucam. - Spuszczamy ci manto paskiem z krokodylowej skóry, istne cacko.

Ona skręca się jak dżdżownica. Na pośladkach pojawiają się czerwone pasy i osobiście uważam, że jest to niezwykle oryginalne.

- Ritchie, trochę bardziej w lewo. Tam jest jeszcze całkiem biały fragment.

Dziewczyna pieni się, lecz ponieważ ma twarz wepchniętą pomiędzy poduchy z tapczanu, zbyt tego nie słyhać. Po piętnastu ciosach Ritchie przestaje.

- Wystarczy - mówi. - Pojawiło się już stosowne rozszerzenie naczyń krwionośnych i nie należy dopuścić do miejscowego urazu.

Moim zdaniem to czysta chińszczyzna. Puszczam dziewczynę. Podnosi się, jest niewiarygodnie wściekła, oczy ma płonące, poci się i jest całkiem potargana. Kobieta w tym stanie jest milusia, zwłaszcza jeśli na sobie ma jedynie pończochy i dość krótki kasaczek od kostiumu. Szykuje się do rozdarcia twarzy, lecz ja podnoszę rękę. Drze się... niezbyt długo. Przewalam ją na tapczan, w tej samej pozycji co poprzednio, płasko na brzuchu.

- Trudno - mówię. - Sama tego chciała. Naprzód Ritchie. Jak Pan Bóg przykazał.

Ritchie waha się. A później wybucha śmiechem. Udaje się do kuchni, wraca z pustą butelką i kładzie ją delikatnie na jej pośladkach.

Teraz ja z kolei śmieję się tak strasznie, a ona wierzga tak bardzo, że w końcu mi się wyrzywa i nim mam czas doprowadzić się do ładu, obsypuje mnie prawdziwym gradem ciosów pięści...! Odwraca się i widzi Ritchiego skrzyconego ze śmiechu. Wtedy zatrzymuje się i wyje jak dzieciak, zasłoniwszy sobie twarz ramieniem.

- Zostawcie mnie - mówi. - Jestem złą dziewczyną, wstrętną dziwką, ale nie kpijcie sobie ze mnie w ten sposób. Już więcej nie będę. Zmusili mnie.

Trochę mnie to drażni. O wiele wygodniej było, kiedy się wściekała. Podnoszę się i ujmuję ją za ramię.

- Dobra - mówię. - Idź tam, umyj twarz, a później przyjemnie sobie pogawędzimy.

Idzie za mną. a ja prowadzę ją do łazienki. Zdejmuję jej żakiet, który jest pokryty krwią, obmywam jej twarz i czeszę. Dziewczynie jest zimno. Proszę Ritchiego o szlafrok, a on podaje mi kąpielowy peniuar znaleziony w walizce. Nie mam pojęcia, jak może być jej zimno przy takiej temperaturze, bo my dwaj po prostu zdychamy. Pewnie taka reakcja. W jej przypadku. W naszym - to z powodu słońca. A co byście chcieli - jesteśmy normalni.

Prowadzę ją do drugiego pokoju, teraz już bardziej nadaje się do pokazania. Ritchie wraca do kuchni, by przygotować kolejne trzy drinki, i łykamy je: ona dla rozgrzewki, a my dla ochłody. Oto sprzeczne wpływy alkoholu na organizm ludzki, rzekłby Ritchie.

- No więc, jak to się stało, że Louise udało się złapać Gayę? - pytam.

- To było na party - odpowiada. - Louise Walcott ma brata w bandzie. On z kolei ma dwóch lub trzech kumpli. Wiecie, że jej brat me jest zbyt...

- ... zbyt męski - podpowiadam.

- No - mówi - lubi chłopców. A ona posługuje się nimi do nabierania dziewczyn, bo mają korzystny wygląd i znają kupę innych chłopaków tutejszej socjety, co stanowi dobrą wejściówkę do każdego miejsca. Więc, pewnego dnia w kilku upili Gayę na śmierć. Urznąć dziewczynę, to nic trudnego, wystarczy jej powiedzieć, że nie wytrzyma, a ona natychmiast zechce udowodnić, że właśnie wytrzyma.

- Chłopaki też tak robią - mówię.

- Nie wiem - odpowiada. - Znam tylko kobiety. Tak więc, tego dnia, kiedy Gaya była nieźle wstawiona, u jednego z przyjaciół Richarda, pochorowała się jak wieprzek, toteż byli dla niej bardzo mili, zaopiekowali się nią i pod pretekstem postawienia jej na nogi zrobili zastrzyk. Faktycznie, zrobiło jej się lepiej i zasmakowała w tym świństwie. Początkowo Louise chciała samej dziewczyny, ot tak, dla rozrywki, lecz kiedy dowiedziała się, kim ona jest i że jej ojciec ma harmonię pieniędzy, wpadła na pomysł, zęby ją wydać za Richarda i bezpiecznie położyć łapę na szmalu.

- Z tej Louise to niezły kawał świni - mówię.

- Owszem - odpowiada dziewczyna - ale przysięgam ci, że jest niezła w te klocki.

- Och! - wołam - nie może ci zrobić niczego takiego, czego my byśmy nie byli w stanie wykonać, przy czym my mamy jeszcze inne możliwości.

- Wiem - odpowiada i spogląda na Ritchiego z miną pełną mieszanych uczuć.

- A co ta Louise uprawia jeszcze, prócz miłości? - pyta Ritchie. - Przypuszczam, że robi w narkotykach?

- Zajmuje się po trosze wszystkim - mówi Donna. - Nie opowiadała mi się. Jestem tylko podwładną. Wiem, że ma sporo kumpli w polityce. Również kumpelek. Żony senatorów, były dziwki, wariatki wszystkiego rodzaju.

- Świetnie - mówię. - Dobra z ciebie dziewczyna. A jaki miał być następny pomysł? Po Gayi?

- Nie wiem - odpowiada. - Poważnie. Ma tam jakieś robótki na warsztacie, aleja nie znam szczegółów.

- Może jakieś historie z bombą atomową - podsuwam. Stado takich lesbijek powinno wcale nieźle szpiegować? Trzeba z tego korzystać, jeśli się potrafi zachować zimną krew wobec mężczyzn.

Milczy.

- Dobra - podsumowuję. - Na razie zatrzymujemy cię. W końcu, nie ma co się spieszyć. Zamelinujesz się u nas. Nie obawiaj się, nie dotkniemy cię. W gruncie rzeczy wolimy te prawdziwe.

Nie odpowiada ani słowem.

- Pójdę przygotować obiad - mówi.

- Świetny pomysł - stwierdza Ritchie.

Nie mamy potrzeby rozmawiać ze sobą, by wiedzieć, że dziś jest już za późno, zęby zaatakować coś nowego. Jutro się zobaczy.

Donna idzie do kuchni i tłucze garami, złorzecząc, bo wszystko jest obrzydliwe. Ta myszka ma język jak szewc.

Nie wiem, co tam kombinuje, ale ładnie pachnie. Po kwadransie, który wykorzystujemy z Ritchiem na kręcenie młynków kciukami zgodnie z metodą Peruwiańczyków, pojawia się w drzwiach.

- Proszę - mówi. - Mam spaghetti, jaja na szynce, które zeżrecie przy pomocy łyżki, bo nie znalazłam ani jednego widelca.

- Jakoś to będzie - mówi Ritchie. - Osobiście jestem tak głodny, że wystarczyłyby mi palce.

Zmiotam stół wierzchem dłoni, a ona przynosi patelnię z jajami na szynce, które rozkosznie pachną.

Zasiadamy. Pocieszne z nas towarzystwo. Ritchie i ja nadal w damskich ciuchach, a ona w kąpielowym szlafroku, przepasana czerwonym sznurem. Ma podpuchniętą twarz tam, gdzie ją zdzieliłem, i ostrożnie siada. Jest mi trochę wstyd, lecz gdybym tego nie zrobił, nadal stalibyśmy w punkcie wyjścia. Prawdę mówiąc, jestem pewien, że zawsze brakowało jej ojca, który wlałby jej od czasu do czasu.

Gadamy sobie we trójkę jak starzy przyjaciele i walimy highballe, które są najzdrowszym napitkiem, jaki można znaleźć w całej Ameryce.

I wreszcie nadchodzi chwila rzucenia się na wyro. Jeśli pamiętacie, w tej pakamerze są dwa tapczany. Lecz nie ma mowy, żebyśmy spuścili z oka naszą małą Donnę... nie szkodzi, że się bardzo lubimy, mogłaby jej wrócić ochota na pryśnięcie.

Zestawiam wyrka ze sobą i kładę materace w poprzek. W ten sposób powstaje jedno wielkie łożo. Ritchie bierze pościel i zaczyna ślać.

- Proszę - mówię. - Ty pośrodku, a my po bokach.

Dziewczyna protestuje.

- Och! Naprawdę, lećcie sobie. Myślałam, że to już koniec z tymi waszymi historyjkami.

Osobiście pamiętam, że strzeliłem sobie przed chwilą sześć surowych jaj, myśląc, że będą mi potrzebne, i wydaje mi się, iż takie surowe jajka są napchane witaminami i

hormonami, co byłoby najbardziej stosowne dla moich obecnych zamiarów.

- Nawet cię nie muśniemy - mówię. - Będziemy spali jak trzy siostrzyczki. Jutro na pewno wydarzy się wiele nowego, więc trzeba być w formie.

Nie puszcza pary z gęby, tylko idzie do łazienki, zęby się przygotować. My się rozbieramy. Mamy piżamy, z czerwonego jedwabiu dla Ritchiego, a z żółtego - dla mnie, prawie śpiewają, takie są piękne. „Nie wiem, czy mój brat ma te same upodobania co ja, lecz on również wkłada tylko górę. Bardzo lubię kontakt pościeli z gołymi nogami.

Wraca Donna. Rozpuściła włosy i wygląda na szesnaście lat. Na sobie ma szlafrok kąpielowy.

- Nie mam piżamy - mówi. - Nie mogę tak spać.

- Zdejmij szlafrok - odpiera Ritchie. - Będziemy cię grzać.

- Ale ja nie mam nic pod spodem - odpowiada.

- Dobra - mówię. - Zamykamy oczy. Przechodź.

Gasi światło i przemieszcza się nade mną. Kładzie się pomiędzy nami dwoma. Jest ciemno, wpada tylko trochę światła z podwórza, nie widać nic, prócz jasnego kwadratu pod oknem. Słyszę oddech Donny. Nie porusza się. lecz z pewnością nie śpi. Po dziesięciu minutach zaczyna protestować.

- Jest mi za gorąco - mówi.

Jednym kopnięciem zrzucamy z Ritchiem kołdrę, co sprawia, że leżymy rozciągnięci obok siebie, bez czegokolwiek, co mogłoby nam przeszkadzać. Mija pięć minut, po czym dziewczyna zaczyna się delikatnie poruszać. Odwraca się w stronę Ritchiego. Zaczynam się oswajać z mrokiem i widzę niewyraźnie. Ritchie pozostaje nieruchomy.

W ten sposób wszyscy są zadowoleni. Nie ma sprawy... Powiecie mi, że przedstawiam wam te wszystkie detale z czystej złośliwości, bo w żadnym stopniu nie posuwają one naprzód rozwoju akcji... Lecz są to po prostu kulisy tej pracy i dopiero teraz zaczynam rozumieć, skąd bierze się tylu gliniarzy, prywatnych czy innych.

A poza tym szczegóły te ukazują lokalny koloryt...

XIII

Wreszcie noc upływa przyjemnie i kiedy słońcu udaje się wsunąć promień w szparę i spuścić nam go na twarz, możemy powiedzieć, że spróbowaliśmy naprawdę wszystkiego. Jestem nieco poplątany z Donna, leżymy równolegle, lecz niekoniecznie w tym samym kierunku. Ritchie przysnął, dobrze mu to robi, lecz dziewczyna nadaje się do zeskrobania żyłką. Ja zaś mam wrażenie, że młockarnia przy tym jest jak materac pneumatyczny wobec kamiennego łoża, lecz moja sławna energia pozwala mi na wstanie i szybkie ubranie się.

Idę poszukać czegoś do zarcia. Waszyngton o poranku nie jest niebezpieczny, są tylko czarnuchy obu płci robiące zakupy dla swoich państwa. Nie grozi mi spotkanie przyjaciół. Lecz, rzecz by można, grozi mi zgołą coś więcej...

- Daj to...

Biorę dziennik, który podaje mi gazeciarz.

Tytuł dużymi literami: „Czy Francis D. zasztyletował Chińczyka?”

O cholera. Przyprawia mnie to o szok.

Dali tylko mój inicjał, to dowodzi, że tatuś cieszy się jeszcze szacunkiem w mieście...

Lecz trzeba coś zrobić.

Bystro wracam.

Wchodząc nie pukam, słowo daję. I zauważcie, że robię błąd, zważywszy, że mój braciak już się był obudził.

Ponieważ nigdzie nie widzę Donny, przychodzi mi do głowy, że to ona jest pod spodem.

- Ritchie - mówię. - Wyłaż stamtąd i posłuchaj.

- Mnie to nie przeszkadza w słuchaniu - odpowiada. Donna nic nie mówi. Robi tylko: Och... Och... Ach... i to wszystko.

Pokazuję tytuł Ritchiemu. Donna nie może go zobaczyć, jest na pełnych obrotach. - Nie widzę bez okularów - mówi mój braciak. Podstawiam mu brukowca pod nos. Tym razem podskakuje.

- O cholera - stwierdza.

Próbuje się podnieść, lecz Donna go zahacza i pada ponownie.

- Och! Donna - mówi. - Pozwól mi się ubrać. Francis dokończy.

- O nie! - odpowiadam. - Jestem wykończony.

Na szczęście w tym czasie Donna daje sobie spokój. Ritchie wyrywa się i wskakuje w

łachy.

- Umaluj się starannie - mówię. - Sprawa staje się poważna.

- Co robimy? - pyta.

- Muszę zniknąć. - W jaki sposób? Ostro główkuję.

- Nie ma tam jakieś wejścia w kostnicę? Może znasz jakiegoś lekarza?

- No - odpowiada mój brat. - Dobra...

Przypuszczam, że zrozumiał. Owszem.

- Bierzymy truposza - mówi i przebieramy go za Francisa. - Korzystając z „Kane’a juniora” - dodaję.

- Fajno, mój stary - mówi Ritchie. - Niezbyt to wszystko zabawne.

- Och! - odpowiadam. - Są pewne rekompensaty. Zdarza się na przykład, że na drodze znajduje się ładne dziewczyny.

- I może uważasz, że to relaks... - burczy Ritchie.

Donna przeciąga się. Oczy ma podkrążone, aż do kącików ust, jest rozczochrana, goła, rozciągnięta i dość przyjemnie się na nią patrzy. Ładna samiczka.

- Co robimy? - pyta.

- Nie przejmuj się - mówię. - Sami we dwóch rozpieprzymy panią Walcott.

Szczerzy się.

- Czeka was kawał roboty - stwierdza.

- Nie przeraża nas to. Siada.

- Francis - mówi - mam wżenię, że nie całowaliśmy się co najmniej dwie godziny.

- O, do licha! - odpowiadam. Całuję ją jednak.

- Nie wiem, którego wolę - stwierdza. - Nie macie takiego samego ciała, lecz lubię was obu...

- Nie wstyd ci? - pytam. - Lesbijka czystej krwi sypiąca z chłopakami? Śmieje się.

- Och! Przypuszczam, że mnie nawróciliście.

- Ale są jeszcze inne sprawy - ciągnę. - Mamy robotę. Co zrobimy z tobą?

- Jak to? - mówi Donna. - Zatrzymacie mnie. Już się nie rozstaniemy.

- Chciałbym bardzo - odpowiadam - lecz trochę się zmieniło. Mam dla ciebie coś lepszego.

Chwytam za telefon. Właśnie sobie przypomniałem, że mam na mieście kolesia, który nazywa się John Payne... Pamiętajcie, tego, co ma oldsa 1910, na widok którego opluły się z wrazenia każdy antykwariusz. Ma kupę szmalu, fantazyjne pomysły i pies z niego na kobiety, że aż wstyd.

- Halo? Mogę mówić z Johnem Paynem? - To ja...

- Francis... Chcesz dostać prezent?

- Blondynka czy brunetka? - pyta.

- Oba te kolory - mówię. - Blond od góry. Słyszę mlaśnieście językiem.

- Przywieź.

- Przetrzymasz ją dla nas przez cztery, pięć dni? - Nie dotykając?

Protestuje...

- Ależ skąd - odpowiadam. - Ty robisz wszystko, a ona się broni.

Słyszę wydzierającą się Donnę:

- Co to za numery?

- Poczekaj... - mówię do Johna. Zakrywam słuchawkę ręką i informuję Donnę:

- Posłuchaj... Ritchie i ja do kupy to nic wobec Johna Payne w pojedynkę. Poza tym jest piękny jak Bob Hope, a forsya ma tyle, że aż wstyd.

- Niech go szlag! - odpowiada. - Ja chcę was dwóch. - Niech więc będzie trzech przez cztery dni - mówię. To konieczność. Jeśli się nie zgodzisz, spuszcze ci lanie. Przygląda mi się z dołu.”

- Pasuje - odpowiada. - Na ogół dobrze się to kończy. Śmieję się. Ona też.

- Dziewczyna się zgadza - mówię do telefonu. - Ale posłuchaj... Przyjedziesz za dziesięć minut. Pickford Place. Cegły i beton. Ty trąbisz, ona schodzi. Będę się przyglądał.

Odkłada słuchawkę. Też się zgadza.

- Donna, koteczku - mówię - nic straconego, jeszcze się zobaczymy.

Po czym całuję ją na pocieszenie, a dziesięć minut szybko upływa. John przyjeżdża, trąbi, dziewczyna pędzi, ja za nią i widzę jak siada obok niego. Wracam do windy.

Uf! Teraz do roboty.

XIV

Najwyraźniej gliniarze - a Bóg wie, czy są takowi w Waszyngtonie, co to za pomysł, by wybrać podobne miasto na jakieś niekatolickie historie - gliniarze, powiadam, nie wiedzą, że po kwadransie jestem dziewczynką. Teraz trzeba z tego skorzystać. Co do Ritchiego, to wprost przeciwnie, jeśli chce zrobić swoje i delikatnie skubnąć faceta, to powinien raczej przebrać się za mężczyznę. Więc przede wszystkim musimy wrócić na starego „Kane’a juniora”, pilnującego naszych waliz w schowku.

Wyjaśniam to Ritchiemu, który potakuje i wychodzimy. Buick stoi nadal i chevrolet też. Bierzemy oba i parkujemy chevroleta nieco dalej, po czym wsiadam razem z Ritchiem.

W czasie jazdy zastanawiam się i dochodzę do wniosku, że coś mi się pałęta po mózgownicy, co z trudem udaje mi się sformułować. Korzystam z czerwonych świateł, by podać dziesiątkę sprzedawcy gazet, i ponownie kupuję brukowca. Jeszcze raz czytam artykuł.

- Ritchie. Patrzy na mnie.

Nie ma ani jednego fragmentu w tym piśmidle, gdzie można by wyczytać, że Chińczyk zmarł. Ritchie marszczy brwi.

- Wszędzie jest napisane „zasztyletowany” - powtarzam - lecz nigdzie nie precyzują, że został zabity.

- No i co z tego? - pyta Ritchie.

- Och! Nic - odpowiadam.

Nie mogę dojść, dlaczego mnie to frapuje i czemu sądzę, że ma to jakieś znaczenie.

- Trzeba by pójść zobaczyć do szpitala - mówię.

Bez wątpienia, ma to znaczenie, tak czy inaczej, bo lepiej dla biednego Chińczyka, żeby to była tylko rana. I zresztą zakładając, że mnie w to wrabiają i próbują mi wrzucić na garba, lepiej by było, żeby się z tego wylizal i mógł im powiedzieć, że to nie ja... Lecz mam wrażenie, że jest jakiś powód, dla którego gazeta nie jest dokładna. Tylko jaki?

- Tak - mówi Ritchie - można by pójść zobaczyć do szpitala, ale później, bo uprzednio należałoby spowodować twoje zniknięcie. Zwłaszcza jeśli nadal masz zamiar zamknąć sprawę z Louise Walcott.

- Mam nadal taki zamiar - odpowiadam - lecz nie wiem, jak się za to wziąć, chyba że pójść i wszystkich wymordować.

- Można je wyprowadzić na prostą drogę, jedną po drugiej, tak jak zrobiliśmy z Donna - sugeruje Ritchie.

Śmieję się patrząc na niego.

- Jeśli jest ich z tuzin - mówię - to będzie niewąsko. Poza tym, widziałem kilka któregoś dnia i nie z każdą byłoby to zabawne. Jest parę tak wstrętnych, jak trzydzieści sześć wszy. A jeśli chodzi o samą Louise Walcott. to ta metoda nie przejdzie, bo ona sobie na to nie pozwoli.

Ritchie trwa w zadumie. - Nie wiadomo... - mówi.

- Nic nie kosztuje spróbować - stwierdzam - Lecz wolałbym jakiś inny sposób.

- Jednak pewnego dnia trzeba będzie napuścić na nią policję... - mówi Ritchie.

- Owszem - odpowiadam - lecz na pewno nic w momencie, kiedy ganiają za mną.

- Oczywiście - stwierdza Ritchie. - No cóż, skoro nic do głowy nie przychodzi od razu, trzeba sprawę odłożyć na później.

Pewna myśl przesywa mój umysł.

- A te dziesięć kawałków? - pytam. - Holender... nie można o tym zapominać.

- Tez chyba trzeba będzie mieć się na baczności - dorzuca Ritchie - bo mamusia Walcott również będzie chciała położyć na tobie łapę.

- O te la - mówię - dzieci drogie, niezły pasztet...

- Nie przejmuj się - powiada Ritchie. - Najlepiej nie myśleć o niczym, tak jak ja.

Tymczasem jedziemy i wreszcie docieramy do klubu. Wysiadamy, próbując jak najmniej rzucać się w oczy. Oczywiście, nikt nas nie zna w takiej postaci, lecz nie trzeba, by jakiś nasz znajomy zadziwił się widząc, jak wchodzimy do boksu „Kane’a juniora”. Bo tych boksów wcale nie jest tak dużo...

Wreszcie wślizgujemy się i docieramy bez kłopotów. Siadam na krześle. Ritchie przebiera się za mężczyznę. Zabiera mu to dwadzieścia minut.

- Jako panienka ma się luźniejsze nogi - zauważa. - W lecie to nawet przyjemne.

- Wystarczy się przebrać raz jeszcze - mówię. - Żaden problem.

Śmieje się.

- Wygodne jest dlatego - mówi - bo dziewczyny się nie boją. Mam wrażenie, że takie Louise Walcott nie mają żadnych problemów, by ich sobie nałapać.

- Tak to już jest - zauważam. - Swoją legnie do swego, znana rzecz.

Teraz Ritchie jest gotów.

- Muszę działać sam - mówi.

- Nie zrobisz chyba tego w biały dzień? Ukraść trupa z kostnicy...

Chodzą mi teraz ciarki po grzbiecie, kiedy pomyślę o tym naprawdę.

- Jesteś kompletnie wypompowany - mówi Ritchie. - Wyobrażasz sobie, że pójdę do

kostnicy miejskiej? Mam kumpla w prywatnej klinice, który dobrze da sobie radę, by mnie z tego wyciągnąć. Zażąda zwłok do przeszczepu gałki ocznej czy czegoś w tym rodzaju, a jeśli będzie jakaś poruta, powie, że mu je skradziono. Bierzesz mnie za osła czy jak?

- Do licha - mówię - całe szczęście, że cię w to wciągnąłem. Sam byłbym już siedział po uszy.

- Ale i tak będę potrzebował dwóch godzin - mówi Ritchie. - Zaczekasz na mnie. Posiedzisz na słońku i łykniesz kielicha, to najlepsze, co możesz zrobić. A później, za półtorej godziny, wsiądziesz do „Kane’a juniora” i popłyniesz w górę kanału, to znaczy aż do Brookmont... za Basenem Taylora.

Wiem, co ma na myśli, jest tam centrum studiów nad budową kadłubów w oparciu o modele, w okolicy bulwaru Mac Arthura, gdzie diabeł mówi dobranoc.

- Zatrzymasz się pomiędzy Carderock a Cropley - ciągnie Ritchie. - Jest tam miejsce, gdzie kanał płynie tuż przy drodze.

- Jasne - mówię - jest tam knajpka.

- Owszem - odpowiada - lecz zatrzymaj się i zaczekaj na mnie.

- To jest dobre dwadzieścia pięć mil - mówię.

- W godzinę i kwadrans zrobisz je z palcem w nosie - stwierdza Ritchie. - I to bez napinania się.

- Dobra - mówię. - A jeśli ktoś będzie?

- Jeśli ktoś będzie, niczego to nie zmienia.

- Wracamy jutro? - pytam.

- Posłuchaj - mówi Ritchie - ta historia, to poważna sprawa, tak czy nie?

Przypominam sobie teraz, że to ja zadzwoniłem do Chińczyka, co jeszcze bardziej mnie studzi.

- Wszystko ci powiem - ciągnie Ritchie. - Jest kolejny kumpel, mający garaż dla łodzi na kanale, mniej więcej na tej wysokości. Ty zaczekasz, a ja przyjadę statkiem z towarem i tam zajmiemy się tym, co trzeba. Zdajesz sobie sprawę, że nie możemy działać w biały dzień, chcąc go... no... zniekształcić.

Drapie się w podbródek.

- Poza tym, trzeba go będzie ubrać... i puścić mu krew.

- Jak to, puścić mu krew? - pytam. Nic już nie rozumiem.

- Kiedy jest się nieboszczykiem - mówi Ritchie - to się już nie krwawi. Więc, zęby dobrze zakamuflować nieboszczyka, przy pomocy strzału z obrzyna w twarz, poleje się go jednocześnie krwią... Musimy pracować jak artyści.

- Uf... - stękam. - To i lepiej, że ty to zrobisz, nie ja. - Och! - mówi Ritchie - tyle tego widzimy na co dzień...

A zaraz... podaj mi swoje ciuchy.

- Które?

- Męskie. Mówię, że trzeba go będzie ubrać.

- A niech to! - mówię. - Mój granatowy garnitur...!

- Nie mamy wyboru ~ stwierdza Ritchie. - Wsadź swoje rzeczy do kieszeni. I podaj mi zegarek i sygnet.

- Och...!

W tym punkcie się wydzieram.

- Dawaj, dawaj - mówi Ritchie. - Pośpiesz się.

Wrzuca wszystko do marynarskiej płóciennej torby, którą wyjmuję z kufra „Kane’a juniora” i spada.

- Tym sposobem nie mam już prawa jazdy. I jak ja teraz wyglądam?

- Po prostu nie będziesz prowadził - mówi. - Cześć, na razie.

- No - stwierdzam - jak na faceta, który nie myśli o niczym... dasz mi to na piśmie, na kolorowej pocztówce...

- I będziesz mógł ją sobie zawiesić nad łóżkiem - mówi Ritchie.

Wychodzi.

Co ja będę robił przez półtorej godziny?

Mój Boże, chętnie bym się walnął spać... W „Kanie juniorze”... Na ławeczkach leżą tam miękkie poduszki Dunlopillo. Gdybym je zabrał do środka, byłoby mi nieźle.

Nasza dzisiejsza nocna corrida z Donną Watson trochę zwała mnie z nóg. Lecz jeśli zasnę, to nie mogę zapomnieć o godzinie.

E tam! Przecież nie będę spał półtorej godziny.

Śmiało... do dzieła.

XV

Budzę się gwałtownie. Skąd wziął się ten hałas? Stwierdzam, że jak ostatni kretyn nie zamknąłem się w boksie.

Staram się nie wykonać najmniejszego ruchu i nasłuchuję. Jest dość jasno z powodu świecącego na zewnątrz słońca. Otwieram ostrożnie oczy, powolutku.

Z tego miejsca, gdzie się znajduję, nic nie widać. Przypominam sobie, że hałas pochodzi od drzwi, wydają one dwutonowy szczeł, jeden dźwięk wysoki, drugi niższy.

Dobra, tak czy inaczej trzeba zobaczyć. Wstaję bez zachowania środków ostrożności... Przypominam sobie, że jestem w damskim stroju dokładnie w momencie, kiedy chcę wciągnąć spodnie na właściwe miejsce i zeskakuję na beton. Zapalam światło.

W boksie jest jakiś facet. Wydzieram się do niego.

- Co pan tu robi?

Patrzy na mnie i się śmieje.

- Nie ma się co bać, dziecinko - mówi.

- Wychodź pan stąd - odpowiadam. - Natychmiast.

- O - mówi - taka jestem zła?

Zbliża się ku mnie. Jest wysoki i nieźle zbudowany. Trzydzieści pięć, czterdzieści lat, włosy czarne, wąskie usta. Ma garnitur z pasiastego drelichu. To niczego nie dowodzi, wszyscy takie noszą tego lata. Jasny kapelusz. Nic się nie da powiedzieć o tym facecie.

- Zostań pan tam, gdzie stoisz - mówię.

- No, moja mała - odpowiada - nie wygłupiaj się i chodź ze mną. Musimy odbyć małą rozmówkę.

- Stój pan - mówię.

Zatrzymuje się.

- Co chce pan wiedzieć? - pytam. - Bierze mnie pan za agencję informacyjną?

- Co robiłaś w buicku wczoraj, przed domem Gayi Valenko?

- Upił się pan? - pytam.

Przesuwam się trochę, by zająć dogodniejszą pozycję. Nie wygląda, by to dostrzegł.

- Było was dwoje - mówi. - Jakiś facet wyszedł stąd z godzinę temu. Po co pojechaliście do Valenko?

- Nie znam nikogo, kto by się tak nazywał.

Po czym robię zwód prawą i trafiam go lewą. Dostaje, jak się należy, lecz nie pada.

Trochę mnie to zaskakuje.

- Do licha - mówi.

A potem walimy się na ostro. Blokuję niezłe wyprowadzony cios, ten łajdak poprawił z drugiej i dostaję w ucho, jak żeliwnym przyciskiem do papierów. Lecz ten, który on przyjmuje na nos, także nie jest z pierza. W tym samym czasie przewracam się i podstawiam mu nogę. Teraz siedzę na nim i w dziwny sposób wykręcam mu nogę, wygląda jakby mu się to nie podobało. Ten świntuch jest silny jak niedźwiedź, a mnie spódnica przeszkadza w walce. Udaje mu się odwrócić i wysyła mnie bym się nażarł betonu, na szczęście amortyzuję przedramieniem i teraz on zabawia się moją nogą. Ja również potrafię się wydostać z tego chwytu. Na Boga, jak to boli. W czasie całej tej bójkii nie mówimy ani słowa, żeby nie przyciągnąć uwagi ludzi z klubu, i to bardzo niemiłe, że nie mogę ochrzanić tego bydlaka. Nie ma on dobrej pozycji dla swego chwytu; korzystam z wysiłku, jaki robi, by ją poprawić, i zapuszczam mu rączkę za obrożę. Teraz musi pracować jednocześnie nad moją ręką i nogą, co sprawia mu więcej kłopotu... Tego się nie spodziewał, to mój własny wymysł, trzeba mieć tylko do tego elastyczny krzyż. Gdybym miał kamerę, zrobiłbym wam teraz zbliżenie, gdyż udało mi się przewrócić na bok i mam jego udo przed szczęką... między szczękami... i gryzę. Tym razem gość wydaje subtelne burknięcie i puszcza wszystko. Wstaję, dość tej wolnej amerykanki, łapię go za ramię i frunie... niech to, wygląda, że też zna judo i to ja przejeżdżam się po jego nogach... bęc... ależ ten beton może zadać ból. Wobec tego powracamy do boksu, dajemy sobie po razie i padamy obaj; ja krwawię z nosa, a on ma spuchnięte oko, siedzimy na ziemi, patrzymy się na siebie i zaczynamy rechotać. To całkowicie rozbraja.

- Gówno... - mówi. - Naprawdę brałem cię za dziewczynę.

- A ja ciebie za mięczaka - odpowiadam. - Ale się oszukałem, rzecz by można.

Tamten wstaje.

- Dobra mówi wystarczy... Nic z tego nie wyniknie. Jestem Jack Carr, prywatny gliniarz, zatrudniony przez Salomona Valenko do pilnowania jego córki, i chciałbym się dowiedzieć, dlaczego wczoraj po południu polowaliście na Donnę Watson.

W gruncie rzeczy ten chłopak nie jest niesympatyczny. Wstaję.

- To wszystko prawda? - pytam.

Podaje mi swój portfel, jest tam licencja i wszystko co trzeba. Jest nawet byłym gliniarzem.

- Po co mi wciskasz kit - mówię. - Nie ma takiego prywatnego gliniarza, który tak znalazłby wolną amerykankę i judo. Jesteś facetem z FBI albo nie nazywam się Francis Deacon.

Do licha. To się nazywa... palnąć głupstwo. Trudno, wysypało się.

- Francis Deacon? - mówi. - Miło mi poznać.

- Załóżmy, że nic nie powiedziałem - odpowiadam. - Tutaj robię za Dianę. A za dziesięć minut muszę stąd odejść. Więc niech pan się pośpieszy z tym aresztowaniem.

Śmieje się.

- Wszystko jest jasne - mówi. - Tak więc od razu sygnalizuję, że...

Dobra. To cię nauczy wkładać rękę do kieszeni. Dostaje w podbródek cios, który na pewno nie wyleciał sroce spod ogona. Tym razem ma dosyć. Zbieram go do kupy i układam w kącie, po czym śpieszę, by odpalić „Kane’a juniora” i zerwać się; zabiera mi to maksimum pięć minut, mam jeszcze czas się przypudrować.

XVI

Płynę z prędkością mniej więcej dwadzieścia mil na godzinę i niezły hałas niesie się po wodzie. Żeby odnaleźć wejście do kanału muszę płynąć pod prąd, gdyż znajduje się ono na wysokości wyspy Teodora Roosevelta, zaś na kanale trzeba uważać na barki, bo ci kretyni rozstawiają się na całej długości, naciągnięci na różnego rodzaju wycieczki. Do czego to podobne, pytam się.

Zastanawiam się nad moją marną sytuacją. Oto policja federalna depcze mi po piętach, zresztą, jest to normalne, gdyż chodzi o aferę związaną z narkotykami, lecz na Boga, oby tylko nie znaleźli powiązań z tym żółtkiem .. naprawdę, krucho ze mną.

Jest i wejście do kanału. Cała na lewą burtę! „Kane junior” pędzi jak prawdziwy konik morski, a motor warczy, że można by sądzić, iż podstawiono mu pod nos całą miskę kremu chantilly.

Mam na sobie żółtą kurtkę braciaka z impregnowanego płótna i bardzo jestem w niej milusi.

Ależ to daleko. Mam wrażenie, że się wcale nie poruszam Rzec by można, że goście, którzy wybudowali ten kanał, zadali sobie sporo trudu, by był możliwie jak najdłuższy.

Mijam różne różności... Teraz jestem na wysokości Klubu Żeglarskiego. Jeszcze przyspieszam, żeby mnie nie rozpoznano. Lecz z tą przeklętą łodzią nie mam zbyt wielu szans, by przepłynąć niepostrzeżenie.

Zasuwam już od godziny, rozmyślając o całej kupie rzeczy, będąc na wpół uśpiony. Orientuję się mniej więcej według prywatnych przystani, które ciągną się miejscami po obu stronach kanału.

Już dawno minąłem Little Falls, a dziesięć minut temu Calvin John Creek. Jednak się zbliżam.

Dobry Boże, jak mi się chce spać. Patrzę przed siebie z przyzwyczajenia, lecz prawdę mówiąc, nie zdaję sobie sprawy z niczego.

Od czasu do czasu widzę różne łodzie. I roślinność okalającą kanał. W dali przede mną, po prawej, drzewo, którego gałęzie prawie się moczą... Nie... to złudzenie, stoi w oddaleniu od toru holowania. Przyglądam mu się przepływając. I bang! Wpadam na maleńką łódkę.

Niech to wszyscy diabli!. A raczej do stu tysięcy par beczek zjełczałych rolmopsów, bo jestem na statku.

Najwyraźniej „Kane’owi juniorowi” nic się nie stało... widział już gorsze rzeczy. Zwalniam. Nikt nic nie zauważył, jakimś cudem kanał w tym miejscu tworzy zakole... w końcu, to prawdopodobnie dlatego wpadłem na inną łódź.

Poszła na dno jak kamień... wracam na miejsce zbrodni. Coś tam się pluska, nawet wiem, co, zahaczam i wciągam wszystko na łódź. I to szybko.

To myszka. Dla odmiany. Nie, nie stroję sobie z was żartów... niech mnie ukrzyżują, jeśli cała ta historia nie jest najprawdziwszą prawdą.

Ledwie zdążyłem ją ukryć pod kawałkiem płótna i zebrać poduszki z jej łodzi, które zaczęły pływać, kanałem przypląwa cała seria łodzi motorowych.

Znowu się wywinąłem. Pełno na nich studentów wykrzykujących różne pochlebstwa pod moim adresem. Macham do nich i przyspieszam. Naprzód. „Kane”... trochę szybciej...

Woda tryska po obu stronach dziobnicy, a szum silnika zmienia się w piękne burczenie.

Spoglądam na zegarek. Za dziesięć minut mogę się znaleźć na miejscu spotkania, co zostawi mi jeszcze dwadzieścia na zajęcie się dziewczyną, którą wrzuciłem do wody.

Mam już na łbie tyle kłopotów, że nie wzruszyło mnie to ani ciut, ciut...jeśli nie liczyć tego, że się nieco rozbudziłem.

Jedną ręką odkrywam twarz mojej ofiary... bo jak miałbym ją inaczej nazwać?

Lecz rzec by można, ona nie zanadto oddycha.

Nachylam się nie puszczając kierownicy i nieco nią potrząsam. Naprzód... Obudź się, bździągwo.

Lekkie westchnienie. To wolę...

I pewne objawy choroby morskiej... śmiało... chwytam ją i wystawiam głowę za burłę. Niech woda z kanału powróci do kanału... to logiczne i rozsądne. Pęd powietrza wszystko rozbryzguje.

Dobra. Teraz już lepiej. Otwiera oczy, patrzy na mnie i zaczyna łkać. To najbardziej krępujące.

- Moja... moja łódź... - szłocha. - Co się stało? Z powodu silnika musi krzyżeć.

Można zaryzykować.

- Nie wiem - krzyczę ze swej strony - lecz było widać, że się nieźle ochłalaś.

- To ty mnie wyciągnęłaś? - pyta.

Minę ma zdziwioną. Niech to gęś. Przypominam sobie, że jestem przebrany za dziewczynę... a moje słownictwo, o kurde!

- Z trudem, wiesz - mówię. - Na imię mi Diana, a tobie? Sądzę, że silnik musiał

ekspłodować.

Jest pewne, że ni w żąb nie zna się na mechanice, ani jedna myszka nic z tego nie kuma, myli im się wdech z wydechem, a świece biorą za oświetlenie awaryjne.

- Och! - krzyczy. - Więc nie mam już łodzi?

Na moje potwierdzenie łka natychmiast. Milusia jest ta panienka.

- Ja mam jedną, której nie używam - wydieram się do niej. - Dam ci ją w prezencie.

- Dlaczego? - pyta. - Przecież mnie nie znasz.

- Nie szkodzi - odpowiadam tym samym tonem. - Wydajesz mi się sympatyczna.

I w tym nie kłamię. Jest blondynką o krótkich włosach i niebieskich oczach, ma lekko zadarty nos i pięknie zarysowane usta... wspaniałe zęby, a poza tym jest zmoczona... ubranie ją oblepia... tylko tyle wam powiem. Dodajmy trochę gazu.

- Och! - woła - jesteś kochana. Muszę cię ucałować. Na imię mi Sally.

Obejmuje mnie. Bardzo słodki całus. I bardzo mokry.

- Tylko się nie przezięb - mówię jej do ucha. - Zdejmij sweterek i załóż moją kurtkę.

Ani cienia wahania, zważywszy, że nie krępujemy się między dziewczynami. O, do licha. Ma drobne piersi... prawdziwy smakołyk. I powiedzieć, że daję jej własną kurtkę, by ukryła te milusie skarby. „Kane junior” wykonuje gwałtowny skręt. Rzecz by można, że się całkiem rozbudziłem. A poza tym to fajnie, tak sobie mówić do ucha.

- Zawiozę cię do Cock's Inn - mówię. - Tam wyschniesz, a potem cię odprowadzę.

- To świetnie - odpowiada. - Bo ja wcale me mieszkam w tamtych okolicach. Dokąd płyniesz, Diano?

- Mam spotkanie w Cock's Inn - odpowiadam. - Lecz dopiero za pół godziny, a jestem przed czasem.

Tak jest zresztą naprawdę. Zatomuję silnik i pozwalam łodzi dryfować. Dwa słupy piany z przodu powoli opadają, a łódź ponownie kładzie się poziomo. Kieruję ją w stronę prywatnego pomostu przy oberży. Ta nagła cisza jest ogłuszająca. W głowie czuje się wielką pustkę.

Stawiam nogę na pomoście i przywiązuję „Kane'a” do pachołka. Są tu już dwa lub trzy małe ślizgacze.

Pomagam Sally wsiąść. Chwieje się na nogach.

- Ależ ty jesteś silna - mówi.

- To ty jesteś taka mała - odpowiadam.

Galopujemy do oberży, gdzie proszę o pokój i mnóstwo ręczników.

Zauważcie pewną rzecz. Gdybym był mężczyzną, nie dostałbym tego pokoju nigdy.

Albo przynajmniej musiałbym posmarować. A tak, najmniejszych problemów.

- Moja przyjaciółka wpadła do wody. Zostanie tutaj, aż wypocznie po tych emocjach. Proszę przynieść na górę dwa bardzo wytrawne martini.

- Oczywiście - odpowiada recepcjonista. To mała knajpka z czerwonej cegły i drewna, z krzakami róż, stolikami na tarasie nad brzegiem kanału, jednopiętrowa. Meble w stylu rustykalnym, jak to mawiają. Wszystko bardzo proste: tapeta w kwiatki i dzikie wiśnie. Jednak na podłodze w sypialniach - chodniki. Prostota, bardzo proszę, ale bez przesady. Dostaliśmy pokój z widokiem na kanał. Mam przed sobą kwadrans.

- Rozbieraj się szybko - mówię. - Natrę cię. Lub raczej nie! Najpierw prysznic.

Ciągnę ją do łazienki i solidnie masuję pod strumieniem wody rękawicą z trawy morskiej. Jakie to jędrne, złociste, naprawdę bardzo, bardzo milusie.

Szybko, szybko, prowadzę ją do sypialni. Okręcam w szlafrok i suszę raz dwa.

Och! Do diabła. Zaraz zobaczymy... niech to, ktoś puka. A! To martini. Biorę je i zamykam.

Pijemy bez popitki. Wzbudza to kaszel i śmiechy.

Zaraz zobaczymy, czy one wszystkie są takie... Chwytam ją i przewracam na łóżko. A tam zabieram się do całowania tego wszystkiego, co ma najlepsze. Jest tego kilka miejsc...

No i proszę! Otrzymuję kilka niezłych pucek...!

We łbie mi dzwoni.

- Chyba ostałaś! – woła.

- Bardzo przepraszam...

Jestem pożałowania godna, naprawdę pożałowania godna. Och... i do licha. Nareszcie mam jedną... prawdziwą.

- To kretyństwo - mówię. - Wcale nie nazywam się Diana. Jestem chłopakiem.

- Nie wierzę ci - odpowiada. To już szczyt.

Zdzieram pulower i pokazuję jej mój sztuczny biust.

- Tylko popatrz - mówię.

I ciągnę jak gumę do żucia. Przygląda się.

- No i co z tego? - mówi. - Przecież tylko dlatego, że jesteś chłopcem... o ile to prawda... nie masz prawa mnie całować.

- Nie mogłem się oprzeć - odpowiadam. Okręca się w szlafrok.

- Jesteś świntuch - mówi. - Dlaczego przebierasz się za kobietę? I dlaczego wzięłeś łódź Richarda Deacona? On nigdy by czegoś takiego nie zrobił... Zastanawiam się, czy nie powinnam kazać cię aresztować.

Coś podobnego, jeśli nigdy nie widzieliście osłupiałego faceta, to popatrzcie teraz na mnie. I jak zwykle, puszczam farbę.

- Znasz mojego bra...

Gryzę się w język. W porę? Hmm...

- Jesteś jego bratem? Szybko załapuje ta mała. - Nie całkiem - odpowiadam.

- Francis Deacon? Ten którego poszukują...?

- Nie - mówię. - Nie wierz w to. Wpatruje się we mnie wnikliwie.

- Ależ tak - odpowiada. - To ty. Widziałam cię raz z daleka w Klubie Żeglarskim.

Więc to prawda? Zabiłeś Chińczyka?

I nagle upuszcza swój szlafrok. Podnosi ręce do piersi, uśmiecha się i oto wyciąga ku mnie ramiona...

- Francis... najdroższy... - mówi. - Szybko, szybko... O k...a!

Naturalnie nie daję się prosić... ale coś podobnego!... Przysięgam wam i zapewniam, że one nie mają pojęcia!

XVII

Kwadrans, to nie za wiele, by wyszczególnić rozliczne wdzięki tej uroczej Sally, więc mam czas jedynie, by jej zaprezentować tylko próbkę tego, co potrafię. Bez najmniejszej wątpliwości ma niezłe warunki i nadaje się do dalszej hodowli. Skórę ma delikatną i umie całować, co do reszty, to widać, że brak jej praktyki, lecz chętnie się wszystkiemu poddaje... zresztą niewiele czynię... dopiero zbieram informacje. Jednak, pomimo zmęczenia, po dziesięciu minutach udaje mi się zdenerwować, lecz ona przewraca mnie na plecy i wślizguje się na mnie.

- Mój morderco... - szepcze. - Mój morderco kochany... zadaj mi ból... ugryź mnie...

- Och! Do psa starego - odpowiadam. - Nikogo nie zabiłem. Chyba walę ze zbyt grubej rury... wpada mi do głowy, że może przez to prysnąć czar, lecz siadam, przekładam ją przez kolano i spuszcza jej niezłe manto. Trzepocze się jak węgorz, udaje jej się wyrwać i ponownie przewrócić mnie na plecy, i znów na mnie wskakuje. Spoglądam na zegarek. Najwyżej trzy minuty. Miota się, pełna radocha. Ta dzieciśna jest pełna zapału.

- Uduś mnie... - woła. - Zadaj mi ból.

Na dłuższą metę wywiera to na mnie efekt wprost przeciwny do zamierzonego... Opuszczam pole walki, co ona dostrzega i robi dziwną minę.

- Nie podobam ci się? - pyta.

- Gdybyś się zamknęła - odpowiadam - to może by do czegoś doszło, lecz twoje głupawe przynudzanki wcale mnie nie inspirują.

- Och!... - odpowiada. - Francis... zabij mnie... Jestem zbyt nieszczęśliwa. . Zabij mnie tak, jak zabiłeś tego Chińczyka. Odsuwam ją od siebie i wstaję.

- Widzę, że potrzebny ci jest prawdziwy twardziel, kawał sukinsyna, zęby ci wlał i jeszcze na dokładkę uczył jakąś solidną chorobą. Wtedy dopiero byłoby fajnie.

W tym czasie ponownie się ubieram... w damskie ciuchy, oczywiście. Mam już pięć minut spóźnienia i mam nadzieję, że Ritchie się nie będzie niepokoił, znalazłszy „Kane’a juniora” i nikogo w środku.

- Francis... - dziewczyna szepcze nieśmiało.

Idę do okna i spoglądam na kanał. Podpływa jakaś łódź i zatrzymuje się. To prawdopodobnie Ritchie. Muszę spadać.

- Zostań tu - mówię do Sally - i zaczekaj aż wrócę. Wtedy wszystko sobie wyjaśnimy.

- Wrócisz? - pyta.

Milusia jest ta idiotka. Podchodzę do łóżka i całuję ją w oba policzki, jak brat. Ma mordkę dziewczynki, która zrobiła głupstwo i nie chce płakać, lecz by się ukarać, sama idzie do kąta.

- Żabciu - mówię - naprawdę mi się spieszy, a w ten sposób niczego dobrego zrobić nie można. Zaczekaj tu grzecznie, a ja za godzinę wrócę.

- Naprawdę? - pyta.

- Słowo - odpowiadam. I spadam.

Po wyjściu na taras galopuję aż do pomostu. To Ritchie. Zatrzymał się przy „Kanie juniorze” i lekko zdziwiony przygląda się poduszkom.

Wskakuję do środka, odczepiam linkę i w pięć sekund opowiadam mu o wszystkim, w tym także o facecie w boksie i o laniu, jakie sobie zafundowaliśmy.

Ritchiemu to wszystko się nie podoba.

- Nic już nie rozumiem - wyznaje. - Ale mam truposza, jest przebrany i ucharakteryzowany, mam także w rezerwie pół litra krwi, żeby pokropić łódź.

Och! Od tych wszystkich historii żołądek wędruje mi do gardła.

- Ritchie - mówię - niezły zawód sobie wybrałeś. Protestuje gwałtownie.

- Powiedz no, kto się wpięprzył w tę paskudną historię? - pyta. - Ty czyja?

W czasie dyskusji płyniemy burta w burtę w stronę domu jego kumpla. Jest to mniej więcej o milę drogi, warsztat naprawczy dla łodzi znajduje się nad samą wodą i można do niego wprowadzić „Kane’a juniora” prawie w całości. W ten sposób nikt wiele me zobaczy.

Przywiązuję „Kane’a” do pierścienia i wyskakuję na beton. Patrząc, w garażu jest oszklone okno, a buick Ritchiego stoi na zewnątrz.

- Ty go... hmm... przywiozłeś w tym? - pytam.

- Owszem - odpowiada Ritchie. - Jeszcze tam jest. Weź go i przynieś.

Idę. To nieodpowiednia chwila, zęby pękać. Jest to wielki wór ze sztywnego płótna, coś jak wojskowa torba na ubranie. Ciężki bydlak. Udaje mi się zawlec go aż do łodzi.

- Zdejmij wór - mówi Ritchie.

- Chętnie - odpowiadam - ale wolałbym nie patrzeć.

- Masz fart - mówi Ritchie. - Jest trochę do ciebie podobny i młody.

- Na co umarł? - pytam.

- Wylew krwi do mózgu - odpowiada Ritchie. - Ale z pestką, jaką zapakujemy mu do łba, nikt się nie domyśli.

Przelykam z trudem ślinę.

- Hm... - mówię. - Zrobisz to? Co, Ritchie?

Patrzę na niego, jak się szczyrzy. Wyciągnął gościa z wora. Odwracam głowę, po czym w porę uciekam, przebiegam przez drzwi i wymiotuję oparty o ścianę garażu.

Wracam na drżących nogach.

- To zasrańcy, jak mogli coś takiego zrobić staremu Wu Changowi - mówię.

Dodaje mi to odwagi. Trzeba jednak wyrolować tę bandę świń. Wyciągam obrzyna z kufra łodzi i ładuję go.

- Podaj mi to - mówi Ritchie.

- Dobra - mówię - już mi przeszło. Jestem gotów. Pokazuje mi kierunek.

- Strzelaj tam... - mówi. - W tę stronę. Zaczekaj! Bierze kawałek brezentu walający się po kufrze i przykrywa twarz faceta. Sadza go na siedzeniu łodzi.

- Dobrze by było, żeby nas nie opryskało - mówi. - Teraz wal. Przez to.

Podaje mi stary szalik. Pojmuję i owijam nim spluwę, żeby zagłuszyć hałas. Wsadzam, tak jak mi kazał, lufę między zęby nieboszczyka. Naciskam.

Słychać stłumiony huk i odskakuje mi ramię. Ritchie zdejmuje swój kawałek materiału. Ja nie patrzę.

- Spal szalik - mówi. - Przy pomocy benzyny.

Zajmuję się tym w jakimś kącie i słyszę „gul, gul” opróżniającej się flaszki. Pewnie Ritchie wygładza mu makijaż.

- Teraz - mówi - weź notes i napisz, że masz tego dość, że wolisz skończyć w taki sposób.

Wykonuję posłusznie. Wszystko robię machinalnie. Szalik wreszcie się zapala kopącym płomieniem, wydzielając przy tym smród palącej się wełny, prawie nieznośny.

Skończywszy pisać, mówię do Ritchiego:

- Co pomyślą rodzice? Studzi go to znacznie.

- Nic nie szkodzi - mówi - za dwa dni będzie po wszystkim.

- Optymista z ciebie - stwierdzam. Potrząsa mną i podaje piersiówkę.

- Posłuchaj Francis. Jesteś cykor. Łyknij i weź się w kupę. Bo w końcu nawet mnie zdemoralizujesz. To jak, wisi ci, co stanie się z Gayą? I z całą tą resztą narkomanów znajdujących się w podobnej sytuacji co ona? Zniesmaczasz mnie. Przyznaję, że narobiliśmy bzdur, ale co chcesz, przecież nie można przez cały czas kręcić młynków, kiedy te łajdaki robią bezkarnie swoje świństwa.

Ja myślę, że tamten wujek leży w łodzi i że im dłużej tu pozostajemy, tym mniej jest to zdrowe.

- Naprzód - mówię. - Spójrz za siebie i jeśli jest czysto, wyciągamy „Kane’a juniora” i

puszczamy go z prądem.

Tak też czynimy. Wsiadamy do drugiej łodzi, ciągniemy „Kane’a” na środek kanału, pozostawiając na przedzie opuszczoną plandekę... tak jest lepiej. Później puszczamy wszystko i szybko wracamy. Cumujemy łódź na jej miejscu, zamykamy drzwi garażu i zmykamy. Buick stoi nadal.

- Wiesz, dokąd jedziemy? - pytam Ritchiego.

- Do Louise? - pyta.

- Do Louise - odpowiadam. - Trzeba zbadać, o co tam biega.

XVIII

Prawdę mówiąc, kompletnie zapomniałem o Sally, i prawdopodobnie tak jest lepiej, bo mam teraz co innego do roboty. Pędzimy możliwie jak najszybciej, nie dość jednak, by dać się złapać gliniarzom, bo to byłoby niezdrowe. Zawsze ci gliniarze. Nigdy tyle o nich nie myślałem, co od chwili, kiedy sam zabawiam się w gliniarza.

Buick sunie pośród natury.

Przypominam sobie piersiówkę z whisky, którą Ritchie podał mi przed chwilą i proszę go o nią.

- Och... Ritchie... daj się napić.

- Źle robisz - mówi.

I podaje.

- Nie - odpowiadam. Pociągam solidny łyk.

- Muszę sobie podbudować morale - dorzucam. - Nie czuję się zbyt dobrze, a poza tym nie mam najmniejszego pomysłu, w jaki sposób będziemy tam działać.

- Zobacz się - mówi Ritchie.

- Wiesz, co nam powiedziała Donna - przypominam mu. - Jeśli Louise Walcott nas capnie, to ciachnie nam wszystko.

- Wisi mi to - odpiera Ritchie. - Na mnie połamie sobie wszystkie brzytwy.

- No, no - odpowiadam - ładnie się chwalić, ale chyba jednak trochę przesadzasz.

- Wała - mówi Ritchie.

- Chuchnij w moją stronę.

Chucha, a ja spostrzegam, że ten łajdak sam cuchnie whisky na cały regulator. Chyba naprawdę musiałem mieć cykora, że nie zauważyłem tego przed chwilą.

- Nachlałeś się - mówię.

- Ależ skąd - odpowiada Ritchie. - Spójrz. Jadę całkiem prosto. Patrzę na drogę, akurat mamy solidny zakręt.

- Może nie tutaj - mówię. - Zaczekaj, Ritchie, aż będziemy trochę dalej.

Przyspiesza.

- Jak na filmach gangsterskich - mówi. - Posłuchaj opon. Słysząc bzzzzuii...jeśli wiecie, co mam na myśli...

- A twoje gumy są chociaż w dobrym stanie? - pytam.

- Nie wiem, nigdy się nimi nie zajmuję.

- Skręć w prawo.

Właśnie wjechaliśmy na Potomac Road i tam właśnie polecimy. Prosto aż do Falls Road. Prosto - to tylko tak się mówi - bo do Falls droga wznosi się i wykręca.

- Teraz możesz przycisnąć - mówię. - Nie będzie więcej przedstawicieli prawa.

Jedziemy i jedziemy. Jest jakieś dziesięć mil do zrobienia. W tym tempie to kwestia kwadransa.

Nawet nie. Dwanaście minut. Już tędy przejeżdżaliśmy... to mi przypomina pewną dziewczynę na skraju drogi...

Dokładnie w tej chwili myślę o małej Sally.

- Ritchie - mówię. - Znasz Sally, z klubu? Mała siedemnastka?

- Owszem - odpowiada. - Na tyle wygląda.

- Znasz ją dobrze? - pytam.

- Och! - odpowiada - przeleciałem ją, tak jak wszyscy kumple.

- Ach! - mówię nieco ostudzony - wszyscy jej używają?

- Niekoniecznie - mówi Ritchie. - Ma swoich wybrańców.

- To tak się tylko mówi - odpowiadam. - Myślisz, że długo będzie czekała? Powiedziałem jej, że wrócę za godzinę.

- Och! Pośpi sobie - odpowiada Ritchie. - Już jest późno. Faktem jest, że z tego wszystkiego zrobiło się już wpół do piątej, ale w lipcu trudno powiedzieć, że to późna pora.

- Ritchie, nie pojedziemy tam natychmiast. Najpierw trzeba odpocząć - proponuję.

- Jesteś głąb - mówi Ritchie. - Pękasz.

- O matko!

Czuję się jak biedny, mały maminsynek.

- Więc przyciskaj, świni - podsumowuję.

Już jest Falls Road i skręcamy w lewo, zamiast nią pojechać.

A Ritchie przyciska, ale niezbyt długo, bo ktoś mógłby powiedzieć, że naprawdę coś podjeżdża. Przystaje na skraju drogi. Trzysta metrów przed nami stoi wielki, biały budynek, którego dach widać poprzez drzewa Niewątpliwie wiązy.

Ritchie patrzy i mówi:

- Nie da rady nic zrobić. Za widno.

- Pękasz - stwierdzam.

- Akurat - odpowiada. - Odpoczniemy i ruszamy. Dobrze nam to zrobi.

- Tam do diabła! - mówię. - Mogłeś mnie ostrzec. Poszedłbym do Sally.

- To byłby błąd... - mówi Ritchie, przyglądając mi się.

- Dlaczego? - pytam.

- Masz ochotę się leczyć? - mówi.

- Niech to szlak! Panienska, której dałoby się komunię bez spowiedzi.

Te myszki są niesłychane. Naprawdę, one nie mają pojęcia.

- Do licha - mówię do Ritchiego. - Uciekłem jej spod topora.

- Zawsze byłeś farciarzem - stwierdza. - Ostrzegam cię również, że wcale nie ma siedemnastu lat Tylko dwadzieścia osiem. Chodź się zdrzemnąć.

Jestem zdruzgotany.

Ruszamy dalej. Przejeżdżamy obok domu Nie ma mowy o pomyłce, to jedyny w okolicy. Potem skręcamy w pierwszą drogę i ustawiamy buicka tak, by był gotów do wyruszenia we właściwym kierunku.

Rozkładamy się na plecach z ramionami skrzyżowanymi na karku.

Rośnie tam pełno drzew, a wieś jest piękna. Przyglądam się temu przez jakiś czas i nagle widzę faceta, który wychodzi nie wiadomo skąd. Ma śliwkę pod okiem, jest wysoki i napakowany. Rozpoznaję jego twarz. Jest nieco napuchnięta. Gość ma na sobie garnitur z pasiastego brezentu.

- No, Francis - mówi. - Wrócimy na chwilę do zagadnienia... Należy mi się rewanż.

To mój ogon. Patrzę na Ritchiego Ani drgnie. Widzę, że drugi facet trzyma go na muszce prawdziwego, profesjonalnego zrównywacza, przyrządu, który ma kaliber przynajmniej pięć centymetrów.

Nic się nie da zrobić.

- Życzysz sobie demonstracji? - pytam.

Po czym robię zwód. Łapię go za ramię i facet frunie. Już drugi raz robię mu tego psikus.

Tymczasem on posyła mi niezłego klapsa... Cóż... trzeba przecierpieć. Wyrrywam się. Są na to różne sposoby, na przykład dobrze umiejscowione atemi, którym można się zemścić.

Nie wyprowadzam ciosów z całej siły, on również nie... Nie jesteśmy dzikusami.

Zabawiamy się tak przez pięć minut i obaj jesteśmy spoceni.

- Gdybym nie miał tej kretyńskiej spódnicy - mówię - poszłoby to znacznie suciej.

Tamten zatrzymuje się.

- Wystarczy - stwierdza. - A tak poza tym, czy ktoś ci kiedyś powiedział, że jesteś potrójnie złamanym ch...m?

Stoję z rozdziawioną gębą. Tamten z tego korzysta i wali mnie w podbródek. Padam, a on podnosi mnie miłośnie.

- Byłem ci to winien, kochasiu - mówi. - Nie gniewam się wcale, ale byłem ci to winien. Prawdę mówiąc, powiem ci od razu... Chińczyk nie umarł.

Mówię z trudem, lecz pozwala mi to na użycie bardziej kwiecistego słownictwa.

- Wy, blacharze - mówię - jesteście bandą fałszywych patafianów. Ta wasza mania okładania lolami porządnych gości, tak że im śmiech kołkiem w gardle staje; jak na was patrzę, strzyka mi w wąpiach.

- A tak przy okazji - pyta Ritchie - czy moglibyście nam powiedzieć, cóż takiego uczyniliśmy?

- To było między nami dwoma - odpowiada gliniarz. Zbieram się w sobie - trochę symulowałem - teraz moja kolej. Prosto w żołądek. Zgina się w pół i dostaje w klipę kolanem.

- Jak na targu - powiadam. - Trzeba wyjść na swoje, tak czy inaczej.

Drugi gliniarz zaczyna rechotać.

Cóż, ci dwaj są nieźli. Pierwszy się podnosi. Czuje się marnie.

- Odpuszczam - mówi. - Wystarczy, Francis, jesteśmy kumplami.

Wyciera sobie łeb, należy mu się to, bo mam twarde kolana. I zaczynamy rozmawiać po koleżeńsku.

- Jak to się stało, że jesteście tutaj? - pytam.

- A wy? - odpowiada.

- Posłuchaj - mówię - przypuszczam, że jesteś federalny? Przytakuje.

- Dobra - stwierdzam. - I nazywasz się Jack Carr? Masuje sobie flaczory.

- Jack Carruthers - odpowiada. Do licha, znam to nazwisko.

- Holender - mówię. - W takim razie, to jakaś grubsza afera.

Wygląda na mile połączanego. Teraz ostrożnie maca sobie nos.

- Jest pełno gliniarzy dookoła domu - odpowiada. - Wasza obecność została zasygnalizowana przez walkie-talkie.

- Nie aresztujesz mnie? - pytam. Uśmiecha się.

- Zmartwiłoby to twojego ojca... chociaż tobie zrobiłoby dobrze... powtarzam raz jeszcze, nic ci nie grozi... Chińczyk przemówił.

- A gazety? - pytam.

- Bałach - odpowiada. - Pułapka na niejaką Walcott. Patrzę na Ritchiego.

- Widzisz - stwierdzam - mówiłem ci.

- Zbierajcie się, odwiedzimy Louise. Już jesteśmy na miejscu.

- Jak to? - pytam.

- Gaz łzawiący.

Udaje się w kierunku drogi. Podążam za nim.

- Choć - mówi do Ritchiego.

- Pocę się od tego - odpowiada Ritchie. - Ja nie znam tej laluni. Idę się zdrzemnąć w samochodzie. Mam zaległości.

Wsiada do buicka, zanim ktokolwiek wykonał najmniejszy gest, by mu w tym przeszkodzić i przykleja się do kierownicy.

Wygląda, jakby mu to szło z trudem.

I nagle silnik warczy, a samochód rusza z kopyta.

Bang! Bang...! Bang...!

To Carruthers i drugi gliniarz strzelają do bryki, lecz ta skręciła już za rogiem. Patrzę na Carruthersa dławiącego się z wściekłości i nagle dostaję puckę w łeb.

Przed odfrunięciem mam jeszcze dość czasu, by stwierdzić, że był to cios rękojęścią i że pistonówki prawdziwych gliniarzy nie są jednak aż tak ciężkie.

XIX

Znajduję się - o ile można to nazwać znalezieniem się, bo mam wrażenie, że brakuje mi paru kawałków - w pustym pomieszczeniu o opuszczonych żaluzjach. Jest jeszcze widno i dość światła przechodzi, by oświetlić miejsce, którego ściany są białe i nagie.

Przeżuwam przez pięć minut jęzor grubości gąbki i w kąciku ust udaje mi się znaleźć nieco śliny.

Dodaję, dla jasności wypowiedzi, że ręce mam spętane za plecami i stąd bierze się uczucie brakujących kawałków. Poruszam palcami najlepiej jak tylko mogę, by spróbować przywrócić krążenie i usiłuję się podnieść. Leżę rozciągnięty pod ścianą z nosem w kącie, co nie jest zbyt wygodne.

Rzec by można, że nie jestem sam. Są jeszcze dwaj inni lokatorzy. Kobieta po lewej stronie z głową opuszczoną na piersi, oparta plecami o mur, tak jak ja, a obok niej jakiś wydłużony kształt.

Widzę coraz lepiej.

- Kim jesteś? - pytam cichym głosem.

- Donna Watson... biedna Donna Watson... - odpowiada. - Donna... to ja, Francis.

Zaczyna się śmiać cichym, zdławionym śmiechem, tak strasznym, że ciarki mi chodzą po plecach.

- A tam... - ciągnie - to John... niejaki John Payne... facet, którego nazywano John Payne...

Mam stracha. Ona potrafi wywołać wrażenie.

- Donna... - mówię... - uspokój się... Co jest? Jakoś się z tego wyłizemy...

- Tak jak John - odpowiada. - Jak chłopak, który nazywał się John Payne, dopóki Louise Walcott nie pochlastała go brzytwą.

Nagle udaje mi się stanąć, zaparłszy się o ścianę.

- Donna - mówię - na litość boską, zamknij się i przestań gadać bzdury.

Głowa jej opada i milczy. Stoję całkiem pokręcony, srogo mnie sprali.

Podskakuję aż do Johna - o ile to on. Leży obok Donny z rękami związanymi z tyłu, twarz ma białą. Ubrany jest na jasno. Spodnie ma powalane krwią. Olbrzymia plama, monstualna. Krew wypłynęła dookoła niego. Po prostu w niej pływa.

- Nie żyje - mówi Donna. - Wył przez dwadzieścia minut, aż umarł. Zmasakrowała go brzytwą...

- Dość, Donna - mówię.

Czuję w tym momencie do Louise Walcott ślełą nienawiść, ochotę rozdarcia jej na strzępy.

- Donna - mówię - musimy stąd wyjść. Śmieje się cicho i ponuro.

- Ty Francis - stwierdza - też pójdziesz pod brzytwę. Dla mnie będzie rozpalone żelazo. Żelazna nakrętka, rozpalona nad lampą lutowniczą... Wsadzi mi ją tam...

- Donna - mówię - wyjdziemy stąd.

Patrzę na więzy na mych nogach. Są grube, lecz jakoś to będzie.

- Potocz się pod okno - mówię. Nie rozumie.

- Przesuń się pod okno, tocząc się - powtarzam. Wykonuje.

- Zęby zagłuszyć odgłos szyby, którą stłukę - wyjaśniam jej. - Spadające kawałki nie mogą narobić hałasu.

Zbliżam się do niej pod okno i próbuję cicho podskoczyć.

Napieram na szybę. Żaluzja na zewnątrz jest opuszczona, jak wam już mówiłem... to fart.

Naciskam powoli na szkło. Oby tylko nikt nie usłyszał hałasu.

Chrup... pęka. Spory kawał spada na Donnę, a czubek wbija jej się w plecy. Cała podskakuje, lecz nic nie mówi.

Udało mi się. Jest kawałek, który został na krawędzi dziury, jaką zrobiłem.

- Odsuń się teraz - mówię. - Po cichu.

Wykonuje posłusznie! Zajmuję jej miejsce i udaje mi się umieścić po jednym bucie z obu stron pozostałego kawałka szyby.

Mam ściśnięte kostki i szyba musi przejść pomiędzy nimi, kiedy przetnie pierwszy węzeł. Ostrożnie podnoszę i opuszczam nogi.

Dobra. Jeden z węzłów puścił. Inne ani drgną. Sporo ich. Trzeba je będzie przeciąć jeden po drugim.

Kiedy przesuwam kostki, czuję jak kawałek mojego mięsa zostaje na szybie, lecz zaciskam zęby. Idzie. Pęka czwarty i piąty.

Nogi są wolne. Kilka przysiadów.

Tylko żeby się nie zdrzemnąć. Lecz co to? Ktoś idzie korytarzem.

Dwa, trzy szybkie skłony.

- Połóż się Donna - mówię bardzo szybko. - Nie ruszaj się. Udawaj martwą.

Siadam koło niej w kucki. Drzwi otwierają się. Wchodzi jakaś kobieta. Obserwuję ją spod przymrużonych powiek. Znam ten pysk.

Louise Walcott.

Jest sama. Zamyka drzwi.

Ma coś błyszczącego w dłoni. Brzytwa. Ubrana jest w czarną, bardzo wydekoltowaną suknię bez zarzutu. Ładniejsza i bardziej łajdacka niż kiedykolwiek.

- No proszę - mówi... - Było nam za gorąco? Więc stłukliśmy szybę... A może po to, żeby wzywać pomocy?

Śmieje się.

- Tobie, Donna Watson, zaraz będzie cieplej - mówi. Zbliża się do Johna Payne'a.

- Nie żyje? - pyta. - To zabawne, że faceci nie mogą żyć bez tego.

Ależ ona ma głos, ta megiera! Podchodzi do mnie.

- Tobie także się troszkę dostanie, mój koteczku - mówi. - Dobrze ci to zrobi. Połóż się. To będzie taka mała przystawka.

Nie poruszam się. Podchodzi jeszcze bliżej. W porządku. Przygląda się swojej brzytwie...

- Nie jest zbyt dobrze naostrzona - mówi. - Była już używana na Johnie.

- Dlaczego chcesz się cieszyć widowiskiem w samotności? - pytam. - Czyżby w domu nie było chętnych?

Cofa się o krok.

- Coś podobnego! Odzyskałeś mowę - stwierdza. - W końcu, skoro masz stracić coś innego... lecz nie od razu. Tym razem poszłam jedynie po to, by narobić ci smaku. Chodź. Zobacz.

Łapie mnie za kołnierz i ciągnie aż do Johna.

- Przyjrzyj się - mówi. Dobry Boże!

Teraz jestem w dogodniejszej pozycji, na to czekałem. Nie wiem, czyście słyszeli kiedy przy okazji wolnej amerykanki o triku, który się nazywa cios nożycami.

Wyskakuję, zaś moje nogi wyrzucone w powietrze zamykają się wokół talii Louise Walcott.

Mam ochotę krzyknąć z radości, gdyż słyszę suchy stukot o podłogę. Upuściła brzytwę. Robię straszny wysiłek i przewracam ją na ziemię, używając do tego całej mocy moich ud. Jej głowa wali o ścianę. Zaciskam, zaciskam ze wszystkich sił. Słyszę jak trzeszcza jej ostatnie zebra. Natężam się, o mało nie zemdleję. Ona nie może krzyknąć. Nic już nie może zrobić. Wydaje niewyraźne mruknięcie i mięknie.

Za moimi plecami coś się rusza. To Donna podpełzła aż do mnie. Odwróciwszy głowę widzę ją, jak gryzie ziemię.

- Nie ruszaj się, Francis - mówi.

Pojmuję, że udało jej się podnieść brzytwę zębami. Nadal ściskam Louise. Czuję, jak niezręczne ostrze brzytwy przecina mój nadgarstek.

- Nieco wyżej Donna.

Tnie jeden z węzłów. Robię straszny wysiłek i wszystko pęka. Mam wolne ręce. A przeguby bardzo mnie bołą.

Poruszam palcami. Są martwe. Naprzód. Wysiłam się. Podnoszę ręce do góry, żeby odpłynęła z nich krew.

Zaczyna krążyć. Lecz przypominam sobie, że należy zmylić towarzystwo. Ryczę.

- Ach...! Louise... dziwko... Na pomoc... tylko nie to... Aaaa...

Donna wskakuje na brzytwę, która wypadła jej z ust. Skaleczyła się podnosząc ją, krwawi, przecinam jej więzy, masuję i całuję z dubeltówki.

- Donna! - wołam. - Fajna z ciebie dziewczyna. Jesteś najdroższa, bardzo cię lubię.

- Och! Francis - mówi - biedny John... Zabij ją, zabij tego śmiecia.

- Nie mogę - odpowiadam - policja na pewno będzie chciała wydusić z niej wiele rzeczy. Lecz możesz na nich liczyć w temacie zadania bobu.

Znowu zaczynam się nieco wydzierać dla pucu, a Donna się śmieje.

Po czym szybko i po cichu dyskutujemy nad zagadnieniem.

- Chcę jej ździebełko dołożyć - mówię. - Ale bez zabijania.

Łapię ciało Louise i rozciągam na ziemi. Później w trzech ruchach łamię jej oba przeguby. Nie podaję szczegółów, to nic interesującego, lecz bardzo podnosi na duchu. Budzi się nagle, lecz Donna zatyka jej usta. Daję jej solidnie pięścią w ucho i odlatuje do krainy snów.

Złam jej nogę, Francis - mówi Donna. - Nogę też.

- Jeszcze się ocknie na dobre - odpieram - a poza tym nie mam w sobie nic z rzeźnika. Zbyt jest dla mnie odrażająca. A tak nie może się bronić.

Przeszukuję ją. Pod pachą ma automatyczny rewolwer, jak prawdziwy mały gangster. To dlatego nosi zawsze tak wydekoltowane suknie... żeby móc go szybko wyciągnąć.

Donna sugeruje mi jeszcze, bym zrobił tamtej całe mnóstwo różnych historii.

- Posłuchaj, skarbie - mówię. - Kangurowi mógłbym to zrobić, ale tej babie - to już wolałbym się powiesić. Nie zasługuje na to. Biedny John!

Na wspomnienie o Johnie Donna zaczyna płakać, po czym dalej się śmieje, bo kontynuujemy naszą komedię.

Jestem uzbrojony, wolny... i w tym pokoju. Jedyne wyjście - przez okno.

- Co jest w ogrodzie? - pytam. - Damy radę?

- Nie mamy zbyt wielu szans - odpowiada Donna. - Jesteśmy na pewno na drugim. To piętro cel. W ogrodzie jest tylko drewniana komórka, która sfajczyłaby się jak nic, gdyby chcieli nas wykurzyć. Nigdzie nie damy rady.

Idę do okna i podnoszę żaluzję. Faktycznie. Opuszczam ją.

- Za wysoko - mówię. - Trzeba wyjść drzwiami.

- Naprzód - odpowiada. Jest bardzo blada i dodaje:

- Jak zejdziemy na dół, będziemy ugotowani.

- Kto tu stale przebywa?

- Jest ogrodnik, potężny, rudy prosty Mac Coy, niezbyt niebezpieczny. A poza tym dziewczyny. Zostały prawdopodobnie trzy lub cztery, a inne są na mieście. Z pewnością jest Viola Bell, szefowa, prawdziwe monstrum. Byłyśmy kumpelkami... - dodaje Donna.

Drży.

- Kiedy pomyślę, że byłam po ich stronie!

- Znam ogrodnika - mówię. - Przykro na niego patrzeć. ~ To jedyny mężczyzna tutaj - mówi Donna.

- A Richard Walcott?

- Rzadko przychodzi. Siedzi w Waszyngtonie z kumplami. Poza Violą, Beryl i Jane są tu z pewnością. Morderczynie. I Rosie Lance, kucharka.

- Również ma spluwę, jak sądzę?

- Owszem - odpowiada Donna. - Wszystkie miałyśmy. Ćwiczyłyśmy w piwnicy.

Nie bardzo ma chęć ciągnąć dalej.

- Na facetach? - pytam.

- Tak - odpowiada - na facetach. Martwych.

- Na tych, którymi Louise osobiście się zaopiekowała? - Tak.

- Dobrze - mówię. - Trudno. Schodzimy.

- Cicho - szepcze Donna.

Na schodach słysząc kroki.

- To Viola... - mówi Donna. - Rozpoznaję jej chód. Kroki przesuwają się i zbliżają do drzwi. Rozbrzmiewa głos: - Louise...

Brak odpowiedzi, wiadomo dlaczego.

- Louise Walcott.

Klamka porusza się. Szybko odpycham Donnę do tyłu i podchodzę.

Najwyraźniej Viola waha się. Trzyma za klamkę i nie może zdecydować się na

wejście.

Jedyna rzecz do zrobienia. Cicho chwytam za tę niezdecydowaną klamkę i silnie pociągam do siebie. Viola traci równowagę i na wpeł pada w pokoju. Jej rewolwer pluje ołowiem.

Raz, me dwa. Drugi strzał jest pięścią w łeb. Z całych sił. Powaliłby byka.

Najwyraźniej Viola nie jest aż tak solidnej budowy. Obszukuję ją. Ta dla odmiany nosi majtki. Jeden rewolwer na tyłku, drugi za stanikiem. Do głowy przychodzi mi pewien pomysł. Rozbieram ją całkiem.

- Zrób to samo Louise - mówię do Donny. - Ciężko im będzie tak łązić.

Nie ma na co patrzeć. Viola jest kiepsko zbudowana. Chuda, bez piersi, chłopięce biodra.

Porusza się. Łapię ją za kark i daję jej w pysk aż dudni. I na Boga, sprawia mi to przyjemność. Tamta zapomina o wszystkim.

Znajduję jeszcze przy niej mały sztylet przyczepiony do prawej łydki dwoma rzemykami oraz pęk kluczy.

- Co za arsenał... - mówię.

Sprężamy się, bo bez wątpienia inni zaraz poleżą. Nadstawiam ucha i nagle uderza mnie pewna myśl.

- A Jack? - pytam Donnę. - Kto to ? Opisuję fałszywego Carruthersa. Donna zastanawia się.

- Pojmuję, co chcesz powiedzieć, lecz nie wiem jak on się nazywa - odpowiada.

- To on mnie złapał - wyjaśniam. - Toteż chciałbym dostać go gdzieś w kącie. Był z nim jeszcze drugi mężczyzna. Mały brunet z olbrzymim rewolwerem. Szczupły, z ustami jak od ciosu szablą.

Śmieje się.

- To nie mężczyzna - mówi. - To Rosie, kucharka.

- Dobra - tylko jedna więcej... więc schodzimy... Weź to. Podaję spluwę Donnie, tak że ona ma jedną, a ja dwie.

- Prowadź - mówię.

- Można by zaczekać, aż nadejdą - odpowiada Donna. - Załatwilibyśmy ich wszystkich, jednego po drugim.

- Uważam, że lepiej zaatakować - odpieram. - A niechby tak podłożyli ogień i odeszli. Mam zaćmiony umysł wizją tego ognia.

- Och! Naprzód - mówi Donna. Pociska się do mnie.

- Nie zostawisz mnie, jeśli coś się wydarzy?

- Donna, a co by się miało przydarzyć? Całuję ją delikatnie i wychodzę pierwszy.

- W lewo - mówi. - Schody.

Przemieszczam się bezgłośnie. Donna zebrała ciuchy Louise i Violi Bell oraz zamknęła na klucz drzwi od pomieszczenia, w którym obie leżą rozciągnięte.

Jestem na schodach. Zaczynam posuwać się w dół. Nic się nie dzieje.

Zastanawiam się, gdzie jest Ritchie.

Oto podest pierwszego piętra. Posuwam się wzdłuż ściany i rzucając okiem.

Tak jak na drugim, jest czworo czy pięć drzwi wychodzących na korytarz.

Donna jest tuż przy mnie.

- W prawo - mówi. - Pierwszy pokój. Tam powinny być. Zanim mam czas cokolwiek zrobić, wyprzedza mnie i wchodzi. Słyszę dwa strzały i czyjś jęk. A potem jakiś ruch na dole, na parterze, więc wchodzę i docieram do Donny. Klęczy na ziemi przed drzwiami. A w pomieszczeniu jest kobieta.

No cóż... była kobieta.

Donna ma rację, nauczono je strzelać.

Była to młoda, ładna blondynka, o dzikim spojrzeniu. Siedzi w fotelu za stołem. Ma na sobie białą szmizjerkę. Czerwona plama rozplywa się na lewej piersi.

Podnoszę Donnę.

- Co ci jest...?

- Uwaga - szepcze. - Ktoś wchodzi.

Odwracam się i puszcza ją. Słyszę, jak kuśtyka aż do stołu. Podnoszę pistonówki.

Strzelam pierwszy. I jest to pierwszy strzał w moim życiu, jaki oddaję do dziewczyny. Mam nadzieję, że ostatni. Spluwa wypada jej z łap i wydaje okrzyk, gdyż jej kciuk poleciał razem z nią. Daję jej w zęby i przysięgam wam, że nawet nie próbuję jej łapać, kiedy pada.

- Łapy do góry...!

Niech to. Ktoś był za nią. Ten niby-Carruthers. Nie rozumiem, dlaczego nie strzelił.

Rzucam narzędzia. Nic się nie da zrobić. Lecz nagle kula świszcy mi za uchem, a twarz faceta po prostu rozpryskuje się przede mną. Krew strzyka na mnie, więc się cofam, gotów zwymiotować.

- Dzięki, Donna - mówię, nie odwracając się.

Zbieram spluwy i idę do drzwi. Mam wrażenie, że zrobiliśmy czystkę. Zamykam drzwi i próbuję zająć się Donną.

- Jesteś poważnie ranna? - pytam.

Leży zwinięta w kłębek i oddycha z trudem. Kładę ją na stole.

- W płuco - odpowiada.

- To drobiazg - mówię - z tego się wychodzi. Nie ruszaj się i oddychaj powoli.

- Nie warto, Francis - odpowiada. - Po co! Zapakuj mi drugą kulę. Tak czy inaczej mam dość na sumieniu, żeby mi przyłożyli ze trzydzieści lat do odsiadki.

- Mowy nie ma - mówię. - Jak sądzisz, dlaczego nie strzelił do mnie?

- Nie wiem - szepcze.

Podkładam jej pod głowę ciuchy Violi, których nie wypuściła z ręki.

- Myślę, że właśnie pokapowałem - mówię. - To dlatego, że jestem wart trochę forsy. Rozumiesz, gość sądził, że mój tata jest senatorem. Z pewnością chciał mnie porwać.

Dziewczyna uśmiecha się słabo.

- Nic z tego, Francis - mówi.

- Szczerze mówiąc, to ma on tyle szmalu co pięciu czy sześciu senatorów do kupy - ciągnę. - A z tobą też się jakoś ułoży. Tylko się nie przejmuj.

W czasie, gdy Donna odpoczywa, przeszukuję kieszenie faceta. Oto portfel, który mi pokazywał. Są w nim papiery. Lecz w wewnętrznej kieszeni są jeszcze inne.

No proszę. Pan ów w rzeczywistości nazywa się Sam Driscoll - co jest całkiem bez znaczenia. Faktycznie jest prywatnym detektywem z Nowego Jorku. I niemiernie faktycznie został zatrudniony przez ojca Gayi Valenko do pilnowania jego córki. Trzy miesiące temu.

No cóż, miał dziwny sposób pilnowania... Przychodzi mi do głowy, że ten ptaszek chciał upiec dwie pieczenie na jednym ogniu i nadał sprawę Louise Walcott.

Co nie wyszło mu na zdrowie, jak sądzę. Nie będzie wsadzał nosa w cudze sprawy przez jakiś kawałek czasu...

Chowam kwity do kieszeni i wracam do Donny. Nie wygląda zbyt dobrze. Dotykam dłonią jej czoła. Ma gorączkę.

A jednak odnoszę wrażenie, że o czymś zapomniałem.

Zastanawiam się usilnie. No tek. Gdzie jest ogrodnik, ten wstrętny, półtonowy rudzielec?

- Donna - mówię - nie odpowiadaj, lecz słuchaj. Chcąc powiedzieć tak, mrugnij powiekami, w przeciwnym razie, nie ruszaj się. Czy były tu jeszcze inne dziewczyny?

Mrużąc, że tak. - Ta to Beryl? Brak odpowiedzi.

- Jane?

Tak? Dobrze. Beryl hasa pośród przyrody. Albo po korytarzu. Czeka, żeby mnie napakować ołowiem.

- Były jeszcze inne? Tak.

- Lecz ty ich nie znasz? Odpowiada cichutko.

- Tamte tu nie mieszkały. Tu była kwatera główna Louise. Inne chodziły po rozkazy do baru.

- Nic nie mów - odpowiadam. - Zrozumiałem. Lecz na Boga, co robi Ritchie?

W tym momencie słyszę podjeżdżającą brykę. Biegnę do okna. Samochód wjeżdża i zakręca przed domem. Przygotowuję się do wyskoczenia na zewnątrz. To na pewno Ritchie.

- Francis...

Donna na wpół się unosi.

- Francis... uważaj...

Dostaje czkawki i podnosi rękę do piersi.

- To... to samochód Louise... to Jane... uważaj...

Dobry Boże... muszę wyrzeć... Na końcu korytarza jest okno wychodzące na ogród. Biegnę.

Cholera. Już wysiedli i weszli. Błyskawicznie przebiegam przez strefę schodów i chowam się. Obserwuję, starając się być niedostrzegalnym.

Ktoś wchodzi. Mam teraz ochotę mordować. A to pojawia się mój braciak Ritchie. Twarz ma pokrytą krwią. Za nim rudzielec i krótkowłosa dziewczyna o prostackiej gębie, w czarnych spodniach i swetrze. Trzyma sztylet i dźga w plecy Ritchiego, żeby się posuwał naprzód. A on ma związane ręce.

Na szczęście nie podnoszą oczu. Lecz jeśli strzelę, mogę zranić Ritchiego.

Cofam się, chodzę do pokoju i bezgłośnie zamykam drzwi. Z pewnością zamkną go gdzieś na górze.

Przez drzwi słyszę, jak niucha dziewczyna ubrana na czarno.

- Dziwnie tu pachnie - szepcze - Ktoś tu strzelał.

- Zaprowadź go na górę, Dan - mówi. - Ja zajrzę do biura. A w biurze jestem ja.

Cofam się.

Rusza klamką, lecz drzwi się nie otwierają.

- Louise!

- Beryl...!

Brak odpowiedzi. Słyszę, jak mruczy pod nosem.

Po czym cisza. Na górze kroki. Odgłos upadku.

Nagle galopada na schodach.

- Dan...!

To powrócił ten kolos. Słyszę, jak szybko dyskutują.

- Wyważ drzwi...

Przygotowuję się. Tamten nabiera rozpędu... czuję to... przyklejam się do ściany.

Drzwi rozsypują się w kawałki, a ten bydlak przewraca się na środek pokoju.

Strzelam z obydwu rąk do tej, co stoją za nim. Ma dosyć. Nawet nie sieknąwszy.

Czarna kupa na ziemi.

Rudzielec wstaje. Nic nie kuma.

- Nie ruszaj się! - wołam. Idzie ku mnie.

- Stój! - wyję.

No tak. Jestem ugotowany. Tamten widzi, że nie mógłbym strzelić. Nerwy mnie zawodzą. Tamten się śmieje.

- Strzelaj - mówi.

Biorę się w garść. Rzucam spluwy na stół, gdzie nieruchomo leży Donna.

- Wykończę cię własnoręcznie - mówię.

Bo nie mogę zabić od tak, po prostu, z zimną krwią... nie mam już na to ochoty. To zbyt wstrętne...

Uchylam się przed pięścią wielkości trzykilowego bochenka i walę go w wątrobę. Boże! Ręka zapada mi się na dwadzieścia centymetrów i mam wrażenie, jakbym palnął w pierzynę. Szybko stawiam gardę.

Ma przerażająco długie ramiona. Muszę go złapać przy pomocy jakiegoś chwytu judo lub z wolnej amerykanki. Bez tego kiszka.

Tańczę wokół niego, szykując się do chwytu. Ten cios muszę przyjąć.

Jest w dobrej pozycji. Rzucam się, robię zwód i naruszam jego równowagę. Przewracamy się ze strasznym hałasem.

Dzwoni telefon...

Wielkolud leży na ziemi na prawym boku, a mnie udało się wyrwać. Przystawiam mu stopę do szyi i łapię za lewą rękę. Wyskakuję w powietrze i spadając, wykręcam mu ramię.

Dobra. Złamane. Sporo już dzisiaj nałamałem!

Tamten odpuszcza sobie.

Wstaję i ocieram twarz. Jestem jak we śnie. Telefon dzwoni nadal. Podnoszę słuchawkę.

- Halo... Tu Richard...

- A tu sam Pan Bóg - odpowiadam.

Właśnie rozpoznałem głos tego śmiecia, Walcotta.

- Halo...? Louise?

Wygląda na to, że jest osłupiały.

- Nie pójdziesz do raju - powiadam - bo za bardzo wyglądasz na ciotę. Żarty na bok.

Tu Sam. Przyjeżdżaj. Louise chce cię zobaczyć. Cześć.

Odkładałam słuchawkę i wykręcam inny numer.

- Policja? Mam ich.

- Tu mówi życzliwy - stwierdzam. - Przyjedźcie w takie a takie miejsce (wyjaśniam im możliwie jak najlepiej), a znajdziecie interesujące rzeczy. Przywieźcie ze sobą trumny.

Ponownie odkładałam słuchawkę i wyskakuję zobaczyć, co z Ritchiem. Szukam i otwieram drzwi kluczami Violi. Znajduję go w drugim pomieszczeniu. Leży w kącie wyczerpany i cały w łachmanach. Nie ma już marynarki, koszula w strzępach, nie rusza się. Mam cykora. Klękam przy nim i przecinam więzy sztylcikiem, który zachowałem. Masuję go.

- Ritchie... Ritchie... budzisz się? Zaczyna reagować. Jest sflaczały.

- To ja, Francis - mówię. - Francis. Twój brat, Ritchie, obudź się, gliniarze zaraz pojedą, trzeba pryskać.

- Gliniarze? - mruczy. - Mowy nie ma.

Dobra. Odnajduję mojego Ritchiego. Natęża się, a ja pomagam mu wstać.

- Moje nogi... - mówi.

Całe plecy ma pokrwawione od ciosów noża, które tamta dziwka mu zadała przy wchodzeniu po schodach. Na szczęście rany są powierzchowne.

Kulejąc robi dwa kroki.

- Jak tam sprawy wyglądają? - pyta.

Wyjaśniam mu wszystko w czasie schodzenia po schodach, zaś on opowiada, jak rudzielec i dziewczucha ubrana na czarno ruszyli za nim w pościg samochodem. Swoim starym buickiem nie mógł nic poradzić i wyspał się na zakręcie.

- Byłem na wpół ogłuszony - mówi - więc chapnęli mnie jak kwiatuszek.

Opowiadam mu, jak Donna utargowała kulkę w dudki, oczyszczając teren przede mną.

- Ciężko? - pyta.

- Musisz sam to zobaczyć - odpowiadam.

Dotarliśmy do biura. W kącie, oparty o ścianę leży nieruchomo jęczący rudzielec. Na podłodze pseudo-Carruthers o prostackiej głębie. Na fotelu Jane, a na stole Donna. Nieruchoma. Ritchie pochyla się nad nią.

- Nic się nie da zrobić - mówi. - Ona jest załatwiona. Dziewczyna uśmiecha się niewyraźnie, dotykam jej czoła.

Wygląda, jakby na nas patrzyła. Drzę mimo woli.

- To była niezła dziewczyna - mówię.

- Niezła - odpowiada Ritchie jak echo. - To naprawdę szkoda, że one nie mają pojęcia. Za dwie godziny będzie martwa.

Schodzimy. Cóż możemy zrobić innego? Przecież nie będziemy czekać na gliniarzy.

Kluczyki są w samochodzie. To packard, ostatni model. Ludzie już ich wcale nie chcą, bo zbyt są podobne do karawanów. Nie zaskakuje mnie, że Ritchie dał się złapać. Wsiadamy do niego.

Nadal jestem w dziewczęcym ubraniu i zaczynam mieć już tego trochę dość... Mam dwie spluwy. Wrzucam je do pudła na desce. Skracamy, by powrócić do Waszyngtonu.

- Co robimy? - pyta Ritchie.

Doprowadził się trochę do ładu i nie wiadomo skąd wytrzasnął marynarkę.

To prawda... nadal jestem poszukiwany przez gliniarzy. Och! Mam już tego wszystkiego po uszy... przypuszczam, że to z powodu Donny opada mnie chandra.

- John - mówię do Ritchiego. - John Payne. Był na górze.

- Wiem - odpowiada Ritchie. - Dan mi go pokazał przed zamknięciem.

Zasuwamy. Mijamy jakąś brykę.

- Stopuj - mówi Ritchie.

Nie trzeba powtarzać. Widziałem Walcotta.

Robię zwrot i przyciskam do dechy. Łapiemy go po trzystu metrach. Przyciskam jeszcze solidniej i zaraz przyklepiemy mu w tyłek. Ritchie wystawia rękę przez okno i wywala w niego cały magazynek.

Samochód Walcotta skacze do przodu. To lincoln i sądzę, że będziemy z nim mieli kłopoty.

- Grzej, Francis - woła Ritchie.

Zasuwam, ile wlezie. Przejeżdżamy obok domu Louise. W takim tempie na pewno gdzieś się wypieprzymy, lecz Walcott za bardzo mnie słabi.

Osiągnąłem już maksimum i bardzo mizernie się do niego przybliżam, lecz nie da rady nic zrobić.

- Przywał mu jeszcze, Ritchie.

Jest o dwadzieścia metrów przed nami. Gdy tylko zdążyłem powiedzieć to Ritchiemu, nasza przednia szyba rozpryskuje się po mojej prawej stronie. Tamci także strzelają.

Ritchie nie spieszy się. Celuje i wypuszcza pierwszą kulę. Pozostało nam jeszcze pięć.

Droga zaczyna kręcić i tamci muszą zwolnić, ja także, bo zaczyna nas trochę nosić.

- Grzej - mówi Ritchie.

Uderzenie w lewy wspornik przedniej szyby. Rozlega się przyjemna melodia. To mój braciak włączył radio.

- Naprzód - mówi.- Nie przejmuj się.

Przyciskam. Opony wyją. Zyskujemy sześć metrów.

Prosty odcinek. Przelatujemy przez jakąś wieś jak burza. Znów zakręty. Mały mostek.

Udało mi się zrównać z Walcottem. Pędzę i ocieram mu lewy bok. Ma cykora. Ritchie wali do niego ze spluwy dwa razy, a ja spycham go na prawo przed samym mostkiem. Jego samochód przełamuje barierę i w mgnieniu oka widać, jak koziołkuje i rozsypuje się w kawałki.

Następuje wybuch, zapalił się zbiornik. Dobra rzecz.

Tak mówi mi Ritchie, podczas gdy ja próbuję wyprowadzić brykę z tych cholernych zakrętów.

Ocieram się o słup... Wóz kołysze się, lecz jedzie. Wreszcie mogę ulitować się nad przyspieszaczem.

- Jedź dalej prosto - mówi Ritchie. - Mam kumpla, który mieszka w pobliżu i będzie mógł nas przechować przez kilka dni.

Ten facet ma stada kumpli...

XX

Nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy pod względem fizycznym, jak znalazłszy się u kumpla Ritchiego, pod solidnym prysznicem z mydłem, ręcznikiem... no i z czekającymi na mnie po drugiej stronie męskimi ciuchami.

Bo zdaję sobie sprawę, że na dłuższą metę w babskich szmatkach robię za złotą rybkę, to smutne, kiedy jest się tak milusim, jak ja.

Jestem cały w mydlanej pianie, kiedy otwierają się drzwi.

- Spokojnie! - woła do mnie głos Ritchiego. - To ja.

A ja już prawie się zabunkrowałem. Tak z przyzwyczajenia.

- Dzwoniłem do taty - mówi Ritchie. No... hmm... ja bym się nie ośmielił.

- Co mu powiedziałaś?

- Wszystko - odpowiada mój braciak. - No i?

- I powiedział, że niezła z nas para palantów.

- I miał rację.

Puszę się z dumy. To fajnie mieć niegłupiego staruszka.

- Spróbuje nas wciągnąć do policji jako inspektorów - dodaje Ritchie. - Lub jako śledczych z District Attorney. Ma tam jakiegoś bliskiego koleśia. A że jest to afera narkotykowa, będzie miał przy okazji reklamę. Zaś my będziemy kryci.

- Dobra - mówię.

- Mamusia kazała cię opieprzyć - dodaje.

- Miała rację.

Sympatyczni rodzice. Byłbym całkiem szczęśliwy, gdyby Donna się z tego wykaraskała... Cóż... No i jeszcze John Payne... Biedny John. To nasza wina. Cóż. Ale spędził miłe chwile, nim go trafiło.

- Powiedziałeś mu, żeby załatwił to możliwie jak najszybciej?

- Zadzwoń do nas za dziesięć minut. - Nic więcej?

- Ach! Owszem... zapytał mnie, jak to się stało, że zostawiłeś dziesięć tysięcy dolarów przyklejone w bryce do kolumny kierowniczej. Jakiś mechanik przyniósł mu je natychmiast.

Aż usiadłem.

- Są jeszcze ucziwi ludzie... - mówię.

- Dał mu pięćset w ramach rekompensaty - dodaje Ritchie. - I ma nadzieję, że się zgadzasz.

- A co z Wu Changiem?

- Uprowadzono go - mówi Ritchie. - Znaczy się, tatusia. Wu nic nie jest, a nasi rodzice wiedzieli, że cała impreza była wymyślona, żeby wciągnąć Louise Walcott w pułapkę.

- Cudownie...! - wołam. - Więc historia, którą wymyślił ten łajdak Driscoll, była prawdziwa...!

W gruncie rzeczy powinienem, być może, poinformować was na samym początku, że mój ojciec zrobił swoje pieniądze, sprzedając przedestylowany alkohol biedakom cierpiącym na pragnienie w czasie prohibicji, co jest, moim zdaniem, działalnością filantropijną. A później, w tak zwanym międzyczasie, został szefem policji w Chicago, co jest niezłym miejscem na trzaskanie szmału, zaś obecnie udał się do Waszyngtonu na emeryturę. Toteż nie brak mu, jak widać, różnych możliwości.

No.

- Nieźle się napracowaliśmy - mówię do Ritchiego.

- Mowa! Tatusz jeszcze dodał, że o mały włos schrzaniłibyśmy całą sprawę. Policja śledziła Louise już od miesiąca, teraz powie więcej. W sumie, ponieważ zlikwidowaliśmy mniej więcej całą bandę, nie są zbyt wkurzeni, ale co by to mogło być...!

Ha! Dajmy temu spokój.

- To wszystko? - pytam.

- Wszystko.

- Przynieś tu telefon.

Ritchie wykonuje. Wykręcam numer Gayi.

- Halo?

- Halo, Gaya? Rozpoznałem jej głos.

- Francis Deacon. Wskakuj w brykę i przyjeżdżaj.

- Dokąd? - pyta.

- Do Bena Kirby. Znasz? Mam coś dla ciebie.

Odkładam słuchawkę i zaczynam sobie masować mięśnie i stawy. Jestem pocętkowany siniakami i guzami, zaś moja twarz jest napuchnięta mniej więcej wszędzie. Gaya musi być w transie, bo nie ma tego świństwa do wstrzyknięcia. Będzie jej potrzebne dwadzieścia minut, nie więcej.

Ritchie także się właśnie sobą zajmuje, cały jest pokryty plastrami.

- Ritchie! - wołam. - Czujesz się na siłach, żeby jej dołożyć zdrowia?

- Komu?

- Tej bździągwie Gayi - odpowiadam.

- Hmm... - mówi - tej akurat wolałbym złożyć wyrazy szacunku. ~ Świetnie. Jedno drugiemu nie przeszkadza - stwierdzam. Masujemy się i pielęgnujemy, a w dwadzieścia minut później podjeżdża jakiś wóz. Gaya szybko do nas dotarła; w tej chwili obaj jesteśmy w pokoju, który dał nam Ben, w bieliźnie i szamiemy.

- Dzień dobry - mówi. - Masz?

- Chodź dać nam buzi, koteczku - odpowiadam. - Tak się nie wchodzi do ludzi.

Jest cała drżąca i kiepsko się czuje. Ja zaś mam wrażenie, że moje lekarstwo jest lepsze.

- Ritchie, zamknij drzwi. Wykonuje posłusznie.

- Rozbieraj się, Gaya - ciągnę dalej.

Ponieważ się ociąga, chwytam za coś wystającego i drę wszystko na strzępy. Ritchie przychodzi mi z pomocą.

- Pod prysznic - mówię do niego.

Ciągniemy ją pod prysznic i puszczaemy na nią solidny strumień i, wiercie mi, ta dziewczyna pod wodą jest jeszcze ładniejsza niż na powietrzu.

- Nie jesteś większym nałogowcem ode mnie - ciągnę dalej - Chciałaś się tu zgrywać na wielką narkomankę. Bez sensu. Takie małe odświeżenie jak to - oto czego ci trzeba.

Po czym wysyłam ją na łóżko solidnym kopniakiem w tyłek. Dziewczyna całkiem traci głowę i zaczyna płakać.

Spuszczam zasłonę, bo nadchodzi właśnie stosowna chwila, żeby ją pocieszyć.

Zresztą historia jest prawie zakończona.

XXI

No cóż, mam wrażenie, iż przestawszy te zapiski, ani razu nie powiedzieliście sobie, że napisał to jakiś facet po studiach. Kwestia słownictwa? Nie. Moim zdaniem brak tu przede wszystkim łacińskich cytatów. Na początku trochę się starałem, lecz widzę, że dałem się wciągnąć i pomimo startu w cholernie wygładzonym stylu, natura wzięła górę.

Trudno. Lecz teraz chciałbym podkreślić wymowę moralną tego całego biznesu.

Najważniejsze, jak sami wiecie, to być porządnym gościem. Nie jestem kimś, kogo nazywa się dobrze ułożonym facetem, lecz wszystko, co uczyniłem, było szczere i w porządku.

A poza tym należy szanować więzy rodzinne. Dałem mojemu braciakowi skorzystać ze wszystkiego. Dobrego i złego... lecz zawsze jak brat bratu. Ręka w rękę.

Powiecie mi, co do myszek, że trochę byliśmy dla nich za ostrzy.

Co chcecie, przecież one i tak nie mają pojęcia.